

TAD WILLIAMS



ZASPAĆ
NA SĄD
OSTATECZNY



TAD
WILLIAMS

ZASPAĆ
NA SĄD
OSTATECZNY

Przetoczył Janusz Szczepański



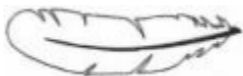
DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

*Przygody Bobby'ego Dolara zacząłem od dedykacji dla
mojego przyjaciela Davida Pierce'a, który nas opuścił.
Od tamtego czasu straciłem jeszcze kilkoro bliskich
ludzi.*

*To samo można powiedzieć o naszym gatunku,
fantastyce.*

*Śmiertelność to ból, ale także perspektywa.
Brakuje nam Was wszystkich, pisarze, twórcy, artyści.
Jakże brak mi Ciebie, Dave! Ale taka już, straszna i
piękna zarazem, tajemnica życia: nie można kochać i
nie zaznać – kiedyś tam – poczucia straty.*

Podziękowania



Moja książka, moje zasady. A najważniejsza z nich to pamiętać i dziękować. Nie skończyłbym jej bowiem bez pomocy, jakiej udzieliło mi wiele osób.

Bardzo ważną rolę przy powstawaniu tej książki (jak i wszystkich innych) odegrały moje przyjaciółki i redaktorki, Betsy Wollheim i Sheila Gilbert. Boże Wam błogosław.

Mój nieoceniony agent, Matt Bialer, prowadził mnie za rękę (głównie w przenośni, jako że mieszka w Nowym Jorku) przez liczne kryzysy i odpały. Chwała mu za to.

Marylou Capes-Platt znów dokonała cudu adiuatorskiego, zasypując mnie poprawkami i sugestiami, ani razu przy tym nie sprawiając, że chciałbym się gryźć i drapać. Nieustające błogosławieństwa, Marylou.

Moja żona Deborah Beale jak zawsze była przy mnie i dla mnie na każdym kroku tej drogi. Miałem szczęście ożenić się nie tylko z cudowną osobą, lecz także ze znakomitym redaktorem i wydawcą. (Nie, nie jestem bigamistą; to jedna i ta sama dziewczyna). Błogosław jej, Panie. Zawsze.

Kochana Lisa Tveit, Królowa Internetu, raz jeszcze sprawiła, że

wyszedłem na gościa, który coś tam wie o współczesnym świecie. Moja wdzięczność jest równie bezgraniczna jak jej poświęcenie dla mnie. Wszelkich Ci łask, Liso.

Droga przyjaciółka Ylva von Löhneysen pomogła mi przy wielu ważnych kwestiach związanych z niemieckim, a do tego jest bardzo cool. I Ciebie niech strzegą anieli.

Piękne dzięki również dla Armii Boby'ego Dolara sformowanej z wspaniałych Smarcherów z *tadwilliams.com*, fejsbukowej gwardii z *tad.williams* i *AuthorTadWilliams*, tudzież wiary z Twittera, których zderzenie z Całym Szaleństwem Tada trochę złagodziła dyskretna selekcja na *MrsTad* w wykonaniu mojej życiowej partnerki. Wszystkim Wam po trzykroć błogosławieństwo.

I powiem Wam jedno: nie napisałbym nic, gdyby nie czytelnicy. Jestem gawędziarzem, nie hermetycznym akademikiem – a więc dzięki wielkie i Wam, którzy to czytacie. I nie odpuszczajcie, proszę! W tym tempie skończycie książkę, ani się spostrzeżecie.

Prolog



Nigdy przedtem nie byłem na rozprawie w Niebie. Nie zdarzają się zresztą często.

Ale zaraz, o mądry aniele, powiecie. Jakże to w Niebie mogą się odbywać procesy sądowe?

Dobre pytanie. No bo skoro już ktoś raz się dostał do Krainy Wiecznej Szczęśliwości, to chyba ma załatwione, nie? Gościu przeszedł weryfikację i zaliczyli go do Sprawiedliwych, bo inaczej by się tam nie dostał, prawda? Potem zaś już tylko chwali się Pana – jak więc można podpaść pod niebieskie paragrafy?

No cóż... po pierwsze, jest cały ten gips z wolną wolą. Ludzie i anioły muszą móc popełniać błędy, w przeciwnym razie wszechświat byłby mechanizmem, w którym wszystko jest z góry ustalone i doskonałe. Życie w Niebie najczęściej tak właśnie wygląda: trzoda pogodnych świetlistych stworzeń bytuje w absolutnej harmonii, w bzyńczącym szczęściem ulu, z jednym wspólnym celem. Wszyscy jednak wiemy, że w przyrodzie – choćby dany ekosystem działał idealnie – zawsze się znajdzie parę durnych ptaków lecących na północ, gdy cała reszta ucieka przed zimą na południe, czy jakiś rąbnięty łoś surfujący w dół rzecznych bystrzyn z okrzykiem „Patrzcie, jak zasuwam!”, który co rusz obija się o rozsądniejszych

ziomków mozolnie płynących na tarło pod prąd. I nie ma znaczenia, że tacy odmieńcy zamarzają i spadają z nieba gdzieś w tundrę lub zdychają bezpotomnie – liczy się wolna wola. Najwyraźniej zaś my, anioły, jesteśmy tak samo zdolne do kiepskiego panowania nad impulsami jak wszyscy inni. No i stąd się biorą niebieskie sądy i procesy, a mnie właśnie po raz pierwszy czekał udział w takiej imprezie.

Udział to może źle powiedziane. I niezupełnie pierwszy raz; zdarzało mi się już wiedzieć o podobnych sprawach. W raju tak już jest, że wie się o pewnych ważnych wydarzeniach, a nawet można śledzić je uważnie, niekoniecznie w nich uczestnicząc. Trudno to wyjaśnić, jak wiele innych niebiańskich niewytłumaczalnych rzeczy. Powiedzmy, że siedzicie w zatłoczonym barze i trwa mecz ligowy z udziałem lokalnej drużyny: nie trzeba wlepić gał w telewizor, żeby wiedzieć, co się akurat dzieje na boisku, nie? Dociera to do was na kilkanaście sposobów. No więc ja na zbliżonej zasadzie miałem okazję obserwować parę takich procesów.

Ten jednak miał się zdecydowanie różnić od poprzednich, dlatego załatwiłem sobie doskonałe miejsce: w samym środku pierwszego rzędu. Podsądnego (biedny skrzydlaty skurczybyk...) czekała konfrontacja z najwyższym majestatem niebieskiego prawa i całe Lśniące Miasto pulsowało niecierpliwym oczekiwaniem. Pałac Sprawiedliwości jaśniał od wewnętrznego światła niezliczonych zastępów anielskich; wszystkim zależało, by widzieć to osobiście i z bliska. Zdawało mi się nawet, że nieopodal kręci się mój szef, archanioł Temuel (ksywka „Muł”).

Tłumy Zbawionych, choć w zasadzie pozbawione substancji, przepychały się i potraçały wzajem w ogromnej połyskliwej masie (tego też nie podejmuję się wytłumaczyć). Pojawienie się szacownego trybunału wzbudziło rosnący szmer ekscytacji. Rządek promiennych archanielskich sylwetek reprezentował to, co wielkie i dobre – w paru wypadkach nawet największe i najlepsze – co nasza Trzecia Sfera ma do zaoferowania. Rozpoznałem wszystkie od razu.

– Zebraliśmy się tu pod okiem Najwyższego, aby sprawiedliwości stało się zadość. – Te słowa wypłynęły z kolumny brylantowego światła, której na imię Terencja. Pozostała czwórka sędziów: Karael, Razjel, Anaita i Chamuel, zasiadła w płomiennym milczeniu wokół niej, ustawiona pod sznurek niczym świece na menorze w piąty dzień Chanuki. – Bóg was wszystkich kocha – dodała i obróciła uwagę na mnie. – Aniele adwokacie Doloriel, jesteś oskarżony o spiskowanie przeciwko Niebu tudzież o inne zbrodnie, w tym gniew, pychę, zazdrość oraz chciwość, wszystkie w najokropniejszej postaci. Jeżeli zostaniesz uznany za winnego, będziesz usunięty z Nieba i wrzucony w Czeluść Piekielną, gdzie spędzisz wieczność w męce i rozpaczy. Czy masz jakieś pytania, nim zaczniemy przewód sądowy?

Tak, tak. Z tego właśnie powodu przysługiwało mi tak dobre miejsce w prześwieczonej sali. Macie jakieś pytania? Ja też, i to najpewniej takie same, poczynając od „Jak się tu znalazłem?” aż po „Jak się z tego, kurka wodna, wykaraskać?”. Jednakże z przyczyn, które będę wyjaśniał po drodze, nie sądziłem, aby ich zadawanie przyniosło mi cokolwiek dobrego.

– Wysoki Sądzie, zdecydowaliście już, co ze mną zrobicie –

powiedziałem z nadzieją, że zabrzmiało to znacznie bardziej hardo i chłodno, niż się w tej chwili czułem. – Darujmy więc sobie te wstępy, bo i tak wiadomo, że najlepsza zabawa będzie przy ogłaszaniu werdyktu.

Ale zaraz, powiecie, może by tak od początku, Bobby Dolar. Jakimże cudem trafiłeś na niebiańską ławę oskarżonych? Jak taka przykrość mogła spotkać jednego z umiłowanych, szanowanych aniołów Pańskich?

Ha, ha. Jasne. Nie żałujcie sobie, kopnijcie leżącego jeszcze raz. Co tam los jego nieśmiertelnej duszy, skoro można mieć z tego trochę beki?

Naprawdę chcecie wiedzieć, jak się znalazłem w tej sytuacji? Wszystko się chyba zaczęło od snu, który mnie nawiedził pewnej nocy.

Jeden

Po prostu anioł



Stos sięgał ponad głowy rozwrzeszczanych gapiów. Przywiązany do słupa skazaniec zwiślał bezwładnie na sznurach, nierealny jak wyrzucony na śmietnik manekin sklepowy czy zapomniana wielka lalka. Miał na sobie rycerską zbroję, ale smukłość figury zdradzała, że pod żelazem nie kryje się mocarny wojownik, lecz krucha kobieta. Rozpoczęła się egzekucja Joanny d'Arc.

Dziewica Orleańska uniosła głowę i potoczyła wzrokiem po zatłoczonym placu. Nasze spojrzenia się spotkały. Ujrzałem jej bardzo jasne, platynowe włosy i oczy czerwone jak krew. Poczulem lód w sercu. To nie była święta Joanna, lecz Caz – moja cudna demonica, która zawładnęła i wystawiła na śmiertelne niebezpieczeństwo mą duszę.

Ktoś podłożył ogień pod suche bierwiona. Podpałka zajęła się od razu. Wokół stóp Caz pojawiły się pierwsze białe obłoczki. Płomienie błyskawicznie pięły się w górę, malując dym w barwy zachodzącego słońca. Caz szarpała się w więzach coraz bardziej rozpaczliwie, czując szybko rosnący żar. Nie mogłem się poruszyć. Otworzyłem usta, by do niej zawołać, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Stałem jak

skamieniały. W chwili, gdy najbardziej byłem jej potrzebny, nie mogłem nic zrobić.

– Jesteś za daleko! – krzyknęła spośród otulających ją ciasno pasm dymu. – Och, Bobby, tak daleko!

Dalsze słowa przerodziły się w nieartykułowane bolesne wycie.

Płomienie strzelały już tak wysoko, że ledwo widziałem jej sylwetkę poprzez ogień. Wijące się ciało, dym, budynki w tle – wszystko gięło się i drgało jak pod wodą. Nagle wśród wznoszącej się ku niebu ciemnej chmury dostrzegłem ruch w powietrzu nad stosem: szybujące w dół skrzydlate kształty.

Alleluja! Miejskie dzwony rozdzwoniły się melodią pieśni o Odkupieniu. Alleluja! Skrzydlate postacie kołowały coraz niżej – anioły spieszące na ratunek!

Potem jednak zobaczyłem je wyraźniej. Może sprawiało to falujące od żaru powietrze, lecz twarze domniemanych wybawców miały ponury, okropny wyraz; oczy błyskały piorunami, a skrzydła okazały się matowoczarne jak spalony papier i nawet żarzyły się na brzegach, jakby to ogień, nie powietrze, był ich naturalnym środowiskiem.

Anioły czy demony? Przybywają z pomocą czy chcą ją porwać do miejsca wiecznej kaźni? Oniemiały, sparaliżowany mogłem tylko patrzeć i słuchać, jak dzwony biją coraz głośniej.

Alleluja! Alleluja!! Alleluja!!!

Poderwałem się na łóżku zaplątany w kołdrę. W pokoju było

ciemno i tylko nieśmiałe pasemko światła z ulicy wpełzało do środka pod zaciągniętymi storami. Zniknęły płomienie i dym, ale z mojego telefonu wciąż wylewała się ta sama melodia, jak okrutny żart. Alleluja.

Telefon. To tylko dzwoni telefon.

Aha, jasne, pomyślałem, przekrzykując w powoli zbieranych myślach łomot rozkołatanego serca. Pieprz się, Haendel, i pieprzyć twój pieprzony hymn. A już zwłaszcza tego sukinsyna, któremu przyszło do głowy użyć go jako dzwonka w naszych służbowych komórkach.

Zrzuciłem połowę bałaganu z nocnego stolika, zanim wreszcie namacałem aparat, wcisnąłem guzik z zieloną słuchaweczką i uciszyłem tę cholerną hosannę.

– Czego? – warknąłem. Puls mi napierniczał, jakbym właśnie dał krok z urwiska w pustą przestrzeń. – Oby to było coś ważnego, bo inaczej ktoś umrze.

– Ktoś już umarł. – Poznałem głos Alice z biura miejskiego (naszego lokalnego oddziału władzy niebieskiej). – Masz klienta, Dolar. – Wyrecytowała szczegóły, jakby odczytywała listę zakupów. – Pokaż im, kto tu rządzi, kowboju. I może nie byłbyś takim zręczliwym dupkiem, gdybyś wczoraj zasnął jak człowiek, zamiast się urznąć do poduszki.

Odłożyła słuchawkę, nim zdążyłem pomyśleć o jakiejś błyskotliwej ripocie.

Jesteś za daleko! – krzyczała Caz w moim śnie. I to się akurat

zgadzało, gdyż dzieliło nas coś znacznie gorszego niż odległość mierzona w jednostkach układu SI. Jedno z nas było w Piekło. Drugie tylko się tak czuło.

Gdy tak leżałem w oczekiwaniu, aż opadnie poranny przypływ czarnej beznadziei, za ścianą na wysokości głowy usłyszałem jakieś szuranie. Zauważyłem to już wieczorem, gdy kładłem się spać, ale uznałem, że to szczur albo że sąsiad zdrapuje ubitą muchę czy coś w tym rodzaju. Tym razem trwało to dłużej; uporczywe skrobanie, które szybko zaczęło mi działać na nerwy. W końcu rąbnąłem parę razy pięścią w tapetę i wszystko ucichło.

Moja nowa garsoniera w tanim bloku Tierra Green Apartments nie była szczytem marzeń, ale ludzie i stwory, którym zależało, żeby mi zaszkodzić zdrowotnie, sukcesywnie odkrywali kolejne miejsca mojego zamieszkania, więc ostatnimi czasy nie mogłem sobie pozwolić na dłuższe przebywanie w jednym lokalu. A tak nie cierpię przeprowadzek.

Obijanie się między koszmarem z całopaleniem ukochanej i upiornymi odgłosami zza ściany kosztowało mnie parę minut nurzania głowy w zimnej wodzie, nim zdołałem się uspokoić na tyle, by móc skupić myśli na robocie. Aniele adwokacie, napomniałem się, ktoś tam cię potrzebuje.

Miejsce zdarzenia było niedaleko, na autostradzie Bayshore, ale gdy w końcu się wygrzebałem z mieszkania, dziesięć minut nie mogłem znaleźć samochodu. Nie dlatego, spieszę wyjaśnić, że bym poprzedniego wieczoru wrócił naprany (choć do lekkiego rauszyku

się przyznają), tylko dlatego, że po niedawnych doświadczeniach z krwiożerczym zombi zwanym Śmiszkiem nabrałem zwyczaju parkować za każdym razem gdzie indziej.

Czułem się, jakbym w nocy przedrzemał raptem z kwadrans, ale zbliżał się już świt, czyli musiałem zaliczyć całkiem przyzwoite spanko: pamiętałem, że padłem jak ścięty natychmiast po powrocie do domu. I też nie z powodu nadmiernego spożycia; do kolacji wypilem wszystkiego ze trzy piwa. (Ostatnio próbuję się ograniczać i w ogóle poczynać sobie odpowiedzialnie). Wierzcie mi, padam zmęczony i zapominam, gdzie zostawiłem auto, tylko dlatego, że bardzo źle sypiam. A sypiam źle dlatego, że ciągle śni mi się Piekło. Widzicie, dopiero co spędziłem tam coś koło pół roku i było właśnie tak źle, jak sobie wyobrażacie. Nie, gorzej. To nie jest przeżycie, z jakiego można się otrząsnąć w dzień czy dwa. Nie wspomnę już, że udałem się tam w celu odbicia demonicy, w której się zakochałem, Casimiry zwanej też hrabiną Zimnoręką, i dokumentnie to spartoliłem. No i dlatego właśnie wasz przyjaciel Bobby czuje się, jak się czuje, i niemal co noc miewa paskudne sny.

Ten dzisiejszy był jednak inny i gorszy niż zwykle. Najczęściej śniła mi się po prostu topielica Marmora – fałszywa Caz, za pomocą której arcydiabeł Eligor (jej szef i były kochanek) oszwabił mnie niczym najdurniejszego z durnych frajerów – jak roztapia mi się w ramionach w wodniste nic. Czasem jawiły mi się też straszne męki Caz, na które musiałem patrzeć sam torturowany przez tego bydlaka – choć jestem przekonany, że nikt jej wtedy nic nie robił i były to tylko dodatkowe efekty specjalne na mój użytek. (Bardzo potrzebna

mi jest ta wiara). Cóż więc było odmiennego w tym dzisiejszym koszmarze? Cóż powiedziała mi kiedyś, że gdy ją samą uśmiercał kat, myślała wtedy właśnie o Joannie d'Arc; wcale mnie nie zdziwiło, że moja pokręcona podświadomość wplotła to w końcu między stałe senne wątki.

Było jednak i coś innego, głębszego, niż mogłem uchwycić myślą. Jak gdyby ona naprawdę usiłowała się ze mną skontaktować. Ale jak, dlaczego i w jakiej sprawie – nie miałem zielonego pojęcia.

Odszukałem wreszcie mojego starego kanciatego datsuna; stał w głębi zaułka w bok od Heller Street, którego za Boga bym sobie sam nie przypomniał. Jak na listopadowy ranek było dość sucho i widno, ruch więc nie był tragiczny, nawet tak blisko centrum. Dotarcie na miejsce wypadku – kawałek na południe od „koniczynki” Woodside Expressway – zajęło mi nie więcej niż kwadrans. Jakiś mocno potrzaskany minivan leżał do góry kołami paręnaście zrytych i usianych szczątkami metrów od drogi; pobocze zastawione było wozami policji, straży i pogotowia ratunkowego migoczącymi dyskoteką czerwonych i niebieskich kogutów. Jedyne trupy spoczywały na ziemi przykryte zakrwawionym kocem. Nikomu się nigdzie nie spieszyło.

Pora na anioła.

Zaparkowałem na poboczu jakieś trzydzieści metrów za wszystkimi i ruszyłem pieszo na przełaj przez zmarznięte badyle. Żaden z gliniarzy nawet na mnie nie spojrział, gdy się zbliżałem, ale tak to już z nami jest: kiedy anioły pracują, szczególnie na miejscu

zgonu, są mało zauważalne. Oczywiście za parę sekund dzielni przedstawiciele służb miejskich będą mnie widzieć jeszcze słabiej. Zatrzymałem się kilka kroków przed zwłokami i otworzyłem portal z jasnego, lecz niepewnego światła, który nazywamy Zamkiem Błyskawicznym.

Tak jest, właśnie tak. Oszczędźcie mi rubasznym żarcików, bo słyszałem już wszystkie. Przeważnie od koleśki aniołów. To dla nas po prostu przejście do miejsca pracy. Dziura w Czasie, by tak rzec. Wszystko, co po drugiej stronie, jest czymś w rodzaju bańki utworzonej z tej jednej, konkretnej chwili.

Odgłosy z autostrady umilkły jak nożem uciął, gdy przelazłem przez Zamek. Wszystko zastygło w bezruchu: radiowozy i pędzące szosą samochody, nawet ludzie. Jak gdyby nagle całą okolicę zalały miliardy litrów przezroczystego plastiku i momentalnie stężały. Gliniarze zatrzymani w kadrze, światła awaryjne, cały wszechświat znieruchomiał i zrobiło się cicho jak w grobowcu. Poza mną była tam tylko jedna poruszająca się postać – facet w roboczych ciuchach miotał się między pojazdami i stukał w szyby, starając się zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę. Bezskutecznie, ma się rozumieć, jako że on znalazł się poza Czasem, oni zaś tkwili w nim nadal.

Spostrzegł mnie i puścił się biegiem w moją stronę. Miał ciemną cerę i sumiaste wąsy, ale mogłem się skupić tylko na białkach jego wytrzeszczonych z przerażenia oczu.

– Pomocy! – krzyknął. – Miałem wypadek!

– Gurdipie Malhotro – powiedziałem uroczystym tonem. – Bóg

cię kocha.

– Kim... Kim pan jest? – Mój klient potknął się, złapał równowagę i stanął.

– Nazywam się Doloriel i jestem twoim anielskim adwokatem. – Dałem mu chwilę, by dotarło do niego, co usłyszał. – Tak, miałeś wypadek i obawiam się, że go nie przeżyłeś.

Wpatrywał się we mnie tymi wybałuszonymi gałami. Gdyby krew wciąż płynęła mu w żyłach, rzekłbym, że zbladł. Na razie zwyczajnie go zamurowało. Szok, gdy nadszedł, ogarnął go błyskawicznie.

– Ale... ale ja nie mogę! Mój syn... Dziś jego... – Powoli kręcił głową. – Moja żona! To ja już nigdy jej nie zobaczę?

– Wiele jest rzeczy, o których nie mogę ci nic powiedzieć – odparłem najłagodniej jak umiałem. Ba, jeszcze więcej takich, o których sam guzik wiem. – Najpierw jednak musimy cię przygotować na sąd. To moje zadanie. Uczynię wszystko, żeby cię wybronić. Wiem, że byłeś dobrym człowiekiem.

Oczywiście nie mogłem jeszcze tego wiedzieć. Ale nigdy nie zawadzi trochę klienta uspokoić, żeby dało się z nim pracować.

Wciąż się na mnie gapił.

– Anioł? – wydukał w końcu. – Ale... jak to możliwe? Ja nie jestem chrześcijaninem!

– Nie szkodzi, panie Malhotra. Ja też nie jestem chrześcijański, tylko po prostu anioł.

Werdykt nie zapadł tak szybko, jak bym chciał. Demonem

prokuratorem był drobny karierowicz o imieniu Szczurynał, jeden z tych ambitnych niedouków, którym się wydaje, że każdą sprawę wygrają jakimś zdumiewającym gambitem w stylu Perry'ego Masona. Wyciągał każde wykroczonko, jakie biedaczysku Malhotrze kiedykolwiek zdarzyło się popełnić – jak „Nieodpowiedzialna jazda!” (za którą glinie z drogówki nie chciało się nawet mandatu wypisać) – i usiłował odmalować jego życie w barwach totalnego nieposzanowania dla innych, chociaż tego ranka mój Gurdip tylko dlatego przekroczył dozwoloną prędkość, że chciał zdążyć zapakować prezent urodzinowy dla synka, zanim mały się obudzi i pójdzie do szkoły. To mnie zresztą ruszyło i przyznaję, że w mowie obrończej mogły mi się wypsnąć w odniesieniu do prokuratora epitety w rodzaju „ta szumowina zeskrobana z podłogi kibla w najgłębszym kręgu Piekła” – to znaczy niewiele mijające się z prawdą, ale jednak dalekie od zawodowej kurtuazji. Na szczęście dla mnie i świętej pamięci obywatela Malhotry sędzią była akurat nieco flegmatyczna kula światła zwana Sasanielem, przed którą już nieraz miałem okazję występować na wokandzie; jego archanielskość nie jest skłonny ulegać podnieceniu tylko dlatego, że jakiś tam diabełek stara się zapracować na reputację orła piekielnej palestry. Dał mu pogadać, stosownie do powagi sądu uprzejmie odczekał jakiś czas i uciąwszy w pół zdania kolejną linię oskarżenia, ogłosił wyrok korzystny dla mojego klienta. Świsnęło, błysnęło i Gurdip Malhotra przeszedł do następnego etapu tego, co się tam wyprawia z duszami świeżo zmarłych. (To samo musiało w swoim czasie dziać się ze mną, ale nic potem nie pamiętamy, więc niestety nie mogę wam zapełnić

tych białych plam). Sędzia przeteleportował się tam, gdzie ich archanielskości mają zwyczaj przebywać między rozprawami, Szczurynał rozplynął się w kłębach śmierdzącego siarką dymu – i zostałem sam, wolny jak ptaszę na resztę nowego cholernego dnia.

Dwa

Starzy i nowi przyjaciele



Kiedy wróciłem z beczasowości Zewnątrz do tak zwanego realnego świata, dochodziła dziewiąta. To, że w takich razach wychodzimy sobie poza Czas, nie znaczy, że bestia przestaje płynąć. Myślę, że ma to związek ze służbową doczesnością oddelegowanych na Ziemię aniołów, to znaczy z noszeniem ludzkich, nieco tylko zmodyfikowanych ciał. Gdy już przejdziemy z powrotem przez Zamek, stwierdzamy tę różnicę – w tym wypadku minęło parę godzin. Nie należę do rannych, a nawet przedpołudniowych ptaszków, ale myśl o ponownym uwaleniu się na wyrze i kolejnym śnie o Caz była zbyt przygnębiająca, zdecydowałem się więc zajrzeć do „Oyster Billa”, baru, gdzie serwują coś w rodzaju jedzenia. Mam słabość do tej speluny; chadzam tam, odkąd sięgam pamięcią – co dowodzi, że więcej we mnie lojalności niż rozumu. Gdyby nie to, że i tak już nie żyję, byłoby z tego wcale niezłe epitafium.

Kończyłem zgarniać kawałkiem chleba resztki melanzu skrobi i tłuszczu, który Bill przewrotnie nazywa śniadaniem, kiedy do baru wtoczył się jakiś stary menel i niby to zmierzając do baru, dyskretnie nagabywał gości o wsparcie finansowe. (Bill nie lubi żebraków; jest

zdania, że niekorzystnie wpływają na wizerunek lokalu – co zaliczam do najpyszniejszych dowcipów, jakie słyszałem). Większość konsumentów udawała, że go nie widzi, ale gdy dotarł do mojego stolika, sięgnąłem do kieszeni po drobniaki. Stary miał wodniste oczy i włosy tak pozlepiane w strąki, jakby wymodelował je żelam w latach osiemdziesiątych i od tamtej pory ich nie dotykał. Jechało też od niego czymś, czego normalnie nie powinno się pijać – coś jakby Old Spice'em przesączonym przez dawno nieprany podkoszulek.

Wcisnąłem mu do ręki parę monet ze słowami „Powodzenia. Bóg cię kocha”. Mówiłem szeptem, gdyż okazać uprzejmość w „Oyster Billu” to tak, jak dla kulawej gazeli paradować przed stadem wygłodniałych lwów; menel jednak słuch miał dobry. Obdarzył mnie bezzębny uśmiechem i poklepał po ramieniu.

– Dzięki, przyjacielu – odrzekł mniej bełkotliwie, niżbym się spodziewał. – Chciałbym ci coś dać za twoją dobroć.

– Doprawdy, nie trzeba...

Wyciągnął z kieszeni spodni pomietą brudną kartkę złożoną na czworo i wręczył mi z takim namaszczeniem, jakby przedstawiała sporą wartość. Mój ty smutku...

– Obiecuj, że to przeczytasz – powiedział. – I się zastanowisz. Bóg wie o tobie i jesteś Mu potrzebny.

To rzekłszy, począł do wyjścia i po chwili zniknął mi z oczu.

Tak, wiem. Śmieszna sprawa: bezdomny alkoholik uświadamia aniołowi Pańskiemu jego rolę w wielkim boskim planie. Zerknąłem na karteluszek, ale treść wyglądała raczej na polityczną niż religijną.

Nagłówek głosił: „Ktoś w Białym Domu chce cię unicestwić!”. Omal nie zostawiłem go na blacie, ale nie wiedziałem, czy stary nie obserwuje mnie ukradkiem zza szyby podekscytowany, że wreszcie ktoś od niego wziął ulotkę, wsunąłem więc papier do kieszeni i opuściłem lokal.

Nie chciało mi się jeszcze wracać do domu, ale dziesiąta rano to jeszcze nie pora, by pójść do „Cyrkla” i się urznąć z kolegami po fachu, postanowiłem więc zadzwonić do Sama – mojego przyjaciela, też anioła, ale już niepracującego w branży. Od paru dni nie miałem od niego wieści. To on mnie niechcący wpakował w większość tego gówna, w którym się aktualnie taplam, możecie więc sobie wyobrazić, jaki z niego gość, skoro wciąż uważam go za najlepszego kumpla.

Nie cierpię gadać w marszu przez telefon prawie tak samo, jak nie znoszę robiących to ludzi, gdy więc zobaczyłem wolną ławkę na przystanku autobusowym przy Parade Street – zazwyczaj pełnym biuralistów z drugim śniadaniem w brązowych torebkach, turystów i tych wszechobecnych szczirowatych młodzieńców z psami, którym wiążą chusty na karku – natychmiast na nią klapnąłem i wyciągnąłem komórkę. Przy okazji wypadł mi z kieszeni ów dar menela, czekając więc, aż Sam odbierze telefon, podniosłem go i zacząłem czytać.

Nie była to obszerna lektura. Pod wspomnianym już nagłówkiem o dybiącej na odbiorcę nieznaney osobie z Białego Domu widniało zdjęcie tego znanego na całym świecie budynku... lewitującego w chmurach. Niżej, odrobinę tylko mniejszą czcionką napisano: „Masz wrogów. Nie chcesz ich poznać? ONI wiedzą wszystko o TOBIE!”.

Pod spodem zaś autor ulotki zamieścił – jakże by inaczej – cytat biblijny:

*Bo też i nie zna człowiek swego czasu, jak ryby, które się łowi w sieć zdradliwą, i jak ptaki w sidła schwywane. Jak one, tak uwikłani zostają ludzie w złej chwili, gdy spada na nich zniecka.**

U dołu arkusza ktoś przed skserowaniem przykleił dość dziwny zestaw obrazków wyciętych z czasopism. Pierwsze dwa przedstawiały anioła i osła. Anioł? Interesujący zbieg okoliczności. Przeniosłem wzrok na osiołka niepewny, czy ma on może symbolizować aktualnie urzędującego prezydenta z partii demokratycznej. Sam nie odbierał, rozłączyłem się więc w końcu zniecierpliwiony – tym bardziej że coś innego nie dawało mi teraz spokoju.

Wreszcie rozjaśniło mi się w głowie. Osioł... muł... Archanioł Temuel, mój boss.

Były też dwa inne obrazki: zegar z dziecięcej książeczki i ławka. To już było coś więcej niż przypadek; z Mułem już parokrotnie spotykałem się na ławce na Beeger Square. Jeżeli więc nie zbieg okoliczności, to znaczy, że zostałem wezwany na kolejne spotkanie.

Podreptałem zatem na Beeger, nigdzie jednak nie zauważyłem menela z „Oyster Billa”. Czy to rzeczywiście mógł być Temuel? Nasz archanioł uwielbia ekscentryczne przebrania, zwłaszcza gdy chce być tajemniczy; niewykluczone też, że zna nadane mu przez nasz kolektyw przezwisko. Biały Dom w chmurach też nasuwa dość oczywiste skojarzenie z Domem, jak w naszym adwokackim gronie nazywamy Niebo.

Czy jednak potrzebna mi specjalna wiadomość, że ktoś tam w górze na mnie poluje? Kurdeż, tyle to ja sam wiem. I Temuel wie, że wiem. Albo więc jest to tylko zwariowany przypadek – taka była moja pierwsza myśl – albo też mój szef pofatygował się aż tu, na ziemski padół, żeby mi uzmysłwić, że wpadłem w jeszcze gorsze tarapaty, niż dotąd mi się wydawało. I na dodatek chyba się spóźniłem na tę randkę.

Popatrzyłem jeszcze raz na wymięty papier i tym razem spostrzegłem, że wskazówki rysunkowego zegara ustawione są na jedenastej. Spojrzałem na ekran komórki: była dziewiąta czterdzieści. Nie dziwota, że nigdzie ani śladu Muła – miałem jeszcze prawie półtorej godziny do zabicia. Wyszło na to, że mimo wczesnej pory jednak wpadnę do „Cyrkla”, bo z całą pewnością nie miałem ochoty czekać na tym zimnym wietrze. Poza tym nie zamierzałem przecież tam pić, więc to się nie liczy. Chciałem tylko przycupnąć gdzieś w ciepełku, póki się nie przekonam, czy dobrze interpretuję ten menelski rebus.

Ile razy zdarzyło się wam trzymać w ręku kawałek papieru i modlić, żeby pochodził od prawdziwego pijaczyny woniejącego zjełczałym potem, a nie od archanioła w niebiesiech?

Dla mnie też był to pierwszy raz.

Kiedy zaszedłem do „Cyrkla”, było tam tylko dwóch aniołów, których słabo znałem: Didi Francuz i jeszcze jeden, opróżniający flaszkę wina z takim zapalem, jakby była dziesiąta wieczorem, a nie rano. Ledwie na mnie zerknęli, skinęli głowami i wrócili do dysputy

na temat wyścigów Formuły 1. Ani towarzystwo, ani temat dnia niezbyt mi odpowiadały, miałem więc ochotę zawrócić i wyjść, ale myśl o wygwizdowie na zewnątrz sprawiła, że poczłapałem do baru i zamówiłem piwo. Tak, wiem, mówiłem o ograniczaniu, ale picia – do tego zaś służy wódka. Browar to tylko jeden ze sposobów zwilżania gardła.

– Się robi, Bobby. – Barman Chico podsunął mi butelkę negra modelo. – Zdaje się, że dzisiaj wszystkie wy aniołki specjalnej troski wracacie do gniazdka.

– Tak? A kto jeszcze poza mną?

– A co ja jestem, twoja sekretarka? Zajrzyj do małej sali.

Domyśliłem się, że mówi o Samie. Mój kumpel już raz sobie pozwolił na niebezpieczną (i według mnie bezsensowną) przyjemność zjawienia się w „Cyrklu”, witany przez resztę naszego Pokręconego Chóru jak bohater wojenny, ale za nic nie kapowałem, co miałby tu robić o tej porze. Ciarki mnie przeszły na samą myśl, i to bynajmniej nie z powodu wczesnej godziny. Wszyscy wiedzą, że Sam jest zamieszany w aferę z Trzecią Drogą, i z tego powodu nasze niebieskie szefostwo bardzo go nie lubi.

Tak zwana mała sala jest po prostu niewielką niszą po drodze do kibelka. Odgarnąłem zastępującą drzwi kotarę i zobaczyłem skulonego nad kuflem Waltera Sandersa.

Nie przesłyszeliście się: tegoż Sandersa, anioła zasztyletowanego przez nastającego na mnie (tak przynajmniej wtedy sądziłem) szaleńca akurat w chwili, gdy miał mi coś ważnego powiedzieć. Dziś

jestem zdania, że to nie ja, lecz on był celem i chodziło właśnie o to, żeby mu zatkać usta. Potem Walt zniknął bez śladu (to znaczy nie wrócił do nas w nowym wcieleniu, jak to się normalnie odbywa). Ostatni raz widziałem go w Piekło, odzianego w ciało demona i pracującego na statku handlarza niewolników. Wskazał wtedy na Anaite, jedną z moich najpotężniejszych archanielskich przełożonych, jako siłę sprawczą Trzeciej Drogi i przyczynę większości moich obecnych kłopotów. Tam też go wtedy zostawiłem – dlatego jego widok tu, „Pod Cyrklem”, w płaszczu, siedzącego nad piwkiem jak zwykły bywalec, deczko mnie zaskoczył.

– Walter! – wykrzyknąłem, padając na ławkę naprzeciw niego. – Co ty tu, u diabła... za przeproszeniem... robisz?

W pierwszym odruchu skulił się jeszcze bardziej, rozjaśnił się jednak, ujrawszy, że to ja.

– Hej, Bobby. Miło cię widzieć. Wróciłem.

– No, kurna, zauważyłem! Ale jak? Kiedy? Co się stało?

– Wciąż nie bardzo wiem. Ostatnie, co pamiętam, to jak szliśmy sobie we dwóch ulicą, potem już nic. Kiedy mnie znów wcielili, okazało się, że nie było mnie kilka tygodni! Cholernie dziwne. Trochę ciężko mi teraz... no, się pozbierać. – Zaśmiał się nieprzekonująco i zamoczył usta w piwie. – Ale fajnie jest zobaczyć znajomą twarz.

Wszystkie cisnące mi się na język pytania nagle zaczopowały mi mózg. Kilka sekund minęło, zanim przetrawiłem jego ostatnie słowa.

– Czekał no, stary. To ty nic nie pamiętasz? Od chwili, gdy cię

zaciukali?

– Nic a nic. – Pokręcił głową. – Tamten wieczór też jak przez mgłę. Kojarzę tylko, że też tam byłeś. Mam nadzieję, że nie przeżyłeś tego za mocno, Bobby. Wiem, że starałeś się mi pomóc.

Zaniemówiłem. Siedziałem i gapiłem się na niego, zapomniawszy o piwie. Co jest grane? Czyżby ktoś, kto wyrwał go z Piekła, sformatował mu twardy dysk? A może po prostu chłop się czai, za mądry, by w anielskim barze kłapać dziobem o tym, co się naprawdę wydarzyło? Odetchnąłem głęboko, zmusiłem dłonie, by przestały drżeć, i wdałem się w pogaduchę o niczym, jak to dwa znajomki przy piwie (choć kompletnie straciłem na nie apetyt). Wypiłem do połowy i oświadczyłem, że muszę już iść. Spytałem, czy przypadkiem też nie wychodzi i czy życzyłyby sobie towarzystwa, Walt jednak tylko pokręcił głową. Nie bardzo przytomnie zresztą.

– Nie – wykrztusił po chwili. – Będę z tobą szczerzy, Bobby. To mój pierwszy dzień i nie dam rady więcej gadać. Już się wcześniej widziałem z paroma chłopakami i jestem... bo ja wiem, zmęczony, nie? Naprawdę. Dokończę tylko piwo i wezwę taksówkę.

Co miałem zrobić? Przecież go nie zmuszę.

– Jak chcesz. Ale na pewno nie masz ze mną do pogadania? Niekoniecznie dzisiaj. Może być kiedykolwiek. No bo wiesz, tamtej nocy chciałeś mi coś powiedzieć.

Rzucił mi dziwne spojrzenie.

– Właściwie to jest taka jedna sprawa – mruknął. Wyciągnął portfel, chwilę w nim szperał i pokazał złożony skrawek papieru. –

Mówi ci to coś?

Była to kartka z biurkowego terminarza, a raczej jej połowa bez daty, z miejscem na notatki. Napis brzmiał:

Pomówić z D. o A. – ?

Serce zabiło mi mocniej.

– To twoje pismo? – spytałem.

– Moje. Ale to kartka sprzed śmierci i nie pamiętam, o co chodziło. Pomyślałem tylko, że to D może oznaczać ciebie. Kojarzysz coś?

Co tu kojarczyć? Sprawa oczywista: powiedzieć Dolarowi, że Anaita o niego wypytuje.

– Może i tak – odrzekłem. – Dzięki, Walt. Pomyślę nad tym. A ty się kuruj, najlepszego, stary.

Wróciłem do baru i odstawiłem opróżnioną do połowy flaszkę.

– Choryś? – Chico uniósł brwi.

– Ano, nie najlepiej się czuję – potwierdziłem.

Zgodnie z prawdą, bo wiedziałem już, że więcej z Sandersa nie wyciągnę. Cokolwiek mu leżało na wątrobie tamtego feralnego wieczoru, zniknęło wypalone, przemielone przez niebieskie młyny. Tyle chociaż dobrego, że dzięki tej notce, którą Walt tak zapobiegliwie sporządził, nim go zdjęto z planszy, nie będę już tracić czasu na wątpliwości w kwestii Anaity. Stało się jasne – w każdym razie dla mnie – że ta suka autentycznie chce mnie co najmniej

uciszyć, jeżeli nie totalnie i nieodwracalnie wykończyć. Miłe przeświadczenie, nie ma co.

Gdy wyszedłem na ulicę (żałując, że już nie palę), kątem oka dostrzegłem, jak coś wbiega pod zaparkowany samochód. Pewnie nie zwróciłbym na to uwagi, ale powrót Waltera (powiedzmy, połowiczny; jak z tą złą częścią ula, w której według Kubusia Puchatka pszczoły tylko bzyczą, a nie robią miodu) poważnie mnie rozstroił, zachowywałem się więc czujniej niż normalnie. Wolałem uniknąć zaskoczenia na wypadek, gdyby nieumarły nożownik Śmiszek znowu uznał, że jestem niedobrym aniołem. Zanim ów stwór zniknął w ścieku burzowym, zdążyłem tylko zobaczyć, że nie jest wyższy od kota. Tylko że koty nie biegają z rozcapierzonymi łapami, niemal szorując brzuchem po asfalcie. Przypominało to raczej pająka wielkości koła rowerowego. Uznałem jednak, że to tylko wytwór mojej mocno zestresowanej wyobraźni.

* Koh 9,12, tekst polski za Biblią Tysiąclecia (wszystkie przypisy od tłumacza).

Trzy

Archanielskie perfumy



Mojego brudnego łachmaniarza zobaczyłem już z daleka. Miał całą ławkę dla siebie, co mnie specjalnie nie zdziwiło. Przysiadłem się, zachowując dystans.

– Z zapachem to naprawdę utrafiłeś – zagailem.

Gdybym jeszcze miał jakieś wątpliwości, rozwiałby je nieśmiały uśmiech mojego bossa.

– Tak uważasz? Nie przesadziłem?

– Może odrobinę. – Wyprostowałem nogi i oparłem się wygodniej. Organoleptyczny kamuflaż Muła zapewniał przynajmniej, że nikt się do nas nie przyłączy i nie przeszkodzi w rozmowie. Oprócz potu i taniej wody kolońskiej wyczuwałem teraz dodatkowo dyskretny odorek nieświeżego moczu. – Przed chwilą byłem w „Cyrklu”. Jest tam Walter Sanders.

– Aha.

– Tak jest. Aha. Co się z nim stało?

– A co się miało stać? Wrócił do pracy i do normy.

– Akurat! Facet jest pusty jak wydmuszka, zero wspomnień. I obaj

dobrze wiemy, że to z mojego powodu. Bo wiedział coś o przyczynach tego wszystkiego, co mi się ostatnio przytrafiało. – Coś o Anaiście, chciałem powiedzieć; tej wiedźmie z piekła rodem, którą wszyscy inni zwą archanielicą. Temuel jednak nieraz wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że nie życzy sobie głośnego wypowiadania imion. – Kiedy ostatni raz widziałem Walta, pracował na statku niewolniczym w... no, w pewnym bardzo nieprzyjemnym miejscu. To ty go stamtąd wyciągnęłaś?

– Twoja informacja została wykorzystana. – Odpowiedź tym razem padła bez kontaktu wzrokowego. Muł udawał zainteresowanego bójką dwóch gołębi o kawałek tortilli. – Walter... to jest anioł adwokat Watriel... został przywrócony do czynnej służby. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Potrąfię rozpoznać znak „Ślepa ulica”, gdy mi go kto podetknie pod oczy.

– Dobra, to wobec tego spróbujmy z innej beczki. Skoro nie chodzi o Walta, to w jakiej sprawie szef miał życzenie się ze mną widzieć? Po co kazał mi rozwiązywać rebusy?

Muł spojrział na mnie z irytacją. Siatka fioletowych żyłek na nosie i wokół worów pod oczami była nie mniejszym majstersztykiem naturalizmu niż rozsiewana przez niego woń.

– Bo nie mogę o tym rozmawiać z tobą w Niebie, nie? Nikt mnie w ogóle nie powinien zobaczyć w twoim towarzystwie, ani tam, ani gdziekolwiek indziej. Musisz jednak wiedzieć, Bobby, że sprawy mają się źle. Pewne ważne osoby w Domu tracą do ciebie

cierpliwość.

Wciąż dziwnie było mi słyszeć, jak zwraca się do mnie moim ziemskim imieniem, choć poza Niebem rzadko używał oficjalnego. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Nie czułem się też dobrze z tym jego stylem „przełożony i protektor”, chociaż bez jego pomocy w życiu bym się nie przeszwarcował do Piekła, a już na pewno nie miałbym cienia szansy na odbicie Caz z łap Eligora. I to nie wina Muła – przynajmniej o ile wiem – że ta szaleńcza eskapada zakończyła się klapą. Nadal jednak nurtowało mnie zbyt wiele nierozwianych wątpliwości co do jego osoby.

– Jak mam to rozumieć? Co to znaczy, źle stoją?

– Po prostu źle. Nie było łatwo cię kryć podczas tej przydługiej absencji. Teraz już nie tylko twój Eforat zadaje pytania, ale i inne wysokie szarże. Pojęcia nie masz, aniele adwokacie, jak trudno jest utrzymać cokolwiek w tajemnicy przed ich świetlistościami.

Zaczynało mnie już męczyć wpędzanie w poczucie winy.

– To po co szef się fatyguje?

– Co chcesz przez to powiedzieć, Bobby?

– Zwyczajnie. Co na tym zyskujesz, archaniele? Dlaczego uważasz za stosowne kiwnąć palcem w mojej sprawie? Po co ryzykować własną duszę nieśmiertelną? Z sympatii? To byłoby dziwne, bo jakoś w nikim innym takiego uczucia nie budzę.

– A żebyś wiedział, że cię lubię. – Popatrzył na mnie jak dziadek na psotnego wnuka. – Ale oczywiście to nie jedyny powód. Karael,

Terencja, Anaita są ode mnie znacznie potężniejsi, a przecież gdzie im tam do Wysokiego Kręgu najważniejszych sług Najwyższego. Należą tylko do Trzeciej Sfery jak my wszyscy, zajmującej się jedynie Ziemią. Każdy ma kogoś nad sobą. Bobby, to sięga niewiarygodnie wysoko!

– Jasne. Kapuję. Lepiej, żeby na tych kosmicznych wysokościach nie poświęcano za wiele uwagi mojej skromnej osobie. No to co mam zrobić z tym niepożądanym zainteresowaniem? Paść na kolana i już nie wstawać?

– To nie byłby zły pomysł, przynajmniej na razie. – Temuel przybrał surowy ton proroka ze Starego Testamentu. – Postaraj się za bardzo nie wychylać jakiś czas, dobrze? Żadnych próśb o urlop. Unikaj przyciągania uwagi. I przestań się ciągle przeprowadzać, na litość boską! Przez ostatni rok kilka razy zmieniałeś mieszkanie, że już nie wspomnę o tej rundzie po rozmaitych podejrzanych motelach.

Domyślcie się chyba, że nigdy nie byłem dobry w roli układnego trybika w niebieskiej maszynie, nawet przed całą tą anielsko-diabelską rozróbą z Trzecią Drogą.

– Zatrzymywałbym się w lepszych, gdyby Niebo płaciło nam porządne pensje – odburknąłem. – Szef posłucha, ja wiem, że szef chce mi pomóc. Ale chyba wiadomo, dlaczego musiałem tak się miotać z miejsca na miejsce, nie? Pamięta szef te różne stwory, które szły na całość, żeby mnie wykończyć?

– Owszem, ale dla Nieba to bez znaczenia, bo innym adwokatom takie rzeczy się nie zdarzają. To twoja specjalność, Bobby. Jesteś

magnezem dla kłopotów i nawet ci z archaniołów, którzy chcą... którzy nie mają nic przeciwko tobie, zaczynają się zastanawiać, dlaczego akurat twoje imię tak często wypływa.

– Dobra, rozumiem. Mam nie mącić wody, nie robić nic dziwnego. Tylko że to nie ja szukam dziwnych problemów, raczej na odwrót.

– Dobrze wiesz, że chodzi o coś więcej.

Aha, teraz ton rozczarowania. Dostaję cały zestaw.

Najgorsze zaś, że Muł miał rację. Tak, przytrafiają mi się najróżniejsze wariackie przygody, ale wiele w tym mojej winy, bo zamiast pilnować własnego nosa, za często przyłazę pod dom wariackich przygód i wołam: „Hej, wyjdziecie się pobawić?”.

Głośno zaś powiedziałem:

– Bieda w tym, szefie, że stawka jest już za wysoka, żebym ot tak wycofał się z gry. Wiesz, po co się wybrałem tam, gdzie niedawno przebywałem. I dlaczego nic z tego nie wyszło.

– Nic mi nie mów. – Temuel uniósł dłonie, jakby chciał zakryć uszy. Wyglądał teraz jak *Krzyk Muncha*. – Ja tylko cię proszę: cokolwiek zamýślasz, nie pakuj się w nowe kłopoty. Bądź widoczny dla szefostwa. Siedź na tyłku, nie zmieniaj adresu i rób swoje, to znaczy wykonuj swój prawdziwy zawód. Będę ci pomagał, gdy tylko zdołam.

To rzekłszy, raptownie wstał i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Życie musiało mi się dokumentnie spieprzyć, skoro już nawet

menele odwracają się do mnie plecami.

Cztery

Za gorąco



Wnocy budziłem się dwukrotnie. Najpierw wydawało mi się, że coś stukła w szybę. Wziąłem latarkę i pistolet, tak na wszelki wypadek, ale niczego za oknem nie znalazłem. Za drugim razem nie umiałem określić, co mnie wyrwało ze snu; gdy jednak leżałem w ciemności i nasłuchiwałem, rzucił mi się w nozdrza naprawdę paskudny zapach. Jak gdyby szczur zaplątał się do kanału grzewczego i tam sobie zdechł.

Przy moim szczęściu to by w sam raz pasowało, nie?

Trzeci raz otworzyłem oczy pięć minut przed sygnałem budzika. Wstawać mi się jeszcze nie chciało, rozmyślałem więc sobie nad różnymi fatalnymi decyzjami, jakie zdarzyło mi się podjąć przez miniony rok. Potem zadzwonił telefon. Alice, oczywiście, jak zwykle w samą porę. Miała dla mnie robótkę: w dzielnicy Orchard, na zachód od Spanishtown, umarła osiemdziesięcioośmioletnia staruszka. Starczyło mi czasu tylko na przełknięcie duszkiem podgrzanej wczorajszej kawy i czułem się, jakbym miał łeb pełen mokrego żwiru.

Cóż, pewnie mogło być gorzej. Samo zlecenie nie było złe. Każdy

szczegół życia starszej pani okazał się całkiem zwyczajny, wiele uczynków godnych pochwały i około jedenastej (co stwierdziłem po powrocie z Zewnątrz) patrzyłem już, jak jej dusza odchodzi do Nieba.

Na razie nie miałem nic więcej do roboty, zatrzymałem więc wóz przy stacji linii kolejowej Amtrak w San Judas, zbudowanej na początku XX wieku w ówczesnym sercu miasta i przez co starszych mieszkańców wciąż nazywanej „dworcem”. Wszedłem do głównego holu, potrzebowałem bowiem stymulacji, a jest tam kawiarenka, którą bardzo lubię – nie z powodu jakości kawy (za takie pieniądze niezły napar można dziś dostać wszędzie), tylko dlatego, że właściciel kocha jazz i zazwyczaj leżą tam dobre kawałki.

W ogóle zresztą lubię ten dworzec, nie tylko dla kawy i ornamentalnego szklanego dachu z misternym żelaznym szkieletem, pod którym można suchą nogą przejść na sam Broadway. Gdy czasem idę jedną z wyższych galerii nad atrium i patrzę na przewijające się w dole tłumy, dziwnie mi to przypomina Niebo. W przeciwieństwie do Krainy Szczęścia Wiekuistego atmosferę w tej edwardiańskiej budowlu trochę psują krzykliwe billboardy, ale i tak mi się tu podoba. Ja po prostu zwyczajnie lubię ludzi, naprawdę. Byle nie za bardzo z bliska.

Kawiarenka nosi nazwę „U Programistów Javy”, co pewnie jest jakimś technicznym kalamburem, wybaczam jej to jednak na okoliczność muzyki. Zamówiłem średnią czarną, kanapkę z sałatką z kurczaka oraz jakieś niezziemniaczane chipsy (co się okazało błędem, którego więcej nie popełnię: smakowały jak pieczone trociny). Z

głośników leciał jakiś nowoczesny duet saksofonowy. Słuchałem, popijałem i żułem, usiłując ułożyć sobie w głowie, co mam dalej robić.

Nie zrozumcie mnie źle. Przyjemnie było wrócić do starej pracy i wieść znane, poczciwe, anielskie życie, którego już nigdy nie spodziewałem się zaznać, gdy brnąłem przez kolejne kręgi Piekła.

Z drugiej strony mogę się cieszyć tymi krótkimi wakacjami w normalności tylko dzięki temu, że cudem udało mi się uniknąć rozdarcia na strzępy, zastrzelenia i wielokrotnych prób zadźgania mnie różnymi ostrymi narzędziami przez towarzystwo, które według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze ze swojego celu nie zrezygnowało. Parę niedokończonych spraw z mojej wycieczki między diabły wciąż czekało na finisz, z czego dwie najważniejsze to moja ukochana Caz nadal więziona na Dole i Anaita, uosobienie mocy archanielskiej, której z nieznanym mi powodów cholernie zależy, by mnie definitywnie wyłączyć z obiegu – jakbym co najmniej zajął jej służbowe miejsce na dyrektorskim parkingu w Niebie.

Cały ten bajzel najwyraźniej się kręcił wokół interesu, który jej świetlistość (pod przybranym imieniem Kefasa) ubiła z wielkim księciem Eligorem, moim niedawnym oprawcą i ciemńycielem mojej ukochanej. Przedmiotem targu było utworzenie Trzeciej Drogi, eksperymentalnego miejsca wiecznego pobytu dusz, nielegalnej alternatywy dla układu Niebo–Piekło. Ów arcydemon dostał od niej anielskie pióro jako gwarancję dochowania umowy, a mówiąc wprost, jako narzędzie szantażu, żeby w razie klapy i draki trzymała

buzię na kłódkę. Piórko ostatecznie trafiło w moje posiadanie (nie pytajcie, jakim cudem, jeżeli nie macie wolnego tygodnia lub dwóch) i wróciwszy z Piekła, ja z kolei próbowałem dobić targu z Eligorem: fant w zamian za wolność Caz. Sukinsyn mnie wykiwał; odzyskał pióro, ale Casimiry mi nie oddał.

Kiedy jednak już zacząłem się poważnie zastanawiać, czy anioł może popełnić samobójstwo, mój młody koleżka po fachu, Clarence, postawił interesujące pytanie, które mnie samemu nigdy nie zaświtało: a co Eligor wniósł do układu jako własny fant? Przecież wymiana musiała być obustronna, nie? Zrozumiawszy to, znów miałem powód, by ciągnąć dalej. No bo gdyby udało mi się zgarnąć rzeczony znak Eligora – a byłem prawie pewien, że chodzi o jego róg; kiedy raz przypadkiem ukazał mi swoje prawdziwe (i naprawdę przerażające) oblicze, zobaczyłem, że jeden mu dopiero odrasta – zyskałbym niezłą pozycję przetargową. Taki zastaw musi mieć dla niego nie mniejszą wartość niż złote pióro ze skrzydła Anaity, mógłbym więc znów zażądać wydania Caz – i tym razem przeprowadzić sprawę jak należy.

Był tylko jeden szkopuł: nie miałem ani rogu Eligora, ani zielonego pojęcia, gdzie może się znajdować. Musiałem najpierw wykombinować, gdzie Anaity go zadekowała, a potem go jej wykraść. Aha, i jeszcze zrobić to tak, żeby nie tylko ona, ale i nikt z moich przełożonych się nie połapał. Ba! Żeby w ogóle nie wywączali, czym się ostatnio zajmowałem.

Łatwizna, nie?

Dojadając kanapkę i trocinowe czipsy, przyglądałem się grupce chłopców kręcących się przed salonem gier komputerowych naprzeciwko. Jeden z nich, wyjątkowo rozdokazywany, okładał kolegę wełnianym szalikiem; coś w nim przypomniało mi niejakiego pana Lisa, roztańczonego maniaka, którego poznałem we wczesnej fazie tej cholernej afery z Trzecią Drogą. Lisiu, jak sam o sobie mawiał, pomógł mi zorganizować lipną aukcję fantu, którego posiadanie wszyscy mi wmawiali, a ja nie miałem pojęcia, w czym rzecz. Oczywiście nie chodziło mi o jego sprzedaż – chciałem się tylko wywiedzieć, co ja niby takiego mam, a dzięki koneksjom Liska mogłem ściągnąć gromadę zainteresowanych świrów. Uważałem wtedy, że to świetne zagranie, lecz jak to bywa z przygodami waszego narratora, licytację rozpędził zespół kilerów z zamiarem rozstrzelania mnie z broni maszynowej, a zaraz potem ogromny babiloński prademon zwany ghallu zabrał się do złomowania mojej bryki, zanim zdążyliśmy z Samem wysiąść. Gdy już przyszedł mi na myśl Lisiu, przypominałem sobie o jego znajomościach wśród amatorów tego rodzaju egzotycznych artykułów. Logika podsuwała mi, że kto jak kto, ale taki zorientowany gość może coś wiedzieć o rogu Eligora. Może nie był to najlepszy kandydat – Lisek o złotym piórze wiedział tylko dlatego, że po paranormalnym półświatku rozniosło się, iż ktoś je arcyksięciu zwędził – mógł jednak skontaktować mnie z kimś lepiej poinformowanym. Potrzebowałem wszelkiej pomocy, bo na razie głowę miałem równie pustą jak moja opróżniona przed chwilą filiżanka (jeśli tak można nazwać to wielkie kartonowe wiadro, w jakich dzisiaj podaje się kawę).

Reasumując, może to jeszcze nie był plan, ale przynajmniej w żyłach buzowała mi kofeina i wiedziałem, jaki będzie mój kolejny krok: zapytać Lisia.

Z dworca jest tak blisko do centrum, że postanowiłem zostawić wóz na parkingu i przejść się na piechotę. Pogoda była dość przyjemna – listopad w północnej Kalifornii jest jak wrzesień w wielu innych rejonach – i nie miałem nic przeciwko rozprostowaniu kości.

Po drodze minąłem kilka podnośników samobieźnych. W Jude uliczne dekoracje świąteczne zaczyna się rozwieszać zaraz po Dniu Dziękczynienia*. Wiecie, tak na wypadek, gdyby ktoś jeszcze się nie zorientował, że pora oddać się szaleństwu zakupów gwiazdkowych, choć każda witryna sklepowa w mieście błyszczy już cynfolią i sznurami wściekle migoczących lampek choinkowych, a z głośników atakują narząd słuchu wesołe takty *Jingle Bells* i balladki o krasnonosym reniferze Rudolfie.

Centrum Jude naprawdę się rozrosło przez ostatnie dziesięciolecie. Jestem ze starej szkoły i trochę mnie to wkurza, przyznaję. Architekt miejski bardzo wprawdzie uważał, żeby nie spieprzyć najwartościowszej historycznej zabudowy, ale całą resztę przemalowano na wyraziste kolorki rodem z niemowlęcych grzechotek, zaopatrzone w jaskrawe pasiaste markizy i nawet słupy latarni były po oczach limonkową zielenią. Czasem mam wrażenie, że pół miasta zamieniło się w jedno wielkie przedszkole dla przerośniętych starszaków. To pewnie oznaka postępu. Opowiadano mi, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych okolice dworca zrobiły się mocno ponure, zajęte przez różnej maści szmondaków,

całodobowe sklepy z gorzałą i kluby ze striptizem. Może i tak, ale mieszkam tu, odkąd opuściłem szeregi jednostki specjalnej „Lira” i zostało we mnie dość romantyzmu, by powiedzieć, że wolałbym już tamtą starą wersję od dzisiejszej pieprzonej ulicy Sezamkowej. Na dobitkę chodzą słuchy, że w ratuszu chcą przemianować naszą barwną starówkę na „Dzielnicę Pionierów”. Obrzydliwość.

Zwolniwszy kroku u wejścia na Beeger Square, żeby przepuścić na skrzyżowaniu sporą rodzinę, stwierdziłem, że wciąż za mną idą zauważeni już wcześniej dwaj faceci. Teraz też przystanęli i wdali się w ożywioną dyskusję przed wystawą sklepu z artykułami dla niemowląt „Małe cuda”. Wyglądali jak para misjonarzy mormońskich: schludni biali młodzieńcy w nudnych garniturach. Niewykluczone, że byli tatusiami in spe i stąd ich zainteresowanie śpioszkaami i pampersami, ale scena wydawała się ociupinkę sztuczna, poza tym coś było nie tak z ich ubraniami i czarnymi półbutami. Gliniarze? Policja nam jakby młodnieje z każdym rokiem... A może to coś bardziej złowieszczego?

Kusiło mnie, by zwabić ich w zaułek i porządnie nastraszyć, ale kto wie, może to naprawdę tylko dwa dzieciaki rozglądające się za kimś, komu przydałoby się słowo Boże. Sterroryzować niewinnych mormonów to grzech; jeśli zaś to tajniacy, to bieg wypadków mógłby się nadmiernie skomplikować. Poza tym miałem coś do zrobienia i nie chciałem, by mnie przy tym obserwowano, wmieszałem się więc w tłum na placu, zboczyłem między barwozy zjeżdżające się tu gromadnie w porach lunchu i kolacji, pokluczyłem trochę i zamknąłem się w toi-toice. Zostałem tam kilka czarownych,

aromatycznych minut i gdy znów się wynurzyłem na świeże powietrze, misjonarzy już nie było. Pomaszerowałem więc w stronę skrzyżowania, gdzie pierwszy raz z powodzeniem wywołałem Lisia, powszechnie lubianego pasera towarów paranormalnych. Dotarwszy na róg Marshall Avenue i Main Street stanąłem przed przejściem dla pieszych, wcisnąłem guzik sygnalizacji świetlnej i udawałem, że czekam na zmianę świateł. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, narysowałem więc palcem linię w powietrzu i zmaterializowałem Zamek Błyskawiczny. Odczekałem, aż grupka przechodniów ruszy na zielonym i wysunąwszy głowę na Zewnątrz, cicho zawołałem go po imieniu.

Wtedy zjawił się niemal od razu, rozglądałem się więc usilnie. Widziałem jednak tylko znieruchomiały strumień aut, lecz ani śladu pana Lisa – a wiercie mi, że trudno takiego nie zauważyć. Wytrzymałem z minutkę i już chciałem powtórzyć wołanie, gdy kątem oka dostrzegłem jakiś trzepot po drugiej stronie Marshall: miał się tam biały kształt, jakby miniaturowy i bardzo podekscytowany duszek. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdziłem, że to macha chusteczką ktoś ukryty za drewnianym parkanem placu budowy. Musiałem poczekać na kolejną zmianę świateł, bo nawet anioł woli nie narażać swej ziemskiej powłoki na przemienienie pod kołami w godzinie przedpołudniowego szczytu, po czym ruszyłem w tamtym kierunku.

Gdy dotarłem pod zagryzmołony feerią graffiti parkan, czyjaś ręka wysunęła się ponownie, już bez chusteczki, i kiwnęła na mnie zachęcająco. Po chwili zobaczyłem znajomą sylwetkę.

Lisiu, czy jak się on tam naprawdę nazywa, wygląda jak skrzyżowanie Dicka van Dyke'a w *Mary Poppins* z prezydentem najdziwaczniejszego z japońskich teleturniejów. Nosi workowate ubrania i luźno zamotane szale, a do tego jest chyba albinosem. Pewności nie mam, bo może tylko go przypomina; nie do końca też wiadomo, czy w ogóle jest człowiekiem. Jak chcecie się wyleczyć ze skłonności do pochopnych osądów, zapraszam do pobycia jakiś czas z Bobbym Dolarem i spotkania z kilkoma jego znajomkami. Mówię poważnie. Przejdzie wam jak ręką odjął. Jeden z najfajniejszych facetów, jakich poznałem przez ostatnie kilka lat, ma trzy metry wzrostu i wbity w czerep solidny topór, do tego mordę taką, jakby jadał tylko kanapki z peklowanymi przedszkolakami, ale w gruncie rzeczy misiaczek z niego. Ma tylko pecha, że przyszło mu żyć w Piekło.

Dobra, wracamy do Liska. Od razu się zorientowałem, że coś jest nie w porządku, bo choć nie miałem wątpliwości, że to na pewno on – ta sama trupio blada skóra i żółte kocie oczy – ale tym razem nie tańczył. W każdym razie nie tak, jak zazwyczaj, z wygibasami, w nieustannym wirze ni to twista, ni to jazzu, ni *Jeziora łabędziego*. Wiecie, o co mi chodzi. Dzisiaj od żony Lota po nieudanej emigracji z Sodomy różniło go tylko nerwowe przestępowanie z nogi na nogę.

– Pan Bob! – wykrzyknął z szerokim, lecz niezbyt przekonującym uśmiechem. – Jak miło cię znów widzieć! Wielka szkoda, że nie mogę, nie mogę rozmawiać.

– Jak to nie możesz?

Rozejrzałem się na wypadek, gdyby widział coś, czego ja nie zauważyłem, ale byliśmy sami, z dala od nurtu ruchu pieszego, ukryci w cieniu rusztowań i płotu ze sklejk.

– Och, wiesz, Dolaruku. Mnóstwo pracy, mnóstwo pracy! Lisiu jest zawsze zajęty. – Powoli wycofywał się głębiej w cień. – Ale zobaczymy się naprawdę niedługo.

– Chwilunia. Muszę cię o coś zapytać. O tę aukcję we Dworze Wyspiarzy. Pamiętasz ją, nie?

– Ależ tak, ależ tak! – Lis się roześmiał, choć trochę gorzko. – Bardzo było ekscytująco. Dużo strzelania! Wcale nie przeszkadzało w interesach, panie Bobby, wcale a wcale.

– Słuchaj, mnie też jest przykro z tego powodu. Szkoda, że nie widziałeś, jak spędziłem resztę tego upojnego wieczoru. – To wtedy miałem spotkanie z tym babilońskim ghallu, który nie tylko pozbawił mnie samochodu, ale jeszcze zdemolował bar „Pod Cyrklem”, gdy tam trafił za nami. – Ale muszę wiedzieć, kto wtedy był na licytacji. A konkretniej, czy ktoś z nich byłby nadal zainteresowany tego rodzaju towarem. Nie tym fantem, który wtedy wystawiłem, ale czymś... hmm... w tym guście.

Szuranie nogami przeszło w głośnie stepowanie. Lisiu zaczął się wyginać jak ktoś, komu bardzo chce się siusiu i coraz wyraźniej zwiększał dystans między nami.

– Bardzo, bardzo przepraszam, Dolar Bob. Nic nie pamiętam! Nikogutko! Nie wiem nawet, o czym mówisz. Takie to jakieś nagle... dalekie.

– Co ty pieprzysz, Lisie? To ty mnie pierwszy zaczepiłeś, tego też nie pamiętasz? Powtarzałeś, że w każdej chwili chętnie wrócisz do współpracy.

– Och, i tak bym zrobił, wierz mi! Ale teraz? Co to, to nie. Za gorąco. Za dużo złego. Sorki, Dolarku.

– Co to znaczy za gorąco? Niby gdzie?

– Wokół ciebie. Cała ta sprawa. Pan Lisiu nie może się angażować. Za wielka na biednego małego Liska.

Nie zabrzmiało to przyjemnie.

– Po prostu powiedz mi, co wiesz.

Myślicie, że podobała mi się wizja siebie jako skazańca, którego nawet stuknięci półludzie omijają z daleka? Bynajmniej. Gdyby nie to, że od samochodu dzielił mnie marsz przez całe centrum Jude, natychmiast poczłapałbym do „Cyrkla” i strzelił sobie ze dwie pięćdziesiątki uciszacza rzeczywistości. Wolałem jednak nie ryzykować, że kolejne wezwanie do klienta zastanie mnie o piętnastominutowy spacer na trzeźwo od środka transportu, nie mówiąc już o półgodzinnym w stanie bardziej naoliwionym. Niechętnie odwróciłem się więc plecami do ściany drapaczy chmur nad zatoką i ruszyłem z powrotem na dworzec. Oczy miałem dookoła głowy, lecz nigdzie nie widziałem ani dwójki w misjonarskich garniakach, ani – za co jeszcze bardziej dziękowałem losowi – żadnych wielkich niby-pająków czających się pod zaparkowanymi wozami.

Zawsze trzeba być wdzięcznym za pozytywne drobnostki.

No i wróciłem do mojej nie bardzo podłej garsoniery w Tierra Green Apartments. Ledwo wszedłem za próg i sięgnąłem do wyłącznika, po stopie przebiegło mi coś kosmatego. Przyznaję, że w aktualnym nastroju mogłem być deczko spięty, co by tłumaczyło moją reakcję: podskoczyłem jak oparzony i zaryczałem tak głośno, że sąsiad z góry zaczął walić czymś w podłogę. Wyjaśnia to też, dlaczego nie zobaczyłem więcej niż ostatni kawałek tego czegoś, co szurnęło przez otwarte okno na schody pożarowe. Natomiast kompletnie nie rozumiałem, dlaczego to coś na parapecie wygląda jak chuda, włochata, szaro-czarna łapa zakończona skurczoną i siną ludzką, czy raczej małpią dłonią. Zanim jednak zdążyłem choćby krzyknąć ponownie, zaciśnięte na framudze palce rozluźniły chwyt i zniknęły mi z pola widzenia.

Oczywiście rzuciłem się zaraz do okna, ale nie zobaczyłem nic poza dwoma pojemnikami na śmieci, zbyt małymi, żeby mogła się w nich ukryć nawet skromnych rozmiarów mała.

Może udzielało mi się całe to wariactwo wokoło. Może to tylko przejaw szoku traumatycznego. W każdym razie tej nocy spałem z pistoletem pod poduszką.

* Święto obchodzone w USA w czwarty czwartek listopada.

Pięć

Nawiedzony dom



Poważnie, to już zaczyna działać mi na nerwy – oznajmiłem Clarence’owi znad ozdobnego menu. – I tak od kilku dni. Najpierw coś skrobie w ścianach. Mało tego, czasem dochodzi do tego smród jak z zepsutego mięsa. Miła rzecz. I w końcu ta małpia łapa czy co to tam było.

– Małpia łapa?

Clarence skubnął parę gruzełków ze swetra, gdy opowiedziałem o chudej kosmatej łapie, którą widziałem na oknie. Ostatnio zaczął trochę nadażać; ubiera się bardziej jak układny licealista niż własny tatuś na debatę w komitecie rodzicielskim. Sprawił sobie nawet całkiem cool okulary w drucianych oprawkach, pozwolił trochę urosnąć włosom i ogólnie roztaczał aurę luzaka w stylu „właśnie zszedłem z mojego jachtu”.

– Jak mówię, że łapa, to łapa, do cholery. Ręka właściwie. Nie patrz tak na mnie. Z małymi sinymi palcami i przeciwstawnym kciukiem.

– Może to był szop?

– Srop, nie szop. To zresztą nie wszystko. Dziś w nocy coś zaczęło

mi się dobijać do okna. Jak jakaś mucha gigant, wiesz, jak one się potrafią tłuc, ale brzmiało to podejrzenie mocno jak na owada. Próbowałem to złapać, ale mi się nie udało. Gdy rano sprawdziłem, na szybie od zewnątrz został jakiś śluzowaty rozmaz. Jakby przyciskał do niej pysk jakiś wyjątkowo zaśliniony zwierzak.

Młody tylko kiwał głową w milczeniu.

– Czyli prześladują cię mormoni, małpy i stworzenia z mokrymi nosami – podsumował błyskotliwie. – Jakiś upiorny buldog?

– Śmieję się, pajacu. Zobaczmy, jak będzie ci wesoło, kiedy to w twojej chałupie zaczniesz straszyć. Ale zaraz, przecież tam już straszy. Para strasznych staruszków.

Clarence, jak może pamiętacie, wynajmuje pokój przy rodzinie. U zamożnego śmiertelnego małżeństwa.

– Burt i Sheila to bardzo mili ludzie – obruszył się.

– Jestem pewien, że mój upiór to też jakiś przemiły małpolud. Dobry dla dzieci i buldogów. Ja jednak nie życzę sobie, żeby mnie nawiedzał pod moją nieobecność. Tym bardziej że Muł dopiero co zakazał mi zmieniać adres, choć byłoby to oczywiste rozwiązanie. À propos, dzięki za słowa wsparcia, Junior.

– Bobby, ja się z ciebie nie nabijam. Po prostu nie wiem, co powiedzieć. To dla mnie jeszcze nowość, wszystkie te duchy i demony. – Zapatrzył się w kartę dań, co robił dość często, odkąd usiedliśmy przy stoliku. – A skoro już mowa o nowościach, to nie mam pojęcia, co to wszystko jest. Poważnie. Czy w Indonezji w ogóle mają jakieś normalne jedzenie?

– Widzisz, dziecko, jak chcesz się kolegować z dużymi chłopakami jak ja i Sam, to musisz zacząć jadać jak duzi chłopcy. Człowieku, mieszkasz w San Judas, jednym z miast gastronomicznie najlepszych na świecie! Mamy tu na każdym rogu barobusy z gyrosem, wietnamsko-meksykańską mieszanką, a nawet goframi z kurczakiem, a o milionie restauracji etnicznych, takich jak ta, nawet nie wspomnę. Masz przed sobą, a może i za sobą bardzo długie życie pozagrobowe, więc warto się trochę otworzyć na różne różności.

– Może i warto, ale czy muszę zaczynać od kuchni indonezyjskiej? Zobacz, co jedzą przy sąsiednim stole: kamyki i korę!

– Pierwszy błąd. – Pokręciłem głową. – Przede wszystkim, nie od indonezyjskiej, tylko jawańskiej. To tylko jedna z tysięcy wysp, z jakich się składa ten kraj. Tak samo o bostońskiej zupie z małży możesz powiedzieć, że to danie amerykańskie, ale nie każde amerykańskie danie jest bostońską zupą z małży. Po drugie, ci państwo delektują się *nasi gudeg*, potrawą naprawdę smaczną. Te kamyki, jak je nazwałeś, to marmurkowe jajka na twardo i spoczywają nie na korze, tylko na musie z owoców chlebowca.

– Tak? A ta smażona ścierka?

– Bawola skóra, choć przypuszczalnie pochodzi raczej ze zwykłej krowy. Też dobra, zapewniam. Wiesz co, zdaj się na mnie. Zamówię dla nas obu, a ty postaraj się unikać hiperwentylacji.

Czekając na zamówione smakołyki, przyglądaliśmy się różnym danom przynoszonym przez kelnerów do sąsiednich stolików –

Młody miał przy tym minę, jakby zmuszano go do obserwowania pary kopulujących brzydali – a ja referowałem mu bieżącą sytuację. Przemilczałem tylko rolę Anaity; do Clarence’a jeszcze nie docierało, że można być niesubordynowanym wobec przełożonych, zwłaszcza tak wysokiej rangi, a ja na razie nie chciałem go w to wciągać. Słuchał mnie, ale widziałem, że myśli ma zaprzątnięte czymś innym. Raz po raz rzucał coś w stylu „Wiesz, Bobby...”, ale zaraz milkł, jakby w ostatniej chwili stchórzył. Nie próbowałem go ciągnąć za język; uznałem, że powie mi, o co chodzi, kiedy będzie gotów. Poza tym miałem własne zmartwienia – nie tylko dziwne odgłosy w domu, lecz także Lisia i jego jakże oczywisty strach.

– Co to w ogóle za jeden, ten twój Lis? – spytał Clarence. – Skąd się wtedy dowiedział o piórze?

– Nie wiem, ale gdy zostało skradzione Eligorowi, wieść o tym musiała się jakoś roznieść, a wyszukiwanie różnych dziwnych rzeczy dla zainteresowanych nabywców to właśnie fach tego szurniętego albinosa.

Młody zmarszczył brwi.

– Czyli to pióro było dowodem, że Kefas wszedł w konszachty z samym wielkim księciem Piekła?

– Samym to niewłaściwe słowo – sprostowałem. – Eligor Jeździec jest tylko jednym z kilku biesów z takim tytułem.

Nie dodałem, że za to jedynym, któremu pragnę własnoręcznie wydrzeć serce i zmiażdżyć je w dłoni jak dojrzały pomidor.

– Ale dlaczego tak wysoko postawiony anioł miałby się zadawać z

Przeciwnikiem?

– Ano dlatego, że w pojedynkę nikt by nie zdołał stworzyć nowego terytorium jak Trzecia Droga. Do takiego przedsięwzięcia trzeba dwojga takich znamienitości z obu stron. To wynika z samej Konwencji Tartareńskiej.

Kątem oka zobaczyłem, że z kuchni wystawiono na ladę coś, co wyglądało na nasze zamówienie, dałem więc znak kelnerowi, żeby przyniósł mi jeszcze jednego Bintanga. To jeden z gatunków piwa indonezyjskiego. Alkoholu za wiele w nim nie ma, ale czymś trzeba popić te ostre dania.

– Jasne, tyle to sam rozumiem. Tylko co go do tego skłoniło? Kefas i Eligor zawarli umowę, otworzyli nowy interes. Domyślam się też, że to... Kefasowi zależało na tym eksperymencie. Ale dlaczego miały na to pójść Eligor?

Nie uszło mej uwagi to dziwne zawahanie Młodego przed wypowiedzeniem pseudonimu Anaity. Czyżby on też żywił jakieś podejrzenia co do tożsamości owego tajemniczego anioła?

– Dobre pytanie, ale odpowiedzi nie znam – odrzekłem. – Może chciał, żeby niebieska gruba ryba miała wobec niego zobowiązanie? Takie rzeczy bardzo się przydają w rozgrywkach piekielnych na wysokim szczeblu. Nienawiść między najważniejszymi z diabłów przewyższa czasem wszystko, co czują do nas.

– A jednak jakieś to wszystko dziwne. – Mina Clarence’a zmieniła się z zawiedzionej na zaniepokojoną, gdy kelner zaczął rozstawiać przed nami mozaikę talerzy. – Zamówiłeś te kamienie! – jęknął z

wyrzutem.

– Jajka, dziecino, jajka. I nie obchodzi mnie, czy będziesz tu przymierał głodem, ale jak mi zepsujesz apetyt swoimi reakcjami, to cię walnę jednym w makówkę. Zaboli, ostrzegam.

Podczas posiłku obracałem w myślach słowa młodego kolegi. W końcu uznałem, że jeśli mam szukać rogu Eligora, to chyba warto zacząć od lepszego zrozumienia, o co chodzi w tej ich umowie.

– Może już pora pozwolić Samowi, żeby mi pokazał to swoje królestwo – wysepleniłem, ładując sobie do ust ostatnią porcję *bakmi Jawa*. – Może tam być coś, co rzuciłoby nowe światło na Trzecią Drogę. Bo na razie kompletnie utknąłem.

Skoro Sam zdezerterował dla tej idei, to znaczy, że uznał ją za szczególnie dobrą; ja jednak nie do końca rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi. Jasne, koncepcja Nieba i Piekła jest staroświecka i skostniała – czego innego się spodziewać po pomysle sprzed niezliczonych tysięcy mileniów? – nie miałem jednak przekonania, że zakładanie konkurencyjnego biznesu to najmądrzejsze posunięcie. W końcu Niebo niczego nikomu nie zapomina, a Piekło ma do dyspozycji masę prawników...

– No właśnie, a gdzie on się podziewa? – spytał Clarence. Spróbował różnych potraw, ale przeważnie tylko przesuwiał je po talerzach jak dziesięciolatek udający, że je, by doczekać się deseru. – Myślałem, że do nas dołączy.

Stolik za jego plecami zajmowała pięcioosobowa rodzina: dwie bardzo amerykańskie nastolatki, ich rodzice i starsza wiekiem

Azjatka. Dziewczyny wyglądały na równie zadowolone jak mój młody kolega; przewracały oczami, ilekroć kelner przynosił jakieś nowe danie.

– Zostawiłem mu wiadomość z zaproszeniem, ale może coś go zatrzymało – odparłem. – Nie wiem jeszcze, jak się do tego zabrać, ale muszę zdobyć ten diabli róg. To moja jedyna karta przetargowa.

Nie musiałem dodawać, że w celu odzyskania miłości mego życia. Clarence wie. Był ze mną w tym garażu, kiedy wszystko się pochrzańiło; Eligor wrócił do siebie z anielskim piórem, a ja zostałem z niczym, jeśli nie liczyć kilkunastu litrów wody z fałszywej Caz. Obaj z Samem praktycznie odnieśli mnie tego wieczoru do domu, a parę tygodni później wyciągnęli z butelki po wódce.

Dziewczęta przy sąsiednim stole zupełnie już nie zwracały uwagi na rodziców pogrążonych w cichej rozmowie prowadzonej zapewne w jednym z niezliczonych dialektów Indonezji; chichotały, piszczwały i plotkowały po angielsku.

– Komu ona chce wmawiać, że znalazła pracę po szkole! – prychnęła jedna z pogardą.

– Tak, pracę... Jako dziwka! – dodała jej siostra i obie wybuchnęły śmiechem.

Trójka starszych nawet nie spojrzała na nie. Prawdopodobnie żadne nie znało dobrze angielskiego.

Ani angielskiego, ani własnych dzieci, pomyślałem. Nie mają pojęcia, czym młodzież żyje w ojczyźnie wolności.

To mi nasunęło pewien pomysł. Zamyśliłem się i umknęła mi część wypowiedzi Clarence'a.

– ...bo jeśli ten Kefas schował fant gdzieś w Niebie, to nigdy go nie znajdziesz, Bobby.

– Nie sądzę, żeby tak było – odrzekłem, ale nadal byłem rozproszony; tym razem dało mi do myślenia wyrażenie jednej z dziewcząt. Praca po szkole. – Gdybyś miał w ręku coś, co jest własnością dygnitarza piekielnego, to Niebo byłoby dla ciebie ostatnim miejscem na kryjówkę, nie? Równie dobrze mógłbyś myśleć o schowaniu kawałka uranu w laboratorium kontroli jakości liczników Geigera.

– Myślisz więc, że Kefas zadekował róg gdzieś na Ziemi? – Clarence uśmiechnął się ironicznie. – No, to nie powinieneś mieć problemu, skoro tak zawężiliśmy obszar poszukiwań.

– Sarkazm jest jak zajęcia wyrównawcze dla upośledzonych na humorze – odburknąłem. – Wypijesz jeszcze piwo?

– Nie, dzięki. Mam później coś do zrobienia. – Junior nagle zrobił się tajemniczy. – Ale fajnie, żeśmy tu wpadli. Ta bawola ścierka była nawet niezła.

– Jesteś wzorem tolerancji, młodzieńcze. – Rzuciłem parę banknotów na ceratowy obrus. – Ja też właśnie sobie przypomniałem o pewnej robótce.

– O, to szkoda. – Młody wyglądał na rozczarowanego. – Myślałem, że jeszcze trochę pogadamy.

– O czymś w szczególności?

– Nie, tak w ogóle. – Po oczach było jednak widać, że ma na myśli konkretny temat. – Chciałem tylko... No, nieważne. Nie pali się.

– To dobrze. Bo właśnie zdałem sobie sprawę, że oprócz Liska mam jeszcze inne źródło wiadomości o aukcjach, zwłaszcza wiadomych egzotycznych fantów.

Jest kilka czynności, które sprawiają, że człowiek wygląda na zboczeńca, ale żadna nie dorówna w tej mierze wolniutkiej jeździe samochodem przed frontem katolickiego liceum żeńskiego w porze zakończenia lekcji i przyglądaniu się uczennicom. A przyglądać się trzeba uważnie, bo w mundurkach wszystkie są do siebie podobne. Wierzcie mi jednak, że miałem inny powód, by to właśnie robić.

Wypatrzyłem ją w końcu i podjechałem do krawężnika. Na moje szczęście szła sama. Nie mogłem się oprzeć podejrzeniu, że to dla niej raczej norma. Opuściłem szybę.

– Cześć! Czy mogę ci postawić koktajl mleczny, młoda damo?

Spojrzała na mnie trochę nieobecny wzrokiem, jak gdyby musiała mnie obejrzeć, zanim uzna, czy to żart, czy zagrożenie. Poprawiła okulary i rozjaśniła się w uśmiechu.

– O, pan Dolar! Cześć. Co pan tu robi?

– Już mówiłem. Stawiam ci koktajl... jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wykroisz dla mnie z kwadrans?

– Jasne. Mam wsiąść?

– E, jeszcze by ktoś to źle zrozumiał. Za rogiem, jedną przecnicę dalej, jest lodziarnia „SJ”. Tam się spotkamy.

Może niepotrzebny był ten środek ostrożności, gdyż na ulicy panował ożywiony ruch: rodzice podjeżdżali po córki. Efekt był taki, że dziewczyna dotarła do lokalu przede mną. Usiadłem naprzeciwko. Mimo młodego wieku Edie Parmenter jest jednym z najwrażliwszych mediów w północnej Kalifornii i jej praca po szkole nie ma nic wspólnego z przygotowaniem hamburgerów czy układaniem dzinsów na półkach sklepowych.

Oboje zamówiliśmy czekoladowego shake’a. Po obiedzie byłem wprawdzie syty, ale porządnego koktajlu nigdy nie odmawiam, a takie właśnie dają w „SJ”.

– Dziwne spotkanie, panie Dolar – powiedziała. – Nie to, że złe, ale... – Parsknęła śmiechem. – Po prostu w życiu bym się nie spodziewała.

– Mnie i hiszpańskiej inkwizycji. Sorki, to stary kawał.

– Znam Monty Pythona. – Edie zmierzyła mnie karcącym spojrzeniem. – Papcio ciągle rzuca cytatami.

– W takim razie sorki do kwadratu. Jak tam życie? W szkole jakoś leci?

– Dziesiąta klasa jest kompletnie do bani, ale przynajmniej internat nie jest już obowiązkowy. Muszę jednak powiedzieć, że zakonnice nie bardzo się nadają do nauczania przedmiotów ścisłych. Siostra Berenika na przykład wmawiała nam wczoraj, że człowiek wylądował na Księżycu tylko po to, by szukać tam Boga. Inna z kolei twierdzi,

że Bóg nienawidzi San Judas, bo tyłu tu mieszka gejów.

– Taak, zwłaszcza w centrum, przy sklepach z tkaninami. To prawdziwy problem dla niebios. Podobno apokalipsa ma się zacząć w Dzielnicy Pionierów.

Edie przyjrzała mi się uważnie znad szkieł.

– Kapuję. To dowcip. Geje są przecież wporzo.

– Zgadzam się z szanowną przedmówczynią. Dla mnie wporzo jest też każdy, kto wkurza zakonnice.

Przerwaliśmy dialog, bo kelnerka przyniosła nasze koktajle. Podziękowałem jej skinieniem głowy i rozpakowałem słomkę.

– Edie, chcę cię o coś zapytać. Pamiętasz, kiedy się widzieliśmy ostatnim razem?

– We Dworze Wyspiarzy? Na aukcji. Ale był horror, co? Strzelanina na całego. A pan mnie zwał z roweru.

– Pamiętna noc, trzeba przyznać. O to mi właśnie chodzi. Powiedz mi wszystko, co zapamiętałaś. Przede wszystkim zaś, kto jeszcze tam wtedy był.

Nie zawiodłem się. Dziewczyna wyrecytowała całą listę: Japończycy z sekty Crowleya, paru jezuitów, scytyjskie kapłanki (Lisiu nazwał je amazonkami, jak sobie przypomniałem) i jeszcze kilka osób. Żadne z nazwisk z niczym mi się jednak nie kojarzyło. Ogródką spytałem, czy ostatnio nie obilo się jej o uszy coś na temat diabelskiego rogu, który może mieć wartość zbliżoną do anielskiego pióra, ale od razu pokręciła głową.

– O, nie! Z tym piórem to była zwariowana historia. Nigdy przedtem o czymś takim nie słyszałam. Później też nie. – Urwała i nad czymś się zamyśliła. – Mój zleceniodawca... znaczy, ta osoba... – Zauważyłem, że stara się dyskretnie dobrać neutralne określenie, by chronić klienta. – Też zadała mi potem to samo pytanie. Kto się zjawił na licytacji.

– Nie chcę cię wpędzać w kłopoty, Edie, ale czy możesz mi cokolwiek powiedzieć o tym... tej osobie?

– Dobrze pan wie, że nie mogę. – Odmowę zaakcentowała stanowczym odstawieniem shake'a. – To źle wpływa na interesy.

– Nie, jasne. Dopij spokojnie, wszystko rozumiem. Dobra, w takim razie inaczej. Bardzo potrzebuję paru informacji, a tamta noc i amatorzy złotego pióra to idealny punkt wyjścia. Jest szansa, że twój klient zechciałby sam ze mną pomówić?

– Nie sądzę. – Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

– A wyświadczysz mi przysługę? Skontaktuj się z nim i go po prostu zapytaj, dobrze? Powiedz, że to dla mnie ważne i że mu się to opłaci.

– Bo ja wiem...

– Co ci szkodzi zapytać. Znasz mnie już parę lat, Edie. Czy kiedykolwiek cię okłamałem? Zrobiłem cokolwiek złego?

– No, raz dał pan jednemu w pysk.

– Masz na myśli tego skunksa, który próbował sprzedać relikwię Świętego Napletka? Daj spokój, to było obrzydliwe. Należało mu się.

Bądźmy sprawiedliwi: drań wystartował do mnie z kosą.

– Właściwie to było całkiem cool. – Edie zachichotała. – Jak na filmie. – Wciągnęła hałaśliwie resztkę koktajlu przez słomkę i odchyliła się na oparcie ławki, taksując mnie przez swoje grube szkła. Mogłaby uchodzić za fajniejszą siostrę Leroya „Encyklopedii” Browna. – Okej, panie Dolar. Sprawdź, co na to mój pracodawca. Jak pana łapać?

Zapisałem na serwetce numer komórki i podsunąłem jej po blacie.

– Na mnie pora, mam furę zadań z matmy na jutro. Dzięki za shake’a!

Wysunęła się zza stolika i odeszła, ciągnąc za sobą plecak na kółkach, jak zwykła licealistka, która zna starożytny akkadyjski i umie z dwudziestu metrów odróżnić prawdziwy kamień Giramfiel od udanej podróbki.

Parkowałem akurat pod mieszkaniem, gdy zadzwonił telefon. Tym razem – nareszcie! – był to mój współkonspirator Sam.

– Przepraszam, że nie mogłem wpaść na ten lunch, B. Wiesz, jak jest. Rzeczy do zrobienia, ludzie do wkurzenia. Jakieś dobre słowo?

– Dobre słowo na dzisiaj to *gudeg*, mój synu. Przeszedł ci koło nosa.

– Tak, wiem. Następnym razem.

– Ale pogadać z tobą nadal potrzebuję. Smród zaczyna tu gęstnieć, a na dobitkę w moim apartamencie ostatnio straszny.

Zrelacjonowałem mu pokrótce moje ostatnie doświadczenia

parapsychologiczne.

– Jesteś pewien, że nie zawieruszyła ci się w chałupie któraś z twoich jednonocnych partnerek? Na twoim miejscu nie spieszyłbym się z wzywaniem egzorcyisty.

– Jasne. I ty się też pieprz.

Wymieniliśmy jeszcze parę leniwych obelg i umówiliśmy się na kolejny lunch za parę dni. Włącząc po schodach na moje drugie piętro, czułem optymistycznie, że wreszcie robię jakieś postępy w rozwiązywaniu tych czterech czy pięciu tysięcy istotnych problemów, jakie wiszą mi nad głową. Potem dotarłem do mieszkania i już sięgałem do kieszeni po klucze, gdy zauważyłem, że drzwi nie są do końca domknięte.

Słyszeliście kiedyś w telewizji, jak na łodzi podwodnej bucą syreny alarmowe? Takie coś poczułem w formie dreszczu na grzbiecie. Zostawiłem klucze na miejscu i wyciągnąłem w zamian pistolet, po czym schyliłem się jak najniżej i cichutko wśliznąłem do przedpokoju.

Nie musiałem wchodzić daleko w głąb. Dwaj młodzi i bladzi znajomi w garniturach – tak jest, ci sami, którzy śledzili mnie w centrum – pracowicie zrzucali na podłogę zawartość moich tanich regałów, czyniąc nielichy bałagan. Co gorsza, zdążyli już namalować na ścianie nad telewizorem wielką krzywą swastykę.

– Nie ruszać się! – krzyknąłem, wchodząc do pokoju z wycelowaną spluwą.

Mogli mieć po dwadzieścia kilka lat. Jeden brunet, drugi jasny

blondyn, obaj biali i amerykańscy jak pierworodny Betty Crocker* i zbudowani jak sportowcy akademicy. I choć jednakowo wytrzeszczyli gały na widok mojej efenki, żaden nie wyglądał na szczególnie wystraszonego, co nie podziało na mnie kojąco. To nie byli zwykli złodzieje czy chuligani, aczkolwiek byłem prawie pewien, że są ludźmi.

– Cóż to, ciężkie czasy i świadkowie Jehowy zmuszeni są dorabiać sobie na boku? – spytałem. – Za te stare numery „Car and Driver” wiele u pasera nie dostaniecie. – Wskazałem na swastykę, nie spuszczając jednak z nich oczu. – A może reprezentujecie inny rodzaj religii. Komitet powitalny lokalnej komórki neonazistowskiej?

Brunet powoli opuszczał ręce, ale odradziłem mu to gniewnym podrzutem lufy.

– Jeśli nam po prostu powiesz, gdzie to jest – rzekł spokojnie – to się obędzie bez kłopotów.

– A jeśli wy padniecie na pyski i będziecie trzymali ręce tak, żebym je widział – odpaliłem – to się obejdzie bez odsyłania was do świętego Piotra z łbami podziurawionymi jak durszlak.

W następnej sekundzie czy dwóch wydarzyło się kilka rzeczy. Usłyszałem za plecami jakiś dźwięk, potem coś mnie solidnie grzmotnęło w potylicę. Zachwiałem się i jedyna kula, jaką udało mi się wystrzelić, poszła w bok i za wysoko. Upadłem na czworaki, czując się, jakbym zamiast czaszki miał okno samolotowe wybite na pułapie dziesięciu tysięcy metrów i wszystkie myśli wysysało mi ze świstem w ciemną próżnię. Co więcej, choć wprawdzie nie byłem w

tej chwili wiarygodnym świadkiem, przysięgłbym jednak, że swastyka na ścianie poruszyła się i uciekła.

W ciszy, jaka zapadła po wystrzale, próbując się pozbierać na nogi, usłyszałem, jak sąsiad z góry znów stuka w podłogę. Gość musi nie lubić wszelkich hałasów, czy to zbyt głośno nastawionego radia, czy kanonady. Potem ktoś kopnął mnie w to obolałe miejsce, gdzie przed chwilą miałem głowę – i odpłynąłem do jeszcze ciemniejszej krainy snów.

* Betty Crocker – zastrzeżona marka handlowa (dziś własność korporacji General Mills), powstała w 1921 r. Imię Betty wybrano jako typowo „pogodnieamerykańskie”.

Sześć

Czarne Słońce



Kiedy cię znokautują, potem odzyskujesz przytomność i stwierdzasz, że wciąż cię tłuką, to od razu wiesz, że to nie jest twój najlepszy dzień.

Dwóch mnie trzymało za wykręcone ręce. Nie widziałem ich za dobrze, bo krew zalewała mi oczy, byłem jednak pewien, że to ci wyelegantowani misjonarze – albowiem facet w czarnej koszulce, który właśnie walił mnie po ryju, był całkiem nową osobą dramatu. Muskularny, łysy, trochę ode mnie niższy, za to z łapskami jak udźce wołowe. W przeciwieństwie do tamtych wyglądał na kogoś, kto utrzymuje się z mordobicia. Zamiast zwyczajnie przemodelować mi facjatę na kotlet mielony, metodycznie obrabiał mi cały tułów, raz po raz dla przypomnienia fundując mi cios w głowę – najczęściej akurat wtedy, gdy zaczynała mi wracać zdolność logicznego myślenia. Sądząc po obfitym krwawieniu, zdążył już rozciąć mi oba łuki brwiowe, a i przegroda nosowa była zdecydowanie nie na swoim miejscu.

Przerwał, gdy zobaczył, że na niego patrzę.

– O, to teraz możemy przejść do rzeczy – powiedział zadowolony.

Łysol był zapewne lokalnym mięśniakiem. Głowy bym za to nie dał, ale miałem wrażenie, że pamiętam go z „Oyster Billa”; musiałem go tam widzieć raz czy dwa o tej szczególnej porze, kiedy sobotnia noc zdaje wachtę niedzielnemu przedświtowi. Na zakończenie serii przylutował mi solidnie w dołek, aż się zgiałem wpół.

– Jak niby... młam... mówić? – wybełkotałem, walcząc z cisnącymi się z powrotem do gardła jawajskimi przysmakami.

– Wcale nie musisz, jak nie chcesz. Wystarczy, że pokażesz. Gdzie to jest?

Jak ja zaczynałem mieć dosyć tego pytania! Nie tak dawno temu zadawał mi je z uporem maniaka żywy trup z długim bagnetem. Wtedy chodziło o pióro Anaity. Teraz, gdy już wróciło do Eligora, byłem pewien, że Łysol ma na myśli jego róg. Zaniepokoiło mnie to chyba nawet bardziej niż cały ten łomot, który właśnie zbierałem – bo skąd ktokolwiek miałby już o tym wiedzieć, skoro dopiero zamierzałem go szukać? Postanowiłem więc udać głupiego.

– Ale o co pytasz? – wykrztusiłem.

Szybki prawy prosty rozciął mi wargę, aż krew pociekła mi na koszulę.

– Nie wciskaj mi kitu. Gdzie to jest? Jedna ważna persona bardzo chce się dowiedzieć, i to możliwie szybko.

– O cokolwiek ci chodzi, nie ja to mam.

Strzelił mnie lewą z liścia, aż mi czacha odskoczyła. Gorączkowo się rozglądałem za swą spluwą; upuściłem ją zaraz na wstępie i

nigdzie nie było jej widać. Zachodziłem też w głowę, kim oni są, do czego im róg Eligora i dlaczego myślą, że znajdą go u mnie. Byłem przekonany, że są ludźmi – to zaś znaczyło, że mogą być na tyle niedoinformowani, by uważać, że naprawdę coś wiem i nie chcę powiedzieć. Przeróżająca myśl. Dwaj młodzieńcy, choć trzymali mnie z niewzruszoną determinacją, nie sprawiali wrażenia zawodowców, ale Łysol z całą pewnością był zdolny do morderstwa. Możecie mi wierzyć, nie znoszę umierać nawet w najlepszych czasach, a tym bardziej mi się to nie uśmiechało teraz, kiedy wcale nie było pewne, czy moi przełożeni dadzą mi potem nowe ciało.

Coś musiałem wymyślić, i to szybko.

Rozluźniłem mięśnie i zwisłem bezwładnie w ich rękach, tak że musieli dobrze wyteńczyć siły, by mnie utrzymać. Udając zamroczonego – co przyszło mi bez trudu – dyskretnie sprawdziłem nasze wzajemne położenie. Zauważyłem przy tym na przegubie jednego z nich niezwykle tatuaż; widoczny był tylko częściowo, lecz i to wystarczyło, by przykuć uwagę.

Miałem jednak ważniejsze sprawy na głowie.

Kiedy obaj się spięli, by mnie znów wywindować do pionu, z całej siły rąbnąłem tego z prawej obcasem w stopę, a w następnej chwili kopnąłem lewego w goleń. Zawyli unisono z bólu i puścili mnie, a ja rzuciłem się naprzód i wyrznąłem Łysego z byka w brzuch. Poleciał do tyłu, a ja robiłem, co mogłem, żeby po drodze przyłożyć mu kolanem w dziób. Nie bardzo mi to wyszło, ale łapał oddech wystarczająco długo, żebym zwiększył dystans, rzucając się

szczupakiem ku sofie. Musiałem się spieszyć, bo słyszałem, że już się zbiera. Gdybym chciał wiać z mieszkania, tobym nie zdążył. Ale nie chciałem. Chodziło mi tylko o moją pukawkę-kanapówkę.

Co, nie macie czegoś takiego? Sądziłem, że każdy ma.

Ja swoją trzymam pod siedziskami na środku, gdzie się stykają i gdzie nigdy nikt nie siada (w moim wypadku także dlatego, że rzadko kiedy miewam gości). To mój stary pocziwy SW, pięciostrzałowy rewolwer, który przenieśliem na zasłużoną półemeryturę. Trudno o bardziej niezawodną broń, no i świetnie się nadaje do zachomikowania na nagłe wypadki. Wyrwałem go z ukrycia i przetoczyłem się w bok, frontem do klienteli. Łysol był już o półtora metra ode mnie, ale znieruchomiał jak stop-klatka na widok spoglądającego mu w oczy wylotu lufy.

– Na kolana i ręce za głowę – zakomenderowałem. – Widzę, że sytuacja nie jest ci obca. – Cofnąłem się parę kroków, żeby mieć całą trójkę na oku, ale zwracałem się tylko do zawodowca. – Nie bój się, nie zacznę ci teraz oddawać. Nie jestem mściwy. Ale jeśli ty albo którykolwiek z twoich kumpli się ruszy, rozwalę ci ryło i potem będę dumał, co dalej. Jasne?

Bandzior kiwnął głową, co przy rękach splecionych na karku wyglądało jak ćwiczenie z jogi czy coś w tym guście. Razilem go wzrokiem jeszcze przez długie dwie sekundy, po czym spojrzałem na mormonów.

– Dobra, chłopaki, podwijaj rękawy. Chcę popatrzeć na wasze przeguby. Nie ten, kretynie. Drugi.

Zgodnie z moim podejrzeniem obydwaj mieli tatuaże. Teraz widziałem je dokładnie.



– Co to ma oznaczać, u diabła? – spytałem. Żaden nie odwzajemnił spojrzenia. – Dobrze wam radzę, niech któryś wreszcie mi powie, co tu jest grane i coście za jedni, zanim się naprawdę zirytuję.

Że mięśniak będzie trzymał buzię na kłódkę, mogłem się spodziewać. Najdziwniejsze, że to samo zamierzały te dwa eleganciki.

Wycelowałem w tego z prawej.

– Bo wiesz, mógłbym cię postrzelić na przykład w jaja. To by cię trochę ruszyło, chyba żeś supertwardziel. – Przesunąłem lufę na jego kolesia. – Albo wpakuję wam obu po kulce w wątrobę. Będziecie mogli sprawdzić, kto pierwszy się wykrwawi na śmierć, cały czas rozpamiętując, o ile łatwiej by było zwyczajnie odpowiedzieć na moje pytania. Tak by wypadalo, skoro włamaliście mi się do chaty i namalowaliście na ścianie pieprzoną swastykę. – Zauważyłem jednak, że malunek rzeczywiście zniknął. Czyżby to nie była halucynacja? –

A co się z nią właściwie stało, co? Starliście ją?

Dziwne, lecz obaj młodzi jakby jeszcze bardziej się wystraszyli, gdy to powiedziałem. Łysol tylko pokręcił głową.

– Oni nic ci nie powiedzą – rzekł. – To wariaci. A żeby ze mnie coś wydobyć, za mało masz przebicia.

Podszedłem do bliższego z misjonarzy, bruneta, i podsunąłem mu łufę pod samo oko. Widać było, że ma cykora, ale trzymał fason.

– To prawda, chłopcze? – spytałem. – Rzeczywiście wolisz kulę od przyjacielskiej pogawędki?

Zacisnął szczęki i milczał. Nie bardzo wiedziałem, co z nimi dalej robić. Każdy z nich miał pewnie jakiegoś gnata; lada chwila któremuś może przyjdzie do głowy jakiś bohaterski pomysł i zacznie się jatka. Zresztą nawet gdyby przyszli z gołymi rękami, też nie byłoby łatwo. Obu daleko było do Łysego, prawdziwego człowieka-demolki, ale wyglądali na wysportowanych i wcale niezdeprymowanych odwróceniem sytuacji. Porządnie ogoleni, włosy przystrzyżone wysoko jak u żołnierzy – ale jeśli nimi byli, to chyba z fińskiej brygady arktycznej albo coś w tym rodzaju, ponieważ nie widziałem ani śladu opalenizny. Bił od nich fanatyzm – i w tym właśnie problem. Im dłużej na nich patrzyłem, tym większej nabierałem pewności, że niczego z nich nie wycisnę, chyba że zadawany ból osiągnie naprawdę wysokie natężenie. Po pobycie w Piekło nie bardzo zaś chciałem się do tego uciekać – nawet w przypadku takich zbirów jak oni. Co jednak innego miałem począć? Powystrzelać ich na miejscu? I co, brać sobie na głowę kłopot z pozbyciem się trzech

trupów w centrum Jude? Niby zawsze można wezwać gliny – ale to nie byli zwykli włamywacze i mógłbym ściągnąć na siebie niepożądaną uwagę. Zadzwoić do „Cyrkla” po wsparcie? Normalnie byłby to niegłupi pomysł, ale w tej chwili wolałem unikać wciągania kumpli w moje prywatne sprawy. Nawet bardziej niż policji. Powoli doszedłem do wniosku, że zostaje mi tylko jedno praktyczne rozwiązanie.

Trzymając rewolwer o centymetr od oka bruneta (nazwałem go w duchu „Timonem”, blondyna zaś „Pumbą”), obmacałem go pobieżnie w poszukiwaniu spluwy, potem to samo zrobiłem z drugim. Ku memu zdumieniu nie byli uzbrojeni, jeśli nie liczyć pojemnika z gazem łzawiącym w kieszeni Pumby. Zarekwirowałem go i machnięciem lufy wskazałem im drzwi.

– Won z mojej chałupy i żebym was więcej nie widział, bo następnym razem bez większych wstępów przestrzelę wam mózgi. A my tu sobie porozmawiamy z waszym towarzyszem. – Przeniosłem uwagę na Łysola, który obserwował mnie chłodnym, wyrachowanym wzrokiem zaczajonego drapieżnika. – Jak skończymy, niewiele z niego zostanie, więc raczej nie czekajcie pod klatką.

Timon i Pumba spojrzeli na mnie, potem po sobie. Nie było wątpliwości, o czym teraz myślą.

– Owszem, możecie próbować – zachęciłem. – Ale macie jak w banku, że przedziurawię każdego co najmniej raz, zanim wejdziecie w zasięg. Możecie sobie być fanatykami, ale cokolwiek się wam roi, żadni z was supermani. Jeden krok w innym kierunku niż do drzwi, a

będziecie ciągnąć za sobą własne flaki.

Nie odwrócili się wystarczająco szybko jak na mój gust, zmotywowałem ich więc porcją gazu w ślepią i kopniakami posłałem ku wyjściu. Biorąc znów na muszkę Łysego, słyszałem, jak obijają się o ściany na korytarzu, a potem z tupotem, charczeniem i przekleństwami zbiegają po schodach.

– Bardzo widowiskowe – stwierdził. – Ale ze mnie nic nie wydusisz konkretnego, więc równie dobrze możesz od razu strzelać.

– Widzisz, koleś, tamtych puściłem, bo masz rację, to bez wątpienia szaleńcy. Kandydaci na męczenników. W przeciwieństwie do ciebie. – Podszedłem dwa kroki bliżej, pilnując jednak bezpiecznej odległości i celując mu prosto w mostek. Rewolwer był załadowany specjalnymi nabojami mojego kumpla i rusznikarza Orbana, w sam raz do takiej krótkolufowej broni na mały dystans. Gdyby się na mnie rzucił, narobiłyby mu niezłego bigosu. – Założę się, że ta robota to zwykłe zlecenie za kasę. Jesteś zawodowcem i nie musisz im dochować lojalności.

– Chcesz mi robić wykład? – Łysy się uśmiechnął. – Gównu wiesz o mnie i o nich. Nie masz pojęcia, dla kogo pracują i co ci ludzie mogą zrobić. To kompletnie porąbane, ale groźne towarzyszo. Sto razy wolę, żebyś mnie zastrzelił, niż żeby wzięli mnie na widelec za kłapanie dziobem.

W tej chwili z korytarza dobiegł odgłos kroków. Kiedy pchnięte przez kogoś drzwi otworzyły się raptownie, już się w tamtą stronę odwracałem pewien, że to weseli braciszkwowie wzięli się w garść i

wracają, by raz jeszcze spróbować szczęścia.

W progu stał Sam, wyraźnie skonsternowany, machając ręką przed oczami, by rozwiać wiszące w powietrzu resztki gazu.

– Co jest, B.?

Tylko tyle zdążył powiedzieć, bo w tym momencie Łysy przewrócił mnie sprytnym kopnięciem w nogi i rąbnąłem na tyłek jak na pierwszej lekcji karate. W okamgnieniu był na nogach i z biegu skoczył na Sama niczym atakujący futbolista. Mój przyjaciel, chociaż wyższy od niego i co najmniej tej samej wagi, zachwiał się pod niespodziewanym uderzeniem, stracił równowagę i wyleciał na korytarz. Łysol dopadł schodów i zniknął, zanim Sam zdołał wyciągnąć pistolet. Wybiegłem za nim najwyżej dwie sekundy później, ale był już piętro niżej, musiałem więc odpuścić. O strzelaniu nie było mowy, bo gdybym spudłował, kula mogłaby wpaść do mieszkania któregoś z sąsiadów, albo i samego właściciela.

Inna rzecz, że wkrótce nie będę już miał tu sąsiadów. Ktoś z pewnością zawiadomił już policję. Nawet w tej mało wytwornej części Jude strzelanina w budynkach mieszkalnych nie należy do zjawisk codziennych. Cóż, mój szef Temuel będzie musiał się pogodzić z kolejną moją przeprowadzką...

– Co do jasnej pieprzonej...?

Sam chwycił mnie pod ramiona i podtrzymał, bo chyba bym upadł. Krew ciekła ze mnie wszędzie jak z kropidła.

– Świetnie to ująłeś – odrzekłem. Łysol do ułomków nie należał; słyhać było, jak grzeje w dół schodami niczym stukilogramowa

kulka z bilardu elektrycznego. – Sam bym tego lepiej nie określił.

Sam pootwierał okna, by się pozbyć szczypiących w oczy pozostałości gazu, po czym uprzejmie zawinał mi w ręcznik trochę lodu na okład. Nie miałem odpowiednio dużego, żeby pokryć wszystkie posiniaczone miejsca, skupiłem się więc na twarzy. Leżałem na sofie z rewolwerem w ręku, na wypadek gdyby któryś z niedawnych gości zdecydował się na ponowną wizytę, a Sam przetrząsał kuchnię w poszukiwaniu czegoś bezalkoholowego do picia. Znalazł w końcu parę puszek ciepłego vernorsa, które trzymam specjalnie na jego użytek.

Otworzył jedną i fontanna drobnych bąbelków wleciała w powietrze jak rój rozjuszonych os. Pociągnął długi łyk.

– Ach... – Westchnął z udawanym zadowoleniem. – Imbirowe z chili. Dobrze się komponuje z twoim nowym odświeżaczem powietrza. – Przysunął sobie krzesło i usiadł przy mnie. Podał mi moją belgijską efenkę. – Znalazłem w kuchni na podłodze. Ktoś ją pewnie tam kopnął.

Streściłem mu przebieg wydarzeń i najnowsze wiadomości, nie opuszczając niewytłumaczalnych zjawisk w rodzaju skrobania, pajaków gigantów i bezcielesnych małych łap.

– A skoro już mowa o dziwnych zajściach... – dodałem na koniec. Nie chciałem wyjść na podejrzliwego paranoika wobec najlepszego przyjaciela, ale czas, jaki wybrał na odwiedzinę, mógł budzić różne skojarzenia. – Co ty tu robisz, do diabła?

– Byłem akurat w mieście, a że mieliśmy się spotkać na obiedzie,

to... – Urwał zainteresowany wzorem tatuażu moich mormonów, który właśnie rysowałem z pamięci na odwrocie menu chińskiej jadłodajni na wynos. – To mieli wydzierane? Pierwszy raz widzę. Wygląda na orientalne. Może hinduskie?

– Może. Tylko że oni wysławiali się jak miejscowi studenci, a ubrani byli jak faceci podróżujący czarnymi helikopterami.

– Trzeba przyznać, Bobby, że masz dryg do zawierania ciekawych znajomości. Tylko czemu wszyscy chcą cię zabić na pierwszej randce? – Sam zmarszczył brwi, przyglądając się rysunkowi. – Musimy tego poszukać w necie.

– Już bym to zrobił, gdybym wiedział, co wpisać w Google. Niestety, nie znam nazwy, ale mam inne źródło informacji. – Zrobiłem komórką zdjęcie tatuażu i wysłałem mejlem do mego przyjaciela George’a, ksywka Tłuszcioch, urodzonego badacza. – Tylko, kurde, on jeszcze przez kilka godzin nie będzie człowiekiem – jęknąłem, spojrzawszy na zegar.

– Nie bądź hejterem. Ty i ja od lat nie jesteśmy ludźmi.

– Och, wiesz, o czym mówię. Do wieczora nic nie działa.

Mój naczelnny detektyw internetowy za dnia jest świnią (to wcale nie taka powszechna przypadłość, jak twierdzą niektóre singielki).

– Co nam szkodzi poczekać. Miałeś jakieś plany na popołudnie, kolego? Gębę masz jak surowe mielone, a sądząc po oddychaniu, poszło ci parę żeber. Zalecałbym łóżko, okłady z lodu, a ja zorganizuję jakieś żarcie. – Podniósł ulotkę z menu. – Może coś z „Radosnego Buddy”?

– Azjatyckie już dzisiaj jadłem. – Obmacałem szczękę, nie bez paru jęków. – Ale weź sobie, na co masz ochotę. Ja co najmniej do jutra zostanę na diecie płynnej.

Około jedenastej zorientowałem się, że nie pamiętam nic z tego, co Sam do mnie mówił przez ostatnie pół godziny. Cholernie potrzebowałem snu i ledwo mogłem utrzymać głowę w pionie. Powiedziałem mu, że nie musi mnie pilnować całą noc.

– O nie, staruszk. Zostaję. Przecież tamci mogą wrócić, B.

– Jak chcesz. Ale ja się nie ruszam z tej kanapy, bo nie mam ani jednej kości całej. Możesz się kimnąć na moim łóżku.

Sam wstał i poszedł zbadać stan mojej skotłowanej, nie wiem, kiedy ostatnio pranej pościeli.

– Raczej nie – orzekł po powrocie. – Prześpię się w wozie.

– Nie bądź baba. Po prostu zgarnij wszystko na bok i weź z szafy śpiwór. Może nawet znajdziesz jakieś czyste prześcieradło i koc. Chociaż wątpię.

– Dobra, śpiwór jest w sam raz. Chyba nie będzie gorzej niż w paru podłych spelunach, gdzie wypadło mi nocować. – Wsunął głowę do sypialni i krzyknął: – Tylko nie traktujcie tego jak wyzwania, wy różne dziwne organizmy bytujące w tym syfie, który mój przyjaciel zwie łóżkiem!

– Pieprz się, Sammy. – Naciągnąłem koc pod brodę, ale daleko mi było do zrelaksowania. Bardzo chciało mi się wódki, nie zamierzałem jednak prosić mojego kumpla abstynenta, żeby mi nalał. Zrobiłby to,

naturalnie, wolałem jednak zwlec się z kanapy i sam sobie przynieść flaszkę. – Nie budź mnie pod żadnym pozorem. No chyba że trąby zagrają na Sąd Ostateczny.

Nie było mi jednak dane pospać tak długo. Przed północą wyrwał mnie z objęć Morfeusza dzwonek komórki.

– Cześć, panie Dolar. To ja, Edie. Mówił pan, żeby zadzwonić. Chyba nie jest za późno?

W tej chwili moja głowa czuła się jak doniczka zrzucona z trzeciego piętra, cóż więc mogłem odpowiedzieć?

– Nie, Edie, w porządku.

– To świetnie. Doktor Gustibus zgodził się z panem porozmawiać.

– Kto?

– Doktor Gustibus. Wie pan, ten gość, dla którego pracowałam we Dworze Wyspiarzy. Powiedział, że może pan do niego wpaść. Ma pan długopis? Podyktuję, jak tam dojechać.

Z sypialni dochodziło spokojne pochrapywanie Sama. Wyplątałem się z koca i obniosłem swoją pulsującą bólem makówkę po mieszkaniu, szukając czegoś do pisania.

– No to nadawaj.

Gdy Edie skończyła i się pożegnała, długo jeszcze wpatrywałem się w zapisany świstek, usiłując dopatrzeć się w nim jakiegokolwiek sensu. Potem złożyłem go i schowałem do portfela. Dowlokłem się do sofy i osunąłem znów w senne majaki, w których bohaterowie kreskówek kolejno tłukli mnie różnymi dziwnymi przedmiotami po

głowie. Nie wiedziałem, że stary Disney aż tyle ich powymyślał.

Kurde, ależ to była długa noc.

Siedem

Kraniec świata



Telefon zbudził mnie ponownie za piętnaście piąta. Miałem klienta. Alice pracuje w biurze miejskim, odkąd jestem aniołem. Działa sprawnie i skutecznie (wiecie, na zasadzie „bajzel ogólny, ale chociaż pociągi jeżdżą punktualnie”), lecz ma głos zdolny oskrobać z łusek i godności osobistej nadpobudliwego warana z Komodo. Powierzając jej stanowisko naszej dyspozytorki, ktoś tam w Domu wykazał się raczej trzeciorzędnym poczuciem humoru.

– Czy ty nigdy nie sypiasz? – spytałem.

– Nie mogę – padła odpowiedź. – Sen z powiek spędzają mi wyrzuty sumienia, że muszę budzić takie skacowane męty jak ty.

Widzicie? Ta kobieta wprost ocieka anielską słodyczą.

Śpiący na wznak Sam wyglądał jak wyrzucony na plażę mors i wydawał pomruki całkiem jak to sympatyczne zwierzę. Wziąłem szybki prysznic, starając się nie wrzeszczeć wniebogłosy, kiedy gorące mydliny zalewały wszystkie moje skaleczenia i otarcia, po czym zadzwoniłem do Tłuściocha, by sprawdzić, co nowego na froncie internetowym.

– Brydzionek, panie D.! – George przywitał mnie nader wesoło jak na kogoś, kto lada chwila znów zamieni się w bezmózgą bestię w ludzkim ciele. – Właśnie wysyłam ci te rzeczy, o które pytałeś.

– Dzięki, George. Coś interesującego?

– Nic ponad twoją normę dziwaczności. Ten rysunek to Sonnenrad, koło Słońca, nazywane też Czarnym Słońcem. Od dawna ulubione przez różnej maści europejskie nurty rasistowskie. Za Hitlera zaanektowali je okultyści z SS i powiązali z niektórymi czarnymi rytuałami. Oczywiście dzisiejsi neonaziści także je uwielbiają. Jest nawet pewna bardzo wredna grupa, Fakcja Czarnego Słońca, która właśnie od niego przyjęła nazwę. Nie ma w sieci za wiele na jej temat, ale to, co jest, brzmi złowieszczo.

– Fajnie. Poczytam sobie przy okazji. Wystaw mi rachunek.

– Nie ma sprawy, już to zrobiłem. Zbieram na to nowe szwedzkie oprogramowanie do czytania ruchów gałki ocznej. Sterowanie głosem to już przeżytek, działa zbyt wolno i za często się myli.

Tym, którzy nie pamiętają lub jeszcze nie wiedzą, wyjaśniam od razu, żeby nie było nieporozumień: George Noceda – przynajmniej w tym wcieleniu, z którym rozmawiałem – nie radzi sobie z klawiaturą komputera, bo zamiast dłoni ma racice. Z tej prostej przyczyny, że jest świnią, a ściślej mówiąc, świniolakiem. Nocami knurem z ludzkim umysłem, od świtu do północy człowiekiem z rozumem knura. Jak do tego doszło, długo by tłumaczyć; niech wam wystarczy, że oszwaabiło go Piekło.

– Mam nadzieję, że się sprawdzi w działaniu, kolego.

– Miło z twojej strony, panie B. Lepiej się już rozłączę, bo dnieje.
Vaya con Dios.

– I ty, stary.

Współczułem chłopakowi. Nie życzyłbym takiego przekleństwa nawet Donaldowi Trumpowi, a w końcu George Tłusćoch jest od niego o wiele miłszy.

Klientką okazała się pani Eileen Chancy, miła staruszka, która zmarła w szpitalu Sequoia godzinę przed moim przybyciem. Gdy przeszedłem na Zewnątrz, czekała na mnie cierpliwie, wcale niezaskoczona tym, co się dzieje, z wyjątkiem tego, że nie mam skrzydeł.

– Jeszcze nie zasłużyłem na nie – mruknąłem. Odpowiedź trochę się mijiała z prawdą, ale za to była prosta i zrozumiała.

– Na pewno wkrótce zasłużysz, młodzieńcze. – Ścisnęła mi dłoń.
– Masz przyjemną twarz.

Aha, czyli śmierć nie poprawiła jej wzroku. Podszedłem do sprawy z zaangażowaniem, ale niewiele było do roboty. Pani Chancy nie miała na koncie nic szokującego, prokurator był praktycznie nowicjuszem i postawił jej tylko bardzo oględne zarzuty, cała procedura więc zajęła najwyżej pół godziny.

Kiedy już jej dusza i sędzia zniknęli, zostałem sam na sam z adwersarzem. Jeśli nie liczyć białek oczu, ów demon (znany pod czarującym imieniem Łajnoczłapa) wyglądał jak wyrzeźbiony z ogromnego czerwonego winogrona. Przyglądał mi się z nieskrywanym zaciekawieniem.

– Słyszałem o tobie, Doloriel – zagaił.

– Nie dziwota. Jak się ludzie nudzą, prędzej czy później zgadają się o mnie.

– Poważnie. Niektórzy z naszych bardzo cię nie lubią. Wiesz, snują względem ciebie plany. Na twoim miejscu zmieniłbym zawód.

– Na moim miejscu twoi kołesie wykończyliby cię już wiek temu.

Gdy Łajnoczłap głowił się nad tym zagadkowym stwierdzeniem, wyszedłem. Bałem się, że jeszcze poprosi mnie o autograf albo co.

Gdy wróciłem do domu, była siódma trzydzieści. Wredna pora dla każdego zdrowego na umyśle faceta, a już zwłaszcza dla kogoś, kto jak ja składał się z tak wielu obolałych części. Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i rozejrzałem się uważnie, zanim wysiadłem. W holu natknąłem się na sąsiadki, dwie młode kobiety z mojego piętra. Widzieliśmy się parę razy, lecz nie zamieniliśmy ani słowa. Musiały być parą, bo jakoś nigdy nie spotkałem żadnej w pojedynkę. Jedna była wysoką, smukłą brunetką, druga tylko nieco niższa, rudowłosa i imponująco muskularna, nie sprawiając przy tym wrażenia wielkiej. Ubrane były jak na poranną przebieżkę. Zrobiłem im przejście, lecz ruda na mój widok przystanęła, gapiąc się na moją fizys.

– Och, a z wami *wsio garazdo*? – spytała, chyba po rosyjsku. – Jest pan porządny?

Domyśliłem się, że chciała powiedzieć „w porządku”.

– Tak, dziękuję. Napadli mnie.

– Boże *mij!* – wykrzyknęła i powiedziała coś niezrozumiałego do

koleżanki, która pokręciła głową posepnie.

Popatrzyły na mnie ze współczuciem i poszły w swoją stronę.

– Uważaj na siebie! – rzuciła przez ramię czarnowłosa, która też najwyraźniej nie wyssała angielszczyzny z mlekiem matki.

Sama nie zastałem, poszedł zbawiać świat albo kupić piwo imbirowe. Próbowałem trochę odespać, ale byłem na to zbyt spięty – nie mówiąc już o tym, że czaszka i żebra zachowywały się jak przepuszczone przez prasę hydrauliczną – wstałem więc, połknąłem garść ibuprofenu i przeczytałem wskazówki podyktowane nocą przez Edie Parmenter. Jej zleceniodawca, doktor Gustibus, mieszkał daleko za miastem, na wybrzeżu po drugiej stronie wzgórz, co mi jednak nie przeszkadzało; przyda mi się czas na przemysłenia.

Jadąc w kierunku najbliższego wjazdu na autostradę, zadzwoniłem do Alice i poprosiłem, żeby na kilka godzin zdjęła mnie z grafiku, bo mam prywatne sprawy do załatwienia.

– Jak zwał, tak zwał – odrzekła. – Ja bym uczciwie powiedziała, że chcę sobie poleżeć martwym bykiem w domu, gapić się na mecz i walić konia, ale niech będzie po twojemu.

– Wiesz, Alice, za żadne skarby nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie tak często opisują cię jako zjadliwą jędzę.

Odłożyła słuchawkę, nim dokończyłem zdanie. Zjadliwa i do tego źle wychowana.

Lubię jazdę samochodem, szczególnie kiedy nie muszę się martwić, że mnie wezwą do roboty. Pojechałem Woodside

Expressway w nadbrzeżne góry, delektując się majestatem lasu. Słońce stopniowo odzierało strzeliste dęby i sekwoje z welonu porannej mgły. Dzień może nie był cudowny, w każdym razie jak na kalifornijską normę, ale dostatecznie przyjemny. O tej porze roku złociste październikowe światło nabiera miedzianego odcienia, a w grudniu przechodzi w srebrzystość. Tego dnia pogoda była jeszcze rozmaślona, ale powietrze skrobał już wyraźny pazurek zimy; chłodne ukłucie śmiertelności, jakie może poczuć nawet anioł i od jakiego drży się nawet w pełnym słońcu.

Slalomując wśród wzgórz, zrobiłem podsumowanie.

Anaita weszła w układ z Eligorem i (najprawdopodobniej) przypieczętowali go czymś w rodzaju glejtu gwarancyjnego: pióro za róg. Eligor chwilowo postradał swój fant, ale ma go z powrotem, i to dzięki mnie, klaunowi z anielskiego cyrku. (Tak się czasem nazywam, bo powiedzenie, że co minutę rodzi się frajer, rozciąga się także na życie pozagrobowe – czego jestem wiecznie żywym dowodem).

Jednakże róg, druga pieczęć na umowie, nadal pozostaje ukryty.

Jakby z tym nie było dość zabawnie, do gry weszła spółka neonazistów z kryminalistami, którym z nieznanых pobudek też bardzo zależy na tym rogu, a przy okazji mnie się obrywa, gdy tylko znajdą wolną chwilę. Nie miałem pojęcia, jakie jest ich miejsce w tej aferze, ale i złote pióro też wzbudziło wielkie zainteresowanie, kiedy udawałem, że je mam (nieświadomy, że to akurat prawda) i chcę opylić najwyżej licytującemu. Niewykluczone, że wśród oferentów

byli także frontmani lub współnicy Czarnego Słońca. Miałem nadzieję, że mocodawca Edie powie mi coś więcej o tych organizacjach i w tym celu warto się tłuc aż na wybrzeże. W przeciwnym razie wrócę do punktu wyjścia – a tam nie ma nic poza jedną wielką pustką.

Gdy pokonałem grzbiet pasma, mgła przeszła w mżawkę. Włączyłem wycieraczki i wsunąłem płytę do odtwarzacza – jednego z nielicznych ulepszeń, na jakie sobie pozwoliłem w moim wiekowym datsunie. Blues Charliego Pattona przeprowadził mnie przez deszcz do światła; jadąc na północ autostradą numer jeden, miałem już niebo błękitne (acz gęsto nakrapiane bielą) nade mną i asfalt błyszczący pod kołami. Ocean przybrał barwę stalową; przybój musiał być niezły, gdyż w zatokach stało sporo samochodów, a na plaży widziałem sylwetki surferów z deskami.

Według wskazówek od Edie miałem „przed Zatoką Półksiężycy skręcić w lewo przy latającym koniu”. Żałowałem ponieważ, że nie kazałem jej uściślić danych, bo teraz nie wiedziałem, czy chodziło jej o jakąś restaurację, nazwę ulicy czy prawdziwego Pegaza. Zbliżając się do zatoki, na wszelki wypadek zwolniłem. Na szczęście było dopiero parę minut po dwunastej; później po południu widoczność znacznie się tam pogarsza, gdy słońce schodzi nad ocean i zaczyna świecić prosto w oczy. Minąłem parę restauracji i barów o malowniczych nazwach, żadna jednak nie miała nic wspólnego z końmi, ani skrzydlatymi, ani zwykłymi. Znalazłszy się parę mil na południe od pola golfowego, zacząłem poważnie myśleć o odwrócie – tym bardziej że znów zaczęło padać. I wtedy to zobaczyłem.

Rzeczywiście, był tam koń i miał skrzydła. Namalowany czerwoną farbą na szyldzie dawno nieczynnej stacji benzynowej i słabo widoczny, bo przewrócony i oparty o drzewo z dziesięć metrów od jezdni, do połowy skryty w krzakach. Aż się zdziwiłem, że nikt go jeszcze nie świsnął i nie sprzedał jakiemuś kolekcjonerowi.

Stanowa jedynka na tym odcinku przestała zasługiwać na dumne miano autostrady, zamieniwszy się w zwykłą jednopasmówkę, którą nie trzeba jechać kilometrami do najbliższego zjazdu. Skręciłem przy koniu w gruntowy trakt, którego normalnie bym nawet nie zauważył: dwie piaszczyste koleiny z grzebieniem trawy pośrodku. Dróżka wiodła nad ocean, wijąc się przez eukaliptusowy starodrzew. Intensywna woń wdzierająca się przez otwarte okna sprawiała, że czułem się jak w największej na świecie butelce syropu od kaszlu. Po kilkuset metrach droga zaczęła piąć się w górę; zbliżałem się do szczytu wysokiego cypla, gęsto porośniętego lasem iglastym. Nigdzie nie było widać zabudowań.

Dotarłszy na skraj płaskowyżu, przekonałem się jednak, że droga się tam nie kończy. Zwężała się tylko jeszcze bardziej i serpentynami podążała w dół. Po którymś kolejnym wirażu las się urwał i przez prawe okno ujrzałem, że jestem na szczycie stromego klifu, omywanego daleko w dole spienionymi falami przyboju. Dopiero wtedy ujrzałem przed sobą wciśnięty w zbocze dom, zwrócony fasadą ku wodzie. Od szosy całkowicie odgradzała go ściana drzew.

Na pierwszy rzut oka niczym szczególnym się nie wyróżniał: zwykła dwupiętrowa willa o białych ścianach i dwuspadowym dachu. Dopiero z bliska zobaczyłem, że posiadłość jest znacznie większa, niż

się wydawała, i stoi na niej więcej budynków, w tym paręnaście małych domków – chatynek właściwie – przycupniętych szeregami na stoku poniżej drogi.

Zatrzymałem wóz na żwirowym podjeździe. Innych aut nie było; miałem nadzieję, że nie oznacza to, iż pan Gustibus właśnie wybrał się do Pescadero po skrzynkę karczochów lub czegoś w tym rodzaju, a ja będę musiał powtórzyć tę wycieczkę kiedy indziej. Było zimno; nic tu nie chroniło mnie przed jesiennym wiatrem znad Pacyfiku, postawiłem więc kołnierz marynarki i załomotałem ciężką żeliwną kołatką.

Już myślałem, że wykrakałem z tymi karczochami, kiedy ktoś w końcu otworzył drzwi. Zobaczyłem wiekową kobietę w długiej workowatej czarnej szacie i płaskim toczku z welonem odsłaniającym tylko owal twarzy. Patrzyła na mnie z takim zdziwieniem, jakby rzadko miewała okazję widzieć kogokolwiek.

– Przyjechałem zobaczyć się z doktorem Gustibusem – wyjaśniłem. – Nazywam się Bobby Dolar.

Skinęła głową. Zająłoby jej to tyle czasu, że w połowie przemknęła mi myśl, by ją naoliwić.

– Proszę za mną – powiedziała i odwróciła się.

Jeszcze jedna z wschodnioeuropejskim akcentem. Co jest? Tydzień Amatorskich Inscenizacji Ulubionych Ponurych Horrorów czy co? Przegapiłem jakieś ogłoszenie?

Facetka w czerni poprowadziła mnie przez krótki hol. Zapukała do drzwi i otworzyła je, po czym odsunęła się, by mnie przepuścić.

Pokój robił wrażenie. Nie architektonicznie; pod tym względem był po prostu wielki i wyglądał, jakby ostatni raz robiono cokolwiek przy jego urządzeniu dobre sto lat temu. Chodzi mi o książki. W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Wszystkie ściany na całej długości – a mówimy o pomieszczeniu z grubsza piętnaście na osiem metrów – były wyłożone półkami aż pod niezwykle wysoki sufit (byłem pewien, że ta komnata ciągnie się w górę przez dwa piętra). Wzdłuż regałów gęsto rozstawione były drabiny; niektóre eleganckie i przesuwane na kółkach, inne wyglądające jak prowizorka sklecona dla celów spławiania czarownic. Centralne miejsce zajmował ogromny stół rodem z klasztornej refektarza, też zarzucony tomami – podobnie zresztą jak inne meble. Nieliczne miejsca wolne od ksiąg wypełniały inne rzeczy: kości, słoiki, malowane kamienie. Widać było, że część woluminów jest bardzo stara, ale ogólnie pokój sprawiał wrażenie, jakby jakieś drugorzędne muzeum wpadło tu kiedyś na chwilę i zwymiotowało.

W przeciwległym rogu, przy słabym ogniu w kominku wielkim jak moja sypialnia – w takich chyba kasztelani piekli całe woły dla swych rycerzy – stał człowiek ubrany w coś, co w pierwszej chwili wziąłem za biały fartuch laboratoryjny, a po bliższych oględzinach okazało się luźną szatą w stylu wschodniego guru.

– Doktor Gustibus, jak sądzę? Kłaniam się. Jestem Bobby Dolar. Edie Parmenter chyba uprzedziła pana o mojej wizycie?

Guru starannie założył stronę wielkiego tomiska, zamknął je i z namaszczeniem odstawił; dało mi to dość czasu, by mu się lepiej przyjrzeć. Gustibus z pewnością był jedną z ciekawszych postaci,

jakie ostatnimi czasy widywałem (to znaczy poza Piekłem, gdzie gra w „ciekawę” idzie o wysokie stawki). Wysoki i szczupły, przypominał Christophera Lee w średnim wieku. Długie siwe włosy nosił związane w kucyk, a podbródek zdobiła mu rzadka kępka równie białego zarostu.

Spojrzał ku drzwiom, gdzie wciąż czekała czarna staruszka, i głosem weterana teatru, z precyzyjną dykcją powiedział:

– Dziękuję, siostrze.

– Siostrze? – spytałem zaskoczony. Czarna dama wyglądała na zbyt starą, żeby mogła być jego babcią. – To pańska siostra?

– Nie. – Obdarzył mnie uśmiechem, który można by wrzucić do whisky zamiast lodu. – Siostra Filotea jest, a raczej była zakonnica. To skomplikowane. Dla nich wszystkich. – Wyciągnął do mnie długą bladą rękę. – Jestem doktor Karl Gustibus. A pan jest Doloriel. Długo czekałem na to spotkanie.

Dwie bite sekundy minęły, zanim dotarło do mojej mózgowicy to, co powiedział, ale skutek był taki, jakby Łysol znowu przywalił mi w dołek.

– Do... Doloriel? Przepraszam, ale... ja się nazywam Bobby Dolar.

– Tak, panie Dolar, wiem. – Lodowaty uśmieszek nie zniknął mu z warg, czy miał jednak jeszcze zimniejsze i odległe jak gwiazdy w księżycową noc. – Pańska... druga tożsamość jednak też nie jest mi obca. I podejrzewam, że znam powód pańskiej wizyty. Ostatnio miał pan drobne nieprzyjemności ze strony Nieba, prawda? – Uśmieszek

zgasł, ale ciepłej się od tego nie zrobiło. – Znając zaś niektóre osoby dramatu, nazwałbym to nawet sporymi kłopotami.

Muszę przyznać, że zapomniałem języka w gębie, a to nie zdarza mi się często. Chwyciłem więc za spluwę.

Osiem

Mózg staje



Wycelowałem efenkę w pierś gospodarza. W głowie wyły mi syreny alarmowe. Wyszło na to, że wlałem w jakąś pułapkę jak największy anielski żółtodziób w Obozie Syjon, jakiemu kiedykolwiek dowcipny podoficer kazał szukać prawideł do aureoli.

– Pan wybaczy – powiedziałem uprzejmie. – Kim pan jest, do ciężkiej i kolczastej cholery, i skąd pan ma takie informacje?

Obawiam się, że nie zabrzmiało to tak chłodno i profesjonalnie, jak bym chciał, jeśli więc jesteście moimi biografami, proszę to odpowiednio wyretuszować.

Gustibus nie cofnął się ani nawet nie zdenerwował, potraktował jednak pistolet poważnie. Skonstatowałem to z ulgą, jako że co najmniej połowa sukinsynów, których ostatnio brałem na muszkę, specjalnie się tym nie przejmowała. Tak już pewnie jest, gdy się zadajesz z demonami i świrami.

– Pan będzie tak miły i skieruje tę broń gdzie indziej – powiedział.
– Nie jest tu potrzebna.

– Powtórzę pytanie tylko raz – odparłem. – Skąd pan zna to imię?

– Znam wiele imion. To moja praca. – Zatoczył ręką łuk, wskazując tysiące książek zalegających wszędzie i gniazdujących na półkach jak mewy na nadmorskim urwisku. – Można powiedzieć, że jestem badaczem, jak pański przyjaciel George Noceda, którego interesuje wszystko, co mogą knuć siły piekielne. Różnimy się tylko tym, że ja poświęcam czas na studia nad Niebem i tymi, którzy nim rządzą.

Wie o mnie i o George’u Świniołaku. Co to za jeden? Nic z tego nie rozumiałem, ale też nie mogłem tak mu wymachiwać lufą przed nosem, skoro nie wykazywał żadnych morderczych skłonności. Zabezpieczyłem efenkę i wsunąłem do kieszeni.

– Wierzę panu, doktorze. Ale proszę mówić dalej.

– Już od jakiegoś czasu chciałem pana poznać. Gdy Edie zameldowała mi, że i pan domaga się spotkania, uznałem to za zrzządzenie losu.

Ciarki mnie przeszły.

– A czemu zawdzięczam takie zainteresowanie?

– Nie spieszmy się tak. – Gustibus minął mnie i podszedłszy do okna, zapatrzył się na ocean. – Czy Edie coś o mnie opowiedziała?

– Ani słówka. Tylko pana nazwisko i jak tu dojechać.

– Dobra dziewczynka.

Nie wiedziałem, co na to odrzec, więc tylko mu się przyglądałem.

– To jak, udzieli mi pan jakichś informacji na temat aukcji we Dworze Wyspiarzy? – spytałem w końcu. – Po to tu jestem.

– Och, jeśli tylko o to panu chodzi, z przyjemnością to zrobię. Ale mogę powiedzieć znacznie więcej. Może spoczniemy?

W komnacie nie było wyznaczonego miejsca do siedzenia, tylko parę krzeseł rozstawionych zapewne losowo, też zawalonych starodrukami i różnymi dziwnymi eksponatami. Doktor zgarnął stos książek z najbliższego, przełożył je na inne i gestem zaprosił mnie, bym usiadł.

– Na mnie proszę nie czekać. Ja nigdy nie siedzę.

Nie przywykłem, by ktoś tak regularnie wyskakiwał z tekstami, od których odbiera mi mowę. Usiadłem bez słowa.

– Słucham zatem.

– Jak powiedziałem, z radością opowiem panu wszystko o uczestnikach licytacji anielskiego pióra, choć jestem zaskoczony, że pan sobie ich nie zanotował.

– Och, sytuacja zrobiła się trochę nerwowa – odparłem, przypominając sobie żołnierzy Eligora i nader dynamiczny debiut gorącego jak samo Piekło rogatego giganta zwanego ghallu.

– W porządku. Wobec tego, by okazać dobrą wolę...

Dalej posypały się nazwiska wszystkich obecnych na aukcji, w tym kilka osób, o których Edie zapomniała, każde z elementarnym streszczeniem biografii. Żadne z nich nie nasunęło mi jednak nowych pomysłów co do ewentualnego miejsca ukrycia rogu Eligora, zapytałem więc doktora o Fakcję Czarnego Słońca.

– Trochę o nich słyszałem – powiedział. – O ile mi wiadomo,

wszyscy są śmiertelnikami, ale w najpaskudniejszym wydaniu. Przypisuje się im kilka morderstw, niezliczone podpalenia, napady rabunkowe i inne przestępstwa. To fanatycy polityczni bardzo niebezpiecznego gatunku. Nie byli jednak obecni we Dworze Wyspiarzy ani w żaden sposób z tą sprawą powiązani. Najprawdopodobniej.

– A co pan powie o Lisku? Pan Lis, organizator licytacji. Wie pan o nim cokolwiek? Kim jest? Albo czym?

– Jestem prawie pewien, że dokładnie tym, za kogo... lub za co się podaje. – Gustibus uśmiechnął się lekko. – Lisem.

– Hmm... Czy chce pan przez to powiedzieć, że uważa go pan za niezwykle przebiegłego osobnika, czy może naprawdę jest małym, podobnym do psa drapieżnikiem z puszystą rudą kitą?

– Nie zwykłym lisem, lecz leśnym duchem. Pochodzi z Japonii, ale pan wie, jaki to przeludniony kraj. Sądzę, że przybył tu przed kilkunastu laty.

– Japoński duch animistyczny, który robi za pasera dóbr paranormalnych w centrum Jude? – Wzruszyłem ramionami. – Dlaczego nie. W niczym ostatnio nie można się dopatrzeć sensu, czemu więc Lisiu miałyby być wyjątkiem?

Musiałem mieć łatwą do odczytania minę, gdyż doktor znów się uśmiechnął.

– Ale, jak sugerowałem, mogę panu przekazać bardziej użyteczne informacje, panie Dolar. Zwłaszcza w pańskiej obecnej sytuacji. To co, potargujemy się?

– Potargujemy?

– No, w końcu jestem kolekcjonerem, nie dobroczyńcą. Nie rozdaję niczego darmo.

Poprawiłem się na krześle tak, by w razie czego móc szybko wyciągnąć broń.

– A czego by pan chciał w zamian? Niech zgadnę... Pięć liter, pierwsza D, druga U, ostatnie S-Z-A.

Gustibus pokręcił głową z taką miną, jakbym puścił bąka.

– Panie Dolar... Nie stoję po tamtej stronie. Właściwie po żadnej, choć obie mają nade mną większą władzę, niżbym chciał. – Wziął z parapetu gruby foliant, otworzył i pokazał mi na wyciągniętych rękach. Stronica była pokryta pajęczyną linii i drobniutkimi notatkami. – Proszę podejść bliżej, żeby pan lepiej widział.

Przesunąłem krzesło może o metr, wciąż niepewny co do jego intencji; na wszelki wypadek wolałem nie wchodzić mu w zasięg. Nie, żeby doktor Gustibus wydawał się szczególnie niebezpieczny – przeciwnie, wyglądał jak chuda buddyjsko-druidyjska wersja świętego Mikołaja – był jednak słusznego wzrostu, a sądząc po ruchach, umiał być szybki w razie potrzeby.

Zmrużyłem oczy, bo od książki dzielił mnie jeszcze dobry metr.

– Wygląda to na plan San Judas.

– Nawet więcej. To mapa całego półwyspu na południe od San Francisco, aż do Alviso. Rozpoznaje pan któreś z nazwisk?

Bardziej przymrużyć powiek już się nie dało, rzęsy zasłaniały mi

widok. Chcąc nie chcąc, musiałem się poddać i wstałem. Mapa była podzielona niebieskimi liniami na małe fragmenty. Tuż nad centrum Jude, pośrodku arkusza, widniała niebieska nalepka z napisem „Loża masońska” i dopiskiem „(Obecnie bar Pod Cyrklem)”. Niżej znajdował się spis osób zaczynający się od Nahebaroth – prawdziwego imienia mojej byłej od czasu do czasu dziewczyny, Moniki Naber – i zawierający na oko ze trzydzieści pozycji, w tym Samariela i Doloriela, a jakże. Podniosłem wzrok na gospodarza, sam zdziwiony, jak szybko mi serce bije.

– Figurujemy tu wszyscy. – Staralem się mówić spokojnie.

– Oczywiście. To wynik wieloletniej pracy. Jeśli spojrzysz pan na imiona odnotowane przy barze „Izba Przyjęć” na Parade Street, zauważysz pan, że zbierają się tam wasi przeciwnicy.

Spojrzałem. Na nagryzmołonej czarnym długopisem liście odcyfrowałem paru znanych mi demonów, głównie spośród prokuratorów. Był na niej nawet Łajnoczłap, mój fan z porannej rozprawy.

– Nie rozumiem. Co to wszystko jest?

– Jak to co? Historia, panie Dolar. Niektórzy ludzie spędzają całe życie na badaniu jedynie bitwy pod Bosworth Field czy Maratonem. Inni wybierają szerszą perspektywę i poświęcają się dziejom całych kampanii: wojen peloponeskich, napoleońskich i tak dalej. Zmagania, które mnie fascynują, są stare jak świat i wciąż trwają. Specjalizuję się w wojnie między Niebem i Piekłem.

– Jest pan historykiem?

– Poniekąd. Niewielu badaczy zajmuje się tą dziedziną i wszyscy mamy do zrobienia więcej, niż ośmielamy się marzyć. Jednakże niedoskonałość adeptów nie oznacza, że dana dyscyplina może się obyć bez wysokich standardów naukowych.

Cóż to za persona, ten Gustibus? Zaciekawiał mnie coraz bardziej. Nigdy o nim nie słyszałem, a przecież gość ewidentnie nie działa od wczoraj. Czy w ogóle jest człowiekiem?

– Czego więc może pan chcieć ode mnie? – spytałem.

– No, informacji, ma się rozumieć. – Doktor był naprawdę zaskoczony. – Czegóż by innego? Bardzo rzadko miewam okazję rozmawiać z prawdziwym uczestnikiem tej odwiecznej walki. W zamian za odpowiedzi na moje pytania mogę pomóc panu znaleźć to, czego pan szuka.

– A skąd pan może wiedzieć, czego szukam?

Odłożył foliał na parapet, wziął dzwoneczek na drewnianym trzonku i potrząsnął nim parę razy.

– Ja dużo wiem, panie Dolar. I o pańskiej waśni z Eligorem Jeźdźcem, i o ostatnich kłopotach z... bądźmy dyskretni... pewnymi towarzyszami broni. Zapewniam, że w mojej metodologii nie ma nic złowieszczego. Po prostu wynajduję sam lub skupuję informacje. Częściowo w postaci tego oto księgozbioru, ale także dane dostępne wyłącznie dzięki nowoczesnej technice. – Wskazał na bardzo porządny komputer stacjonarny ustawiony na końcu stołu. – Nie jest to jednak tylko zbieractwo. Ja to wszystko studiuje.

Drgnąłem, gdy otworzyły się drzwi. Weszła inna stara zakonnica

(odróżniłem ją od siostry Filotei tylko po odmiennym nakryciu głowy, z welonem bardziej przylegającym do twarzy).

– Siostró Kasjo, poprosimy o jakiś poczęstunek dla gościa i dla mnie – zaordynował Gustibus.

Staruszka kiwnęła głową i chwiejnie poczłapała z powrotem jak stworzenie tylko częściowo ożywione przez szalonego naukowca. Byłem zbyt oszołomiony, by wymyślić jakikolwiek sensowny komentarz do rewelacji gospodarza, spytałem więc tylko:

– Co to za historia z tymi wszystkimi zakonnikami?

– Gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym kupowałem tę posiadłość, mieścił się tu rosyjski klasztor prawosławny. Sam budynek był już zdekonsekrowany, ale z jakichś przyczyn politycznych i innych wiele siostr nie miało dokąd odejść. Tym, które wyraziły takie życzenie, pozwoliłem tu pozostać. Pomagają mi w domu, zajmują się ogrodem. Jesteśmy prawie samowystarczalni, jeśli chodzi o żywność. Przez te wszystkie lata przyjęliśmy kilka nowicjuszek, ale większość pierwotnego składu już powymierała. Ze wspólnoty liczącej prawie sto osób do dzisiaj zostało zaledwie kilkanaście.

Kupił w czterdziestym siódmym? Prawie siedemdziesiąt lat temu? Sam nie wyglądał na starszego niż sześćdziesiąt kilka. Kim jest ten facet? Nie wyczuwałem w nim Piekła, ale to nic nie znaczy. Prawie nigdy nie wyczujesz diabła, jeśli sam tego nie zechce. Może Gustibus jest jak mój kumpel Orban, który utrzymuje, że żyje już kilka wieków, bo nie ma zamiaru umrzeć.

Cóż, w moim fachu spotyka się najróżniejszych typów.

Siostra Kasja wróciła nadspodziewanie szybko, niosąc na tacy dzbanek wody z lodem, dużą kiść winogron, trochę chleba i klin białego sera.

– Proszę spróbować – zachęcił doktor. – Sami go wyrabiamy z mleka własnych kóz.

Z grzeczności odłamałem kęsek – faktycznie był wyśmienity – i nalałem sobie szklankę wody. Zjadłem kilka winogron i wróciłem na krzesło.

– Jeżeli dobijemy targu, jakich informacji pan by ode mnie oczekiwał? Bo widzi pan, doktorze, wcale się nie znamy, a mówiąc uczciwie, jest wiele rzeczy, o których nie mogę lub nie chcę mówić. Nawet gdybyśmy zjedli beczkę soli.

Zawierzyć komuś takiemu? Nie do końca jeszcze ufam Clarence'owi, choć to kolega anioł i Sam go lubi.

– Nie żądam nazwisk. Jak pan widział, zdobywam je z innych źródeł. Nie mogę się jednak z nich dowiedzieć, jak to jest być aniołem Pańskim. Chciałbym zadać pytania o pańskie osobiste doświadczenia, o codzienność, charakter zajęć. W zamian za to obiecuję pomoc... a może nawet umożliwić zlokalizowanie pewnego unikatowego rogu, którego pan poszukuje.

Była to jego pierwsza wzmianka o rogu Eligora i zarazem pierwsze konkretne potwierdzenie, że tym właśnie fantem wszyscy się żywo interesują. Świadomość, że się nie myliłem, przyniosła mi ulgę; zwlekałem jednak z odpowiedzią, bo podzielenie się moimi planami z

kimś dopiero co poznanym byłoby równoznaczne z wskoczeniem nie tyle na kruchy lód, ile na luźną krę.

– Rogu, powiada pan. A pan wie, gdzie coś takiego może być?

– Nie. Ale mogę podsunąć kilka sugestii, które zaoszczędziłyby panu sporo czasu.

– Jakich mianowicie?

– No, to by nie było w porządku, gdybym pierwszy pokazał panu karty. – Znów ten uśmiech Królowej Śniegu. Gość się najwyraźniej dobrze bawi. – Chyba znajdziemy sposób, by pomóc sobie nawzajem?

Zaczynałem go nawet lubić, choć do zaufania droga jeszcze była daleka. Wiedział o mnie i innych aniołach rzeczy, o których większość ludzi nie ma najmniejszego pojęcia.

– A jest szansa, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o panu, doktorze? Skąd pan pochodzi, od jak dawna się pan tym zajmuje i tak dalej.

– Wiele wody upłynie, panie Dolar, zanim pan sobie na to zapracuje. Ale może pewnego dnia...

– Dobra, zagramy więc na razie według pana reguł. To może zacniemy ode mnie, a potem pan coś rzuci od siebie. I tak już poleci. Ping-pong.

– Doskonale. W takim razie proszę opowiedzieć coś z własnego życia. Jak to było, obudził się pan najpierw w Niebie, czy od razu tu na Ziemi?

Wyłożyłem mu więc podstawy angelologii stosowanej, zaczynając od pierwszych wspomnień, gdy ocknąłem się po Drugiej Stronie, poprzez historię szkolenia w Obozie Syjon z sierżantem Leo w roli głównej, i kończąc na pierwszych latach pracy adwokata. Zatrzymałem się w bezpiecznej odległości od obecnego bajzlu, nie napomykając nawet o Eligorze, mojej wyprawie do Piekła ani oczywiście o Caz. Oszczędnie gospodarowałem imionami i nazwami miejsc i ogólnie malowałem obraz szerokim pędzlem, by tak rzec, ale trzymałem się prawdy. Przynajmniej w znanej mi wersji. Gustibus nie robił notatek, czułem jednak, że zostawia to sobie na później i że niewiele mu umknie z pamięci.

– Bardzo dobrze – rzekł, gdy skończyłem. – Dużo ciekawych rzeczy. Wiem oczywiście o Obozie Syjon, ale dotąd nie nadarzyła się sposobność dowiedzieć się czegokolwiek o Jednostkach Kontrataku od kogoś, kto służył w jednej z nich. – Uśmiechnął się, lecz niezbyt pogodnie. – Rozmawiałem za to z kilkoma osobami, które trochę ucierpiały z ich rąk. Przypomina pan sobie może starcie z siłami piekielnymi nad zatoczką Guadalupe Slough? Zdaje się, że właśnie pański oddział, „Lira”, brał w niej udział.

– Gang szmuglerów miał tam magazyn, tośmy go rozwalili. Paskudna bitwa. Ale to było kilka lat przed moją służbą.

– Zgadza się. Miałem okazję poznać pewnego dżentelmena o nazwisku Eduardo Stayner, w pewnych kręgach lepiej znanego jako Lodołap. Podrzędny demon. Siedział w celi śmierci w więzieniu Folsom za udział w nieudanym napadzie, w którym zginęli dwaj ochroniarze z firmy Brinks. Ponieważ wiedział, że po komorze

gazowej dostanie nowe ciało i wróci do tej samej pracy, czuł się swobodnie i chętnie mi opowiedział o Guadelupe Slough. Podczas ataku wasz lochagos Leo strzelił mu w twarz, co się seniorowi Eduardo bardzo nie podobało i długo chował urazę. Rana się zagoiła, ale blizna rzeczywiście została okropna.

– Serce mi się kraje.

– To samo wtedy pomyślałem. – Doktor uśmiechnął się ciepłej. – Bardzo nieprzyjemny typ. Ale to był mój pierwszy żywy kontakt z prawdziwym żołnierzem Przeciwnika, ponieważ zaś jestem dobrym słuchaczem, wyjawiał mi znacznie więcej, niż zamierzał.

– Ciekawe... poniekąd. – Ale nie na takie ciekawostki miałem nadzieję, kiedy pan obiecywał mi pomoc.

– Ciekawsze, niż pan sądzi. Tak się składa, że wiele z tego, co chcę panu przekazać, pochodzi właśnie od Lodołapa, choć większość potwierdziły mi także inne źródła.

Gustibus wciąż stał – najwyraźniej naprawdę nie miał zwyczaju siadać – i podszedłszy do okna, oparł się na parapecie. Morze pociemniało pod gęstniejącą pokrywą chmur. Dopiero teraz zauważyłem, że spod szaty hipsterskiego mnicha wystają mu bosa stopy.

– Proponuję jeszcze szklanekę wody, panie Dolar – powiedział. – Kolej na moje opowieści.

Rada okazała się dobra, gdyż przez następne kilka minut dowiedziałem się rzeczy, od których nie tylko mózg staje, ale i w ustach robi się pustynnie sucho.

Dziewięć

Buddyjsko-druidyjska Gwiazdka



Z tego, jak pan mówi o San Judas Tadeo, wnioskuję, że kocha pan to miasto, panie Dolar – rzekł Gustibus.

– Doprawdy? – zdziwiłem się.

Nikt mnie jeszcze nie oskarżał o podobne sentymenty. Owszem, mam pewną słabość do Jude, ale to uczucie z gatunku tych, jakie można żywić wobec ojca kochającego, lecz przy tym alkoholika, przez którego ciągle coś się w domu pali.

– To oczywiście. Problem jednak w tym, że nie patrzy pan z szerszej perspektywy.

– Proszę mówić, doktorze. Zamieniam się w słuch.

I znów ten błady uśmieszek. Zaczynałem rozumieć, że to nie wyraz chłodu ani wyniosłości, lecz raczej coś w stylu „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Nadal nie miałem pewności, czy rozmawiam ze zwykłym śmiertelnikiem.

– No to zaczynamy. Wyjaśnię to na przykładzie. W połowie dziewiętnastego wieku, w szczytowej fazie gorączki złota, San Francisco było magnesem dla awanturników i poszukiwaczy fortuny

z całego świata. W tym zacnym gronie wyróżniał się między innymi pewien szuler i okazjonalny właściciel baru... tytuły własności takich przybytków przechodziły z rąk do rąk w niezliczonych grach... zwany Kubą Portugałem. Cieszył się sławą groźnego rewolwerowca; od jego colta z perłową rękojeścią zginął niejeden przeciwnik. W końcu przerzucił się na hurtowy handel alkoholem i szybko zbił ogromny majątek. O wyuzdanych przyjęciach w jego posiadłości na Nob Hill krążyły legendy.

– Zamieniłem się w słuch, ale jakoś nie widzę, do czego pan zmierza.

– Cierpliwości, panie Dolar. Może podsyca pańską ciekawość informacja, że ów Portugał był nie tylko mistrzem rewolweru i szalonym rozpustnikiem, lecz także doskonałym jeźdźcem.

– Jeźdźcem, powiada pan?

– No właśnie. Tak czy owak, Kuba Portugał zniknął z horyzontu podczas wielkiego pożaru w tysiąc dziewięćset szóstym. Nie pojawił się już nigdy więcej, ale większość jego aktywów trafiła w końcu do niejakiego Cyrusa van Leydekena, powszechnie zwanego „Majorem”, zasłużył się bowiem podobno przy oblężeniu Fortu Canosa podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Po wojnie zajął się handlem bronią, zamiast jednak założyć biuro w San Francisco, wybrał małą, lecz rozwojową miejscinę San Judas.

– Czy przypadkiem ten major Jakmutam nie był również świetny w siodle?

– Radził sobie niezgorzej – przytaknął Gustibus. – Na pewno zaś

był pasjonatem hodowli. Jeden z jego koni był o włos od wygranej w Preakness, a jego ogiery dały początek wielu liczącym się stadninom. Van Leydeken zbudował wielką rezydencję na kilkuset akrach wzgórz w dzisiejszym parku Atherton i został jednym z założycieli nowoczesnego San Judas. Umarł w latach trzydziestych. Tak przynajmniej mówiono. Jego syn Jasper, podówczas rzekomo przebywający za morzami, wrócił w rodzinne strony i przejął schedę. Był uderzająco podobny do ojca z czasów młodości. Van Leydeken Drugi rozbudował rodzinny majątek wielokierunkowo. Zainwestował między innymi poważne środki w rodzący się przemysł lotniczy i w dziedzinę, która wiele lat później rozrosła się w Dolinę Krzemową. U schyłku życia wszedł też w spółkę z instytucją finansową Vald Family Trust, która to nazwa z pewnością nie jest panu obca.

– Znam ją jak zły szeląg.

– Po odejściu Van Leydekena firmą zarządzali prawnicy obu rodzin, po czym ostatecznie przejął ją Kenneth Vald. Jednym ze stworzonych przezeń imperiów jest korporacja Vald Credit, po dzień dominująca w miejscowej gospodarce.

– Innymi słowy, mój najmniej ulubiony arcydemon Eligor Jeździec operuje w tych stronach co najmniej od półtora wieku. Dobra, przyjęte do wiadomości. Tylko co to niby dla mnie oznacza?

– To, że zadaje pan wprawdzie właściwe pytania, ale na sprawę trzeba spojrzeć szerzej. I bardziej historycznie. Ja sam się zastanawiam... – Gustibus zrobił pauzę. – Dlaczego Eligor akurat San Judas wybrał na swą bazę. Ma kilka innych tożsamości i tak samo

gigantyczne majątki w innych częściach świata, ale nieproporcjonalnie dużo ziemskiego czasu spędza właśnie tutaj. Wyjaśnienie może być najprostsze pod słońcem, jak chociażby nasz wspaniały klimat... w końcu większość epoki renesansu przemieszkała w podobnej pod tym względem Italii... podejrzewam jednak, że chodzi o coś więcej. Nadal jednak nie potrafię powiedzieć, co naprawdę go tu ciągnie. Jego i paru innych demonów.

Staralem się jakoś to wszystko ogarnąć, muszę jednak przyznać, że zamiast mądrzejszy, czułem się po tych rewelacjach coraz głębszy.

– No dobrze, ale co...

– Co to ma wspólnego z panem? Zaraz do tego dojdziemy, panie Dolar. Najpierw wyłóżmy na stół jeszcze kilka nazwisk. Chodzą słuchy, że ostatnio uwagę Nieba mocno zaprzęta sprawa tej parweniuszowskiej Trzeciej Drogi. Jak pisał William Blake, gil w klatce budzi gniew niebios. Najwyraźniej budzi go także budowanie nowej klatki dla ptasząt, które pańscy mocodawcy, przynajmniej w większości, uważają za swoją własność. Nas jednak interesuje ta garstka, której to nie gniewa. – Doktor nalał sobie wody, lecz nie podniósł szklanki do ust. – Niewykluczone, że tylko dlatego wciąż pan się miota w poszukiwaniu odpowiedzi, iż stoi pan zbyt blisko problemu.

– To znaczy...?

– To znaczy, że trzeba nabrać dystansu. Zarówno historycznie, jak i pod innymi względami. Inaczej nie zrozumie pan sytuacji. W tej chwili czuje pan przed pewnym wrogiem strach jeszcze większy niż

przed Eligorem... zgadza się?

Skurczybyk naprawdę dużo wie.

– Powiedzmy, że tak – odrzekłem.

– Ściśle mówiąc, chodzi o jednego z eforów, którzy oceniają pańską postawę. Wysoko postawionego archanioła.

No, no... Coraz lepiej. Gość musi mieć doskonałe źródła.

– Nie powiem nie. Domyślam się też, że umiałyby pan nazwać ową osobistość.

– Myślę, że tak. To Anaita, Anioł Deszczu.

Zaniemówiłem w przesądnym odruchu, jak gdyby samo wymówienie jej imienia mogło sprawić, że się przed nami nagle pojawi.

– Proszę mówić dalej – wykrztusiłem w końcu.

Czułem się, jakbym z wolna tonął w szaleństwie. Ten dziwny człowiek, o którego istnieniu do wczoraj nawet nie wiedziałem, mówi o sprawach i wydarzeniach z mojego życia, o których żaden zwykły śmiertelnik nie powinien wiedzieć. To tak, jakbym otworzył ciasteczko z wróżbą i zamiast zwykłych horoskopowych ogólników przeczytał: „Szef wyśle cię z delegacją do Houston, najmłodszemu dziecku potrzebna jest wizyta u dentysty, a w czwartek otrzymasz zwrot nadpłaconego podatku w kwocie trzystu czterech dolarów”.

– I w tej kwestii nie ma pan dostatecznie szerokiej perspektywy. Co pan wie o tym archaniele?

– Tyle co nic. – Wzruszyłem ramionami. – Jest potężna i bardzo

wiekowa.

– No to dam panu jeszcze coś pod rozwagę. – Gustibus wreszcie wypił starannie odmierzony łyk zimnej wody. – Anaita nie zawsze była aniołem.

– Że co proszę?! To znaczy, że kiedyś była tylko człowiekiem? Śmiertelnikiem?

– Tego bym nie powiedział. Ale na długo przedtem, nim została zaliczona w poczet aniołów, była boginią.

– Czym? Pan oczywiście żartuje. Boginią? Jak władczyni wulkanów Pele czy coś w tym guście? Co, u diabła, ma to w ogóle znaczyć?

– Świat istot nieśmiertelnych jest znacznie bardziej skomplikowany, niż może pan sobie wyobrazić. Ona miała wiele imion, ale pod tym, którego obecnie używa... Anaita, czy raczej Anahita... występowała także w starożytnej Persji, gdzie oddawano jej cześć boską.

Nie wytrzymałem. Musiałem wstać i przespacerować się po komnacie. Wystarczająco źle jest mieć przeciwko sobie możnego archanioła, ale boginię?

– Jak się awansuje z bóstwa na anioła? – spytałem. – Czy to w ogóle można uznać za awans?

Gustibus wyjął i znów wciągnął policzki. Powtórzył to kilkakrotnie i już się spodziewałem usłyszeć jego zew godowy, ale dotarło do mnie, że szanowny doktor się śmieje.

– A to dobre, panie Dolar! Przepyszne. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, mogę jednak z całą pewnością stwierdzić, że istota dziś znana jako Anaita z Trzeciej Sfery była ongiś Anahitą, boginią deszczu i płodności. Naturalnie od tamtych czasów minęło ładnych kilka tysięcy lat. Na pewno się pan orientuje, że wielu arystokratów piekielnych uważano kiedyś za bogów lub boginie. Jak i dlaczego rzeczona Anaita zmieniała barwy klubowe, jeśli wybaczy mi pan tę analogię, do dzisiaj pozostaje niewyjaśnione, choć mam wielką nadzieję, że któregoś dnia rozwikłam i tę tajemnicę.

– Okej, w takim razie jestem w jeszcze gorszym szambie, niż sądziłem. Nadal jednak nie bardzo rozumiem, w jaki sposób ta wiedza mogłaby mi pomóc.

– Wykazał się pan iście anielską cierpliwością, panie Dolar. Proszę słuchać dalej. To, czy ona jest boginią, czy aniołem, nie ma większego znaczenia. Jest, czym jest. Ta wiedza, jak to pan określił, rzuca tym jaśniejsze światło na fakt, że ma pan do czynienia z istotami nieśmiertelnymi lub prawie nieśmiertelnymi. Musi pan przestać myśleć w kategoriach ludzkich.

– Cóż, jestem przekonany, że sam kiedyś byłem człowiekiem. Może w tym tkwi przyczyna.

– Na pewno. – Gustibus zbył moją uwagę machnięciem ręki. – Musi pan jednak myśleć o tych pytaniach bez odpowiedzi, albowiem co najmniej jedno z nich może panu pomóc w rozwiązaniu najbardziej palącego problemu. Pierwsze dwa: komu była potrzebna ta Trzecia Droga? I dlaczego? Kolejne jest równie ważne: skoro

Anaita i Eligor sprzymierzyli się w celu jej zbudowania... co przyjmujemy za pewnik, gdyż w przeciwnym razie nie miałyby pan kłopotu z piórami i rogami... to jak ta współpraca została zaaranżowana? Nie zapominajmy, że ci dwoje są jakby ministrami dwóch wojujących państw, z tym że ta wojna między ich rządami ciągnie się od zarania dziejów. Jedno nie mogło zwyczajnie odwiedzić drugiego w jego gabinecie. Gdyby ktokolwiek ujrzał ich oboje w jednej okolicy i czasie, wzbudziłoby to nielichy szumek i na tym, i na tamtym świecie.

– Chce pan powiedzieć, że jakkolwiek zawarli umowę, najprawdopodobniej nie zdarzyło się to z nienacka.

– Otóż to. Którerekolwiek wyszło z tą inicjatywą, musiało działać nadzwyczaj ostrożnie. Co by było, gdyby źle ocenili kandydata? Konszachty z nieprzyjacielem to po obu stronach ciężkie przestępstwo. I tu się rodzi następne pytanie, na które odpowiedź może nam pomóc w rozwikłaniu poprzednich zagadek. Kto właściwie zarządza Trzecią Drogą?

– Z tego, co wiem od przyjaciela, właśnie Anaita. A raczej Kefas, bo tak mu się przedstawiła. Ani razu nie słyszałem, żeby wspomniał o kimś innym. O Eligorze w ogóle nie było mowy, z czego wnioskuję, że cały projekt to jej dzieło. Z tego zaś wynika, że to ona musiała wyjść z tą propozycją, a nie on.

– O, teraz pan rozumuje właściwie. – Doktor pokiwał głową. – Pamiętajmy, że choć to nieśmiertelni, to jednak tu, na Ziemi, ich moc jest ograniczona. Nie mogą po prostu strzelić palcami i sprawić, że

stanie się to czy tamto. W każdym razie niezbyt często i nie bez poważnego wydatku własnej energii. Z tego powodu są skłonni korzystać z usług lokalnych. Jak na to wpadłem, że Kuba Portugał, Cyrus Van Leydeken i Kenneth Vald to jedna i ta sama osoba? Proste. Poszedłem tropem pieniędzy, panie Dolar, i wyszło mi, że nazwiska się wprawdzie zmieniały, lecz forsa, dzięki której kolejni właściciele mogli tak świetnie prosperować w naszym świecie, pochodziła z tego samego źródła. Od samego początku, czyli odkąd odkryłem pierwsze ślady Eligora na ziemi kalifornijskiej. Teraz musimy podążać innym tropem, również ukrytym, lecz tak samo widocznym dla logiki, który ostatecznie doprowadzi nas do Anaity, a może nawet do rozwiązania pańskiego problemu. – Gustibus upił łyk wody. – Ale najpierw moje kolejne pytanie. Chyba że jeszcze nie zdołałem pana przekonać o mojej przydatności.

– Przeciwnie, doktorze. Niech pan strzela.

Był to jeden z najdziwniejszych dni, jakie przeżyłem na Ziemi, ale wreszcie zaczynałem rozumieć metodę działania tego człowieka i chciałem więcej. Nigdy nie myślałem, że arcyksiążę Eligor mógł przebywać w Jude od tak dawna; zdałem sobie sprawę, że takich rzeczy jest pewnie całe mnóstwo.

Przesłuchanie potoczyło się gładko; krok po kroku Gustibus wy dobył ze mnie (wciąż lekko zredagowaną) historię mojego ostatniego roku, włącznie z opisem zwady z Eligorem, ale z wyłączeniem wątku Caz i eskapady na Dół. Niewiele z tego, co mówiłem, było dlań zaskoczeniem; gdy się coś takiego trafiało, kiwał z aprobatą głową, a przy większych niespodziankach wtrącał:

„Naprawdę?” lub „Zdumiewające!”. Najczęściej mu się to zdarzało, gdy słuchał o moich perypetiach z Eforatem.

– Wspaniale! – zakonkludował po ostatnim pytaniu. – To prawdziwa przyjemność rozmawiać z naocznym świadkiem takich wydarzeń.

– To znaczy, że nigdy nie był pan w Niebie?

– Moje informacje pochodzą z innych źródeł. – W oczach doktora zagościł prawdziwy żal. – Owszem, spotykałem się już z niejednym aniołem, ale były to tylko bardzo ogłędne konwersacje, w których wymienialiśmy się pojedynczymi, oderwanymi wiadomościami. I wie pan co? Mam nadzieję, że kiedyś powtórzymy taką sesję, pan i ja.

– Niewykluczone – odrzekłem.

Od czasów służby w Kontrataku też budowałem własną siatkę informatorów – jak George, duchy sióstr Sollyhull, pewien zdrowo rąbnięty młodzian zwany Połamańcem, by wymienić tylko paru – jednak mój rozmówca należał do zupełnie innej ligi, a dobrych źródeł nigdy za wiele.

– Wróćmy zatem do pańskiej obecnej sytuacji – podjął Gustibus po krótkiej pauzie. – Szefostwo wzięło pana pod lupę, to raz. Dwa, ma pan jakiś niezalutowany interes z Eligorem Jeźdźcem, czego się domyślam po tak oczywistym pragnieniu zdobycia jego rogu. Co prawda wiele rzeczy pan celowo przemilczał, mimo otwartości co do innych szczegółów. Po trzecie zaś i może najważniejsze, mocno pan podpadł także Anaicie, co jeszcze bardziej komplikuje sprawę, jako że to właśnie ona ma w posiadaniu róg Eligora.

– W porządku, więcej dowodów mi nie trzeba, bystry z pana obserwator. Czy teraz mi pan powie, gdzie go znajdę?

– O nie, panie Dolar. Tego to ja nie wiem.

– Ale mówił pan...

– Że panu pomogę. Proszę słuchać uważnie, a sam pan stwierdzi, że dotrzymuję umowy.

– Szczerze mówiąc, ostatnio mam dosyć umów. Wszystkie prędzej czy później wybuchają mi w rękach.

– Cóż, ja w każdym razie chcę zrealizować naszą do końca. Honorowo. Powiedziałem, że musi pan spojrzeć z szerszej perspektywy, i teraz to wyjaśnię. Eligor jest tu od półtora wieku. Anaiście ktoś taki był potrzebny do stworzenia nowej przystani dla dusz zmarłych. Czym się kierowała w tym zamyśle, pozostaje niewiadomą, ale jedno wiemy: skoro to ona go potrzebowała, to zapewne pierwsza się z tym do niego zgłosiła. Wiemy też, że z jakichś powodów San Judas jest dla Jeźdźca atrakcyjny i dlatego tu założył siedzibę.

– Skąd wniosek, że najpewniej odwiedziła go na Ziemi. – Zaczynałem wreszcie chwytać, do czego doktor zmierza. – I to właśnie tutaj, w Jude.

– Jest to prawdopodobne. – Gustibus pokiwał głową. – I niekoniecznie w najbliższej przeszłości. Pamiętajmy, że te istoty działają bardzo długofalowo.

– Ładnie wydedukowane, tylko nawet gdybym wiedział, gdzie się

spotkali, w niczym mi to nie ułatwi odnalezienia rogu.

– Być może nie. Na pańskim miejscu nie zniechęcałbym się jednak, dopóki nie poznam prawdy o tym pierwszym kontakcie. Jako uczony radzę panu iść za pytaniami, zamiast formułować pochopne odpowiedzi. Od jak dawna i pod jaką postacią występuje tu Anaita? Tego musi się pan dowiedzieć w następnej kolejności. Przy łucie szczęścia doprowadzi to pana do kolejnych odpowiedzi.

– Założę się, że raczej do mnóstwa innych pytań – mruknąłem.

– W takim razie, jeżeli jest pan choć trochę do mnie podobny, będzie pan szczęśliwy.

Najwyraźniej podobieństwo między nami było znikome, nie uśmiechało mi się bowiem ani jedno nowe pytanie, nie mówiąc już o trzydziestu – musiałem jednak brać, co się da. Niektóre z usłyszanych od Gustibusa rzeczy z pewnością skierowały moje myśli na nowe tory. Gdyby Sam był pod ręką, naturalnie by powiedział coś w rodzaju: „A od myślenia zawsze popadałeś w tarapaty”. Tyle że to samo mówił o niemyśleniu...

Popatrzyłem przeciągle na gospodarza.

– Nie wiem czemu, ale czuję, że pan mógłby wykoncypować całą resztę w jakieś pół godziny.

– Jestem zaszczycony tak wysoką oceną. – Tym razem spod uśmiechu doktora przebiśniegi wydostałyby się na słońce bez większych trudności. – Pozwolę sobie jednak zauważyć, że zaprezentowałem panu wyniki wieloletnich studiów i przemyśleń. Proszę nie przeceniać moich możliwości. Jestem tylko badaczem. Nie

mam ani pokusy, ani możliwości podróżować do niektórych miejsc, które panu wypadło zwiedzać.

Czyżby dyskretna aluzja do mojego pobytu w Piekło? Nie wątpiłem, że coś o tym wie lub przynajmniej się domyśla, ale też było dla mnie jasne, że w przyszłości będę mógł za to wydobyć od niego jakieś inne wartościowe informacje, nie zamierzałem więc dzielić się z nim tą historią za darmo.

Do biblioteki zajrzała jedna z zakonnice (nie dostrzegłem, czy któraś z już poznanych).

– Kolacja prawie gotowa, doktorze – zaanonsowała.

– Ach, to już taka pora! Zechce pan zasiąść ze mną do stołu, panie Dolar? – spytał uprzejmie. – Mamy dziś włoską kapustę z własnego warzywnika, duszoną marchewkę i późne kalafiory z pobliskiej farmy.

– Nie, dziękuję. A na koniec... mogę wiedzieć, skąd pochodzi pańskie nazwisko?

– Gustibus? – Znow pokiwał głową, jakbym pytał o ważki problem filozoficzny. – Oczywiście nie jest rodowe. Za młodu, kiedy dopiero raczkowałem w wybranej dziedzinie, postanowiłem przyjąć jakiś łaciński pseudonim, w moich studiach najczęściej bowiem posługiwałem się właśnie łaciną. Nazwisko, z którym się urodziłem, w mojej ojczyźnie oznacza zarówno gust bądź smak, jak i język. Uznałem, że „doktor Język” nie brzmi zbyt dumnie, wybrałem więc łaciński odpowiednik słowa gust. Tym chętniej, że... – zawiesił głos jak rasowy komik przed puentą – ...w ten sposób mogłem

przypominać uczonym kolegom, że z Gustem nie ma co się spierać!
– Czekał, żebym się roześmiał, a gdy zdobyłem się tylko na błądy
uśmieszek, poczuł się w obowiązku mnie oświecić: – Wie pan, *de
gustibus non est disputandum?*

– Aha.

– Kalambur może lichy, ale przynajmniej mój własny.

Był jednak wyraźnie rozczarowany brakiem spodziewanej reakcji
i może dlatego nie odprowadził mnie do wyjścia. Obejrzawszy się od
drzwi, zobaczyłem, że znów stoi przy oknie, zapatrzony w gasnący
czerwieniami i fioletami dzień nad Pacyfikiem.

W przedwieczornej mgle raz omal nie zjechałem z urwiska, jakoś
jednak dotarłem do jedyńki i wkrótce sunąłem już przez pofalowany
nadmorski teren ku ciemnym wzgórzom, słuchając z płyty *A
Swingin' Affair* Dextera Gordona.

Im więcej myślałem o tym, co Gustibus powiedział o Eligorze i
Anacie, tym dalej odpływała nadzieja. Jak gdyby bycie aniołem nie
dość komplikowało człowiekowi życie, to jeszcze jakimś pokrętnym
cudem zdołałem się wmieszać między bogi i potwory.

I na dodatek poważnie im nadepnąć na odcisk.

Dziesięć Cztery łapy



Bylem niemal pewien, że na drzwiach mieszkania zastanę zawiadomienie o eksmisji, a może i dwóch policjantów z pytaniami o strzelaninę, lecz – o dziwo – wszystko było normalnie.

Chyba powinienem od razu się wyprowadzić. Zjawiska parapsychologiczne i mordobicie sprawiły, że blok Tierra Green stracił dla mnie całą przytulność (inna rzecz, że wiele do stracenia nie było). Poza tym dojadło mi już solidnie, że obcy ludzie (i nieludzie) włączają sobie do mnie jak do toalety dworcowej – niestety, obowiązywał mnie jednak zakaz zmian adresu. Zamiast więc wrzucić cały swój dobytek do bagażnika i jak rozsądny człowiek wynająć pokój w którymś z tanich sieciowych moteli, kupiłem łańcuch na drzwi i parę blokad do okien i własnoręcznie je zamontowałem. Tego rodzaju przeszkody były obliczone głównie na spowolnienie moich nowych znajomych z Czarnego Słońca; bardziej niebezpiecznych gości, z jakimi od czasu do czasu wchodzę w podobną zażyłość, takie drobnostki by nie powstrzymały, ale przynajmniej usłyszałbym, że wchodzi.

Skończyłem robótkę, zjadłem prosto z lodówki resztki zamówionej przez Sama chińszczyzny i zadzwoniłem do George'a Nocedy. Telefon odebrał jego stary sługa Javier, o tak wczesnej porze Tłusćcioch jest bowiem jeszcze utyłanym w gnoju człowiekiem z mózgiem knura. (Nawiasem mówiąc, nigdy tak się do George'a nie zwracam; ksywkę usłyszałem od innych, a że prawdziwego imienia i nazwiska nie znałem, dopóki się nie spotkaliśmy osobiście, czasami jeszcze tak mi się wyrwie w opowiadaniu). Poprosiłem Javiera, żeby dał mi się nagrać na pocztę głosową szefa, po czym uzupełniłem listę rzeczy, które chciałem George'owi zlecić do wyszukania.

Uporawszy się z tym, zatelefonowałem z kolei do Sama i jemu też zostawiłem wiadomość. Już mu nie ufam tak bezkrytycznie jak jeszcze do niedawna, do tego wkurzają mnie te jego tajemnicze (i dziwaczne) nowe układy, ale wciąż jest moim najlepszym przyjacielem i ostatnio parę razy wystawiał się dla mnie pod kule, chociaż wcale nie musiał. Uznałem ponadto, że pora odłożyć na bok uprzedzenia i wreszcie zapoznać się z tą jego Trzecią Drogą. Jeżeli Anaita się uparła, żeby zamordować mą duszę, to chyba warto się lepiej zorientować w jej innych projektach.

Aha, i jeszcze zadekowałem z powrotem moją spluwkę-kanapówkę. Tym razem naturalnie nie pod poduchami sofy, skoro moje czarne słoneczka już tę kryjówkę poznały. Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko ich ponownej wizycie. W końcu nadal byłem winien Łysolowi solidny łomot, a w tych sprawach nie należę do miłośników zapominalskich.

Musiałem się zdrzemnąć na sofie, bo tam właśnie się ocknąłem,

gdy wyrwał mnie ze snu hałas za szybą. Nie był to żaden zwyczajny odgłos w rodzaju stuknięcia kołysanej wiatrem gałęzi, ale co dziwniejsze, nie brzmiało to, jakby ktoś chciał się włamać przez okno. Podobnie jak poprzedniej nocy, dźwięk był bliższy miękkiemu pacnięciu niż stukaniu i powtarzał się w rytmie tak nieregularnym, jak taneczny krok pijanego kuzyna w drugiej połowie wesela. Wstałem po cichu i nie zapalając światła, podkradłem się z pistoletem do okna.

Cokolwiek to było, nie podchodziło do zadania zbyt gorliwie: od leniwego plaskania szyba ledwie drżała. Gdy tylko się zbliżyłem, odgłos ustał. Przyłożyłem nos do szkła, nie zobaczyłem jednak nic poza ciemnymi sylwetkami domów naprzeciwko.

W pierwszym odruchu chciałem od razu dowlec się z powrotem na sofę, uznałem bowiem, że winę za zamieszanie ponosi pewnie jakiś upośledzony na umyśle ptak, i to na tyle mały, że nie powinien wyrządzić szkody. Poza tym trwał mój dyżur i w każdej chwili mogłem dostać nowe zlecenie. Ostatnio jednak tyle dziwnych rzeczy działo się wokół mnie, że byłem czujniejszy niż zazwyczaj. Poszedłem do kuchni po latarkę i wróciłem do okna.

Jak poprzednio, nieznanymi uparty stukacz zostawił na szybie mokre, śluzowate plamy (pierwsze skojarzenie: tropy ślimaka na haju). Największe wyglądały tak, jakby ktoś rzucał mi w okno umazaną w żelu piłeczką do ping-ponga. Nie miałem pojęcia, co to może oznaczać, ale nie podobało mi się to.

Takie już moje parszywe szczęście, że gdy tylko wyciągnąłem się

znów na sofie i nakryłem marynarką (komu by się chciało wlec aż do sypialni), zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałem ciepły jak skroplony azot głos Alice. Wyraziwszy rozczarowanie, że akurat nie śpię, przydzieliła mi sprawę w Spanishtown, tym razem niezbyt przyjemną – jakaś kłótnia rodzinna zakończona zejściem jednego z antagonistów.

Hej ho, hej ho, do pracy by się szło.

Ofiarą był szwagier zabójcy, który zarobił kulkę, usiłując bronić siostry przed męzowską agresywnością. Denat, spokojny budowlaniec o nazwisku Meija, za życia był człowiekiem dobrym i pracowitym, bez problemu więc wywalczyłem dla niego przepustkę do Happylandu. On sam przyjął werdykt znacznie gorzej, wciąż zrozpaczony losem siostry. Po drodze na miejsce widziałem radiwozy pod jego blokiem, mogłem więc bez naruszania reguł zapewnić go, że winny najprawdopodobniej jest już aresztowany i w drodze za kratki. Dopiero to przekonało duszę, by wstąpić w czekający snop światłości.

Ledwo przeszedłem z powrotem przez Zamek Błyskawiczny, komórka rozwrzeszczała się znowu. Wcisnąłem guzik odbioru zbyt gwałtownie.

– Halo.

– Bobby?

– Ach, to ty, George. – Z przyzwyczajenia spojrzałem na zegarek. Minęła pierwsza. – Dostałeś więc moją wiadomość...

– Bobby, ja tylko... hmm... chciałem powiedzieć, że dzieją się tu

ostatnio naprawdę dziwaczne rzeczy.

– To znaczy jakie?

– Nie wiem dokładnie. Hałasy. Myślałem, że to szczury się tłuką po strychu, ale musiałyby to być jakieś giganty. Zaczęło się przed kilkoma dniami. Javier posłał na górę syna, żeby sprawdził, ale nie ma żadnych śladów, odchodów, nic w tym rodzaju. Stary widział też w obejściu jakieś dziwne stwory. Dość duże, włochate. Kryły się w krzakach i pod domem.

A więc moi nieznani wrogowie mają na oku także Casa de Tłuścioch. Głupio mi się zrobiło, bo gotów byłem iść o zakład, że owe najścia zaczęły się dopiero po mojej prośbie o informacje na temat Czarnego Słońca.

– Tak, to było wtedy – potwierdził George, gdy go o to spytałem.

– Myślisz, że to oni? Ale to tylko zgraja gówniarskich nazistów!

Nie chciałem przytaczać w całości, co Gustibus mówił o ich upodobaniu do morderstw, rozboju i podpaleń – nie było sensu go jeszcze bardziej niepokoić – powiedziałem więc tylko:

– Wiesz, że się czasem obracam w dziwnych kręgach. Poproś Javiera, żeby dziś z tobą posiedział, a jeśli do jutra to nie ustanie, przyjadę i sam się rozejrzę.

Nie dodałem, że niewielka to pociecha, skoro nie potrafię ich utrzymać z dala od własnej chałupy. Obietnica jednak trochę go uspokoiła. Mieliśmy się już pożegnać, gdy przypomniałem sobie coś, co mi przyszło do głowy podczas jazdy do Spanishtown (jednej z moich ulubionych dzielnic), kiedy sobie luźno rozmyślałem o

wpływie przeszłości na teraźniejszość. Według Gustibusa Anaita była ongiś czczona przez Persów jako bogini. Może to należałoby przyjąć za punkt zaczepienia?

– Słuchaj, czy w Jude jest jakiś ośrodek kultury perskiej?

– Perskiej? Masz na myśli irańską?

– Geograficznie tak, tylko że ludzie, o których mi chodzi... a raczej osoba... jest z zamierzchłej przeszłości. Interesuje mnie starożytna Persja. Może jakaś specjalistyczna biblioteka czy archiwum? Artykuły prasowe też.

– No, to spory rejon do przeszukania. Coś jeszcze?

– Tylko to, co ci nagrałem na skrzynkę. Niech Javier dopilnuje, żeby okna i drzwi były dobrze pozamykane, okej? I dzwoń, gdyby coś się działo.

– Równy z ciebie facet, Bobby, choć naprawdę nie jesteś facetem.

– To samo ona mi powiedziała, stary przyjacielu. To samo...

Przynajmniej go rozśmieszyłem, a to już coś w taką paskudną noc, nie? Bo poza tym czułem się cholernie bezużyteczny.

Nie spałem najmocniej, być może dlatego, że podświadomie czekałem na ten dziwny odgłos. Kiedy się obudziłem, od razu w pełni przytomny (zegar wskazywał dziewiętnaście po czwartej), usłyszałem znajomy hałas, lecz nie było to pacnięcie o szybę, tylko takie samo skrobanie jak pierwszej nocy, kiedy pojawiły się „duchy”. Tym razem jednak dochodziło nie zza ściany, lecz gdzieś z mojego mieszkania.

Na bosaka, uzbrojony w pistolet i latarkę, ruszyłem na poszukiwanie nocnego gościa. Z początku myślałem, że dźwięk dobiega z sypialni, narastał bowiem, w miarę jak się zbliżałem do drzwi, lecz gdy stanąłem na progu, nagle usłyszałem go za sobą.

Szafa we wnęce.

Nie była duża, ot, miejsce na parę płaszczy i do upchnięcia różnych dupersztyków potrzebnych tylko raz na jakiś czas: parasoli, czapek, rękawiczek i tak dalej. Ktoś o zdrowszym podejściu do życia mógłby w niej powiesić swój markowy rower górski.

Zatrzymałem się i nasłuchiwałem. Tajemnicze coś też przerwało, lecz po chwili znowu zaczęło drapać. Z tak bliska odgłos był jeszcze bardziej upiorny niż przedtem. Jakiś atawistyczny zmysł, starszy niż moja anielskość i (prawdopodobnie) człowieczeństwo, przestrzegał nerwowo: „Nie otwieraj tych drzwi!”. Nie byłem jednak dzieciakiem wystraszonego zbyt dramatyczną bajką na dobranoc czy surowym kazaniem na temat losu czekającego grzeszników. Otwieranie drzwi do strasznych przygód miałem niejako wpisane w zakres obowiązków. No i zrobiłem to.

Ledwo zacząłem przesuwając prawy panel, usłyszałem szybkie szurnięcie, potem odgłos upadku i cichy stukot, jakby coś zleciało na parasole i kalosze. Pchnąłem drzwi do końca i zaświeciłem latarką do wnętrza.

Pusto.

Po chwili coś jednak zobaczyłem. Nad górną półką boczna płyta była wyłamana i zepchnięta na bok. Powstały otwór był za mały,

żeby mógł się przez niego precyzyjnie człowiek, ale wystarczająco długo pracuję w tej branży, by wiedzieć, że zwykli ludzie zazwyczaj nie stanowią największego z moich problemów.

No, przynajmniej już wiem, którędy sukinsyny się tu dostają, pomyślałem.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch pod zwiniętym płaszczem i gratami zalegającymi na dnie szafy. Odruchowo rozgarnąłem je stopą. Mignęło mi coś wielkości małego psa, lecz z długimi włochatymi łapami. Stwór niemal natychmiast dał susa, otarł mi się o nogę i zniknął w salonie. Niewykluczone, że wydałem jakiś dźwięk. Może nawet krzyknąłem.

Skoro jednak to on uciekał przede mną, uznałem, że mam przewagę, i ruszyłem w pogoń. Niełatwa to była sztuka; bydłociu nie tylko udawało się uniknąć schwytania, ale i z trudem nadążałem wzrokiem za jego błyskawicznymi ruchami. Ganiałem za nim jak kot za piłką, przezornie starając się trzymać go na muszce, co zresztą tylko utrudniało mi manewry. Robiliśmy sporo hałasu – w pewnej chwili przewróciłem nawet sofę w nieudanej próbie zapędzenia go do rogu – ale jakoś nikt nie stukał w ściany czy stropy. Sąsiedzi albo spali snem sprawiedliwych, wyprowadzili się albo po prostu dali za wygraną.

A może i nie – bo zaraz ktoś zaczął łomotać pięścią w drzwi.

Jak się pewnie domyślicie, przeżyłem chwilę niezdecydowania. Gdybym zignorował gościa lub gości, a okazałoby się, że to policja, mogliby wyważyć drzwi. Z drugiej strony mogli to być moi znajomi

neonaziści i gdybym ich wpuścił, wypadki mogłyby potoczyć się nieciekawie. Założyłem jednak, że to po prostu wyprowadzony z równowagi mieszkaniec bloku.

Stwór zaczął się gdzieś w salonie, a że szafa w przedpokoju była zamknięta i nie mógł uciec zwykłą drogą, postanowiłem sprawdzić, kto się tak dobija. Zaskoczony stwierdziłem, że to jedna z młodych cudzoziemek, ta wyższa, czarnowłosa. Wyglądała na bardzo spiętą. Uchyliłem drzwi.

– Przepraszam – powiedziała, usiłując mnie dojrzeć przez małą szparę. – Ale taki rumor! Akurat wróciłam do domu i... – Rozłożyła ręce. – Niepokoić się.

– To ja proszę o wybaczenie – odrzekłem. – Nic takiego. Mysz. Wie pani, pi-pi, szur-szur. Natknąłem się na nią znienacka i chciałem złapać. – Zaśmiałem się sztucznie. – No i narobiliśmy hałasu.

– Na pewno? – Popatrzyła na mnie podejrzliwie i napisała coś na wyciągniętym z kieszeni świstku. – Mój telefon. Jestem dobra z myszami. Dzwon, jeśli możemy w czymś pomóc. Znaczy, ja i Halina.

Jasne, pomyślałem. Z radością pomożecie mi przy fumigacji gniazda diabelskich pajaków. Otworzyłem jednak drzwi nieco szerzej, żeby wziąć karteczkę. Wariacki sposób na zawieranie znajomości z dziewczynami, nawet jak na mnie.

Z tyłu rozległ się delikatny szelest i nagle płatanina kudłatych łap przepchnęła mi się obok stopy, i wcisnęła w szczelinę między drzwiami i framugą. Chciałem stwora przyskrzynić, ale nie mogłem, bo przyciąłbym dziewczynie rękę. Kosmate monstrum wykorzystało

moment wahania i przelazło na korytarz. Jak koty, najwyraźniej potrafiło pokonywać otwory znacznie węższe niż na oko było potrzebne.

– O nie! Twoje zwierzątko ucieka! – wykrzyknęła sąsiadka i pobięła za nim.

To się szybko rozwijało w bardzo niedobłą scenę. Zanim zdjąłem łańcuch i rzuciłem się jej śladem, ona była już na parterze, w ciemnym holu, gdzie pod ścianą poustawiano pojemniki na odpadki segregowane. Drzwi frontowe były zamknięte, więc stwór nie miał jak uciec.

– Za kubłem – powiedziała i zanim zdążyłem ją powstrzymać, nachyliła się i odsunęła plastikowy kontener.

W kręgu światła z latarki mój nieproszony gość zastygł jak martwy.

Mówię wam, okropieństwo.

Skojarzenie z pajakiem było oczywiste: miał cztery długie szaroczarne łapy wyrastające ze wspólnego środka. Nie widziałem oczu ani gęby, najgorsze jednak, że wszystkie odnóża – choć właściwiej byłoby je nazwać ramionami – zakończone były małymi plamiastymi dłońmi. Dziecięcymi.

Gdy wstrząśnięty gapiłem się na niego, stwór przesunął się za następny pojemnik.

– Nie ma jak wyjść – stwierdziła kobieta. Głos miała zdumiewająco spokojny. – Ty przestaw tamten. – Musiała wyczytać

w moim spojrzeniu podejrzenie o szaleństwo, gdyż patrząc mi prosto w oczy, powtórzyła: – Tak, tak. Przystawić.

Trzymając efenkę gotową do strzału, ręką z latarką sięgnąłem do uchwytu. Silnym szarpnięciem poderwałem kontener i z hukiem odstawiłem pod przeciwległą ścianę. Stwór zeszywniał i próbował się wysunąć poza płamę światła, ale moja sojuszniczka miała rację: nie miał dokąd iść. Cofnął się pod samą ścianę i powoli wspiął na półtora metra. Skulił się, jakby szykując do ucieczki – albo tym razem może do ataku.

Teraz było jasne, co to za swastykę widziałem u siebie na ścianie. I dlatego wtedy wydawało mi się, że jest ruchoma. Starannie wycelowałem w sam środek, z trudem powstrzymując drżenie ręki. To był cholernie długi dzień.

– *Niet!* – Dziewczyna złapała mnie za rękaw. – Nie tak. Za głośno.

Niespodziewanie wyciągnęła z rękawa lśniący nóż bojowy – jeden z tych wrednych majchrów wyglądających jak tani gadżet z hipermarketu, ale zdolnych przeciąć gazurkę – i płynnym ruchem wbiła go potworkowi w splot mięśni u zbiegu łap. Klinga przecięła ciało z mokrym chrzęstem, jakby ktoś wyrwał skrzydełko z niedopieczonego kurczaka. Stwór zasyczał, zaczął spazmatycznie wywijać łapami, ale dziewczyna trzymała go przyszpilonego do ściany.

Jakby mało jeszcze było niespodzianek, wijące się bydlę zaczęło dymić. Dziewczyna wyrwała nóż i stwór osunął się na posadzkę. Po chwili został z niego tylko oleisty krąg sadzy na sfatygowanych

płytkach PCW i unoszący się w powietrzu smrodek jak ze zgniłej ryby.

– Srebro dobrze działa – rzekła moja dziwna sąsiadka, ocierając ostrze o krawędź kontenera. – Tak lepiej dla mieszkańców. Ciszej. Oksana jestem – przedstawiła się. – Przyjdiesz do nasze mieszkanie na herbatę i pogadać?

– Jasne.

Było wpół do piątej rano i właśnie ubiliśmy włochatego hakenkreuza. Co innego miałbym odpowiedzieć?

Jedenaście

Herbatka we troje



Halina, płomiennowłosa i muskularna współlokatorka Oksany, już nie spała i grzała wodę w czajniku elektrycznym. Włosy zdążyła zaczesać gładko do tyłu i związać w koński ogon, ubrana była jednak jeszcze chyba w to, w czym spała: długi męski T-shirt z rękawami wyciętymi tak głęboko, że musiałem odwracać wzrok, ilekroć się nachylała, gdyż dolne krawędzie otworów sięgały jej tuż poniżej żeber. W imię kronikarskiej rzetelności nadmienię tylko, że Halina ma bardzo estetyczne piersi i brzuch umięśniony jak u kulturystki.

Oksana zniknęła w łazience, przysiadłem więc na zwiniętej macie do karate. Praktycznie nie było tu mebli, jeśli nie liczyć niskiego stolika i ustawionych pod ścianą dwóch wojskowych prycz. Jeżeli one są parą, to dość dziwną, pomyślałem. Łatwiej mi było jednak rozglądać się po mieszkaniu niż wystrzegać się zerkania w owe wycięcia, kontynuowałem więc oględziny. Jedynie na ścianach można było dostrzec jakiegokolwiek ślady zainteresowań lokatorek, ale oprócz kilku fotografii młodych uzbrojonych kobiet wisiały tam same plakaty i wycinki prasowe drukowane jakąś odmianą cyrylicy, więc za wiele się z nich nie dowiedziałem. Najwięcej jednak było

wszelkiej broni. Część zwyczajnie stała oparta o ściany niczym grabie i szpadle w stodole; inne, na przykład szurikeny, czyli zabójcze gwiazdki do rzucania znane z filmów o ninja, zawieszono na samoprzylepnych haczykach. Obrazu dopełniało kilka zrolowanych mat i sporo ostrych przedmiotów rozrzuconych na podłodze. Rzucały się w oczy zwłaszcza toporki do miotania, noże wielkie jak maczety, zauważyłem też parę haków dokerskich, jak gdyby moje przeurocze sąsiadki dorabiały w porcie przy przeładunku worków i bel bawełny. Domyśliłem się, że brak umeblowania jest celowy, a mieszkanie służy im także do ćwiczeń i sparingu.

Halina postawiła na stoliku trzy szklanki herbaty z mlekiem i talerzyk ze słodką przekąską. Dałbym głowę, że jest to pokrojone na trzy kawałki ciastko jabłkowe z McDonald'sa. Prawdziwy bankiet na moją cześć.

Wróciła Oksana. Cholerka, ależ atrakcyjna dziewczyna! Zaniósłem nieme dziękczynienie Najwyższemu, że została w tym workowatym dresie. Powściągliwość faceta ma swoje granice i wiele nie trzeba, żeby myśli zaczęły mu dryfować ku mało pomocnym w obecnej sytuacji tematom.

– Okej – powiedziała. – Pewnie masz pytania.

– Ano, mam. Uwaga, pierwsza trójka. Co to było za dziwadło, skąd wiedziałaś, że srebro je wykończy, i kim wy, u licha, jesteście?

Oksana wzięła ciastko i wchłonęła tak szybko, że musiała być naprawdę głodna. Ja po spotkaniu ze stworem, który od paru dni

buszował mi po mieszkaniu, nie miałem za grosz apetytu. Dziewczyna przełknęła ostatni kęs, z lubością oblizła palce i dopiero wtedy odpowiedziała.

– Je nazywają Koszmarne Dzieci. Srebro je nie zabija, odsyła.

– Odsyła? Dokąd?

– Skąd przyszły – wyjaśniła Halina. Jej angielski był o klasę lepszy niż Oksany. – Do mrocznego miejsca.

– Mówcie dalej. Kim jesteście? – zachęciłem. – I do czego wam to wszystko?

– Ochrona – odrzekła Oksana. – My chronić.

– Kogo? Przed czym?

– Przed wrogami. Chronić, co by zniszczyli.

– Bo widzisz, jesteśmy Scytyjkami – oznajmiła z nieskrywaną dumą Halina, jakby to wyjaśniało wszystko. Z początku nawet nie zrozumiałem, o czym mówi; wymawiała to słowo zupełnie inaczej, sycząco. – Niektórzy zwą nas też Amazonkami. To nasze przodkinie.

Klik! W końcu coś z sensem.

– Amazonki. Scytyjki. – Pokiwałem głową. Lisiu coś o nich wspominał, przypomniałem sobie. – Byłyście na aukcji we Dworze Wyspiarzy, prawda?

Halina zaprzeczyła ruchem ręki i podmuchała na herbatę.

– My nie. Nasze siostry, ale już wróciły na Ukrainę. Teraz nasza kolej pilnować.

Pociągnąłem łyk. Napar okazał się nieco za słodki, ale kto by wybrzydzał po takiej nocy?

– Lepiej zaczniście od początku. O co chodzi z tymi Amazonkami?

Wyjaśnienie zajęło sporo czasu, trochę z powodu kiepskiej angielszczyzny Oksany, ale także dlatego, że obie przy każdej okazji z upodobaniem wtrącały elementy filozofii scytyjskiej. Z ich relacji wynikało, że pewna grupa Ukrainek rzekomo wywodzi się od znanych z mitologii greckiej Amazonek, które według moich znajomych były jednym z plemion scytyjskich zamieszkujących Azję Mniejszą długo przed narodzinami Chrystusa. Owe wojownicze kobiety stawały do bitwy na równi z mężczyznami, a gdy poległy, chowano je wraz z bronią i rynsztunkiem. Halina i Oksana były członkiniami nawiązującego do tamtej tradycji, ale najzupełniej współczesnego kultu (tak to same określiły) z własnym kodeksem i stylem życia, obsesją na punkcie sztuk walki i skomplikowaną filozofią, w której na amazońską ośnowę nałożyły się wątki ukraińskiego nacjonalizmu, religii prawosławnej i zdecydowanej niechęci wobec Rosji, a także – ku memu zdumieniu – jeszcze silniejszej wobec Persji. Nie tej dzisiejszej, irańskiej, lecz starożytnego imperium sprzed dwóch tysięcy lat.

– Przecież ono już dawno nie istnieje – wypowiedziałem tę wątpliwość na głos.

– Nieprawda – odparła Halina. – Niektóre złe części jest... są ciągle żywe.

Opowiedziały mi jeszcze o scytyjskim stylu życia praktykowanym w ośrodkach ukrytych wśród karpackich lasów na południe od Lwowa – letnich obozach i stałych bunkrach – bez mężczyzn i żadnych innych pokus, które mogłyby przeszkadzać Amazonkom w intensywnym szkoleniu i ćwiczeniach.

– Jakiego rodzaju szkoleniu? – spytałem. – I skąd wiedziałyście, co to za jeden, ten swastykoszmar? – Po ich minach poznałem, że moja ad hoc wymyślona ksywka włochatego pajęczaka z dziecięcymi dłońmi nie jest dla nich zrozumiała. – Sorki, dziewczyny. Jak go nazwałyście? Koszmarny...

– Koszmarne Dziecko. – Halina pierwsza się domyśliła, o czym mówię. – Znamy je, bośmy już z takimi walczyły. To ulubione narzędzia Czarnego Słońca.

Klik! Kolejny element wskoczył na swoje miejsce w tej zwariowanej układance.

– A o Czarnym Słońcu skąd wiecie? To chyba nie Ukraińcy, co? Odniosłem wrażenie, że są Amerykanami.

– Pochodzą z wielu miejsc. Z nimi też już się biłyśmy. Oni szukają skarbu Anahity. Ale my chcemy go dla nas. Oni użyją go do złych rzeczy, my nie.

Anahita? Coraz lepiej. Wizja z wolna zaczynała nabierać ostrości. Jaki ten świat jednak mały... w każdym razie mój świat. Bieda w tym, że skoro owym skarbem Anahity jest róg Eligora, to znaczy, że rywalizuję nie tylko z bandą neonazistów i ich oswojonymi potworami, lecz także z moimi pięknymi sąsiadeczkami. Bez niego

nie miałem co marzyć o odzyskaniu Caz, nie mogłem więc dopuścić, by wpadł w inne ręce.

Tylko czy to mnie ostatniemu zaświtało z tym rogiem, czy raczej moje domysły jakimś cudem obudziły takie powszechne zainteresowanie?

Odchrząknąłem.

– Skarb Anahity, powiadacie? A do czego mógłby się wam przydać?

– Do jej pokonania – odrzekła Oksana.

Nie wyglądało na to, że żartuje.

– No, dziewczęta, widzę, że naprawdę mamy o czym porozmawiać.

Później, kiedy opowiedziały mi więcej o sobie i o starciach z Czarnym Słońcem, spytałem:

– To jak długo już mieszkacie w tym bloku? Od dawna mnie obserwujecie?

– Jak to, obserwujecie? – zachnęła się Halina. – My cię strzeżemy. Żeby ci nie odebrali skarbu.

– Ależ ja go nie mam!

– Teraz już wiemy – powiedziała Oksana, łakomie spoglądając na ostatni kawałek ciastka. – A jak długo mieszkamy, nie pamiętam.

– Cztery tygodnie – wyjaśniła Halina. – Jacyś ludzie się akurat wyprowadzali, mieszkanie otwarte, tośmy weszły i powiedziały

gospodarzowi, że my kelnerki. One wychodzą i wracają o różnych godzinach, normalka, nie? Nikt nie zwróci uwagi.

– Ja was zauważyłem. – Skinąłem na Oksanę, żeby sobie wzięła moją część. Chwyciła ją natychmiast, jakby zaniepokojona, że mogę zmienić zdanie. – Ale za nic bym nie zgadł, że jesteście kimś bardziej niezwykłym niż tylko cudzoziemkami. Ale jeśli ćwiczycie tu walkę, rzucacie toporkami i tak dalej, to jakim cudem żaden współmieszkaniec jeszcze was nie pogonił? Ci nade mną od razu wałą w podłogę, ledwo coś głośniej zrobię.

Chociaż dzisiaj ani drgnęli, przypomniałem sobie – a przecież narobiliśmy ze swastykoszmarkiem niezłego hałasu.

– Nad tobą? – Halina popatrzyła na mnie zdziwiona. – Tam nikt nie mieszka.

– No coś ty? Na lada odgłos stukają w podłogę jak stepujące słonie!

– Jak mówię nikt, to nikt. Specjalnie pytałyśmy gospodarza, bo stamtąd najlepiej by się podsłuchiwało... – Zarumieniła się lekko, co było widać tylko dlatego, że miała jasną karnację. – Myślałyśmy, żeby założyć maszynę... urządzenie... no, wiesz. Podsłuchowe. Gospodarz powiedział, że mieszkanie puste, ale nie na wynajem, bo zaraz ma być malowanie.

– I od wtedy nikt nie wprowadzony – wtrąciła Oksana. – Patrzyłyśmy uważnie.

– Mówimy o tym samym mieszkaniu? – upewniłem się. – Tym w moim pionie?

Obie pokiwały głowami. Zastanawiałem się, czy malarze, według moich doświadczeń ludek uwielbiający nastawione na cały regulator wielkie jak stodoła radioodtwarzacze i muzę w stylu Lynyrd Skynyrd oraz żonglerkę aluminiowymi drabinami, mieliby za złe sąsiadowi z dołu, że trochę głośniej trzaśnie drzwiami. Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie.

– Zaczekajcie tutaj – rzekłem. – Idę po narzędzia. Za minutkę wracam.

Wróciłem do siebie, zabrałem swój przyborek włamywacza, no i oczywiście telefon – w mojej firmie niecenzuralnie wczesna pora nie jest żadnym zabezpieczeniem przed wezwaniem do pracy. Wróciłem do Amazonek i zaprosiłem je do wspólnego rekonesansu na górze. Halina wskoczyła w dżinsy i żakiet (co znacznie ułatwiło mi koncentrację) i ostrożnie wspięliśmy się piętro wyżej. Reszta sąsiadów pewnie jeszcze spała i dom pogrążony był w ciszy. Przyłożyłem ucho do drzwi mieszkania położonego nad moim, drugiego od schodów. Nic. Zapukałem, lecz nikt się wewnątrz nie poruszył. Sądząc po głuchym pogłosie, chałupa była pusta. Zabrałem się więc do dzieła.

Dwadzieścia pięć sekund później – większość popularnych zamków jest naprawdę guzik warta – powoli pchnąłem drzwi, stojąc poza obrysem futryny na wypadek, gdyby ktoś tam jednak był i miał zamiar przywitać nas kulką. Nic się jednak nie stało, pochyliłem się więc i z pistoletem gotowym do strzału wśliznąłem do środka.

Jedynym dźwiękiem w mieszkaniu było brzęczenie much. Pachniało tam śmiercią – nie taką świeżą, słonawą od rozlanych

płynów ustrojowych, ale bardziej jak z lodówki, którą gospodarz wyłączył przed wyjazdem na długie wczasy, ale zapomniał przedtem opróżnić. Chciałem włączyć światło, lecz albo wyłącznik był zepsuty, albo bezpieczniki strzeliły. Przez niedomknięte żaluzje wpadało jednak dość przedświtowej szarości, bym mógł stwierdzić, że faktycznie nikogo tu nie ma. Dało się też jednak zauważyć parę oznak niedawnego zamieszkiwania. Wyglądało na to, że ostatnimi lokatorami była rodzina. Mansona lub Adamsów, ściślej mówiąc.

Jasne ściany pokryte były malowanymi znakami – miałem nadzieję, że farbą, ale spora część bardziej przypominała zakrzepłą krew. Nie rozpoznałem żadnego języka ani alfabetu. Dywan został pocięty na pasy i niedbale złożony w rogu, a pośrodku salonu w dużym żeliwnym kotle urządzili sobie ognisko; baniak, do połowy wypełniony popiołem i wygasłymi węglami, stał w centrum prymitywnej wersji Sonnenrad, namazanej na deskach podłogowych jakimś połyskliwym tłuszczem. Rój much spłoszonych naszym wejściem unosił się nad tym wszystkim z intensywnym bzyczeniem i z wolna osiadał znów na ucztę.

– Fuj, ale paskudnie! – Oksana zatkała dłonią nos; Halina naciągnęła na twarz kołnierzyk zakietu.

– Dobrze powiedziane. Te sukinsyny mieszkały wprost nade mną, zapewne już przed waszym przybyciem. A ja się dziwiłem, dlaczego u mnie straszy!

Telefon zawibrował mi w kieszeni. Spojrzałem na ekran: Alice, naturalnie.

– To z pracy, przepraszam – powiedziałem i wyszedłem na korytarz. Znów robota: zgon sercowca w klubie fitness w Mayfield. Wsadziłem głowę przez drzwi i oznajmiłem dziewczynom: – Sorki, muszę iść. Sprawa służbowa. Pogadamy później, dobra? Wieczorem? – Kiwnęły tylko głowami, z wystudiowaną obojętnością przyglądając się bohomazom na ścianie. Oksana wciąż zatykała nos. – Słuchajcie, zatrzaśnijcie drzwi za sobą i trzymajcie się z daleka od tego mieszkania. Tylko się nie wyprowadźcie przed moim powrotem, okej? Mamy jeszcze dużo do omówienia.

– Tu chodziło o posłanie śmierci – powiedziała Halina, marszcząc brwi. Uklękła przy garze i wyjęła kawałek jasnego patyka. – To nie drewno. Kość, i to dziecięca. Oni próbowali cię zabić.

– W takim razie będą musieli przysłać coś więcej niż marnego pajęczaka. – Uśmiechnąłem się, wolałbym jednak tego nie usłyszeć. Nie miałem wątpliwości, że Amazonka się nie myli.

W drodze do pracy zadzwoniłem do jednego znajomka, żeby przysłał brygadę aniołów-sprzątaczy, specjalistów od usuwania nieprzyjemnego bałaganu. Za żadne skarby nie wróciłbym do domu, wiedząc, że po drugiej stronie sufitu te upiorne ślady nadal ulegają rozkładowi.

Przeprowadzanie na tamten świat czterdziestolatka, który właśnie kopnął w kalendarz na siłowni i zostawił wdowę z parką sierot, to przygnębiający początek dnia, nawet jeśli gość dostaje na koniec zaproszenie do Nieba. Niby to dobrze, ale nawet jeśli rodzina jest mocno wierząca, tak czy siak będzie jej go brakowało. Rozprawa

przeciągnęła się do przedpołudnia, potem zjadłem w kafejce szybkie śniadanie i pojechałem w miasto, usiłując wymyślić, co mam dalej robić. Nowe wydarzenia były jeszcze bardziej wariackie niż to, co się wokół mnie działo dotychczas. Nazistowcy misjonarze napuszczający na mnie swastykoszmarki. Anioły, które są eks-boginiami i obiektami starszej niż chrześcijaństwo i nadal trwającej nienawiści, nawet po zmianie zawodu. Prawdziwe Amazonki. Ludzie, gdyby dziwactwa były walutą, tobym się nazywał Bobby Milion Baksów, a nie zwykły Dolar!

Czarne Słońce z pewnością już nie wróci, przynajmniej nie do tego mieszkania. Pod moją nieobecność sprzątacze zdążyli załatwić sprawę; poszedłem tam sprawdzić, ale wszystko było pięknie przemalowane, pachniało świeżością i ogólnie zachęcało do wprowadzenia się. Przyznaję, są w Niebie służby działające szybciej i skuteczniej niż wasz sprawozdawca. Kiedy jednak zamknąłem się w swojej chałupie, nie mogłem się opędzić od wrażenia, że z kanałów wentylacyjnych wciąż sączy się odór rozkładu – chociaż wcześniej nic nie czułem. Nie poprawiała mi też nastroju świadomość, że szefostwo wkrótce mnie zapyta, co właściwie specbrygada miała sprzątnąć i skąd o tym wiedziałem.

Teraz jednak nie miałem głowy do takich rzeczy. Stres i wyczerpanie brakiem snu wzięło górę. Ustawiłem poprzewracane meble, uprzątnąłem walające się po kątach stare skarpety, puste butelki i puszki – wir pracy trwał całe półtorej minuty – po czym puściłem cichą muzykę, by zagłuszyć odgłosy uliczne, ległem na sofie i pozwoliłem Morfeuszowi robić swoje.

Uwinął się chłop jeszcze szybciej niż ja z porządkami.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Zanim otworzyłem, wyrząłem przez judasza. Zaskakujący gość. Prędzej bym się spodziewał skautek sprzedających bożonarodzeniowe ciasteczka, nie mówiąc o neonazistach czy ukraińskich dziewczynach z hamburgerami.

W korytarzu stał Clarence.

Ponieważ należał do bardzo wąskiego grona osób nie żywiących wobec mnie morderczych zamiarów, wpuściłem go od razu.

– Cześć, Bobby.

– Cześć, Junior. Co za diabli cię tu sprowadzili z dobrej drogi?

– No, miły jesteś. Przychodzę w odwiedziny do kolegi i tak mnie witasz?

– Nigdy ci się to nie zdarzało, jeśli nie przyciągnął cię Sam. Przyszedł z tobą?

– Nie.

– No to czego tu szukasz? – Wyszło to bardziej opryskliwie, niż zamierzałem. Traciłem cierpliwość do wszelkich gości, znanych i nieznanym, poza tym jeszcze mi w głowie szumiało z niewyspania. Spojrzałem na zegar: siedemnasta trzydzieści. Zaraz się ściemni. Może pora już wstać. – Przepraszam, stary. Miałem ciężki dzień. Wejdz, proszę. Napijesz się czegoś?

Wszedł, ale nie dalej jak do przedpokoju. Był już u mnie parę razy, więc raczej nie odrzucił go bałagan, zresztą po moich wysiłkach nie wyglądało to najgorzej.

– Nie mogę u ciebie zostać długo, Bob. Chciałem tylko zobaczyć, co u ciebie. Nie zaglądasz ostatnio do „Cyrkla”. Słyszałeś już o...

– Walcie Sandersie? Tak. Nie pamięta nic przydatnego. – Clarence znał trochę historię Waltera, wiedział na przykład, że zadźgał go ktoś, kto chciał zabić mnie, nie miał jednak pojęcia, że spotkałem go w Piekło ani że niemal na sto procent zesłała go tam Anaita. Nie mając pewności, po czyjej stronie stoją moi anielscy koledzy, wolałem zatrzymać większość informacji dla siebie. – To jak z tym drinkiem? Mam mleko, i to nawet płynne.

Clarence się skrzywił, ale dalej stał jak przykuty.

– Nie, bo wiesz... nie mogę – wydukał nerwowo. – Ktoś mnie podwozi i czeka na dole. Wpadłem tylko na chwilę, powiedziec ci cześć.

Nim zdążyłem zareagować na to absurdalne stwierdzenie – kto, u diabła, telepałby się przez pół miasta i na drugie piętro tylko po to, żeby się przywitać... i to ze mną? – z ulicy dobiegł sygnał klaksonu. Pomyślałem, że może to rzeczywiście Sam, a ta wizyta to tylko sztuczka obliczona na wywabienie mnie z domu. Podszedłem do okna, otworzyłem je i wychyliłem się, by sprawdzić. Przed blokiem stał drogi i chyba nowy samochód nieokreślonej marki. (W tym cały problem z dzisiejszą motoryzacją: wszystkie wozy wyglądają prawie identycznie, to znaczy jak adidasy dla wielkiego robota). Stojący przy nim mężczyzna, przypuszczalnie ten, który trąbił, spostrzegł mnie i pomachał przyjaźnie. Skądś go znałem; przystojny blondyn w eleganckim kosztownym swetrze.

– O, dzień dobry! – wykrzyknął. – Pan Bobby, tak? Mógłby pan przekazać Harrisonowi, żeby się pospieszył? Już jesteśmy spóźnieni.

Harrison to oficjalne ziemskie imię mojego młodego kolegi, wzięte od anielskiego: Haraheliel. Nazywamy go Clarence'em głównie dlatego, że wredne z nas palanty.

Uśmiechnąłem się półgębkiem do miłego dżentelmena i skinąłem mu głową, po czym się cofnąłem.

– Harrisonie, twój uprzejmy podwoziciel kazał ci powiedzieć... – zaanonsowałem.

– Słyszałem – odburknął Młody naburmuszony jak skarcony urwis, ale w jego minie było coś jeszcze.

– Co to za jeden? Chyba go już gdzieś widziałem.

– To Wendell. Jeden z naszych. Adwokat. Pracuje w San Francisco, głównie w dzielnicach Cow Hollow i Dogpatch. – Teraz już Clarence naprawdę się zarumienił aż po grzywkę. – My... tak jakby się spotykamy.

– Dobra. – Nie wiedziałem, co na to rzec. Myślicie, że facet z życiem pozagrobowym tak popieprzonym jak moje ma w zwyczaju osądzać innych? Do diabła, ja nawet czasu na to nie mam, nie mówiąc o ochocie. – Ale nie bardzo mi się podoba, że go tu przyciągnąłeś.

– Bobby, przecież słyszałeś! To jeden z nas. – Urwał i w jego nagle pobladłej twarzy wyczytałem rodzącą się złość. – Czy może chcesz przez to powiedzieć coś innego?

– Psiakrew, Młody, guzik mnie obchodzi, z kim się umawiasz. Ale nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie mieszkam, nawet jeśli to nasi. Kurde, zwłaszcza gdy to nasi! W tej chwili na dobrą sprawę nie mogę ufać nikomu, a mam za sobą parę naprawdę parszywych dni.

– Poważnie? – Złość zastąpiło współczucie tak dotkliwe, że miałem ochotę dzielić się w pysk. Tylko że ktoś to już zrobił za mnie. – Właśnie widzę, żeś cały poharatany. Co się stało?

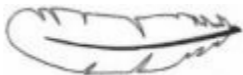
– Słuchaj, nie każmy twojemu przyjacielowi czekać. Spotkamy się kiedyś, to ci wszystko opowiem, ale nie dzisiaj.

W końcu przekonałem go, żeby wrócił do swojego stylowego Wendella, ale nawet wszystkie przeżyte okropności nie mogły we mnie zatrzeć dziwnego niepokoju, w jaki wprowadziła mnie ta niespodziewana wizyta. Clarence nigdy przedtem sam mnie nie odwiedzał. Czy tak było dla niego ważne, żebym się dowiedział o jego homoseksualizmie? Zaskoczony specjalnie nie byłem. A może chodziło o coś zupełnie innego?

Świetnie, pomyślałem. Teraz nie ufam nawet kumplom, których może przyjdzie mi zabrać na wojnę. I bardzo niedobrze, byłem bowiem pewien, że wojna mnie czeka – i to już wkrótce.

Dwanaście

Sflaczała żaba szuka sflaczałego partnera



Po rozstaniu z Clarence'em miałem jeszcze jedną klientkę. Wydała ostatnie tchnienie w hospicjum za miastem – spokojne odejście po długiej walce z nowotworem – i choć było parę problemów z jej przeszłością, prokurator nie zdołał wytoczyć żadnego poważniejszego zarzutu, który przeszkodziłby jej w dotarciu na łono Abrahama, jak to się u was mawia.

Przysięgam, że naprawdę chciałbym móc wam więcej na ten temat powiedzieć. Żałuję, że tak mało wiem, bo moja opowieść byłaby znacznie bardziej pouczająca – zwłaszcza dla tych, którzy mają zacięcie teologiczne. Ale nic na to nie poradzę. Jestem prostym aniołem, można powiedzieć, szeregowcem. Jest nas wielu. Część żyje na Ziemi jak ja i nosi ludzkie ciała; naszą rolą jest obrona dusz przed łągarstwami (a czasem niemiłymi prawdami) Piekła. Co do reszty, słabo się orientuję. Owszem, regularnie widuję radosne rzesze zbawionych, zarówno w samym Niebieskim Mieście, jak i na otaczających je Polach, nie mam jednak pojęcia, co myślą i czują. Rozmawiać z nimi to trochę tak, jakbym próbował wyciągać na

zwierzenia osobiste pracowników Disneylandu przebranych za bohaterów kreskówek, gdy są na służbie.

Wróciwszy do domu, włączyłem muzykę, otworzyłem zimny browarek i wziąłem się do studiowania obfitego materiału od George'a. Nie było w nim nic zaskakującego, za to w mejlu przeczytałem niemiłe nowiny:

Bobby, masz tu jeszcze trochę o Cz. Słońcu i kupę rzeczy na temat Persji. Mógłbym Cię zasypać setkami artykułów o tutejszych Persach, starałem się jednak wyrzucić, co Ci niepotrzebne. Daj znać, jeśli coś zrobiłem nie tak.

Będziesz jednak musiał to zrobić mejlowo, bo wyjeżdżam z miasta. Nie zniosę dłużej tego miejsca. Nie wiem, co jest grane. Zupełnie, jakbym się znalazł w tym horrorze o Amityville. Kazałem Javierowi i jego synowi wyczyścić przyczepę. Zabiorą mnie do znajomego weterynarza pod Visalią, gdzie mogę się zaszyć na jakiś czas. Będę miał przy sobie tylko przenośny sprzęt, ale w razie potrzeby mogę Ci pomóc. Tu jednak nie dam rady zostać. Wrócę chyba za tydzień.

Czyli już nawet świnię opuszczają tonący okręt. Nie miałem tego George'owi za złe – potworów, które nawiedzały mój dom, naprawdę można się przestraszyć – ale zaczynała mnie trapić mania prześladowcza. Najpierw roztańczony leśny duch Lisiu bał się ze mną nawet rozmawiać. Teraz Tłuscioch każe się wywieźć do dalekiego weterynaryjnego spa. Nawet aniołek Clarence zachowuje się podejrzanie wykrętnie. Kto następny? I w najlepszych czasach nie miałem zbyt wielu przyjaciół.

W załącznikach od George'a na temat Czarnego Słońca nie znalazłem wiele nowości – z wielu bliźniaczo podobnych kawałków układał się obraz organizacji wyjątkowo nieprzyjemnej, nawet z pominięciem jej neofaszystowskiej ideologii. Wszyscy zgodnie

zaliczali ją do tak zwanych nowych ruchów nacjonalistycznych, ale z drugiej strony zrzeszała ludzi z najróżniejszych narodów, a jej nacjonalizm dotyczył wyłącznie państw z przeważającą liczbą białych obywateli. Lokalny oddział, powiązany z więziennymi gangami Bractwa Aryjskiego, składał się głównie z Amerykanów, ale jednym z wybijających się liderów był Norweg, niejaki Baldur von Reinmann.

Nie stał on jednak na czele całej organizacji. Jeśli chodzi o głównego przywódcę, w wielu źródłach panowała ogromna rozbieżność. Jedyną powtarzającą się informacją było, że jest nim tajemniczy gość zwany Imperatorem, sterujący Czarnym Słońcem od lat pięćdziesiątych – z czego by wynikało, że już dawno przekroczył wiek emerytalny. Trafiłem też na wiadomości (pamiętajmy, że George zarzuca wędkę w przedziwnych mętnych wodach) o wyraźnych inklinacjach do czarnej magii, a nawet na parę mglistych wzmianek o swastykoszmarkach (wszyscy oczywiście nazywają je Koszmarnymi Dziećmi, choć moja kombinacja jest bezsprzecznie lepsza). Były też stwierdzenia, że te pająkowate czworonogi bynajmniej nie są najgorszymi stworami, jakimi Imperator może poszczuć „zdrajców, niewiernych i wszelką kundlolubną szumowinę” (jak to ujął na podrzędnym portalu rasistowskim pewien dżentelmen używający artystycznego pseudonimu „Młot na Żydów”). Wszystko to były tylko pogłoski, ma się rozumieć, i ku mej irytacji w żadnej nie było ani słowa o tym, co robić, kiedy już takie świństwo załęgnie ci się w mieszkaniu. Uśmiercanie ich sztuka po sztuce srebrnymi sztyletami z początku jest może przyjemne, ale na pewno szybko by się stało męczące.

Miałem już po uszy neofaszystów i ich wstrętnej menażerii, przeszedłem więc do danych w kwestii perskiej. W mig zrozumiałem, dlaczego Tłuszcioch kręcił nosem na zbyt ogólnie zadany temat, ale też sporo się dowiedziałem o Perso-Amerykanach. Funkcjonuje też określenie Irano-Amerykanie, większość tej grupy woli jednak to pierwsze – nie tylko dlatego, że w ten sposób dystansują się od obecnej polityki Iranu, ale zarazem podkreślają dumę z odrębności etnicznej. Chodzi o to, że nie każdy współczesny Irańczyk jest Persem. Poza macierzystym krajem największa perska społeczność żyje właśnie w Stanach Zjednoczonych – i tyle bieżącego wykładu. Dodam tylko, że znakomita jej większość przybyła tu w latach osiemdziesiątych, kiedy władzę przejął ajatollah ze swym szalonym islamistycznym fanklubem.

W przeważającej masie była to jednak zwykła sieczka, nowinki towarzyskie o różnych imprezach w kręgu tej grupy etnicznej, z rzadka okraszone chwilową sensacją (kryminalną lub inną) stawiającą jakiś aspekt życia społeczności w jaskrawszym świetle. Ja widziałem w tym tylko szereg bliskowschodnich nazwisk prawie pozbawionych kontekstu, a więc do niczego nieprzydatnych. Owszem, niektóre się powtarzały, postanowiłem więc zmienić podejście i wybrać dowolny punkt w czasie, na przykład koniec roku 1980, i szukać nazwisk najczęściej występujących po tej dacie. Trochę mogłem zrobić sam, miałem jednak nadzieję, że George znajdzie czas, by zająć się tym w przerwach między szwedzkim masażem szynki a kąpielą borowinową, czy co tam mu jego specdoktor ordynuje w ramach odnowy biologicznej.

Wyszedłem po jakąś kolację i sześciopak. Gdy wracałem, już się ściemniało. Amazonki zostawiły mi na drzwiach wiadomość: „Wychodzimy, ale zadzwonimy później”. Miło z ich strony.

Szybki zwiad z latarką nie wykazał niczego swastykopodobnego kryjącego się w jakimś zakamarku, a owa luźna deska we wnęce, którą starannie przybiłem gwoździami (na wszelki wypadek jeszcze zakleiłem prawie całą rolką taśmy monterskiej, dobrej na wszystkich i wszystko), nadal była solidnie zamocowana.

Musiałem podzielić się z Samem tymi nowymi zmartwieniami, zadzwoniłem więc i nagrałem mu się na pocztę w nadziei, że wkrótce znów wyściubi nos z Trzeciej Drogi. Obejrzałem potem fragment meczu Warriorsów, ale sezon koszykarski był jeszcze dla mnie zbyt młody, żeby się przejmować, do tego zbyt wiele było w drużynie nowych, nieznanym mi twarzy. Wyciągnięty na sofie, ukołyszany nieustannym monologiem sprawozdawcy szybko uległem ogarniającej mnie senności.

Gdy się ocknąłem, usłyszałem znajomy dźwięk: to samo namolne, a tępe stworzenie znów się miękko dobijało do okna. Tym razem wybrało łazienkowe, trudno dostępne (żeby dosięgnąć klamki, musiałem stanąć jedną nogą na wannie, drugą na umywalce). Przez szkło ornamentowe nie mogłem rozróżnić szczegółów; widziałem tylko, że stworzonko jest mniejsze od wróbla i że niestrudzenie tłucze główką w szybę. W żaden sposób nie mógłbym otworzyć okienka wystarczająco szybko, by schwytać cokolwiek, co nie jest kompletnie durne i do tego ciężko ranne, uchyliłem je więc tylko na szerokość dłoni – stworzenie od razu znieruchomiało – po czym wyłączyłem

światło i przyciśniłem się ze szklanką w rękę. Nie-wiadomo-co wznowiło działalność po paru minutach, tym razem objając się o górną część okna. Zmuszałem się do cierpliwości, lecz z drugiej strony trochę się bałem. Miałem już dosyć nadnaturalnych intruzów. Wiem, że to brzmi groteskowo w ustach anioła, zwłaszcza takiego, który zaliczył turnus w Piekło – tylko że tam nadnaturalność to normalka. We własnym ziemskim mieszkaniu człowiek chce zwyczajności. Potrzebuje jej jak powietrza.

Tkwiłem więc nieruchomo, starając się oddychać spokojnie. W końcu stworek się zmęczył i przycupnął na parapecie, z wolna machając skrzydłami. Jedno było pewne, nawet przy tym byle jakim świetle: nie przypominał żadnego z normalnych latających zwierząt. Na owada był za duży, na ptaka miał zbyt małe skrzydła. Odczekałem, aż znajdzie się na środku parapetu, szarpnąłem klamkę i nakryłem go szklanką.

Nocny gość nie zareagował – i to było najdziwniejsze. Zrobisz to samo pszczoł lub osie, a będą się szamotać, wyraźnie wkurzone ograniczeniem wolności. Ten tylko rozejrzał się niemrawo i przywarł łebkiem do ścianki, jakby sensem jego życia było trykanie w szkło, nieważne z której strony.

Zeskoczyłem z wanny i zapaliłem kinkiet. Teraz widziałem go wyraźnie, lecz nadal nie miałem pojęcia, co to może być. Wiedziałem tylko, że na pewno nic dobrego.

Chcicie opisu? Proszę bardzo. Wyobraźcie sobie żabę, która zadłużyła się u mafii i uchylała od spłaty, więc chłopcy z ferajny tak

ją poturbowali, że straciła całą urodę, a parę złamanych kości krzywo się potem zrosło. Do tego nie była zielona ani nawet ropuszo brunatna, tylko szaroniebieska, cierpiała za to na ostrą postać nadczynności gruczołów śluzowych. Dorzućcie jeszcze skrzydła jak u ważki (tyle że szkarłatne) i troje malutkich oczek świecących czerwono jak diody na waszej nagrywarce DVD. Teraz już jasne?

Przyglądałem mu się długo, niepewny, czyby od razu nie chwycić młotka i nie rozkwasić go na marmoladę. Nie ulegało wątpliwości, że stworek nie jest z tego świata, ale jeśli to szpieg lub zabójca nasłany przez Czarne Słońce, to chłopaki kiepsko wybrali. Po paru minutach miękkiego obijania się o szkło dał za wygraną, zwinął skrzydełka i oklapł do reszty. Poruszał tylko dziwnie otworem gębowym, jakby miał problem z oddychaniem. Pomyślałem, że mogę zwyczajnie poczekać, aż się udusi, a nawet przyspieszyć akcję, podtykając pod szklanę zapaloną świeczkę. Tak, wiem, gadam jak tchórz – ale gdybyście sami go zobaczyli, też nie kwapilibyście się go dotykać. Nawet po to, żeby go ukatrupić. Uwierzcie na słowo – wialibyście z mieszkania i wezwali wsparcie lotnicze. To naprawdę było paskudztwo.

Wziąłem w końcu kawałek kartonu po mrożonej pizzy i ostrożnie wsunąłem pod szklanę. Stworek właściwie nie miał nawet łap, tylko coś na kształt skrzyżowania ślimaka z nóżką pieczarki. Szturchnięty kartonem nie przejął się zbytnio i spokojnie wgramolił na lakierowaną powierzchnię. Podniosłem zamkniętą w ten sposób szklanę i zabrałem do salonu. Postawiłem na stoliku, przycisnąłem grubą książką i poszedłem zobaczyć, czy Scytyjki są już w domu

(chciałem sprawdzić, czy potrafiłyby zidentyfikować stworka jako coś z menażerii Czarnego Słońca). Nie zastałem ich jednak, choć minęła już dwudziesta druga. Wróciłem do siebie ze skrytą nadzieją, że małe bydlę odzyskało tymczasem animusz, przewróciło szklankę i zwało, a ja nie będę musiał kombinować, co z nim zrobić. Niestety, brzydał dalej siedział pokornie, gdzie go zostawiłem, i gapił się na mnie trójką błyszczących, tępych ślepeków. Muszę przyznać, że nie wyglądał specjalnie groźnie, ale nawet gdyby miał oblicze któregoś z hollywoodzkich gwiazdorów, nie znalazłby nikogo chętnego na randkę.

Cały czas poruszał wargami. Wyglądało to, jakby rzeczywiście nadawał skrzekliwe zaproszenia nad ciemnym mokradłem: sflaczała żaba szukająca sflaczałego partnera. Ulitowałem się nad dziwołością i uniosłem nieco szklankę, by wpuścić mu trochę powietrza. Dopiero wtedy usłyszałem jego piskliwy głos.

Stwór mówił. Jak Boga kocham, były to prawdziwe angielskie słowa. Rozpoznałem tylko jedno: „zemsta”, ale to mi wystarczyło.

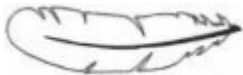
Co to, u diabła, jest? Poszedłem do kuchni, wygrzebałem z szafki druciany durszlak (pamiętałem, że jest w domu, gdyż kiedyś gotowałem sobie spaghetti. Od razu zaspokoje waszą ciekawość: zdarzyło się to jeden raz, jakieś czternaście miesięcy wcześniej). Nakryłem nim szklankę i przewróciłem ją, by pozwolić stworzeniu wypełznąć pod tę zaimprovizowaną klatkę.

Nie spieszyło mu się za bardzo, ale w końcu wyczłapał spod szkła. Przysiadł na tylnych nibynóżkach, zamrugał oczkami i powiedział:

– Mój najdroższy, najukochańszy Bobby...

Trzynaście

Dyktafon i scysja



Na dźwięk mojego imienia w pysku tego obrzydlistwa odskoczyłem na dobry metr, po czym natychmiast zarzuciłem na durszlak marynarkę, lecz i ona nie stłumiła jego cieniutkiego, skrzekliwego głosu. Serce waliło mi tak, jakby chciało rozsadzić żebra. Nie, wcale nie dlatego, że rozdeptana skrzydlata żaba z Piekła rodem siedziała u mnie na stole i zwracała się do mnie po imieniu. O mało nie zwariowałem, gdyż pod tym chrapliwym popiskiwanym, jakby ktoś nawdychał się helu, a potem przypalił gardło chrzanem, kryły się dobrze mi znane intonacja i dobór słów. To był głos Caz.

W następnej chwili łupnęła mnie w mózg myśl równie nagła i szokująca: może to naprawdę ona, moja hrabina Zimnoręka? Może jakoś udało się jej wyrwać z łap Eligora i uciec z Dołu aż tutaj?

Zerwałem marynarkę. Stwór nadal przemawiał, ale brzmiało to mechanicznie, jakbym słuchał nagranej wiadomości.

– ...nadzieję, że przestałeś już wrzeszczeć na swojego małego gościa. Nie bój się, to nie jestem ja, tylko nizzak. Taki mikro demon do przekazywania wiadomości. Nie pytaj, skąd go wzięłam ani jak

wydostał się z Piekła. Jeśli już sobie nalałeś tego drinka, jak ci radziłam, usiądź wygodnie i słuchaj. Mam ci parę rzeczy do powiedzenia.

Byłem tak oszołomiony, że tylko klapnąłem na sofę i gapiłem się z rozdziawioną gębą na potworka jak papuga recytującego przesłanie, którego jakoś go wyuczyła moja ukochana.

– Po pierwsze, okłamałam cię. Nie złość się. Samą siebie też. Dopiero teraz, gdy wiem, że bezpiecznie się stąd wydostałeś, mogę ci wyznać, że jakkolwiek chcesz to nazwać: pragnieniem, obsesją, miłością... ja czuję to samo, Bobby. Od samego początku. Wszystko inne, co ode mnie usłyszałeś, to jednak prawda. Nieważne, co do siebie czujemy, bo wszystko jest przeciwko nam. Dosłownie. Nie będę cię dręczyć wizjami tego, jak by mogło być, bo i tak nic z tego. Nie obedrę cię natomiast z tego, co najważniejsze. Czymkolwiek jest twoje uczucie, podzielał je. Nie umiem sobie wyobrazić, że cię już nigdy nie zobaczę. Tak jednak być musi. Eligor jest wreszcie usatysfakcjonowany. Jego okrutna sztuczka podziałała. Odzyskał pióro, umęczył ciebie i mnie, i na dodatek jeszcze biedną topielicę Marmorę. Znam cię jednak i wiem, że chcesz się zemścić. Bobby, musisz się wyrzec zemsty. W tej chwili sprawy się mają tak, że pewnie zostawi cię w spokoju. Nie miałbyś najmniejszych szans, gdybyś znów przyciągnął jego uwagę. Ja jednak przetrwam, ukochany. Nie jestem śmiertelniczką, jakimś podlotkiem niezdolnym żyć w bólu i trudzie. Wytrzymam. Przeżyłam z tobą najlepsze chwile mojego życia, oddałam ci się bez reszty. To mi pomoże znieść to, co przede mną. Kocham cię. Stało się, powiedziałam to. Żałuję tylko, że nie

zrobiłam tego, gdy byliśmy razem. A teraz, błagam, zapomnij o mnie.

Nizzak ucichł i jakiś czas siedział bez ruchu, wlepiając we mnie gorejące czerwienią oczy. Potem zaczął od początku, tym samym niepokojącym, całkiem nie jej, a zarazem tak mi znajomym głosem. Wysłuchałem fragmentów, które przedtem mi umknęły; nie było w nich nic ważnego poza tym, że pochodziły od kobiety, którą pokochałem bez pamięci i której być może już nigdy nie ujrzę – a więc droższe mi były nad brylanty. Gdy jednak stwór dotarł do miejsca, od którego już dalej wszystko pamiętałem, uznałem, że wystarczy. Zupełnie jakby Caz mówiła do mnie przez staroświecki telefon na linii międzymiastowej, usiłując zademonstrować wpływ wielokrotnego udaru mózgu na ludzką mowę. Zakryłem demonka marynarką i bezsilnie opadłem na sofę.

Nie mogłem się pozbierać. Byłem niezmiernie wdzięczny losowi... ba, bliski ekstazy!... że dostałem od niej wiadomość, w dodatku z takim wyznaniem – a więc mnie kocha! – czułem jednak, że wzbiera też we mnie i powoli się rozpala inna, jakże inna emocja.

Wzbudziło ją imię Eligora, a raczej ton Caz, gdy radziła mi zaszyć się w ściółce leśnej, żeby tylko arcyksiążę Jeździec sobie o mnie nie przypomniał.

Usatysfakcjonowany, powiedziała. Potwór, który torturował nas oboje, by nie wspomnieć o niezliczonych duszach przez tysiące lat, jest w dobrym humorze. Tak, to mnie od razu podniosło na duchu. A jeśli mam wiele, wiele szczęścia, to dręczenie i poniżanie mnie może

już go znudziło. No, wprawdzie nadal więzi najdroższą mi kobietę i zapewne ją torturuje i gwałci na przemian, ale co tam, nad tym powinienem przejść do porządku.

Długi czas na mojej liście rzeczy do zrobienia, zanim kopnę w kalendarz, nic nie miało pierwszeństwa przed wyrwaniem mu z diabelskiej piersi jego czarnego serca – i tak jest w dalszym ciągu. Gdyby ktoś dał mi teraz wybór między unicestwieniem Eligora a wykończeniem Anaity, to nie wahałbym się ani chwili – choćby miało to oznaczać, że archanielica mnie dopadnie. Eligor był uosobieniem zła. Cały wszechświat skorzystałby na jego nagłej i oby jak najstraszniejszej śmierci.

To jednak obecnie nie było ważne, albowiem nie mogłem mu nic zrobić. Raz już przemierzyłem kręgi Piekła i doznałem niewypowiedzianych cierpień – tylko po to, by się przekonać, że nie dotrzymam mu pola ani przez sekundę. To było wiadome od początku, a zapłaciłem za tę idiotyczną decyzję tygodniami, czy może wiekami mąk tak okropnych, jakich nie zniosłaby żadna żywa istota gdziekolwiek w kosmosie. Liczyło się tylko to, że drań wciąż ma w ręku Caz. Nie wyszło mi ze złotym piórem, wiedziałem jednak, że bez najmniejszego wahania oddałby mi ją za swój róg – spadłoby mu bowiem wielkie brzemię z barków. Bez rogu nikt w Niebie i Piekło nie mógłby udowodnić, że arcyksiążę wszedł w układ z archaniołem. Eligora może nie obchodzić jakiś tam Bobby Dolar, ale cholernie się boi uzyskania jakiegokolwiek przewagi przez któregoś z piekielnych arystokratów: księcia Sitriego, przewodniczącego Wielkiej Rady Cayma i całej reszty.

I w sumie nic się nie zmieniło. Mimo zaprawionej goryczą euforii buzującej we mnie po odebraniu wiadomości od Caz moją jedyną nadzieją na szczęśliwe życie – jakiegokolwiek zresztą, co tu dużo gadać – pozostawało zdobycie tego rogu i wymuszenie na Eligorze, żeby mi ją oddał.

Tylko że róg był w posiadaniu Anaity.

Poszedłem za radą Caz i nalałem sobie drinka. Skrzydlaty cudak dalej mamrotał swoje pod marynarką. Przyszło mi nagle do głowy, że może uda mi się go wykorzystać do przesłania jej odpowiedzi. Nie miałem pojęcia, jak do tego podejść, ale jak ktoś dawno temu powiedział: szczęście sprzyja odważnym. Sam dodawał zazwyczaj: i depcze głupich, ale według mnie to nie do końca prawda. Jakoś sobie dotąd radziłem, a nikt nigdy nie nazwał mnie mądrym. Najwyżej mądrąłą.

Podwójną wódkę z tonikiem wchłonąłem szybko i znów odsłoniłem durszlak z zawartością. Mała paskuda próbowała odlecieć, ale oczywiście nic z tego nie wychodziło; objęła się tylko o siatkę, nie przestając przy tym powtarzać tekstu Caz. Uniosłem durszlak i wzięłem nizzaka do ręki. Był zaskakująco rozgrzany, jakby ktoś smażył go na maśle. Upuściłem go z sykiem bólu i omal nie wsadziłem palców do ust, w porę jednak sobie przypomniałem, jakie świństwo bym wtedy wprowadził do organizmu. Podmuchałem na dłoń i spróbowałem drugi raz, ale już przez ręcznik.

– ...Nie pytaj, skąd go wzięłam ani... – Nizzak nie przerwał odtwarzania, gdy go podniosłem, za to próbował się wyrwać.

– Zamknij się i siedź spokojnie – poleciłem i podkreśliłem to mocnym ściśnięciem, uważając jednak, by go nie zgnieść.

– ... jhak wydhostał się z Phiekła... – wycharczał przyduszony.

– Zamknij dziób! – powtórzyłem i ścisnąłem go mocniej.

Dopiero po trzeciej powtórcie cudak zrozumiał aluzję i zamilkł. Przysunąłem go sobie pod nos, aż poczułem bijący od niego żar.

– Wydostanę cię stamtąd – powiedziałem powoli i wyraźnie. – Spakuj walizkę. Nie wiem, ile mi to zajmie, ale to zrobię. Przysięgam na Najwyższego.

Czerwone ślepia nizzaka nie zmieniły wyrazu, powtórzyłem więc wiadomość jeszcze kilkakrotnie, zaznaczając początek i koniec wypróbowaną metodą podduszania. Gdzieś za piątym razem wybałuszył oczy i otworzył gębę, ale zamiast wypowiedzieć to, czego go uczyłem, beknął tylko cichutko. Odór rozszedł się taki, jakby trup puścił bąka. Aż mi oczy zaczęły łzawić.

– No dobra, ty mała grudo łajna – warknąłem. – Chcesz sobie pogrywać ze starszymi? Będziesz mi się tu stawiał? – Zawinąłem go w ręcznik jak w kaftan bezpieczeństwa i zaniósłem do kuchni. – Ostatnia szansa. Powtarzaj za mną: wyciągnę cię stamtąd...

Nizzak jednak tylko gapił się na mnie tępo jak najmniejszy na świecie referent w dziale skarg i zażaleń, otworzyłem więc zamrażalnik i wepchnąłem drania do środka, po czym wróciłem do salonu nalać sobie kielicha.

Pięć minut później poszedłem sprawdzić efekty krioterapii. Stwór

leżał na grzbiecie i chwycił powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg, a z rozwartej gęby, uszu i nozdrzy sączył mu się jakiś parujący płyn. Wyjąłem go, rozwinąłem i położyłem na dłoni. Przewrócił się na brzuch i zaczął się kręcić w kółko – o wiele łatwiej było go teraz trzymać, gdy trochę ostygł – i raz jeszcze spróbowałem nagrać na niego wiadomość.

Nie dał żadnego znaku, że skapował, w czym rzecz, zaaplikowałem mu więc następną dawkę mrozu.

Bawiliśmy się tak dobrą godzinę. Włączyłem telewizor na kanał sportowy i usiłowałem się zrelaksować, ale bezskutecznie. Zbyt wiele się ostatnio działo. Byłem zmęczony, zdezorientowany i wkurzony jak wszyscy diabli.

Po czwartej rundzie nizzak zaczął kumać, o co chodzi. Leżał zdyszany na mojej dłoni i wsysał ciekącą zeń wydzielinę, a ja cierpliwie powtarzałem, co ma przekazać Caz. W końcu otworzył gębę i powiedział:

– Wydo... wydo... wydo...

Przestraszyłem się, że mu odbiło z zimna, ale zaraz do mnie dotarło: to przecież pierwsze sylaby mojego tekstu. Więcej jednak nie był w stanie wydukać, zmierzyłem go więc surowym spojrzeniem i zapowiedziałem:

– Każdy, kto nie robi porządnie, co do niego należy, zalicza nockę w pudle.

Aby wiedział, że to nie czcza pogróżka, wpakowałem go znowu do zamrażalnika, ale tym razem na krótko.

Zdążyłem wlać w siebie ze cztery wódki, zanim mały skurczybyk zdołał wreszcie wyrecytować wszystko jak należy. Byłem pewien, że Caz ma lepszy sposób programowania, ale cóż, każdy sobie radzi jak umie – a mnie cholernie zależało nie tylko na tym, by dać jej znać, że odebrałem wiadomość, ale też, że nic ważnego się po niej nie zmieniło. Nogi mi się trochę plątały – mówiłem już chyba, że ostatnio znacznie mniej piję – ale czułem się wielce dumny z siebie.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Zakryłem nizzaka ręcznikiem i podreptałem zobaczyć, kto zacz.

Był to Sam.

– Coś dziwnie wyglądasz. – Obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Co masz na rękę?

Zerknąłem na drgający tłumoczek z frotté.

– Zaczekaj chwilę, zaraz kończę – odrzekłem. Odgarnąłem ręcznik. Nizzak uniósł się na łapkach i rozprostował wygniecione skrzydła. Podniosłem go do oczu. – To co masz powiedzieć, ty diabli śmierdzielu? Co masz powiedzieć?

– Bardziej ci potrzebna fachowa pomoc niż nowe zwierzątko – stwierdził mój przyjaciel. – Ale cieszę się, że chcesz znowu nadać życiu jakieś znaczenie.

– Przymknij się, Sam. Każdy, kto się głośniej odezwie, zalicza nockę w pudle.

– Tylko mi nie mów, żeś obejrzał na świeżo *Nieugiętego Luke'a**?
– Sam pokręcił głową i zapatrzył się na nizzaka. – Co to za

cholerstwo?

– Czekaj, mówię. Już prawie koniec.

Jeszcze raz zmusiłem potworka do powtórzenia wyuczonego tekstu, po czym zniosłem go do okna i wystawiłem rękę na zewnątrz. Posiedział chwilę, machając skrzydełkami dla rozćwiczenia mięśni, potem poderwał się do lotu i zatoczył parę rozchybotanych kółek jak niebezpiecznie przeładowany helikopter.

– A więc tak teraz spędzasz wolne wieczory? – spytał Sam. – Wyznając dozgonną miłość przygodnym robalom?

– To nie robal – odburknąłem. – To nizzak. Istotna różnica.

– Kurdesz pałasz, B., ileś ty dzisiaj wychlał?

– Tyle co nic. Cztery. Może z siedem, jak doliczyć piwa. Ale nieważne. On był od Caz. Przysłała mi wiadomość.

– I nie oglądała się na koszty. Co za dziewczyna.

– Dupek z ciebie.

Wiedziałem, że o czymś chciałem z nim pogadać, ale za Chiny nie mogłem sobie przypomnieć o czym. Roześmiałem się.

– Kawa – zalecił doktor Sam. – Idiotą będziesz dalej, ale przynajmniej trzeźwiejszym.

Dopilnował, żebym się ogarnął, i podtrzymywał za łokieć na schodach w drodze na dół, do jego samochodu – jak zwykle, była to jakaś nudna szara mysz motoryzacji. Sam nieodmiennie wybiera wozy wyglądające jak niedobitki z dawno wymienionej floty rządowej. I nie mam na myśli tej części rządu, której podlega James

Bond, lecz raczej referat wiejskich listonoszy w okręgowym urzędzie poczty i telekomunikacji.

Wylądowaliśmy w całodobowej kafejce przy Camino Real na skraju Spanishtown. Po paru kubkach czarnej zacząłem wierzyć, że życie może nie jest całkiem złe. Opowiedziałem Samowi o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło: o nizzaku, Czarnym Słońcu i ich swastykoszmarkach, Amazonkach, a nawet ostrzeżeniu otrzymanym od Muła. Alkohol w końcu ze mnie wyparował i została sama kofeina. Zaczynałem się już poważnie zastanawiać, kogo z gości mam udusić, żeby dać upust złości na cały świat, kiedy Sam wrócił z przydługiej wycieczki do toalety.

– Jak mówi przysłowie, kto rano wstaje, ten leje jak z cebra – powiedział. – Miałem tego w sobie chyba z sześć litrów.

– Nie bardzo mnie to ciekawi – mruknąłem.

– To może zainteresuje cię coś innego. – Sam spróbował kawy, która dawno zdążyła ostygnąć, i skinął na naszą wiekową kelnerkę, żeby mu dołała.

– Co mianowicie?

Pewnie należałoby coś zjeść, pomyślałem. Zaczynało mną już trzepać. Może kawałek ciasta?

– Pytałeś, czy mógłbyś odwiedzić Kainos.

– Kainos?

– Tak to nazywamy. No wiesz, Trzecią Drogę. Chciałeś ją obejrzeć.

– Tylko nie myśl, że doznałem iluminacji czy coś w tym rodzaju. To nie żadne nawrócenie, stary. Myślałem o zwykłym rekonesansie.

– I w tym właśnie problem, Bobby. Nic z tego nie będzie. Pozmieniało się.

– To znaczy?

– Najkrócej mówiąc, interes został zwinięty. Kefas właśnie nam obwieścił, że koniec z naborem nowych dusz i że od teraz nikomu nie wolno wchodzić i wychodzić, oprócz mnie i pozostałych pomocników, czyli reszty Magów.

Magami nazwała się grupa aniołów zajmujących się rekrutacją wybranych ludzi gotowych zaryzykować los swych dusz, żeby po śmierci dołączyć do Trzeciej Drogi.

– Chcesz powiedzieć, że nie da rady tam wejść?

– Nie mam pojęcia, jakimi środkami kontroli dysponuje Kefas, ale nie wątpię, że zauważyłby każdą twoją próbę, a wtedy to ja znalazłbym się na muszce. Nie zapominaj, że w przeciwieństwie do ciebie nie mam innego miejsca, w którym mógłbym się schronić, kiedy gównno wpadnie w wentylator.

Czułem się dziwnie, wyczerpany i nakręcony zarazem, i choć alkoholowy humorek zdążył mnie opuścić, wyglądało na to, że procenty wciąż mącą mi umysł. Zapewne nie powinienem poruszać tego tematu, przynajmniej nie w tamtej chwili, ale musiałem się wreszcie dowiedzieć, gdzie kto stoi i kto jest naprawdę po mojej stronie.

– Sam, muszę ci coś powiedzieć. Wiem, kim jest Kefas. I nie tylko to. Wyobraź sobie, że nie kto inny, ale właśnie on dybie na moje życie.

Samariel długo patrzył na mnie bez słowa. Potem wziął łyżeczkę i równie długo mieszał nieosłodzoną kawę, zanim w końcu rzucił krótkie: „Mów”.

No to mu powiedziałem. Pamiętajcie, że dusiłem to w sobie od bardzo dawna – od chwili, kiedy w Piekle nieumarły zabójca Śmiszek wyznał mi, że pracuje dla Kefasa, a Walt Sanders przekazał mi coś, co mnie doprowadziło do wniosku, że pod tym pseudonimem może się kryć Anaita. Musiałem to wszystko wytłumaczyć Samowi od początku. Wiele przed nim ukrywałem i wprowadzenie go w temat zajęło sporo czasu. On tylko słuchał, sączył coraz chłodniejszą kawę i milczał, wyczuwałem jednak, że to, co z niego emanuje, nie jest kwintesencją harmonii.

Kończąc opowieść, modliłem się w duchu, żeby zareagował jakoś dobrze; może klepnie mnie w ramię i zapewni, że będzie ze mną do końca, albo przedstawi lepsze wyjaśnienie, po którym wszystko znów nabierze sensu. Jednakże gdy zamilkłem, on dalej patrzył na mnie bez słowa, aż wreszcie spytał:

– Skończyłeś?

Przytaknąłem.

– To dobrze, bo muszę powiedzieć, że to największy stek bzdur, jakie w życiu słyszałem... a jak sam wiesz, szuflowałem gnój w stajniach kłamstwa przez wiele, wiele lat. – Odchylił się na krześle i

świdrował mnie spojrzeniem, jakiego jeszcze u niego nie widziałem.

– Popatrz na siebie, Dolar. Jesteś pieprzonym wrakiem. Zakochałeś się w kobiecie, którą spalono na stosie i która sama przyznaje, że na to zasłużyła. Poszedłeś dla niej do Piekła, na litość boską! Wnerwiłeś jednego z najcięższej wagi fajterów Przeciwnika, spowodowałeś demolkę w „Cyrklu”, a teraz chcesz mi wmówić, że sprawa, dla której od lat pracuję z całego serca, to tylko jakiś przekręt. Może nawet wymyślony specjalnie po to, żeby cię dopaść. Mnie też podejrzewasz o udział w kosmicznym spisku przeciwko tobie? Tak, Bobby? Masz mnie za wroga, bo to i owo trzymałem w tajemnicy? Myślisz, że razem z Kefasem knuję twoją zgubę?

– No co ty, Sam! Nie wygłupiaj się.

– Ja się wygłupiam? Jasna cholera, czy ty słyszysz, co mówisz? Co parę tygodni zmieniasz mieszkanie, masz ściany podziurawione kulami, nie śpisz po nocach, wpieniłeś całe szefostwo, nie mówiąc o hordach piekielnych. I zamiast uciec od tego wszystkiego i przenieść się ze mną do Kainos, ty wolisz wszystko robić po swojemu. Mówię to z przykrością, stary kumplu, ale twoje podejście jest do dupy.

Siedziałem osłupiały z gębą otwartą jak u nadzianej na harpun ryby, kiedy Sam rzucił na stół piątkę za kawę, a potem dwudziestaka przed mój kubek.

– Weź taksówkę, człowieku. Na razie nie chcę spędzić ani sekundy dłużej w twoim towarzystwie. Gdybyś nie był cały posiniaczony, korciłoby mnie, żeby cię wyciągnąć w zaułek i dać dobrą fangę w nos. – Zrobił kilka kroków w stronę wyjścia, ale

zatrzymał się jeszcze i odwrócił. – Rozumiem, że czujesz się paskudnie. Rozumiem, że według ciebie świat jest sakramencko popieprzony, i ten ziemski, i nasz. Nawet się z tobą ogólnie zgadzam. To jednak nie znaczy, że muszę się w tym tarzać razem z tobą. A w tej chwili głównie mnie to wszystko obchodzi.

– Sam, przepraszam...

– Powiesz mi to innym razem. Może wtedy cię wysłucham.

Zawinął się i odszedł. Był tak wyprowadzony z równowagi, że nawet nie widział, jak zahacza połą płaszcza o następny stolik, przy którym siedziała jakaś para. Postura mojego przyjaciela budzi respekt, a kiedy widać po nim wzburzenie, tylko samobójca poderwałby się i próbował wszcząć z nim awanturę. Tamci dwoje nawet nie zaczęli wyrzekać, jaki to z niego gbur, kiedy zamknęły się za nim szklane drzwi kafejki.

Po jego odejściu siedziałem jak skamieniały, gapiąc się na odbicie lampy w czarnej powierzchni napoju. Kelnerka przechodziła obok mnie parę razy, proponując dolewkę, ale zbywałem ją machnięciem dłoni.

Na cholerę mi teraz kawa.

* Film z Paulem Newmanem (1967).

Czternaście

Cudze problemy



Nie pospałem za wiele tej nocy, ale tym razem przynajmniej nie z powodu koszmarnych majaków. Niemal namacalnie czułem pętlę na gardle, z każdym dniem coraz mocniej zaciskaną. Trzymałem się tylko nadziei, że odnajdę róg i wykradnę go Anaiście. Na razie jednak traciłem tylko przyjaciół i sojuszników.

Nie wierzyłem, że Sam odszedł na dobre. Inna rzecz, że choć nieraz bywał na mnie wkurzony, to nigdy do tego stopnia – a wciąż nie wiedziałem wszystkiego o ich układzie z Kefasem. Na dodatek też miałem parę zastrzeżeń co do jego lojalności. W kwestii Trzeciej Drogi od początku mnie okłamywał, czego bym się po nim nigdy nie spodziewał. Może nawet cały czas wiedział, że pracuje dla Anaity, i całe to wzburzenie było tylko odegrane? Cholera, nawet nie wiem, jak o tym myśleć, takie to się wydaje nieprawdopodobne.

Jeżeli jednak nie mogę liczyć na Sama, to kto zostaje w drużynie Bobby'ego? Lisiu wyraźnie powiedział, że nie chce mieć z tym nic wspólnego; gość najwyraźniej zesrał się ze strachu – jeżeli można tak rzec o japońskim leśnym duszku. Clarence? Możliwe, lecz i on

jeszcze nie do końca się zrehabilitował po rozpoczęciu kariery w roli szpicla i próbie aresztowania Sama. (Nieudanej tylko dlatego, że zdążyłem zdzielić go w ciemnię pistoletem – przyznaję więc, że i ja nie byłem godnym zaufania mentorem). George Świniolak wczasuje gdzieś w Dolinie Centralnej, siostry Sollyhull kompletnie się nie nadają, Połamaniec po naszej ostatniej sesji jest jeszcze bardziej połamany niż zazwyczaj. No to kto? Dwie dopiero co poznane Amazonki, słabo jeszcze znające angielski, i nieśmiertelny z własnego wyboru dealer samochodowo-pistoletowy, który nigdy się go dobrze nie nauczył. Jeszcze ktoś? No, może doktor Gustibus, ale za mało go znałem, a zbyt wielki był z niego dziwak, żeby na nim polegać.

Aha, byłbym zapomniiał: jest jeszcze mój znajomek G-Man, czyli Garcia Windhover, kretyński wielbiciel gangsta-rapu, który się uważa za mojego człowieka i zrobiłby dla mnie wszystko – z tym że brakuje mu nie tylko kwalifikacji do czegokolwiek, ale i krzty zwykłej inteligencji. Jego angielszczyzna też pozostawia wiele do życzenia, mimo że niby wyssał ją z mlekiem matki. Jasne, mogłem mu spokojnie powierzyć mu duszę – albo od razu wziąć i się zastrzelić.

Takie to ciężkiego kalibru dylematy spędzały mi sen z powiek tej nocy. Rzeczy, które mogły wpłynąć nie tylko na mój los, lecz na samą równowagę sił między Niebem a Piekłem. Gdy w końcu dałem za wygraną i wstałem, by zrobić sobie kawy, przynajmniej jedna decyzja już była przesądzona. Przerazało mnie to, co miałem zrobić, ale innego wyjścia nie było.

Pora sprzedać samochód.

– Nie mówisz poważnie.

Z Orbanem nigdy nie wiadomo, czy zadaje ci pytanie, stwierdza fakt, czy może w ogóle mówi do kogoś innego, bo facet nie zwykł patrzeć rozmówcom w oczy, a do tego najczęściej tłoczy się wokół niego kilku brodaczy zabiegających o jego uwagę; nieodparcie kojarzy mi się to z królową Śnieżką podczas sezonu godowego krasnoludków. Oczekałem więc z komentarzem, aż rozejdzie się ostatnia grupa rusznikarzy, mechaników czy kogo tam jeszcze. Orban powtórzył tę samą uwagę, z czego wywnioskowałem, że wtedy jednak zwracał się do mnie.

– Chciałbym, żeby tak było – odparłem. – Kocham tę brykę jak własną matkę. Nawet bardziej, bo nigdy nie dawała mi pasztetowej na śniadanie i nie zmuszała, bym chodził do szkoły w ubraniach po bracie. Niestety bardzo potrzebuję forsy, a poza tym nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę mógł sięść za jej kierownicą, nie czując się przy tym jak tytułowy bohater *Ściganego*.

Poszliśmy do garażu. Orban ściągnął plandekę z mojego umiłowanego AMC matadora machine. Miedziany lakier i skórzana tapicerka w czarno-białą szachownicę były tak piękne, że omal nie zaszlochałem.

– Okropne brzydactwo – powiedział. – Ale silnik, trzeba przyznać, świetny. Nowiutka czterolitrówka, chodzi jak marzenie.

– Nie przypominaj mi – burknąłem. Dlaczego wszyscy wyskakują z takimi komentarzami na temat urody mojego cudeńka? Czy już nikt w tym mieście nie ma serca do prawdziwej sztuki? – Wciąż wiszę ci

dychę. Ile możesz za niego dostać?

– Jeżeli znalazłbym ślepcę z zacięciem do ostrej jazdy, może z dwadzieścia pięć tysi. – Węgier zmrużył oczy i zmarszczył czoło, upodobniając się do Popeye’a w wersji wschodnioeuropejskiej. – Tak lichy stoisz? Jak ci naprawdę zależy, dam dychę od ręki i będziemy kwita. Urządza cię to?

– Jasne. Jak najbardziej.

Z moją płynnością finansową było tak kiepsko, że zaczynały mnie nadchodzić dziwne, niepodobne do mnie myśli w rodzaju „zapaść brodę i z walizką spluw ukryć się w puszczy” albo nawet „zatrudnić się u Orbana” (co by mniej więcej na to samo wyszło, minus ta puszcza).

Ze względu na charakter swoich interesów, a ściślej mówiąc, klienteli, Orban wszelkie płatności uskuteczniał wyłącznie w gotówce, o czym dobrze wiadano w kręgach gangsterów i handlarzy narkotyków, którzy chętnie się u niego zaopatrywali w broń i opancerzone samochody. Nie zdarzyło się jednak nigdy, żeby ktoś próbował go obrabować, co tyleż mówi o nim samym, ile o dziesiątkach jego dobrze uzbrojonych i praktycznie zawsze obecnych pracowników. Mój węgierski przyjaciel twierdzi, że osobiście zaprojektował i kierował odlaniem tureckich armat, które zmusiły do kapitulacji załogę Konstantynopola. Nie otwierajcie Google’a, już mówię – chodzi o rok Pański 1453. Można to zbyć jako wierutne łgarstwo, ale że sam mam dziewczynę, którą stracono jeszcze wcześniej, jestem skłonny dopuszczać taką możliwość. Gdybyście

spędzili z nim pół godziny, zwłaszcza gdyby był nie w humorze, też byście prędziutko uwierzyli mu na słowo. Żaden z niego gladiator, ale osobowość ma tak wyrazistą, jak jeżozwierz jest kolczasty.

W biurze odliczył mi sto franklinów, podsunął do podpisu umowę kupna-sprzedaży, po czym otworzył wino i wypiliśmy po kieliszku. Jeszcze jedna uwaga: nigdy przy nim nie mówcie, że węgierskie smakuje jak krowie szczyni. Podobno nazywa się „Bycza Krew”, ale śmiałem przypuszczać, że to błąd w tłumaczeniu.

Od razu oddałem mu dwie setki za przemalowanie mojego starego datsuna (też odeń kupionego). Wolałbym po prostu zmienić wóz na inny, taki, w którym nikt mnie przedtem nie widział, w razie konieczności szybkiego zniknięcia, ale musiałem się obyć zmianą koloru na nijaką czerń (a potem ją trochę przykurzyć).

Podczas gdy chłopaki Orbana zajęli się tą kosmetyką, przeszedłem się nabrzeżem do pobliskiego baru i zjadłem późne śniadanie. W oczekiwaniu na placki ziemniaczane i jajecznicę na kiełbasie ponownie przerzuciłem dane od George'a, po czym posłałem mu wytyczne do zawężenia poszukiwań. Za oknem darły się i czubiły wrony. Nie mogłem wyrzucić z głowy skojarzenia, że tak samo jakieś piekielne ptaszyska będą się kłócić o moje szczątki, kiedy już Anaita ze mną skończy.

Wracałem do swojej dzielnicy, wciąż mając w uszach palące słowa Sama. Może miał rację i to wszystko dzieje się tylko dlatego, że jestem upartym dupkiem? Nie zamierzam twierdzić, że nim nie jestem – tę dysputę przegrałem już dawno – ale czy naprawdę sam to na

siebie ściągnąłem? W końcu to on podrzucił mi do kieszeni cholerne złote pióro (umownie mówiąc, gdyż owa kieszeń fizycznie należała do innej czasoprzestrzeni), od którego cały ten bajzel się zaczął. Gwoli wyjaśnienia: tego akurat nie mam mu za złe, bo inaczej nie spotkałbym Caz. Inna sprawa, że nie spotkałbym też wielkiego i gorącego sumeryjskiego potwora, który chciał mnie ukatrupić, i nie podpadłbym Eligorowi. I nie musiałbym się pchać do Pieła. Poprawka: właściwie mam mu to za złe. Sukinsyn jeden.

Wiedziałem, że nawet po dobrej godzinie pod żarem lamp nowy lakier naprawdę stwardnieje dopiero po paru tygodniach, ale lśnił dobrze i już wysechł, więc w drodze z Salt Piers zjechałem z szosy i pokręciłem się trochę po pylistych traktach nad zatoką. Świadomie narażałem w ten sposób świeżutką powłokę na uszkodzenia od pryskających spod kół kamyków, ale wszak nie płaciłem lakiernikom za elegancki wygląd, tylko za samą zmianę i nijakość. Miałem kilka spraw do załatwienia i wołałem nie zwracać na siebie uwagi.

Po pierwsze, niech tam sobie Niebo myśli, co chce, ale musiałem się wynieść z Tierra Green Apartments. Zbyt wiele złych rzeczy mnie tam odnalazło. Już wcześniej spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy do walizki. Nie zabierałem wszystkiego, nie chciałem bowiem ostentacyjnej przeprowadzki. Nowy adres? Miałem pewien pomysł.

Dojechawszy do centrum, zadzwoniłem do rudej Haliny. Nie rozmawiałem z Ukrainkami od niespodziewanego wieczorku zapoznawczego w Noc Swastykoszmarka, byłem więc mile zaskoczony, że w ogóle odebrała telefon. Powiedziałem, że musimy się spotkać, podałem czas i zamiary i co mają przynieść. Umówiliśmy

się za godzinę.

Miałem więc trochę czasu do zabicia, ale ani mi się śniło wpadać do „Cyrkla”, zwłaszcza samochodem. Lokal na pewno jest obserwowany, więc podjechać datsunem na Beeger Square byłoby równoznaczne z puszczaniem na fejsie zdjęcia z podpisem „Patrzcie, mój stary wózek w nowej szacie. LOL!”. Stałem więc na miejskim parkingu i wszedłem do nieznanego mi baru. W środku było tak elegancko, jak się można spodziewać po pretensjonalnej nazwie „Zacisze”: mroczna, depresyjna mordownia, gdzie można się zalać w trupa w samo południe i nikt nie zatrzyma na tobie spojrzenia. Dla mnie jednak w sam raz; potrzebowałem tylko kufelka (na klina po wczorajszym) oraz cichego miejsca na dalszą lekturę perskich materiałów.

Przeglądając mejle od Tłuszciocha, nabierałem coraz większej pewności, że krąg możliwych ziemskich tożsamości Anaity zmniejsza się do czterech czy pięciu nazwisk, zaleciłem więc George’owi, by ograniczył się tylko do nich. Potem już tylko siedziałem nad piwkiem. Jakiś facet przy barze snuł głośne i kwieciste wyrzekania na temat swej byłej. Słuchanie o cudzych problemach wpływało na mnie dziwnie kojąco.

Zmierzch już się zakradał do miasta, gdy wchodziłem do parku Hoovera. Światła w wysokich biurowcach były pozapalane, zewsząd otaczały mnie więc jasne prostokątne okien zawieszane, rzekłbyś, jak gwiazdy na tle pociemniałego nieba. Skierowałem się ku południowemu krańcowi; wybrałem go na spotkanie dlatego, że dziewczyny mogły tam bez trudu dotrzeć spacerkiem.

Dziesięć minut później nadeszły, taszcząc torby turystyczne. Z wyglądu nie różniły się od typowej na pół bezdomnej młodzieży, jakiej pełno tam za dnia. Pomachałem im na powitanie.

– Przejdźmy się – zaproponowałem.

Poprowadziłem je do bardziej odizolowanej części parku, niedaleko jednego z placów zabaw. O tej porze zastaliśmy tam już tylko jedną młodą mamę z parką zakatarzonych dzieciaków, ale i oni zbierali się do odejścia. Patrząc za nimi, odezwałem się do Haliny:

– To powiedz mi jeszcze raz, o co wam chodzi. Konkretnie. I dlaczego mi pomogliście.

Wyglądała na lekko zaskoczona pytaniem. Jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy wyciągnąłem pistolet.

– Co się dzieje?

– Nic. Fachowy termin to „zawodowa czujność”. Oksana, ty też siadaj.

Wlepiały we mnie szeroko otwarte oczy, ale trzeba przyznać, że dalekie były od paniki na widok broni. Zastanawiałem się, w ilu złych lub niebezpiecznych sytuacjach już zdążyły być przez te krótkie dwadzieścia parę lat życia.

– Po co to? – spytała Oksana, wskazując moją efenkę.

– Bo potrzebuję odpowiedzi. Tym razem prawdziwych. Najpierw wasze koleżanki Scytyjki, czy jak wolicie się zwać, chciały zdobyć anielskie pióro. Teraz wam zależy, żeby diabli róg nie dostał się w łapy Czarnego Słońca. Skąd w ogóle ich znacie? Skąd wiecie o tym

wszystkim i co was to obchodzi?

– Wiemy, bo ta wiedźma Anahita jest naszym odwiecznym wrogiem – odrzekła Halina. – Kazała swoim perskim sługusom porywać w niewolę nasze siostry.

– Kiedy?

– Jak to kiedy? Wtedy, gdy Persowie jej słuchali. Czčili ją w świątyniach.

– Ale wiecie, że mówimy tu o sprawach sprzed co najmniej dwóch tysięcy lat?

– My nie zapominamy – rzuciła dumnie Oksana.

– Tak nas wychowują. Żebyśmy pamiętały – dodała Halina.

– No dobrze, a co z Czarnym Słońcem?

– Zaczęło się od tego, że po przetargu na pióro oni się tobą zainteresowali. Znałyśmy ich już wcześniej, bo w Rosji też są. I nas nienawidzą. Nazywają zdrajczyniami rasy i dziwkami. – Uśmiechnęła się. – No i lesbami, ale to akurat nie wszystkim z nas przeszkadza. Próbowali wtargnąć do naszego obozu i zabiłyśmy jednego. Od tamtej pory między nami wojna.

– Czyli nie współdziałają z Anaitą?

– Nie. Nie wiemy, do czego im ten róg, ale w nim potężna siła. – Wzruszyła ramionami. – Nam on na nic, chodzi tylko, żeby uderzyć w Anahitę.

– Porywacie się na boginię. Chcecie pokonać archanioła. Zdajecie sobie sprawę, że nic z tego nie wyjdzie?

Oksana zerknęła niespokojnie na pistolet, Halina jednak jakby o nim zapomniała. Pilnowałem, żeby trzymały ręce na widoku i żeby żadna nie mogła mnie łatwo dosięgnąć. Refleks mam szybki, zwłaszcza w porównaniu ze zwykłymi facetami, nie zapomniałem jednak o ostrych narzędziach, z którymi ćwiczą w mieszkaniu, no i że one są dwie, a ja jeden. Przypuszczałem też, że w przeciwieństwie do mnie nie wypłyły wczoraj wieczorem od siedmiu do wielu drinków.

– Nasza wojna długa – mówiła dalej Halina. – Nie dajemy Anahicie wygrać i to jest nasze zwycięstwo. Nasze przywódczynie powiedziały, że bez pióra nie dosięgniemy jej samej, za to gdybyśmy zdobyły róg, zaszkodziłybyśmy jej inaczej. Straciłaby moc.

No, na pewno straciłaby władzę nad Eligorem. Gdyby zaś on poszedł na dno, usiłowałby ją także pogrążyć. Arcyksiążę już tak ma. Miałem nadzieję, że starczy mu wpływów, by w razie czego chociaż wzbudzić poważne wątpliwości co do jej osoby wśród jej archanielskich kolegów.

– Chcecie powiedzieć, że to nie miało nic wspólnego ze mną? Dlaczego zamieszkałyście akurat w moim bloku?

– Pilnować cię – odrzekła Oksana. – Nie szkodzić.

– Bo wielu ludzi wie, że ty jesteś ten gość z piórem – wyjaśniła ruda. – Teraz znów słyszą, że możesz mieć róg. Dla niektórych to ważna wiadomość, zwłaszcza dla tych złych. Myślałyśmy, Czarne Słońce będzie cię szukać, no to ich wypatrujemy. Nie mogą dostać rogu. I tyle. Robimy swoje. Pracujemy dla naszych.

– A waszym potrzeba tylko rogu. Tylko że tu robi się problem.

Nie mogę pozwolić, żebyście go wzięły. Mnie jest potrzebny bardziej niż komukolwiek. Jedno mogę wam przyrzec: gdy go zdobędę, Anacie nie spodoba się to, co potem nastąpi. Co zaś się tyczy tych faszystowskich sukinsynów, to jesteśmy jednej myśli: oni go nie mogą dostać.

Dziewczęta odbyły szybką naradę po ukraińsku. Nie opuszczałem pistoletu, uważałem jednak, by nie celować w żadną z nich. Czasem kurtuazja jest równie ważna jak zaufanie.

– Okej – powiedziała w końcu Halina. – Zgoda. Ty przyrzekasz, my wierzymy. Nie dasz rogu Anahicie, wszystko będzie w porządku. Możemy razem pracować.

– Nie tylko pracować – uprzedziłem. – Walczyć. Jesteście na to gotowe?

– Całe życie my walczyły. – Oksana żywo pokiwała głową. – Wojna to wojna. Z perską wiedźmą.

– Dobra. To jeszcze ostatnia rzecz.

Podrzuciłem pistolet, złapałem za lufę i podałem Halinie. Ujęła rękojęść, nie kryjąc zaskoczenia.

– Dlaczego? – spytała, unosząc brwi. – Nienabity?

– Przeciwnie, nabity i to bardzo. Sprawdź. – Poczekaj, aż wyjmie magazynek. – Srebrne, jak widzisz. Z ołowiu praktycznie już zrezygnowałem.

Dziewczyna zważyła pistolet na dłoni, po czym wzięła mnie na muszkę. Ocenilem, że byłaby zdolna pociągnąć za spust, gdyby

zechciała.

– Dlaczego mi go dałeś?

– Bo mam dosyć nieufności. Ponadto nie wydaje mi się, żebym w najbliższych dniach miał dużo czasu na dokładne sprawdzanie ludzi. Jeśli więc tak naprawdę dybiecie na moje życie, to nie krępuj się. Palnij mi w łeb od razu. Jestem za bardzo zmęczony na takie podchody. To jak, jesteśmy po tej samej stronie? Jak nie, to wpakuj mi dwie kulki i zobaczę, co będzie dalej.

Patrzyła kilka sekund na mnie, potem na Oksanę (ona też wydawała się gotowa na wszystko), po czym zwróciła mi broń.

– Po tej samej, Bobby Dolar.

– To okej. Bierzcie rzeczy, zrobimy sobie przejażdżkę.

Wiadomość od Caz była dla mnie nie tylko drogocennym głosem ukochanej; przypomniała mi jeszcze coś. Oboje igraliśmy z ogniem, każde z osobna, już zanim się poznaliśmy. Ona nawet bardziej: w końcu to nie ja zwędziłem Eligorowi złote pióro Anaity. Dlaczego więc arcyksiążę po prostu jej nie porwał do Piekła? Ano dlatego, że nie bardzo wiedział, gdzie jej szukać. I to właśnie było najważniejsze.

Pojechałem okrężną drogą, cały czas sprawdzając, czy ktoś nie śledzi mojego odmienionego datsuna. Przepisnęliśmy się przez krzykliwie oświetlone zagłębienie knajpiane, które w Jude zwiemy Wąwozem Whisky, i znaleźliśmy się w dzielnicy na tyłach szacownych willi przy University Avenue.

Amazonki nie kryły zdziwienia, gdy wjechałem do podziemnego

garażu pod jednym z bloków mieszkalnych, ale zdumiały się jeszcze bardziej, gdy wysiadłem i wystukałem kod cyfrowy na panelu zamaskowanym jako licznik energetyczny, a potem cała ściana się uniosła, otwierając nam przejście do sekretnego apartamenciku Caz.

Powrót do tego miejsca pogrążył mnie w wirze sprzecznych emocji. Na kryjówkę nadawało się wspaniale: o ile mi wiadomo, nie wie o nim nikt ani w Piekło, ani w Niebie. Wyśpiewałem wprawdzie Eligorowi wszystko, co chciał wiedzieć (na torturach, moi mili), ale nie pamiętam, żeby zadawał mi pytania o to mieszkanko. Gdyby spytał, wyrzeczcałbym mu to natychmiast, byle tylko jeszcze choć na minutkę uniknąć płomieni – ale jakoś się nam o tym nie zgadało. Jeśli z kogoś z was dzień po dniu skóra na przemian nie odpadała zwęglona żywym ogniem i znów odrastała, niech nie wyskakuje z komentarzami o takim braku milczącej odwagi. Pieprzcie się, bo guzik tam wiecie.

Ale miałem mówić o mieszanych uczuciach. Dziupelka Caz prezentowała się o niebo milej od mojej ostatniej, nazwijmy to, garsoniery, ale też była ostatnim miejscem, gdzie bezpiecznie spędziliśmy wspólne chwile. Nasza jedyna noc – plus wieczór, rano i niewiele snu – była bez wątpienia najlepszym czasem w całym moim życiu. Kod poznałem właśnie wtedy, nigdy jednak nie myślałem tu wracać, wiedziałem bowiem, że byłoby to zbyt bolesne. I nie myliłem się.

Amazonkom mieszkanie strasznie się podobało. Od przyjazdu do Stanów żyły po cygańsku, a podejrzewam, że ich obóz w Karpatach też nie był oazą luksusu. (Z tego, co o nim opowiadały, musiał raczej

przypominać zgrupowanie jednopłciowych sadystów – ale moja opinia nie jest może miarodajna; od opuszczenia szeregów Kontrataku mam silną awersję do wojskowego drylu, a jeszcze większą do segregacji płci). Można by pomyśleć, że Halina z Oksaną nagle trafiły na wymarzone wakacje. Kręciły się po apartamencie jak frygi, gapiły na wszystko, skakały po kanałach telewizyjnych, z namaszczeniem dotykały kosztownych draperii. Piszczwały ze szczęścia, wachając perfumy Caz (sam zapach przyprawił mnie o ostre klucie w sercu), i dziwowały się jej eleganckiej garderobie. Od dwóch dni się nie myłem, zostawiłem je więc w trakcie walki na poduszki i z westchnieniem rozkoszy wlałem pod gorący prysznic.

Przyniosłem nam później kolację z salvadorskiej knajpki za rogiem. Dziewczyny nigdy dotąd nie kosztowały *panes relenos*: po pierwszych kęsach spojrzały na mnie, jakbym był czarodziejem. (Knajpka faktycznie miała czym się pochwalić). Wypiliśmy po parę piw, po czym oddałem im do dyspozycji sypialnię – jakoś znosiłem sam pobyt w dziupelce, ale już łóżka Caz bym nie wytrzymał – sam zaś rozsiadłem się na sofie ze wszystkimi wydrukami, notatkami, zapasem papieru i długopisem. Długo w noc ślęczałem nad zebrany materiałem, tworząc grafy i diagramy, które pomogłyby to wszystko poukładać w jakąś sensowną całość i pozwoliły ustalić, co się dzieje i co mam dalej robić. A tak naprawdę to chciałem czymś zająć umysł, żeby zapobiec wczesnej fazie szaleństwa.

Obudziłem się w środku nocy z karkiem zeszywniałym od pozycji siedzącej. Układając się wygodniej, usłyszałem dobiegające z sypialni odgłosy rytmicznych uderzeń, przetykane zdławionymi

okrzykami i jękami. Z początku sądziłem, że Amazonki ćwiczą walkę wręcz, szybko się jednak zorientowałem, że to sparring znacznie przyjaźniejszej natury. Trwało to dość długo. Za długo, jak na mój gust.

Ech, ironio... Ukryty przed światem, ponownie odrzucony przez ukochaną, sam w mieszkaniu z dwiema seksownymi Ukrainkami – i w roli outsidera, podsłuchującego przez ścianę jak stary zbok. (Co prawda w kwestii słuchania wielkiego wyboru nie miałem). Jednak nawet gdybym i ja był zainteresowany, i one, to wciąż byłem zakochany. Musiałem dochować czemuś wierności, nawet jeśli miała to być tylko ułuda.

Nie powiem jednak, żebym czuł się z tym super.

Piętnaście

Najlepsza zabawa w Ameryce



Ranekm zostawiłem Amazonki śpiące snem półniewiniątek i wymknąłem się na czyste, wybrukowane kostką podwórko sprawdzić, jak daleko trzeba odejść, by komórka złapała zasięg. Mieszkanie Caz było specjalnie ekranowane, żeby nie dało się go zlokalizować przez namierzanie sygnałów telefonicznych; rzecz świetna dla konspiracji, ale fatalna, gdy się potrzebuje łączności. Była co prawda w domu linia stacjonarna, ale wolałem nie ryzykować. Okazało się, że musiałem przejść parę przecznic, zanim na ekranie pokazał się choćby jeden słupek, a i wtedy łączność nie była najlepsza. Nie bardzo mi to jednak przeszkadzało, gdyż człowiek, do którego chciałem zadzwonić, już raz posłużył się moim telefonem (z pomocą naszego szefostwa), by mnie szpiegować.

– Cześć, Clarence – rzuciłem pogodnie, gdy odebrał. – Sam jesteś?

– To ty, Bobby? – Młody ziewnął głośno. – Mam nadzieję, że sam.

– Na pewno nie chowasz tam małego Wendelka pod kapą?

– Co to jest kapa? Nikogo tu nie ma.

– Niedouczony z ciebie młodzieniec. Słuchaj, musimy się spotkać, ale nie zamierzam się ciągnąć aż na to twoje przedmieście. Bierz taryfę i bądź za godzinę w restauracji, w której poznałeś siostry Sollyhull... pamiętasz te duszyce? Tak myślałem. I upewnij się, czy nikt cię nie śledzi.

Rozłączyłem się, nim zdążył zaprotestować. Knajpa, którą wybrałem, też była daleko, ale nie po to wydałem dwie stowy na przemalowanie wozu, żeby od razu to zmarnować, zajeżdżając w jakieś znane miejsce i pchając się na oczy każdemu, kto może je obserwować.

Kupiłem w Starbucksie trzy kawy i po zdrowo wyglądającym muffinie dla dziewczyn. Gdy wróciłem, Halina i Oksana paradowały po mieszkaniu w majteczkach i luźnych T-shirtach, przyjąłem więc surową ojcowską postawę, aby zamaskować dość oczywisty fakt, że cała ta swobodna kobiecość coraz bardziej trafia do niżej podpisanego. Było nie było, od miesiący prowadzę się jak mnich (jeśli nie liczyć paru wykradzonych Piekłu godzin z Caz).

– Drogie moje równouprawnione przyjaciółki, wchłońcie trochę kofeiny, a potem się zabierzemy do układania listy zakupów.

– Pistolety? – spytała z ożywieniem Oksana.

– Większe noże? – zasugerowała Halina. – Miałam bowi, ale zgubiłam w autobusie.

Chwilę potrwało, zanim się domyśliłem, że chodzi jej o bowie, tradycyjny majcher rodem z Dzikiego Zachodu z mniej więcej

dwudziestocentymetrową klingą. Musiał narobić niezłego brzęku, wypadając jej z torby.

– Nie, nie mówię o broni – sprostowałem. – Na to jeszcze przyjdzie pora. Dziś chciałbym, żebyście skombinowały sobie jakieś przebrania. Nic ambitnego, po prostu parę peruk i cywilne łauszki, bo teraz wyglądacie jak estońskie punkowcy.

– Nie podoba ci się nasz strój? – Oksana podciągnęła bezrękawnik, odsłaniając o wiele więcej bielizny i płaskiego opalonego brzucha, niżbym pragnął zobaczyć.

Ludzie, no! Może nie jestem człowiekiem, ale jednak mężczyzną!

– Fajny jest, ale nie do tego, co będziemy robić – odparłem, zmuszając się, by patrzeć jej w oczy, też zresztą urocze. Gdyby nie kolekcja ostrzy w ich mieszkaniu i sprawność, z jaką ubiła tego włochatego potworka, mógłbym ją wziąć za studentkę politologii i cheerleaderkę akademickiej drużyny kosza (to daje pewne wskazówki co do moich fantazji seksualnych). – No to spisujmy.

Gdy skończyliśmy, dałem im trochę kasy i naszkicowałem mapkę okolicy z uwzględnieniem bezpiecznego przejścia na drugą stronę autostrady. Ravenswood to mała dzielnica z niewielką ofertą handlową, uznałem jednak, że wszystko, co potrzebne, dostaną w lokalnych lumpeksach. Wbiłem im do głów kod otwierający naszą kryjówkę i zapowiedziałem, że pod żadnym pozorem nie mogą tu nikogo sprowadzić, bo musiałbym wtedy sprzątnąć je razem z gośćmi. Uporawszy się w ten sposób z obowiązkami patriarchy rodu, spuściłem je ze smyczy i poszczułem na przybytki używanej

konfekcji.

Do restauracji przyjechałem z zapasem czasu. Rozejrzałem się w okolicy, swoim zwyczajem zaparkowałem dwie przecznice dalej i wróciłem per pedes. Knajpa jest podława, ale że nie zaglądałem tu już parę miesięcy (a i siostrzyczki przestały tu straszyć i przeniosły się gdzie indziej), najprawdopodobniej nie figuruje na niczyjej liście lokali często odwiedzanych przez Boba Dolara. No i ma tylne wyjście. Takie lubię.

Oczekiwanie na Clarence'a skracałem sobie lekturą najświeższych informacji od George'a. W tym pakiecie znalazłem sporo ciekawych rzeczy, więc choć w tej chwili świniolak był w swej bezmózgiej ludzkiej postaci, od razu wysłałem mu podziękowanie. Dopiero wtedy zauważyłem, że oprócz informacji dodał coś od siebie.

Cześć, panie D.! Wyobraź sobie, że mam robaki. Podobno nicienie. Fatalna sprawa u świń, ale mój przypadek chyba nie jest poważny. Tutejszy weterynarz jest super, no i tutaj naprawdę potrafią uszanować prywatność pacjenta. Będę dostawał na to jakiś mibendazol czy coś w tym rodzaju. W czopkach. A kuchnia tu, że racice lizać!

Całe szczęście, że nie zdążyłem zamówić nic do jedzenia.

Wspólnym wysiłkiem nieźle zawęziliśmy krąg kandydatur na ziemskiego awatara Anaity i odtąd robótka nabrała charakteru bardziej detektywistycznego niż demograficznego. Podsunąłem George'owi kilka parametrów, w tym:

1. Tożsamość perska lub persko-amerykańska – co oczywiste, gdyż inaczej poszukiwania nie miałyby sensu;
2. Osoba bardzo zamożna – bo dlaczego miałyby wybrać

ubóstwo?

3. Rzadkie wizyty – uznałem bowiem, że archanioł jej rangi nie może sobie pozwolić na długie i częste pobyty na Ziemi;
4. Zaangażowanie w życie społeczne, lecz umiarkowane.

Ostatni punkt pozwolił wyeliminować co najmniej czwórkę z wybranych przez Tłusciocha osób, jako że każda z nich obciążona była pokaźną rodziną o skomplikowanych powiązaniach.

I tak zostało mi jeszcze paręnaście nazwisk do rozważenia, ale poszedłem za głosem intuicji i skreśliłem wszystkich mężczyzn. Gdyby Anaicie chodziło przede wszystkim o dobry kamuflaż, to mądrzej byłoby postąpić na odwrót. Czułem jednak, że to nie w jej stylu. W końcu była kiedyś boginią, a te – w przeciwieństwie do archaniołów (na ile ich znam) – są raczej dumne ze swej płci. W dodatku, jak mi powiedział Gustibus, specjalizowała się w płodności, nie?

Eliminacja facetów od razu zmniejszyła liczbę możliwości do trzech. Każda wyglądała interesująco, ale mą uwagę skutecznie przyciągała tylko jedna persona. Już miałem wysłać do George'a wiadomość z prośbą o dokładniejsze informacje na jej temat, kiedy rozbrzmiał dzwoneczek przy drzwiach wejściowych i do lokalu wszedł Clarence.

A tuż za nim Garcia Windhover.

G-Man zobaczył mnie od progu i truchtem ruszył w moją stronę, jak zwykle walcząc o utrzymanie spodni powyżej ud. Nie chcę tu wyjść na jakiegoś wapniaka, ale naprawdę nie wiem, co smarkateria

widzi w tej modzie. W końcu nawet raperom może się czasem zdarzyć, że trzeba się ratować szybką ucieczką – a jak to zrobić, gdy portki mają ci się wokół kolan? G-Man oczywiście nie jest raperem; to biały chłopiec z porządnej, lekko hipisującej rodziny z bogatego przedmieścia, którego zainteresowanie afroamerykańską subkulturą wykracza daleko poza ramy dobrego smaku. Tego dnia nawet nie wyglądały źle, gdyby nie bandanka z węzłem na czole i objający się o wąż pierś kretyński złoty medalion, zapewne poświęcony ze szkatułki babci staruszki.

– Heja, Bobby! – wykrzyknął radośnie i chciał machnąć żółwika, nie dałem mu jednak tej satysfakcji. Wiem, mało wielkodusznie z mojej strony, ale nie przesadzajmy. – Spoko, dam wam pogadać, tylko muszę ci pokazać nową dziarę. – Podetknął mi przedramię pod oczy, ukazując spłacheć różowej jak mortadela skóry, do niedawna zapewne dziewiczo gołej, na której widniał teraz świeży czarny tatuaż: słowa „Misja od Boga” wykłute ozdobną szwabachą. – No bo mówiłeś, że jesteś anioł mściciel Pański. Bardzo cool, a że pracuję dla ciebie...

Wziąłem głęboki wdech. Może on naprawdę tylko podrzucił Clarence’a i łatwiej i bezpieczniej dla wszystkich będzie go po prostu szybko spławić. Zamiast więc go solidnie zrugać i wytłumaczyć, jaki z niego debil, skinąłem tylko głową.

– Jasne, ziomal. Dziara faktycznie w dechę. – A co miałem zrobić? Gdyby nie to, że w Piekle już byłem, powiedziałbym, że będę się tam kiedyś smażył za kłamstwa. Ale jeśli rzeczywiście tam wrócę, to za grzechy znacznie cięższe i pewnie szybciej, niżbym chciał. Do

Clarence'a zaś rzekłem: – Widzę, że przyjechałeś stopem. Zdawało mi się, że masz własną bryczkę?

– Nie chciała zapalić – odburknął nadąsany. – Kazałeś mi przyjechać w godzinę, więc...

– Wiem, że wy dwaj macie swoje supertajne biznesy – palnął Garcia, znów na cały regulator, aż obejrzało się tych paru biednych skurczybyków, którzy naprawdę przyszli tu coś zjeść. – To znikam, pojeżdżę sobie po dzielnicy. O której cię zgarnąć, Harrisonio?

Gdy ustalali szczegóły, siedziałem cicho i tylko patrzyłem na nich z brwiami uniesionymi tak wysoko, że aż oczy mnie rozbolewały. Po odejściu chłopaka Clarence od razu przybrał wyzywającą minę.

– Harrisonio? – Spojrzałem nań pytająco.

Ziemskie personalia mojego młodego kolegi to Harrison Ely, ale nikt się tak do niego nie zwraca. W każdym razie nikt choć w połowie cool, jak by powiedział G-Man.

– A tak. Przynajmniej ktoś wreszcie używa mojego prawdziwego imienia.

– Nie miałem pojęcia, że dorabiasz jako gondolier. Hej, wiesz co? Ja też będę cię tak nazywał.

– Bardzo cię proszę, nie wygłupiaj się. – Clarence podniósł zafoliowany jadłospis. – To co jest grane?

– Tylko nie zamawiaj mielonego. Robią go tu z ludzi, w dodatku brzydkich i żylastych. Reszta według uznania. Wprowadzę cię w szczegóły, jak już coś wybierzesz.

Zalatany kelner w brązowym fartuchu przyjął nasze zamówienia i zniknął na zapleczu.

– A teraz bądź tak miły i opowiedz mi dokładnie, co się z tobą działo, zanim poznałeś mnie i Sama.

– To znaczy od kiedy? Jeszcze za życia? Nie mam pojęcia, tak samo jak ty.

– Nie, głupolu. Mówię o twoim życiu anielskim.

– A po co ci to?

– Och, zrób mi tę przyjemność.

Z Amazonek wyciągnąłem w miarę uczciwe odpowiedzi pod groźbą użycia broni, nie wydawało mi się to jednak właściwe w obecnej sytuacji. Choćby dlatego, że byliśmy w miejscu publicznym i w biały dzień. Poza tym gdyby Clarence rzeczywiście był szpiclem, niewiele mogłem mu zrobić; dostałby kulę, a zaraz potem nowe ciało od szefostwa, nie miał się więc czego bać. Tym bardziej że nigdy jeszcze nie umarł jako anioł wcielony – jak to się niejednemu z nas przytrafiło nawet parokrotnie – nie wie zatem, jakie to bywa bolesne przeżycie.

Nad mrożoną herbatą Młody opowiedział mi, jak się obudził w Niebie. Pierwsze chwile miał podobne jak ja, z tym że wylądował za biurkiem w Wydziale Kartotek. Praca tam była, sądząc z jego relacji, pogodnym i satysfakcjonującym nudziarstwem. Satysfakcjonującym dla niego, nudziarstwem dla każdego, kto ma choćby z pięć deka zainteresowania rzeczywistością, ze mną na czele. Nie po to go jednak przesłuchiwałem, żeby oceniać.

– Po jakimś czasie szef mi powiedział, że ktoś chce ze mną pomówić. Poszedłem tam i spotkałem tego anioła. Nie znałem go, ale był naprawdę świetlisty, wiesz? Od razu wiedziałem, że to ważna figura.

– Kto to był?

– Nie przedstawił się.

– I działo się to w Domu?

– O ile mi wiadomo, tak. – Clarence wzruszył ramionami.

Zamilkł, gdy kelner przyniósł nasze dania. Wciąż się czułem nieswojo po wczorajszym odnowieniu stosunków z wódecznością, zostałem więc grzecznie przy węglowodanach: gofrach i plackach ziemniaczanych z owocami. Pozwoliłem Młodemu pojeść trochę naleśników z jagodami, po czym dałem znak, by mówił dalej.

– No więc ten błyszczący anioł powiedział, że Niebo ma dla mnie ważne zlecenie i że sam Najwyższy będzie ze mnie dumny, jak się dobrze spiszę. Nie wyglądało na to, że mam wybór, więc się zgodziłem. No i ani się obejrzałem, a już byłem na Ziemi.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

– Co do Ziemi? Chyba tak. Byliśmy jakby w magazynie czy hangarze, w każdym razie w Niebie nigdy czegoś takiego nie widziałem. Pachniało też zupełnie inaczej. Pot, olej maszynowy. I dźwięki też inne. – Znieruchomiał z widelcem w pół drogi do ust. – Jak o tym teraz mówię, to... jakbym wtedy zaczął też myśleć inaczej. Jedne rzeczy wydawały mi się jaśniejsze, inne bardziej mgliste. No i

nie czułem się już taki szczęśliwy.

Ptaszę wyrzucone z ciepłego gniazdka, pomyślałem.

– I co było dalej?

– Przeszedłem szkolenie. Takie tam podstawowe rzeczy. Jak się posługiwać pistoletem pneumatycznym, w jakie nas wyposażono. Dużo mówili o telefonach, a zwłaszcza o aplikacjach do namierzania. Było nas w sumie z dziesięciu aniołów na tym kursie. Czasem ćwiczylśmy walkę, ale nie szło mi to najlepiej.

– Zaraz, zaraz. Byłeś szkolony z grupą innych aniołów tu, na Ziemi? I na pewno nie był to Obóz Syjon na pustyni?

Kursy paramilitarne prowadzone w innej lokalizacji, poza jednostkami Kontrataku? Nowina była nie tylko zaskakująca, lecz przede wszystkim mnie cholernie zaniepokoiła. Jak wielka jest ta pieprzona afera?

– Nie mam pojęcia, gdzie to było, Bobby, ale na pewno nie na żadnej pustyni. Wiem tylko, że posłał mnie tam Samkiel.

– Czekaj no. Jaki znowu Samkiel?

– No, ten świetlista, ważny anioł. Słyszałem, jak któryś z kolegów wymienił to imię i zapamiętałem, bo na co dzień imion się tam nie używało.

– No dobra, Samkiel. – Mnie też nic to nie mówiło, ale zakonotowałem sobie na przyszłość. – Coś już więc mamy. I co dalej?

– Nie mam pewności. – Zakłopotany odwrócił wzrok. – Szczerze

mówiąc, mało co zostało mi w pamięci, ale kiedy dołączyłem do was, zaczęło mi się po trochu przypominać. – Spojrzał na mnie bystrzej. – Hej, a właściwie to gdzie się podziewa Sam? Dlaczego już się z nami nie spotyka?

Nie odpowiedziałem. Popijałem kawę i roztrząsałem w myślach, co usłyszałem. W historii Młodego nie mogłem się dopatrzeć żadnych luk, co oczywiście niczego nie dowodziło. Ludzie, dla których pracujemy – jeśli można ich tak nazwać – są od nas o wiele potężniejsi. Skoro potrafią wykasować nam pamięć, to dlaczego by nie mogli zaszczepić nam w mózgach dowolnej legendy? Musiałem przyjąć takie założenie. Mimo to nie miałem innego wyjścia jak mu uwierzyć na słowo. Kończyli mi się potencjalni sprzymierzeńcy.

– Trochęśmy się z Samem poprzytkali – wyjaśniłem. – I właśnie dlatego muszę wiedzieć, czy mogę ci zaufać. Stąd ta przepytawka.

– Zaufać? – Clarence zrobił urażoną minę. – A czy nie pomogłem ci w tej sprawie z piórem i diabłem? To było wbrew wszelkim regulaminom! – Nagle uniósł brwi, jakby dopiero do niego dotarło, co powiedziałem. – Jak to, poprzytkaliście?

– No, doszło do sprzeczki. Ścisłej mówiąc, Sam stwierdził, że jestem durnym paranoicznym kutasem. Zabawniejsze szczegóły przedstawię ci kiedy indziej. Chyba ze mną nie zerwał, ale też nie mogę w tej chwili na niego liczyć. Dlatego ty jesteś mi potrzebny.

– Do czego?

– Jeszcze nie wiem, ale to się zaczyna robić poważne. Od tej pory nie rozmawiaj bez potrzeby z nikim w Niebie i nie mów o mnie

nikomu. Nawet Samowi.

– Naprawdę? – Młody patrzył na mnie wyraźnie zaniepokojony.

– Nie, na żarty. Zaraz się z nim spotkamy w Burger Kingu i pogramy w tysiąca. Tak, nawet jemu. Przynajmniej dopóki się nie przekonam, jak to jest z nim i Kefasem. Muszę działać bardzo, bardzo ostrożnie.

Nie dał mi na tym skończyć. Musiałem zapoznać go z ważniejszymi punktami programu: że Kefasem jest przypuszczalnie Anaita i że pragnie wyrwać ze mnie duszę i nakarmić nią demonoaligatory, choć nie mam zielonego pojęcia, czym ją mogłem aż tak wkurzyć. Owszem, trafiło do mnie jej pióro, ale to nie ja je ukradłem; ba, w ogóle go nie chciałem. Na początku nie miała więc żadnego powodu, by na mnie nastawać. Pewnie, po całej rozróbie z Eligorem i Caz wiedziałem już za dużo, żeby zostawiono mnie w spokoju.

– Aha, Clarence, jeszcze jedno – powiedziałem. – Jesteśmy teraz przyjaciółmi, choć trochę dziwnego rodzaju. Jeśli jednak nie jesteś tym, za kogo się podajesz... jeżeli nadal pracujesz dla szefostwa i zakablujesz mnie albo Sama, to klnę się na Najwyższego: pożałujesz, żeś mnie w ogóle zobaczył.

Zmiana tonu go zaskoczyła. Rzucił mi to swoje spojrzenie skrzywdzonego szczeniaczka.

– Nie byłoby to szczególnie nowe odczucie, Bobby.

– To dlatego, że jestem trudny i wredny. Ale jeśli będę zmuszony cię dopaść, dam ci zupełnie inne powody. Znacznie poważniejsze.

– Dziękuję za dobre słowo. Przynosisz wstyd mianu anioła, Bobby.

Jasne, powinienem ślepo ufać facetowi, który zaczął karierę jako kapuś dla dyrekcji.

– Nie moja wina. Takiego mnie Pan stworzył.

Nie miałem ochoty na ponowne spotkanie z G-Manem, zostawiłem więc Młodego z jego wstrząsem psychicznym i ruszyłem z powrotem do domu. Zanim straciłem zasięg, zatrzymałem się na parkingu i zadzwoniłem do Alice z wiadomością, że potrzebuję dłuższego urlopu, najlepiej na czas nieokreślony. Odparła ze zwykłą pogodą ducha, że mam na to szanse mniejsze niż bałwan śniegowy w Piekło, poprosiłem więc uprzejmie, aby przekazała to bezpośrednio Temuelowi. Miałem nadzieję, że Muł mnie wesprze, albo chociaż przetrzyma mój wniosek wystarczająco długo, żeby dać mi trochę czasu, zanim go odrzuci. Zbyt wiele się działo naraz, żeby mi się pozwolić na niespodziewane wezwania służbowe do Wielkiego Błękitu.

Przejrzałem potem najnowsze informacje od Tłuszciocha o miejscowych prominentnych Perso-Amerykankach. Im dłużej je czytałem, tym bardziej mi się podobała wybrana kandydatka: kobieta bardzo bogata, niemająca bliskiej rodziny i bardzo zadrośnie strzegąca swej prywatności. Zadzwoniłem do George'a i nagrałem mu się na sekretarce:

Hej, stary. Mam nadzieję, że odrobaczanie idzie gładko, moje powinszowania. Zostaw wszystko i zберите wszystko, co się da... dosłownie wszystko... na temat niejakiej Doni Sepanty. I to szybko, jeśli zdołasz się oderwać od kąpielii błotnych. Proszę.

Gdy wróciłem do mieszkania Caz, zastałem Amazonki wyszykowane jak na bal kostiumowy. Oksana włożyła blond perukę w stylu Dolly Parton i minispódniczkę, która wyglądałaby nieskromnie nawet na stewardesie z lat sześćdziesiątych. Halina wybrała czerwone skórzane spodnie i takąż kamizelkę, głowę zaś ozdobiła bujną afro (przy takiej muskulaturze bardziej jednak przypominała Ike'a niż Tinę). Na nogach obie wciąż miały wojskowe buciory, na rękach i szyjach skórzane paski nabijane ćwiekami. Wszystko to składało się na dość niepokojący wizerunek.

– Macie szczęście, że na razie jestem przy forsie, bo od razu bym został sutenerem i wystawił was na niszowy, ale intratny rynek sado-maso-bondage – powiedziałem. – Wyglądacie oczywiście super, ale myślę, że do akcji troszkę to stonujemy.

– Byle nie za mocno – mruknęła ruda, poprawiając perukę. – To najlepsza zabawa, jaką miałyśmy w Ameryce.

– Nasz wspaniały kraj tak już działa na turystów. Nie wy pierwsze i nie ostatnie.

Jakkolwiek przyjemnie było popatrzeć na dwie młode pięknotki zmieniające ubrania, we mnie budziło to tylko żal, że nie ma tu Caz. Umknąłem do łazienki, żeby móc się skupić na pracy.

W końcu Niebo się samo nie obali.

Szesnaście

Niech krwawi



Tego dnia dotarł do nas jeden z tych zimnych frontów gdzieś hen spod Alaski. Musiałem włączyć nadmuchi na przednią szybę, a wycieraczki pracowały bez przerwy. Lał zimny deszcz; kląłem pod nosem, że nie mogę go przeczekać w ciepłym mieszkanku, wciąż pachnącym Caz (choć od kądy obie Amazonki dwa razy dziennie biorą gorący prysznic, z pierwotnej woni niewiele już zostało). W Tierra Green mają najstarszy, najżałośniejszy bojler gazowy w zachodniej cywilizacji; płomyk pilotowy regularnie gaśnie co parę dni. Dziewczyny od miesiący nie mogły liczyć na ciepłą wodę i teraz odbijały to sobie na całego.

Słuchałem *Let It Bleed* Stonesów. *Wykrwaw się...* Idealny album zarówno na deszczowe dni, jak i rozważania nad końcem naszego świata. Naturalnie nie miałem w planie obalenia całego systemu, lecz tylko jednej jego części – ściślej mówiąc, jednej bardzo potężnej figury – ale i tak tytuły w rodzaju *Nie zawsze możesz dostać, co chcesz* czy *Daremma miłość* brzmiały przygnębiająco adekwatnie.

Zaparkowałem na Parade Street, nad wodą, i okręzną drogą,

sprawdzając, czy ktoś za mną nie idzie, doszedłem do „Cyrkla”. W drzwiach stał skulony z zimna mój kolega mecenas, Kool z Filtrem, usiłując chronić się przed zacinającym deszczem pod markizą, ale z miernym skutkiem.

– Milczący proteścik przeciwko niesprawiedliwym przepisom o paleniu? – zagadnąłem.

Kool wyciągnął do mnie pięść i strzeliliśmy żółwika.

– Jaki tam milczący – odparł. – Od lat zrządę na temat, ale kogo to obchodzi?

– Taki już nasz los, maluczkich. Pracujemy dla tajemniczych sił, według zasad, których nie rozumiemy, a gdy zaczynamy narzekać, nic się nie zmienia.

– Nie wiem, co się dzieje, kiedy ty narzekasz, brachu, ale gdy ja zaczynam, to od razu dostaję kopa od Muła – mruknął, miażdżąc obcasem niedopałek.

Lubię Koola. Równy gość, celny strzelec – mój ideał anioła.

– Nie przychodzi ci czasem do głowy, że to wszystko wielkie gównno? – spytałem.

– A przychodzi. Bo tak jest. – Popatrzył na mnie z ukosa. – Zaraz, a co ty właściwie chcesz przez to powiedzieć?

– Że faceci, dla których pracujemy, może nie są tacy doskonali, jak się wydaje. Że niektórzy są skorumpowani. Że w naszej robocie nie zawsze chodzi o pomaganie ludziom i pomnażanie chwały Najwyższego.

– O kurde, teraz to żeś zajarzył, chłopie! – Kool parsknął śmiechem. – Nasi bossowie to nie ideały? Część tego, co robimy, to szajs, a reszta nie wiadomo co? – Zapalił następnego papierosa. – I co mam ci na to odrzec? Tylko jedno: *nihil novi sub sole*. – Wydmuchnął kłęb dymu. – Ale przynajmniej daje się wiązać koniec z końcem. Metaforycznie mówiąc – dokończył z uśmiechem.

Zostawiłem go zziębniętego i mokrego. Skurczybyk pewnie ma rację. Może każdy anioł w mieście ma to już poukładane i tylko ja jeden jeszcze usiłuję płynąć pod prąd? Cóż parę razy nazwała mnie romantykiem i nie brzmiało to jak komplement.

W „Cyrklu” było tak, jak się można spodziewać w środowe popołudnie: kilku stałych bywalców i paru przejezdnych. W naszym gronie zawsze się wie, gdzie są dobre bary dla wtajemniczonych, bezpieczne przystanie, w których można odwiesić aureolę na kołek i rozpuścić włosy, by tak rzec. W kącie zobaczyłem Jimmy’ego Stoła i kilka innych znajomych mord, a pod drugą ścianą Monicę Naber z Teddym Nebraską. Pomachała do mnie na powitanie. Dawno nie miałem okazji z nią pogadać, ale to dobra dziewczyna. Pozwoliłem się upolować Młodemu Elvisowi; w kilka minut opowiedział mi szczegółowo, co ostatnio nawyczyniał ze swoim camaro rocznik 1972. Była to obszerna lista tuningowych ulepszeń; co jedno, to większy wypas, a wszystkie przepłacone i zupełnie niepotrzebne – właśnie takie, jak lubię. Posłuchałbym dłużej, ale zbyt świeży był jeszcze ból rozstania z ukochanym matadorem i naprawdę nie byłem w nastroju. Wymówiłem się pilną potrzebą piwa (zgodnie z prawdą) i odpłynąłem w stronę baru. Obsłużyła mnie Kacey, zastępująca Chica

zajętego akurat przy remanencie. Wziąłem flaszkę i poszedłem go poszukać na zapleczu.

Magazyn musiał być ongiś częścią dawnej loży masońskiej, jeśli sędzić po resztkach kwiecistej tapety zwisających gdzieniegdzie ze ścian. Całą resztę litościwie skrywały wysokie półki uginające się pod bogactwem butelek. Widok był fascynujący, a różnorodność kształtów, kolorów i nalepek oszałamiała, choć wszystkie łączył ten sam wspólny mianownik: w każdej czekało błogie znieczulenie ogólne. Nie tak dawno z ochotą wziąłbym ze dwie na jazdę próbną, dzisiaj jednak byłem tu w interesach. Co prawda własnych, ale zawsze.

Chica nie było widać, zawołałem go więc. Wynurzył się zza regału, w twarzowym fartuchu z licznymi kieszeniami; wyglądał jak najśłodsza Zosia gosposia z więzienia o zaostrozonym rygorze. Obrzucił mnie mało zachęcającym spojrzeniem, jakby się wcale nie ucieszył z wizyty. Czasem się zastanawiam, czy przypadkiem on i Alice z biura nie są w sekrecie starym małżeństwem albo przynajmniej rozłączonym w niemowlęctwie rodzeństwem.

– Cześć, Dolar. Czego chcesz?

– Och, tylko kilku minut w twoim czarującym towarzystwie, które pozwoli mi znieść kolejny szary dzień.

– Wiesz co? Chrzań się.

Uwielbiam Chica. Jest najmilszym aniołem, który nie lubi niczego i nikogo. Poza klientami, naturalnie, lecz też tylko dla ich pieniędzy, bo tak w ogóle to ma wszystkich gdzieś. A że przy tym zgina w

mocarnych łapskach pręty zbrojeniowe i nieźle strzela, zachodzę czasem w głowę, w jakim ciemnym zakamarku Nieba się narodził. Kto wie, czy nie tu właśnie trzeba szukać wyjaśnienia: może oboje z Alice przeszli do cywila z tej samej jednostki specjalnej.

– I nawzajem, drągalu. Potrzebuję przysługi.

– Potrzebować a dostać to dwie różne rzeczy.

– Chodzi o te sole srebra, którymi nabijasz śrutówkę.

– Tak? – Popatrzył na mnie, jakbym mu przydepnął stopę i się nie zorientował.

– Skąd je bierzesz?

– Od znajomych znajomych. – Wzruszył ramionami. – Wiesz, jak jest.

– A czy ci znajomi skombinowałyby trochę i dla mnie?

– Człowieku, toż to zwykły azotan. Zamów sobie przez Internet. Ile potrzebujesz?

– Nie wiem dokładnie. Może trzydzieści, może z pięćdziesiąt kilo.

– Nie rozśmieszaj mnie, bo mam zajady. To by cię stuknęło na jakieś dwadzieścia kawałków. To jednak srebro, człowieku! Zamierzasz polować na grubego zwierza w Piekło?

Uwaga byłaby nawet dowcipna, gdyby nie to, że przed paroma tygodniami stamtąd właśnie wróciłem.

– Nie – odparłem sucho. – Po prostu mam pewien pomysł i chcę coś wypróbować.

– Tylko mnie z nim nie zapoznawaj. Wystarczy, że przywlokłeś tu za sobą tego wielkiego demonicznego bydlaka, który zdemolował mi lokal. Nie chcę stracić koncesji z powodu twojego świra.

No to przynajmniej wiem, na czym stoję. Może Orban coś dla mnie znajdzie i udzieli rabatu.

– Wporzo, stary. Nie kłopot się – powiedziałem. – Mnie tu w ogóle nie było. I dzięki za poradę.

– Hej, zaczekaj! – zawołał, gdy już byłem w drzwiach. – O mało nie zapomniałem. Mam coś dla ciebie.

– Nie gadaj. Na walentynki ciut za wcześnie, Chico. Dopiero mamy adwent. Ale miło z twojej strony.

– Wiesz, za co cię lubię, Dolar? – spytał po drodze do ciasnej kanciapy, w której trzyma buchalterię.

– No, za co?

– To było podchwytliwe pytanie, dupku. Wcale cię nie lubię. – Wszedł do pomieszczenia i zgarnął coś z biurka. Była to zaklejona koperta z moim nazwiskiem. – Jakiś typ pod krawatem zostawił to dla ciebie. Pytał, kiedy może cię tu zastać. Powiedziałem, że gdyby to ode mnie zależało, to nie w tym dziesięcioleciu.

Obejrzałem kopertę z obu stron. Nie miałem pojęcia, co może zawierać, ale z góry mi się to nie podobało.

– Naprawdę wciąż jesteś na mnie zły za tego sumeryjskiego potwora? – spytałem. – To Sam wymyślił, żebyśmy tu się schowali, nie ja.

– Dwóch dupków, jeden mózg. – Barman bezceremonialnie wypchnął mnie z kanciapy. – Żadnemu z was nie ufam.

Wróciwszy do baru, dokończyłem piwo i uznałem, że mogę sobie pozwolić na jeszcze jedno. Wymieniliśmy się nowinami z Jimmym Stołem; namawiał mnie, bym wpadł na piątkowy turniej pokera (ostatnio przeniesiony na czwartki, ale stara nazwa się zachowała), wymówiłem się jednak pod pierwszym lepszym pretekstem.

– Ostatnio wcale cię nie widać, Bobby – stwierdził ze smutkiem. – I Sama też. Znaleźliście sobie jakiś nowy wodopój czy co?

– Nie wiem, jak tam z Samem, ale ja ostatnio wolę pociągać w domu przy starych płytach, księgozbiornie i z dwiema ukraińskimi nimfomankami, które u mnie mieszkują.

– Żarty się ciebie trzymają. Tylko nie wykieruj się nam na nieznanomego.

– Nie bardziej niż normalnie – zapewniłem.

Podszedłem do stolika Moniki, cmoknąłem ją w policzek i klepnąłem po kumplowsku Nebraskę (tylko dlatego, że w mojej obecności robi się nerwowo, a mnie to bawi), po czym opuściłem lokal. Korciło mnie, by od razu otworzyć kopertę, wolałem jednak zrobić to dyskretnie. Połowy z tego, co ostatnio porabiam, nie powinno się dowiedzieć Niebo, zatem najchętniej uczęszczany przez anioły bar w San Judas nie jest właściwym miejscem na sprawdzanie poczty.

Deszcz trochę zelżał, zmarzłem jednak solidnie i zmokłem, nim dotarłem do samochodu. Na szczęście ulice były pustawe, a

widoczność też się poprawiła i łatwiej było wykryć, czy ktoś mnie nie śledzi. Z przyzwyczajenia pooglądałem sobie jednak pół centrum w lusterku wstecznym, zanim uspokojony skierowałem się do domu.

Po drodze wstąpiłem do ulubionej kafejki po kilka kanapek na wynos. Wciąż nie wiedziałem, co naprawdę lubią moje Amazonki (sądząc po dotychczasowych objawach, odpowiedź brzmi: wszystko, co nie jest przybite do stołu), wybrałem więc po swojemu.

Gdy wjeżdżałem do garażu, uzmysłowiłem sobie, że od wysłania wiadomości do Caz podświadomie cały czas czekam na odpowiedź. Problem w tym, że od tamtej pory zmieniłem adres, a nowe mieszkanie nie ma okien, w które nizzak mógłby tłuc galaretowatym łebkiem. Będę musiał coś w tej sprawie wymyślić.

Dziewczyny zastałem oczywiście przed telewizorem; z zaciekawieniem oglądały jeden z tych okropnych *reality shows*, w których prowadzący wyciąga z uczestników bardzo osobiste sekrety, najczęściej dotyczące ojcostwa i zdrad małżeńskich. Wyłożyłem kanapki na talerz i postawiłem im na stoliku.

– Kiedy coś się zacznie dziać, panie Dolar? – spytała Halina, nie spuszczać oka z przyłapanego na niewierności czyjegoś obleśnego chłopaka, który wykrzykiwał do widowni: „Co wy o tym wiecie, co wy wiecie!”.

– Ten facet wariat – stwierdziła Oksana ubawiona, jak tylko młodzież potrafi, gdy się okazuje, ilu ludzi to kretyni.

– Pytam poważnie – nalegała rudowłosa. – Chcemy ci pomóc. Kiedy?

– Pewnie szybciej, niżbyście chcieli, cieszcie się więc wakacjami.

Z szafki pod zlewem wyjąłem parę gumowych rękawic i usiadłem przy biurku Caz, gdzie było lepsze oświetlenie. Większość lamp kryła się za muślinowymi draperiami, co upodabniało mieszkanie do burdelu. Za pierwszym razem wystrój trochę mnie zaszokował; dopiero później zrozumiałem, że choć hrabina Zimnoręka przez wieki życia pozagrobowego nabrała sporo oglądy i wyrafinowania, to jednak w głębi serca wciąż jest młodą dziewczyną ze średniowiecza. Wtedy pewnie marzyły się jej takie orientalne luksusy, jakże odmienne od jej surowego, zimnego zamku w Polsce.

Ponownie przyjrzałem się kopercie, ale nie została przysłana pocztą, tak więc wiele mi to nie dało poza tym, że nadawca zna mnie z ziemskiego imienia i nazwiska. Zamiast adresu wypisał tylko flamastrem: „Sz.P. Robert Dolar”, co mnie nawet rozśmieszyło.

Zawartość wyglądała już poważniej. Arkusz papieru miał nadrukowany nagłówek firmowy ze znajomym symbolem Sonnenrad, a treść napisano modną w latach dziewięćdziesiątych czcionką Helvetica 14.

Szanowny Panie Dolar,

Doniesiono mi, że pewni moi pracownicy dopuścili się pożałowania godnego incydentu naruszenia Pańskiej prywatności. Spieszę zapewnić, że sam nigdy bym na to nie pozwolił, i kiedy się dowiedziałem, że sprawy posunęły się aż do fizycznej konfrontacji między Panem a moim nadgorliwymi podwładnymi, winni zostali ukarani.

Nie jesteśmy wrogami, panie Dolar, i nie powinniśmy nimi zostać. Mam nadzieję, że potrafię Pana o tym przekonać. W samej rzeczy łączy nas wiele wspólnych celów, a moja organizacja może być pomocna w osiągnięciu Pańskich.

Bardzo byłbym rad, gdybyśmy mogli omówić tę i inne sprawy osobiście. Zapraszam do mojego biura w piątek o piętnastej, a wszystko wyjaśnię.

Przepraszam za tę niecodzienną formę kontaktu, ale ostatnio chyba zmienił Pan adres i nie miałem innego sposobu, by do Pana dotrzeć.

Gdyby z jakiegokolwiek przyczyny nie mógł Pan zaszczyścić mnie spotkaniem w podanym terminie, proszę zadzwonić, a z radością umówię się na inny. To dla mnie bardzo ważne, żebyśmy mogli porozmawiać i uniknąć dalszych nieporozumień.

Z poważaniem
Baldur von Reinmann,
dyrektor regionalny
Sonnenrad.org

W nagłówku był nawet adres: 378 Centennial Avenue, San Judas, CA 90460. W samym centrum, niedaleko galerii handlowych i dużych aren świetnie nadających się na nocne wiece z pochodniami.

Nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem. Fizyczna konfrontacja? *Herr* von Reinmann musiał mieć na myśli tego najętego rzeźmieszka, który stłukł mnie na kwaśne jabłko. Ale oczywiście było to tylko nieporozumienie. Możemy razem pracować, ja i naziści. Na pewno bardzo mi pomogą.

– Jasne – mruknąłem do siebie. – Tak jak pomogli Polsce.

Zapisałem adres i termin, ale list po prostu wyrzuciłem; humoresek nie kolekcjonuję, a innej wartości dla mnie nie przedstawiał. Odgrzałem sobie poranną kawę i skonsumowałem kanapkę z pastrami. Gdy zmiatałem ze stołu okruszki, już wiedziałem, co zrobić: Czarne Słońce to zbyt niebezpieczna banda, żeby ją zignorować, tym bardziej że mają na usługi nadnaturalne

potwory w rodzaju swastykoszmarków. Musiałem zresztą ustalić, jaka jest jej rola w tym całym pierzasto-rogatym cyrku – a najszybciej mi to wyjdzie, gdy po prostu skorzystam z zaproszenia.

Po kolacji przystąpiłem do spisania listy rzeczy, których będę potrzebował przed wizytą u Baldura i jego ferajny. Zanim skończyłem, Amazonki poszły do łóżka ćwiczyć gimnastykę horyzontalną, wziąłem więc piwo i wyszedłem na podwórko rozprostować kości. W paru oknach paliło się światło, ale jak dotąd nie natknąłem się na nikogo z sąsiadów. Nie dziwiło mnie to: Caz z pewnością wybrałaby na kryjówkę miejsce, gdzie nie musiałyby zbyt często spotykać się z ludźmi. Wolałem jednak dmuchać na zimne; skoro neonaziści tygodniami uprawiali w mieszkaniu nade mną swoją czarną magię, a ja nie miałem o tym pojęcia, to może zbyt beztrosko sobie dotąd poczynałem.

Łaziłem między blokami dobrą godzinę. Burza się wyszumiała, chłód jednak nie odpuszczał. Anioły też marzną, wiecie? Musiałem jednak dać szansę posłańcowi Caz, a nizzak zawsze nawiedzał mnie po zmroku. Niestety, o tej późnej porze towarzystwa dotrzymywał mi tylko jakiś niewidoczny pies, który póty ujadał, aż ochryplł. Parę minut było cicho, potem rozszczekał się znowu, głośno oprotestowując wredotę świata, w którym ludzie śpią sobie w ciepłych domach, podczas gdy on musi sterczeć na wietrze i deszczu.

– Znam to uczucie, brachu – powiedziałem.

Dopiłem lodowate piwo i wróciłem do domu.

Siedemnaście

Cicho sza



W czwartek zrobiłem sobie dzień biblioteczny. Zamierzałem przysiąc na dobre kilka godzin, dałem więc Ukrainkom plan miasta z zaznaczonymi miejscami, w których trzeba pozalać sprawy, po czym kazałem się wysadzić niedaleko centrum, na Middlefield Street. Halina nawet nieźle prowadziła, wątpię jednak, żeby miała prawo jazdy, no i w życiu nie wpuściłbym jej za kierownicę mojego nieodżałowanego matadora. Dziewczyny nosiły się spokojniej (na moje polecenie, wolałem bowiem, żeby pewnych bardziej niebezpiecznych towarów nie odbierały osoby jak żywcem wyjęte z żurnala dla anarchistek). Tym razem można by je wziąć za przedszkolanki – i tak miało być.

– Zachowujcie się profesjonalnie – rzuciłem na odchodnym. – W razie problemów dzwońcie do mnie i nie traćcie zimnej krwi.

– Za dużo się martwisz – uspokoiła mnie Oksana. – Nikogo nie zastrzelimy, nie bój.

Biblioteka Harpera była ongiś pierwszą remizą strażacką w San Judas. Świadczą o tym wysokie sklepienie i łuki wspierające fasadę, przez które mogły szybko wyjeżdżać wozy bojowe, ale przez ostatnie

siedemdziesiąt kilka lat wiele się tam zmieniło. Ceglane mury i dach kryty hiszpańską dachówką pozostały takie same, wewnątrz budowli jednak uległo takim przeobrażeniom, że nie rozpoznałby jej żaden ze starszych mieszkańców miasta. Kiedy jakieś dwadzieścia lat temu przybyłem do Jude, magistrat dokonał kompletnej przebudowy. Wszystko w środku wyburzono, dodano więcej okien i znacznie rozbudowano całość w głąb posesji; znalazło się też miejsce na duży ogród z mnóstwem krętych alejek i ławek. Jak większość współczesnych bibliotek, Harperowska otrzymała bogate wyposażenie multimedialne z nowoczesnym sprzętem komputerowym, salkami wideo i najróżniejszymi gadżetami obliczonymi na przyciągnięcie zblazowanej, zinternetyzowanej młodzieży. Moim zdaniem to trochę tak, jakby ktoś chciał nakłaniać ludzi do zdrowego odżywiania, serwując najlepsze potrawy w formie hamburgerów – nie jestem jednak zawodowym bibliotekarzem, więc co ja tam wiem. Sam ostatnio zajrzałem tam tylko służbowo. Dyrektorka zmarła w czasie pracy, za swoim biurkiem – jak by sobie zapewne życzyła – i miałem bardzo ciekawą rozprawę. Kiedyś może wam o tym opowiem.

Tym razem czekało mnie sporo do zrobienia, zasiadłem więc przed jednym z terminali skomputeryzowanego katalogu i zabrałem się do szukania wszystkiego, co jest do znalezienia na temat Doni Sepanty. Gwoli staranności sprawdziłem też parę innych nazwisk, byłem jednak prawie pewien, że to właśnie ona. Personel niestrudzenie donosił mi stare, jeszcze niezarchiwizowane cyfrowo magazyny i masę gazet.

Po półgodzinie odpuściłem sobie pozostałe kandydatury i skupiłem się wyłącznie na Sepancie, usiłując skompilować w miarę spójną biografię. Okazało się to nader trudnym zadaniem, jak na tak prominentną – zwłaszcza w kręgach perso-amerykańskich – obywatelkę miasta, aktywną i mieszkającą zaledwie kilka mil od centrum.

Natrafiałem na wiele sprzecznych informacji, wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że przyszła na świat niemal równo w połowie XX wieku. W różnych źródłach powtarzały się daty z lat 1952, 1953 i 1955, nie było natomiast rozbieżności co do miejsca urodzenia. Nazwa Hamadan z czymś mi się kojarzyła; szybko się dowiedziałem, że to współczesne półmilionowe miasto w północno-zachodnim Iranie. Co ciekawsze, wyrosło na gruzach starożytnej Ekbatany, pierwszej stolicy imperium Medów i jednego z najstarszych ośrodków miejskich na świecie.

Prawie niczego nie znalazłem w kwestii lat spędzonych przez Donię Sepantę w kraju ojczystym, jednak według większości notek biograficznych miała zamożnych rodziców, którzy często przebywali w Europie i Ameryce i na dobre opuścili Iran po rewolucji z 1979 roku. Najdziwniejsze jednak było to, że poza tym nie widziałem żadnych wzmianek na ich temat; nigdzie nie pojawiły się choćby ich imiona, nie mówiąc o dalszych losach. Może źle się wyraziłem: dziwne to by było wtedy, gdyby istnieli naprawdę – ich córeczka Donia zaczęła bowiem zostawiać wyraźne ślady w mediach od połowy lat osiemdziesiątych, po przeprowadzce z południowej Kalifornii do pocziwego Jude. Od tamtej pory udzielała się w

licznych akcjach charytatywnych na rzecz budowy parków i budynków komunalnych; figurowała na listach sponsorów niemal wszystkich projektów ważnych dla społeczności perso-amerykańskiej. Od dawna wspierała ruch oporu przeciwko rządóm ajatollahów i zaliczała się do stronników syna obalonego szacha; ich drogi się jednak rozeszły (jeśli wierzyć jednemu z artykułów w prasie irańskojęzycznej), gdyż obóz Rezy Pahlaviego wzbraniał się przed otwartą krytyką agresywnego islamizmu.

Pani Donia nie lubi zatem nowej religii. To znaczy nowej dla niej, jeżeli rzeczywiście jest Anaitą.

Im więcej na jej temat czytałem, tym bardziej pasowała do mojej hipotezy. W pewności utwierdziła mnie jej wyraźna niechęć do fotografów. Jeżeli w materiałach o niej występowały jakieś zdjęcia, to zawsze ktoś ją na nich reprezentował – najczęściej członkowie zarządu Fundacji Sepanta, jej głównej instytucji dobroczynnej. Wszyscy za to chętnie wysławiali nie tylko jej szczodrość, lecz także urodę i wdzięk. Nie chcę twierdzić, że nie ma skromnych filantropów, ale nieraz słyszałem, że osobisty wkład może wydatnie pomóc przy zbieraniu funduszy, choćby dlatego, że pospólstwo uwielbia się pocierać o ważnych, możliwych i popularnych. Styl życia Doni Sepanty po prostu odstawał od normy. Do tego poza dawno zmarłymi i na dobrą sprawę anonimowymi rodzicami najwyraźniej nie miała żadnych krewnych.

Prawie już przekonany, że rozszyfrowałem kamuflaż Anaity, zacząłem się rozglądać za wskazówkami co do jej adresu lub miejsc, gdzie można ją spotkać. Jeśli nie liczyć często pojawiających się w

lokalnych gazetach określił w rodzaju „jedna z wybitnych/prominentnych mieszkanek San Judas”, nie dostrzegając jednak żadnych wskazówek. W paru artykułach napomykano, że może mieszkać gdzieś w górach; w jednym autor wspomniał o okręgu Palo Alto, inny wymienił Woodside, nikt z dziennikarzy nie zaryzykował jednak stwierdzenia wprost, że pani Sepanta ma tam swoją rezydencję. Zresztą, sądząc po wzmiankach o jej „częstych podróżach” i „kręgu wpływowych przyjaciół na całym świecie”, i tak musi rzadko bywać w domowych pieleszach.

Podniosłem wzrok znad papierów i zdziwiony dojrzałem, że się ściemniło. Już miałem zakończyć sesję, gdy przypadkiem trafiłem na coś bardzo interesującego w jednym z ostatnich zamówionych czasopism – wierzcie lub nie, w starym wydaniu „Sunset Magazine”. Dla tych, którzy nigdy nie mieszkali w Kalifornii, wyjaśnienie: pierwotnie było to czasopismo krajoznawcze nieistniejącej już sieci kolejowej Southern Pacific, które przetrwało upadek sponsora i wyrobiło sobie własną, do dzisiaj znaną markę. Jest to eleganckie pismo o podróżach, dekoratorstwie i kuchni ukierunkowane na klasę wyższą i tych, którym się marzy życie w tym stylu. Gdybyście chcieli poznać przepis na idealne *cioppino* z krabów dla ośmiorga i dowiedzieć się, jak najlepiej je podać pod ogrodową pergolą w kręgu dziesiątek rozmigotanych meksykańskich *luminarias*, zaprenumerujcie „Sunset”.

Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy w numerze z czerwca 1988, pośród kawałków o aluminiowych szafkach z artystyczną perforacją, barach *tapas* (podówczas były jeszcze nowością) i

pielęgnacji dużych ogrodów w czasie suszy (częsta przypadłość w Kalifornii), ujrzałem artykuł zatytułowany „Perska oaza wśród kalifornijskich wzgórz”. Właścicielką owej rajskiej posiadłości okazała się... szanowna Donia Sepanta, „znana persona i filantropka”. Zachłannie przeczytałem całość i uważnie obejrzałem zdjęcia, nie z podziwu dla wspaniale utrzymanego parku i sadu, lecz w poszukiwaniu podobizny nieuchwytej celebrytki. Figurowała tylko na jednym, ale obiektyw uchwycił zaledwie jej ramię i dłoń, na której prezentowała dorodny owoc granatu. Dłoń, owszem, ładna i wypielęgnowana, ale nic charakterystycznego. Tekst też nie wniósł nic nowego; ciekawie opisywał perski styl ogrodnictwa, lecz niewiele poza tym. Jediną godną zainteresowania rzeczą było kilka odniesień do „widoku ze szczytu wzgórza” i „spoglądania w złocistą dolinę Santa Clara” – tak przed laty zwano to miejsce, nim zaczęło się kojarzyć głównie z krzemem.

Kiedy już prawie dałem za wygraną, wpadła mi w oko jedna z mniejszych fotografii, ukazująca kilka ozdobnych kwadratowych sadzawek usytuowanych na dziedzińcu willi. W podpisie była wzmianka o widoku na tę dolinę, w samym zaś rogu, za zielenią wypełniającą przestrzeń między posiadłością a odległym oceanem, nad linią lasu, sterczał drobny biały palec, jakby nieśmiały gość starał się przyciągnąć uwagę kelnera. Była to wieża Hoovera w samym sercu kampusu Uniwersytetu Stanforda – dzięki czworobocznej podstawie będąca świetnym punktem orientacyjnym. Przesłałem zdjęcie na swoją pocztę elektroniczną w największym formacie, jaki udało mi się znaleźć, po czym zakończyłem działalność i poszedłem

na stację; byłem tam umówiony z Amazonkami.

Dziewczyny były w szampańskim humorze.

– Mamy wszystko! – rzuciła na powitanie Halina. Siedziała za kierownicą spięta, prawie z nosem na szybie, mrużąc oczy. Zdaje się, że przed oddaniem kluczyków powinienem ją zapytać, czy nie potrzebuje okularów korekcyjnych, ale było już za późno. – Co do sztuki. Bez problemu.

– Nie, jeden problem był. Z facetem z Packages Plus – doniosła wesoło Oksana. Jej angielski szybko się poprawiał, wciąż jednak musiałem się czasem napracować nad zrozumieniem, co mówi. – Krzywił się, nie chciał dać srebrnego proszku. Was nie ma na kwicie, mówi. Tu napisane, mówi, Robert Dolar. A wy nie Robert Dolar. Hala mu na to: jak my nie Amerykanki, nie znaczy, że nie możemy pracować dla Amerykana.

– Oni tam są bardzo czujni – wyjaśniłem. – Właśnie dlatego wynajmuję u nich skrzynkę pocztową. Przecież dałem wam upoważnienie. Nie pokazałyście mu?

– Widzisz? Mówiłam ci! – burknęła do przyjaciółki Halina. – Gdzie pismo, pytałam, co dał Bobby. A ty, że wcale nie dał.

– Zapomniałam. – Oksana wzruszyła ramionami i zrobiła skruszoną minkę. – Zostawiłam w innym ubraniu.

– Nie ma sprawy – uspokoiłem ją. – Widzę, że towar macie, więc jakoś sobie poradziłyście.

– No pewnie. – Oksana się rozjaśniła. – Hala mu powiedziała:

Dawaj, bo pan Dolar będzie zły, a ode mnie dostaniesz felgę w nos.

– Fangę! – poprawiła z godnością ruda. – Mówi się fanga.

Przewróciłem oczami. Wyglądało na to, że będę musiał pójść udobruchać nieszczęśnika z Packages Plus.

– A to kupiłyśmy w sklepie. Tylko po co ci cukier, Bobby? – Oksana podała mi torbę w rozmiarze familijnym. – Ciasto pieczesz?

– Ha, ha. Coś tam upichcę, a jakże. Jutro mam ważne spotkanie i chcę zabrać mały poczęstunek.

Nie powiedziałem im dotąd o zaproszeniu do Czarnego Słońca, w paru zdaniach wprowadziłem je więc w temat.

Halina tak się zdenerwowała, że natychmiast wdepnęła hamulec i z piskiem opon stanęła na poboczu – na autostradzie Woodside, co nawet wczesnym popołudniem, godzinę przed szczytem, nie jest najlepszym pomysłem. Klaksony się roztrąbiły, parę wozów musiało ominąć nas w ostatniej chwili.

– Nie zrobisz tego! – krzyknęła. – Nie pójdziesz sam! To mordercy!

– Wróć, proszę, na jezdnię – powiedziałem spokojnie. – Wiem, co robię. Różni próbowali mnie zabić, kiedy wy jeszcze chodziłyście do przedszkola. Może zauważyłyście, że mimo to jeszcze jakoś żyję.

– Ale ty ich nie znasz. Czarne Słońce bardzo, bardzo złe. Mają moce!

– Tak? Większość z tych, którzy mnie nienawidzą, to nawet nie ludzie – odparłem, ale bez nacisku.

Byłem pewien, że Amazonki wciąż nie wiedzą, iż jestem kimś innym niż zwykłym śmiertelnikiem. Przy łucie szczęścia może i Bajdur von Drańman będzie tego samego zdania. Wiem, że tajemnica mojej tożsamości zalicza się do tych spod znaku poliszynela, bo większość moich znajomków o niej wie, ale dla reszty populacji jestem – jeżeli w ogóle kimkolwiek – po prostu facetem, który od czasu do czasu pakuje się w deczko nienormalne sytuacje.

Nie wiem, czemu mój widok w samych bokserkach, w dodatku przy kuchence, rozśmieszył Amazonki do łez.

– Miłe panie, nie robię tego dla waszej rozrywki – zwróciłem im uwagę, gdy już dość miałem ich rehotu. – Pracuję tu z bardzo paskudną substancją, a nie mam za wiele porządnych spodni.

– Nie przejmuj – wykrztusiła Oksana. – Masz bardzo ładną nogę.

– Nogi – poprawiła ją Halina. – On ma dwie.

– Może podoba się jej tylko jedna – mruknąłem. – Podajcie mi ten plastikowy słóiczek, dobrze?

Mieszając w garnku, poprosiłem, żeby nastawiły jakąś muzykę. Wyboru dokonała Oksana. Mniej więcej po dziewięćdziesięciu sekundach upiornego euro-pop-disco mój mózg czuł się jak po spartaczonej sesji elektrowstrząsów, odłożyłem więc chochelkę i zmieniłem płytę na coś bardziej sprzyjającego precyzji ruchów przy pracy z mieszanką wybuchową: pierwszy album Niny Simone, *Little Girl Blue*.

– Aleś ty stary! – prychnęła fanka euro-jazgo-łomotu.

– Coś ty, to ładne – zaprotestowała Halina. – Ona ma dużo... osoby w głosie.

– Świetnie to ujęłaś – pochwaliłem. – Macie te buty?

– No właśnie, po co ci one? Liche i nudne...

– Nie zrobiłbym tego butom, które chciałbym zatrzymać.

Wyjąłem z pudełka czarny półbut i przyjrzałem się obcasowi. Był z twardej gumy; nadawał się idealnie. Musiały być na tyle mocne, bym mógł w nich normalnie chodzić, ale nie za bardzo elastyczne. Droбноziarnistym papierem ściernym zmatowiłem lakier; każdy, kto mnie choć trochę zna, od razu nabralby podejrzeń, gdybym się pokazał w obuwiu wyglancowanym na błysk (albo, uchowaj Boże, pod krawatem). W pewnych szemranych miejscówkach, w których czasem przesiaduję, włożenie krawata skończyłoby się dla mnie kulką w łeb za podszywanie się pod Boba Dolara.

Gdy kończyłem przygotowania, z głośników płynął *Central Park Blues*, Amazonki zaś skapitulowały i poszły spać. Posprzątałem, poukładałem spreparowane różności do wyschnięcia, stwardnienia i tak dalej, a potem nalałem sobie porządnego drinka. Uznałem, że zasłużyłem, skoro udało mi się nie puścić dziupelki z dymem ani nie stracić palców przy eksperymentach chemicznych. Zostawiłem okap włączony, żeby pozbyć się oparów (mieszkanie wszak nie ma okien), i zamknąwszy się w łazience, zdjąłem zegarek i przystąpiłem do ćwiczeń z Zamkiem Błyskawicznym. Musiałem nabrać wprawy w określaniu, ile czasu upływa w normalnym świetle, kiedy jestem na Zewnątrz. Już wkrótce będzie mi to bardzo potrzebne.

Deszcz ustał, wyszedłem więc na podwórko ze szklanką. Próbowałem odpychać wspomnienia naszej pierwszej nocy z Caz, bo ból był zbyt silny. Czasami myślę, że lepiej by nam było, gdybyśmy oboje umarli, lub choć jedno z nas – wtedy przynajmniej byłoby wiadomo, że to koniec, a tak to tkwimy zawieszeni w tym Piekłe; ona dosłownie, ja w przenośni. I chociaż wiedziałem, że to, co teraz robię, jest dla mnie jedyną szansą, aby ją odzyskać, czułem, że w którymś momencie zacznę wrzeszczeć i rozbijać, co mi wpadnie pod rękę, póki mnie ktoś nie potraktuje paralizatorem i odstawi do wariatkowa. Tylko że jej to w niczym nie pomoże.

Czy w ogóle dostała moją wiadomość? Dlaczego nie odpowiada? Może mrożenie i torturowanie nizzaka nie jest najlepszym sposobem łączności – ale skąd mogłem to wiedzieć? Instrukcji obsługi w puszczku nie przyniósł.

Coś mi przefrunęło nad głową, aż się wzdrygnąłem. Z bijącym sercem zacząłem się rozglądać, ale to był tylko jakiś ptak. Nawet nie gołąb pocztowy.

Upłynęło może dwadzieścia minut, a ja wciąż byłem sam na sam z wonią mokrego betonu i żałośliwym carillonem ze szkła i topniejących kostek lodu.

Osiemnaście

Nowe znajomości, kupa dymu



Utykałem, idąc Centennial Avenue, ale to było tylko utykanie taktyczne.

Patrzyłem, jak mój datsun dojeżdża do skrzyżowania i skręca z powrotem w stronę Ravenswood. Po ostatniej jeździe terenowej nowy lakier był przekonująco spatynowany. Pozwoliłem, by Amazonki mnie odwiozły, nie chciałem bowiem ryzykować przypadkowego odpalenia fajerwerku w obcasie, ale prędzej szlag by mnie trafił, niżbym wystawił je na szwank w tej ekspedycyjcje zwiadowczej – stanowiącej typowy przykład durnego i zapewne niepotrzebnego działania, na jakie najlepiej porywać się samemu.

Centennial była ważną arterią w latach sześćdziesiątych, ale spadły na nią chudsze czasy, a wielki program przebudowy centrum, przeprowadzony trzydzieści lat później, ominął ją raptem o parę ulic. Jest szeroka, ale tego nie widać, gdyż przytłaczają ją kanciaste wielopiętrowe budynki z początków XX wieku. Dziś przejeżdża się tamtędy jak najszybciej, a choć wciąż jest to dzielnica głównie mieszkaniowa – niemal we wszystkich blokach, nawet tych, w których mieszczą się dobrze prosperujące firmy, górne piętra zajmują

apartamenty – panująca tam ponurość, nieprzytulne, szerokie chodniki i ruch samochodowy sprawiają, że także miejscowi przechodnie raczej przyspieszają tam kroku. Nie wspomnę już o mniej przyjemnych formach życia ulicznego, występujących tam nader obficie. Odległe o kilka przecznic skrzyżowanie Centennial i Industrial to jedno z najlepszych miejsc, jeżeli ktoś szuka prostytutki czy dragów. Niezależnie od pory doby.

Tutaj, nieco na zachód od Cendustrial, jak je nazywają tubylcy, sprawy nie wyglądają aż tak źle, ale i tu nie dotarła fala odnowy. Lokale usługowe na parterze kamienic zajmują najczęściej meksykańskie i azjatyckie knajpki, pralnie chemiczne, salony fryzjerskie i kosmetyczne – wszystko drugiego sortu, jak to zwykle bywa w małych podmiejskich pasażach handlowych.

Numer 378 nosił duży piaskowoszary budynek z tej samej epoki co pozostałe, ale o parę pięter wyższy, a przy tym z większą klasą. Miał trzy witryny z osobnymi wejściami: za jedną mieścił się gabinet lekarski, za drugą biuro rachunkowe, trzecią zaś zdobił złoty napis na matowym szkle, obwieszczający dumnie, że działa tam „Sonnenrad Communications”.

Wszedłem do środka. Pomieszczenie było niewielkie, urządzone po spartańsku – ot, kilka krzeseł i stół zarzucony kolorowymi czasopismami – i puste. Spieszę donieść, że nic też nie wskazywało na neonazistowskie przekonania najemców, ale to raczej logiczne: po co ekscytować listonosza okładkami „Magazynu Ludobójcy” czy „White Power Illustrated”.

Przyklejony taśmą arkusz z czarno-białym wydrukiem informował, że recepcja znajduje się na pierwszym piętrze, pokuśtykałem więc ostrożnie schodami na górę. Recepcjonistka, dwudziestokilkuletnia czysta blond Aryjka jak wyjęta z kadru *Triumfu woli**, przywitała mnie miłym „W czym mogę pomóc?” (z klasycznym akcentem z San Judas).

– Jestem umówiony. Nazywam się Dolar.

Skinęła głową, zaanonsowała mnie telefonicznie i powiedziała, że zaraz ktoś po mnie przyjdzie, po czym wróciła do przerwanego zbożnego zajęcia dla dobra białej rasy, czyli w tym wypadku – do przeglądania „Us Magazine”.

Po kilku sekundach otworzyły się drzwi, wychynął z nich jeden z sukinsynów, których przyłapałem na buszowaniu w mojej garsonierze (ten ciemnowłosa, Timon) i kiwnął, bym szedł za nim. Gdy przekroczyłem próg, jego blond kumpel Pumba stanął przy mnie po drugiej stronie.

– *Herr von Reinmann* pana oczekuje – oznajmił sztywno Timon.
– Bardzo przepraszamy za tamto nieporozumienie.

– No to do rzeczy. – Nie zamierzałem tracić energii na udawanie kurtuazji.

Wewnętrznymi schodami weszliśmy na następne piętro. Timon zapukał do drzwi w połowie korytarza, otworzył je i przepuścił mnie przodem.

Pokój musiał być kiedyś przyjemnym biurem jakiegoś prawnika albo nawet nieco staromodnym gabinetem lekarskim, choć tapety

mocno już wyblakły i nie pasowały do modernistycznego umeblowania. Większą część północno-wschodniej ściany zajmowało duże zakratowane okno. Za masywnym dębowym biurkiem siedział mężczyzna w wieku może trzydziestu lat, o bladej cerze i czarnych włosach przyszyżonych przy samej skórze jak u jego podkomendnych, w przeciwieństwie do nich nosił jednak pełny, gęsty zarost. Mniej przypominał stereotypowego neofaszystę, niż się spodziewałem; porównałbym go raczej do Abrahama Lincolna dotkniętego wszawicą. Wrażenie spotęgowało się jeszcze, gdy wstał, miał bowiem prawie dwa metry wzrostu i długie ręce.

– Witam, panie Dolar! – rzekł z lekkim, lecz dostrzegalnym skandynawskim akcentem. – Miło, że pan nas odwiedził. Raz jeszcze proszę przyjąć przeprosiny za błąd moich kolegów. Winny został już ukarany, przysięgam.

Nie wyglądało na to, żeby któryś z mojej asysty cokolwiek ucierpiał, skinąłem jednak uprzejmie głową.

– Pan Baldur von Reinmann, jak sądzę?

– We własnej osobie! – Uśmiechnął się, jakbym go rozpoznał na ulicy i poprosił o autograf. – I mamy wiele do omówienia. Ale najpierw, proszę wybaczyć, koledzy muszą... – Złożył dłonie w geście zakłopotania. – Cóż, nie ma co owijać w bawełnę. Muszą pana zrewidować. Mam licznych wrogów, a my dwaj jeszcze nie zawarliśmy przyjaźni.

Wzruszyłem ramionami i pozwoliłem się obmacać pretorianom. Jeden od razu natrafił na moją efenkę, wyjął ją ostrożnie i położył na

biurku. Drugi znalazł nóż schowany w rękawie, przeoczył jednak inny, który miałem ukryty na karku, pod marynarką. W geście dobrej woli powiedziałem im o tym i sam go oddałem Pumbie.

– Thomasie, nie bardzo się przyłożyłeś – skarcił go von Reinmann. Przesunął pistolet i oba noże na skraj blatu, poza moim zasięgiem. – Teraz przeszukajcie go jeszcze raz.

Tym razem bardziej się postarali i znaleźli trzeci nóż, najmniejszy, wbudowany w sprzączkę paska, a w końcu przyuważyli nawet, że mam wszyty w rękaw ołowiany pręt. Wolałem nie narażać porządnej marynarki na pocięcie, zdjąłem ją więc i rzuciłem von Reinmannowi, który złożył ją starannie i przykrył nią pozostały ekwipunek. Pumba przyniósł dla mnie krzesło i postawił przy biurku naprzeciwko szefa, a gdy usiadłem, wraz z Timonem ustawili się po bokach.

– Mogę pana czymś poczęstować? – spytał gospodarz.

– Nie, dziękuję – odrzekłem. – Przed przyjściem byłem z córką na obiedzie.

Czekałem, jak na to zareaguje, on jednak tylko kiwnął głową. Ucieszyło mnie to, wymyśliłem bowiem tę córkę trochę na wypadek, gdyby ktoś zauważył, że przywiozły mnie Amazonki, ale głównie po to, by się przekonać, czy Czarne Słońce wie, że jestem aniołem. Brak reakcji mógł znaczyć, że prawdopodobnie nie, a to by mi dawało przewagę.

Przez następne pięć minut musiałem słuchać tłumaczenia, jak to ludzie Baldura całkiem opacznie zrozumieli jego polecenie nawiązania ze mną kontaktu i nie tylko niepotrzebnie mnie śledzili,

lecz posunęli się aż do, cytuję, „tak przykrego konfliktu fizycznego”.

– Czy pod tym określeniem rozumie pan pobicie tak brutalne, że potem kaszlałem krwią?

– Jak już powiedziałem, panie Dolar, możemy tylko wyrazić żal z powodu tej pomyłki. – Von Reinmann zbył te niemiłe detale machnięciem ręki. – Podjęliśmy jednak zdecydowane kroki, by miał pan pewność, że podobna sytuacja już się nie powtórzy.

– Doprawdy? Może się mylę, ale dwaj z winowajców stoją tu za mną i dyszą mi w kark, a jakoś nie widać, żeby któremuś połamano nogi.

Baldur uśmiechnął się z niekłamana przyjemnością i pierwszy raz poczułem niepokój. Wydawał się uszczęśliwiony, że poruszyłem tę kwestię. Przypomniałem sobie przestrogi Ukrainek. Czarne Słońce bardzo, bardzo złe.

– Och, ale oni byli tam tylko do pomocy. To ten nibyż to zawodowiec, któregośmy wynajęli, tak wszystko spartaczył.

Mówił o Łysoniu. Więc to na niego chcą wszystko zrzucić. Jaki w tym sens? Co mogą powiedzieć: nie ma go, gdzieś zwiął, stracili z nim kontakt? Po co w ogóle go wyciągają?

– Czyżby? – Uniosłem brwi. – Wydawał się autentycznie przekonany, że dostał zlecenie na przefasonowanie mi gęby.

– Straszne, straszne. Ale proszę się nie martwić. Zajęliśmy się tym. – Von Reinmann otworzył laptop z największym dostępnym na rynku monitorem, który jeszcze można wnieść do samolotu jako

bagaż podręczny, i obrócił go ekranem do mnie. – Proszę popatrzeć.

Przez chwilę nie widziałem nic poza niewyraźnymi cieniami, lecz obraz szybko się ustabilizował. Zobaczyłem człowieka leżącego na zaolejonym betonie, pośrodku kręgu światła. Właściwie nie leżał, tylko klęczał pochylony do przodu, z rękami związanymi na plecach. Ktoś przyciskał mu głowę do posadzki, ale twarz była na tyle widoczna, bym mógł rozpoznać Łysego. Aż mnie nos zabolął na jego widok. Coś mówił, ale dźwięk był wyłączony i nic nie słyszałem.

– Aha, więc znalazł się winny. – Spojrzałem Baldurowi w oczy. – I co, daliście mu klapsa za mnie?

– Proszę patrzeć.

Chwilę później postać trzymająca Łysonia nachyliła się tak, że mogłem widzieć ją prawie całą. Nie miałem pewności, bo facet miał kominiarkę na głowie, ale mógł to być sam von Reinmann. Wyciągnął długi nóż z szerokim ostrzem i podsunął przed obiektyw. Poznałem po kształcie, co to jest, i chociaż w mdłym świetle wygrawerowany na nim napis był nie do odcyfrowania, wiedziałem, jak brzmi: „Meine Ehre heißt Treue”. W wolnym przekładzie: lojalność moim honorem. Takie noże w hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy wydawano esesmanom. Już miałem na końcu języka sarkastyczną uwagę o zebraniu całej kolekcji czy coś w tym rodzaju, ale wtem w kadr wsunęły się dwie inne sylwetki, mocniej przytrzymały Łysego, a ten z nożem zabrał się do podrzynania mu gardła.

Nie jest to przyjemny widok w żadnych okolicznościach, ale to, na co patrzyłem, było tym okropniejsze, że robił to powoli. Nawet

siłacz potrzebuje trochę czasu, by przeciąć szyję muskularnego mężczyzny, zwłaszcza gdy ofiara walczy o życie, rzuca się, szamocze i krzyczy. Podziękowałem losowi, że Baldur nie włączył dźwięku. Ostatnie minuty były już tylko niehigieniczną, przyprawiającą o mdłości rzeźnią. Gdy było po wszystkim, operator wyłączył kamerę; ostatnim widokiem na ekranie był bezgłowy korpus w kałuży krwi.

Von Reinmann zamknął laptop i zadowolony rozparł się wygodnie w fotelu.

– Honor naszej grupy jest dla nas bardzo ważny, panie Dolar, i nie lekceważymy naszych zobowiązań. A gdyby pan myślał, że tylko wyreżyserowaliśmy tę scenkę jak w jakimś telewizyjnym spektaklu, mam dla pana prezent. – Sięgnął pod biurko i wydobyl tak zwaną walizkę disc jockeya: sześciennie pudełko o boku trzydzieści parę centymetrów zamykane od góry klapką, przeznaczone do noszenia płyt winylowych. – Na dowód szczerości naszych przeprosin. No, proszę zajrzeć. Przekona się pan, że winny tej niefortunnej napaści został ukarany.

Niejedno w życiu widziałem, nie obawiałem się więc, że zwymiotuję czy zemdleję, było mi jednak zdecydowanie mniej lekko na sercu, niż kiedy tu wchodziłem. Od Gustibusa i Amazonek wiedziałem, że mam do czynienia z mordercami, niespodzianki zatem nie było, ale nieskrywana przyjemność, z jaką Baldur pokazał mi film z egzekucji, zaklasyfikowała go o klasę wyżej, między sadystów i szaleńców.

Nie byłem tym zaskoczony. To właśnie dla takich jak on

Najwyższy stworzył Piekło.

Starałem się nie okazywać poruszenia, pudełka jednak nie otworzyłem. Stało nietknięte na biurku jak model kosmolotu z planety Dekapitron.

– No dobrze. Jeśli to już koniec prezentacji, to poproszę o odpowiedzi – wycedziłem. – Powiedział pan, że możemy współpracować. Co, według pana, może nas łączyć?

– Róg, panie Dolar – odpowiedział z pustym uśmiechem. – Wie pan to tak samo dobrze jak ja, nie będę więc obrażał pańskiej inteligencji. Róg Abigora.

Bingo. Nie będziemy więc tracić więcej czasu.

– Abigora? Chyba Eligora.

– Abigor, Eligor, jak zwał, tak zwał. – Machnął niecierpliwie dłonią. – Te nieśmiertelne istoty mają tyle imion, ilu jest tych, którzy oddają im cześć lub błagają ich o miłosierdzie. Wykazał pan rzadką smykałkę do pozyskiwania artefaktów, o jakich inni mogą tylko marzyć. Róg Abigora bardzo się nam przyda. Ilekolwiek panu za niego obiecano, zostałem upoważniony przez naszego przywódcę do zaoferowania o połowę więcej.

– Waszego przywódcę? Sądziłem, że to pan nim jest.

Znów się uśmiechnął, lecz tym razem z mocniej zaciśniętymi ustami.

– O, nie. Czarne Słońce to stara i szacowna społeczność. Choć miałem szczęście wspiąć się na wysoki szczebel w naszej hierarchii, to

tak jak wszyscy winien jestem lojalność naszemu mistrzowi, czy też Imperatorowi, jak go tytułujemy, cześć mu i chwała. – Timon i Pumba powtórzyli szeptem ostatnią frazę jak w katechizmie. – Stanowimy znacznie większą siłę, niż się panu wydaje, panie Dolar. Jesteśmy potężnym ruchem. Armią. Mamy panu do zaoferowania znacznie więcej niż tylko przyjaźń, lecz i ona sama jest wiele warta.

– Jestem tego pewien – odrzekłem. – A co zrobicie z rogiem, gdy już go zdobędziecie?

– No, no, nie na każde pytanie możemy odpowiedzieć. – Pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać. – Zresztą o tym zadecyduje mistrz. Proszę się jednak nie przejmować. Wyniknie z tego tylko dobro. Nie jesteśmy jakąś nihilistyczną sektą, zgrają anarchistów dążących do zagłady cywilizacji, tylko budowniczymi, panie Dolar!

– Jasne. Budować potraficie. Radzieckie czołgi jednak dość szybko się uwinęły ze zburzeniem wszystkich tych cudów architektury w Berlinie, nie sądzi pan?

Przez moment ujrzałem w jego zielonych oczach błysk furii, i to nie takiej zwyczajnej, lecz podszytej prawdziwym szaleństwem. Napiąłem mięśnie, spodziewając się ciosu, on jednak tylko się wyprostował i pogroził mi palcem jak zagniewany nauczyciel.

– Nie złapie mnie pan na taką przynętę, panie Dolar. Owszem, mamy pewne powiązania z paroma starymi ruchami narodowosocjalistycznymi, ale Hitlera uważamy za głupca i amatora, do tego rasistę! – Powiedział to tak, jakby mogło mnie to zdumieć. – Za dużo czasu zmarnował na kwestię żydowską, podczas gdy

prawdziwi wrogowie byli o wiele bliżej.

– A tymi prawdziwymi wrogami są...?

– Za długo już o tym rozmawiamy, panie Dolar. – Von Reinmann wstał i wyprostował się sztywno. – To jak, zawieramy umowę o współpracy? Pan więcej zarobi, a na dłuższą metę opłaci się to panu jeszcze bardziej. Wejdzie pan do bardzo wpływowej organizacji, a może mi pan wierzyć, że z biegiem lat nasza potęga będzie tylko rosła.

– A gdybym odmówił? Bo widzi pan, przywykłem pracować w pojedynkę.

– Ależ w tym właśnie tkwi problem. To prowadzi do nieporozumień. Takich jak to. – Wskazał na pudełko. – Myślę, że jednak pan się zgodzi. Co innego może pan zrobić?

– Czyli mówię „tak” i wychodzę?

– Mniej więcej. – Nacisnął guzik na telefonie. Dwie sekundy później otworzyły się boczne drzwi i weszły trzy nowe typki, jak spod tej samej sztancy co dwaj misjonarze (tak wciąż w myślach nazywałem Pumbę i Timona), najwyraźniej nie bez powodu odziani w luźne marynarki, dobre do ukrycia kabur. – Naturalnie pójdzie z panem paru moich towarzyszy. Pomogą przenieść wszystko, czego może pan potrzebować do zamieszkania z nami. Na górnych piętrach mamy część hotelową, by tak rzec. Jest dużo pokoiów do wyboru. Na pewno spodoba się panu u nas bardziej niż w tym, za przeproszeniem, getcie, gdzie pan dotąd mieszkał.

Najwyraźniej jeszcze się nie zwiedzieli, że zmieniłem adres. Miło

usłyszeć.

Pojawienie się dodatkowej trójki przeciwników dramatycznie przeważałoby szalę na moją niekorzyść, gdybym chciał wywalczyć sobie drogę ucieczki – ale mój plan był inny. Uznałem jednak, że najwyższa pora rozstać się z obecnym towarzystwem, zanim wpadnie ich tu jeszcze więcej. Podniosłem się z krzesła i zrobiłem krok w stronę biurka. Tak jak przewidziałem, Baldur przesunął się tak, by zagrozić mi drogę do odebranej broni. Był nie tylko silny, lecz i sprytny. To, że ma głowę nabitą mrzonkami o rasie panów, nie znaczy, że można go zlekceważyć.

– Aha... Od początku chciałem pana o coś zapytać – powiedziałem, stając naprzeciw niego. – Dlaczego akurat Baldur von Reinmann?

Pytanie go zaskoczyło.

– Słucham?

– No, Baldur, normański bóg światła. Reinmann, czyli po niemiecku „czysty człowiek”. Czy to trochę nie tak, jakby nazwać się Jezusem von Supermanem? Nie boi się pan, że pańscy ludzie mogą się z tego podśmiewywać?

Powiało chłodem.

– Ach, tak, mówiono mi o pańskim dziwnym poczuciu humoru – wycedził przez zęby.

– Pytam serio. Trochę poszperałem w sieci. – Obejrzałem się na Timona, Pumbę i pozostałych. – Wiedzieliście o tym, chłopaki? Wasz

szef miał kupę nazwisk. Na początku był zwyczajnym Mortenem Egge, synem dentysty z Oslo i wielkim fanem *Gwiezdnych wojen*. Potem skumał się z blackmetalowcami i nazwał Sveinem Hvitkrigerem, czy jakoś tak. Hej, a może graliście z nim w którejś z kapel? I co tam było dalej? – zwróciłem się znów do von Reinmanna, który z każdą sekundą bardziej bladł. – A, już wiem. W black metalu szło mu tak fajnie, że został rzecznikiem ruchu i zmienił ksywę na Uruk. Ci podpalacze kościołów i koneserzy syropu przeciwkaszlowego uwielbiają takie tolkienowskie klimaty. Teraz stał się Baldurem von Reinmannem, gruppenführerem Czarnego Słońca. – Pokręciłem głową. – Oportunizm czy zwykła dziecinada? Ludzie, pomocy, nie wiem, kim jestem!... Co dalej? Zostaniesz hipisem i przechrzisz się na Słonecznika... albo Narcyza?

Gruppenführera to najwyraźniej nie bawiło.

– Dołóżcie mu – rozkazał.

– Próbujcie, może się uda. – Prychnąłem wzgardliwie i wyrzuciłem dłoń w hitlerowskim salucie. – *Sieg heil*, chłopaczki!

Uniosłem stopę i z całej siły tupnąłem spreparowanym obcasem.

Gdyby moja sztuczka zawiodła, znalazłbym się w poważnych tarapatkach. Dajcie mi spluwę, parę ostrych przedmiotów, porządną przespaną noc i sporo ciemnych kątów, a przy anielskiej sprawności być może dałbym radę pięciu czy sześciu facetom, ale niczego nie obiecuję. Na terenie wroga, w zamkniętym pomieszczeniu na drugim piętrze i z pustymi, spoconymi rękami prędzej zostałbym pocięty kulami na drobne pasemka. I właśnie dlatego wczoraj tak późno

poszedłem spać.

Może nie wiecie, ale ze zwykłych, dostępnych na rynku składników można zmiksować całkiem niezły ładunek dymnohukowy. Dodałem parę własnych przypraw, żeby dymiło się szybciej i mocniej – których nie zamierzam wam zdradzić – ale na zwykły fajerwerk wystarczy trochę azotanu potasu (czyli saletry), cukru i tego grudkowatego proszku z mikropetard, takich do rzucania o ziemię. Na dno wydrążonej w obcasie dziury wkleiłem też płytkę metalową, żeby w razie błędnego obliczenia ładunku nie urwało mi stopy. Jako aniołowi pewnie by mi w końcu odrosła, ale zabawne by to nie było.

Petarda zadziałała jednak znakomicie. Ponieważ wydrążenie zaszpachlowałem tylko cienką warstwą czarnego kitu, cała siła eksplozji poszła w dół (co i tak odczułem, jakby mi ktoś strzelił w piętę) i w kierunku misjonarzy. Huknęło tak, że sam się wystraszyłem, choć byłem przygotowany, a dymu zrobiło się co niemiara. W półtorej sekundy, zanim którykolwiek z nich zdążył sięgnąć po broń, kotłująca się wokół mnie chmura sięgnęła prawie sufitu. Buldog von Rejwach coś wrzasnął i piątka zbirów rzuciła się mnie szukać w tej kurzawie.

Dlatego też byłem rad, że nie wiedzą, kim jestem naprawdę. Przykucnąłem nisko, gdzie dym był najgęstszy, otworzyłem Zamek i prześliznąłem się na Zewnątrz. Dla ferajny z Sonnenrad po prostu zniknąłem bez śladu.

Czekałem przyczajony wśród znieruchomiałych kłębów,

namacalnych tam jak wata cukrowa. Nie da się dokładnie ocenić poślizgu w czasie między Zewnątrzem a światem realnym, musiałem więc polegać na własnym wyczuciu. Po to trenowałem przed akcją. Chodziło o pewność, że tamci uznają, iż uciekłem, i rzuca się w pogoń. Gdybym wrócił za wcześnie, trafiłbym im wprost pod lufy. Nie widziałem ani nie słyszałem, co się dzieje poza moją bańką Bezczasu, odliczyłem więc do dwustu i dopiero wtedy przeszedłem na drugą stronę.

Z zadowoleniem stwierdziłem, że kalkulacja wyszła mi doskonale. W pokoju nie było nikogo, pod sufitem snuły się tylko ostatnie pasma dymu szarpane przez wpadający otwartym oknem wiaterek. Zgarnąłem z biurka efenkę i resztę arsenału; spostrzegłszy pendrive'a podłączonego do laptopa, bez zastanowienia wyrwałem go z gniazda i schowałem do kieszeni. Ostrożnie wysunąłem się na korytarz.

Ekipa Czarnego Słońca nie miała pojęcia, co się ze mną stało, rozbiegli się więc po całym budynku. Chciałem się wydostać na ulicę zewnętrznymi schodami pożarowymi, usłyszałem jednak, jak się z nich nawołują, ta droga ucieczki była więc zamknięta. Zbiegłem piętro niżej. Blondyna dalej siedziała w recepcji, bez wątplenia zachodząc w głowę, co ugryzło jej kolegów, że uganiają się z pistoletami i drą wniebogłoso.

Stałem przed jej biurkiem. Otworzyła szeroko oczy wystraszona, choć nawet w nią nie wycelowałem.

– Posłuchaj, dziewczyno – powiedziałem. – Nie wiem, czy popijasz z nimi ten syrop, ale jeśli nie jesteś faszystowskim potworem,

to lepiej łap torebkę, spadaj i nigdy tu nie wracaj. Na biurku twojego szefa jest odcięta ludzka głowa. Za chwilę będzie tu policja i zrobi się, hmm... niełatwo.

Nie czekałem na jej reakcję, bo z dołu dobiegł trzask otwieranych drzwi i spieszne kroki po schodach. Wypadłem na klatkę, zbiegłem na półpiętro i powtórzyłem manewr z Zamkiem Błyskawicznym, tym razem nie po to, by uniknąć spotkania, tylko dla przemyślenia, co może z niego wyniknąć. Potem wróciłem i kolbą pistoletu grzmotnąłem między oczy pierwszego z wchodzących. Padł jak ogłuszona krowa i zderzył się z kompanem, który też stracił równowagę i w zamieszaniu pociągnął za spust. Kula świsnęła mi koło ucha.

Przeskoczyłem ich obu, dopadłem drzwi i w biegu pchnąłem je barkiem. Ze wstydem przyznaję, że zapomniałem o schodkach wejściowych; stopa mi się omsknęła i sam rymnąłem jak długi, omal nie łamiąc nogi. Szczęśliwie skończyło się na zdartym kolanie, a spodnie były do wyrzucenia.

Nim zdecydowałem, w którą stronę najlepiej wiać, żeby nie wywołać strzelaniny w miejscu publicznym, z budynku wyskoczył drugi z neonazistów (ten, który tylko się przewrócił) z pistoletem w ręku i wyraźnie niezadowoloną miną. Zdaje się, że był to misjonarz Timon; nie byłem pewny, bo wtedy już gnałem przed siebie ile sił w nogach.

Pif! Kula odłupała kawałek cegły. Drobne odłamki smagnęły mnie po policzku. Odwróciłem się w biegu, by odpowiedzieć

ogniem, usiłując w ułamku sekundy wycelować, sprawdzić, czy ktoś postronny nie jest na linii strzału – i oczywiście wpadłem na pieprzony parkometr. Zupełnie, jakby Bóg przydzwonił mi kijem golfowym. Pukawka wypadła mi z dłoni; wyrznąłem o chodnik i z rozpedu przetoczyłem się parę razy.

Kiedy się pozbierałam na czworaki, Timon już wiedział, że mnie ma, i zbliżał się spacerkiem, trzymając mnie na muszce. Jeszcze obliczałem śmiesznie małe szanse na trafienie go rzutem noża z dziesięciu metrów z pozycji leżącej, kiedy mój prześladowca nagle się potknął, zgiął w pół i wrzasnął, jakby mu z zaskoczenia i na żywca wycięto ślepą kiszkę. Osunął się na ziemię i krzyczał chrapliwie, wijąc się z bólu. Z nogi sterczało mu coś długiego i cienkiego.

Tuż przy mnie z piskiem opon zatrzymał się samochód. Zanim się zorientowałem, ktoś zaczął mnie wciągać do środka. Odruchowo chciałem się bronić, lecz zaraz poznałem: to była Oksana. Wyrwałem się, wróciłem po efenkę i dopiero wtedy wsiałem do wozu. Halina wcisnęła gaz, nim jeszcze zatrasnąłem drzwi, i zakręciła kierownicą w ciasnym zwrocie o sto osiemdziesiąt stopni, zmuszając przejeżdżających kierowców do rozpaczliwych manewrów, hamowania i gniewnego trąbienia. Obejrzałem się przez tylną szybę. Gdy znikaliśmy za rogiem, Timon wciąż leżał na chodniku.

– Strzeliłam mu! – obwieściła dumnie Oksana, machając mi przed nosem kuszą.

– Miałyście się trzymać z daleka – ofuknąłem ją, z trudem łapiąc powietrze.

– On chciał strzelić ciebie, to ja jego – ciągnęła niezrażona.

– Ładny strzał – przyznałem. – W samo kolano. Chyba będzie musiał zakończyć karierę na bieżni.

– Kolano? – Była wyraźnie rozczarowana. – Celowałam w jajka.

– Wiecie co? Wesołe z was dziewczynki, ale strach się z wami zadawać. – Oparłem się wygodniej; dopiero teraz poczułem, jak jestem spocony. – Zanim wjedziemy na autostradę, znajdziemy budkę telefoniczną... jeżeli takie coś jeszcze istnieje. Gliny muszą dostać anonimowe zgłoszenie o paru bardzo niedobrych ludziach z Centennial Avenue.

* Pełnometrażowy film dokumentalny Leni Riefenstahl o norymberskim zjeździe NSDAP w 1934 roku, uznawany za szczytowe dzieło propagandy hitlerowskiej.

Dziwiętnaście

Kamień w żołądku



Dziewczyny wciąż trajkotały z ożywieniem na temat pakowania facetom strzał w genitalia, kiedy zajechałem do garażu w bloku Caz.

– Szkoda, że mama już nie żyje – powiedziała Oksana, nagle poważniejąc.

– Że co? – Oglądałem akurat podeszwę mojego wybuchowego buta, nadtopioną przez eksplozję. Nie dziwota, że się czułem, jakbym przesadził z opalaniem pięty. – Twoja mama?

– Tak. Ona bardzo kościelna. Religijna. Gdyby wiedziała, że uratowałam anioła, byłaby bardzo dumna.

W aucie zapadła pełna skrępowania cisza, jakby ktoś puścił bąka.

– To wy wiecie, że jestem aniołem? – spytałem w końcu.

– No pewnie – odrzekła Halina i wyłączyła zapłon. – Myślałeś, że pójdziemy na Anaitę z pierwszym z brzegu śmiertelnikiem? Ona jest większym, mocniejszym aniołem od ciebie!

Trochę mnie zraniło, że nie pociągnęły ich sama moja męska postawa i urok, ale zarazem ulżyło mi, że nie będę musiał wygłaszać

zaplanowanego uświadamiającego wykładu w rodzaju „wiecie, kiedy Bóstwo bardzo kocha jakąś planetę, to biorą ślub i wtedy rodzą się małe cherubinki”.

– Okej – powiedziałem tylko. – Fajnie, że tak to z marszu przyjmujecie.

Nie wiem, jak wy, ale kiedy ktoś do mnie strzela, zawsze jestem potem trochę nakręcony. Amazonki od początku były mocno podekscytowane całą przygodą, wysłałem je więc samochodem do „Junior’s Catering” po trochę żarcia, sam zaś wróciłem do mieszkania oddać się rozmyślaniom nad strategią.

Juniorburger, niedostępny nigdzie indziej w Jude i to tylko wtedy, gdy właścicielowi chce się go przyrządzić, jest jednym z najwspanialszych wynalazków nowoczesnej kuchni. Między dwa surowe hamburgery Junior wkłada plaster sera, grillowaną cebulę i ostre papryczki, i całość rzuca na ogień. Efekt jest niemal magiczny. Czasem myślę, że jego bar jest filarem całej gospodarki Ravenswood. Zawsze w nim tłoczno, nierzadko po kilkanaście osób czeka w ogonku na ulicy, a trzy czwarte klienteli przyjeżdża tu specjalnie z bogatszej strony autostrady.

Wieczór był niebrzydki, wziąłem więc piwo i wyszedłem na dwór pomyśleć. Pierwszy raz spotkałem kogoś z sąsiadów, młodego człowieka w garniturze; pozdrowił mnie minimalistycznym machnięciem i spiesznie zniknął w klatce schodowej. Wyglądało na to, że mieszkańcami tej trochę droższej enklawy w biednej dzielnicy są ludzie dobrze zarabiający, których rzadko można zastać w domu:

single, którzy co weekend jadą do Tahoe uprawiać snowboarding czy coś w tym stylu. Ciekawe, jak by zareagowali na wieść, że w ich bloku anioł podnajmuje apartament u demonicy. Gotów byłbym się założyć, że guzik by to ich obeszło, byle tylko nie musieli wymieniać ze mną zdawkowych uprzejmości po drodze z garażu pod swoje drzwi antywłamaniowe.

Z tych socjologicznych rozważań wyträcił mnie dzwonek komórki. Połączenie nie doszło do skutku, odszedłem więc dalej, aż na wyświetlaczu pojawił się słupek sygnału. Zadzwoiła ponownie. Odebrałem, ale nie powiedziałem ani słowa.

– Bobby?

Clarence. Odetchnąłem z ulgą.

– Hej. I co tam słyhać u naszego najmniejszego aniołka?

– A u ciebie? W „Cyrklu” gadają, że się zwolniłeś czy co.

Roześmiałem się niewesoło.

– Ba! Wiesz, jaki jest plan emerytalny dla byłych aniołów? Ja też nie, bo go nie ma. Zwyczajnie poprosiłem o krótki urlop. – Nie było mi do śmiechu. Więc moi koledzy już o tym plotkują, choć jeszcze nawet nie dostałem oficjalnej odpowiedzi z Domu? – Skąd wiesz?

– A jest ktoś, kto nie wie?

No jasne. Alice. Jak to jest, że od szefostwa nie dostałbym odpowiedzi nawet na pytanie o godzinę, jeśli nie przeprowadziłoby najpierw studium wykonalności i oceny przewidywanego wpływu na środowisko, ale ona może wyćwierkać moje sprawy wszystkim, o

których się otrze?

– No więc nie martw się, nie złożyłem wypowiedzenia – burknąłem. – Mam po prostu to i owo do zrobienia. I dobrze się składa, że zadzwoniłeś, bo mam i z tobą do pogadania. Twoje autko na chodzie?

– Nie, ale mam dostęp do innego.

– Super. Spotkamy się na parkingu klubu „Crescendo”. To na Camino Real między Santa Cruz i Valparaiso.

– Że niby teraz?

– Nie, tuż po ostatniej trąbie na Dzień Sądu. Pewnie, że teraz.

– Ale ja dopiero co wróciłem!

– Sorki, naprawdę cię potrzebuję. Tylko przypadkiem nie bierz ze sobą Wendella, a już pod żadnym pozorem niech ci nie strzeli do głowy wołać Garcie G-Mana Windhovera. Jak ci bryka nie odpali, dzwoń. Przyjadę po ciebie aż do Brittan Heights, mimo że znów miałem cholernie długi pieprzony dzień, źli ludzie znów chcieli mnie zabić i jestem obolały i wykończony.

– Przecież mówię, że mam samochód. – Młody był wyraźnie urażony.

– Dobrze. – Przypomniałem sobie, że Amazonki wciąż są u Juniора. – Właśnie przyszło mi na myśl coś jeszcze. Dam ci więcej czasu. Bądź na miejscu za jakieś czterdzieści minut.

Na spotkanie jechałem z burgerem w dłoni. Uwaga, będzie kolejna lekcja życia wujka Dolara: za kierownicą nie da się jeść

porządnego burgera jedną ręką, jeśli nie chcecie zapaskudzić sobie spodni. Ja jednak mam za sobą długie lata wprawy w takiej symultancie; po odwinięciu pergaminu radzę go rozłożyć na podółku jak serwetkę. Dzięki tej prostej metodzie jeszcze mi się nie zdarzyło stawić do roboty z plamami od pikli i musztardy na kroczu.

Gdy dojechałem, Clarence akurat usiłował zaparkować nieprzyzwoicie wielką landarę wyglądającą, jakby służyła głównie do holowania narciarzy wodnych. Podjechałem na sąsiednie stanowisko.

– Co to za gablota, u licha? – spytałem. – Służbowa?

– Mój samochód jest w warsztacie. To wóz mojej gospodyni.

– W życiu bym nie zgadł. Chodź, wsiadaj.

– Po co? Sądziłem, że wejdziemy na drinka i będziemy rozmawiać.

– Wybrałem to miejsce dlatego, że jest otwarte do późna i nikt ci nie odholuje samochodu. Napijemy się i pogadamy, ale nie tutaj. Nie denerwuj się, autko starszej pani będzie tu bezpieczne. Nie ukradną go, bo nikt już nie potrafi prowadzić powozów parowych Toledo.

Clarence zmilczał i tylko spojrzał na mnie krzywo. Chłopak się uczy.

– To dokąd jedziemy? – spytał, gdy już gnaliśmy z powrotem przez miasto.

– Na spotkanie z resztą drużyny. Miejsca nie zdradzę, bo to tajemnica. Tym razem mówię jak najpoważniej. Nie powiesz o tym ani Wendellowi, ani G-Manowi, ani swojej gospodyni. A już niech

cię ręką boską broni, żebyś wypaplał Alice. Babsztyl natychmiast roztrąbiłby wszystko na całe Niebo i Ziemię. Zrozumiałeś?

– Niby dlaczego miałbym powiedzieć Alice?

– Nie wiem, dlaczego miałbyś. Ja ci tylko tłumaczę. Sprawa zrobiła się naprawdę poważna, a wkrótce jeszcze bardziej spoważnieje.

– Sprawa spoważnieje?

– Weź no się zamknij, Młody, i słuchaj. Od teraz jestem na wojnie. Ty też, albowiem twoja egzystencja jest tragicznie i nieodwracalnie związana z moją.

Clarence zamilkł na długo. Jechaliśmy Embarcadero; wysokości budynków rosły i malały jak wykres słupkowy stopnia zamożności okolicy.

– Coś ci powiem – odezwał się w końcu. – Bardzo mi się nie podobała tamta twoja groźba.

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Amazonkom wymachiwałem lufą przed ślicznymi oczętami i nie narzekały.

– Powiedziałbym, że mi przykro, ale nie jest – odparłem. – To nie żarty. Zacząłem wojnę. Dzisiaj usiłowali mnie zastrzelić naziści, a to najmniejsze z moich zmartwień, jakbyś chciał wiedzieć.

– Ale ja już ryzykuję karierę, Bobby. Ba! Nawet własną duszę, dla ciebie i dla Sama. Dlaczego wciąż mnie traktujesz jak jakiegoś głupiego dzieciaka?

No dobra, przyznaję: zakłulo.

– Słuchaj, staram się jak mogę, ale nie jestem ufny z natury. Kiedy komuś zaufam, z reguły zostaję wydymany. Co się tyczy ciebie, to nawet nie wiem, czy cię w ogóle zacząłem lubić.

– Dzięki piękne – mruknął, ale zabrzmiało to tyleż gniewnie, ile z humorem. – Już sobie pomyślałem, że ten brak zaufania wynika z tego, że...

– Że co? Że jesteś gejem? – Teraz to ja się wkurzyłem. Dobrze, że już dawno skończyłem burgera, bo pochłapałbym wszystko sosami i tłuszczem. – Do cholery, naprawdę myślisz, że mnie to obchodzi? Dzieciaku, ja byłem w Piekło! Kicham na to, jak i gdzie ktoś szuka miłości i bliskości w tym zasranym wszechświecie. Nie rusza mnie, z kim lubisz się miziać. Jasne? Mam. To. Gdzieś.

– Tak się składa, że chciałem powiedzieć coś innego. Nie ufasz mi, bo próbowałem aresztować Sama. – Clarence parsknął śmiechem. – A tu, kurczę, ktoś się cały upačkał freudowskim błotkiem, co?

– Zamknij się.

Jak widzicie, ostatnie słowo należało do mnie. Mój wóz, moje zasady.

Kiedy już przedstawiłem go Amazonkom (które zastaliśmy jeszcze przy wycieraniu usteczek z majonezu, promieniejące szczęściem, jak przystało na hamburgerowe dziewice po tak pierwszorzędnej utracie wianka), Clarence obszedł mieszkanko, gapiąc się na wszystko szeroko otwartymi oczami.

– Czyste wariactwo – wyszeptał. – To znaczy wystrój. Tu jest jak...

– Daruj sobie. – Spojrzałem na niego spode łba. Trochę jestem czuły na tym punkcie.

– Nie miałem nic złego na myśli. – Przystanął przed biurkiem, gdzie pracowałem na laptopie Caz. – Czy to bezpieczne? Bo wiesz, jeżeli chcesz utrzymać w tajemnicy miejsce pobytu, to...

– Ja też nie jestem głupi, koleżko. Połączenie jest przez serwer proxy, a ściślej mówiąc, przez kilka. Skoro Piekło nie mogło tu wytropić Caz, to i Niebo sobie nie poradzi.

Mała dygresja: kiedy wprowadziłem tu Ukrainki, przejrzałem zawartość komputera, żeby się upewnić, czy nie ma czegoś, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu Caz, gdyby to zobaczyły. Czułem się z tym podle, ale taka była konieczność. Co najdziwniejsze, poza fabrycznie zainstalowanymi programami znalazłem na dysku tylko parę plików; wszystkie niewinne, w rodzaju recenzji kulinarnych. Gdyby nie brak zdjęć kotów, pomyślałbym, że zaglądam przez ramię archetypowej babci. Hrabina Zimnoręka zabezpieczyła się nieźle, ale poza tym najwyraźniej podchodziła do współczesnej technologii jak do jeża – co zresztą pasowało do osoby urodzonej sto lat przed Leonardem da Vinci.

Na ekranie miałem pełno fotografii z Google Earth, a blat zaścierały dziesiątki arkuszy ze skomplikowanymi (i najpewniej bezużytecznymi) nakresami, za pomocą których starałem się ustalić, pod jakim kątem sfotografowano ogród Doni Sepanty, a tym samym przybliżoną lokalizację posiadłości. Zacząłem to tłumaczyć Młodemu, ale – przemądrzalec jeden – przerwał mi w pół słowa.

– Kapuję, dlaczego uważasz, że odkryłeś ziemskie wcielenie Anaity. Nie rozumiem tylko, czemu zwyczajnie nie poszukasz jej adresu?

– Niby jak? Myślisz, że archanioła jej rangi, który nie powinien zbyt długo przebywać na Ziemi, a do tego tkwi po szyję w dziwnych intrygach, z których jedna dotyczy podważenia całego układu Niebo–Piekło, da się znaleźć w książce telefonicznej?

– Nie, ale jeśli ona prowadzi życie w formie doczesnej, choćby tylko okresowo, to chyba sama nie strzyże trawników, nie? Wydaje przyjęcia? Ma jakieś życie towarzyskie? Czyli musi mieć catering, krawca, pracowników, firmę ogrodniczą i różne takie. Możesz całe tygodnie strawić na te – pogardliwie machnął ręką na moje gryzmoły – harcerskie podchody. Ogień też zawsze rozpalasz, pocierając dwa patyki? Zapałki są dla picusiów?

– Nie pozwalaj sobie za dużo, anio...

– Daj, ja się tym zajmę. Pracowałem w niebieskim Wydziale Kartotek, Bobby. Znam się na szukaniu informacji.

– Tak, ale kiepski z ciebie kłamca. A ludziom czasem trzeba nabujać.

– No, już. – Wygonił mnie od komputera i zajął moje miejsce. – Znajdź sobie coś pożytecznego do roboty. Wyczyść pistolet albo co. Jak będę potrzebował kogoś, kto nie wykrztusi słowa prawdy, choćby od tego zależało jego życie, to cię zawołam.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że przy seksownych Amazonkach paradujących półnago za dnia i nocami głośno uprawiających miłość

nie tylko już dawno wypucowałem wszystkie moje splawy na glanc, lecz także wyostrzyłem każdy posiadany nóż tak idealnie, że mógłbym się nimi golić bez pianki. Trzeba było jednak się zastanowić nad strategią działania, kiedy już znajdę miejsce zamieszkania mojej podejrzanej – uznałem więc, że teraz jest na to dobra chwila.

Monica odebrała po drugim sygnale.

– Naber, słucham.

– Tu Bobby.

Pauza. Jak zwykle. Wspólną historię mamy na tyle miłą, że zawsze mogę do niej zadzwonić, ale nie aż tak, żeby udawało się swobodnie zacząć rozmowę.

– Bobby. Ach, no, cześć. Jak się masz?

– Bywało lepiej. Bywało gorzej. Jest szansa, że dałabyś się zaprosić na kawę?

Przysięgam, że słychać było, jak myśli.

– A co właściwie chcesz przez to powiedzieć? – spytała w końcu.

– Nic dziwnego, wierz mi. Po prostu muszę z tobą pogadać. A szczerze mówiąc, potrzebuję przysługi.

– Aha. – Ton był już bardziej rozluźniony. – To kiedy? Właśnie jadę za miasto do klienta.

– Możemy się spotkać, jak będziesz wracać.

– Okej. – Wymieniła restaurację, w której kiedyś byliśmy. – Daj

mi godzinę, zanim wyruszysz. Alice mówiła, że pójdzie szybko. – W jej głosie nagle zagrało napięcie. – To chyba znaczy, że chodzi o dziecko.

– Przykro słyszeć. Dobra, to za godzinę. Doceniam to, naprawdę. Kochana jesteś.

– Tak, cała ja. Sympatia pułku.

Nie jestem najwrażliwszym z facetów, ale gdy Monica weszła do lokalu, na pierwszy rzut oka widać było, że sprawę miała ciężką. Bez słowa poszedłem do baru i zamówiłem jej podwójnego drinka, po czym odczekałem w milczeniu, póki nie wypila połowy.

– Kiepski wieczór, co?

– Sam wiesz, jak to jest. Dziewczynka, dziewięć lat. Zakatowana przez ojczyma. – Zamieszała słomką w szklance i pociągnęła długi łyk, aż lód zachrobotał o dno. – Nie cierpię dzieciaków. To znaczy pracować z nimi. W robocie.

Mogłem tylko skinąć głową. Dzieci są najtrudniejsze, chyba że zupełnie malutkie. Nie dlatego, że nic nie rozumieją, tylko że zadają tyle pytań, a ty, aniele boży, musisz powtarzać, że nie możesz im powiedzieć, a w przyplýwie szczerości, że sam nie wiesz.

– Napijesz się jeszcze?

– Nie, jakoś przecież muszę prowadzić. – Gdy wreszcie na mnie spojrzała, oczy miała czerwone. – No to co mogę dla ciebie zrobić, panie Dolar?

– Już dawno chciałem cię zapytać... – Nie byłem jeszcze gotowy

rzucić się na głęboką wodę. – Jak wam leci z Tedem Nebraską? To coś poważnego?

– Jeszcze nie wiem. Słodki jest, ale taki staroświecki. Jak Boga kocham, lepiej by się chyba czuł za królowej Wiktorii.

– To dlatego zawsze przy mnie tak się dziwnie zachowuje?

Roześmiała się, ale nie był to szczególnie perlisty śmiech.

– Myślę, że raczej go przerażasz. Boi się, żeby cię nie wkurzyć. Rozumiesz, tym, że się ze mną spotyka.

– Poważnie? Boi się mnie? Dlaczego? Sądzi, że jestem zazdrosny?

– Mówiłam mu, że nie będziesz. – Jej uśmiech był z lekka ocieniony żalem. – Trochę bym chciała, żebyś był... Ale wiedziałam, że nie. Tak, Ted się martwi, że kiedyś mu przyłożysz.

– Żartujesz. – Z wrażenia aż się wyprostowałem na oparciu. – Ja?

– Ty, ty. Oboje wiemy, że beznadziejny z ciebie mięczak, ale cała reszta w „Cyrklu” ma cię za jakiegoś twardziela. Bijatyki z demonami i potworami, tajemnicze zniknięcia... Jesteś najbardziej cool chłopakiem na podwórku.

Była to opinia tak odmienna od mojej własnej – dla siebie byłem tylko zabawką losu, ledwo zdolnym trzymać się w pionie dłużej niż kwadrans naraz – że wybuchnąłem śmiechem.

– Jaja sobie robisz.

– Nie mam na to energii. – Monisia odstawiła szklanekę i westchnęła. – No to czego ode mnie chcesz, Bobby?

Powiedziałem – oczywiście nie wyjaśniając, kogo naprawdę biorę na cel – że muszę sobie załatwić bliskie i osobiste spotkanie z Donią Sepantą.

– Dlaczego nie zadziałał po swojemu? Wyłam jej drzwi i leż przed siebie, póki ktoś nie spróbuje cię ukatrupić.

– Staram się poprawić swoją karmę, kochanie – odrzekłem, skromnie spuszcżając wzrok. – Od teraz będę wszystko zaczynał pokojowo i dopiero gdy to spieprzę, wrócę z coltami w rękach... – Urwałem, widząc budzącą się w jej oczach panikę. – No coś ty, żartowałem przecież. Żadnych coltów. Zwyczajnie muszę jakoś się tam dostać i porozmawiać z babką w cztery oczy.

– Pewnie ładna, co? Ale myślałam, że masz nową dziewczynę.

Poczułem żelazny uścisk na sercu i płucach. Kto się wygadał?

– Gdzie to słyszałaś?

– Plotki się nie rozchodzą jak mejle, Bobby. Nie mają w nagłówku nadawcy i odbiorcy. Nie wiem. Wszyscy o tym mówią. Jakaś tajemnicza kobieta, której nikt nigdy nie widział. – Uśmiechnęła się, tym razem pogodniej. – Mi to nie przeszkadza, naprawdę. Przecież między nami nigdy nie było na poważnie... dobrze mówię?

Co jak co, ale tak lichy zamaskowaną pułapkę potrafię wywęszyć.

– Zawsze byłaś mi bliska, Moniczko. Nadal jesteś.

– I za to warto jeszcze wypić. – Uniosła dłoń, by zwabić zabieganą kelnerkę. – Nie uważasz?

– Jasne. Czemu nie.

- No więc, co z tą twoją wybranką?
- Skomplikowane. Poza tym wyjechała. Na dłużej.
- A ty ruszasz na poszukiwanie nowych talentów?
- Przysięgłbym, że nie o to chodzi, ale i tak nie uwierzysz. Myśl, co chcesz, ale potrzebne mi to spotkanie. Pomożesz?
- Nie mówiłam tego złośliwie. Jeżeli z tą nową, o której nie chcesz pisać ani słówka, to coś serio, życzę wam jak najlepiej. Pomogę chętnie, tylko co miałabym zrobić?

Plan dopiero mi się rodził w głowie, streściłem więc sprawę najlepiej, jak umiałem, starając się nie podkreślać zanadto potrzeby dochowania tajemnicy, choć kamieniałem ze strachu, że moje zainteresowanie Donią Sepantą stanie się najświeższym tematem w „Cyrklu”. Gdyby się rozeszło, że chcę zadrzeć z Anaitą, reperkusje mogłyby być gorsze niż w wypadku ujawnienia romansu z Caz. Co prawda, gdy dziś nad tym myślę, w obu sprawach groziła mi natychmiastowa deportacja z Nieba w niższe rejony tamtego świata, więc właściwie jeden gips.

Monica zgodziła się służyć pomocą, pod warunkiem że dostanie więcej informacji o obiekcie. Obiecałem, że przyślę jej wszystko, gdy tylko skompletuję dossier.

- Podobno to bardzo piękna kobieta. Czy aby nie za wysoko mierzysz, Bobby?
- To nie ma nic wspólnego z seksem. Klnę się na Najwyższego.
- Bobby, wszystko, co robisz, ma związek z seksem. Po prostu nie

mam siły się do tego dokopywać. Rozejrzę się po starych znajomych. Daj znać, kiedy będziesz mnie potrzebował.

– Bóg ci zapłaci. Mówię z serca.

– Jasne. Daj buziaka staremu wojakowi i powiemy sobie dobranoc. Na mnie pora. Niektórzy z nas wciąż zarabiają na życie.

Zabrzmiało to, jakby wiedziała również o moim urlopie okolicznościowym. Czy wszyscy lepiej ode mnie się orientują w moim życiu prywatnym? Prawdopodobnie tak.

Uściskaliśmy się na parkingu. Staralem się nie myśleć za wiele, jak jest ciepła i żywa w dotyku ani jak bardzo nieobecna jest Caz.

Wróciwszy do domu, zastałem Clarence'a tańczącego z Amazonkami na środku salonu w rytm *Shotgun* Juniora Walkera i *All Stars*. Nawet nie wiedziałem, że Caz ma ich płytę. Skąd piętnastowieczna polska kasztelanowa zna Juniora Walkera?

– Przepraszam, że wam przerywam zabawę! – oznajmiłem, przekrzykując muzykę. – Ale miałem długi i pełen emocji dzień, no i jeszcze muszę odwieźć Młodego do jego samochodu.

– Dołącz do nas! – odrzyknęła Oksana. – Świątujemy!

– Tak jest, dajemy czadu! – zawtórowała jej Halina.

– Bo znaleźliśmy adres, Bobby – wyjaśnił Clarence, nie przestając płasać. Do tej chwili wierzyłem, że każdy gej umie tańczyć. – Hilltop Way jeden. To prawie pałac! Masz zdjęcie satelitarne na laptopie.

Podszedłem do biurka, by się przyjrzeć fotce. Gdyby Casa Sepanta zbudowano parę wieków wcześniej, byłaby zamczyskiem.

Ogromną willę wraz z wieloma mniejszymi budynkami otaczał wysoki mur z bramą, budką wartowniczą – słowem, ze wszystkimi szykanami. Za kępą drzew połyskiwały stawy ze zdjęcia w „Sunset Magazine”. Młody się spisał. Można zaczynać Fazę Drugą.

Tylko dlaczego się czuję, jakbym połknął spory zimny kamień?

Dwadzieścia

Lwica



Ranek wstał piękny, jak to bywa późną jesienią w północnej Kalifornii: drzewa jeszcze lśniące od nocnego deszczu, niebo w białej pianie altocumulusów, smugi słońca bijące w dół, jakby sam Bóg szukał złotymi szperaczami czegoś na Ziemi.

Byłby to idealny dzień na przejażdżkę w góry – gdybyśmy poza samą jazdą nie mieli innych planów. Ale mieliśmy.

Nie włączyłem żadnej muzyki, za bardzo byłem bowiem spięty i niespokojny. Poza tym za każdym razem, kiedy wrzucam jakąś płytę, Amazonki natychmiast zaczynają mnie nękać, żebym przełączył na Lady Gagę – a w tej chwili nie miałbym siły na te dyskusje. Dziewczynom udzielił się mój nastrój; być może za sprawą półgodzinnego wykładu, jaki im wygłosiłem przed wyjściem z domu. Monica sprawiła się doskonale: byłem umówiony z Donią Sepantą i tylko mój ściśnięty żołądek mógł mnie powstrzymać przed stawieniem się na wyznaczoną godzinę. Łobuz co chwila nagabywał, żeby stanąć gdzieś w lesie i rzygać bez końca.

Wiem, co sobie teraz myślicie. Facet przebrnął przez połowę kręgowi Piekła, a tu dostaje palpacji na myśl o czymś tak prostym?

Nie wiem tego dobrze wytłumaczyć, ale to chyba wynika z dosłownie rozumianej bojaźni bożej, jaka cechuje każdego anioła. To, co sobie zamierzyłem, nie było takim sobie zwykłym chojractwem, z którego już mnie znacie. Mój plan był jak splunięcie w twarz wszystkiemu, czego mnie Niebo nauczyło. Nie kwestionuje się poczynań przełożonych, a już na pewno nie nachodzi się ich prowokująco w prywatnych domach (jeśli się nie omyliłem w dedukcji, co się dopiero miało okazać). Skoro jednak zdecydowałem się na anielską zdradę stanu, to przynajmniej musiałem mieć pewność, że właściwie zidentyfikowałem podejrzaną. Lepszego wyjaśnienia wam nie znajdę.

– Jak dojedziemy na miejsce, zostaniesz w samochodzie – zwróciłem się do Haliny.

– To nie fair! – Spojrzała z niechęcią na Oksanę. – Dlaczego to ona ma udawać fotografa?

– Bo nie jest kierowcą. A wiem z doświadczenia, że mimo najstaranniejszego nawet planowania moja robota często kończy się wrzawą, strzelaniną i pożarami. Jeśli tak samo wyjdzie dzisiaj, to wolę nie szukać w biegu kluczyków po kieszeniach. – Przyhamowałem, by skręcić w Hilltop Drive. Dalej droga wiodła bardziej stromo pod górę. – A ty, Oksano, pamiętasz, co ci mówiłem?

– Tak. Wejść do domu, nie oddalać się, robić zdjęcia. – Podniosła aparat cyfrowy. – Wiem.

– A nie oddalać się, to znaczy trzymać się blisko mnie, nie dalej niż w sąsiednim pokoju. Gładko łykaj wszystko, co powiem,

uśmiechaj się i kiwaj głową. Jeśli ktoś zada ci pytanie, na które nie będziesz chciała odpowiedzieć, zapomnij angielskiego i przejdź na ukraiński...

Zamilkłem nagle, gdyż właśnie wyszedłem z kolejnego zakrętu i zobaczyłem przed sobą willę. To nie był dom na szczycie wzgórza. On był szczytem wzgórza. Posiadłość obejmowała tyle akrów, że dałoby się tam wrzucić całe centrum Jude i jeszcze starczyłoby miejsca na większość Spanishtown. Budowla prezentowała się naprawdę pięknie; powiedziałbym, że łączy styl mauretański z kalifornijskim hiszpańskim, ale byliśmy jeszcze za daleko, żeby rozróżnić szczegóły.

Wkrótce dojechaliśmy do płotu zewnętrznego – imponującej konstrukcji z groźnie nastroszonymi szpikulcami – i pierwszej wartowni. Przez szybę zobaczyłem dwóch poważnie wyglądających i z pewnością uzbrojonych ochroniarzy. Brama na szczęście wydawała się łatwa do staranowania, gdyby zaszła taka konieczność – tym bardziej że na tę wyprawę nie wziąłem mojego delikatnego datsuna, tylko wypożyczyłem masywnego chryslera.

– Nazywam się Richard Bell – przedstawiłem się ponuremu ochroniarzowi. – Właścicielka mnie oczekuje.

Spojrzał na niewidoczny dla mnie monitor, po czym dwie połówki bramy rozsunęły się z dyskretnym szumem.

– Proszę jechać główną drogą aż na sam dziedziniec – poinstruował mnie sucho, wręczając plakietkę do wsunięcia za przednią szybę i trzy przepustki dla gości, wszystkie laminowane i

bez wątpienia z wbudowanymi mikroprocesorami. – Na miejscu jeden ze strażników pokaże wam, gdzie stanąć.

To ilu ich wszystkich jest? Całe szczęście, że nie wybrałem zwykłej metody i nie przelazłem normalnie przez płot, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie... dręczyła mnie świadomość, że tym razem odpowiadam nie tylko za siebie.

– Tylko pamiętajcie – napomniałem dziewczyny – że sprawa jest śmiertelnie poważna.

– Wiemy – odparła Halina. – Mówiłeś bardzo dużo razy.

– Tak, ale to ja mam was bezpiecznie stąd wydostać i raz w życiu chcę coś zrobić dobrze.

Ruda się uśmiechnęła. Wcale nie nerwowo, ani też niewinnie. Po prostu wiedziała, na co się pisze.

– Nie martw się o nas za bardzo, Bobby. Mamy dobre przeszkolenie.

Konie by kraść z tą dziewczyną.

W polu widzenia pojawiła się następna wartownia, a za nią jeszcze większa żelazna brama w solidnym kamiennym murze, na oko zdolnym przetrzymać ostrzał artyleryjski. Na co Anaicie – jeżeli to rzeczywiście ona – aż taka forteca? Może tak sobie wyobraża zwyczajność. Według Gustibusa jest byłą boginią. Pewnie gdy się raz miało taką pozycję, trudno się zniżyć do norm śmiertelników, mimo że się pragnie uchodzić za jednego z nich.

A może po prostu strzeliłem byka, pomyślałem, czekając aż

ochroniarz skończy nas sprawdzać. Może to tylko bajątko bogata Iranka, z zacięciem do dobroczynności i lubiąca pałace z tysiąca i jednej nocy.

Obsada wartowni miała strzelby na widoku i Bóg wie co jeszcze pod ladą. Zacząłem się modlić w duchu, żeby nie przyszło nam forsować bramy pod ogniem.

Po chwili wjechaliśmy na ogromny kolisty podjazd na głównym dziedzińcu. Sądząc po fasadzie, gigantyczne dworzyszczce musiało mieć ze trzy tysiące metrów kwadratowych. Z bliska wyglądało jeszcze ładniej, z dobraną ze smakiem mieszanką motywów bliskowschodnich i europejskich.

Zaparkowałem i oddawszy kluczyki Halinie, przykazałem jej powiadomić mnie esemesem, gdyby zauważyła cokolwiek dziwnego lub podejrzanego. Zgodziła się, lecz minę miała jak dziecko, któremu kazano czekać, podczas gdy inne zabiera się na lody. Bojowe z nich dziewczyny, ale pod pewnymi względami wciąż niewinne – a już na pewno, gdy idzie o zimną wojnę między Niebem i Piekłem. Gdybym nie potrzebował żywych ciał... Gdyby był przy mnie Sam... sprawy wyglądałyby inaczej. Obowiązywała mnie jednak pierwsza zasada Klubu Boba Dolara: „Sprawy są, jakie są, i nie ma co marudzić”. (Wolałem nie myśleć o drugiej, która brzmi: „Nie pytaj, jak może być jeszcze gorzej. Bo będzie”).

U drzwi czekał na nas kamerdyner, albo może sekretarz osobisty. Trudno powiedzieć, bo odziany był w długą szatę i przedstawił się tylko imieniem Arasz. Zmierzył mnie profesjonalnym spojrzeniem i

rzekł:

– Pan Bell z magazynu „Vanity Fair”? Pani oczekuje pana.

– Dziękuję. To moja asystentka. Mam nadzieję, że pani Roth uprzedziła, iż będzie to tylko wstępna rozmowa. Chcemy się zorientować w otoczeniu, a potem wyznaczymy termin dla ekipy zdjęciowej. Właściwy wywiad możemy przeprowadzić telefonicznie lub mejlowo.

Owszem, „Vanity Fair”. A co. Nawet nie pytajcie, za ile sznurków Monica musiała pociągnąć, żeby to bezczelne kłamstwo zadziało. Ale tak już jest: ludzie, którzy nie wpuściliby was za próg pod żadnym innym pozorem, robią się niezwykle gościnni wobec reportera ze znanego wydawnictwa.

– Tak też to sobie wyobrażamy. – Arasz wykonał zabawny ukłon i poprowadził nas korytarzem do atrium z miłą pluszczącą fontanną i dalej, do wysoko sklepionego salonu zapchanego drogocennymi (bez wątplenia) antykami bliskowschodnimi, z najpiękniejszymi dywanami, jakie w życiu widziałem. – Proszę tu poczekać. Zaanonsuję państwa przybycie – powiedział i zniknął za drzwiami.

Spojrzałem na Oksanę, której wybałuszone oczy mówiły, że nigdy jeszcze nie gościła w tak wielkiej i bogatej prywatnej rezydencji.

– Zdjęcia! – przypomniałem jej szeptem. – Pamiętaj, wszystko, co ci się rzuci w oczy. Notatki, wszelkie aktualne fotografie...

– Aktualne?

– Niedawno zrobione.

Arasz wrócił, zaszczycił nas kolejnym ukłonem i oznajmił, że Donia Sepanta gotowa jest na nasze przyjęcie.

– Rozejrzyj się trochę na parterze – poleciłem głośno dziewczynie.
– Pan Arasz z pewnością rad wskaże ci parę dobrych miejsc na sesję.

Pan Arasz nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego, skinął jednak głową.

– Naturalnie – potwierdził z bladym uśmiechem.

Otworzył przede mną drzwi do oranżerii. Takie w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, gdyż powitała mnie eksplozja zieleni zdumiewającej liczby roślin. Donice, doniczki i skrzynki widziało się wszędzie: wzdłuż ścian, na rozmatych półkach i postumentach, a nawet zawieszane na różnej długości linkach. Niektóre były wyposażone we własne zraszacze i kwiaty delikatnie falowały pod ulotną mgiełką niczym głowy barwnych węży. Powietrze było tak przesycone wilgocią, że poczułem się jak przy nagłym ataku kataru.

Na mój widok gospodyni podniosła się zza biurka stojącego w drugim końcu komnaty. Uderzyły mnie dwa równoczesne spostrzeżenia. Pierwsze: „Zakochałem się”.

I drugie: „To ona”.

Monica miała rację. Donia Sepanta była kobietą niezwyklej urody. Długie krucze włosy nosiła splecione w kilka misternie upiętych warkoczy, spod których luźne pasma bujną kaskadą opadały na ramiona. Cera przywodziła na myśl starą polerowaną kość słoniową, a doskonalszej budowy nie widziałem u żadnej żyjącej osoby. Mogła mieć trzydzieści lat, mogła i pięćdziesiąt, ale nie miało to

najmniejszego znaczenia – w każdym towarzystwie i okolicznościach inne kobiety byłyby przy niej niezauważalne.

Na szczęście w samą porę dotarło do mnie, że przemożny impuls, aby paść jej do stóp i błagać o wybaczenie za choćby cień podejrzenia o jakieś nieczne uczynki, jest nie tylko kiepskim pomysłem, ale i absolutnie nierzeczywistym odczuciem. Tak po prostu zadziałał splendor najstarszego, najbardziej magicznego rodzaju, jaki sprawia, że śmiertelnicy pragną przetańczyć życie w świątyni albo co roku wracają na wzgórze, gdzie raz w noc świętojańską ujrzeli biegnącą nago piękność, by w końcu umrzeć jako nieszczęśliwi, niespełnieni starcy.

– Pani Sepanta... – Cudem udało mi się zebrać w ustach dość śliny, by mówić bez chryпки. – Bardzo uprzejmie z pani strony, że zechciała mnie pani przyjąć. Mój naczelny będzie zachwycony.

– Proszę bliżej, panie Bell.

Tembr głosu miała równie oszałamiający; gardłowy alt, w którym jednak czały się dziecinne tony Anaity, jak drobniutkie perły owinięte w czarny aksamit.

Ruszyła mi na spotkanie. Gdy podeszła bliżej, jej źrenice ledwo dostrzegalnie się rozszerzyły; szybko pokryła to uśmiechem, ukazując tak doskonałe, tak bielutkie ząbki, że z trudem się powstrzymałem, by przed nią nie klęknąć. Albo mój męski seksapil wywarł na niej takie wrażenie, albo w mig rozszyfrowała moją przykrywkę.

– Czekałam na pana. – Podała mi rękę. Jakim cudem zachowała

suche dłonie w takiej saunie? Popatrzyła mi w oczy wystarczająco długo, bym się spocił jeszcze bardziej, i puściła mnie. – Napije się pan czegoś?

– Z przyjemnością – odrzekłem w nadziei, że wyśle w tej sprawie Arasza, i Oksana zostanie na chwilę sama. Przeliczyłem się, bo Donia Sepanta wróciła tylko do biurka i przekazała komuś polecenie przez telefon. – Ma pani wspaniały dom. Po prostu cudowny.

Serce waliło mi tak mocno, że szyby w oknach powinny wpaść w rezonans. To była naprawdę ona. Mój efor, ta sama anielska potęga, która próbowała mnie zniszczyć. Wreszcie stanęliśmy oko w oko.

– Miło mi to... – Urwała, bo w tej chwili do oranżerii weszła pokojówka w luźnej tunice i spodniach, postawiła na stoliku pod oknem tacę z dwoma dzbankami i paterą owoców i równie bezszelestnie zniknęła. – Usiądźmy tutaj, z widokiem na ogród. To moja największa radość.

Głos ociekał miodem. I nie bierzcie tego za oklepany slogan: słuchając jej słów, naprawdę czułem się tak, jakby oblewał mnie złoty, ciepły, słodki i lepki płyn.

Bogini płodności, doprawdy. Już od samego przebywania z nią w jednym pokoju chciało mi się pozapładniać wszystko w zasięgu wzroku. Nałożyłem sobie na talerzyk parę kawałków melona i pół granatu, żeby zająć czymś ręce, i zmusiłem się do koncentracji, choć pragnąłem tylko położyć się i zasłuchać.

Stopniowo wracały mi zmysły. Pod jej niesamowitą urodą i wielką pewnością siebie zacząłem wyczuwać napięcie. Wiedziała, kim jestem

– byłem tego pewien – a przynajmniej czym. Niczego innego się nie spodziewałem, naturalnie, choć miałem nadzieję, że nie nastąpi to tak szybko.

– No to do dzieła. – Roześmiała się melodyjnie. – Na pewno ma pan mnóstwo pytań. Proszę się nie krępować.

Tylko bez głupstw, Bobby, powiedziałem sobie w duchu. Ona udaje Greka, to i ty musisz. Nie mogłem się jednak oprzeć podejrzeniu, że Anaita się mną bawi.

– Och, pytań mamy bez liku – potwierdziłem. – O pani fascynujące życie i jeszcze ciekawszą pracę. Wszyscy, z którymi się spotykam w San Judas, mówią o tylu rzeczach, które pani zrobiła dla miasta. Ale większość tematu omówimy oczywiście podczas wywiadu. Zawsze lubię najpierw wyczuć rozmówcę. Zobaczyć go na jego własnym terytorium.

– Podoba mi się taka zawodowa staranność, młody człowieku. – Zaśmiała się znowu. Może i była lekko spięta, ale to ja się coraz bardziej czułem, jakbym siedział w jednej klatce z wielką, piękną lwicą, która mogłaby mnie połknąć w całości bez drgnięcia choćby jednego wąsa. – I co, wyczuwa pan już coś?

– Prawdę mówiąc, jestem trochę oszołomiony. To wszystko robi wielkie wrażenie.

– Nie ma o czym mówić. – Machnęła dłonią od niechcienia. – Potrzebuję miejsca, gdzie mogę odetchnąć od stresu. Uważam, że dzisiejszy świat jest bardzo męczący. A pan jak sądzi? Nie męczy pana świat czasami?

– Pewnie tak. Ale to jedyny, jaki mam.

– Ach, tak. – Nalała sobie wody i wrzuciła do szklanki plasterki cytryny. – A ja tęsknię do dawnych czasów. Pan wie, że to nie moje rodzinne strony, prawda?

– Tak słyszałem.

– Może więc pan sobie wyobrazić, jakie to dla mnie ważne, żeby czuć się bezpiecznie w nowym domu. I stąd te środki ostrożności. Z pewnością zauważył pan, że mam liczną ochronę.

– Oczywiście.

– Nie chciałabym być podejrzewana o manię prześladowczą... – Znów ten zniewalający uśmiech. – Ale kobieta w moim położeniu... Cóż, są ludzie, przed którymi muszę się chronić. Źli ludzie. Zarówno z mojej ojczyzny, jak i tutejsi. W tym kraju tak trudno o prywatność. Satelity, hakerzy, magiczne urządzenia zdolne przenikać sekrety, niszczyć intymność domów, zrujnować komuś życie.

Była to najwyraźniej aluzja, nie bardzo jednak wiedziałem, jak ją odczytać. Najważniejsze jednak, że na razie prowadziłem w tej grze – choćby dlatego, że do tej pory nie kazała strażnikom urwać mi głowy ani (co byłoby znacznie gorsze) nie zawiadomiła Nieba, że ma w oranżerii zbuntowanego anioła.

– Czy to właśnie panią niepokoi? – spytałem. – Ludzie z pani przeszłości próbują panią skrzywdzić?

– Oj, chyba za bardzo dramatycznie to zabrzmiało. Nie, chronię swoją prywatność głównie przed tymi, którzy pasożytują na znanych

i bogaty. Porywaczami, szantażystami.

Tu cię mam, pomyślałem. Celowo podchwyciłem ten drugi wątek.

– No tak, kidnaping to prawdziwy problem, oczywiście. Ma pani rodzinę?

– Nie życzę sobie rozmów na tak osobiste tematy. – Zaciśnęła usta, a mnie strach chwycił za gardło. – Ani z panem, ani z kimkolwiek. – Rysy jej znów złagodniały. – Na pewno pan to rozumie. Jest tyle innych rzeczy do omówienia. – Zrobiła pauzę, by dolać sobie wody. Gdy odezwała się ponownie, w jej głosie brzmiało zdecydowanie. – Proszę więc powiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje.

Anaita sądziła więc, że chcę ją zaszantażować. Że jestem tu po to, by dać jej do zrozumienia, iż wiem o jej ziemskim wcieleniu, a może nawet o innych, bardziej mrocznych tajemnicach – w nadziei, że zechce opłacić moje milczenie. Albo przynajmniej się ode mnie odczepi. Nie wiedziałem, czy lepiej zostawić ją w tym przekonaniu, czy wyprowadzić z błędu; nie ulegało natomiast wątpliwości, że muszę bardzo, bardzo uważać.

– Chcę tylko odpowiedzi na kilka pytań, pani Sepanta. Wiem, że pani czas jest cenny i że ma pani ważniejsze sprawy na głowie niż rozmowy z byle dziennikarzami. Interesuje mnie, co sprawiło, że jest pani tym, kim jest?

– Naprawdę tylko tyle pan ode mnie chce?

Odchyliła się na krześle i popatrzyła na mnie z wyrachowaniem, którego wcześniej nie dostrzegałem. Jaki ja byłem głupi, sądząc, że

potrafię ją przechytryzić! Miałem przed sobą istotę przedwieczną, która nie tylko przetrwała utratę boskości, królestwa i czcicieli, ale jeszcze potrafiła się wybić na wysoką pozycję w strukturach niebiańskich. Tacy jak Anaita to najtrudniejsi wrogowie; za długo są w grze, by dać się wziąć na prosty podstęp. Że mnie od razu nie spopieliła? Nie musiała! Czas był po jej stronie, a ja po swojej miałem tylko własny ośli upór i od czasu do czasu przebłysk durnego szczęścia.

– To mnie po prostu ciekawi. Zadała sobie pani tyle trudu, by stworzyć cały własny świat. Piękny, to prawda... – Rozejrzałem się, jakbym mówił o wspaniałej willi i rozległej posiadłości, choć oboje wiedzieliśmy, że piję do czegoś innego. – Ale niebędący ani pani starym światem, ani nienależący do nowego. Coś w rodzaju ziemi niczyjej, by tak rzec. – Pozwoliłem słowom zawisnąć chwilę w powietrzu. – Dlaczego? To znaczy... proszę wybaczyć śmiałość... musiała pani wiele zainwestować w ten projekt. Czy to takie ważne, by mieć coś, co nie należy do żadnego ze światów?

Jej uśmiech, gdy się wreszcie pojawił, był leniwy i ogromnie seksowny. Gdybym nie był aniołem, w sekundę dostałbym wzvodu albo zawału. Albo jedno i drugie naraz.

– Bardzo interesujący z pana człowiek, panie Bell. Czy tego rodzaju tematów mam się spodziewać w wywiadzie? Nic bardziej przyziemnego, praktyczniejszego? Inni zawsze chcą wiedzieć, ile czego mam. Pieniądzy, domów, kosztowności... słowem, rzeczy materialnych. Pan jednak żąda odpowiedzi na najtrudniejsze pytania.

– Taką już mam naturę, Donio Sepanta. Zawsze mnie bardziej ciekawiły przyczyny, nie skutki.

– W takim razie... – Anaita wstała tak raptownie, a przy tym z taką gracją, że przywiodło mi to na myśl wzbijającego się do lotu wielkiego ptaka. – Musi pan się dobrze przygotować do następnego etapu naszej... współpracy. Mogę mówić panu po imieniu? Bo na pewno przeprowadzimy ten wywiad, Richardzie. Już dziś wiem, że pisane jest nam spotkać się znowu. – Nacisnęła guzik na biurku. – Przepraszam, że muszę tak szybko zakończyć nasze spotkanie, ale czekam na ważny telefon.

– Ależ oczywiście – wymamrotałem trochę zaskoczony, lecz zarazem rad dać drapak, pókim cały. – Nie śmiałybym dłużej się narzucać.

– Proszę się jednak przygotować. – Drzwi się otworzyły i stanął w nich Arasz. – Bo mogę obiecać, że następnym razem otrzyma pan odpowiedzi. Wszystkie. A niektóre zaskoczą nawet takiego wytrawnego reportera jak pan. Arasz, możesz odprowadzić gościa.

Zgarnąłem czekającą w salonie Oksanę i poszliśmy za milczącym sługą. Starąłem się stawiać kroki i w ogóle wyglądać inaczej niż ktoś, kto się o mało nie posikał ze zgrozy, bo piękna kobieta zapowiedziała mu kolejne spotkanie. Gdy dotarliśmy do samochodu, opadłem na tylne siedzenie i skupiłem się na wznowieniu oddechu. Czułem się tak, jakbym od dawna nie miał powietrza w płucach.

– Jedź – wykrztusiłem. – Po prostu jedź.

Halina wzruszyła ramionami, wrzuciła bieg i ruszyła. Oksana

zaczęła trajkotać do niej po ukraińsku, a potem zwróciła się do mnie.

– Dużo zdjęć, Bobby. Tak jak mówiłeś.

Minęliśmy pierwszą bramę. Za fałdami zielonych wzgórz niebieszczyła się spokojna, odległa toń zatoki. Bardzo odległa. O cały świat.

– Słyszałeś, Bobby? Zrobiłam masę zdjęć.

– Nic na razie nie mówcie – szepnąłem. – Bardzo was proszę. I ostrożnie na wirażach, Halinko, dobrze? Nie czuję się najlepiej.

Dwadzieścia jeden

Kłopoty z samochodem



Kiedy dojechaliśmy do domu, dopiero minęło południe, ja jednak natychmiast wyciągnąłem się na kanapie i nakrywszy głowę poduszką (żeby zagłuszyć telewizor i komentarze Amazonek oglądających *Sędzinę Judy*), zapadłem w głęboki, nieprzyjemny sen. Byłem wyczerpany fizycznie i emocjonalnie – bliskie spotkanie z Anaitą wystarczyło, bym się poczuł jak po kilku godzinach pod ostrzałem na polu bitwy. Na dobitkę zaczynało do mnie docierać, czego właśnie narobiłem.

Śniła mi się Caz, lecz tym razem byłem na szczycie wysokiego wzgórza i patrzyłem w dół. Okropne rzeczy, jakie robiono mej ukochanej, widziałem z bardzo daleka; nie były przez to mniej straszne, tylko ja bardziej bezsilny niż zazwyczaj. Obudziłem się zlany potem, zrobiłem sobie mocnego drinka i wyszedłem na podwórze, by w spokoju raz jeszcze wszystko przemyśleć.

Listopadowe słońce obdarza jeszcze San Judas ciepłem, ale późnym popołudniem robi się już chłodno. Zimno nie dokucza mi jednak tak jak zwykłym ludziom, a musiałem pooddychać czymś innym niż recyrkulowane powietrze z klimatyzatora. Tym bardziej że

biedna maszyna ostatnio ledwo zipie. Halina pali jak lokomotywa, a w kuchni znalazła dwa kartony papierosów zostawione przez Caz. Próbowałem uczynić mieszkanie strefą bezdymną, ale że sam kiedyś dużo paliłem, nie miałem sumienia wyganiać dziewczyny na zimny deszcz lub sztormową wichurę – no i trochę zaczęło nam wonieć.

Usiadłem na ławce i pogrążyłem się w rozmyślaniach. Po jakimś czasie uzmysłowiłem sobie, że puls mam wciąż mocno przyspieszony. Konfrontacja z Anaitą wyprowadziła mnie z równowagi bardziej, niż przypuszczałem – był to decydujący krok, którego już nie da się cofnąć. Kiedy się zorientuje, że nie chodzi o szantaż, zacznie się wojna. Ta wizyta była równoznaczna z powiedzeniem: „Ty chcesz dopaść mnie, a ja ciebie. Rękawiczki zdjęte, załatwmy sprawę jak dorośli”. Przy takiej dysproporcji sił mógłbym się jednak porównać raczej do przedszkolaka kopiącego w goleń zapaśnika sumo, który ma nie tylko wybuchowy charakter, ale na dodatek paskudnego kaca.

Wiercie mi, pakuję się w takie sytuacje nie dlatego, że kawał ze mnie porywczego durnia. Owszem, to też wchodzi w grę, ale nauka mojego dawnego szefa kompanii, Leo Lochy, nie poszła przecież w las. Po prostu bywa, że żadne sprytne plany już nie wystarczają i zwyczajnie trzeba zatrzeć drzewem i zobaczyć, co z niego spadnie. Czasem jest to kokos i wtedy masz co zjeść; innym razem pantera i wtedy... no, przynajmniej dokładnie wiesz, gdzie bestia jest, bo zatapia ci kły w tyłku.

Poza tym dowiedziałem się dzisiaj paru rzeczy, i to cholernie ważnych. Po pierwsze, potwierdziło się wreszcie, że to Anaita stoi za

Trzecią Drogą, a więc niemal na pewno to ona nasłała na mnie Śmieszka i przeflanowała biednego Walta Sandersa do Piekła. Skąd to wiem? Ano stąd, że gdyby Anioł Deszczu nie miał brudnego sumienia, to nie marnowałyby pół godziny na przerzucanie się ze mną aluzjami i subtelnymi groźbami. Gdyby była niewinna, to rozpoznawszy mnie, powiedziałyby od razu: „Nie jesteś żaden tam reporter, tylko Doloriel. Co ci strzeliło do głowy, żeby zawracać mi głowę, kiedy wypoczywam?”. Nie zrobiła tego, za to napomknęła o szantażu. Anioły, zwłaszcza te stare, nie paplają bez zastanowienia. Nie demaskując mnie natychmiast, sama się przyznała, że ma coś do ukrycia.

Następna myśl uderzyła mnie jak obuchem, choć to dzięki temu siedziałem sobie właśnie na ładnie utrzymanym patio, a nie wleczono mnie w niesławie ulicami Nieba. Dotarło do mnie, że Anaita robi dobrą minę do złej gry także z tego powodu, że się mnie boi. Mnie, szeregowego anioła, który mógłby u niej szorować podłogi! Nie ma pojęcia, ile wiem ani z kim mogłem się już tą wiedzą podzielić, jakich mam sprzymierzeńców. Bezczelność, z jaką wdarłem się do jej domu, musiała ją mocno zaniepokoić. Czyż którykolwiek zdrowy na umyśle anioł odważyłby się bez rozkazu narazić na furję tak potężnej figury?

Zdrowy z pewnością nie, ale ja tak. Anaita zna mnie i moją historię wystarczająco dobrze, by przyjąć takie założenie – pewności jednak mieć nie może i prawdopodobnie tylko dlatego wciąż pozwala mi zachować doczesną powłokę przy życiu i we względnym komforcie.

Czy jest jakiś sposób, żeby zapewnić sobie poważniejsze wsparcie?

Nie wierzyłem, żeby w aferę byli zamieszani wszyscy pozostali eforowie: Karael, Terencja i reszta. Był to jednak dla mnie nieznanym teren. Nie miałem pojęcia, jakie zależności łączą moich przełożonych. Ba, nie wiedziałem nawet, czy mogę ufać Temuelowi, chociaż parę razy mi już pomógł. Przyszło mi do głowy, czy nie warto by znów odwiedzić doktora Gustibusa.

Gdy tak siedziałem i obserwowałem ptaki uwijające się w poszukiwaniu nasion, zanim nadejdzie zima i wszystko im spieprzy, poczułem przypływ zdecydowania. Jeżeli cokolwiek dobrego ma z tego dla mnie wyniknąć, to muszę jakoś zneutralizować Anaite. Raz, a dobrze. Nie ma więc sensu ulegać panice na myśl o przerażającej skali afery, w którą się władowałem. Tak, klamka dzisiaj zapadła, ale i tak dawno już minąłem punkt, w którym mógłbym jeszcze zawrócić.

Wyprawa do rezydencji Doni Sepanty przyniosła chociaż jedną dobrą rzecz: zobaczyłem Amazonki w akcji – co prawda niezbyt intensywnej – i okazały się dobrymi żołnierzami. Żadnych wygłupów, kwestionowania poleceń, no i obie wykonały przydzielone zadania. To było ważne, bo gdy już na dobrą sprawę oficjalnie rzuciłem Anaicie wyzwanie, czułem przez skórę nadchodzące kłopoty, jak żeglarz wyczuwa sztorm.

Miałem parę rzeczy do załatwienia na mieście, a że Oksana zajęła się zgrywaniem zdjęć do laptopa Caz, zaprosiłem do towarzystwa Halinę.

– Dokąd jedziemy? – spytała, gdy ruszyłem Middlefield na

północ, przez dzielnicę lepszych sklepów, restauracji i wariacko kiedyś drogich domów, obecnie podzielonych na zwyczajnie drogie apartamenty.

– Kupić nowe telefony.

– Przecież już masz, i to bardzo dobry!

– Bardzo dobry i bardzo popularny. Tylu ludzi już mi się do niego włąmało, że muszą czekać w kolejce, żeby mnie podsłuchiwać. Nie idzie się na wojnę bez pewnych i bezpiecznych środków łączności. – Widziałem, że niewiele z tego rozumie, wyjaśniłem więc wprost: – Nie mam już zaufania do tego aparatu. To służbowy, od szefostwa... a im także nie ufam.

– Ale czy twoim szefem nie jest Bóg? – zdziwiła się.

– Niby tak, ale między Jego Doskonałością a mną jest jeszcze sporo pośrednich szczebli. – Wzruszyłem ramionami. – A kto jest twoim szefem? To znaczy w domu, w waszej Amazonii.

– To się tak nie nazywa. – Skrzywiła się, ale niezbyt gniewnie.

– Ale wiesz, o czym mówię. Kto tam rządzi? Wspomniałaś, zdaje się, o jakimś polityku.

– Ona kiedyś była w polityce. Teraz jest tylko wodzem Scytyjek. Nazywa się Walentyna Wojtenko. Bardzo silna, mądra kobieta.

– Jestem tego pewien. A ty, Halino? Jak to się stało, że jesteś jedną z nich?

– Nie ma o czym mówić. – Machnęła ręką.

– Jednak mi opowiedz. Do Cubby jeszcze daleka droga.

– Co to jest Cubby?

– Nie co, tylko kto. Cubby Spinks to miła pani, u której kupuję komórki. Poznasz ich oboje z mężem. Ale najpierw chciałbym usłyszeć, jak wylądowałaś w górskim obozie, by trenować zabijanie perskich bogiń.

– Och, uczymy się wielu innych rzeczy – odparła z godnością. – Scytia to filozofia, rozumiesz? Jak religia, ale taka kobieca, nie boska. To sposób na dobre życie, jakie kobiety wiodły za dawnych czasów.

– A skąd się o niej dowiedziałeś? Czy w twojej rodzinie to praktykowano?

– Rodzina? – Halina prychnęła z pogardą. – Oni są do niczego. Z domu nie wyniosłabym nic. W kółko gapią się w telewizor i mówią, żeby nie robić kłopot. – Jej angielszczyzna nagle zaczęła kuleć, jakby cofnęła się o parę etapów nauczania. – Nowy rząd, wszystko tylko pieniądz, pieniądz i pieniądz. Moi krewni też chcą tylko więcej mieć. A ja to... – Umilkła, szukając słów. – Zwyczajna dziewczyna. Żadnej polityki ani nic podobnego. Koleżanki, nawet chłopak czy dwóch. Wódka, seks, haszysz. Ale pewnego dnia uciekłam i Scytyjki, moje siostry, mnie przygarnęły. Nauczyły wszystkiego. Walentyna mnie oświeciła i dała cel. Gdzie mój ojciec? – Machnęła ręką. – Nie wiem. Gdzie matka? Nie obchodzi mnie. Teraz mam nową rodzinę. Prawdziwą.

– A Oksana?

– Ona też rodzina. Jak ukochana siostra.

Sądząc po nocnych odgłosach, trochę inaczej to wygląda – ale nie

zamierzałem się spierać o definicje. Jechaliśmy obrzeżem centrum ku nadmorskiej dzielnicy wieżowców. W San Judas nie każdy budynek z widokiem na zatokę zasługuje na miano wizytówki miasta; my zmierzaliśmy właśnie do jednego z tych mniej reprezentacyjnych, nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek nas śledził, na miejscu zatrzymałem się więc wprost przed wejściem. Pojechaliśmy na szóste piętro najpowolniejszą windą świata i zapukałem do drzwi pod numerem 68.

Otworzyła pani domu. Cubby ma plus minus sześćdziesiąt lat, włosy strzyże na rekruta, jest idealnie krągła i stale opalona na politurowany mahoń, bo całe lato przesiaduje na balkonie, słuchając radiowych sprawozdań bejsbolowych. (O tej porze roku co prawda opalenizna już jej przygasa do bladej dębiny). Ubrana była w swój zwykły zestaw: bermudy i trykotowy bezrękawnik.

– Bobby D.! – wykrzyknęła na mój widok. – Wchodź, nie stój tak! – Ujrawszy Halinę, uniosła brwi i scenicznym szeptem dorzuciła: – Oho. Więc jednak przerzuciłeś się na nastolatki. A mówiłeś, że z tą małą Parmenter to tylko biznes.

Halina patrzyła na nią niepewna, czy aby z niej nie kpią.

– Nie zwracaj uwagi na Cubby – uspokoiłem ją. – Panu Bogu akurat skończyły się poczucia humoru, to dał jej zamiennik.

Z pokoju wychynął Gershon, przyodziany w tym samym stylu co żona, z dodatkiem kuchennego fartucha. Zgrabnie prześliznął się między stosami pudeł ze sprzętem elektronicznym, co nie było łatwe, jest bowiem jeszcze pełniejszej figury niż ona.

– Hej, Bobby. – Wyciągnął do mnie rękę w pikowanej rękawicy.
– Akurat pichcę satay z kurczaka. Zostaniecie z koleżanką coś przekąsić?

– Nie da rady, Gersh. To jest Halina, poznajcie się. Potrzebujemy kilku nowych telefonów.

Następne piętnaście minut czekaliśmy, aż gospodarze przetrząsną swoje zasoby. W końcu Cubby znalazła, czego szukała.

– Nowiuteńkie – zapewniła, wręczając mi pudełko. – Taniocha przy tym, bo instrukcja jest po serbsko-chorwacku. Spadły z ciężarówki w Belgradzie, rozumiesz. No i absolutnie czyste.

Potargowaliśmy się trochę po przyjacielsku, co potrwało dostatecznie długo, by pierwsze szaszłycki Gersha zdążyły się dopiec i zapachnieć prawdziwie bosko. Zjedliśmy po parę soczystych kawałków, podziękowaliśmy i pożegnaliśmy gościnnych Spinksów.

– Mili są – orzekła Halina. – Jak Ukraińcy.

– Przekażę im to. Znam ich od dość dawna. Dobrzy ludzie, bez dwóch zdań. Cubby służyła kiedyś w marynarce, a Gersh, jak się zdaje, w latach sześćdziesiątych robił w narkotykach.

Kiwnęła tylko głową. Dziewczyna nie ma skłonności do szybkich osądów. Podobało mi się to.

Odezwała się dopiero, gdy już wjeżdżaliśmy na autostradę.

– Ach, już wiem, gdzie jesteśmy! Stąd już blisko do nas. Możesz się tu zatrzymać? Muszę coś zabrać.

– Do nas, to znaczy do starego mieszkania? Tierra Green? To

chyba nie jest dobry pomysł.

– Ale to ważne. Naprawdę, Bobby. Stań, proszę. Tylko na minutkę.

I wtedy popełniłem pierwszy rzeczywiście poważny błąd. Pograżony byłem w planowaniu: komu rozdzielić telefony, gdzie się podziąć, gdyby nasza meta u Caz została spalona, i jak zareagować na ewentualne wezwanie do Nieba. Innymi słowy, miałem głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

– No, dobrze – zgodziłem się. – Ale musisz się uwinąć, no i nie mam zamiaru podjeżdżać nigdzie blisko.

Zatrzymałem wóz dwie przecznice od bloku, na Hillton Drive, i Halina wysiadła. Dzień pracy się kończył i ruch był spory, nie widziałem jednak niczego niepokojącego. Lecz kiedy upłynął kwadrans, a Amazonka nie wracała, poczułem się nieswojo.

Wsunąłem nowe komórki pod siedzenie i zamknąwszy samochód, poszedłem sprawdzić, co się dzieje. Kilka minut obserwowałem blok. Paru ludzi weszło i wyszło; nic nie wskazywało, że mogą być jakieś problemy. Już miałem ruszyć (na wszelki wypadek z dłonią na pistolecie w kieszeni), kiedy z klatki schodowej wysunęła się Halina. Szła, rozglądając się na boki, wyraźnie zaniepokojona, ale nie wyglądała na poszkodowaną. Odczekałem, póki nie wyszła poza zasięg ewentualnego obserwatora z budynku, i dopiero wtedy przeszedłem na jej stronę ulicy.

– Bobby! – wykrzyknęła zaskoczona. – Tam był jeden z nich.

– Ciszej! – syknąłem. – To znaczy kto?

– Raz go już widziałam. Z Czarnego Słońca, tego blondyna. Był na tyłach bloku, z okna go zauważyłam.

Wydawała się bardziej zdenerwowana, niżbym się spodziewał po kobiecie, która w uczciwej walce potrafiłaby spuścić manto większości przeciętnych facetów.

– Psiakrew. – Byłem wściekły na siebie, że tak przejęty Anaitą zupełnie zapomniałem o moich nazistowskich koleśkach. Dałem im jasno do zrozumienia, że nie mogą na mnie liczyć, a do tego z pewnością pochrzaniłem im sprawy tym telefonem na policję; ale jeśli nawet zagięli za to na mnie parol, to czemu wystają pod mieszkaniem, w którym się od dawna nie pojawiam? – Wiedziałem, że nie powinniśmy tu przychodzić, cholera. Co takiego ważnego musiałaś stąd zabrać?

– Listy od siostry. – Pokazała mi wygniecioną papierową torebkę złożoną w pakunek wielkości książki. Minę miała smutną, lecz ton był zaczepny. – Nie mogłam ich tu zostawić. Z całej rodziny tylko na niej mi zależy.

– Dobra. W porządku. – Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Na nią się tak nie gniewałem. – Po prostu jedźmy stąd.

Włączając się do ruchu, zauważyłem, że coś przemknęło chodnikiem obok wozu i zniknęło w krzakach. Mógł to być kot albo wiewiórka, wiedziałem jednak, że nie ma tak dobrze. Zakląłem w duchu, ale wolałem nic nie mówić Halinie. Ze zdwojoną uwagą sprawdzałem, czy nikt za nami nie jedzie. Zmierzchało już i zaczynał się wieczorny szczyt, więc dobre dwadzieścia minut zajęło nam

wydostanie się z centrum. O tej porze ani myślałem pchać się na autostradę, wybrałem zatem też tłoczną, lecz niezakorkowaną trasę równoległą, którą również można dojechać do Middlefield. Po południowej stronie aż do Atherton ciągnie się długi pas przemysłowy; liczyłem, że można będzie trochę przyspieszyć. W normalnych okolicznościach tak by było.

Jeszcze niedawno niebo na zachodzie jarzyło się odcieniami czerwieni, ale słońce zapadło już głęboko za wzgórze i widnokrąg przed nami nabrał granatowej barwy. Lampy uliczne się paliły, ale okolica wydawała się wyludniona.

– Coś za ciemno – stwierdziła nagle Halina.

– Ta część miasta zamiera po siedemnastej – zacząłem, ale ona wykręciła głowę do tyłu i zapatrzyła się w szybę.

– Bobby, coś siedzi na samochodzie – szepnęła.

Zwolniłem i obejrzałem się. Chwilę potrwało, zanim zdałem sobie sprawę, że tylne okno po jej stronie jest kompletnie czarne, choć przez pozostałe wpada światło latarni.

Samochód podskoczył, gdy przednie koło odbiło się od krawężnika. Błyskawicznie odwróciłem głowę do przodu – w samą porę, żeby w ostatniej chwili uniknąć wpakowania się w szklaną ścianę salonu samochodowego. Wróciłem na jezdnię, niemal ocierając się o hydrant.

– Coś włązi przez okno – powiedziała drżącym głosem. – Jakby czarne węże.

Zerknąłem przez ramię. Coś rzeczywiście się przeciskało nad uchyloną szybą. Coś ciemnego, lekko połyskliwego, co potrafiło spłaszczyć się niemal na papier, by się zmieścić w tej wąziutkiej szparze. Chwilę później zaczęło się wlewać na tylne siedzenie ciągłym płaskim strumieniem, jakby ktoś pompował do wnętrza płynny lateks.

Czarna gumowata macka wystrzeliła w górę i chwyciła mnie za gardło. Następna zakryła mi oczy. Halina wrzasnęła przerażona i nie przestawała krzyczeć. Też bym się darł, tylko teraz to świństwo zatykało mi także usta. Cokolwiek to było, zdawało się nie mieć kształtu, kości ani kończyn, musiało za to mieć zęby, poczułem bowiem, że coś ostrego wbija mi się w ramię. No i nic nie widziałem – mówiłem już? Kiepska sprawa, kiedy się prowadzi auto.

Na oślep szarpnąłem kierownicą w prawo i z całej siły nacisnąłem gaz. Datsun wyrwał do przodu i znów rąbnął w krawężnik, tym razem tak mocno, że jedna z opon pękła z hukiem. W następnej sekundzie wozem wstrząsnęło, jakby uderzyła go gigantyczna pięść. Model był za stary, żeby mieć poduszki powietrzne, ale napastliwa galaretowata substancja przytrzymała mnie na tyle mocno, że nie wyleciałem przez przednią szybę.

Zderzenie musiało oszołomić potwora wystarczająco, bym zdołał uwolnić rękę i zedrzyć oślizłą zasłonę z oczu. Szyba była popękana w siateczkę, lecz utrzymała się w ramie. Wjechałem prosto na ścianę jakiegoś budynku. Zniszczoną maskę zasypały odłamki cegieł i tynku. Halina wciąż krzyczała, walcząc z atakującymi ją mackami.

Nadal nie miałem pojęcia, z czym właściwie się zmagamy. Monstrum było niesamowicie śliskie, pozbawione stałej formy i zdecydowanie silniejsze od człowieka – jeżeli w istocie była to tylko jedna rzecz. Chwyliłem za jedno z odnóży, czy jak to nazwać, oplatających dziewczynę i pociągnąłem z całej siły, starając się ją uwolnić. Potwór z kolei zaczął ciągnąć mnie, jakby chciał mnie wywlec zza kierownicy na tylną kanapę. Teraz już prawie kucałem na siedzisku; na szczęście moja akcja odwróciła jego uwagę od Ukrainki, która natychmiast wykorzystała sytuację, oswobodziła się i otworzywszy drzwi, wypadła z kabiny. Po krótkiej szarpaninie udało się jej uwolnić nogi. Przetoczyła się parę razy i znieruchomiła.

– Uciekaj! – zdążyłem krzyknąć, zanim bydlę znów mnie zakneblowało.

Nie miałem czasu sprawdzać, czy mnie posłuchała, bo coś zaczęło mi się wgryzać w pierś. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby w końcu zepchnąć mackę z twarzy, ale za to znalazłem się plecami na fotelu, z nogami zadartymi na oparcie. Nieproszony gość przelewał się już na mnie, a to nie zapowiadało nic dobrego ani zdrowego. Uwolniłem rękę, sięgnąłem na podłogę i chwyciłem pierwszy przedmiot, który mi się nawinął – torbę z komórkami – i jąłem z całych sił tłuc stwora, gdzie popadło. Trochę go to powstrzymało, ale bynajmniej nie stracił zapachu. Problem w tym, że byłem częściowo zaklinowany pod kierownicą i nie miałem miejsca na manewry. Wykręcając się i szamocząc, zdołałem przesunąć się na stronę pasażera i w końcu wyciągnąć broń. Przyłożyłem lufę do miękkiego cielska i tak szybko, jak tylko mogłem naciskać spust, wpakowałem

w nie cztery czy pięć srebrnych kul. W zamkniętej przestrzeni huk był ogłuszający, ale skutek zerowy: kilka dziur w czarnej galarecie, które od razu zaczęły się na nowo zasklepieć, i tyleż w dachu datsuna, które już zostały.

Zdałem sobie sprawę, że muszę się szybko wydostać z kabiny, inaczej zginę. Nie wiedziałem, co ta czarna bestia może ze mną zrobić – przez myśl przeleciało mi słówko „wchłonąć” – lecz nie ulegało wątpliwości, że nic przyjemnego, wypuściłem więc z dłoni pistolet i sięgnąłem do schowka w poszukiwaniu jakiegoś ostrego przedmiotu, którym mógłbym ją porznąć lub chociaż dobrze dziabnąć. Leżałem teraz w poprzek obu foteli i dźwignia biegów wrzynała mi się w krzyż. Otwarte drzwi miałem zaledwie o trzydzieści centymetrów od głowy, draństwo jednak owinęło mi się wokół nóg jak pyton, a reszta cały czas spływała po oparciu, usiłując chyba pokryć mnie całego.

W schowku nie znalazłem nic użytecznego, a tu każda sekunda nierównej walki przybliżała mnie do katastrofy. Mapy, pilot do garażu, najróżniejsze barachło wysypywało się na podłogę, a ja po omacku próbowałem je rozpoznać dotykiem. Długopis. Kapsłownik. Pochodnia awaryjna... Pochodnia! Koniuszkami palców starałem się ją podtoczyć bliżej, zastanawiając się, czy ogień poskutkuje tam, gdzie zawiodła broń palna, ale galareta z rozmachem uderzyła mnie macką w głowę i pochodnia wypadła na ulicę.

Stwór już prawie cały przelał się na przednie siedzenie i zaparty o sufit mógł teraz mocniej mnie przydusić. Odpychałem go z całych sił nogami, wolną ręką namacałem torbę i znów zacząłem go tłuc, ale to było tak, jakbym walił w największego na świecie, najbardziej

krwiożerczego gumisia. W końcu całe cielsko znalazło się nade mną i napór jeszcze wzrósł. Kolana miałem przyciśnięte do żeber i prawie nie mogłem się ruszyć.

Wtedy spostrzegłem, że ohydna plecha najbliższej macki zaczyna się zmieniać.

To cholerstwo twardniało! Tak to przynajmniej odbierałem. Jak zimą zamarzający na szybie deszcz. Czarna gumowata plecha miejscami zarazem bladła, w końcu niemal zbieła, a potem zaczęła się dzielić. Powstające drzazgi wydłużały się, stawały coraz ostrzejsze, niczym zęby w rozwartej paszczy mureny. To już przekichane, pomyślałem. Bydlakowi rosną kły na mackach!

Jeszcze sekunda, a odgryzie mi pół twarzy. Zanim ta myśl zdążyła mnie przerazić na dobre, przez drzwi wsunęło się coś niesamowicie jaskrawobiałego i czerwonego. Uzębiona macka odskoczyła ode mnie z sykiem; a może to był tylko odgłos palącej się flary w ręku Haliny. Monstrualna ameba cofnęła się przed płomieniem i do połowy przelała z powrotem na tylną kanapę, przybierając kształt pośredni pomiędzy słonecznikiem a piłą tarczową. Wyczołgałem się na zewnątrz. Efenka gdzieś przepadła, po drodze zgarnąłem więc tylko telefony. Leżąc na wznak na chodniku, kopnięciem zatrasnąłem za sobą drzwi.

Duży biały budynek, o który rozkwaśiłem datsuna, miał u szczytu ściany duży szyld z napisem „Carquinez Auto Repairs”, nie wyglądało jednak na to, że jakikolwiek mechanik może nam pomóc. Bydlę wariowało w kabinie, waliło w szyby z taką siłą, że wszystkie

zmatowiały od pęknięć, a samochód trząsał się jak galareta.

Halina pomogła mi wstać. Twarz miała podrapaną do krwi. Wyrwałem jej pochodnię z ręki.

Trzask! Wielka fioletowo-czarna łapa wybiła dziurę w oknie tylnych drzwi. Stwór zaczynał już wypływać na zewnątrz, kiedy podbiegłem i otworzyłem pokrywę wlewu paliwa. Całe szczęście, że w tak starych modelach nie była jeszcze zamykana na kluczyk. Wepchnąłem w otwór pochodnię i rzuciłem się do ucieczki, w biegu ciągnąc za sobą dziewczynę.

Z baku strzelił jasnożółty snop ognia, a chwilę później powietrzem targnęła silna eksplozja. Posypały się na nas kawałki blachy i plastiku. Gdy odbiegliśmy na bezpieczną odległość i odwróciłem się, wóz stał w płomieniach. Nowy lakier był cały w bąblach i miejscami przebijała spod niego stara zieleń, po czym też zaraz czerniała i wrzała. Potwór długo miotał się w kabinie, zanim osunął się poniżej linii okien. Już odetchnąłem z ulgą, ale po chwili czarna gruba wstęga zaczęła się przeciskać przez wybity otwór.

Kolejny wybuch posłał w niebo grzyb dymu i ognia. Macka zeszywniała i zaczęła się kurczyć. Koniec odłamał się i spadł na ziemię. Drgał jeszcze i wił się; zobaczyłem nadbiegających z różnych stron ludzi, dopadłem go więc i przypieklełem pochodnię, aż się zmienił w tłustą plamę sadzy.

– Jasna dupa – wysapałem. – Mój wóz! Mój pieprzony wóz.

– Raczej rozpieprzony – poprawiła mnie Halina. Odsunęła z czoła niesforne rude pasemko. Była upiornie blada. – Totalnie. I jak teraz

wrócimy do domu?

Z oddali dobiegało narastające wycie syren. Kolumna dymu wznosiła się wysoko nad dach warsztatu, a płomienie sięgały niewiele niżej. Pożar musiał być widoczny chyba ze wszystkich wieżowców w centrum Jude.

Dwadzieścia dwa

Ulubieniec fortuny



Kiedy uporałem się z policyjnymi procedurami i wróciliśmy taksówką do domu (to znaczy na tyle blisko, by resztę drogi pokonać na piechotę; korporacje taksówkowe przechowują zapisy podanych kierowcom adresów), byłem, co chyba zrozumiałe, w paskudnym nastroju. Nie tyle z powodu auta – owszem, to zabolalo; samochody swoje kosztują i w ten sposób forsa mi się skończy grubo wcześniej, niż przypuszczałem – ile z poczucia, że upuściłem piłkę.

Oksana rzuciła się szukać plastrów i środków do dezynfekcji skaleczeń Haliny, a i ja wreszcie mogłem przy dobrym świetle obejrzeć własne rany. Nic poważnego, ale na rękach i nogach zostały dziwaczne ślady jak po ugryzieniach.

– No dobra – zagailem, skończywszy tę obdukcję. – Czy ktoś może mi powiedzieć, co to było?

Próbowałem omówić to z Haliną jeszcze w obecności policji, ale szepnęła mi tylko, że napadł na nas „robak”, co uznałem za oczywisty nonsens – chyba że teraz hoduje się robaki w reaktorach nuklearnych.

– Czarne Słońce ma takie – mruknęła w przelocie Oksana, samarytanka spiesząca do pacjentki z wodą utlenioną. – To robakobyk.

– Nie ma czegoś takiego.

– Nie byk, tylko dzik – poprawiła Halina, opędzając się od jej zabiegów. – Robakodzik. Tak to się nazywa. Słyszałam.

Gapilem się na nią osłupiały, aż w końcu kliknęło.

– Dzikorobak! – powiedziałem. – Faktycznie obilo mi się o uszy. Ale niełatwo je przywołać.

– Czarne Słońce bardzo złe – odrzekła Halina. – Mówiliśmy ci. Mówiliśmy. Mają różne potwory do dyspozycji.

– No to byczo – jęknąłem. – Więc mam na karku nie tylko rozjuszoną eks-boginię, ale i drapieżne galarety na usługach nazistowskich szaleńców.

Dziwne to wszystko jednak było. Swastykoszmarki zobaczyłem pierwszy raz w życiu, a przedtem nawet o nich nie słyszałem. Wiedziałem za to co nieco o dzikorobakach – a nie jest to drobnica w piekielnej menażerii. Jakim cudem taka banda idiotów jak grupa Buraka von Rajzefibera może sobie załatwić tak niesamowite wsparcie? I skoro wierzą, że to ja mam róg Eligora, albo przynajmniej wiem, gdzie go szukać, to dlaczego nasyłają na mnie morderców z Tartaru rodem, zamiast po prostu mnie śledzić?

Sięgnąłem po torbę z komórkami. Zagrzechotały złowieszczo, lecz gdy wyłożyłem je na stół, z ulgą stwierdziłem, że ani jedna nie

doznała uszkodzeń poważniejszych niż wypadnięcie pokrywy baterii. Za to marynarka śmierdziała spalenizną; musiałem się jakoś pozbyć tego odoru, co oznaczało konieczność prania chemicznego, a przedtem wywietrzenia w garażu. Zacząłem opróżniać kieszenie i natrafiłem na zapomniany przedmiot.

– No tak! – wykrzyknąłem, pokazując go dziewczynom. – Teraz wszystko jasne.

– To pendrive – stwierdziła fakt Oksana.

– Ważne czyj – odrzekłem. – Buchnąłem go podczas ucieczki z biura Czarnego Słońca i w ferworze późniejszych wydarzeń zupełnie o tym zapomniałem. Ciekawe, co na nim jest, że aż napuścili na mnie to bydłę? Musiałem ich naprawdę wkurzyć. No i skąd u nich taka moc i umiejętność?

Wsunąłem pendrive'a do gniazda w laptopie Caz, ale urządzenie okazało się zakodowane jak cholera. Próbowałem wpisywać oczywiste skojarzenia typu „Sonnenrad”, „Vaterland”, „Nordyk” itp., ale bez powodzenia. Bałem się, że Baldur nie jest tak głupi, jak się przedstawia neonazistów w filmach, i zabezpieczył go hasłem nie do odgadnięcia – jakąś zbitką znaków w rodzaju „4DkaH2%ja3mv5”. Otworzyłem piwo, by się chwilę zastanowić, po czym wyszedłem na dwór w poszukiwaniu zasięgu.

– Hej, Clarence – zagadnąłem, gdy odebrał telefon. – Znów cię potrzebuję. Mam tu pendrive'a od tych faszystów, z którymi ostatnio miewam problemy, i wiąże się to z tą drugą sprawą. Muszę odczytać, co zawiera, ale draństwo jest zaszyfrowane i nie wiem, jak je

rozgryźć.

Nie odpowiedział od razu.

– Po pierwsze, Bobby, chciałbym, żebyś zaczął wreszcie nazywać mnie moim ziemskim imieniem. Nazywam się Harrison, gdybyś zapomniał. Nie znoszę tego Clarence’a.

– Dobrze, dobrze. Szantażysto jeden. Przepraszam, Har-ri-so-nie. Potrzebna mi twoja pomoc. Możesz przyjechać?

– Dziękuję, Bobby. – Satysfakcja w jego głosie była tak świetnie słyszalna, że zapragnąłem wsadzić mu na łeb kosz na śmieci i póty w niego walić bejsbolem, aż mu się nastrój pogorszy. – Co się zaś tyczy zabezpieczeń komputerowych, to nie bardzo się na tym znam.

– O kurde, dałbyś spokój. Znalazłeś ten adres dziesięć razy szybciej, niż mnie by to poszło.

– To co innego. Zwykle przeszukiwanie baz danych. Tobie przyda się spec od łamania haseł. – Zamilkł na chwilę. – Tak się składa, że Wendell się w to kiedyś bawił.

– Wendell? Znaczy twój chłopak?

– Nie jest moim chłopakiem. Owszem, spotykamy się, ale żaden z nas nie jest gotowy na tego rodzaju związ...

– Daruj sobie. Powiedz lepiej, jak go poznałeś. Chyba nie podszedł do ciebie w jakimś nastrojowym barze z nawijką w stylu „Hejka, przystojniaczku. Podobno pracujesz z Bobbym Dolarem? To co, zabawimy się”.

– Nie – odparł z godnością. – Skoro już musisz wiedzieć, to

rzeczywiście poznaliśmy się w klubie, ale to ja podszedłem do niego i poprosiłem do tańca.

– Skoro wasza znajomość przetrwała tę próbę, to albo gość jest desperatem, albo ślepcem. Czy pieska zabiera wszędzie, nawet do restauracji?

– Nie jesteś dowcipny, Bobby. I to nie ja chcę od ciebie przysługi, tylko raczej odwrotnie, zapomniałeś?

To mnie brała desperacja. Sytuacja coraz bardziej się komplikowała, a pytania wciąż miały przewagę liczebną nad odpowiedziami – zwłaszcza po tak efektownym powrocie Sonnenrad do równania. Na domiar złego straciłem samochód.

– W porządku. Dam mu szansę, ale nie przywoź go tutaj. Przy University Avenue jest taka kafejka, tuż przy zjeździe z autostrady na Palo Alto. Znajdziesz ją jakoś. Ściągnij tam Wendella, to pogadamy. Muszę zasuwać tam z buta, więc dajcie mi ze dwadzieścia minut.

– Dlaczego z buta?

– Dla zdrowia i kondycji. Dwadzieścia minut. Biały goździk w butonierce. Hasło: „Gejowska mafia wyzyskuje anioła w tarapatkach”.

Rozłączyłem się, nim zdążył zatriumfować.

Mimo że szedłem na piechotę, byłem na miejscu dwie minuty przed nimi, co dało mi czas na pierwszą z wielu kaw tego wieczoru. Nie wiem, jak wy reagujecie na silne bodźce, ale dla mnie poranna konfrontacja z potężnym archaniołem w połączeniu z wieczornym atakiem ameboidalnego zębatego mordercy to zestaw bardzo

męczący. Pilnie potrzebowałem dobrej drzemki – tym bardziej że najbliższe doby zapowiadały się raczej bezsennie. Cóż mogę powiedzieć? Najwyższy wiedział, co robi, wynajdując kofeinę. Czapki z głów.

Wendell z bliska okazał się jeszcze bardziej przystojny i bardziej blond niż widziany z okna. Wąsik miał tak idealnie przystrzyżony, że wyglądał jak sztuczny. Co gorsza, był całkiem miłym gościem (ale to jeszcze nie czyniło go godnym zaufania).

Podaliśmy sobie ręce. Uścisk miał mocny.

– Dużo o tobie słyszałem, Bobby – rzucił na powitanie.

– Na wszystko poza drobnymi wykroczeniami mam alibi.

Roześmiał się, co jeszcze bardziej mnie wkurzyło. Nie cierpię, kiedy facetom, których nie chcę lubić, podobają się moje żarciki. Pod tym względem jestem trochę jak kot: częściej cię podrapię, gdy mnie głaskasz, niż gdybyś nie zwracał na mnie uwagi.

– Nie, naprawdę – powiedział. – I to nie tylko od Harrisona.

Mój sceptycyzm musiał być widoczny, gdyż Clarence pospieszył przyjacielowi w sukurs.

– Wendell był w Kontrataku.

– Żartujesz. – Sceptycyzm nabrał głębi.

– Jednostka „Chmura” – oświadczył Wendell. – Ty byłeś w „Lirze”. Ludzie wciąż o tobie mówią.

„Chmura” była jedną z grup wsparcia dla jednostek frontowych jak moja. Często zabieraliśmy je na akcje; obsługiwały łączność

specjalną lub różne maszyny. Ktoś z takim stażem byłby dla moich celów istnym darem losu – i to już zaczynało się układać nieco zbyt idealnie. A może to tylko moja mania prześladowcza wchodziła na wysokie obroty? Tak bywa z człowiekiem, który dwa razy w ciągu jednego dnia otrze się o śmierć w jakże odmiennych wydaniach.

Przepytałem chłopaka trochę, ale wszystko, co mówił, trzymało się kupy. Znał właściwych ludzi i wiedział właściwe rzeczy; pamiętał nawet ten wiecznie zepsuty automat z napojami w Obozie Syjon, który nazywaliśmy Świętym Piotrem (bo pokazywał ci figę, kiedy już myślałeś, że jesteś w raj). Naturalnie to też jeszcze niczego nie dowodziło. Gdyby zaszła potrzeba, sam mógłbym w jedną dniówkę sprokurować sobie przekonujący życiorys agenta Secret Service albo redaktora programu TV dla najmłodszych. Nie martwiło mnie zresztą to, że kiedyś służył w Kontrataku, ale to, że może nadal pracować dla szefostwa – a ja mogę być jego najnowszym zadaniem.

– Nie wiem, czy Clar... czy Harrison ci to wyjaśnił, ale ostatnio samo przebywanie w moim towarzystwie może być grzechem głównym. A to, o co cię poproszę, będzie o wiele gorsze. Nie chcę nikogo wpędzać w kłopoty.

– Harrison dużo rzeczy mi wyjaśnił. – Wendell obrzucił mnie tym swoim niewinnie roztropnym spojrzeniem, które już zaczynało mnie drażnić. – Wystarczająco, bym wiedział, że starasz się postąpić właściwie.

– Teraz łatwo się tak mówi. Trudniej będzie, kiedy szefowie na zawsze ześlą cię windą kuchenną do wiecznie płonącej piwnicy.

Wpakowałem się w poważne szambo i tu nie ma zabawy. Dlaczego miałbym zaufać nowicjuszowi?

Powinienem raczej spytać, dlaczego miałbym ufać komukolwiek, ale nie miałem wielkiego wyboru. Bez sprzymierzeńców nic nie działałam.

Wendell pokiwał głową.

– Pierwszy raz dotarło do mnie, że jestem gejem, już w Syjonie. – Uśmiechnął się do Clarence’a. – Trochę to mną targnęło. Poszedłem do mojego Lochy... znaczy szefa kompanii...

– Nie przejmuj się. – Omal sam się nie roześmiałem. – Wiem, kogo w Kontrataku nazywano Lochą.

– No jasne. Dobra, poszedłem więc do niego i powiedziałem. Dopiero co wyszedłem z Nieba i myślałem, że coś się ze mną porobiło. Nie wiedziałem, czy przydzielono mi ciało pederasty, czy też spaprałem całkiem normalną powłokę moją homoseksualną duszą. Tak czy owak, coś mi nie wychodziło. On mi na to mniej więcej tak: synu, jak świat światem, żołnierze ciupciali się z kolegami. Starożytni Grecy szli do boju bez spodni, z wackami huśtającymi się jak proporce na wietrze! Każdy rekrut z wojsk lądowych ci powie, że w marynarce połowa to pedały. Jeśli o mnie chodzi, mam gdzieś, czy wolisz damy, czy dżentelmenów. Pamiętaj tylko, że nie znaczy nie. Do kolegów z szacunkiem, bo w akcji wszyscy musicie się wzajemnie osłaniać, a do tego trzeba sobie wzajemnie ufać. Tyle od niego usłyszałem.

– Miła historyjka – odrzekłem po długiej pauzie. – Tylko nie

bardzo widzę...

– Zaczekaj. Trzy miesiące później nasz Locha odmówił udziału w operacji, bo w grę wchodził zakładnicy. Demon wszedł w jednego takiego i kazał mu wparować z maczetą do przedszkola. Facet groził, że zacznie wyrzucać trupy przez okno. Raguel... tak się nazywał nasz szef kompanii... powiedział, że powinna się tym zająć zwykła policja, bo póki co chodzi o zwykłego szaleńca, jeśli zaś my wkroczymy do akcji, to się może rozwinąć w starcie Piekła z Niebem. Uważał, że bez nas dzieciaki miałyby większe szanse.

– Ale znasz zasady – wtrąciłem z miną tak poważną, jakbym sam się zgadzał z każdym regulaminem. – Nie można sobie wybierać, które rozkazy z Góry będziesz wykonywał, a których nie. My mamy chronić dusze, a z punktu widzenia Nieba o to tam chodziło. Kiedy już demon się ujawnił na Ziemi, nie wolno dać mu się wymknąć.

– Jasne, ale ja też jestem adwokatem, Bobby, tak samo jak ty. Zajmuję się duszami, również dziecięcymi. O wiele częściej, niżbym chciał. Nikt z nas nie chce śmierci dzieci, choćby nie wiem ile konfetti na nie sypano u bram Nieba. Ale mojego Lochę za to skasowali. Ostatni raz go wtedy widziałem. Kiedy to się rozeszło, uznałem, że Niebo nie zawsze musi mieć rację, i od tamtej pory nigdy nie napotkałem sytuacji, która wróciłaby mi poprzednią wiarę. Przerażało mnie to z początku, ale teraz już mało co może mnie zaskoczyć.

Clarence nachylił się do niego i delikatnie uścisnął mu rękę.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co z tym fantem robić. Zaufać

gostkowi czy nie? Gdyby Sam oddzwonił na którąś z paru wiadomości, które mu zostawiłem, mógłbym go poprosić o opinię. Jego rady prawie zawsze były dobre; niekoniecznie z nich korzystałem, ale zawsze to dobrze wiedzieć, co i dlaczego mogę spieszyć. Bez Sama byłem zdany na własny osąd. Co prawda jego też nie byłbym do końca pewien. Poza tym, jakie to w ogóle ma znaczenie, czy Wendell jest wporo, czy nie? Jeżeli szefostwo chce mnie załatwić, to ma już dość dowodów obciążających, żeby mnie zapakować w worek i wysłać prosto do Hadesu. Jeśli zaś Wendell pracuje dla Anaity... no, to by zmieniło postać rzeczy, ale i wtedy lepiej go mieć przy sobie i na oku. Zakładając oczywiście, że jeśli jest kapusiem, to Clarence o tym nie wie. Tylko że Młody też może być w zмовie.

Widzicie? Niestety, tak właśnie wygląda mój typowy tok myślenia. Nie mogę inaczej. Nic dziwnego, że mam opinię chłopca, który nie umie się bawić z innymi dziećmi. Moje oficjalne motto ostatnio brzmi: Fortuna sprzyja odważnym. Mam nadzieję, że w pełnej wersji obejmuje ono także głupców beznadziejnych, ale przynajmniej zabawnych, bo odwaga nie należy do moich najlepszych sztuczek. Lecz jeżeli już iść na całość (a tak właśnie było), to nie ma co w ostatniej chwili wstrzymywać kroku. Niby można powiedzieć: „Dobra, to wyskoczę z tłumu i strzelę do papieża, ale tylko w ramię”, lecz i tak będą potem wydłubywać z twoich zwłok kule z peemów Gwardii Szwajcarskiej.

– Podrzucić mnie do chaty – poprosiłem Clarence’a. – Damy Wendellowi okazję poznać resztę drużyny.

Przekroczyłem zatem Rubikon. Sierżant Dolar i jego Ryczące Komando LGBT przeciw samemu Niebu.

Kiedy Clarence oprowadził kumpla po mieszkaniu i obaj ochłonęli z zachwytu nad dizajnem, posadziłem Wendella za biurkiem i włączyłem laptop. Podczas gdy on zajął się pendrive'em Czarnego Słońca, zrelacjonowałem Młodemu wydarzenia z ostatnich kilku godzin. Był stosownie zemocjonowany.

– Anaita? – wyszeptał. – Chyba żartujesz. Poszedłeś do niej do domu?

– A co się dziwisz, Młody? Właśnie wpuściłem do zakonspirowanej kryjówki drugiego już trefnego anioła. Muszę lubić niebezpieczne życie.

– Harrison. Nie zapominaj. I dlaczego nazywasz Wendella trefnym aniołem? Hej! I mnie też!

– Taka jest prawda, kochanieńki. W tej chwili wy dwaj oficjalnie oszukujecie albo Niebo, albo mnie. Sam sobie wybierz prawidłową odpowiedź. A teraz pomóż mi przeanalizować zdjęcia z pałacu Anaity.

Szło nam powoli, gdyż musieliśmy przeglądać je na smartfonie Oksany. Narobiła setki fotek; kilkanaście pierwszych przedstawiało wyłącznie drogie meble (jak tłumaczyła, wydały się jej interesujące), ale potem pokazały się zdjęcia poczekalni dla gości – nie tej komnaty, w której pani domu mnie przyjęła, lecz bardziej oficjalnej, w innej części domu. Sala była wielka i urządzona ze smakiem, a ściany pokrywała niezliczona liczba fotografii, które Oksana, Boże

błogosław jej paramilitarne serduszko, niemal wszystkie skopiowała w dużym zbliżeniu. Niestety, większość wydawała się jeśli nie bezużyteczna, to przynajmniej nie od razu pomocna. Najczęściej były to pozowane zdjęcia z najróżniejszych rautów, uroczystości rozdania nagród i innych, mniej oficjalnych sytuacji publicznych. Większość twarzy była mi obca, choć Donia Sepanta najwyraźniej miała mnóstwo znajomych wśród osób ważnych i sławnych. Sfotografowała się nawet z Jonem Bon Jovim! Czy to nie najdziwaczniejsza rzecz, jaką w życiu słyszeliście? Starożytna bogini, tysiące lat temu przeobrażona w archanioła, pozuje paparazzim z gwiazdą rocka? Zapewne miało to służyć ucłowieczeniu jej wizerunku. Możliwe, że bogatych irańskich uchodźców kręci pokazywanie się w towarzystwie celebrytów i Ronalda Reagana.

– Szukamy czegoś konkretnego? – spytał Clarence.

– Myślę, że nie trzyma rogu w domu – odrzekłem. – To by nie miało sensu. Każdy, kto go szuka, tam by zaczął.

– Mówiłeś przecież, że chroni go cała armia.

– Owszem, ale pomyśl trochę. Przed kim Anaita go ukrywa?

– Przed wszystkimi. – Młody zmarszczył czoło. – To znaczy przed wszystkimi w Niebie.

– Właśnie. I dlatego nie zrobiłaby tam sobie kryjówki, nie? Tylko przed kim naprawdę musi chować róg? – Nadal myślał intensywnie. Zerknąłem na Wendella, ale przynajmniej udawał, że nie nadstawia ucha.– No, weź rusz głową. Skąd go wzięła?

– Od Eligora naturalnie.

– No widzisz. A jeśli ktokolwiek umiałby obejść ochronę albo nawet przejść przez nią, gdyby chciał, to właśnie on. Do diabła, ci popieprzenci z Czarnego Słońca wpakowali mi dzikorobaka do wozu przez zamknięte okno! Według ciebie, ile kłopotu miałby jeden z najpotężniejszych arcydemonów z przedostaniem się do Willi Anaity? Musiałaby cały czas, bez chwili odpoczynku, trzymać wszystko na najwyższym stopniu gotowości. To ci dopiero wytchnienie od stresów niebiańskiego życia... A tu w dodatku moja efora lubi się podawać za śmiertelniczkę i arystokratkę.

– No to czego szukamy?

– Nie my, tylko ty szukasz, słoneczko moje. Nie zapominaj, że siedzisz w tym ze mną po kołnierzyk. Masz ustalić, gdzie i kiedy każde zdjęcie zrobiono, i kto na nim figuruje.

– A ty co będziesz robił, Bobby? Założysz pas z dwoma wykładanymi macią perłową rewolwerami i wyczujesz Czarne Słońce na pojedynku? W samo południe na środku Centennial Avenue?

Pomysł przypadł mi do gustu, nie powiem, ale pokręciłem głową.

– Nie, z nimi rozmówię się później. Zabieram się do systematycznego przeglądu majątku Sepanty. Bo jeśli ma inne posiadłości... a jestem pewien, że niejedną... to tam zaczniemy szukać utraconego elementu poroża pana Eligora.

Pomyślałem, że może mi w tym pomóc doktor Gustibus, jako spec od życia prywatnego niebiańskich elit, nie chciałem jednak tego obwieszczać wszystkim obecnym. Już i tak mają mi za złe, że nie pracuję tak ciężko jak oni.

– Panie Dolar?

Nie przywykłem, by tak się do mnie zwracano. Gdybym znał swego ojca, pewnie bym odpowiadał: „Pan Dolar to mój tatuś”. Ale oczywiście nie znam.

– Słucham cię, Wendell.

– Otworzyłem go. Mam ich pliki. W sumie nie było to takie trudne. Żadni z nich zawodowcy w tej materii.

– Alleluja. – Zabrałem niedopite piwo i przeszedłem do biurka.

Clarence dołączył do nas, a Amazonki przejęły komórkę Oksany i zaczęły przeglądać zdjęcia, całe w ochach i achach nad kosztownym wystrojem i oczywiście nad zarejestrowanymi urządzeniami bezpieczeństwa.

– Właściwie to złamałem ich hasło już wcześniej, ale od razu rzucił mi się w oczy ten tutaj plik, *Die Beschwörung*. Był inaczej zaszyfrowany i dopiero teraz go rozkminiłem. Naprawdę powinieneś go zobaczyć.

– Bo co? Mam nadzieję, że to nie taniec bez spodni w wykonaniu Uruka „Bestii” Aryjczyka.

– Żałuję, ale nie. – Nawet po tak krótkiej znajomości widziałem, że jest wyjątkowo ponury. Kliknięciem uruchomił wideo. – Sam zobacz.

Z początku widać było tylko mroczne wnętrze jakiejś izby. Przygotowałem się na kolejne rytualne morderstwo, ale film pokazywał coś innego.

– Dobry Boże! – westchnąłem. Zaczynałem rozumieć, na co patrzę. – Ci faceci są naprawdę szaleni.

Amazonki podbiegły, by zająrzeć Wendellowi przez ramię.

– Co oni robią? – spytała Oksana.

– Może się mylę... – mruknąłem wpatrzony w drobne ciemne sylwetki zajęte ustawianiem rekwizytów i książek. – Ale wygląda mi na to, że nasi nazistowscy przyjaciele usiłują otworzyć drzwi do Piekła.

Ostatnia rzecz, którą ułożyli na podłodze – zapewne w tym samym pomieszczeniu, gdzie Łysego spotkała przedwczesna, ale chyba zasłużona śmierć – była nie większa od przeciętnego spaniela. Nie był to jednak pies, lecz dziecko. Słyszeliśmy jego kwilenie – ochryply, urywany szloch niemowlęcia, które już długo płakało.

– Nie mogę patrzeć. – Halina odwróciła się plecami do ekranu.

Chciałbym zrobić to samo, ale patrzyłem dalej. Jedna z postaci w długich szatach zapaliła ogień na pokrywie od pojemnika na śmieci. Nikt z nas się nie odzywał; zareagowaliśmy jedynie zduszonymi okrzykami, kiedy błysnął nóż, a potem bezsilnymi wyrazami zgrozy i odrazy, gdy jeden z zamaskowanych mężczyzn poderżnął dziecku gardło i prysnął krwią w płomienie.

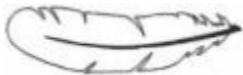
Och, jak bardzo teraz chciałem pozabijać wszystkich nazistowskich skurwysynów! Żałowałem, że nie poszedłem tam owinięty w C4 i nie wysadziłem całej zgrai w powietrze, choćbym miał tam zginąć razem z nimi. Nie zrobiłem tego jednak, bo brałem ich za zwykłych zbirów. Mój błąd.

Obejrzałem więc ich nędzny amatorski wideoklip do końca.

Dalej było już tylko gorzej.

Dwadzieścia trzy

Cień pływający w świetle



To było niesamowite uczucie, widzieć na ekranie laptopa jak przez lufcik. Zupełnie, jakbyśmy podglądali ich na bieżąco, jak dzieciaki przez dziurkę od klucza szpiegujące dziwne zajęcia dorosłych.

– To straszne – jęknęła Oksana.

Niemowlę przestało się ruszać. Któryś z oprawców cisnął martwe ciało w kąt jak pusty worek.

– Kim są ci ludzie? – spytał Wendell.

– To porąbani neofaszyści – wyjaśniłem. – Ale najwyraźniej ich ambicje sięgają wyżej niż punktualność biegu pociągów. Od tygodni mnie obserwowali. Myślą, że znam miejsce ukrycia rogu Eligora.

– Czy naprawdę mówimy o tym Eligorze? – upewnił się Wendell. – Arcyksięciu Piekła?

– Ty go znasz? – zdziwił się Clarence. Na pewno myślał, że tylko takie zwariowane anioły jak ja maczają palce w podobnych aferach.

– Ze słyszenia. Tak samo jak każdy amerykański żołnierz wiedział, kim są Goering i Himmler. To jeden z najgorszych diabłów.

– Wendell przeniósł wzrok na mnie. – A po co im ten róg?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyłem ramionami. – Niewykluczone, że pracują dla Eligora, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby się zadawał z takimi kretynami. Jest na to za sprytny.

– A ty rzeczywiście masz ten róg albo wiesz, gdzie jest? – Wendell nie spuszczał ze mnie oczu, jakby żądał wyjaśnienia, co anioł może mieć wspólnego z czymś takim.

– Nie, ale mam własne powody, by go szukać. Dobre powody – zapewniłem urażony jego podejrzliwością.

Clarence nachylił się do niego i teatralnym szeptem wyjaśnił:

– Kobieta, rozumiesz.

– To nie jest takie proste, jak się wam wydaje, do cholery! – wybuchnąłem. – Możecie mi jednak wierzyć, że to się wiąże ze wszystkim, co się tu ostatnio dzieje, a ja działam z pobudek jak najbardziej honorowych. A już na pewno co najmniej tak samo nie chcę, żeby róg wpadł w łapy tych szaleńców, jak sam pragnę go zdobyć.

– Co oni tam teraz robią? – spytała Oksana. – Cały ekran ciemny.

Spojrzałem na laptop. Obraz rzeczywiście zrobił się czarny, jakby film dobiegł końca, ale po chwili znów coś się pojawiło.

Z początku była to tylko plama żółtego światła pulsująca w wolnym rytmie wokół dymiącego paleniska. Krwawy dym, uzmysłowiłem sobie. Z palonej krwi niewiniątka. Potem jednak zaczęła rosnąć, obracać się w coś w rodzaju mgły i unosić grubym

słupem w powietrze. W pewnej chwili spostrzegłem, że u jego podstawy, tam gdzie płonął ogień, czernieje jakaś skulona sylwetka, ledwo muskana przez otaczający blask, zniekształcona, falująca, jakby filmowana pod wodą czy na innej planecie z ciśnieniem atmosferycznym tysiącokrotnie większym od ziemskiego. Światło wznosiło się i pęczniało w masywną okrągłą kolumnę niezdrowych waporów.

Skulona postać była ogromna i spowita cieniem. Nie mogłem rozpoznać kształtu, ale u szczytu tej góry mroku jaśniały dwie wąskie szpary oczu. Potem rozwarła się gęba.

– Kto mnie wzywa? – padły słowa twarde i chropawe, jakby ktoś wrzucił do betoniarki szuflę gruzu z odpadkami.

Znałem ten głos.

Halina wróciła, zwabiona tyleż naszymi zaszokowanymi minami, ile tym okropnym dźwiękiem.

– A więc to ty, tłusty sukinsynu – wycodziłem.

Na ekranie pojawił się Baldur von Reinmann. Ukłękł przy słupie żółci, mały jak karzeł wobec tego czarnego olbrzyma.

– Sitri, o wielki księżę, zwany też Bitru, Panem Tajemnic! To my cię wzywamy! My cię wiążemy, abyś pozostając w naszym kręgu, nie wyrządził nikomu krzywdy!

– Wybaczcie, że sobie zaklnę – zwróciłem się do towarzyszy. – Niech mnie chudy byk przerznie w tę i nazad! Nie mogę uwierzyć, że nawet oni mogą być tak durni, żeby wchodzić w układy z Sitrim!

Gorszych od niego diabłów już chyba nie ma.

Sylwetka w świetle nagle się zmieniła: tu i ówdzie rozciągnęła, gdzie indziej skurczyła. Dalej pozostała czarna, lecz łatwiej teraz było ją określić: nabrała ludzkiego kształtu, ale z wielkimi sokolimi skrzydłami i kocią twarzą.

– I czego się po mnie spodziewacie? – spytał Sitri, nie kryjąc rozbawienia.

– Pomocy w obaleniu niewiernych kundli! W zaprowadzeniu na Ziemi epoki czystości i mocy dla tych, którzy na nią prawdziwie zasługują!

Głos von Reinmanna wyraźnie drżał. Facet był wstrząśnięty własnym sukcesem. Mogłem go nienawidzić, ale nie winięm za okazywany strach. Zorganizować seans satanistyczny i wywołać takiego demona jak Sitri, to jak zastawić pułapkę na myszy i stwierdzić, że złapał się w nią niedźwiedź grizzly.

– A czy w zamian coś dla mnie zrobicie? – Głos zadudnił tak samo jak przedtem, lecz postać się znów zmieniła; przypominała teraz rosochate drzewo z ludzkimi dłońmi i ognistymi oczami.

Zanim Baldur zdołał cokolwiek wydusić w odpowiedzi, Sitri ponownie się przeobraził, tym razem w rozmyty cień ogromnego krzesła.

Wódz neonazistów patrzył na niego jak w transie.

– Oczywiście, panie – wydukał. – Oczywiście, o wielki Sitri! Cokolwiek zechcesz. Czynisz nam zaszczyt takim zaufaniem.

Wielki książę obrócił się w kamienną kolumnę.

– Czynień wam zaszczyt taką powściągliwością! – odparł – Jedno moje słowo, a wasze dusze podarte na pasy zawisną przybite na wrotach ciemności. Nie zapominajcie o tym. – Tym razem zmiana była bardziej konwulsyjna, a gdy się dokonała, cień pływał w słupie światła jak olbrzymi mackowaty stwór morski, coś pośredniego między meduzą i kałamarnicą. – Odnajdziecie to, czego pragnę, i przyniesiecie mi. Do pomocy dam wam władzę nad trójką moich sług: Koszmarnymi Dziećmi, Bezkostnikami i najstraszniejszym ze wszystkich... – Głos zamilkł nagle. Długą chwilę nic się nie poruszyło poza paroma długimi wypustkami falującymi jak na niewidzialnym nurcie. Potem demon raptownie się przemienił w kształt zbyt długi, zbyt kanciasty i wieloręki, by się zmieścić w żółtej kolumnie. Wyglądał teraz jak strach na wróble sklecony z mioteł lub długich, cienkich kości. – Co to jest? – zagrzemiał jeszcze zimniej i groźniej. – Co robi to stworzenie?

Von Reinmann spojrział we wskazanym kierunku.

– On... nagrywa to historyczne spotkanie, o wielki książę! Na chwałę Czarnego Słońca.

– Nie.

W następnej chwili z kolumny światła wystrzelił snop głębokiej czerni, prosto w obiektyw kamery. Wszyscy równocześnie się wzdrygnęliśmy. Halina, która opierała się na moim ramieniu, omal nie upadła na tyłek. Ekran pociemniał. Film dobiegł końca.

Długo patrzyliśmy to na martwy laptop, to po sobie.

Pierwszy odezwał się Clarence.

– Chyba zwymiotuję – wychrypiał i zataczając się, poszedł do łazienki.

– I to jest twój przeciwnik? – spytał Wendell, blady jak nieboszczyk. Wyglądał tak, jak ja się czułem.

– Między innymi. – Obejrzałem się, czy nie trzeba pomóc Halinie, ale obie dziewczyny siedziały już na kanapie i coś między sobą niespokojnie szeptały. – Tylko szczerze mówiąc, wątpię, abym cokolwiek obchodził księcia Sitriego. On chce zniszczyć Eligora. Nienawidzą się nawzajem. Jeżeli ten róg trafi na giełdę, Eligor mocno podpadnie całej piekielnej arystokracji, zatem Sitriemu zależy na jego zdobyciu.

– Ale dlaczego? – Wendell zamknął laptop. – O co chodzi z tym rogiem? Skąd się w ogóle wziął w obiegu?

– Lepiej zrób sobie kawy. Nawet Harrison nie wie wszystkiego. A kiedy poznasz całą prawdę, będziesz mógł jeszcze raz przemyśleć, czy chcesz się w to pakować. Jako się rzekło, niektórzy z graczy to bardzo wredne postacie.

– To mnie nie obchodzi, choćby był wśród nich i sam Przeciwnik. Ich po prostu trzeba powstrzymać.

– Mówisz o Czarnym Słońcu? Tak, z radością ich wyeliminuję, jeśli nadarzy się okazja. Ale to nie oni się tu liczą.

Bo chociaż nigdy nie będę umiał tego nikomu wytłumaczyć, jedyną rzeczą, która liczyła się naprawdę, było odzyskanie Caz.

Ważnie między demonami, nazistowscy dzieciobójcy, anielskie wendety – wszystko to nie miałyby najmniejszego znaczenia, jeżeli nie zdołam jej uratować.

„Ja też to czuję, od samego początku”, przyznała w końcu. I tylko to było dla mnie ważne.

Gdy już wszystko im wyłożyłem, Wendell i Clarence wydawali się tak przytłoczeni ogromem sprawy, że wyposażywszy ich w dwa nowe, nienamierzalne telefony, odesłałem ich do domu. Wyglądali, jakby właśnie przeżyli strzelaninę, co mnie specjalnie nie dziwiło. Człowiek się nieraz przekonuje, że za kulisami coś wygląda inaczej, niż sądził, ale odsłonić kurtynę i zobaczyć, że prawda jest bardziej popieprzona niż cały dom wariatów, to zupełnie inna melodia. Wszyscy, nie wyłączając aniołów, żyjemy w przekonaniu, że rzeczywistość jest całkiem bezpieczna, świat znany i oswojony, a większość problemów da się pokonać dzięki zwykłej determinacji, ciężkiej pracy i – jeśli mamy skłonność do sentymentalizmu – dobrym intencjom. Tak dobrze jednak nie ma, a przypomnienie o tym bywa bolesne.

Amazonki zamknęły się w sypialni jeszcze przed odejściem aniołów. Gdy dobiegły stamtąd pierwsze znajome odgłosy, pomyślałem, że jak zwykle czerpią pociechę z bliskości cielesnej, wkrótce jednak się zorientowałem, że tak wprawdzie jest, lecz na inny sposób, niż sądziłem: zrobiły sobie sparing. Na którymś etapie musiały przejść na broń białą; mieszkanie wypełnił szcęk stali uderzającej o stal. Nasi sąsiedzi nawet nie wiedzą, jakie mieli szczęście, gdy Caz zleciła zaprojektowanie grubych betonowych

ścian.

Zbliżała się północ, a ja byłem wykończony po jednym z najdłuższych dni, jakie przeżyłem poza Piekłem, ale zostało mi jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Nie chciałem czekać, aż Tłuscioch wróci do wersji z ludzkim umysłem, ale skoro już się potwierdziło, że Donia Sepanta to wcielenie Anaity, potrzebne mi były nowe informacje. Musiałem zwłaszcza dowiedzieć się więcej o dzikorobakach, przynajmniej zaś o metodach ich uśmiercania. Jeszcze mi brzmiały w uszach złowieszcze słowa wielkiego księcia Sitriego: „Dam wam władzę nad trójką sług”. Swastykoszmarki poznałem już lepiej, niżbym sobie życzył, ale dzikorobaki, czy też bezkostniki, jak je nazwał, okazały się znacznie groźniejsze. Wolałem nawet nie zgadywać, jaki może być ten trzeci sługa, mogłem jednak spokojnie założyć, że jeszcze gorszy – i chciałem być przygotowany.

Ku memu przyjemnemu zaskoczeniu telefon odebrał stary Javier. Powiedział mi, że George jest już z powrotem w mieście i po kuracji czuje się znacznie lepiej. Potwierdził, że da mi się dodzwonić na pocztę głosową, zaznaczył jednak, że gdybym poczekał pół godzinki, to mógłbym porozmawiać bezpośrednio z szefem.

Byłem po prostu zbyt zmęczony. Nagrałem wiadomość dla George'a, a potem, pchnięty impulsem, zatelefonowałem do Gustibusa. Odebrała jedna z prawosławnych zakonnicy; poinformowała mnie, że gospodarz już spoczywa (co przyjąłem do wiadomości z nadzieją, że chodzi tylko o spoczynek nocny). Poprosiłem, by do mnie oddzwonił, i podałem numer jednej z nowych komórek.

Teraz już oczy kleiły mi się na dobre, zarazem czułem jakiś szarpiący niepokój, od którego zachciało mi się drinka. To jedna z cech gorzały, która sprawia, że wciąż do niej wracam jak facet, który nie potrafi odejść od kobiety ciągle łamiącej mu serce: knebluje mi mózg wtedy, gdy nic innego nie skutkuje. Solidna szklaneczka lub dwie na tyle potrafi wytłumić mi nerwy, że mogę zasnąć w podłe noce, gdy tylko sen może mi pomóc.

To nie wymówka. Stop, orkiestra: owszem, to jest wymówka. Tak, piję więcej, niż powinienem, i gdybym nie miał podrasowanego ciała zdolnego zaleczyć głęboką ranę w dwadzieścia cztery godziny lub szybciej, moja wątroba zapeklowana w formalinie już dawno wylądowałyby w jakimś muzeum medycznym obok słynnego narządu Rasputina i pokrajanego w plastry mózgu Einsteina.

Wyciągnąłem się na kanapie z zamiarem obejrzenia wiadomości sportowych albo czegoś innego, co pomogłoby wyłączyć te części mojej makówki, do których nie dotarł alkohol. Halina wyszła z sypialni w skarpetkach, narzuciła dres i wyszła na dwór zapalić. Właśnie dochodziłem do wniosku, że futbol akademicki jest drugą najbardziej przegadaną dziedziną sportu na świecie – po golfie, ma się rozumieć, który pozostaje bezkonkurencyjny – kiedy wróciła z bardzo dziwną miną.

– Znasz się na nietoperzach? – spytała.

– Nietoperzach? – Trochę potrwało, zanim zmieniłem bieg. – Masz na myśli takie fruujące myszowate futrzaki?

– Tak. To znasz się na nich?

– Coś niecoś wiem. Czemu pytasz? Widziałeś jakiegoś? – Pomyślałem, że znalazła zranione lub chore zwierzę, i już miałem wygłosić ostrzeżenie o zagrożeniu wścieklizną, zorientowałem się jednak, że musi chodzić o coś innego. – Co się dzieje?

– Bo... coś takiego siedzi na płocie.

Całe dwie sekundy nie docierało do mnie, co dziewczyna mówi, jakby jej ukraińska angielszczyzna zleciała na jakiś absurdalny poziom słownictwa – i nagle zdałem sobie sprawę w czym rzecz. Zerwałem się na równe nogi i rzuciłem do drzwi, omal jej nie potracając w pośpiechu. Halina podążyła za mną na podwórze.

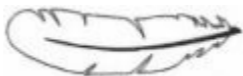
– O tam, widzisz? – szepnęła nerwowo. – Wisi na płocie.

Nie myliła się. Coś tam rzeczywiście wisiało i przypominało pocziwego gacka, jeśli pominąć, że jedno skrzydło miało znacznie większe od drugiego, tułów zaś wyglądał bardziej jak wielki ślimak bez skorupy, ale wystawały z niego liczne futrzaste łapki. Gdy podszedłem, stwór obrócił głowę o sto osiemdziesiąt stopni, pyszczkiem do mnie. Wyglądał trochę jak jeden z tych ssaków nadrzewnych, lori czy coś w tym guście, tylko że one raczej nie mają grud śluzu zamiast ciała i cyklopiego oka pośrodku głowy.

– Jesteś najbardziej upartym, denerwującym, samolubnym facetem, jakiego w życiu spotkałam – powiedział głosem, w którym od razu, mimo zniekształceń powstałych w demonim gardle, rozpoznałem Caz. – A pamiętaj, że spędziłam wieki w Piekło, więc zdążyłam takich poznać wielu. Aha, czy wspomniałam już o twojej kretyńsko rozdętej ocenie własnych możliwości?

– To do mnie – powiedziałem Halinie. – Między miastowa.

Interludium (via nizzak)



Jesteś najbardziej upartym, denerwującym, samolubnym facetem, jakiego w życiu spotkałam. A pamiętaj, że spędziłam wieki w Piekło, więc zdążyłam takich poznać wielu. Aha, czy wspomniałam już o twojej kretyńsko rozdętej ocenie własnych możliwości? Poza tym jesteś bardzo niedobry dla nizzaków. Ten, którego przeprogramowałeś, że użyję tego nowoczesnego określenia, jest już na nic. Całymi dniami przesiaduje nad płomieniem świecy, dygocze i jęczy. Gdybyś czuł potrzebę odpowiedzi... bo oczywiście tak będzie. Czy ty kiedykolwiek umiałeś się zamknąć, choćby dla własnego dobra?... możesz po prostu spalić mu pod nosem trochę białej kamfory, a będzie gotowy przyjąć nową wiadomość. Proszę, nie rób mu tego, co poprzedniemu. Nie masz pojęcia, jak trudno mi je znajdować i wysyłać do ciebie. A teraz najważniejsze. Bobby, nie możesz mnie stąd wydostać. Nawet o tym nie myśl. Ostatnim razem miałeś stuprocentowe, niewyobrażalne szczęście, a i tak ledwo sam zdołałeś wrócić do swojego świata. Eligor czegoś od ciebie chciał, dlatego przeżyłeś. To się dwa razy nie zdarza. Mówię poważnie. Niczego nie rób. Daj sobie spokój. Między nami i tak by się nie ułożyło. W realnym życiu rok by nie minął, zanim albo ty byś mnie porzucił, albo ja bym cię przegnała na cztery wiatry. Za bardzo się różnimy... i nie chodzi tu tylko o różnice typu Niebo a Piekło. Dbaj

o siebie, mój ty uparty, okropny, cudowny mężczyzno.

Oto, co jej nagrałem w odpowiedzi.

– Czy w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię, ty rozlazła kreaturo z krzywymi skrzydłami? To siadaj prosto, wciągaj kamforę i zrób minę, jakbyś słuchał, bo inaczej zaliczysz nockę w pudle jak twój poprzednik... Przepraszam, nie wiedziałem, że drań już nagrywa. Hej, Caz. Dostałem twoją wiadomość dwie godziny temu. Masz ty, dziewczyno, pojęcie, jak trudno jest znaleźć po północy białą kamforę, nawet w centrum Jude? Dopiero teraz trafiłem do czynnego całą dobę hinduskiego spożywczaka, w którym ją mieli. Co przez to rozumiesz, że między nami i tak by się nie ułożyło? Naprawdę sądzisz, że lubię być tym, kim jestem, i żyć moim obecnym życiem? Dla ciebie poszedłem do Piekła. Myślisz, że nie mógłbym się nauczyć zmywać po kolacji i trzymać dziób na kłódkę, kiedy ty oglądasz te durne reality show, które tak uwielbiasz, a ja ich nie znoszę? Nie twierdzę, że jestem ideałem. Pewnie dałoby się jeszcze coś we mnie ulepszyć. Wyobraź sobie, że ostatnio moim celem numer jeden jest starać się żyć jak każdy szary zapracowany dupek z przedmieścia. Nie żartuję, Caz. Wcale nie. Oddałbym skrzydła i aureolę... no dobra, nie mam ani jednego, ani drugiego, ale wiesz, o co mi chodzi... za to, by móc leżeć z tobą w łóżku cały dzień, kochać się i czytać niedzielną gazetę (jeżeli ktoś jeszcze coś takiego drukuje). Moi szefowie mogą mi gadać o tysiącach dusz, które nie pójdą do nieba, jeśli rzucę robotę, a ja im na to: Tak, przykra sprawa. Czek z odprawą przyślijcie mi na adres domowy, bo co najmniej przez miesiąc nie wyjdę z łóżka. Caz, poważnie, nie myślisz, że warto dać nam szansę?

Tylko ty i ja, para zwykłych nudnych ludzi? Żeby móc pójść na imprezę i nie martwić się, że jakiś prastary demon ze Starego Świata wyskoczy z sałatki i nas zakatrupi? Wyjechać na wakacje bez obawy, że gdy tylko odejdziemy od biurka, wybuchnie apokalipsa? Byłbym szczęśliwy, mogąc spędzać całe lata na całowaniu cię od stóp do głów i z powrotem. Nie przesadzam. Cały czas marzę o tobie. Pragnę lizać, kąsać, ssać każdy cal twojego zimnego ciała. Zimnego z zewnątrz, ale och, jak gorącego w środku! Nie waż się spisać mnie na straty, kobieto. Ani mi się waż!

Dwadzieścia cztery

Świniołacze niepokoje



Nie chciałbym wyjść na malkontenta (choć po prawdzie nim jestem), ale kiedy stawiałem pierwsze kroki w zawodzie anioła, spodziewałem się raczej dużych dawek utworów na harfy i trąby, puszystych chmurek i brukowanych złotem ulic niż pocztówek dźwiękowych od ukochanej z Piekła i telefonów o szóstej rano od wystraszonych świń.

Komórka zadzwoniła nawet wcześniej, gdzieś koło piątej dwadzieścia. Zdołałem rozewrzeć powieki na tyle, by zidentyfikować numer.

– O, George. Witaj w mieście – wychrypiałem zaspany.

Nawet w najlepszej formie nie jestem rannym ptaszkiem.

– Bobby, ktoś mnie zhakował. To znaczy obrobił. Ktoś musiał mi się włamać do domu.

– O czym ty mówisz?

– Wróciliśmy wczoraj. Pod naszą nieobecność posesją opiekował się wnuk Javiera, ale mimo wyraźnego zakazu smarkacz wyszedł sobie na jeden wieczór. No i ktoś mi grzebał w rzeczach.

– Czekaj, przystopuj trochę. W jakich rzeczach.

– W komputerach, poczcie głosowej... tam było to wszystko od ciebie, Bobby.

– Kurde, nie rób sobie jaj! Cała nasza korespondencja, mejle? – To była katastrofa na wielką skalę. Pracuję z George’em od lat, a tylko połowa z naszych interesów była legalna (z punktu widzenia Nieba), że już nie wspomnę o wszystkim, co się działo przez ostatni rok.

– Nie, nie cała – poprawił spieszenie Tłuścioch. – Aż taki głupi nie jestem. Twarde dyski zabrałem ze sobą. Ale haker miał dostęp do tego, co przychodziło podczas mojego urlopu, bo cała poczta szła z kopiami do systemu domowego. Włącznie z twoimi wiadomościami głosowymi, Bobby. Chciałem mieć pewność, że nic się nie zgubi. Przykro mi, stary. – Ucichł na chwilę. – Sprawdziłem chyba wszystko. Nie powiem na sto procent, ale raczej nie dostali niczego, co by im pozwoliło wdrzeć się do mojej głównej bazy danych.

Nawet jeśli włamywacze zabrali tylko materiał z ostatnich paru tygodni, skutki mogły być tragiczne: było tam nazwisko Doni Sepanty i tona informacji na jej temat, nie wspominając o Czarnym Słońcu i paru innych rzeczach. Czy hakerzy działali na zlecenie Anaity? Chybabym wolał, żeby tak było, bo niczego z tych danych i tak nie mogłaby użyć przeciwko mnie, nie narażając się przy tym na kłopotliwe pytania ze strony pozostałych eforów i władz niebieskich. Bardziej prawdopodobne było jednak, że to neonazistowska ferajna usiłowała się dowiedzieć, co wiem na temat rogu.

– Opowiedz dokładnie, co się stało – poprosiłem.

Powiedział, że Javier odkrył już ślady opon, prawdopodobnie jeepa lub landrovera, wiodące na posesję z nieużywanej drogi pożarowej. Wyglądało na to, że złoczyńcy odczekali, aż będą mieli czyste pole działania – to znaczy, aż wnuk Javiera oleje przydzielone mu zadanie i pojedzie z kumplami na koncert jakiejś grupy w klubie „Catalyst” w Santa Cruz, pozostawiając ranczo bez nadzoru – i dokonali szybkiego włamu.

– Zabrali coś jeszcze? Forse, kosztowności, może coś niezwykłego?

– Nic. Tylko informacje.

– Zawiadomiłeś policję?

– A na kiedy miałem ich zaprosić? – George zaśmiał się niewesoło. – Na środek nocy, gdy jestem wielkim knurem? Czy raczej w godzinach urzędowych, kiedy taplam się w gnoju jako człowiek ze świńskim mózgiem? Bobby, w mojej rodzinie nigdy nie wzywa się policji.

George zaczynał czuć nadchodzący świt. Zapewniłem go, że wpadnę, gdy tylko będę mógł; nie dlatego, żebym spodziewał się tam cokolwiek znaleźć, ale zwyczajnie pod wpływem wyrzutów sumienia. To nie jego wina, że najpierw zaczęło u niego straszyć, a teraz naruszono jego prywatność we własnym domu, tylko moja. Był na tyle uprzejmy, by tego nie podkreślić, czułem się jednak w obowiązku chociaż go odwiedzić.

– Tylko wiesz, w tej chwili nie mam samochodu, więc to może

potrwać parę dni.

– A co się stało z twoim autkiem?

W tych okolicznościach wiadomość, że zostało skasowane, bo ci sami ludzie, którzy go okradli, napuścili na mnie zębatego ślimaka giganta, raczej by mu nie dodała ducha, odrzekłem więc, że musiałem je oddać do naprawy.

Czego na pewno się nie spodziewałem po anielskim fachu, to że aż tak często przyjdzie mi kłamać. Całe szczęście, że jestem w tym dobry.

Po rozmowie usiłowałem się przespać, ale udało mi się wyłączyć może na godzinę, zanim zrobiła się dziewiąta i Amazonki wyrwały mnie z drzemki na śniadanie. Wyszły do najbliższego fast foodu i przyniosły porcję czystego szaleństwa o nazwie „Śniadaniowe Taco” i torebkę mocno nasączonych olejem „Porannych Ziemniaczków”. Nawet to zjadłem, a potem udawałem, że nie muszę od razu zasuwać do kibla na recykling. Dziewczyny chciały dobrze, jednak nie nauczyły się jeszcze, że w amerykańskiej krainie kulinarnego bogactwa załęgły się takie potworności, jakich ród ludzki w założeniu wcale nie miał doświadczać. Zwłaszcza bladym światem.

Na zdjęciach Oksany nie zauważyłem nic wartego uwagi, poleciłem jej więc wysłać cały komplet Clarence’owi do dalszej analizy. Później, kiedy już śniadanko przeszło newralgiczną fazę procesu trawienego i wiedziałem, że mogę bezpiecznie wyjść z domu, wybrałem się do nieoficjalnego salonu samochodoworusznikarskiego Orbana. Odszedłszy daleko poza nasz kompleks

bloków, zamówiłem taksówkę na róg University Avenue i pomaszerowałem tam piechotą.

Wizyta u Madziara była konieczna, bo moim problemem numer jeden (wśród paruset innych) był brak samochodu. Wynajem pod własnym nazwiskiem nie wchodził w grę, ponieważ nazbyt często zdarza mi się je rozbijać. Niecelowo, naturalnie; tak po prostu samo wychodzi. Może już to zauważyliście. Co dziwne i niesprawiedliwe, wypożyczalnie przechowują takie dane i żeby dostać tego chryslera, którym pojechaliśmy do willi Anaity, musiałem się posłużyć jedną z fałszywych tożsamości – a nie chciałem tego robić zbyt często.

Poza tym z samochodami, za które nie zapłaciłem, postępuję odrobinę ostrożniej, a czasem nawet pół sekundy wahania może przynieść kłopoty. Kiedyś rozjechałem jakiegoś sześcioroga wozem należącym do kolesia z Harfy (jeszcze za czasów mojej służby w Kontrataku). Ocaliłem życie nam obu, ale i tak wymusił na mnie pokrycie kosztów remontu. Nie było innego wyjścia: musiałem wydębić od Orbana inne auto, ale zmartwienia mi od tego nie ubyło. Rozplanowałem już cały budżet uzyskany z prehandlowania matadora; gotówki zostało mi jeszcze sporo, ale znaczną część miały pochłonąć zakupy rzeczy robiących pif-paf i bum-bum. Na brum-brum już nie bardzo mogłem sobie pozwolić. Tylko jak inaczej miałbym walczyć z neonazistami i potężnymi archaniołami? Nie da się tego robić, korzystając wyłącznie z transportu publicznego.

Kiedy dotarłem na umówione miejsce, taksówka już czekała. Szofer, brodaty okularnik, wyglądał trochę na prymitywa, jakiego można spotkać w każdym barze, zazwyczaj głośno wyjaśniającego,

dlatego nikt prócz niego nie ma racji; mnie to jednak nie przeszkadzało, byle tylko nie zechciał wszczynać dyskusji o polityce libertariańskiej. Pierwszą część trasy wykorzystałem na studiowanie instrukcji obsługi nowego smartfona. Szło mi niesporo; jak może pamiętać, była w wersji serbsko-chorwackiej, a moja znajomość tego języka pozostawiała wiele do życzenia.

– Ładny dzień, co? – zagadnął taksówkarz. Ponieważ było szaro, zimno i dżdżyście, nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli, ale skinąłem uprzejmie głową. – Znaczy się mogłoby być gorzej, co nie?

Jak na mój gust gorzej mogłoby być tylko wtedy, gdyby się okazało, że gość wozi w bagażniku dzikorobaka, nie chciało mi się jednak rozwijać tematu.

– Ano, pewnie by mogło – zgodziłem się.

– Bo ja zawsze staram się o tym pamiętać. Wiesz pan, na przykład mógłbym siedzieć w piekle albo co.

Zesztywniałem. Zerknąłem na jego twarz w lusterku wstecznym, ale gość z tępą miną żuł wykałaczkę i patrzył na auta śmigające przecnicą, staliśmy bowiem akurat na czerwonym świetle.

– Spędza to panu sen z powiek? – spytałem.

– Nie za bardzo. Ale lepiej nie zapominać. Wiesz pan, niektórzy to nawet nie wiedzą, że im dobrze. Rozumiesz pan, o co mi się rozchodzi? Nigdy nie wiadomo, co może być. I dopiero po wszystkim się okazuje, kto był prawdziwym kumplem, nie? Albo wrogiem.

Teraz już poczułem się nieswojo, choć zdecydowanie nie była to najdziwniejsza rozmowa, jaką w życiu prowadziłem z taryfiarzem. Na wszelki wypadek przesunąłem się tak, by w razie czego łatwiej mi było wyciągnąć spluwę. Belgijską efenkę szlag trafił w pożarze auta, ale wciąż miałem poczciwego smith & wessona – moją kanapówkę, chwilowo awansowaną do służby liniowej. Trochę mnie to przygnębiało; nie pamiętałem już, kiedy ostatnio gdzieś się wybrałem nieuzbrojony.

Wjechaliśmy na Bayshore i ruszyliśmy na północ, w stronę Pirsów Solnych i fabryczki Orbana. Już się prawie uspokoiłem, kiedy kierowca zniecka spytał:

– Na pewno właśnie tam chcesz pan jechać?

– Na pewno, a bo co?

– Tak tylko pytam. Bo to takie miejsce... Znaczy się, ludzie pewnie tam pana znają, znaczy, wiedzą, że pan tam bywasz. No to inni ludzie mogą je obserwować.

Delikatnie przyłożyłem mu lufę do karku.

– Nie podobasz mi się, koleś – wycedziłem. – Chyba lepiej będzie, jak przy następnej okazji zjedziesz z autostrady.

Nie wyglądał na zdenerwowanego. Być może nie byłem pierwszym pasażerem, który tak zareagował. Łagodnym łukiem przejechał na prawy pas. Zjechaliśmy w Marsh Road, kierując się na skraj rezerwatu Baylands. Zanim jednak na dobre opuściliśmy cywilizację, kazałem mu stanąć przy opuszczonym zakładzie (prawdopodobnie cementowni) – ponurym szarym bloku za płotem z

drutu kolczastego. W ten paskudny dzień wyglądało to tak, że nie zdziwiłbym się, gdyby mieścił się tam obóz koncentracyjny. Zatrzymawszy wóz, kierowca siedział bez ruchu. Mądra postawa.

– Nie chciałem cię zastrzelić – powiedziałem. – Taki już jestem. Spokojny, miły, ciekawy bliźnich. Jeśli jednak nie wyjaśnisz mi zaraz tej dziwacznej gadki, to niewykluczone, że się do tego zmuszę i wrzucę ci parę kulek, zaczynając od miejsc neutralnych, a kończąc na „o Boże, tylko nie tam!”. Czy mówię zrozumiale?

– Jak najbardziej. Chyba się uczę.

– W takim razie o czym ty, do cholery, mówiłeś, człowieku? Bo na razie nie tylko niczego się nie nauczysz, ale możesz stracić całą dotychczasową wiedzę razem z makówką. Ta pukawka jest nabita pociskami rozpryskowymi kaliber trzydzieści osiem.

– Zawsze podziwiałem, jak świetnie to robisz – usłyszałem w odpowiedzi. – Chyba dużo ćwiczysz?

– Gadaj! I bez ściemy!

– Naprawdę mnie nie poznajesz? – W jego głosie brzmiało podniecenie.

Nagle zrozumiałem, co się dzieje.

– Temuel?

– Chyba należało zagaić coś o sporcie. Czyż nie tym ci ludzie żyją? Tylko że nie znam się na tym i na pewno bym coś źle powiedział.

– Co szef tu robi, do diabła? Jeśli wolno spytać. Bo właśnie

wyprowadził mnie szef z równowagi i już chciałem szefa przeświadczyć kolbą!

– O, właśnie. Uwielbiam te odzywki. Brzmiały tak autentycznie! To można święcić pistoletem?

Osunąłem się plecami na oparcie. Tak, wiem – nie miałem stuprocentowej pewności, że to naprawdę mój archanioł przełożony, a nie jakiś wyjątkowo cwany i dobrze poinformowany demon; ale czy którykolwiek z nich umiałby zgrywać tak lamusowatego dupka?

– Czemu szef uznał za stosowne mi się objawić?

– Pomyślałem sobie, że pora zamienić kilka słów. Dzieją się pewne bardzo niepokojące rzeczy i...

– Chwileczkę. A czemu to pan prowadzi taksówkę, którą zamówiłem? Jak to się stało?

– Proszę cię, Bobby, trochę więcej wiary w przełożonych. Naprawdę sądzisz, że archanioł nie dałby rady załatwić sobie czegoś tak prozaicznego jak samochód z taksometrem, gdyby był mu potrzebny?

– Szefie, miało być bez ściemy. Skąd pan wiedział, że dzwoniłem po taryfę? – Nie było odpowiedzi. Uchwyciłem w lusterku jego oczy, ale zaraz odwrócił wzrok. Przysięgłbym jednak, że dostrzegłem w nich coś jakby wstyd. – A mówił pan, że zdemontował wszystkie pluskwy w mojej komórce! – Czemu właściwie mnie to gniewało, nie wiem. Czego niby się spodziewałem? Cały czas mnie namierzali, a ja wpadłem na to dopiero wtedy, gdy Clarence zjawił się w parku Shoreline, choć znikąd nie mógł wiedzieć, że tam właśnie jesteśmy z

Samem. – Oddał mi pan telefon i zapewniał, że jest czysty. Że wszystko jest wyjęte!

– Bo tak było! – obruszył się Temuel. – Klnę się na Najwyższego, że wymontowałem lub powyłączałem każde urządzenie inwigilacyjne.

– Aha, akurat... – zacząłem, gdy nagle pojąłem, że Muł może nie kłamać. Przecież już tamtego aparatu nie używałem; w kieszeni miałem nowiutkiego czystego smartfona od Cubby. – No dobra... to skąd pan wiedział?

– Nie mogę powiedzieć. Musisz mi zaufać.

– Przepraszam, czy to występ kabaretowy? Do diabła, szef mi po prostu powie, co tu jest grane!

– Nie mów do mnie w ten sposób.

W tych cichych słowach zabrzmiało coś, czego nigdy jeszcze u Muła nie słyszałem: stalowa twardość, a może i zimny, nieugięty gniew. Przypomniało mi to, że kimkolwiek się czasem wydaje, Temuel jest jednak archaniołem Pana – a ja tu go traktuję jak chłystka z ulicy.

– Wybacz mi, panie. Ostatnio żyję w ciągłym stresie. I mam już po uszy tajemnic.

– Uwierz mi, Bobby, ja tylko staram się zapewnić ci bezpieczeństwo. Chcę wiedzieć, gdzie się obracasz, na wypadek gdybym musiał ci pomóc. Tak jak teraz.

– Szef może i jest bardzo dobrym archaniołem – mruknąłem

znów naburmuszony, lecz już się pilnowałem, by nie przeciągnąć struny – ale kłamacą fatalnym. Założę się, że to zapewnianie mi bezpieczeństwa ma coś wspólnego z kryciem własnego, hmm, zaplecza.

Kolejne spojrzenie pełne zakłopotania, jakbym go przyłapał na wyjadaniu deseru z lodówki. Byłoby to milusie, gdyby gra nie szła o moją duszę i zdrowie psychiczne.

– Wiesz, jak jest, Bobby. Pozwalam ci biegać na długiej smyczy, ale muszę mieć chociaż ogólne pojęcie, gdzie jesteś.

Zakonotowałem to sobie do późniejszej analizy. Czy chciał mi dać do zrozumienia, że wie o mojej wizycie u Anaity? W jaki sposób mnie śledzi? Gotów byłbym przysiąc, że nikt za mną nie łąził ani nie obserwował apartamentu Caz. Ale jeśli nie chce mówić, to nie powie i szlus. Wydusić cokolwiek z archanioła może tylko jeszcze wyższy archanioł.

Zdałem sobie sprawę, że wciąż wbijam mu rewolwer w kark. Cofnąłem rękę i schowałem broń do kieszeni.

– No to szef chociaż wyjaśni, skąd to dzisiejsze spotkanie. Co się takiego dzieje?

– Chodzi o twoją prośbę o urlop. Ostrzegałem cię, pamiętasz? Przetrzymałem ją w szufladzie tak długo, jak się dało, ale kiedy nie robisz, co do ciebie należy, ludzie to zauważają. Cieszysz się złą sławą, Bobby. Twój Eforat znów jest niezadowolony. Mówi się o ściągnięciu cię do Domu i wszczęciu postępowania dyscyplinarnego.

– To znaczy...?

– Zapewne nic dobrego.

– Mówiąc: Eforat, kogo konkretnie ma pan na myśli? Pełny skład?

– Trudno wyjaśnić wszystkie niuanse, ale Chamuel, Razjel i Anaita są najbardziej na ciebie cięci. Terencja i Karael próbują cię... no, może nie aż bronić, ale sugerować, że potrzebne są dalsze informacje. Karael wspomniał nawet, że zniknięcie Edwarda Walkera i wszystkie późniejsze problemy mogły wpłynąć na ciebie silniej, niż ktokolwiek sądził.

– No proszę, Karael wystąpił w mojej obronie? Bóg mu zapłać.

– Jest lojalny wobec żołnierzy, a ty wszak służyłeś w armii. I głównie dlatego na razie ci się udawało.

– A także dzięki dyskretnym działaniom zakulisowym mojego bezpośredniego przełożonego?

– Robię, co mogę, ale nie mam żadnej realnej władzy. – Wzruszył ramionami. – Nie to co Terencja i inni.

Wszystko ładnie pięknie, tylko ja nadal nie wiedziałem, gdzie Muł stoi, zwłaszcza w kwestii Anaity – nie mogłem więc wypytać go o rzeczy, których najbardziej potrzebowałem. Z moim szefostwem lepiej za wiele sobie nie zakładać. Z tego, co słyszałem najpierw od Leo Lochy, a niedawno od Gustibusa, w Niebie wciąż żywe są urazy i wendety zrodzone z drobnych niesnasek w czasach, kiedy ludzie jeszcze rysowali bizony na ścianach jaskiń.

– Co więc pan sugeruje?

– Na twoim miejscu poprosiłbym Eforat o przesłuchanie w sprawie przyczyn wystąpienia o urlop. Uspokój ich w sprawie i tego, co robisz, i tego, czego nie robisz, a powinienes. W najgorszym razie kupisz sobie trochę więcej czasu.

– Czasu na co?

– Tego to już nie wiem. – Popatrzył na mnie zimno. – I jeśli mam być szczery, wolę się nie dowiedzieć.

To zawisło w powietrzu na długo. Co najmniej kilka sekund.

– A właściwie to czemu chcesz mi pomagać, panie? – spytałem.

– Cokolwiek powiem, zabrzmii jak... ściema. – Chyba pierwszy raz usłyszałem w jego ustach podobny kolokwializm. – Ale lubię cię, Bobby. Nawet podziwiam, poza chwilami, kiedy jesteś kompletnym kretynek. Myślę też, że pewne sprawy należy ujawnić. Niezdrowe sekrety, które powinny wyjść na światło dzienne. Jeśli uda ci się tego dokonać, Niebo stanie się lepsze.

– Niebo lepsze? – spytałem (niezupełnie sarkastycznie). – Przecież już jest doskonałe.

– Wszyscy byśmy chcieli, żeby to była prawda. – Muł westchnął ciężko. – Ale niektórzy z nas wiedzą lepiej.

Na tym rozmowa się znów urwała. Nie przychodziło mi do głowy żadne inne pytanie, które mógłbym zadać, nie zdradzając się z moim stosunkiem do Anaity.

– To chyba winien jestem szefowi wdzięczność – odezwałem się, by przerwać krępującą ciszę. – Ale może by tak następnym razem

mógł szef... bo ja wiem... deczko odpuścić sobie tę zabawę w „Kim dzisiaj jestem?”. Nerwy mam od tego zszarpane.

– Przepraszam. Może dałem się ponieść fantazji. Przyznaję jednak, że sprawia mi to nieziemską... a raczej ziemską frajdę.

Znów był cały w skowronkach, co od razu obudziło z drzemki moją podejrzliwość. Boże, jak paskudnie jest być mną.

– Tak, nie da się ukryć. – Pokiwałem głową. – A teraz może mnie szef podrzucić na te Pirsy Solne czy musi oddać gablotę prawdziwemu taksówkarzowi? Muszę jakoś zaradzić moim problemom z transportem.

– A, byłbym zapomniał. Wsiądnij, proszę.

Wykonałem polecenie i stanąłem obok wozu. Temuel też wysiadł i zaświecił mi w oczy kluczykami. Breloczek przedstawiał srebrnego emaliowanego aniołka.

– O tym właśnie mówię. Szef ma tendencję do przesady. Wystarczy trochę stonować i będzie dobrze.

Zerknął z zażenowaniem na kluczyki i podał mi je.

– Chce mi szef dać brelok na pamiątkę?

– Nie brelok, tylko auto. Jest twoje. Przecież nie masz samochodu, nie?

Nie zapanowałem nad emocjami. Szczęka mi opadła.

– Daje mi szef t a k s ó w k ę ?

– Tak jest. Nie bój się, nie ukradłem jej. W każdym razie nie w

korporacji. – Przytknął palec do nosa. Taki gest widywałem tylko na starych filmach. – Tylko ani słówka nikomu z księgowości na Górze, dobra? Cicho, sza.

– Ale na co mi ta cholerna taryfa?

– Do jeżdżenia. Słyszałem, że ludzie nie zwracają uwagi na taksówki. To chyba dobra rzecz w twojej... w tym, co robisz.

Mogłem tylko pokręcić głową. Temuel już się odwrócił i ruszył w stronę zatoki.

– Dokąd szef idzie?

– Do siebie – rzucił przez ramię. – Ale najpierw się trochę przespaceruję. Dobrze jest się czasem wyrwać z biura.

Patrzyłem za nim, póki nie zmalął w oddali na tle łąk i trzcinowisk; ot, taki sobie prostaczek w harmonii z przyrodą. Potem wsiadłem za kierownicę swojej nowej gabloty i pojechałem do domu.

Pieprzona landara nie miała nawet odtwarzacza CD i prowadziła się jak ciężarówka, ale cóż... skoro nie można mercedesem, to lepiej tak niż perpedesem.

Dwadzieścia pięć

Nowy plan



Kiedy wróciłem do mieszkania, wszyscy wybiegli do garażu ponabijać się z mojej nowej bryki.

– Ale super! – wykrzyknęła Halina.

– Ty to masz pomysły! – Oksana zanosila się śmiechem. –

Bardzo śmieszny Bobby!

– To kim teraz niby jesteś? – spytał Clarence. – Beatlesem?

– Oni mieli żółtą, ale łódź podwodną, ty nieopierzony, niedouczony aniołku. Pytanie powinno brzmieć: kim teraz jesteś, Joni Mitchell? Bo to jej papę uwiozła wielka żółta taksówka. Twoje braki kulturowe mnie przerażają, młodzieńcze.

– Ilekroć otwierasz usta, wydajesz się jeszcze starszy i bardziej pokrecony – odgryzł się Młody.

Wróciwszy do mieszkania, Amazonki oddały się leniwej kombinacji sparingu i przygotowań do obiadu. (Ja się wymiksowałem z żywieniowych zobowiązań prostym stwierdzeniem, że mam dosyć babrania się w kuchni). Nie bardzo mi się podobały ich plany kulinarne – mowa była o zupie z kaszy jęczmiennej czy

czymś w tym rodzaju – zrezygnowany przysiadłem się więc do Clarence’a. Chłopak przytargał własny komputer i przeglądał zdjęcia z willi Doni Sepanty.

– Opisałem już ich mnóstwo, Bobby – powiedział. – Nigdy nie myślałem, że poznam tylu bogatych Sanjudejczyków. – Zatrzymał się przy kolejnej fotce. – O, tu masz gubernatora. Sądzisz, że on jest wtajemniczony?

Popatrzyłem na niego, żeby się upewnić, czy żartuje.

– Politycy mnie nie martwią, Harrisonie. Ale zdumiałbyś się, ilu z nich ma powiązania z obiema stronami.

– No to kicha, bo są ich tu całe roje. Popatrz: burmistrz San Judas. A tu grupa kongresmanów na jakiejś imprezie. Większość postaci jest jednak mało znana. Identyfikacja wszystkich zajmie wieki.

– Tych naprawdę sławnych możesz pominąć. Nie wyobrażam sobie, żeby Anaita oddała któremuś róg na przechowanie. Nigdy by aż tak nie zaufała śmiertelnikowi, a cóż dopiero politykowi. – Patrzyłem ze zmarszczonymi brwiami na przewijające się przez ekran zdjęcia Sepanty, na ogół w sztywnych, oficjalnych pozach. Nie oddawały sprawiedliwości jej niesamowitej urodzie; odnosiłem wrażenie, że widzę jej zwyczajniej wyglądającą siostrę. Żadne nie uchwyciło anielskiego splendoru, jaki aż bił od niej podczas naszego spotkania. Kto zresztą wie, może wytoczyła tę ciężką artylerię specjalnie na użytek waszego narratora? – Interesuje mnie tylko, gdzie to cholerstwo ukryła. Mam nadzieję, że... – Urwałem, gdyż nagle coś sobie uzmysłowiłem. – Hej, Młody, czy ty nie masz być

teraz pod telefonem? Mieszkanie jest ekranowane i nie ma tu zasięgu. A tam Alice może już do ciebie wydzwania...

– Tak, Bobby, już mi o tym mówiłeś. – Clarence przewrócił oczami. – Dlatego co jakiś czas wychodzę na zewnątrz i sprawdzam wiadomości. – Kliknięciem przerzucił na następną fotografię.

– Czekaj, wrzuc no jeszcze tamto. Nie, jeszcze wcześniejsze. Coś zobaczyłem. Co tu mamy?

Fotka przedstawiała Anaite w towarzystwie innej kobiety i dwóch mężczyzn.

– Jakiś raut dobroczynny, tyle wiem, i tylko dlatego, że ma na sobie identyczną suknię jak na innym zdjęciu, gdy podaje komuś gigantyczny czek. A madame Sepanta, kimkolwiek naprawdę jest, nigdy nie wkłada tej samej kreacji dwa razy. Czemu wybrałeś tę fotkę? Znasz kogoś z tych ludzi?

Obaj faceci wyglądali na typowych biznesmenów z Doliny Krzemowej: nieogoleni i z przydługimi fryzurami mówiącymi: „Nie jestem złym plutokratą”. Nieznajoma kobieta mogłaby być ich wersją damską; nosiła się nieco bardziej elegancko (bo musiała). Cała czwórka stała z kieliszkami szampana w palcach i miała zakłopotane miny, normalne w sytuacji, kiedy jakąś pogrążoną w konwersacji grupę zmusza się do pozowania z obowiązkowymi uśmiechami. Ale to nie Anaite ani żadna z osób na pierwszym planie przyciągnęła moją uwagę.

– Nie znam. Możesz ją wyostrzyć?

– Nie da rady. Mogę najwyżej powiększyć, ale to zdjęcie Oksana

zrobiła komórką, oryginał był za szkłem, a oświetlenie dalekie od ideału. Najlepsze rządowe laboratorium może coś by z niego wydobyło. Ja nie potrafię. Nawet anioły nie zawsze umieją zdziałać cuda.

– Nie mówisz mi nic, czego bym nie wiedział, Młody.

– Zdaje się, że miałeś się do mnie zwracać po imieniu.

– Nie. Obiecałem tylko, że zastąpię Clarence’a Harrisonem. Nigdy nie mówiłem, że przestanę nazywać cię Młodym, dzieciakiem albo mądralą.

– Czyż to nie ironia losu, że dzieciakiem chce mnie nazywać ktoś, kto sam się zachowuje jak ośmiolatek?

– Nie, ironia losu tkwi w tym, że ty, młody człowiek z nawykami i garderobą emeryta, nie jesteś mi za to wdzięczny. Skombinuj lepszą kopię.

Gdyby spojrzenia mogły parzyć, miałbym już bąbel między oczami.

– Chyba właśnie wyjaśniłem, że to...

– Skombinuj lepszą kopię tego zdjęcia. Jeżeli nie zrobił go osobisty fotograf Sepanty, to może jest na jakimś portalu czy w czasopiśmie. No, przecież jesteś Kapitan Kartoteka, nie? To działaj. Ja wracam do poszukiwania jej innych posiadłości. – Poklepałem go po ramieniu. – Pamiętaj, Bóg cię kocha.

Odchodząc, nie dosłyszałem, co mi odpowiedział, ale raczej nie tym samym.

Ukraińska zupa z kaszy pachniała o niebo lepiej, niż oczekiwałem, zwłaszcza gdy dziewczyny wrzuciły do niej grzyby, cebulę i skwareczki z podsmażonego boczku. Ślinka zaczynała mi już lecieć, kiedy Clarence wyszedł sprawdzić wiadomości. Nie było go dość długo, a gdy wrócił, oznajmił od progu:

– Nie ma odpoczynku dla zmęczonych. Mam klienta aż na Friendly Acres. Ale za to znalazłem lepszą wersję tej fotografii.

Spojrzałem na ekran laptopa.

– To nie to samo zdjęcie.

– Nie, ale z tej samej imprezy i z tymi samymi ludźmi, tylko zrobione pod innym kątem. – Trzepnął mnie po palcach, gdy chciałem powiększyć obraz. – Jak chcesz dotykać mojego kompa pod moją nieobecność, to uważaj, żebyś nic nie schrzanił. Technika czasem frustruje starców i wtedy najczęściej coś psują.

– Dowcipas. Jedź i nie zamarudź za długo – odburknąłem zajęty już oglądaniem nowej fotki.

Faktycznie ktoś ją pstryknął z innej perspektywy, ale na cokolwiek zwróciłem uwagę na poprzednim zdjęciu, tu tego nie dostrzegłem. Wszedłem na najnowszą historię przeglądarki i znalazłem pozostałe fotografie na stronie internetowej autora, zapisane w folderze „Bankiet charytatywny, San Judas 17.06.2003”. Były tam też nazwiska pozostałych gości obok Anaity, nie o nich mi jednak chodziło. Szukałem czegoś na dalszym planie.

Wróciłem do pierwszego zdjęcia i wpatrzyłem się uważnie, po czym wstałem i obejrzałem je ponownie z odległości półtora metra, a

potem znów z tak bliska, że prawie wodziłem nosem po ekranie. Oglądałem je z najróżniejszych pozycji: spod przeciwległej ściany, zbliżając się powoli, na wprost i przekrzywiając głowę, do góry nogami. Następnie wydrukowałem je i zacząłem chodzić po pokoju, obracając je w palcach, aż do ośpienia błędząc wzrokiem po płataninie cieni, twarzy i kształtów w tle. I nagle, nie wiadomo dlaczego, znów to zobaczyłem. Było to tylko ramię i tył głowy mężczyzny, który odwrócił się od obiektywu w chwili, gdy fotograf naciskał guzik. Nie rozpoznałem go, ale już wiedziałem, że tego właśnie szukam. Coś w tym facecie połaskotało siódmy zmysł Boba Dolara.

Clarence zjawił się akurat w chwili, gdy Amazonki nalewały zupę. Ja właśnie otworzyłem butelkę najlepszego wina Caz, staro wyglądającego burgunda (chyba dobre, nie? Bo jak wiecie, sam preferuję wódkę).

– Pachnie pięknie – orzekł. – Poczęstujecie? I winem też. Bronilem wyjątkowo antypatycznej, złej staruchy. Co gorsza, wykręciła się zaledwie wiekiem czyścica. Gdyby to ode mnie zależało, posłałbym wiedźmę prosto do Piekła.

– Nie strój takich żartów, dopóki sam tam nie pobędziesz – odparłem. – Ale powiem coś, co może poprawi ci humor. Mamy trop. – Podałem mu napełniony kieliszek i zaprowadziłem do biurka. – Widzisz tego człowieka? Stał wmieszany w tłum. Trochę potrwało, ale dokopałem się do zdjęcia, na którym widać jego twarz.

– Nie najprzyjemniejsza. – Clarence pokręcił głową. – Chyba go

nie znam.

– Ty nie, ale ja i Sam tak, bo gdyśmy go ostatni raz widzieli, zamierzał wysadzić Sama w powietrze, a mnie zawlec do Piekła.

– Ale to chyba nie Eligor? Jak on się zowie na Ziemi? Kenneth Vald? To nie jest Vald.

– Zgadza się. To jego były szef ochrony, kawał sukinsyna o imieniu Howlingfell. Miło mi dodać, że skończył w pysku tego potwora, którego później poznałeś na starym basenie w Shoreline. Pamiętasz ghallu?

– Nie za bardzo. – Clarence obrzucił mnie mało przyjaznym spojrzeniem. – Pamiętam tylko, że mnie ogłuszyłeś kolbą i potem powiedziałeś, że to on.

– Musiałem improwizować. W końcu przyszedłeś aresztować mojego kumpla. Chcesz przeprosin? No to sorki.

Nie wyglądał na usatysfakcjonowanego, ale dał spokój i spojrzał na ekran.

– Ale co w tym typie takiego ciekawego? Skoro był ochroniarzem, to chyba wszędzie łąził za swoim bossem, nie? To jego zadanie.

– Owszem. I właśnie staram się doszukać wszystkiego, co może łączyć Anaitę i Eligora, więc jego obecność automatycznie jest interesująca. – Pociągnąłem łyk burgunda. Nie sądzę, bym kiedykolwiek nawrócił się na wino, ale przyznam, że smakował doskonale. – Widzisz, namierzyłem też samą imprezę. Twój dziadzio

Bobby jednak co nieco zna się na nowoczesnej technice. Przyjęcie odbyło się w Muzeum Sztuki imienia Elizabeth Atell Stanford. To ten stary gmach w kampusie. Świątowano położenie kamienia węgielnego pod nowe skrzydło, a Donia Sepanta należała do grona głównych fundatorów.

– I był tam także Eligor? – Clarence poczuł bluesa.

– Nie. Trafiłem na kupę artykułów na ten temat, przeważnie zwykle ecie-pecie z rubryk towarzyskich w magazynach wydawanych dla bogatych palantów kochających historie o własnych dobrych uczynkach. I Valda tam nie było. W każdym razie nikt nie odnotował pojawienia się na gali jednego z najbardziej popularnych miliarderów na świecie, a już na pewno w Jude.

– W takim razie w czym problem z tym ochroniarzem?

– Ano w tym, młodzieńcze, że co by tam robił Howlingfell bez swojego szefa? Był tam albo razem z nim, albo na zwiadach, na przykład badając miejsce proponowanego spotkania. Tak czy owak to nasz pierwszy porządny ślad. Trzeba teraz się rozejrzeć w tym muzeum, zwłaszcza w nowym skrzydle. Musimy wleźć jak najgłębiej i wszystko dobrze zbadać. To znaczy ty to zrobisz. Ale możesz przedtem zjeść kolację.

– Jak to ja? A ty co zamierzasz?

– Dodać sobie wina. I się zastanowić, co będzie potrzebne, żeby się tam włamać.

– Włamać? – Clarence omal nie upuścił kieliszka. – Po co, na Boga, miałbyś to robić?

– Lubię poczuć nowe miejsce, i to dosłownie: wachać, słuchać odgłosów i w ogóle wtykać nos, gdzie nie trzeba. Nie zapominajmy, że na tej imprezie Donia Sepanta świętowała władowanie w ten projekt dziesięciu milionów dolców, w połowie własnych, w połowie ze środków swojej fundacji. W nowym skrzydle powstał dział sztuki azjatyckiej i zapewne tam mieli się spotkać z Eligorem. Zainwestowała w to masę pieniędzy, a ja chcę wiedzieć po co.

– Ale dlaczego się włamywać? Mówiłeś, że mamy się tylko rozejrzeć...

– To na początek. Niewykluczone, że się to okaże ślepym zaułkiem. Gdyby jednak nie, to chcę być gotowy do wizji lokalnej. Bo tak właśnie działałam.

– Tak działasz? – Clarence zmierzył mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty. – Jak nastoletni ćpun w poszukiwaniu fantów, które mógłby wymienić u pasera na amfę?

Nalałem sobie wina i usiadłem nad miską smakowicie pachnącej zupy. Dziewczyny kończyły już swoje porcje, zwiększyłem więc tempo, żeby nadgonić straty. Clarence też w końcu usiadł.

– Ale, Bobby, kiedy robisz takie rzeczy, zazwyczaj dzieje się coś złego. Prawie zawsze wychodzi źle. Przypomnij sobie Five Page Mill.

– Tak, dzieją się różne zwariowane paskudne rzeczy. I właśnie dlatego tak działałam. Bo kiedy sytuacja wymyka się spod kontroli, walą się plany innych ludzi.

– I twoje też.

– Czasem i moje. Ale ja przywykłem do takiego życia. Inni nie.
Poza tym już bardzo dawno nikt nie podskoczył Anaicie.

– Bo wszyscy tacy śmiałkowie wyginęli.

– Albo ich zgwałcono – dodała Oksana.

– Albo obrócono w niewolników – dorzuciła Halina.

– Ale z was wesoła drużyna. Zamknijcie się, bo nie mogę sobie poświētować.

I poświētowałem. A co.

Dwadzieścia sześć

Dzisiejsza młodzież



Nie pomyślcie przypadkiem, że zawsze tylko wrzeszczę „Geronimo!!!” i rzucam się na oślep w niebezpieczne sytuacje. W mojej relacji czasem po prostu pomijam co nudniejsze partie. Następnny tydzień można zaliczyć do takich niewartych wzmianki.

Kiedy listopad przechodził w grudzień, sporo czasu spędzaliśmy z Ukrainkami na obserwacji muzeum i sprawdzaniu innych posiadłości Anaity. Dość szybko odkryłem, że ma ich wiele, ale w rejonie zatoki tylko tę jedną, którą już widzieliśmy. Nadal byłem zdania, że nie ukrywałyby tam niczego ważnego – głównie dlatego, że tego właśnie by się każdy spodziewał, ale też z tego powodu, że Eligor mógłby bez trudu skorumpować jej służbę, w całości składającą się ze śmiertelników. Nie znaczyło to jednak, że muzeum to pewniak; być może wykorzystana je tylko raz, na spotkanie z Eligorem.

Nasz wstępny rekonensans, niezbyt gruntowny, bo prowadzony z taksówki (na szczęście są one w kampusie tak częstym widokiem jak puste beczki po piwie), przyniósł jednak pewne rezultaty. Przekonaliśmy się, że Anaita jest nie tylko fundatorką skrzydła

imienia Elizabeth Atell Stanford, lecz i regularnym gościem. Pojawiała się w muzeum co kilka dni i spędzała w nim co najmniej parę godzin. Uznałem, że trzeba się dowiedzieć więcej, zadzwoniłem więc do przyjaciółki.

– Popracowałabyś dla mnie, Edie? Stawka jak zwykle.

– Czemu nie – odrzekła. W tle słychać było włączony telewizor. – Ale mam akurat egzaminy, panie Dolar. Co by to miała być za robótka?

– Nic trudnego. Zwyczajne zwiedzanie muzeum.

– Ooo, uwielbiam muzea! To znaczy na ogół... – ściszyła głos. – Czasami bywa źle.

– Źle?

– No wie pan. Nie chodzi o samo muzeum, ale o coś, co w nim jest. Zdarza się, że emanuje naprawdę paskudne fluidy. Jeszcze gorzej, gdy tego dotknę.

Zapewniłem ją, że niczego nie będzie musiała dotykać. Umówiliśmy się na spotkanie w taki dzień, kiedy państwo Parmenterowie się nie wkurzą, jeśli córeczka wróci ze szkoły później niż zwykle.

– Nie ma sprawy, powiem im, że się uczyliśmy z Molly.

Jak już pewnie odgadliście, pracowałem nad tym tak intensywnie po części dlatego, że zaprzątnięty działaniami zwiadowczymi i planowaniem nie myślałem tak często o Caz. Bo nie myśleć o niej to zadanie naprawdę trudne. Od pierwszego momentu, kiedy znalazłem

się sam na sam z hrabiną Zimnoręką, między nami zakiełkowało coś niezwykłego, silniejszego niż seks i bardziej wiążącego niż wzajemne dopasowanie. Przedtem nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale oboje byliśmy niepełni, jak układanka bez brzegu, ze smętnie sterczącymi wypustkami. A potem się połączyliśmy i staliśmy całością. Nie na długo niestety. Życie, Wszechświat, a przede wszystkim wielki książę Piekła, Eligor Jeździec, rozerwali nas na nowo.

Jak na faceta, który wiódł swoje anielskie życie, zachodząc w głowę, dlaczego nie pasuje do układu, dlaczego nie przyjmuje świata spokojnie jak inne anioły – choćby Kool z Filtrem, który kręci nosem na szaleństwa życia, lecz je akceptuje – była to wielka rzecz. Potrzebowałem tej kobiety. Teraz wiedziałem, że i ona potrzebuje mnie. Wszelkie inne sprawy, włącznie z nieprawdopodobieństwem tego wszystkiego, to już tylko nieistotne szczegóły.

Zapoznałem się ze wszystkim, co mogłem znaleźć na temat muzeum Elizabeth Atell Stanford. Nazwano je tak dla uczczenia drugiej żony założyciela uniwersytetu, bogatego ważniaka Lelanda Stanforda. Charakter architektoniczny uczelni zmienił się na bardziej mroczny po śmierci jego pierwszej żony i syna. Nawet w początkach XX wieku nie brakowało opinii, że nowy gotycki image wziął się właśnie z inspiracji Elizabeth Atell, która pojawiła się u boku Stanforda po dziesięciu latach jego wdowieństwa. Pani Stanford numer dwa była znacznie młodsza od męża i miała szeroki zakres zainteresowań, w tym spirytualizm i okultyzm (podówczas dość powszechne i społecznie akceptowane). Jej wpływ na projekt i samą

budowę muzeum był poważny, ale chodziły też pogłoski, że nocami urządza w nim seanse dla przyjaciół. Jedno ze źródeł upierało się nawet, że cała budowla jest pomnikiem spirytualizmu, nie znalazłem jednak niczego, co by to potwierdzało.

Jakiegolwiek były pierwotne założenia fundatorów i projektantów, Muzeum Sztuki parokrotnie przechodziło gruntowne przebudowy: w latach trzydziestych i siedemdziesiątych, i raz już za moich czasów w Jude. Było to mniej więcej przed dziesięciu laty i wtedy właśnie powstało nowe skrzydło, tak ważne dla Doni Sepanty, w którym znalazł miejsce cały dział zachodnioazjatycki, między innymi wielka ekspozycja perska. Byłem tam ze dwa razy, zanim jeszcze wynikła ta afera z Anaitą, nigdy jednak nie zauważyłem nic nienormalnego – jeśli nie liczyć słynnego ogrodu pełnego groteskowych rzeźb przywiezionych z Europy przez Elizabeth Atell Stanford w latach dwudziestych, dziś stanowiącego magnes dla turystów o ciągotach gockich tudzież innych amatorów dziwactw.

Prawie dwie godziny czekałem w taksówce na parkingu przy Bloch Drive. Sporządzałem notatki, a gdy to mnie znudziło, sięgnąłem po książkę (Jima Thompsona, jeśli chcielibyście wiedzieć). Czas tak mi się dłużył, że zaczynałem mieć niepokojące wizje Amazonek i Edie Parmenter przesłuchiwanym w jakimś muzealnym lochu. Jeszcze dwie minuty, a ruszyłbym im z odsieczą niczym 7. pułk kawalerii; na szczęście w porę zobaczyłem, że nadchodzą, a właściwie truchtają w moją stronę. Wgramoliły się do taryfy; Edie wsiadła ostatnia i wyglądała nietęgo.

– Wszystko w porządku? – zagadnąłem.

– Niech pan stąd jedzie, panie Dolar.

Halina otworzyła torebkę i wysypała na przednie siedzenie plik mapek i folderów turystycznych.

– Nie podobałyśmy się strażnikom – oznajmiła. – Nie spuszczały z nas oka. Musiałyśmy zostać tak długo, żeby im pokazać, że jesteśmy tam na serio.

– Dobra, ale czy coś znalazłyście?

– Tam coś jest, panie Dolar – bąknęła Edie. – Coś supersilnego! Prawie mnie zemdlilo. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Jakbym to jeszcze czuła w ustach.

– W ustach? O czym ty mówisz? Czyżbyście przesiedziały te pół dnia w kafeterii?

– To tam jest kafeteria? – Oksana zrobiła wielkie oczy.

– Nie, ja się tak po prostu czuję, gdy w pobliżu jest coś o dużej mocy – wyjaśniła Edie. Opuściła szybę, choć było już ciemno i bardzo chłodno. – Jakby... Nie wiem, jak to powiedzieć. Lizał pan kiedyś baterię?

– Nie wolno mi o tym rozmawiać z nieletnimi – odparłem. – Mam zakaz sądowy. Co to za potężna rzecz? Widziałaś ją? – Cierpliwie odczekałem, aż znudzony strażnik przy bramie Teller podniesie szlaban. – Jest wystawiona?

Zaczynałem czuć przyjemne mrowienie. Jeśli róg Eligora jest zakamuflowany w jakimś eksponacie, to może nie trzeba będzie organizować niczego bardziej skomplikowanego niż prosty napad

rabunkowy?

– Chyba nie mogę wiele pomóc, panie Dolar. Właściwie to nic nie widziałam, ale jestem pewna, że na końcu skrzydła znajduje się coś bardzo, bardzo mocnego. Energię ma przerażającą! Nigdy chyba nie napotkałam nic równie niepokojącego. Wciąż się czuję, jakbym miała gorączkę.

Po drodze do domu (Parmenterowie mieszkają na północ od centrum) Edie i Amazonki zdały mi pełną relację. Długo się snuły po głównej wystawie, robiąc szkice i notatki. Kiedy jeden ze strażników zatrzymał się przy nich i zaczął rozmowę, powiedziały mu, że zbierają materiały do pracy semestralnej na wydziale historii sztuki.

– Zaczęłam cokolwiek odczuwać dopiero na trzecim piętrze – powiedziała Edie. – Co to jest, panie Dolar? Pierwszy raz w życiu doznałam czegoś takiego.

Tak, dziewczyno, na pewno to twój pierwszy raz, pomyślałem. Nawet tak utalentowanym i rozchwytywanym mediom jak ona raczej rzadko się zdarza natknąć na autentyczny róg arcyksięcia Piekła. Głośno zaś powiedziałem:

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. Co to było za odczucie?

– Trudno mi to określić. Silne, tyle wiem. Im dalej wchodziłyśmy w tę część muzeum, tym stawało się wyraźniejsze. Zapytałam nawet Halinę i Oksanę, czy coś czują. Pomyślałam sobie, że może to coś zwyczajnego, ktoś niedaleko wierci w betonie czy co. Aż mnie zęby rozboleły.

– I nic więcej nie umiesz powiedzieć? Tylko że to jakaś wielka

moc?

– Najsilniej to oddziaływało w dziale zachodnioazjatyckim, na samym końcu. Tam nie mogłam nawet zostać na dłużej. Ale źródła nie udało się umiejscowić. Wie pan, to nie tak, że coś wydzielało te fluidy. One po prostu były tam wszędzie.

To prawdopodobnie znaczyło, że róg jest ukryty gdzieś na zapleczu. Komplikacja, ale należało się tego spodziewać.

Na pożegnanie wsunąłem Edie pięćdziesiąt dolarów premii za pracę w niebezpiecznych warunkach. I tak głupio mi było, że wykorzystuję jej talent paranormalny; nie chciałem pogłębiać tego uczucia przez skąpstwo.

A więc muzeum. Donia Sepanta, Anioł Deszczu, bywa tam często. Prawdopodobnie tam właśnie doszło do spotkania z Eligorem, kiedy zawierali partnerski układ, przez który od roku przydarzają mi się szalone, niebezpieczne przygody. Być może wtedy wymienili się fantami: jej złote pióro za jego róg. I teraz Edie Parmenter zaklina się, że w sponsorowanym przez Anaitę dziale sztuki azjatyckiej ukryty jest przedmiot o wyjątkowo wielkiej mocy nadnaturalnej. Innymi słowy, nudny tydzień dobiegł końca. Pora pomyśleć, jakim sposobem ukraść potężnej archanielicy fant, którego bardzo nie chciałaby stracić.

Problem w tym, że strawiwszy kilka dni na prawidłowe rozpoznanie, nie mogłem już sobie pozwolić na dalszą zwłokę, a mój pośpiech nie miał nic wspólnego z nadejściem sezonu zakupów gwiazdkowych, ani tym bardziej z pojawieniem się na głównych

ulicach Ravenswood czarnych, czerwonych i zielonych transparentów Kwanzaa*. Puściłem w ruch kulę śniegową i teraz już nabrała pędu. Nie wiedziałem, jak długo jeszcze uda mi się zwodzić przełożonych wnioskiem urlopowym, poza tym odkryłem już karty i Anaita wie, że ją rozpracowuję. Nie wspomnę już, że nie jest to tajemnicą także dla Fakcji Czarnego Słońca (jeżeli to rzeczywiście oni włamali się do komputerów George'a). Było tylko kwestią czasu, kiedy jeden z tych mozolnie wzniesionych domków z kart złapie nieoczekiwany przeciąg i się zawali.

Fazę Drugą rozpocząłem nazajutrz po wizycie w muzeum.

Amazonki przyniosły sobie po juniorburgerze i porcji opiekanej cebulki – ich nowej pasji kulinarnej – pozwoliłem im więc dokończyć lunch, po czym oznajmiłem:

– Dobra, dziewczyny, a teraz jedziemy znów na zakupy.

– Po mrożoną pizzę! – podsunęła Halina. – W Ameryce jest dobra. Na Ukrainie też mamy, ale taką nieprawdziwą.

– Zaczynam się trochę martwić o wasze oddanie sprawie scytyjskiej. Zdaje się, że o wiele więcej czasu poświęcacie poznawaniu nowych rodzajów niezdrowego jedzenia niż rekrutacji amerykańskich Amazonek.

– My nie rekrutujemy – odparła poważnie Oksana. – Przyjmujemy tylko te, co same do nas przyjdą.

– A droga do naszego obozu w górach jest długa i trudna. Większość daje za wygraną i zawraca. Wtedy wiadomo, że nie są prawdziwymi Scytyjkami.

Nie byłem pewien, czy chciałbym brnąć przez mroźne, zasypane śniegiem Karpaty, mając tylko nieokreśloną nadzieję, że gdzieś tam w lesie czekają na mnie przyjazne dusze, ale nie chciałem się wdawać w dyskusję.

– Nie, nie jedziemy po mrożoną pizzę. Nie moja wina, żeście nakupowały tego okropieństwa, którego teraz nie chcecie jeść. Wiele rzeczy nie ma prawa się znaleźć na pizzy i kurczak kung pao, kalmary oraz jagnięcina tanduri do takich się zaliczają. Nie próbujcie się ze mną spierać. Dzisiaj kupujemy broń.

To wzbudziło jeszcze większy entuzjizm niż włoska kuchnia. Ponieważ wybieraliśmy się do Orbana, nawet nie proponowałem, żeby się przebrały. Byłem nawet ciekaw, jak jego brodate typy zareagują na ich lesbo-anarcho-punk-feministyczny styl. Załadowałem do bagażnika to, co chciałem zabrać; dziewczyny wsiadły do tyłu i mogłem ruszać. Po raz czterdziesty czy pięćdziesiąty odmówiłem włączenia Lady Gagi – znalazłem w końcu stację jazzową, którą mogło odbierać prastare radio w taksówce – całą drogę śpiewały więc *Poker Face* tak głośno, że ledwo słyszałem Oscara Petersona i resztę.

Głupkowate baby.

Niespodzianka numer jeden: między Amazonkami i personelem Orbana wybuchła sympatia od pierwszego wejrzenia. Myślałby kto, że przywożem kosz przemiłych szczeniactków. Wiele sympatii przysporzyła im oczywiście miłość do broni; niemal od progu dały się zwabić na strzelnicę, by wypróbować oręż najróżniejszego

rodzaju.

Niespodzianką numer dwa były słowa mojego węgierskiego przyjaciela, gdy staliśmy razem, patrząc, jak cała ferajna odchodzi niemal w podskokach:

– Martwię się o ciebie, Bobby.

Po „Kocham cię, Bobby, i chcę się z tobą kochać w romantycznych okolicznościach” była to druga najmniej spodziewana odzywka z jego ust. Normalnie odnosi się do mnie tak szorstko, że naszą rozmową można by czyścić kafelki w łazience. Zapamiętałem tylko jeden raz, kiedy powiedział cokolwiek na temat mojego zdrowia i bezpieczeństwa, a było to wtedy, gdy pożyczając mi pistolet maszynowy, kazał mi uważać, żebym nie odstrzelił sobie małego.

– Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że grozi mi śmierć z przedawkowania seksu, to możesz wrzucić na luz. Nasze stosunki z tymi dwiema panienkami są ściśle platoniczne i ograniczają się do wspólnego rozwalania ludzi, których nie lubimy.

– Nie chodzi mi o nie. Do dziewczyn nic nie mam. Wyglądają na dostatecznie mądre, żeby ci nie dawać, o ile nie są pijane lub nieprzytomne. Martwię się, bo docierają do mnie różne plotki.

To obudziło moją ciekawość. Zawsze przyjmowałem za pewnik, że Orban wie wszystko o wszystkim, ale informacje wydziela w drobnutkich parosekundowych odcinkach, a potem je zazwyczaj dementuje. Musiałem uważać, by go nie spłoszyć.

– No i...?

– Chodź, pogadamy w biurze.

To, co nazywał biurem, było kanciapą udekorowaną głównie wiadrami wypełnionymi piaskiem, do których mógł strzelać, ale miał tam też biurko, sejf i staroświecką maszynę liczącą. Nalał sobie szklankę wina i zaproponował mi to samo. Nie bardzo miałem ochotę, wolałem jednak nie psuć nastroju. Wypiłem łyk i ponowiłem pytanie.

– Jak mówiłem, chodzą różne słuchy. Ostatnio wiele gadają o tobie. Jaki to z ciebie zły anioł.

– Zły? – powtórzyłem, unosząc brwi.

– A tak. Ten Bobby Dolar, wiecznie w kłopotach. Podobno jest zamieszany w paskudną aferę. I takie tam.

– Kto ci to powiedział?

– Tego ci nie powiem. Nieważne. To nikt z twoich znajomych, ale on cię zna i co nieco o tobie wie. I nie jest jedyny. Od kogoś innego słyszałem, że podobno buchnąłeś coś ważnego i teraz źli ludzie na ciebie polują, a i Niebo jest wkurzone.

– Cóż, obie te plotki są częściowo prawdziwe, ale pomijając motyw buchnięcia czegoś ważnego, to samo można było o mnie powiedzieć w dowolnym punkcie mojej kariery. – Roześmiałem się, Orbana to jednak nie przekonało. – Daj spokój. O ludziach, którzy umieją działać, zawsze ludzie gadają. O tobie też, kolego.

– Bo na to pozwalam. Sekrety mi niepotrzebne. Jak ktoś chce Orbana, proszę bardzo, Orban jest. – Pogładził kudłatą brodę, jakby

się zastanawiał, jakie ciekawe krzywdy mógłby wyrządzić komuś, kto by się zjawił i „chciał Orbana”. Duszką dopił wino i odstawił szklanę. – Ale z tobą chyba jest inaczej, co? Ty sobie nie życzysz, żeby wszyscy znali twoje sprawki. I ludzie, którzy naprawdę się w nich orientują, milczą. Inni jednak nie są tak dyskretni.

Pokiwałem głową, choć nie bardzo wiedziałem, do czego zmierza.

– To znaczy?

– To znaczy, że ktoś ci celowo robi koło pióra. Ktoś chce cię zniszczyć, Bobby. Może nawet sfabrykować jakąś historię, żeby nikt nie był zaskoczony, kiedy coś ci się przytrafi.

Sam już wiedziałem, że coś takiego się dzieje, powiedzieli mi to już chyba wszyscy, włącznie ze straszącym w śródmieściu Lisem Albinosem, moim szefem Temuelem i każdym aniołem, którego mogę zwać przyjacielem. Z jakiegoś jednak powodu to samo ostrzeżenie od Orbana, najspokojniejszego ze znanych mi stoików, przyprawiło mnie o ciarki. Jeśli dybiącą na mnie siłą jest Anaita, to najwyraźniej jej się z tym nie spieszy. Nie zamierza się zamachnąć i zmiażdżyć mnie jak muchę; najpierw dopilnuje, żeby wszyscy się dowiedzieli, jakim jestem groźnym szkodnikiem. Wtedy, gdy już mnie w końcu dopadnie, nie tylko nikt nie będzie jej zadawał niewygodnych pytań, ale jeszcze dadzą jej za to medal.

– Doceniam to, stary. Naprawdę. Mówiąc metaforycznie, wyjechałem już jednak w trasę i zawrócić nie mogę.

– W takim razie bądź bardzo ostrożny.

Zdecydowanie nie nawykłem do Orbana w wersji Czułe Serce.

Deprymował mnie, szybko zmieniłem więc temat.

– Sprzedałeś mój wóz?

– Owszem, znalazł się kupiec. Miły gość, kolekcjoner z Seattle. Twoja bryka trafi w dobre ręce.

Jakby mnie to obchodziło. „Z tego arabskiego szejka, któremu sprzedaliśmy twoją córkę, bardzo sympatyczny facet”. Od razu człowiek czuje się lepiej, nie? Ale to nie wina Orbana, że straciłem matadora.

– To dzięki – powiedziałem. – To teraz przejdźmy do innego interesu. Dałbyś radę zrobić rozpylacz ciśnieniowy z azotanem srebra?

Popatrzył na mnie, jakbym nagle zaczął wydawać małpie okrzyki.

– Zrobić co z czym?

Wyjaśniłem, o co mi chodzi. Zmarszczył czoło. No, zaraz inaczej. Takiego go znałem.

– Nie wiem. Muszę spróbować. Badania i prototyp kosztują więcej, jak ci wiadomo. Powinienem od razu zatrzymać całą forszę, zamiast ci ją dawać.

– Co racja, to racja. Zanim skończę, pewnie i tak wróci do ciebie.
– Najważniejsze, że miałem już plan. To znaczy, planowałem mieć, co z grubsza na jedno wychodzi, i musiałem zadbać o wyposażenie, żeby go zrealizować. Jasne, zmartwień było bez liku, ale robota przede wszystkim. – Takie jest życie, nie? Nie można być jednocześnie bogatym i szczęśliwym.

– Bzdura! – Orban prychnął wzgardliwie. – Ja byłem.

– Ale ty jesteś Węgrem.

Zanim zdołał doszukać się ukrytej w ripoście obelgi, wyciągnąłem go z biura na poszukiwanie Amazonek. Trzeba było ustalić, jakiego uzbrojenia będą potrzebowały. Właśnie zwiedzały zakład, całe rozentuzjasmowane.

– Bobby, oni mają nawet czołg! – wykrzyknęła na mój widok Halina. – Rosyjski. Musimy go kupić!

– Byłaby dobra zabawa! – podchwyciła Oksana. – Moglibyśmy staranować to...

Powstrzymałem ją, zanim zdążyła chlapanąć coś o rozwaleniu muzeum Elizabeth A. Stanford. Powierzyłbym Orbanowi własne życie, nie znałem jednak wystarczająco dobrze jego pracowników. Paru z nich wyglądało nawet na sympatyków światopoglądu Czarnego Słońca. Może mam uprzedzenia, ale tatuaże sławiące potęgę białej rasy zachęcają do pochopnych ocen.

– Trochę dyskrecji, moje panie – napomniałem je obie. – Z czołgiem to przesada, ale z jeden miotacz ognia mógłby się nam przydać. Co wy na to?

– Mówisz poważnie? – upewniła się Halina. – No, to by było coś w sam raz dla mnie!

– Podzielisz się! – Oksana od razu się nadąsała jak dziecko, które pod choinkę dostało nową szczoteczkę do zębów. – A ja co będę miała?

– Spluwy – odrzekłem. – I możliwe, że na dokładkę sprej z azotanem srebra.

– Zapalający?

– Niestety nie. – Nachyliłem się i szepnąłem jej do ucha: – Ale na te swastykoszmarki działa jak sól na ślimaki.

– No to w porządku – odmruknęła z żalobną miną. Obok niej Halina wydawała syczące odgłosy, jakby podpałała miotaczem wracających na stanowiska rusznikarzy. – Chyba może być.

Ech, ta dzisiejsza młodzież, co? Nigdy im dosyć.

* Tygodniowe święto obchodzone w USA przez diasporę zachodnioafrykańską (26.12–01.01).

Dwadzieścia siedem

Nowa groźba śmierci



Zapukałem do drzwi i któraś odpowiedziała: „Proszę!”.
No to wszedłem.

Amazonki zażywały wspólnej kąpeli w wielkiej wannie
Caz. Nagie. Śliskie. Z połyskującymi wilgocią tatuażami. Cała
podłoga zachlapana. Halina, luźno pokryta małymi bezami z piany,
wysoko uniesionymi rękami wmasowywała sobie szampon we włosy.
Oksana nałożyła na głowę większą kulę bielutkich banieczek i
wyglądała jak duże, smakowite cappuccino. W sumie obfitość
młodej, szczupłej, muskularnej, lśniącej kobiecej cielesności.
Ogarnąłem to wszystkim wzrokiem w niespełna dwie sekundy, po
czym odskoczyłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

– Jezu miłosierny Panie! – wykrztusiłem. – Co wy wyprawiacie?
Chcecie mojej nagłej śmierci?

– Coś nie tak, Bobby? – odkrzyknęła przez drzwi Halina.

– Jesteście nagie! A ja żyję w celibacie i wcale mi się to nie
podoba. Albo jesteście potworami, albo idiotkami. Albo jedno i
drugie.

Rozchichotały się na cały regulator.

– Ale przecież ty jesteś anioł, Bobby! – zawołała Oksana. – To tak jak z doktorem.

– Nie, to zupełnie nie tak. Poza tym, czy do lekarza też chodzicie gołe i namydlone? Mam nadzieję, że nie! Poważnie, dziewczyny, nie róbcie mi takich rzeczy.

– Przepraszamy, Bobby!

Nie zabrzmiało to zbyt szczerze. Nie znoszę, kiedy ludzie wyzyskują mą łagodną naturę, tym bardziej że nigdy nie chciałem takiej mieć.

– Chciałem wam tylko powiedzieć, że chłopaki już są. Wyłaźcie stamtąd, pora brać się do... – Ugryzłem się w język, zdawszy sobie sprawę, że w moim poleceniu jest pewna luka. – Wyłaźcie, ale ubrane w coś, co zakrywa najważniejsze kawałki! Clarence’owi i Wendellowi może to nie robi różnicy, ale ja jestem z innej gliny niż oni.

– Święta prawda! – Młody natychmiast wykorzystał okazję. Bystrzeje mi dzieciak. – Z takiej, z której wyrabiają dupków. Na imię mam Harrison, zapomniałeś?

Wróciłem do salonu i klapnąłem ciężko na fotel przy biurku.

– To ty sobie przypomnij, że obiecałem się starać. Czasami się pomylę. Zrób mi przyjemność i nie poprawiaj mnie za każdym jednym razem, dobra? – Zacząłem rozkładać mapy, żeby były gotowe, gdy Amazonki się w końcu wynurzą. – A wam dwóm jak leci? W pracy wszystko dobrze? Nie za dużo pytań?

– Mało kto wie, że jesteśmy parą – odrzekł Wendell. – Trochę się z tym czailiśmy.

– Niezupełnie o to pytałem. – Zaznaczyłem parę miejsc na planie muzeum. – A może Wendell woli trzymać dystans, bo się ciebie wstydzi, Har-ri-so-nie? W końcu nikt nie lubi gderania.

– Nakłanianie cię do normalnego ludzkiego zachowania to nie to samo co gderliwość, Bobby. – Clarence przewrócił oczami. – Jak na anioła, zwykła z ciebie świnia.

– Tak, i właśnie dlatego oddzieliłem się drzwiami od pary nagich kobiet w mojej wannie, zamiast spokojnie poczytać ich tatuaże.

– I tak byś nic nie zrozumiał. Na pewno są po ukraińsku.

– Hmm... Ciekawe, jak w tym języku powiedzieć „złośliwy ekshibicjonizm z premedytacją”.

– Jeśli ktoś tu potrzebuje medykacji, to tylko ty, Bobby – odezwała się Halina, poprawiając turban z ręcznika.

Kątem oka dostrzegłem, że ma na sobie luźną koszulkę trykotową i szorty. To i owo jej falowało w rytm kroków i zderzało się ze sobą, ale przynajmniej nie musiałem tego oglądać na żywo i w naturalnych barwach.

– Nie medykacja, tylko premedytacja – sprostowałem. – Jasny gwint, latają ci po domu na golasa, uprawiają głośny seks, a potem i tak to ja muszę się tłumaczyć z różnych śmiesznych, ich zdaniem, powiedzonek. To już lepszych współlokatorów miałem w więzieniu.

– Pewnie seks też uprawiałaś tam częściej – wyraziła przypuszczenie Oksana, szczerze owinięta w szlafrok.

– I jeszcze na dodatek siłą się na dowcipy. Byłybyście hitem na tournée po syberyjskich gułagach. No, siadajcie już. Mamy sporo do obgadania.

– Nie chcę zostawać na zewnątrz, skoro Harrison wchodzi – rzekł Wendell. – Ja mam doświadczenie w takich sprawach. On nie ma.

– Potrafię dawać sobie radę – obruszył się Clarence jak dziewięciolatek.

Przypomniało mi to jednak, że mam do czynienia z normalnymi ludźmi, a w przeciwieństwie do jednostek Kontraktaku nie mogę im przyrzec, że w razie czego załatwię im nowe ciała.

– Nie w tym rzecz – odparłem. – Nie martw się, będę uważał na Harrisona.

– Hej, nie mówcie o mnie, jakbym był dzieckiem!

– Ale on już jest poniekąd spalony – ciągnąłem, nie zwracając na niego uwagi. – Nasi bossowie wiedzą, że po zakończeniu misji szpiegowskiej wolał zostać tu z nami jako adwokat i że się kolegujemy. Natomiast nikt nie wie, że ty jesteś z nami, Wendell.

– I co z tego?

– To, że jak się zrobi kiepsko, musimy mieć kogoś na zewnątrz, żeby nas po prostu nie zniknęto.

– Myślisz, że może nam się nie udać? – spytała Oksana.

– Nie wiem, ale nie ma co ukrywać, że to możliwe. Wchodzimy

na teren wroga. W najlepszym razie, nawet gdy tam niczego nie ma, będziemy uznani za włamywaczy przyłapanych na gorącym uczynku w szacownym muzeum. Nie wiem jak wy, ale ja nie chciałbym strzelaniny, w której przyszłoby nam może zastrzelić paru niewinnych śmiertelników, więc niewykluczone, że będziemy zmuszeni się poddać. I właśnie dlatego ty, Wendell, nie możesz się pakować w najgorszy zamęt. I tak będziesz miał kupę roboty. Dasz radę załatwić tę sztuczkę z kamerami, o której mówiłeś?

– Zapętlić obraz? Jasne, ale to nie jest gwarantowane zabezpieczenie. Weźmy choćby zegary. Na filmie nie będą chodzić, jeżeli któryś jest w polu widzenia kamery. No i chciałbym wiedzieć, ilu tam naprawdę jest strażników.

Zajrzałem do notatek.

– Dwóch w skrzydle azjatyckim, o ile wiem, i jeszcze czterech plus szef zmiany w gmachu głównym, gdzie mają centralę monitoringu. Musisz się włamać do systemu, śledzić obrazy i meldować nam, gdzie oni są. Słowem, oczy szeroko otwarte.

Wendell tylko machnął ręką: załatwione.

– Ale po co tyle broni, Bobby? – wyraził wątpliwość Clarence. – Jak na faceta, który nie chce nikogo ustrzelić, naszykowałeś jej chyba trochę za dużo.

– Nie powiedziałem, że nikogo. Mówiłem o niewinnych śmiertelnikach. Z tego, co wiemy, to może być dla Anaity drugie co do ważności miejsce w San Judas, które musi chronić. A jeśli róg tam rzeczywiście jest, to i najważniejsze. Dosłownie nie mam pojęcia, co

tam możemy zastać, zwłaszcza gdyby miała jakieś tajne pomieszczenia. Są stwory, które potrafią latami trwać w uśpieniu i zbudzić się tylko wtedy, gdy zjawi się ktoś niepowołany. Wiem, bo parę takich już kiedyś chciało mnie pożreć.

– I my wiemy, a jakże – burknął Clarence. – Bobby Dolar, dzielny ogier, za pan brat z niebezpieczeństwem, śmiertelnie groźne skrzyżowanie Sama Spade’a z Eddiem Murphym...

– Chyba Audiem Murphym – cicho wtrącił Wendell.

Przynajmniej jeden z nich oglądał właściwe filmy.

– Wszystko jedno. Chodzi o to, Bobby, że jak się za dużo дума, to można...

– Nie można, Młody. Dopóki zależy ci na życiu. I dlatego przelecimy przez wszystko jeszcze raz.

Amazonki grały w kółko i krzyżyk na jednej z moich map. Clarence jęknął żałośliwie.

– Przecież było przeleciane już trzy razy!

– I akurat mamy czas na czwarty, zanim będę musiał wyjść – odparłem surowo. – Tatuś za czterdzieści minut ma spotkanie w „Crown Roast”.

– „Crown Roast”? – Młody uniósł brwi. – To nie w twoim stylu. Randka z informatorem?

Chciałem skłamać, ale zrobiło mi się głupio. W końcu wystawiają się dla mnie na szwank, mogą nawet zginąć.

– Coś w tym rodzaju, ale niezupełnie. Umówiłem się na kolację z

Monicą Naber, żeby jej podziękować za ustawienie nas z „Vanity Fair”. Kazała mi wybrać miejsce, gdzie nie podają surowej rybiej ikry albo makaronu z ogonków rzodkiewek... to cytat... więc zdecydowałem się na coś w jej guście. Rybka, mięsko, morze sangrii.

– Pokręciłem głową. – Wasz nieustraszony przywódca po raz kolejny poświęci się dla wspólnego dobra. Przyniosę wam trochę papryczek jalapeño nadziewanych serem czy innych przysmaków.

– Och, czy to znaczy, że zaliczysz dziś też trochę seksu? – spytała Halina.

– Może wtedy przestanie być taki marudny – mruknęła Oksana.

– Ugryźcie się w nos. Nawet o tym nie wspominajcie. Sprawa będzie skomplikowana nawet bez mieszania w to układów męsko-damskich. I nie zapominajcie, że za czterdzieści osiem godzin idziemy na akcję. Przygotujcie wszystko, dopracujcie alibi. Wszyscy wiedzą, co robić? Świetnie. W takim razie na wszelki wypadek powtórzmy jeszcze raz.

Zanim Monica wszystko mi zrelacjonowała, kończyliśmy już kolację. Ja wziąłem sobie żeberka z wielkim pieczonym ziemniakiem i wszystkimi szyskanami. Moja towarzyszka po kobiecemu zamówiła miniaturowy befsztyczek, nie większy od oka chomika, i gigantyczną mieszaną sałatę. Gdyby wysypać ją na tegoż chomika, miałyby żarcia na dobry miesiąc, z chomikowaniem włącznie.

Piliśmy sangrię, trochę plotkowaliśmy. Dowiedziałem się, że Młody Elvis ma nową dziewczynę, i to śmiertelniczkę.

– Jest właśnie taka, jak sobie wyobrażasz – mówiła Monica. –

Sztuczne rzęsy, fryzura, jakby piorun grzmotnął w rabarbar. Gdyby jeszcze nosiła spódnicę z pudłem, przysięgłbyś, że czeka na powrót biednego Buddy'ego Holly z tournée. Tylko że on nigdy nie wróci.

Uśmiechnąłem się rozbawiony.

– Jeżeli poleciała na naszego Elvisa, to pewnie Big Bopper* jest bardziej w jej typie.

Dobrze było się spotkać z Monisią. Po pierwsze, babka rozumie te same rzeczy co ja. Po drugie, mówi bez ukraińskiego akcentu.

– A co tam u naszego przyjaciela Kochasia? – zaciekawilem się.

– To co zwykle. Długi ciąg złamań serca, głównie jego, a od czasu do czasu jakiegoś biednego chłopca, którego pokochał i na drugi dzień stracił. Ale to wszystko w ramach szczęśliwego scenariusza. Przysięgam, Bobby, w życiu nie widziałam, żeby się czymś smucił. Nawet gdy ciężko przeżywa jakiś tragiczny romans, to jak w dobrej komedii.

– A reszta bandy?

– Sam wiesz. Nic nowego. Walter wraca do dawnej formy. Przesyła ci pozdrowienia. Lepiej ty powiedz, co u ciebie.

Zaatakowany tak zniecka zareagowałem z właściwą w takich sytuacjach swadą:

– Że co?

– Co u ciebie, Bobby. Wypytujesz o wszystkich, chciałeś nawet wiedzieć, jak się nam układa z Tedem, ale o sobie ani słówka nie bąkniesz. Co się dzieje?

– Nie dokończyłaś mi wtedy opowiadać o was, skoro już o tym mowa. Między wami w porządku?

Popatrzyła na mnie wymownie. Wiedziała, że unikam tematu, ale przyjęła to z godnością.

– Nie mogę narzekać. Chciałam czegoś innego niż z tobą i teraz mam. Na Tedzie można polegać. Jest miły, uprzejmy, zawsze oddzwania. Otwiera przede mną drzwi.

– Ja też otwierałem.

– Tylko dlatego, że jeździłeś tym idiotycznie małym autkiem, w którym drzwi nie pozostawały otwarte i waliły mnie w głowę przy wysiadaniu.

– A, tak. To był buick kabrio. Brakuje mi go, fajny wozik. Czuło się każdy wybór. Jazda jak na wielkiej deskorolce z mocnym silnikiem.

– Do dzisiaj mam siniaki na kości ogonowej.

– Musiałem sprzedać matadora, wiesz?

– To ten z tapicerką w szachownicy?

– Tenże sam.

– Chciałabym ci współczuć, ale szczerze mówiąc, czułam się w nim jak u klauna. Albo nie, jak w restauracji imitującej jadłodajnię z lat pięćdziesiątych.

– Jasne, dorzucić coś jeszcze, skoro go tu nie ma i nie może się bronić.

– Nadal wykręcasz się od odpowiedzi, Bobby.

– Jakiej?

– Na swój temat. Coś się ewidentnie dzieje, a ty milczysz jak głaz.

Poczułem delikatne mrowienie na karku.

– Z czego to wnioskujesz?

Zaśmiała się. Kwaśno.

– Dałbyś spokój, Bob. Zapraszasz mnie na kolację? Kiedy ostatnio to zrobiłeś, co? Nawet gdy jeszcze sypialiśmy ze sobą.

– Musiałbym przerzucić stare wstrzymane czekki.

– Z początku tego wieku. Pytam poważnie. Zabierasz mnie do restauracji, uprzejmie zagadujesz o wspólnych znajomych, z którymi już nie chce ci się widywać, choć dalej przesiadują w tym samym barze... co tam w barze, niektórzy wciąż przy tych samych stolikach!

– Zmarszczyła brwi. – Znam cię, Bobby. Nie da się przez trzy lata budzić u boku faceta i niczego się o nim nie nauczyć. Coś cię gnębi. Nie, raczej czegoś się cholernie boisz. Masz nową dziewczynę, ale od nikogo nic o niej nie słyszałam i wcale nie dlatego, że ludzie chcą mi czegoś oszczędzić. Nikt jej nie zna, a i ty nic nie mówisz. Jedyne raz ci się wysnęło, gdy potrzebowałeś mojej pomocy, żeby się wkraść do domu jakiejś bogatej damy. Zrobiłeś tej swojej nowej dziecko czy jak? I chciałeś buchnąć z tej willi jakiś perski zabytek, żeby mieć na zabieg? – Nagle jej twarz się zmieniła. – Przepraszam, Bobby, to było okropne z mojej strony. Nie chciałam tak ostro. Ale wyduś wreszcie, co jest grane. Sądziłam, że rozstaliśmy się w przyjaźni.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Popatrz tylko, siedzimy sobie przyjaźnie jak nie wiem co, wyjadam ci grzanki, których nie dokończyłaś.

– Poznałam wszystkie twoje zręczne sztuczki, Dolar, i słyszałam wszystkie wymówki. Nie tak łatwo mnie zbyć. Jestem twoją przyjaciółką, to ze mną rozmawiaj.

I porozmawiałbym. W tej chwili strasznie pragnąłem rozmowy z kimkolwiek. Dlatego właśnie nalegałem na spotkanie przy kolacji. Monica była jedyną osobą, której mogłem wszystko powiedzieć i nie tylko by zrozumiała, ale i współczuła. Już nawet nie chodziło o Caz. Ale nie mogłem. Nie mogłem powiedzieć Monice czegoś, co musiałyby trzymać w tajemnicy, zwłaszcza gdyby w muzeum coś poszło z gruntu źle. Na razie była zamieszana tylko w podstęp z „Vanity Fair”; nie wiedziała nawet, o co chodzi. Jak mógłbym wciągnąć ją w to głębiej tylko po to, żeby mieć się komu wypłakać w sweter i dać się poklepać po plecach, pocieszać, że wszystko będzie okej? Cholera, nawet ja nie jestem aż tak samolubny.

To był w ogóle zły pomysł. Tym gorszy, że tak ucieszyło mnie to spotkanie, przypomniało, jaka z niej fajna dziewczucha.

– Nie mogę – wychrypiałem po długim milczeniu. – Musisz mi uwierzyć. Nie dlatego, żebym ci nie ufał. Po prostu nie chcę cię w to mieszać.

– Naprawdę? To chyba nie jest jedno z tych twoich przemówień typu „to nie twoja wina, tylko moja”, co? – Wbiła we mnie wzrok tak intensywnie, jakby chciała zajrzeć mi na dno duszy. Czasami myślałem, że ma taki dar, ale na ogół wiedziałem lepiej. No bo czy

którakolwiek kobieta byłaby ze mną, gdyby miała wgląd w moje wnętrze? – Niech to cholera.

– Co takiego?

– Teraz to ja się zaczęłam bać. Myślę, że mówisz prawdę. W coś ty się wpakował, Dolar? Powiedz. Proszę.

– W nic, z czym nie dawałbym sobie rady. – Największe kłamstwo tygodnia, bez dwóch zdań. – Naprawdę, nie ma co się martwić. Po prostu jestem ostrożny. – Oddałem kelnerowi rachunek i parę banknotów. – Reszty nie trzeba. Drinka na drogę, Naber?

Patrzyła na mnie jak wnuczka na stetryczalego dziadka, który właśnie oznajmił, że się wybiera w długą podróż.

– Raczej nie. Mam wstąpić do „Cyrkla” zobaczyć się z Tedem i pewnie tam jeszcze coś wypiję. Jeśli nie dostanę zlecenia. Naprawdę wziąłeś urlop?

– Na jakiś czas. Dopóki sobie paru rzeczy nie poukładam.

Odprowadziłem ją na parking. Przed autem zatrzymała się, odwróciła i zarzuciła mi ręce na szyję. Zanim zdążyłem dać odpór, przytuliła się do mnie ciasno. Dotyk jej ciała sprawił mi przyjemność. Bezmyślnie pozwoliłem dłoniom osunąć się na jej biodra. Bardzo piękne biodra.

– Zadzwonisz wkrótce, tak? – spytała. – Żeby dać znak, że wszystko w porządku.

– Jasne. – Zazwyczaj nie mam problemu z tego rodzaju kłamstewkami nawet wobec kobiet, które naprawdę lubię. Jak ona. –

Nic mi nie będzie. Wszystko się ułoży. – Zamilkłem. Powiniennem w tej chwili ją puścić, ale nie zrobiłem tego. – I dzięki za wszystko. Jesteś cudowną osobką, Monico. Najlepszą w niebiesiach.

Wzmocniła uścisk.

– Znowu mnie przerażasz – szepnęła. – Chyba że to flirt.

– Nie. Nie flirt.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w usta, delikatnie i ostrożnie. Nic romantycznego, przynajmniej z początku, ale też przez sekundę żadne z nas tego nie przerwało, a potem zaczęło to wyglądać, jakby zadziało się coś innego. Byłem samotny, przerażony, a ją tak dobrze było czuć przy sobie. To było uczucie nie tylko swojskie, lecz takie... właściwe. Znałem ją, ufałem jej, chciałem mieć przy sobie i nie wypuszczać z rąk, choćby przez te kilka sekund. Przesunąłem dłonią po jej plecach... i wtedy sobie przypomniałem, z jakiego powodu tkwię w tych tarapatach: Caz. Drobną, porywczą, lśniącą jak fajerwerk, na zawsze uwięziona w Piekło – chyba że dokonam niemożliwego. Musiałem przynajmniej spróbować.

Puściłem Monicę i cofnąłem się o krok.

– Zawsze będziesz mi droga, Moniczko – powiedziałem. – Cokolwiek się stanie.

Odwróciłem się i poszedłem do swojej bryki.

– O mój Boże! – usłyszałem. Powiedziała to głośno, może po to, by się otrząsnąć z nastroju chwili. – Pozbyłeś się klaunowej szachownicy, żeby kupić taksówkę?

– Nie każdemu się udają takie sztuki – odrzekłem, nie oglądając się.

Gdyby powiedziała cokolwiek innego, może bym zawrócił. Na szczęście dla nas obojga nie zrobiła tego.

– Taka nikomu się nie uda, Dolar.

Posłałem jej moje najlepsze nonszalanckie machnięcie ręką.

– Ech, ty małej wiary. Poczekaj, aż usłyszysz, jak to cacko zaryczy. Ma pod maską co najmniej osiem koni.

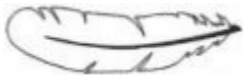
– Uważaj na siebie, Bobby! – krzyknęła, gdy otwierałem drzwi. – Poważnie. Nie żartuję. Jak zrobisz coś kretyńskiego i dasz się zabić, to... to cię zamorduję.

Tak miłej pogroźki już dawno nie otrzymałem.

* Holly, Big Bopper – amerykańscy piosenkarze i kompozytorzy, pionierzy rock and rolla (obaj zmarli przed trzydziestką, w 1959).

Dwadzieścia osiem

Co się dzieje w Oceanii



Okej, moja kolej – rzuciłem do ukaefki. – Wy zostańcie na miejscu i starajcie się wyglądać groteskowo.

Nie była to kpina ani nawet żarcik. Znajdowaliśmy się w ogrodzie rzeźb na tyłach muzeum imienia Elizabeth Atell Stanford, a jak powszechnie wiadomo, pełno tam naprawdę dziwacznych posągów.

Znalazłem punkt zaczepienia i zacząłem wspinaczkę po murze. Przeszkadzał mi porastający go bluszcz, o tej porze roku pokurczony i prawie bezlistny; z gorzkiego doświadczenia wiem, że nie należy temu draństwu ufać, jeśli nie zmusza do tego nagły wypadek (wiecie, jak w sytuacji, gdy nagle trzeba zwiewać przez okno). Omijałem więc zdrewniałe łodygi, wybierając powolniejszy i wbrew pozorom bardziej bezpieczny sposób: chwytanie się cegieł.

Muzeum mieści się w dawnej rezydencji rodziny Stanfordów, w samym środku kampusu. Brytyjczycy pieśczośliwie nazywają takie budowle „stertami” (pierwowzór stoi sobie gdzieś w Anglii i nosi nazwę po którymś z licznych książąt; możecie go sobie wygoogłać). Innymi słowy, jest to monstualna konstrukcja z czerwonej cegły, z

blankami, wieżyczkami i wszelkimi szykanami. Musieliśmy się dostać do nowego skrzydła. W oryginalnej posiadłości zapewne mieściłyby się w nim stajnie czy coś w tym rodzaju; tu była to długa piętrowa przybudówka ze szklanym dachem. Ponieważ jednak powstała niespełna dwadzieścia lat temu, uznałem, że łatwiej będzie wejść przez dach starej części. Dlatego właśnie mozolnie piąłem się po murze, starannie wybierając punkty oparcia, jakbym rzeczywiście się na tym znał.

Przeżyłem dramatyczny moment, kiedy rynna mi zachybotła pod stopą, zdążyłem jednak przerzucić brzuch na krawędź dachu, zanim stało się cokolwiek hałaśliwego. Chwilę leżałem nieruchomo, dysząc z wysiłku. Wyjąłem z plecaka linę, zamocowałem koniec i zrzuciłem resztę na ziemię, gdzie czekał mój zespół. Gdy tylko ustało drżenie nóg, popęzłem ostrożnie po szklanych płytach w stronę dachu głównego budynku. Dotarwszy do celu, wstałem i dalej posuwałem się skokami od komina do komina, aż się znalazłem przy drzwiach serwisowych. Były masywne, nowoczesne i zaopatrzone w solidny zamek patentowy, którego nie dałbym rady pokonać, nie czyniąc przy tym łomotu na miarę ćwiczeń wojskowych. Na szczęście był tam też zamek cyfrowy na kartę.

– Duster, tu Cash – wywołałem przez ukaefkę Wendella. – Jestem pod pierwszymi drzwiami. Wszedłeś w system?

– Tak – odpowiedział. – Strażnik właśnie wyszedł z Oceanii na dół. Kartę masz?

Wendell siedział w okropnym chryslerze Clarence'a na parkingu

przy auli głównej, kilkaset metrów od muzeum. Wykład prowadził akurat kontrowersyjny profesor ze Wschodniego Wybrzeża i w kampusie panował spory ruch, dzięki czemu było nam łatwiej działać. Policja uniwersytecka niechętnym okiem patrzy na obcych wałęsających się po terenie uczelni bez dobrego wytłumaczenia.

Wyciągnąłem z kieszeni kartę elektroniczną.

– Mam – rzuciłem do mikrofonu. – Właśnie ją wkładam do czytnika.

Sprzyjało nam to, że muzea, nawet te lepsze, nie przykładają takiej wagi do zabezpieczeń, jak na przykład instytucje finansowe czy rządowe ośrodki badawcze. Nie chcę przez to powiedzieć, że przybytek Stanforda stoi otworem dla każdego złodzieja; po prostu o wiele łatwiej jest wykraść dane muzealnikowi niż naukowcowi z NASA. Stąd właśnie owa karta w moim posiadaniu, podrobiona na podstawie informacji uzyskanych od kustosza. Miała nie tylko umożliwić nam pokonywanie wszelkich zamków elektronicznych, lecz także zostawić mylny trop: prawdziwy kustosz tego wieczoru był w pracy, zajęty przygotowaniem wielkiej nowej wystawy w Sali Północnoamerykańskiej w gmachu głównym, niedaleko od miejsca, w którym w tej chwili stałem. Przesunąłem kartę przez szczelinę czytnika. Mrugnęło zielone światełko, kliknął zamek i drzwi się otworzyły.

– Doskonale. Jestem w środku – oznajmiłem.

Muszę przyznać, że moje wątpliwości co do kwalifikacji Wendella rozwiały się bezpowrotnie. Facet robił świetną, profesjonalną robotę.

Nadal nie do końca mu ufałem – bo jak inaczej? Byłem jednak w punkcie, gdzie musiałem brać pewne rzeczy na wiarę (jeśli wolno mi użyć tego zwrotu w odniesieniu do włamywania się do muzeów i prowadzenia prywatnej wojny z potężnymi aniołami i demonami). Nie miałem nikogo poza Clarence'em, jego chłopakiem i Amazonkami. Bez Sama, który wciąż się do mnie nie odzywał, nie miałem wyboru, jedynie rzucić kości i liczyć na łut szczęścia.

Clarence i dziewczyny dołączyli do mnie parę minut później. Stopnie były metalowe i każdy krok niósł się głośnym echem, schodziliśmy więc powoli. Na dole znów musiałem użyć karty. Znaleźliśmy się na korytarzu serwisowym na tyłach Sali Północnoamerykańskiej. Uprzedziłem zespół, że tuż obok trwają prace, przemknęliśmy więc szybko i cicho dalej. Jeszcze dwukrotnie musieliśmy otwierać kolejne przejścia (w tym jedno metodą tradycyjną, z użyciem przybornika włamywacza, spoconych palców i zduszonych przekleństw), zanim w końcu wynurzyliśmy się na piętrze pustego działu azjatyckiego. Od schodów wewnętrznych dzieliła nas cała przestrzeń wystawy poświęconej sztuce Oceanii i Pacyfiku.

Nie było to przyjemne miejsce. Jeżeli znacie w San Judas ludzi mniej podatnych na muzealne strachy niż ja, chętnie bym zawarł z nimi znajomość – w końcu paru moich najlepszych kumpli to duchy, a ja sam przeszedłem przez Piekło, nie? Niemniej musiałem przyznać, że kluczenie poprzez księżycowe chiaroscuro wśród ceremonialnych masek z Melanezji i naturalnej wielkości nowogwinejskich fetyszów ozdobionych włosami i zębami prawdziwych truposzczaków potrafi

zagrać człowiekowi na nerwach. Tak sobie na przykład czasem wyobrażam noc w „Świat jest mały”*: wszystkie postacie ożywają i przerzucają się pomysłami najgorszych tortur i rodzajów śmierci, jakimi chciałyby potraktować rozwrzeszczane bachory i ich głupkowato uśmiechniętych opiekunów na łódkach.

Ta ekspozycja przypomniała mi też Dwór Wyspiarzy, w którym nie tak dawno spędziłem interesujący wieczór przemocy, krwi i wrzasków. Miałem nadzieję, że to nie jakiś omen.

Nawiasem mówiąc, gros najstraszniejszych eksponatów zgromadziła osobiście pani Elizabeth Atell Stanford, co daje pewne pojęcie o jej charakterze i preferencjach.

Nie zrozumcie mnie opacznie. Nie mam nic przeciwko kulturze wysp Pacyfiku, ale kiedy człowiek na każdym kroku natyka się na wybałuszone gniewnie ślepia i wyszczerzone ludzkie zęby, do głosu coraz mocniej dochodzi pogląd, że co się dzieje w Oceanii, tam też powinno sobie zostać.

Spojrzałem na zegarek. Jeżeli wszystko idzie zgodnie z planem, mamy dobre dziesięć minut, zanim patrol dokończy obchód parteru. Chciałem zacząć zaraz po ich odejściu, bo ta część interesowała mnie najbardziej. Przycupnęliśmy więc u szczytu schodów, czekając, aż Wendell, który śledził wszystko za pośrednictwem systemu bezpieczeństwa, da nam zielone światło. Przyjaciel Clarence’a wybrał u Orbana bardzo fajne środki łączności; Madziar przyjął je w rozliczeniu za opancerzenie samochodu od handlarza narkotyków, któremu płynność finansową chwilowo odebrało wahnięcie na rynku

cracku. Obie dziewczyny miały na plecach zbiorniki; Halina od miotacza ognia, Oksana od przemysłowego opryskiwacza z roztworem azotanu srebra. Zaopatrzyłem je też w noktowizory na podczerwień; my z Clarence'em ich nie potrzebowaliśmy – mamy w końcu anielskie oczy i dość sprawnie pracujemy w ciemności. Sądząc po naszym wyposażeniu – broń maszynowa z tłumikami, zwoje lin, haki, łomy i tak dalej – można by wziąć nas za drużynę szykującą się do szturmowania twierdzy Al-Kaidy w górach Spin Ghar, a nie do spenetrowania muzeum sztuki egzotycznej. Tuż obok nas stał manekin odziany w przepyszną pelerynę z piór rajszych ptaków; aż żałowałem, że nawet dla anielskich oczu jest zbyt ciemno, aby w pełni rozkoszować się jej barwami.

Kiedy Wendell w końcu dał nam sygnał, ruszyliśmy cicho na dół. U podnóża schodów zaczekaliśmy, póki nie sprawdzi, czy teren na pewno już czysty. Ekspozycja jest zaaranżowana geograficznie, w drodze do części zachodnioazjatyckiej, gdzie Edie odbierała najsilniejsze wibracje, musieliśmy więc minąć Japonię, Chiny, Koreę i Azję Południowo-Zachodnią. Czy róg Eligora schowany jest w czymś małym, jak skrzynia przemytnika? A jeśli w czymś dużym, to czy dyrekcja muzeum wiedziała o tym od początku? Wydawałoby się, że wygospodarowanie na ten cel znacznej przestrzeni bez wiedzy osób odpowiedzialnych wymagałoby sztuki iście prestidigitatorskiej – ale kto może wiedzieć, jak wielkie są archanielskie zdolności do zaćmiewania ludzkich umysłów?

Przemknęliśmy między gablotami pełnymi statuetek z Tanagry i chińskich złocień. Starłem się rzucić okiem na każdy mijany

eksponat, choć nie spodziewałem się ujrzeć niczego przydatnego. Nawet najbardziej szalony anioł, któremu życie wieczne zbrzydło, dwa razy by się zastanowił, zanimby schował demoni róg na widoku w miejscu publicznym. Tym mniej można o to posądzać Anaiteę, gracza pierwszej wody, skoro tyle tysięcy przetrwała w środowisku, przy którym – przynajmniej jeśli chodzi o subtelność działania – Zakazane Miasto wygląda jak Ulica Sezamkowa.

– Duster, jesteśmy prawie na miejscu – szepnąłem do mikrofonu, gdyśmy dotarli do celu. – Odbierasz? Gdzie strażnicy?

– W tej chwili nie mam pewności – padła odpowiedź. – Ale w waszym skrzydle nie widać żadnego ruchu. Cash, możecie zaczynać.

Nie zaliczam się do wielkich fanów muzealnictwa, no i wleźliśmy tu w środku nocy ze złymi zamiarami, w każdej chwili narażeni na gniewną reakcję potężnego anioła – ale powiem wam, że zbiory w sektorze perskim okazały się naprawdę wspaniałe. Większość eksponatów pochodziła z czasów świetności imperium, sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Były tam królewskie puchary w kształcie byków, cudowne dywany o powtarzalnych wzorach w złocie i srebrze na jedwabnej osnowie, tak misternie tkane i czarująco piękne, że chciało mi się obejrzeć je wszystkie dokładniej. Tylko że nie było na to czasu. W tym cały problem. Zaczynałem się znów denerwować.

A jeśli róg tu jest, lecz nie w jakimś sejfie, tylko właśnie na widoku? W samym nowym skrzydle Anaita miała do wyboru setki artefaktów. Co najmniej połowa była odpowiednio duża, by pomieścić coś tej wielkości. Nawet gdybym zawęził poszukiwania do

rzeczy wizualnie nawiązujących do rogów, też miałbym ich aż nadto: rogi zwierzęce i demonie, rogi do zadęcia i do spełniania toastów!

Co gorsza, Anaita równie dobrze mogła ukryć fant gdzie indziej: w chacie irokeskiej czy w kieszeni surduta kapitana bostońskiego statku wielorybniczego. Pożałowałem, że nie ma ze mną Edie Parmenter – ale sumienie wystarczająco mnie już kłuło za wciągnięcie w moje sprawy uzbrojonych i wyszkolonych Amazonek, żeby do tego jeszcze dokładać niewinne uczennice. Nie, naszą jedyną szansą na jakikolwiek użyteczny rezultat było znalezienie jakiegoś sejfu czy skarbcza i wdarcie się do niego. Lada chwila któryś ze strażników mógł zrobić coś nieoczekiwanego albo ktoś z muzealników przypomni sobie, że potrzebuje zszywacza, który zostawił koło tajskich koszy. Albo sama Donia Sepanta ma w zwyczaju wpadać nocą, by popatrzeć, co zdziały jej pieniądze. Czyż nie byłyby to fantastyczny zbieg okoliczności?

W tej właśnie chwili tuż przed sobą ujrzałem coś bardzo przypominającego Anioła Deszczu.

Choć niemal od razu wiedziałem, że to tylko mozaika ze szkła i kamieni półszlachetnych, to przyznam się, iż prawie poczułem serce w gardle – tak mocno mi zakołatało.

Panel, na którym wisiała (wyglądało na to, że jest osadzona na lekkim podłożu gipsowym i chroniona płytą ze szkła lub pleksiglasu), stał pod jedną z bocznych ścian, przy końcu kolekcji perskiej. Wyobrażona na niej bogini miała koronę i skrzydła, a u stóp dwa groźne lwy. Plakietka głosiła, że mozaika pochodzi z III wieku i

zdobiła ongiś pałac w Biszapurze. Nie było informacji, że to Anaita, rozpoznałem ją jednak na pierwszy rzut oka. Jej uśmiech był trochę niepokojący: bóstwo miało pogodną minę kogoś, kto o kilka kroków wyprzedza każdego potencjalnego wroga, który by chciał ją unicestwić. Jak na przykład ja.

Moja drużyna w milczeniu badała ściany wykrywaczami metalu, szukając ukrytych schowków. W pomieszczeniu było kilkoro drzwi i dwa krótkie korytarze; prowadziły do toalety, magazynku sprzętu pożarniczego, odkryliśmy też niewielki gabinet kustosa. Otworzyłem go fałszywą kartą, ale nie znalazłem w nim niczego podejrzanego.

Wracając do sali głównej, w słuchawce radiotelefonu usłyszałem kliknięcie.

– Cash, tu Duster, odbierasz?

– Nadawaj.

– Dzieje się coś... dziwnego. – Wendell mówił spokojnie, była jednak w jego głosie nutka napięcia, co mi się nie podobało. Brzmiało to, jak gdyby silił się na opanowanie w raptownie pogarszającej się sytuacji. – Nad wami jest strażnik. To znaczy, myślę, że to jeden z nich. W dziale Oceanii.

– O cholera. – Mieliśmy plan awaryjny na taką okoliczność, nie była to więc tragedia. – Trochę za wcześnie, ale możemy się schować w...

– Cash, słuchaj. Ktoś go rąbnął.

– Jak to rąbnął? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Gość leży martwym bykiem. Widać go tylko od pasa w dół, ale się nie rusza. Koło klatki schodowej, którą weszliście. To wy go...
tentego?

– Rąbnęliśmy? No coś ty! Jesteś pewien, że to nie jakiś cień?

– Cash, facet jest nieprzytomny. Chyba widzę krew. Kałuża rośnie. Musimy się wycofać.

– Psiakrew... Dobra, przyjąłem.

Pospieszyłem odszukać Clarence'a i Oksanę, którzy kręcili się na drugim końcu sali. Kiwnąłem na Halinę, by szła ze mną, ona jednak stała jak wryta przed mozaiką. Wiedziałem, że nienawidzi Anaity, ale nie była to dobra pora na poddawanie się nastrojom. Zawróciłem, by ją wytrącić z transu.

– Mamy problem – szepnąłem jej do ucha. – Musimy wiać.

– Coś jest nie tak z tym obrazem – odrzekła, jakby nie usłyszała, co mówię. Zdjęła gogle noktowizyjne, popatrzyła gołym okiem na mierzącą dwa i pół metra postać, po czym znów je nałożyła. – Na środku jest duże zimne miejsce.

– Nie ma na to czasu – ponagliłem. – Musimy kierować się do wyjścia. Kto wie, może nawet przyjdzie je sobie zrobić samemu.

Halina podeszła o krok, kompletnie mnie ignorując. Sięgnęła jak najwyżej i przesunęła dłonią wzdłuż brzegu panelu do samej podłogi, potem powtórzyła to po drugiej stronie. Musiała dotknąć ukrytego przełącznika, gdyż bogini nagle wzbiła się w powietrze.

Tak to w każdym razie wyglądało. Anaita i jej dwa koty uniosły się po ścianie na dobre dwa metry, odsłaniając ukryte za panelem drzwi. Przy klamce był czytnik, byłem jednak pewien, że biedaczysko kustosz, którego okradliśmy z danych, nic nie wie o tym przejściu i nie ma do niego wstępu. Próbowałem parę razy, lecz przeczucie mnie nie myliło: karta nie działała.

Dołączyli do nas Clarence i Oksana.

– Co się dzieje? – spytał Młody.

– Różne nieprzewidziane rzeczy – odszepnąłem. – Wendell zameldował, że piętro wyżej leży martwy lub ranny strażnik. Ale popatrz, co właśnie odkryła Halina.

– Czy to...?

– Były schowane za mozaiką przedstawiającą Anaitę. Jak myślisz? Bo wygląda na to, że zostało nam zero czasu, ale oto jesteśmy i nie mogę tak po prostu tego zostawić. – Wcisnąłem guzik nadawania i wywołałem Wendella. – Duster, masz coś nowego o tym rąbniętym?

– Nic. Nadal się nie rusza. Mam naprawdę złe przeczucie, Cash.

– Jako i ja, Duster, ale podejmuję decyzję. Cokolwiek się stało strażnikowi, nikt tego jeszcze nie zauważył. Kamery wciąż zapętlone?

– Tak, ale może właśnie dlatego on się tam zjawił. Takie rzeczy prędzej czy później budzą podejrzenia.

– Jakies pomysły co do otwarcia tych drzwi? Masz może w zanadrzu magiczne zaklęcia?

– Nie. I sugeruję, żeby zostawić je w spokoju. Zawsze można tu

wrócić.

– Mowy nie ma. Przynajmniej dopóki całe to gówno nie przywali mnie pionowym słupem. Bez odbioru. – Odwróciłem się do mojej ferajny. – No to mamy węzeł gordyjski.

– Jaki? Gwardyjski? – spytała Oksana.

– Lekcja historii w innym terminie. Teraz zajęcia praktyczno-techniczne.

Wyciągnąłem nowiutkiego glocka z tłumikiem i rozwaliłem czytnik kart paroma specpociskami, które Orban dorzucił w pakiecie. Broń okazała się zdumiewająco cicha; wątpię, by jakkolwiek odgłos wydostał się poza salę. Wyrwałem parę części z dymiącego urządzenia, po czym chwyciłem łom (Clarence miał go w trokach plecaka) i z całej anielskiej siły podważyłem zamek.

Młody wyraźnie zaczynał panikować. Strzałami się nie przejął, ale łom robił hałas, jakby największy na świecie żelaznozęby gryzoń zażerał się stalowymi jarzynami.

– Zdaje się, że mieliśmy stąd spadać – rzucił nerwowo. – A już na pewno, kurde, nie mieliśmy narobić bałaganu!

Musiał być naprawdę podminowany. Clarence nigdy nie przeklina.

– Plany się czasem zmieniają, przyjacielu – mruknąłem.

Nie wiem, co zrobiłem, ale w zamku coś przeskoczyło i drzwi odsunęły się na kilkanaście centymetrów. Ze szpary wionęło chłodne klimatyzowane powietrze. Nic dziwnego, że noktowizor wykrył tę

zimną płamę. Wsunąłem w nią obie dłonie i pociągnąłem. Chwilę potrwało, zanim do Młodego dotarło, że sam nie dam rady, i podskoczył na pomoc. Wspólnymi siłami pokonaliśmy opór mechanizmu.

Za drzwiami była mroczna klatka schodowa. Ostrożnie zszedłem na dół, a kiedy postawiłem nogę na ostatnim stopniu, włączyło się światło. Miałem przed sobą kolejne drzwi, tym razem zwykłe drewniane, bez elektronicznych cudeniek. Byłoby to naprawdę takie proste? Nacisnąłem klamkę. Drzwi się otworzyły i w środku zapaliły się lampy. W słuchawce trzeszczało, Wendell coś mówił, lecz nie rozumiałem ani słowa.

Rozglądałem się może pięć sekund, gdy od drzwi dobiegł mnie krzyk Oksany:

– Bobby!

– Jedną chwileczkę! – odkrzyknąłem. – Właśnie wszedłem!

– Cash, tu Duster. – Głos Wendella przebił się przez szum. –
Odpowiadaj!

– Nie teraz, Duster.

– Do diabła z tym! – niemal wrzasnął. – Przerwać akcję! Przerwać akcję!

– Co cię ugryzło, Duster? – zacząłem, lecz znów słyszałem tylko trzaski. Domyśliłem się, że nadchodzą strażnicy, ale prędzej padłbym trupem, niżbym miał zrezygnować teraz, kiedy już znaleźliśmy to tajne pomieszczenie. Coś się wymyśli, żeby ich zatrzymać. – Duster,

powtórz ostatni meldunek.

– Bobby! – Teraz to Clarence mnie wołał. – Lepiej wracaj tu na górę.

Jeszcze chwila i szlag mnie trafi.

– Dacie mi wszyscy wreszcie spokój?

– Natychmiast!!!

Takiego tonu nigdy jeszcze u Młodego nie słyszałem. Pognałem na górę, przecisnąłem się obok stojącej przy drzwiach Oksany i stanąłem jak wryty.

Cała podłoga sali zachodnioazjatyckiej drgała czarnym, nadprzyrodzonym życiem. Dziesiątki swastykowatych Koszmarnych Dzieci przemykały między eksponatami i parły ku nam niczym kolumna mrówek do cukrowych baranków.

– O cholera.

Mało oryginalne stwierdzenie, ale nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Kiedy następnym razem znajdę się nocą w muzeum pełnym potwornych pajęczaków z dziecięcymi dłońmi, wysilę się na coś inteligentniejszego.

I jeszcze jedno. Kiedy są w takiej liczbie, słyszy się, jak oddychają. Brzmiało to jak syk cyklonu B płynącego z dysz w komorze gazowej w Bergen-Belsen.

* *It's a Small World* – jedna z atrakcji w Disneylandzie: przejażdżka wodna ciemnym tunelem z licznymi animowanymi lalkami w kostiumach z całego świata, propagująca pokój i jedność ludzkości.

Dwadzieścia dziewięć

Siła złego



Oksana! – krzyknąłem. Powinienem się trzymać pseudonimów, ale w gorączce chwili, wśród atakujących swastykoszmarków, chyba będzie mi to wybaczone. – Prędko, spryskaj to świństwo!

Pierwsze bryzgi azotanu srebra wyszły liche, ale skutek i tak był piorunujący. Najbliższe stwory stanęły w płomieniach. Powietrze rozdarło wycie tak wysokotonowe, że prawie na granicy ultradźwięków – jakby nagle pluton dentystów włączył mikroskopijne szybkoobrotowe wiertła. Niestety, swastykoszmarki są zbyt prymitywne lub może nieczułe, by los palonych towarzyszy dał im do myślenia; pozostałe napierały dalej, choć starały się omijać ich wrzące pozostałości.

Nie bardzo się spodziewałem jeszcze kiedyś ujrzeć te paskudztwa, ale wolałem się przygotować na różne niespodzianki – i stąd pomysł z azotanem. Gdy pierwsza ich fala rozpuściła się w kałuże pełne sierści i drgających paluszków (wydzielając przy tym obrzydliwy smród, jakiego nie doświadczyłem nigdy przedtem, nawet w Piekło), dobyłem maczety i ruszyłem do kontrataku. Dla oszczędności

kazałem Orbanowi tylko posrebrzyć stalowe ostrza, ale to wystarczyło. Ilekroć udało mi się ciąć lub dźgnąć któregoś, choćby w łapę, bydlę rozpadało się na płonące rozedrgane kawałki.

Clarence też złapał maczetę. We dwóch zdołaliśmy utrzymać czystą przestrzeń wokół wejścia, lecz armia swastykoszmarków wydawała się nieprzeliczona. Oksana dzielnie biegała tam i z powrotem wzdłuż ściany, polewając front śmiercionośnym jak napalm roztworem, wiedziałem jednak, że nie da się tego ciągnąć w nieskończoność. Nawet jeśli dysza się w końcu nie zatka, to w zbiorniku nie było aż tyle zapasu. Płynny azotan srebra jest cholernie ciężki. Mogłem się tylko modlić, żeby stworów nie przybywało.

Rąbałem, ciąłem i kłułem jak szalony, ale i one nie próżnowały. Długo nie trwało i poczułem na nodze chwyt drobnych dłoni. Sięgnąłem w dół, chwyciłem zuchwalca, zerwałem z siebie niczym rozgwiazdę ze skały i cisnąłem jak najdalej. Był to jednak trud Syzyfa. Ledwo pozbyłem się następnego, już dwa inne jęły mi się wdrapywać na plecy. Parę sekund później poczułem, że wstrętna łapa dobiera mi się do karku.

Pewnie się już zorientowaliście, że nie należę do nadwrażliwych. Atakowany przez rój tych potworów, byłem jednak bliski paniki. Niewiele brakowało, żebym zaczął biegać w kółko i drzeć się jak opętaniec. Z żelaznego uścisku strachu wyrwał mnie widok wielkiej chmury ognia, która przetoczyła się przez największy tłum napastników. Dymiące, pokurczone w płomieniach stwory podniosły jeszcze większy, nieludzki wrzask, od którego boleśnie zawibrowała mi czaszka.

– Halina, nie! – krzyknąłem. – Oszczędzaj paliwo!

Na razie nie byliśmy jeszcze w śmiertelnym niebezpieczeństwie, poza tym nie chciałem, żeby włączyła się instalacja tryskaczowa – z całej gamy powodów, między innymi z troski o los bezcennej kolekcji. Nie wiedziałem, czy Wendell pamiętał, by odłączyć czujniki pożarowe.

Z opryskiwacza Oksany płynęły już tylko drobne strumyczki azotanu. Koszmarne Dzieci nie ustawały w natarciu, zdawało mi się jednak, że ich szeregi już się przerzedziły, i czułem, że uda się nam utrzymać je na dystans, dopóki nie znajdziemy drogi ucieczki z muzeum. Naturalnie zrodziły się pytania – po pierwsze, skąd się one w ogóle tu wzięły? Czyżby również Anaita miała je na usługi? I czy tylko nimi powinniśmy się martwić?

Niezmordowanie odgrywałem rolę Conana Barbarzyńcy, siekąc wokoło posrebrzonym brzeszczotem, gdy nagle tuż nade mną rozległ się potężny zgrzyt, zagłuszający nawet krzyki moich towarzyszy i wycie płonących swastykoszmarków. Bałem się nawet spojrzeć w górę – ale nie było to konieczne, gdyż trzy sekundy później paręset kilogramów żywej marmolady jagodowej wyłamało kratkę wentylacyjną i zleciało prosto na mnie.

– Dzikorobak! – wrzasnęła Oksana.

Gumowata masa wiła się i drgała, przygniatając mnie do podłogi, miała jednak na tyle podzielną uwagę, by masywną wypustką zdzielić Clarence’a i niemal go znokautować. Młody poleciał na najbliższą gablotę, która eksplodowała w chmurze szkła i bezcennych

ekspонатów.

Siedziały na mnie co najmniej dwa dzikorobaki, a z rozbitego kanału wentylacyjnego wylewały się kolejne. Pamiętajcie, że jeden taki potwór omal mnie nie ukatrupił; teraz mieliśmy do czynienia z kilkoma naraz. Oksana zaciekle opryskiwała je roztworem, co jednak nie przynosiło skutku większego niż parę bąbli i nadżerek na ich czarnych połyskliwych ciałach. Strumień zresztą raptem ustał – zbiornik był pusty. Jedno ze zwisających z sufitu monstrów chybotnęło się ku niej jak wahadło i chociaż nie trafiło wprost, tylko musnęło ją bokiem, już to wystarczyło, by zbić ją z nóg i posłać pod ścianę. Oksana uderzyła głową o posąg Buddy i znieruchomiała. Wyglądało to tak, jakby oddawała mu cześć. Jasne, byt to cierpienie, pomyślałem. Kapuję, nie trzeba mnie przekonywać. Oksana nie jest aniołem i nowego ciała z niebieskiego magazynu nie dostanie. Miałem nadzieję, że nie odniosła poważniejszej kontuzji.

Dzikorobaki nie są wytworem Piekła, lecz czymś starszym i dziwniejszym. Dowiedziałem się tego po tym pierwszym spotkaniu. Można je wezwać i zaprząć do pracy – potrafią to niektóre demony i większość doppelgängerów – nie mają jednak za wiele własnego rozumu. To je ogranicza, ale zarazem czyni odpornymi na perswazję, nie kombinują bowiem po swojemu. Przeciętny dzikorobak ma wielkość dorodnego odyńca, ale na tym podobieństwa się kończą. Ich galaretowate cielska są rozciągliwe, mogą się nawet dzielić i ponownie zrastać. Walczyć z czymś takim, gdy się raz na tobie oplecie, to jakby próbować gołymi rękami rozerwać oponę.

Są więc dusicielami, spytacie? Cholera, chciałbym, żeby tylko tak

z nimi było. Najdziwniejszą ich cechą jest bowiem to, że potrafią utwardzać wybrane fragmenty ciała, jak się na własnej skórze przekonałem podczas walki w datsunie. W ciastowatej gębie nagle mogą wyrosnąć zębiska; amebowatej wypustce przybędzie rogowych szponów. Wizualnie można to poznać po zmianie barwy z czarnej na fioletowobiałą. Nawet jeśli odłupiesz potworowi te stwardniałe części, odłamki po prostu zmiękną, poczernieją i na powrót zleją się z resztą. Dlatego też nawet w ekstremalnej sytuacji nie warto marnować na dzikorobaka amunicji.

A sytuacja była właśnie taka (generał Dolar raportuje z pola bitwy): jedna Amazonka nieprzytomna, Clarence też chwilowo wyeliminowany i tylko Halina gdzieś za moimi plecami dzielnie tnie maczetą. Z dwoma atakującymi mnie dzikorobakami wielkości młodych hipopotamów musiałem więc radzić sobie sam. Ten bliżej mojej głowy był już zębaty jak pirania, a jeszcze wyrastały mu purpurowe igły jak u jeżozwierzka; gorszy był jednak drugi, który tak ścisnął mi żebra, że ledwo mogłem oddychać. Przyłożyłem do niego maczetę i jałem rznąć, co szło mi niesporo, ale w końcu drań odpuścił. Pozbierałem się na czworaki i wziąłem do zębacza, odrąbując go z siebie po kawałku. Swastykoszmarki nadal się do mnie dobierały, mogłem jednak się zajmować tylko jednym typem zagrożenia naraz.

Dzikorobaka można spowolnić przez odcinanie z niego kolejnych porcji, ale w końcu i tak się zrastają. Ogień działa lepiej, ale jak Orban mi wielokrotnie powtarzał, miotacz Haliny ma paliwa na trzy dobre strzały, a jeden już wykorzystała.

Przeżyłem dziwny moment, gdy ostrze maczety przecinało niby-ryj potwora usiłującego odgryźć mi głowę. Niewiele brakowało, a przy okazji oderznąłbym sobie nos, zdołałem jednak w ostatniej chwili skrócić nadgarstek. Cięcie było skuteczne; bydlę ześliznęło się ze mnie i wprawdzie od razu zaczęło się scalać na nowo, ale przez chwilę byłem wolny.

Wycofałem się w stronę Haliny, abyśmy mogli się wzajemnie osłaniać. Clarence stanął na nogi (chłopak okazał się całkiem twardym zawodnikiem) i choć kulał i krwawił, zdołał podnieść wciąż nieprzytomną Oksanę i przedrzeć się do nas przez rój Koszmarnych Dzieci. Wsparci o siebie plecami czekaliśmy z uniesioną bronią. Ten pat trwał tylko chwilę. Było jasne, że przegrywamy. Z sufitu wyciekły trzy albo cztery nowe dzikorobaki; z głośnymi plaśnięciami spadały na podłogę i uniesione na czterech niby-łapach szykowały się do natarcia. To już zakrawało na zlot piekielnych galaret. Nasze szanse malały z każdą chwilą.

– Oszczędzaj paliwo, Halino – przestrzegłem, widząc, że Amazonka unosi dyszę miotacza ognia.

– Jak to? Przecież one nas zabijają!

– Zaufaj mi. To nasza jedyna skuteczna broń. Możemy jej potrzebować podczas odwrotu.

– Podczas odwrotu! – wychrypiął tonem bliskim wybuchu Clarence. – A to dobre!

– Trzymaj się, Harrisonie. Jeszcze mamy maczety i po parę magazyneków srebrnej amunicji. Powiem wam, kiedy przerzucić się

na pistolety.

I wtedy najbliższe dzikorobaki, rozciągnięte w długie wałki, nagle uniosły się jak kobry i rzuciły ku nam ruchem szybkich i wściekłych gąsienic. Zamachnąłem się maczetą, ale szły tak ciasno zwarte, że równie dobrze mógłbym próbować ściąć wierzchołek całej oceanicznej fali z twardniejącego kitu: przechlastałbym jednego, a brzeszczot utknąłby w drugim lub następnym. Poza tym srebro im dokuczało, lecz nie uśmiercało, jak w wypadku swastykoszmarków.

Cofaliśmy się pod naporem; musiałem szybko coś wymyślić, bo wkrótce przyparłyby nas do ściany. Chwyciłem pierwszy lepszy przedmiot nadający się na tarczę (chiński parawan) i posługując się nim jak spychaczem, napałem na potwory, usiłując rozepchnąć je na boki i w ten sposób przetrzeć sobie drogę ucieczki. Parawan jednak, choć trochę mnie zabezpieczał, był zbyt kruchy. Jeden z dzikorobaków po prostu uniósł się wysoko i przepłynął górą niczym macka ośmiornicy sięgającej po zdobycz. Drewniana konstrukcja zatrzęszczała złowrogo pod ciężarem, puściłem ją więc i odskoczyłem. Sekundę potem zdruzgotana na kawałki zniknęła pod wijącą się czarną masą.

Fala galaretowatej śmierci wzbila się nad nami tak wysoko, że już miałem pozwolić Halinie kupić nam trochę czasu miotaczem (strategia musi czasem ustąpić względom taktycznym), kiedy nagle dzikorobaki zaczęły eksplodować w językach ognia i rozpadać się na małe, płonące części. Obejrzałem się zaskoczony. Od wejścia biegła w naszą stronę jakaś postać w rozchełstany płaszczu, wymachując pistoletem zaopatrzoną w wielki tłumik. Wielki, to za mało

powiedziane; był wręcz gigantyczny. Coś o tak przesadnych rozmiarach widuje się tylko na niszowych filmach porno.

Poznałem go. Wyznam, że osłupiałem.

– Sam? Co u...

– Sam! – wrzasnął Clarence, jak dzieciak z ligi międzyszkolnej, który wreszcie wypatrzył na trybunach ojca.

Mój stary kumpel przeskoczył przez wrzącą stertę dzikorobaczej plechy. Na ogół dalej mu do kangura niż do uczącego się fruwać nosorożca, przyznaję jednak, że tym razem wyszło mu to nieźle, choć sędziowie obniżyliby mu notę końcową za schrzanione lądowanie.

– Potem pogadamy – rzucił, hamując tuż przy mnie i łapiąc równowagę.

Gumowata macka owinęła mi się wokół kostki, zacząłem więc ją zajadle rąbać, póki nie dobrała się do intymniejszych rejonów.

– Mam jeszcze tylko jeden magazynek z zapalającymi – wydyszał.

– Gdybym wiedział, że wdacie się w walkę z tymi pieprzonymi gumisiami, kupiłbym bębnowy.

Uwolniłem się z uchwytu i dobywszy zapasowego noża (solidny Bowie), wręczyłem go Samowi. Na Boga, dobrze było go ujrzyć przy sobie, nawet jeśli mielibyśmy razem paść pod naporem rozszalałej galarety.

– Posrebrzany – powiedziałem. – Dobry na te pająkowate, ale nie bardzo na gumisie. Walnij w nich serią, jak będziesz gotowy, i spróbujemy się stąd wyrwać.

– Mówiłem, że się postaram wpaść na twoją imprezkę – odrzekł.

Nawet pośrodku otaczającego nas koszmaru poniosła mnie irytacja.

– Nic takiego nie mówiłeś! – warknąłem. – Zostawiłem ci chyba ze sto wiadomości i nic!

– Nie do ciebie mówię, tylko do Młodego.

– Dzięki – mruknął Clarence.

Uznałem, że na razie dam temu spokój.

– Spadajmy stąd, zanim zniszczymy jeszcze więcej naszego dziedzictwa kultury. – Nie było to silenie się na dowcip; to, co się stało ze zbiorami zachodnioazjatyckimi, naprawdę budziło we mnie zgrozę.

Oksana nadal nie odzyskiwała przytomności. Odpiąłem uprząż pustego zbiornika azotanu i podniosłem dziewczynę. Jęknęła cicho, gdy przerzucałem ją sobie przez ramię – a więc przynajmniej żyła.

– Dajmy im popalić! – krzyknąłem. – Wycofujemy się!

Sam wycelował glocka w najciemniejsze miejsce wznoszącej się nad nami ściany plugastwa. Nie wiem, jakiego typu tłumika używał, ale jak na coś, co wyglądało jak wyjęte z katalogu Big Jima Steele'a*, działał cholernie dobrze. Nawet stojąc tuż przy nim, nie słyszałem wystrzałów, za to widziałem i doceniałem ich skutek. Trafienie w potwora rozrywało go na strzępy. Niektóre pociski przelatowały przez najbliższe dzikorobaki, ale eksplodowały w następnych. Płonąca galareta fruwała wszędzie. Gdy lądowała płatami w

skupiskach Koszmarynych Dzieci, pierzchały w popłochu, palone żywym ogniem.

Prowadziłem drużynę ku najbliższemu wyjściu poprzez pole minowe z kłębiących się swastykoszmarków i dymiących grud galarety próbujących się zrastać w większe kluchy. Nie było już mowy o utrzymaniu naszej akcji w tajemnicy, nadal jednak miałem nadzieję, że nagle nie rozdzwonią się alarmy – choćby dlatego, żeby łatwiej nam było uciec. Oczywiście nie zamierzałem opuszczać muzeum tą samą drogą przez piętro i dach. Nie po to miałem naboje w pistolecie. Postanowiłem w najgorszym razie przebić się przez jedno z okien na parterze.

Dotarliśmy zaledwie do połowy sali, kiedy Samowi skończyła się amunicja. Kilka dzikorobaków pełzło za nami jak foki albo jak żółwie, na krótkich niby-łapach, nisko nad podłogą. Pozostałe przy życiu swastykoszmarki przegrupowały się w drugim końcu sali, blokując nam drogę do wyjścia. Miałem nadzieję, że miotacz ognia wystarczy, żeby się przedrzeć przez tę hałastrę, ale potem mieliśmy do pokonania jeszcze krótki korytarz dzielący wystawę od holu głównego. Obawiałem się, że nawet gdybyśmy mieli dość ropy, aby podpalić całe muzeum, przebicie się przez to wszystko mogłoby być niewykonalne. Zacząłem strzelać, ale srebrne kule są mało skuteczne przeciwko tak wielkiej liczbie nieprzyjaciół. Pożałowałem, że nie przyszło mi do głowy zaopatrzyć się raczej w pociski zapalające, jak to przewidująco uczynił Sam.

Koszmarne Dzieci zaczęły spadać na nas z sufitu. Halina wrzasnęła, że jeden wleciał jej między zbiornik a plecy.

Innymi słowy, sprawy wyglądały fatalnie.

I wtedy z ciemnego korytarza na tyłach sfory potworów wyszło trzech facetów z wycelowanymi w nas wojskowymi automatami. Położyłem Oksanę na podłodze, żeby mieć wolne ręce.

– Rzucić broń! – rozkazał najwyższy z nich, mierząc nie we mnie, lecz w Halinę.

Był to oczywiście mój norweski przyjaciel Baldur Uruk von Rejwach, odziany na czarno według najnowszej komandoskiej mody, z wielkim medalionem na szyi, który w połączeniu ze stójkowym kołnierzem upodabniał go do hipstera retro z jakiegoś starego filmu. A więc skurczybyk cały czas czekał, aż piekielne monstra, nad którymi dał mu władzę Sitri, wykonają całą brudną robotę, żeby we właściwym momencie wkroczyć samemu do akcji. Jaka szkoda, że go nie wykończyłem wtedy w ich siedzibie!

– Rzuć broń, mówię, Robercie Dolar, albo rozwalę ci tę kochaneczkę.

Po jego bokach stali nieodłączni Pumba i Timon, też w paramilitarnych samoróbkach, podnieceni tak, że groziło im posiusianie się, ale giwery trzymali pewnie i mogli nas wystrzelać jak kaczki. Z korytarza wynurzyło się jeszcze kilku bojówkarzy, wszyscy z bronią długą. Czarne Słońce miało dwukrotną przewagę liczebną i znacznie silniejsze uzbrojenie. Nie chciałem ryzykować życia Haliny tylko po to, żeby ten tani hitlerek mógł się wykazać zdecydowaniem; powoli uniosłem glocka, aby go zobaczył, i cisnąłem na podłogę w jego kierunku.

– Bardzo ładnie. Teraz ten mieczyk, proszę. Wszyscy. Cała broń na ziemię.

Upuściłem maczetę i kopnięciem posłałem na środek sali. Sam, Clarence i Halina poszli za moim przykładem. Liczyłem na to (choć bez większej nadziei), że von Reinmann przeoczy miotacz ognia, ale się przeliczyłem; zauważył go i kazał jej zdjąć zbiornik z pleców. Timon odniósł sprzęt na tyły i obaj z Pumbą przyglądali mu się z minami chłopców oczarowanych grą komputerową, o której wiele słyszeli, lecz nigdy jeszcze nie widzieli.

– A teraz, panie Dolar, róg.

– Mówiłem już, że go nie mam.

– Na wszelki wypadek pozwolimy sobie was zrewidować. – Skinął na Pumbę, który jednak nie podszedł do mnie, tylko do Haliny. Chwycił ją za ramię i pociągnął do szefa. Von Reinmann przyłożył jej lufę do głowy. – I tym razem nie próbuj być cwany, Dolar.

– Taki już jestem – odparłem. – Z natury. Nic na to nie poradzę.

Pumba zabrał się do rewizji. Kazał mi zdjąć plecak i kopnął go w stronę Timona. Ten od razu znalazł moją trzydziestkęósemkę i schował sobie do kieszeni. Sukinsyn. Miałem ten rewolwer wiele lat i sama myśl, że będzie z nim teraz paradował jakiś neofaszystowski dupek, zaboląła mnie tak, jakby nic gorszego się nie działo. Pumba wprawnie ogołocił mnie z kilku noży, zapasowych pojemników szybkiego ładowania i wszytej w rękaw pałki, którą triumfalnie pomachał nad głową, jakby odkrył złoty samorodek. Nie uszła jego uwagi nawet ukryta w obcasie żyłotka.

– Kurde, facet myśli kilka ruchów naprzód! – skomentował.

– Szkoda, że wam to jest obce – powiedziałem. – Inaczej nie tkwilibyście po kolana w paragrafach i na dodatek z przehandlowanymi diabłu duszami tylko po to, by odgrzewać wyświechtane nazistowskie idee.

– Naziści chcieli dobrze, ale byli zgrają amatorów – oświadczył Baldur. – My mamy wyższe cele, ale nie chce mi się robić ci wykładu. Gdzieś ukrył róg?

– Nigdzie. Nie mamy go.

– Doprawdy? Nie daliśmy wam dość czasu na szukanie? Jestem rozczarowany twoją ślamazarnością, Dolar. – Popatrzył mi w oczy. Miał bardzo bystre, przenikliwe spojrzenie. Na ulicy minęlibyście go, nie zwracając nań uwagi (chyba że z powodu wzrostu), ja jednak znałem go już wystarczająco, by rozpoznać ten błysk prawdziwego szaleństwa. – W takim razie poszukasz go teraz dla mnie, bo wiem, że po to tu przyszliście. – Spojrzał na drzwi widoczne pod uniesioną mozaiką. – Co tam jest? Nic takiego nie ma na planach.

Skrzywiłem się z niesmakiem. Drań wiedział o naszej robocie prawie tyle co my sami.

– Nic szczególnego – odrzekłem. – Czyjeś biuro. Niczego tam nie ma.

– No to sprawdzisz jeszcze raz. Bo bardzo nam zależy na rzeczonym przedmiocie. Mamy kupca, który zapłaci nam czymś znacznie lepszym niż pieniądze.

– A jeśli odmówię?

– To zobaczysz, jak zabijamy ci kumpli jednego po drugim, a zaczniemy od tej młodej damy. Widzisz, Dolar, trochę cię znam. Wiem, kim jesteś. Ale ciekawe, czy wszyscy twoi przyjaciele mają podobnie niezwykle tożsamości. Chyba nie. I myślę, że widok ich śmierci sprawiłby ci wielki ból. Dlatego sugeruję, żebyś wziął tyłek w troki i zabrał się do roboty.

Desperacko usiłowałem wymyślić jakikolwiek sposób, by zyskać na czasie, jakoś im zamieszać w głowach czy chociaż na chwilę odwrócić uwagę, żebyśmy mogli spróbować uciec, ale pomysłów miałem zero. Co się źle kojarzyło, jeśli chodzi o nasze szanse.

– W porządku – powiedziałem. – Ty tu rządzisz. Na razie.

– O, myślę, że na znacznie dłużej! – Von Reinmann się roześmiał, ale lufa jego peemu przy głowie Haliny ani drgnęła.

* Big Jim Steele (w Europie Mark Strong) – zabawka chłopięca z lat 1972–1986, lalkowy „tajny agent” o przesadnej muskulaturze, produkcji firmy Mattel (tej od Barbie i Kena).

Trzydzieści

Śmierć od porcelany



Czarnosłoneczna brygada poprowadziła nas do schodów wiodących do tajnego gabinetu Doni Sepanty. Było dla mnie jasne, że sukinsyny od jakiegoś czasu musieli nas obserwować, a raczej robiły to za nich demony. Lekcja pogładowa o korzyściach z zaprzędania duszy diabłu. Sitri, rywal Eligora, stawiał się na ich wezwanie i przysłał z Piekła to, czego potrzebowali. Dać byle mydlkowi spluwę, a w jednej chwili stanie się groźny. Tak samo każdy, kogo wspiera Piekło, staje się potworem.

– Co wam przyjdzie z tego rogu? – spytałem von Reinmanna. Oczywiście znałem już jego plan, grałem tylko na zwłokę. Pół tuzina facetów trzymało nas na muszce, ale nie spotkałem jeszcze dupka, który by nie kochał tokować o sobie.

– I tak tego nie zrozumiesz – odpowiedział. – Potrafisz myśleć tylko o duperelach. Twoja kobieta, twój szef, twoja robota.

– O szefie nie myślałem od lat – sprostowałem. – Tylko palant uważa, że wszyscy poza nim są palantami.

– Tak jak mali duchem sądzą, że są miarą wszechrzeczy. Nie pojmują tych, którzy myślą szerzej, mają wyższe aspiracje...

Pozwoliłem mu gadać w nadziei, że wejdzie na wysokie obroty i zacznie bić pianę w kwestii „Będziemy rządzić światem”. Nieznacznie przesuwalem się w bok i teraz znalazłem się wystarczająco blisko Sama, żeby móc mu coś szepnąć, licząc na jego wyostrzony anielski słuch.

– Masz jeszcze tę rękawicę? – spytałem najcichszym szeptem klasowego podpowiadacza. – Wiesz, tę do robienia jaskrawych efektów świetlnych.

– Boską? – Tak Sam nazywał potężny rekwizyt otrzymany od Anaity do pracy na rzecz Trzeciej Drogi. – Mam, ale to chyba kiepski pomysł.

– W tej chwili nie ciekawi mnie ranking pomysłów – odparłem. – Bo gdy się znajdziemy w tym pomieszczeniu na dole, kaplica. Przestaniemy być użyteczni, to nas rozwałą.

– Mówię ci, Bob, to naprawdę zły plan.

Sam już nie szeptał, więc i ja podniosłem głos.

– Guzik mnie to obchodzi! Zrób coś!

– Ale widzę, że nawet nie słuchasz, Dolar. – Von Reinmann przerwał pogadankę. – Myślisz, że uda ci się mnie zagadać, póki nie wpadniesz na jakieś wyjście z sytuacji. W takim razie koniec pogaduszek, zasuway do piwnicy. Sam. Jak za dwie minuty nie wrócisz z rogiem, ktoś z twoich przyjaciół zginie. – Zachichotał złośliwie. – Mój wybór. Pewnie będzie to jedna z dziewczynek.

– Pieprz się, ty norweska dziwko! – wycedziła Halina, co w mojej

opinii nie wpłynęło pozytywnie na atmosferę konwersacji. – Nie jesteśmy żadnymi dziewczynkami, tylko Scytyjkami!

Clarence chwycił ją za ramię, próbując uciszyć. U ich stóp Oksana w końcu wracała do życia.

Baldur z uśmiechem popatrzył na Halinę, potem na zegarek.

– No więc, scytyjska kurewko, jeżeli pan Dolar nie zjawi się tu za... minutę i czterdzieści cztery sekundy, tobie pierwszej przetrzele serduszko.

– Zdaje się, że jednego nie rozumiecie, chłopcy – powiedziałem, wychodząc przed szereg, tak by zasłonić Sama. (I modląc się w duchu, żeby zrobił coś wartego zasłaniania). – Jesteście tylko dzieciakami z bronią. Za to my jesteśmy... – zrobiłem pauzę dla większego wrażenia – ... aniołami Pańskimi.

– I co z tego? – Wódz Czarnego Słońca patrzył na mnie bez strachu, ani nawet zatroskania. Najwyraźniej już sam do tego doszedł. – Ciała macie ludzkie, pełne krwi i narządów wewnętrznych, a my mamy pistolety maszynowe. Nasza wygrana. – Znów zerknął na zegarek. – Minuta i dwadzieścia dwie sekundy.

– Chyba mnie nie dosłyszałeś – warknąłem i powtórzyłem głośniej: – Jesteśmy aniołami Pańskimi! – Nadal nic się nie stało poza tym, że wychodziłem na durnia drącego się na facetów z giwerami. – Sam! Do jasnej cholery, zrobisz coś wreszcie?

Sala rozbłysła silnym białym światłem emanującym z miejsca, gdzie staliśmy, jaskrawym jak start rakiety na Saturna, oślepiającym, niemal fizycznie namacalnym, aż neonaziści zatoczyli się do tyłu. Po

sekundzie przybladło do ostrej jasności gorejącej już tylko na uniesionej dłoni Sama. Timon i Pumba zebrali się na odwagę i ruszyli w naszym kierunku.

– Sam, czy czarne charaktery nie powinny teraz paść trupem albo coś w tym rodzaju?

– Zamknij się. Pracuję.

– Mam dosyć tych waszych głupot. – Baldur von Reinmann lekko połykiwał. Nie tylko on; wszystko wokoło otaczała lekka poświata. Ale w żadnym wypadku nie wyglądał na rażonego anielskim ogniem, ani nawet na lekko poparzonego. – Wystrzelać wszystkich poza Dolarem i tą rudą – polecił swoim siepaczom.

Nie miałem czasu nawet rzucić się na podłogę. Z luf strzeliły ogniste kity. Pociski, które miały nas posiekać, pomknęły ku nam z dwukrotną prędkością dźwięku, o wiele za szybko, by mógł je zobaczyć nawet anioł... tylko że ja je widziałem. I raptownie zwalniały biegu. Im bliżej nas były, tym wolniej się poruszały, by w końcu z brzękiem spaść na ziemię niczym malutkie, wyczerpane lotem ołowiane ptaszki. Ping, ping, pingu-ping-ping... dziesiątki bryłek metalu dzwoniły o płytki posadzki.

– O kurczę... – wyrwało mi się. Widziałem zdumione miny bojówkarzy, ale nie licząc okalającej ich świetlistej aury wszystko wydawało się normalne. – Nieźle, Sam.

– Tylko się... pospiesz... i wymyśl... co dalej – wydyszał w odpowiedzi. Pot zrosił mu czoło. – Bo ja tak długo... nie mogę... i zaraz będziemy w... prawdziwym kłopotcie.

Neonaziści usiłovali przepchnąć się przez barierę boskiej rękawicy, ale szło im nie lepiej niż kulom. Zbliżyli się o parę kroków, potem jednak przestrzeń przed nimi jakby zgęstniała. Żyły im nabrzmiewały z wysiłku, ale nie mogli podejść bliżej niż na dwa do trzech metrów, a kiedy wznowili ostrzał, pociski spadały na podłogę zaraz po opuszczeniu luf.

My jednak pistoletów nie mieliśmy; nasza broń pozostała poza kręgiem światła rękawicy. Nie bardzo wiedziałem, co począć, kiedy już Sam nie będzie mógł dłużej nas chronić. Oksana odzyskała już przytomność, choć nie mogła się jeszcze pozbierać na nogi. Halina uklękła przy niej i wraz z Clarence'em pomagali jej wstać. Miałem nadzieję, że przy okazji wprowadzają ją w aktualną sytuację i że dziewczyna nie doznała poważnej kontuzji, byłem bowiem pewien, że prędzej czy później wybierzemy taktykę typu „chodu stąd!”.

Przez te pięć czy dziesięć sekund wypełnionych panicznymi myślami przesączyło się do mej świadomości coś z, by tak rzec, pamięci operacyjnej. Padłem na kolana przy Oksanie i zacząłem obmacywać jej kieszenie.

– Nic jej nie jest! – zaprotestowała Halina.

– I bardzo dobrze – odrzekłem. – Nie o to mi chodzi.

Zerknąłem poza naszą sferę ochronną i pierścień bojówkarzy nadal usiłujących się przez nią przedrzeć. Von Reinmann cofnął się na podwyższenie wydzielające część ekspozycji, jak kot szukający najwyższego miejsca w izbie, ale nie wyglądało to na odwrót. Zdjął z szyi medalion i podniósł go w wyciągniętej ręce. Gorączkowo

przetrasając kieszenie Oksany w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni – tylko jej naziści nie zrewidowali – ujrzałem, jak zaczyna nim bujać niczym wahadłem, a potem zaintonował monotonną pieśń.

Powiedziałbym, że serce we mnie upadło, ale ten mój drugi ulubiony organ (oczko wyżej niż mózg, tuż za wiecie czym) kulił się już gdzieś na dnie klatki piersiowej, odkąd Czarne Słońce weszło do gry. Rozpoznałem bowiem jeśli nie słowa, to melodię. To było wezwanie, podobne do tego, które widzieliśmy na wideoklipie z pendrive'a von Reinmanna. Mogłem się tylko modlić – w dosłownym sensie; jestem w końcu aniołem i czasem muszę to robić – żeby Baldur nie wywołał arcyksięcia Sitriego.

Proszę Cię, Panie... wiem, że bardzo zły ze mnie sługa, ale są tu ze mną ludzie prawie całkiem niewinni...

– Aniele! Myślisz, żeś taki cwany? – krzyknął von Reinmann. Najwyraźniej zakończył już inkwizycję; rósł przed nim obłok mgły, w którym pryzmatyczna poświata gięła się i falowała jak wici przezroczystych brunatnic. – Podobały ci się moje gobliny, moje *marrerit*? No to mojego Nøkkena z pewnością pokochasz!

Chciałem coś na to odpowiedzieć, choćby dla dodania sobie odwagi, ale przeszukiwanie kieszeni Oksany wciąż nie przynosiło rezultatu, a ilekroć podniosłem wzrok, okropna masa formująca się u stóp Baldura stawała się większa i realniejsza. Wyrastało jej coś w rodzaju macek, ale kiedy jedna z nich, zakończona szklistym kwiatem, śmignęła w moją stronę, zobaczyłem w nim paszczę jak u największego, najpaskudniejszego minoga, okoloną wieńcem wąsów

i nitek kołyszących się jak w niewidzialnym nurcie. Macki rosły, rozczapierały się i unosiły, tworząc wokół triumfującego Baldura pulsującą otoczkę. Wódz Czarnego Słońca dzierżył medalion nad głową niczym nagrodę za zwycięstwo w żmudnym, długodystansowym biegu. Nøkken był zarazem materialny i niematerialny; przejrzysty i wodnisty, lecz mocny i masywny. Prężące się sploty uderzyły w parę najbliższych gablot i rozbiły je na proszek. Macka z gębą wzbila się na kilka metrów, zawisała w poszukiwaniu ofiary, a gdy nas spostrzegła, rozdęła się jeszcze bardziej i przypominała teraz pień solidnego drzewa. Pysk rozwarł się tak szeroko, że można by chyba wjechać w niego taczkami.

Zerknąłem na Sama. Powieki miał zaciśnięte i był blady jak sama śmierć. Że jeszcze żyje, widać było tylko po ruchach ust, gdy mamrotał coś pod nosem, jakby jedno i to samo zdanie.

Pomyślałem, że pora może samemu coś wymamrotać, i nawet zacząłem: „Ojcze nasz, któryś...”, kiedy Oksana nagle chwyciła moją dłoń – prawdopodobnie starała się zwrócić na siebie uwagę już wcześniej, gdy ja zafascynowany wpatrywałem się w nowego potwora – i wsunęła ją sobie między guziki koszuli.

Pod spodem miała przytroczony na mostku nóż w skórzanej pochwie. Gdy poczułem pod palcami jego rękojeść, wydałem jęk ulgi i krzyknąłem:

– Sam, puszczaj! Możesz już puścić!

Zawahał się sekundę czy dwie. Nøkken powoli zacieśniał zwoje, by sunąć w naszą stronę. Coś tak mocarnego bez trudu pokonałoby

osłonę wytwarzaną przez Sama. Mój przyjaciel otworzył oczy, zobaczył, co się święci, i spojrzał na mnie. Nagle owa dziwna aura otaczająca wszystko wokoło zgasła. Bariera została wyłączona tak raptownie, że napierający na nią bojówkarze stracili równowagę i upadli. Sam też osunął się wyczerpany na podłogę.

Miałem broń w ręku. Był to nóż bojowy, nie najlepszy do miotania, ale nie zamierzałem kwestionować stanu uzębienia darowanego konia. Chciałem tylko przeżyć tę awanturę. Pierwszy ze zbirów czołgał się po upuszczony peem z wyraźnym zamiarem ustrzelenia mnie w najbliższej przyszłości, zamachnąłem się więc i z całej siły rzuciłem.

Trzeba wam wiedzieć, że rzut nożem rzadko kiedy odnosi pożądany skutek. Do tego wcale nie byłem dobry w tej sztuce. Leo, mój mentor z „Liry”, mawiał: „Chłopcze, mam nadzieję, że zawsze będziesz miał przy sobie porządną spluwę, bo z majchrami jesteś do niczego, a w walce wręcz jeszcze gorszy”. I miał rację.

Nie trafiłem w wybrany, najwyraźniejszy i nieruchomy cel: tors von Reinmanna. Gdyby nie to, że akurat się odwrócił, by popatrzeć na szykującego się do ataku potwora, nóż przeleciałby obok niego i pacnąłby nieszkodliwie w ścianę. Ostrze uderzyło go w przedramię. Rzut był za słaby, żeby się wbiło; skaleczyło go tylko głęboko tuż poniżej nadgarstka. Medalion wypadł mu z ręki i upadł na ziemię kilka metrów dalej. Neonazista chwycił się za przegub i rzucił mi spojrzenie tak nienawistne, że gdyby jego intencja się spełniła, grałbym już na bandžo gdzieś na peryferiach Piekła. I wtedy dotarło do niego, że nie ma już medalionu.

Połapał się w tym również Nøkken.

Przezroczyta bestia dopadła go jak wąż polujący na mysz. Ruch był tak błyskawiczny, że ledwo za nim nadążyłem oczami. W jednej chwili Baldur stał tam z taką miną, jakbym wepchnął się przed niego do kolejki przy kasie ekspresowej, w następnej wielka kolumna wibrujących bezbarwnych, meduzowatych mięśni wchłonęła go od głowy po żebra, potem po biodra, aż wreszcie cały zniknął w paszczęce. Przez chwilę widać było jego wybałuszone oczy i rozwarłe w bezgłośnym krzyku usta, lecz wkrótce cielsko potwora zaczęło ciemnieć i widziałem już tylko wstrząsany konwulsjami kształt w jego wnętrzu, walczący o ostatni oddech, którego już nie dane mu było zaznać.

Z transu wyrwało mnie metaliczne szczekanie pistoletu maszynowego. To Clarence złapał AR-16 upuszczony przez któregoś z bojówkarzy i grzał do wszystkiego w zasięgu wzroku, w tym (prawie) i do mnie. Odskokczyłem w tył, by zejść mu z linii ognia.

Nøkken tymczasem zniknął na naszych oczach, zostawiając po sobie tylko tłusty ślad i jeden z drogich czarnych oksfordów von Reinmanna.

Halina też szybko znalazła pistolet i w kilka sekund pozostali przy życiu neonaziści zmuszeni zostali do rejterady. Przyklęknąłem obok Sama, by sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Był ledwo żywy; oddychał szybko, spazmatycznie jak gruźlik. Próbowałem go podnieść, ale się bronił.

– Przestań, baranie! – zgromiłem go. – Chcę ci tylko pomóc.

Położył mi dłoń na szczęcie i z siłą zdumiewającą u kogoś, kto wyglądał jak potrącony przez cementowóz, obrócił mi głowę tak, że musiałem spojrzeć na drugi koniec sali.

Nøkkena już nie było. Koszmarne Dzieci uciekały, dosłownie włączając na plecy zmykającym bojówkarzom. W chaosie jedni deptali drugich; kilka swastykoszmarków rozkwaśliły podkute buciory, ale i paru neonazistów upadło pod naporem roju potworków i już się nie podniosło. Dzikorobaki jednak zostały na miejscu, a nawet ruszały w naszą stronę, jakby wszystko to było tylko preludium do właściwej zabawy.

Nie miałem czasu się tym zmartwić, ale podświadomie dziwiłem się, dlaczego po takiej rozróbie jeszcze nie wpada tu ochrona muzeum czy nawet policja. Jak się okazało, Czarnostoneczni – którym mniej zależało na dyskrecji niż nam – zdołali zgarnąć i związać cały personel z wyjątkiem tego biedaka, który zaskoczył ich na piętrze. Musieli też użyć jakiegoś urządzenia blokującego, aby nie zadziały alarmy i telefony. To dlatego straciliśmy łączność z Wendellem.

– Jasna dupa... – zakląłem bezsilnie.

Oksana była już na nogach, wciąż nieco zamroczona, i rozglądała się za bronią. Halina i Clarence strzelali w nadciągające stwory, ale bezskutecznie; oderwane przez kule kawałki plechy natychmiast czołgały się, by znów dołączyć do macierzystych brył. Sam usiłował się pozbierać.

– Halina! – krzyknąłem. – Rzuć peem Oksanie i znajdź swój

miotacz!

Trzeba jej zapisać na plus, że tylko sekundę patrzyła na mnie jak na wariata, po czym odwróciła się i pchnęła AR-16 po podłodze do towarzyszki. Oksana rzuciła się po niego szczupakiem, a my osłanialiśmy ją ogniem, póki do nas na powrót nie dołączyła.

– Zostały ci dwie porcje paliwa, nie? – upewniłem się, przekrzykując urywaną kanonadę.

Zerknęła na wskaźnik przy zbiorniku i kiwnęła głową. Była wystraszona, ale nie ulegała panice, co mogłem tylko podziwiać w tych okolicznościach.

– Uwaga wszyscy, próbujemy zapędzić te bydlaki tam, pod ścianę! – Wskazałem puste miejsce pięć metrów od otwartego wejścia do tajnego gabinetu i mozaiki z Anaitą, która zdawała się obserwować z rozbawieniem całą scenę. Podbiegłem tam i stanąłem plecami do ściany. – Potraktuj ich ogniem, kiedy dam sygnał! Ale tylko jeden strzał, Halino! Drugi zostaw na później. A wy postarajcie się zepchnąć je tu do mnie!

Clarence wykombinował sobie, że skłoni dzikorobaki do szarży, podbiegając do nich, ostrzeliwując je i wycofując się na przemian. Pomysł chwycił, musiałem jednak krzyknąć, by robił to pod innym kątem – tak, by nagonić je w moją stronę.

– Halina, teraz! – dałem komendę.

Kłęb ognia z głośnym sykiem wystrzelił z dyszy miotacza. Potwory skuliły się i cofnęły z tak wibrującym, basowym pomrukiem bólu i złości, że w nielicznych dotąd ocalałych witrynach popękały

szklane tafle. Dwa stanęły w płomieniach jak nasączony brandy pudding świąteczny. Wspiąłem się na palce, sięgnąłem jak najwyżej i tuż przy ścianie otworzyłem Zamek Błyskawiczny, mierzący około dwóch i pół metra od podłogi.

Wiedziałem, że Halina nie może go zobaczyć, zawołałem więc tylko:

– Teraz! Drugi strzał! Pędź ich prosto na mnie! Do samej ściany!

Było to bardzo ryzykowne posunięcie; nie miałem przecież pojęcia, czy coś tak dziwaczego i nieludzkiego jak dzikorobaki da się w ogóle przepchnąć przez Zamek w beczasowość Zewnątrza. Nic innego nie przychodziło mi jednak do głowy.

Miotacz wypluł ostatni strumień płonącej nafty i czarnego dymu. Sam zrozumiał, co chcę zrobić, i zaatakował z drugiej strony, rycząc jak ochryPLY tygrys, z boską rękawicą na wyciągniętej dłoni. Wątpię, czy w tej chwili zebrałyby dość siły, bo rozbujać wańkę-wstańkę, ale rękawicę rozjarzył niczym pochodnię magnezjową. Wystraszone, wzięte w dwa ognie dzikorobaki stoczyły się w ciasną gromadkę i co sił popęzły ku Zamkowi. W ostatniej chwili, kiedy już Halinie skończyło się paliwo w zbiorniku, sam rzuciłem się na trzodę Bezkostników, dokładając własny nieziemski wrzask do ogólnego chaosu. Piekielne galarety jedna przez drugą pchały się w rozwartą czelusć Zewnątrza. Dla Amazonek musiało to wyglądać, jakby rozpływały się w powietrzu.

Płomienie powoli dogasały. Ostatni dzikorobak, jeszcze tłący się i pokryty bąblami jak rdzewiejący pod lakierem błotnik, zawahał się w

przejściu i zaczął gramolić z powrotem. Wparłem ręce w gorącą plechę i nie zważając na ból, pchnąłem z całych sił. Bydlę balansowało chwilę na krawędzi nicości, potem Sam doskoczył z pomocą i razem wtłoczyliśmy go na drugą stronę. Sięgnąłem w górę i zamknąłem Zamek, bojąc się, że może nie utrzymać bezkostnej sfory. Utrzymał.

– Co się stało? – spytała zdumiona Oksana. – Gdzie one zniknęły?

– Później wam wyjaśnię – odrzekłem. – Musimy dokończyć sprawę i pryskać.

– Musimy pryskać i kropka! – poprawił Sam.

– Nie! – krzyknąłem. – Nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko. Użyj rękawicy, Sam. – Chwyciłem go za ramię. Był rozdygotany. – Wiem, że jesteś w prozku. Ja też. Ale musisz to dla mnie zrobić. Nie mogę odejść, nie mając pewności, czy ten pieprzony róg tu jest.

– Zdurniałeś do reszty? – Sam wyrwał mi się gwałtownie. – Masz chociaż mgliste pojęcie, co za bajzel się tu zaraz zacznie? Ona będzie wiedziała, że ktoś się posłużył jej rękawicą.

– Anaita? – Popchnąłem go ku schodom. Musiał być zupełnie rozkojarzony, gdyż w normalnych warunkach nie dałbym mu rady. Sam to naprawdę kawał chłopca. – Stary, nawet jeśli wie, że to twoja sprawka i gdzie to zrobiłeś, to przecież dotarcie tu zajmie jej kupę czasu. Byłem u niej w domu. To daleko za miastem. Nawet śmigłowcem nie doleci tu szybciej niż w piętnaście minut. Pospiesz się, to wyjdziemy stąd za pięć. – Odwróciłem się do Clarence'a. – Zostań tu z dziewczynami – poleciłem. – Obie zdrowo oberwały,

Oksana ledwo się trzyma na nogach. Zaraz wracamy.

Sam protestował jeszcze u podnóża schodów.

– Weź po prostu to zrób – powiedziałem znużony. – Powiedz mi, czy jest tu coś emanującego dużą moc. Edie Parmenter twierdziła, że to musi być tutaj. Im mniej będziemy gadać, tym szybciej to załatwimy. Przecież nigdy cię o nic nie prosiłem, nie?

– Jesteś dupek i kłamca – odparł, lecz wyciągnął przed siebie dłoń w rękawicy. Jej blask był już znacznie słabszy niż na początku; przez promienistą aurę widać mu było zarysy palców, a samo światło pulsowało niespokojnie jak jarzeniówka, która za chwilę ma się przepalić.

– I co? – spytałem.

– Przymknij się. Masz rację, coś tu jest. Nie wiem co, ale to zdecydowanie... – Zamknął oczy i powoli przesunął ręką w powietrzu.

Przedtem nie miałem czasu dobrze się rozejrzeć po gabinecie. Był ładnie urządzone, co tym bardziej dziwiło w tak zakamufLOWANYM pomieszczeniu. Najwięcej miejsca zajmowało solidne biurko z jakiegoś ciemnego polerowanego drewna oraz także krzesło z wysokim oparciem, oba bogato inkrustowane złotem. Na ścianach wisiały orientalne kilimy, a kilka półek wypełniały gustowne przedmioty z miedzi i srebra: lampy oliwne, misy, wazony. Za miękki dywan można by pewnie opłacić pracę całego personelu muzeum przez dwadzieścia lat i jeszcze by starczyło na odszkodowanie dla wdowy po zabitym strażniku.

Sam wolno obrócił się dookoła, wodząc dłonią wzdłuż ścian, czasem unosząc ją ku sufitowi, kiedy indziej opuszczając nad podłogę. Zatrzymał się przed osadzoną w tynku czworokątną marmurową płytą z inskrypcją w nieznanym mi języku. Przedmiot odcinał się od otoczenia surową prostotą formy. Sam zawahał się, lecz minął go i szukał dalej, wkrótce jednak wrócił.

– To jest to – oznajmił. – Ale nie ma nic wspólnego z rogiem Eligora.

– Nie ma nic... Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, co słyszysz. Nie ma i już.

– Co w takim razie mogła wyczuć Edie? Ona jest dobra, Sam. Skąd pewność, że rogu tu nie ma?

– Stąd, że to zwyczajnie wiem. Dzięki rękawicy... no, czuję inaczej. Tak jak zimne i ciepłe miejsca, prądy powietrzne i tak dalej. No i wiem, że to coś innego. – Pokręcił głową. Wyglądał o dziesięć lat starzej niż ostatnim razem, kiedy mnie opieprzał w restauracji. – Myślę, że to przejście.

– Przejście?

– Kurde, robisz za echo czy co? Mówię wyraźnie: przejście Anaity do Kainos.

– Znaczy do Trzeciej Drogi?

– Tak jest. Jediną magiczną, anielską rzeczą w tym pomieszczeniu jest ta płyta. Drzwi do Kainos. Jak chcesz to lepiej zrozumieć, sam nałóż rękawicę.

O tym nie pomyślałem.

– A mogę spróbować?

– Jasne. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, że graba ci się zajmie żywym ogniem jako nieuprawnionemu użytkownikowi. – Sam nagle spochmurniał. – Spadajmy stąd. Spudłowałeś, B. Rogu tu nie ma.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Po tym wszystkim, krwi i ogniu, po bitwie z armią zgrozy.

– Nie wierzę. Spróbuj jeszcze raz.

– Nie dociera do ciebie? Bob, nie ma na to czasu!

– Sam, Bobby! – Z góry dobiegł głos Clarence’a, z każdym słowem coraz bardziej nerwowy. – Wyłaźcie na górę! Szybko!

– Cholera, co tam znowu? – wyrwało mi się.

Wbiegłem na schody. Sam kuśtykał za mną. Gdy wynurzyłem się z klatki, Młody wskazywał miejsce, gdzie zapuszkowałem na Zewnątrz dzikorobaki. Przez głowę przemknęła mi myśl, że jakimś cudem przegryzły się z powrotem. Niestety, nie o to chodziło.

Clarence i dziewczyny, bladzi ze strachu, stali wpatrzeni w mozaikę z Anaitą, która maskowała zejście do gabinetu. Wizerunek iskrzył się blaskiem i... ruszał się. Cały obraz zdawał się drgać i falować, rozmazywać na brzegach.

– Uciekaj – rzuciłem do niego. – No jazda, już!

Nie mógł oderwać wzroku od mozaiki, musiałem więc solidnie pchnąć go w plecy.

– Co...?

– Wyrывaj stąd, Harrison! Będziesz nam potrzebny poza budynkiem, bo sytuacja właśnie się pogorszyła. Gorzej już być nie może.

Gdybym mógł, odesłałbym także Amazonki, obie jednak kulały; Oksana nawet mocno. Clarence nie dałby rady uciec, mając je na karku.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, popchnąłem go jednak jeszcze silniej. Pojął wreszcie w czym rzecz i wziął – niechętnie – nogi za pas.

Odwrociłem się w samą porę, by ujrzeć, jak dwuwymiarowa postać zstępuje ze ściany i miękko ląduje na podłodze. Chwilę później z ram zeskoczyły dwa mozaikowe lwy.

– Piętnaście minut śmigłowcem, co? – rzekł z ironią Sam.

Miała dwa i pół metra wzrostu, cała z kamyków, szkła i porcelany. Oczy jej się jarzyły jak dwa węgielki. Na płaskiej twarzy wykwitł okrutny uśmiech.

Przez salę śmignął nagle wir powietrzny, porywając rozrzucone wszędzie okruchy gablot, kamienie szlachetne i fragmenty rozbitych eksponatów. Odtrącił mnie na bok, omal nie przewracając. Ostрым, wirującym brzegiem podrapał mi twarz. Trwało to parę sekund, po czym owinął się wokół żywej mozaiki i zamarł tak samo szybko, jak się pojawił.

Miała teraz kształt, trójwymiarową głębię. Lśniła od środka niczym najpiękniejszy witraż, jaki w życiu widzieliście. Nadal przy

tym górowała nad nami wszystkimi, a szklane drapieżniki były tylko niewiele od niej mniejsze. Powoli poruszały końcami barwnych ogonów.

– No proszę, Doloriel – odezwała się głosem jak płynne srebro. – A więc znów się spotykamy.

– Och, dajcież spokój – mruknąłem. – To jakiś kiepski kosmiczny dowcip, tak?

Jak byście zareagowali na moim miejscu? Po tym, cośmy właśnie przeszli, ledwo mogliśmy się utrzymać na nogach, a cóż tu mówić o walce z żywą boginią! To było bardziej popieprzone niż... no, sam pieprz.

– Być może wszechświat naprawdę ma poczucie humoru, ty mały rozrabiako – odrzekła królowa złych aniołów. Lwy ruszyły ku nam ze szklistym brzękiem pazurów na ceramicznej posadzce. – Obawiam się jednak, że tylko mnie jednej będzie do śmiechu.

Trzydzieści jeden

Zbieranina



Dlaczego? – spytałem, nie licząc na odpowiedź. Jak zwykle w takich sytuacjach próbowałem tylko zyskać chwilę, by mój mózg wznowił pracę. Wicie, to trochę trwa, kiedy dopiero co uniknąłeś śmierci w paszczach potworów i nagle stwierdzasz, że zaraz pożrą cię wielkie koty z tłuczonego szkła. Sami powiedzcie: czy komuś jeszcze na tym świecie zdarzają się takie przygody? – Dlaczego właśnie ja? Co ja ci kiedykolwiek zrobiłem?

Anaita nabierała ludzkiego kształtu. Elementy mozaiki stapały się w całość i zaczynała przypominać kobietę, którą poznałem w jej eleganckiej fortecy, lecz wciąż tak dalece przerastała mnie i moje skromne możliwości, że nawet sobie nie wyobrażałem, jak moglibyśmy się bronić. Właśnie w parę sekund przebyła ładnych kilka mil, po prostu nanosząc się na własny wizerunek w muzeum, i do tego ożywiła widniejące na nim szklane bestie. Nic dziwnego, że dała radę wysłać Śmiszka za mną aż do Piekła – Anaita musi spalać rezerwy energii jak zapadająca się gwiazda. Tylko jak długo może to robić, zanim ktoś w Niebie się zorientuje?

Najwyraźniej dostatecznie długo, by się uporać z drobną

niewygodą w postaci Bobby’ego Dolara. Górowała nade mną, lśniąca jak sen w gorączce i przerażająca.

– Dlaczego? – Jej głos zarazem rozdzierał mi uszy grzmiotem i ociekał słodyczą. Słyszałem w nim równocześnie i te dziecinne tony, jakich lubiła używać w Niebie, i głęboki tembr bogini, jak gdyby składające się na nią osobowości przemawiały unisono, w doskonałej harmonii. – Was, maluczkich, zawsze to zastanawia. Mam swoje powody, ale nie dla takich jak ty. – Patrzyła na mnie ze spokojem, leciutko wykrzywiając wargi w uśmiešku. Mona Liza boskiej mściwości. – Możesz jednak być pewny, że na to, co cię czeka, zasłużyłeś po stokroć.

– A co czeka ciebie? – Sam wystąpił przed szereg. – Na co ty zasłużyłaś, Anaito? Czy może wolisz, żebym cię nazywał Kefasem?

No, proszę... mój kumpel w końcu pogodził się z prawdą. Szkoda, że dopiero teraz, gdy za chwilę zostaniemy rozpuszczeni na pojedyncze atomy. Zawsze coś.

– Nie nazywaj mnie nijak – odparła. – Twoja użyteczność się skończyła.

Zabrzmiało to raczej ponuro niż triumfalnie, jak gdyby naprawdę wolała rozwiązać cały ten problem w uprzejmej dyskusji przy herbacie i tartinkach. Nie mogłem się oprzeć myśli, czy po tych wszystkich tysiącletniach przybieranych i porzucanych tożsamości – boskich, anielskich i jeden Najwyższy wie jakich jeszcze – prawdziwa Anaita jeszcze w ogóle istnieje. Jak to nazwać, kiedy nieśmiertelny zapomina, kim był? Szaleństwem?

Bogini uniosła dłoń i szklane koty zawarczały, jakby ktoś szlifierką ciął kamień.

– Jesteś zdrajcą, Samarielu, i zostaniesz ukarany na miejscu, tak samo jak Doloriel.

– Zdrajcą? A co z Trzecią Drogą? Co z budowaniem Kainos, aby ludzkość miała nadzieję na lepszy los po śmierci niż dalsze zniewolenie?

Chłodna maska na moment opadła, tak odrobinę, ale to wystarczyło, by dojrzeć buchający pod nią żar. Wielcy nie lubią, gdy się ich przyłapuje na hipokryzji, i Anaita nie była wyjątkiem. Jej oczy zwężyły się w połyskliwe szparki.

– Nic nie wiesz, aniele – wycedziła z pogardą. – Nic nie rozumiesz. Nie masz prawa kwestionować moich poczynań.

Sam padł na ziemię i chwycił się za głowę, jęcząc, jak gdyby w uszach rozbrzmiewał mu potworny zgiełk. Anaita przeniosła spojrzenie na mnie.

– A ty, Dolorielu...

Napiąłem wszystkie mięśnie, gotów rzucić się na nią i chociaż ugryźć, nim zostanie zabity jak stary bezdomny kundel. Mogłem sobie darować... Jedno skinienie jej dłoni i nie byłem w stanie nawet się poruszyć. Ani o pieprzony centymetr, jakby mnie nagle zalano najczystszym, najbardziej przejrzystym szkłem. Całe szczęście, że chwilę wcześniej nabrałem powietrza, bo teraz już bym nie złapał oddechu. Tylko mózg i serce zdawały się jeszcze pracować w miarę normalnie.

– *Puskaj jowo!* – krzyknęła Oksana. – Ty tłusta perska pieprzona suko!

– Czyżby? – Anaita popatrzyła na mnie rozbawiona. – To jest twoja armia? Para śmiertelnych scytyjskich dziwek i zdrajca Samariel? Zaprawdę doskrobałeś się do samego dna, żeby zmontować tę zbieraninę.

– Ech ty, *sztob' tiebia trastia!* – krzyknęła Halina. (Nie przejmujcie się, ja też nie wiem, co to znaczy). – Ty nam niestraszna! My cię...

Nie dokończyła. Nawet na nią nie spojrzawszy, Anaita machnęła ręką i obie Amazonki pchnięte niewidzialną siłą poleciały na łeb na szyję między szczątki świetnej jeszcze niedawno wystawy i znieruchomiały pod przeciwległą ścianą.

Mogłem tylko się gapić, gdy podpływała ku mnie, sącząc światłość na wszystkie strony, z dłonią wyciągniętą jak do błogosławieństwa. Była precudowna, nieludzka i tak bardzo poza moim zasięgiem, że tylko takiemu idiocie jak ja mogło strzelić do pustego łba, iż ma szansę z nią powalczyć. Cóż, skończy się inaczej: Błękitna Wróżka po prostu odbierze Pinokiewi zmarnowane lalczane życie.

Caz, przepraszam... – zdołałem tylko pomyśleć.

Szklista dłoń dotknęła mego czoła i zapłonąłem kaskadą elektrycznego ognia, spływającą niczym uderzenie pioruna od czubka czaszki przez kręgosłup aż w ziemię. W okamgnieniu wszystkie moje mięśnie naciągnęły się jak struny; czułem, jak próbują

się uwolnić z przyczepów. Ból był okropny, jak na najgorszych torturach, których doświadczałem z rąk Eligora. Wiłem się i szamotałem bezsilnie jak ryba żywcem ciśnięta na rozżarzone węgle.

Lecz nie umierałem.

Dłoń Anaity była zarazem lodowato zimna i gorąca jak ukrop – ale nie w sensie fizycznym. Miałem wrażenie, że chwytą mnie wprost za duszę i chce ją wyrwać ze mnie z korzeniami. Cierpiałem niewymownie, poprzez parzące fale męki jednak nagle coś się przebiło do mej świadomości, nie do końca wyartykułowana myśl.

Dlaczego to tak długo trwa?

W jakiś dziwny sposób wyczuwałem, że nie o ból w tym wszystkim chodzi. Że jest on tylko efektem ubocznym. Albowiem Anaity mnie nie zabijała. Ona mnie p r z e m i e n i a ła .

I to – z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić – było tysiąc razy bardziej przerażające od zwykłego cierpienia, a nawet od śmierci. Nie chciałem stać się jakimś bezmózgim radosnym aniołkiem, kolejnym kamyczkiem w mozaice boskiego planu. Tym bardziej w planie kogokolwiek innego, a już zwłaszcza Anaity. Czułem jednak, że to się właśnie ze mną dzieje, jakby całe moje wnętrze zmieniało konfigurację, niemal się upłynniało; myśli znajdowały sobie nowe tory jak zatamowana rzeka wycinająca sobie nowe koryto.

Chciałem to powstrzymać. Pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek na świecie, może z wyjątkiem odzyskania Caz. No więc spróbowałem.

Mówię to teraz, bo wciąż usiłuję dopatrzeć się w tym jakiegoś

sensu – ale w tamtej chwili nie istniał żaden sens, bo stanął sam Czas. To, co się działo, działo się od zawsze. Byłem zagubiony we wzburzonej rzece światła, barw i przebłysków zrozumienia wirujących oddzielnie jak suche liście pochwycone przez nurt, który raz je zbijał w ciasne kłębki, raz rozpraszał na nowo, bez ładu i znaczenia. Czułem na sobie dłoń Anaity, tam gdzie parzyła mi lodem skórę, ale też było jej we mnie więcej, jak gdyby sama przestawiała to wszystko, co czyni mnie tym, kim jestem – Dolorielem, Bobbym Dolarem, owym ego, które siedzi w mym ciele, snuje moje myśli i co jakiś czas pakuje mnie w tarapaty. Usiłując bronić się przed straszną dogłębną ingerencją, doświadczałem też innych rzeczy, które i były częścią mnie, i nie były. Wizje bardziej realne niż wszelkie własne wspomnienia. Sceny święte. Koszmary. Echa.

Wirujący na wietrze pył, jasne niebo, smugi słońca.

Stery gruzu. Więcej pyłu. Coś ciężkiego mnie przygniata, chce stłamsić serce.

Twarz kobiety. Nie Anaity, bardziej ludzka, pokryta strużkami zakrzepłej krwi zmieszanej z kurzem. Przymknięte oczy.

I gdzieś w oddali płacz dziecka. Beznadziejny, spazmatyczny szloch nie do ukojenia.

Nie ma sposobu, by to wytłumaczyć bez jeszcze większego pogmatwania, ale czułem się tak, jakbym latami siedział w ciemnicy i nagle ktoś na sekundę uchylił zasłony i wpuścił ostre, zaskakujące, wszystko ujawniające światło dnia. Wiedziałem, że doznaję objawienia. To było coś większego niż władza, niż chwała samych

niebios. Pragnąłem tego więcej. To nie jakieś tam oderwane skrawki zapomnianej pamięci. To była Prawda.

Anaita jednak wyczuła mój opór i natarła silniej. Dostęp do jasnej rzeczywistości, jakiej nigdy przedtem nie odczuwałem i której odtąd zawsze będę głodny, urwał się raptownie.

Wraz z nim zniknęła nadzieja. Przez krótką chwilę sądziłem, że starczy mi siły, by się jej przeciwstawić, obronić przed tym, co mi robi, lecz znów byłem w błędzie. Gniew Anaity był prastary i zimny jak wieczna zmarzlina. Traktowała mą duszę jak brzydką zepsutą zabawkę. Wyciskała ze mnie samo moje jestestwo. To już nie było działanie subtelne, przetasowanie, przemiana, tylko spychanie w rosnącą nicość. Rozpaczliwie chwytałem powietrze, ale nic nie trafiało do płuc. Miażdżyła mnie, sprasowywała każdą cząsteczkę mej istoty, aż ciemność zaczęła się wlewać zewsząd, gasząc wszystko: światło, dźwięk, myśli.

Nie byłem zdolny wykrztusić ani słowa, wiedziałem jednak dostatecznie dużo, by ją ocenić, jak na to zasługiwała.

Kłamiesz! – pomyślałem. Teraz już cię znam.

Ale nie znałem. Wszystko już zapomniałem. Cała olśniewająca Prawda, przez ulotny moment tak czysto i jasno widoczna, zniknęła wessana przez próżnię nicości.

Nic.

A potem jasność i zgiełk zalały mnie falą, jak gdybym wyskoczył z głębin oceanu smoły z powrotem na świat. Żyj!

Anaita podniosła rękę. Jej twarz, świetlistą, piękną i straszną, wykrzywił grymas zaskoczenia i naglej furii, od której jej oczy zapłonęły czerwienią.

Coś się zmieniło. Coś czarnego pulsowało jak metronom pośrodku torsu Anaity, jak wskazówka zegara wieczności, wibrowało coraz wolniej i spokojniej.

Strzała.

Odwróciłem głowę, co zdawało się trwać latami. Halina stała o kilka metrów od nas, obsypana pyłem z rozbitych bezcennych rzeźb. W rękę miała kuszę. Wszystko działało się jak w zwolnionym tempie! Oksana, kulejąc, dołączyła do niej z AR-16 w dłoni – ach, te dzielne cudowne dziewczyny! – i po chwili z lufy peemu wykwitły ogniste kwiaty. Widziałem, jak kule nierównym ścięciem układają się na tynku. Anaita, o dziwo, chwiejnie cofnęła się pod ich uderzeniami – z wolna, jak walący się gmach. Krok w tył... druga ręka się uniosła... następny krok... aż wpadła plecami na ścianę. Czas zastygł na moment. Anioł Deszczu wyciągnął ręce ku Amazonkom, powoli i nieubłaganie, a ja wciąż nic nie mogłem zrobić.

Dziesięć tysięcy ostrych szklanych drzazg pofrunęło w ich stronę niczym grad niesiony huraganowym wiatrem. Śmiercionośne igły wbiły się w stojącą bliżej Halinę. Oksana odskoczyła w bok, lecz szkło dosięgło i ją. Jej skóra pokryła się dziesiątkami cieniutkich strużek krwi. Wydawało mi się, że upłynęło z pół minuty, zanim upadła na posadzkę.

I nagle czas znowu ruszył z kopyta. Błyszczące lwiska zaryczały i

w paru susach zajęły pozycje po bokach swej pani, w mig adaptując się do realnego świata. Uwolniony z chwytu Anaity zachwiałem się i byłbym upadł, lecz w porę oparłem się o ścianę. Przez moment stałem zdezorientowany, gdyż znalazłem się w tym samym miejscu co zaledwie przed chwilą, jakby czas zatoczył koło. Nie wiedziałem tylko, dlaczego to wydaje mi się takie ważne. Czemu tego nie pamiętam?

Anaita wyrwała sobie strzałę z piersi, aż zagrzechotało szkło i kamyki, i odrzuciła ją ze złością. Sam nadal leżał rozciągnięty na podłodze, podobnie jak obie Ukrainki. Zaraz każe lwom ich wykończyć, a potem dobierze się do mnie. Opierałem się jej ze wszystkich sił, ale to nie wystarczyło – a teraz była rozjuszona.

Nagle sobie uzmysłowiłem, czego szukam w pamięci. Przesunąłem się niepewnie wzdłuż ściany, sięgnąłem do miejsca, gdzie powinno to być – modląc się żarliwie, by się nie omylić – i otworzyłem Zamek Błyskawiczny, który tam zamknąłem przed kilkoma minutami, a sam rzuciłem się na ziemię.

Rozwścieczone dzikorobaki jeden przez drugiego wysypały się z tymczasowego więzienia w gwałtownej erupcji, jakby pękła tama przegradzająca rzekę żywej czarnosinej melasy. Spłynęły na podłogę i w sekundę nakryły bliższego ze szklanych lwów, a zaraz potem Anaite. Przez ułamek sekundy rozsadzała mnie euforyczna nadzieja, że babsko zniknie pod nimi na dobre, ale w następnej chwili zobaczyłem, jak smugi gorącego światła tną od spodu pulsujące cielska potworów. Gdyby był tylko jeden czy dwa, na tym sprawa by się pewnie zakończyła, ale teraz już wszystkie wróciły z Zewnętrzza,

przepełnione furją po chwilowym uwięzieniu, i parły śladem towarzyszy, żądne zemsty i krwi. Prześwitująca masa, która pochłonęła Anioła Deszczu, rozciągała się i pęczniała. Powietrze przepełnił odór płonącej plechy, ale to były prastare mocarne stwory, niełatwe do pokonania nawet dla archanioła tak potężnego jak Anaita.

W końcu jednak to ona zwycięży – tego byłem pewien. Mieliliśmy nie więcej niż kilkadziesiąt sekund.

Na czworakach podszedłem do Sama i poderwałem go na nogi, po czym popełzłem do Amazonek. Oksana usiłowała docucić przyjaciółkę, wystarczył mi jednak rzut oka, by stwierdzić, że jest już za późno. Ciało Haliny było naszpikowane niezliczonymi odłamkami szkła; wiele wbiło się w pierś i szyję. Straciła tyle krwi, że kałuża wokół ciała rozlała się na dobre półtora metra.

– Daj spokój, to koniec – perswadowałem, usiłując odciągnąć Oksanę, lecz stawiała opór.

– Hala! – krzyczała raz po raz. – Wstawaj!

Nie było czasu. Przyłożyłem palce do gardła zabitej, gdzie powinien być puls, ale zrobiłem to tylko na użytek jej przyjaciółki.

– Ona odeszła. Przykro mi, ale musimy stąd wyjść. – Objąłem dziewczynę i mocno przytuliłem. – Chodźmy już.

Nie płakała, ale na jej twarzy malowało się kompletne zagubienie.

– Nie. Nie pójdę. Tylko z nią.

To nie miało sensu; wiedziałem, że Halina nie żyje. Zdawałem

sobie jednak sprawę, że inaczej Oksana się stąd nie ruszy. Swąd spalenizny był coraz silniejszy. Podniosłem zwłoki i przerzuciłem sobie przez ramię.

– Dokąd? – spytał Sam, też pokrwawiony i upiornie biały od pyłu.

– Na dół. Do drzwi Trzeciej Drogi.

– Ona może nas tam ścigać. – Sam pokręcił głową.

– Wszędzie może nas ścigać, za to dla nas to najszybsza droga ucieczki. No, dawaj!

Potykając się o szczątki eksponatów, ominęliśmy kipiące sine bajoro z Anaity przygniecionej przez dzikorobaki. Płonęło w nim światło jaskrawe jak płomień z palnika spawarki; nie ulegało wątpliwości, że lada chwila zrobi się tu naprawdę paskudnie.

Trup Haliny ciążył mi tak bardzo, że omal nie zleciałem ze schodów, jakoś jednak zachowałem równowagę. Sam zszedł pierwszy; z boską rękawicą na dłoni stanął przed białym prostokątem marmuru.

– Rozumiesz, że jeśli ona to jakoś zamknęła, to jesteśmy wydymani – rzucił w przestrzeń, jakby do nikogo w szczególności.

Nie odezwałem się, bo i co miałbym odpowiedzieć? Byliśmy już tak dokładnie i na wszystkie strony wydymani, że mogliby nam poświęcić całą nową wersję *Kamasutry*.

Na gest Sama środek płyty rozgorzał jasną linią blasku, lecz tylko na moment. Potem i ona, i cała ściana zamieniły się w coś, co mogę

określić tylko jako pianę musującego światła. Sam wepchnął w nią Oksanę i wszedł za nią. Wziąłem głęboki wdech, przycisnąłem Halinę do siebie i wskoczyłem ich śladem.

Trawa. To była pierwsza rzecz, którą zauważyłem, wypadłszy po drugiej stronie. Trawa pod stopami, a potem, gdy z rozpędu padłem jak długi, także pod pierśią, głową, całym mną. Nawet w nozdrzach, w kłującej, łaskoczącej obfitości. Dźwignąłem się na czworaki. Gdzieś podczas przejścia zgubiłem ciało Haliny, ale w tych pierwszych chwilach nawet tego nie zauważyłem, pochłonięty wszystkim wokół.

Jedną z dziwnych rzeczy związanych z byciem mną jest isticie marcowo-garncowa przeplatanka „piękna” ze „strasznością”. W marne sekundy od zagrożenia niemal pewną śmiercią wylądowaliśmy w raju.

Byliśmy na leśnej polanie, ale otoczenie tak dalece przerastało typowe piknikowisko w parku narodowym, jak Niebo przerasta nowojorską dzielnicę portową. Roślinność pyszniła się tak intensywną zielenią, jakby ktoś ją świeżo pomalował. Nigdy nie widziałem tak błękitnego, tak triumfalnie wysklepionego nieboskłonu. Nawet prześwitujące między drzewami odległe szare góry wydawały się specjalnie skonstruowane, by dawać ludziom powód do używania przymiotnika „majestatyczne”. Zupełnie jakby wyjątkowo ekscentryczny ogrodnik podlał wszystko czystą psylocybiną, żeby wyrosły mu te cudne, oszałamiająco realistyczne halucynacje. Tylko że to nie były halucynacje. To był najprawdziwszy świat.

Z radością stałbym tam godzinami, spijając to wszystko, ale nagle dotarło do mnie, że jesteśmy tu tylko my dwaj.

– Tędy! – ponaglił mnie przyjaciel. – Pospiesz się. Musimy zebrać całą resztę, ewakuować ich, ukryć. Kto wie, co ona teraz robi, kiedyśmy ją naprawdę doprowadzili do szału.

Nawet w tym idealnym, wspaniałym otoczeniu poczułem nagle kompletną pustkę i beznadzieję.

– Już po nich, Sam. Koniec z Amazonkami. Nie przeszły.

Gapił się na mnie nierozumiejącym wzrokiem, po czym z wolna rozejrzał się wokoło.

– Kurde. No jasne. One nie są aniołami, nie mogły wejść do Kainos.

– Ale inne dusze tu trafiły, nie? Wszyscy twoi ochotnicy...

– Dusze. Nie ciała.

– Ale Halina była martwa!

– Zatem jej dusza jest gdzie indziej. Na rozprawie. – Zrobił krok w stronę lasu. – Paskudny los, Bobby, ale teraz naszym obowiązkiem jest ratować tych, których możemy. Pozostałe tutejsze dusze.

– Nie, stary. Nie mogę ich tak zostawić.

Obejrzał się na mnie i zawrócił.

– Jedna z nich zginęła, Bob. Sam to powiedziałeś.

Nie był zły, tylko wstrząśnięty i zbolały.

– To bez znaczenia. Nie zostawia się żołnierza na polu bitwy, jeśli

jest inne wyjście. Dobrze to wiesz. Dasz radę znowu otworzyć to przejście?

Teraz się wkurzył.

– Co, chcesz wrócić do tego muzeum? Do Anaity?

– Po prostu otwórz mi drzwi, czy co też to jest. Oksana i Halina muszą gdzieś być. Może nie będę musiał przejść całej drogi. Może są... gdzieś pomiędzy, jakimś cudem. Nie wiem nawet, co to znaczy, ale muszę je odnaleźć.

Zastanawiał się tylko sekundę.

– Nie mogę iść z tobą. Jestem to winien ludziom z Kainos. Muszę zostać i im pomagać.

– Wiem. Zrób to i szlus.

– Nie mogę tak zwyczajnie otworzyć drzwi, bo wpadłbyś z powrotem do muzeum. Spróbuję to zrobić gdzie indziej. Ale muszę cię ostrzec: nigdy czegoś takiego nie próbowałem. A po dzisiejszym nie wiem, czy mam jeszcze dość sił. – Podniósł rękę i zamknął oczy. Po chwili pojawił się przede mną chybotliwy pionowy snop światła. – Nie wiem, jak długo zdołam to utrzymać ani dokąd cię to zaprowadzi. Mam tylko nadzieję, że nie wrzucę cię...

– Nic nie mów. Zaraz się sam przekonam. – Wchłonąłem ostatni haust krystalicznego powietrza, ostatni obraz tego nowego, nieznanego świata. Dlaczego trafiają mi się tylko takie króciuteńkie przebłyski szczęścia, które zaraz są mi brutalnie odbierane? – Trzymaj się, Sam. Jeszcze nas nie pobiła. – Mój kumpel wyglądał

jednak na porządnie pobitego i nie miałem wątpliwości, że to samo można powiedzieć o mnie. – Pamiętaj o naszym motto: na pohybel wrogom!

To rzekłszy, odwróciłem się plecami do rajy i wstąpiłem w światło.

Trzydzieści dwa

Smutna, piękna muzyka



Właściwie to do dzisiaj nie wiem, dlaczego nie wylądowałem z powrotem w muzealnym gabinecie Anaity, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, w jakim stanie był wtedy Sam. Może we wszechświecie jest więcej dobroci, niż mi się zawsze wydawało. Może wcale nie jestem najbardziej pechowym z aniołów i mam więcej szczęścia, niż umiem dostrzec. Cokolwiek to sprawiło, magiczne przejście nie wyrzuciło mnie w wir zmagania Anaity z piekielnymi galaretami i za to mogłem być tylko bardzo, bardzo wdzięczny.

Dawno temu, kiedy ludzie wierzyli (lub chcieli wierzyć), że Słońce i planety krążą wokół Ziemi, jeden z tych starych greckich mądrali ogłosił, iż wszechświat muzyką stoi, sam byt wszystkiego jest podkreślony kosmicznymi dźwiękami i nawet odległości między ciałami niebieskimi, na przykład Ziemią i Księżycem, są miarą tej „muzyki sfer” – *musica mundi*.

Trochę później sprawa się ryła, szczególnie kiedy Galileusz podchwycił i zaczął namolnie propagować Kopernikański pogląd, że z tym krążeniem Słońca wokół Ziemi jest akurat na odwrót. Watykan

natychmiast kazał mu się zamknąć, grożąc dobraniem mu się do tyłka w ramach inkwizycji. Chłop się ugiął, niby dał za wygraną, ale pod nosem cały czas pomrukiwał, że *eppur si muove*, jednak się kręci, wykutasy.

Pozwoliłem sobie przytoczyć ten epizod z historii, żeby was przygotować na to, co usłyszałem po wstąpieniu w otwarte przez Sama świetliste wrota. Była to albo sama muzyka sfer, albo jej wyjątkowo udana podróbka.

Ogarnęło mnie, a może wchłonęło białe światło, a właściwie cała paleta odmian białego światła – różniących się nie barwą, lecz intensywnością. Gdy usiłowałem się zorientować w otoczeniu, do mych uszu dotarło coś, czego nigdy nie zapomnę.

Tu uwaga: mówi to gość, który słyszał i pienia chórów anielskich w Niebie, i potępieńcze wrzaski płynące z najgłębszych czeluści Piekła, a nie jakiś żółtodziób. Jednak to, co rozbrzmiało mi w głowie, kiedy przekraczałem granicę światów, co mnie zewsząd owionęło niczym oddech giganta wielkości galaktyki, było niepodobne do żadnego z wcześniejszych doświadczeń. Tak inne od wszelkich znanych dźwięków jak dzień się różni od nocy. Głębsze niż najniższy pomruk, miało jednak stopnie – muzykolog powiedziałyby: składowe harmoniczne – które wykraczały poza moją zdolność słyszenia czy jakiegokolwiek innej percepcji, a mimo to jakoś je odbierałem. Znalazłem się w sercu absolutnie największej żywej istoty, jakbym był jedną z jej komórek... nie, raczej pojedynczym impulsem elektrycznym w nieskończonej sieci neuronów samego Najwyższego. Dźwięk, muzyka, wibracje – wybierzcie sobie określenie, które

najbardziej wam pasuje – wypełniały wszystko wokół mnie. Byłem nigdzie i zarazem wszędzie, a przy tym właśnie tam, gdzie powinienem być.

Wszystko to przemknęło przeze mnie znacznie szybciej, niż potrzeba, by przeczytać ten opis, aż w końcu ocknął się mój racjonalny umysł (darujcie sobie złośliwostki), wziął mnie mentalnie za rękę i zaprowadził z powrotem do rzeczywistości.

To było dosłownie trzeźwiące przeżycie. Cudowny chaos skostniał w coś mniej rozproszonego, a rozmaite tony światła ułożyły się w trójwymiarową konstrukcję. Stałem w nieskończonym białym korytarzu z lśniących pyłków, miliardów drobniutkich bąbelków, z których każdy świecił własnym światłem, niektóre jaśniej od innych, ale nie znalazłbyś ani jednego ciemnego. Wszystko wokoło – ściany, strop, podłoga – składało się z tych komóreczek. Nasunęło mi się skojarzenie ze styropianowym wypełniaczem z kartonu, w którym dostarczono kosmos.

Usiadłem. Ten ruch uzmysłowił mi, że mam na sobie ziemskie ciało i że dotąd leżałem bezwładnie jak szmaciana lalka. Potem dotarł do mnie czyjś płacz.

Odwróciłem się (bielutkie drobinki rozmyły się przy tym w smugi) i ujrzałem Oksanę – tak jak ją widziałem ostatnim razem, z twarzą wtuloną w rudą grzywę przyjaciółki. Halina była tak samo blada i martwa jak wtedy, gdy niosłem ją na ramieniu.

– Oksana?

Podskoczyła, a raczej chciała to zrobić, lecz komórkowa jasność

wokół nas nie dawała dostatecznego oparcia: dziewczyna zdawała się pływać w czymś oleistym, a rój światełek zawirował wokół niej jak ławica spłoszonych rybek.

– Och, co się... – Jej oczy wyglądały na tym jasnym tle jak błotniste jamki. – Ja *ne rozumiju*. Ty żyjesz, Bobby? – W ciemnych oczach rozbłysły ledwo widoczne iskierki nadziei, ale zgasły natychmiast, gdy spojrzała na ciało Haliny. – Nie, ona nie. Tylko ty. – Łza pociekła jej po policzku. – Co to jest? Co to za miejsce?

– Nie bardzo wiem. Ale zdaje się, że żadne z nas nie powinno tu być, a zwłaszcza ty. Ale to nic. Zabiorę cię z powrotem.

– Z powrotem dokąd? – Spojrzała na mnie wystraszona. – Chyba nie tam, gdzie...

– Nie. Na Boga, nie do muzeum! Wracamy do domu.

Miałem tylko nadzieję, że to właśnie udało się Samowi zaaranżować, wolałem jednak bez potrzeby nie dzielić się z nią własnym strachem. Dość już wycierpiała przez moje błędy.

Wstałem, zmagając się z dziwną materią i gęstym jak olej powietrzem. Stopy tonęły mi w niej jak w puchu, ale jednak trafiały na opór. Nie wiedziałem, czy pod świetlistymi cząstkami jest twardsze podłoże, czy one same tak się zbijają pod naciskiem. Czułem się jednak stosunkowo bezpieczny, choć daleko mi było do spokoju.

– Nie, Bobby, ja nie chcę. – Ukrainka, najwyraźniej wyczerpana przeżyciami ponad wytrzymałość każdego zdrowego na umyśle człowieka, osunęła się na kolana. – Chcę zostać tutaj, z moją Halą.

– Nie możesz. To nie jest miejsce dla ludzi... w każdym razie nie dla żyjących.

Mając w pamięci słowa Sama, że do Trzeciej Drogi mogą wejść tylko aniołowie i dusze, zacząłem się zastanawiać, czy nie znajdujemy się w jakiejś wyściółce znanego nam wszechświata, czymś w rodzaju łożyska, które ma nie wpuszczać rzeczy niepożądanych, a zatrzymywać wewnątrz właściwe. Z całą pewnością ta żywa, pulsująca przestrzeń bardziej przypominała organizm niż sztuczną konstrukcję.

Przekonanie Oksany zajęło mi trochę czasu. Zaczynałem się niepokoić, że może się tu pojawić sama Anaita w drodze do Kainos, i dopiero gdy o tym napomknąłem, dziewczyna w końcu się pozbierała, rozedrgana jak nowo narodzone źrebę.

– Dokąd ją zabierzemy? – spytała.

Nie od razu zrozumiałem, że mówi o swej przyjaciółce i kochance.

– Donikąd – odparłem. – Myślę, że trzeba ją tu zostawić.

– No coś ty? Nigdy w życiu!

– Haliny już nie ma, Oksano, wierz mi. To nie ona tu leży. Nie kobieta, którą kochałaś. To tylko ciało. To dlatego, że Hala umarła, tylko ja wróciłem, a ona nie. Jej dusza poszła dalej. Kto jak kto, ale ja to wiem najlepiej.

Nowe zmartwienie spadło na mnie jak kubeł zimnej wody. Co się stanie, kiedy dusza Haliny trafi na sąd? Jak wszyscy, też musiała mieć

anioła stróża. Skoro umarła, to władze dowiedzą się o niej wszystkiego, włącznie z każdym moim występkiem, którego była świadkiem. I czy nie dotyczy to także Anaity? Przecież dziewczyna zginęła z jej ręki. Czy ktokolwiek, nawet tak potężny archanioł, może manipulować tak podstawową funkcją systemu niebieskiego?

Jak to się ostatnio nader często zdarzało, mogłem tylko bezradnie pokręcić głową. Za wiele jest pytań, na które nawet anioł nie umie odpowiedzieć.

– Chodź ze mną, Oksano – powiedziałem. – Po wszystkim, cośmy razem przeszli, po wszystkich moich błędach... niestety, musisz mi jeszcze zaufać. Ta część Haliny zostanie tutaj, być może na zawsze. Myślę, że to wszystko tutaj to jest jakby ciało samego wszechświata... jeśli to się w ogóle da zrozumieć. Ale to, co w niej najważniejsze, poszło dalej, wiesz? Jej ciało będzie tu bezpieczne. To tak samo, jakbyśmy ją pochowali w ziemi, tylko... czyściej.

– Nie! – Dziewczyna nawet nie podniosła oczu. – Nie idziemy. – Byłem bliski użycia siły, gdy po długiej pauzie dodała: – Daj mi trochę czasu. Na pożegnanie.

Nachyliła się nad zwłokami i ułożyła białe, upstrzone piegami dłonie zmarłej na piersiach, potem wyprostowała jej nogi. Odgarnęła pasemko miedzianych włosów z posiniaczonego czoła, pogładziła po policzku, cały czas szepcząc coś po ukraińsku. Czekałem cierpliwie. W końcu spojrzała na mnie, mówiąc:

- Szkoda, że nie mamy broni. Scytyjki zawsze chowa się z bronią.
- Bóg już będzie wiedział, że była wojowniczką – zapewniłem ją.

– Tak, była. Strzeliła do perskiej suki! Zraniła ją.

– I chyba uratowała mi życie. Nam wszystkim. – Ukląknęłam i dotknęłam policzka poległej Amazonki. – Dziękuję, Halino. Bóg cię kocha. Obyś miała dobrą podróż i otrzymała nagrodę, na jaką zasługujesz.

Szliśmy połyskliwym korytarzem z piany, aż wreszcie biała światłość zamknęła się za nami jak kurtyna i więcej nie zobaczyliśmy ciała Haliny. Oksana była w stanie niemal katatonicznym, lecz i ja poruszałem się jak somnambulik. Chciałbym móc lepiej opisać to miejsce, ale mnie to przerasta. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek je ujrzę, poczuję muzyczną aurę i wszechogarniającą jasność (słowa ani trochę nie oddają przedziwnej fizyczności tego wszystkiego), wiem jednak, że będę je pamiętał, póki ostatecznie nie przestanę myśleć.

Szliśmy już jakiś czas, kiedy zauważyłem, że otoczenie zaczyna ciemnieć, jak gdyby do naszego nieświata zakradł się zmierzch. Światło jakby zmatowiało, straciło barwę. Potem się zorientowałem, że nie jest już jednolite: pojawiały się w nim na przemian pasma jasne i ciemne, z coraz większą częstotliwością i coraz bardziej przygaszone, aż w końcu zrobiły się szaro-czarne. Nagle znaleźliśmy się w wielkiej, absolutnie ciemnej pustce. Oksana po omacku chwyciła mnie za rękę, nie mogłem jednak dodać jej otuchy, bo sam nie wiedziałem, co się dzieje.

Kilka sekund później, bez żadnej wyraźnej granicy czy przejścia, byliśmy już nie wewnątrz czegoś, tylko pod gołym ziemskim niebem, na podmiejskiej uliczce z drzewami i latarniami. Znów miałem

telefon w kieszeni. Rzut oka na ekran i tabliczkę z nazwą ulicy powiedziały mi, że jesteśmy w San Judas, parę godzin przed świtem następnego dnia po włamaniu do muzeum. Po wszystkim, co przeżyliśmy, mój sprytny, bohaterski, wyczerpany przyjaciel jakimś cudem zdołał nas przerzucić do wschodniej dzielnicy, zaledwie kilkaset metrów od domu.

Kiedy wreszcie doczłapałiśmy do mieszkania, zrobiłem Oksanie herbatę (bo nie miałem pojęcia, co innego mógłbym dla niej zrobić). Po paru minutach usnęła na siedząco na kanapie, nie tknąwszy napoju. Zabrałem filiżankę i spodeczek z jej kolan, położyłem ją na boku i okryłem kocem. Potem znów wyszedłem na ulicę.

Do kampusu było daleko, musiałem jednak odzyskać taksówkę. Część drogi przejechałem autobusem pełnym żywych trupów, jakie zawsze się widuje w środkach transportu miejskiego, zanim wszędzie słońce. Musiałem świetnie wtapiać się w tłum; przed wyjściem umyłem się i jako tako opatrzyłem skaleczenia, nie miałem jednak czasu się przebrać. Moje spodnie wyglądały, jakby mnie właśnie wyrzucono z roboty w szkole dla pitbulli z powodu niekompetencji, a na koszuli miałem dwie dziwne sinoczarne plamy, których skład chemiczny wprowadziłby w zdumienie każdego laboranta z zakładu medycyny sądowej. Do tego czułem się martwy w środku i tak pusty, że nawet sobie nie wyobrażacie.

Wysiadłem przy Camino Real i przelazłem przez mur kampusu. Wolno, ukradkiem posuwałem się przez zadrzewioną przestrzeń, aż wreszcie dotarłem w pobliże muzeum Elizabeth Atell Stanford.

Nie było świateł reflektorów, migających kogutów policyjnych ani w ogóle żadnych oznak aktywności, co mnie bardzo ucieszyło. Nie żebym zamierzał tam wracać – poszóstnym zaprzęgiem by mnie tam nie zaciągnęli. Gdyby jednak wykryto przestępstwo, gliniarze już by zablokowali teren i sprawdzali każdego, kto by próbował wydostać się na miasto.

Taksówka wciąż stała na parkingu, i to w towarzystwie paru innych aut, dzięki czemu nie zwracała na siebie uwagi. Uruchomiłem silnik i z duszą na ramieniu ruszyłem w stronę bramy głównej pewien, że lada chwila zacznie mnie ścigać radiowóz. Nic się jednak nie wydarzyło, z czego wyciągnąłem wniosek, że nikt jeszcze nie odkrył pobojowiska w muzeum. Strażnik przy bramie podniósł szlaban, ledwie na mnie zerknąwszy, i tak bez przeszkód wyjechałem na Camino. Zatrzymałem się przy piekarni po pieczywko na śniadanie i w drodze do apartamentu Caz spałaszowałem połowę drożdżówek, jakby głód, który całą, pełną nasączoną adrenaliną grozy noc nie mógł za mną nadążyć, teraz wreszcie mnie dopadł.

Oksana nadal spała, tak jak ją zostawiłem. Wyłożyłem na stolik jej ulubione ciastka migdałowe, wziąłem szybki prysznic i walnąłem się spać.

Ileś godzin później drzwi mej sypialni się otworzyły. Ocknąłem się od razu, adrenalina znów napłynęła, ale to była tylko ona.

– Mogę wejść? – spytała.

– Jasne.

Uniosłem koc i pozwoliłem Oksanie wsunąć się koło mnie.

Dobrze wiedziałem, że ma na sobie tylko koszulkę na ramiączkach i figi, byłem jednak zbyt zmęczony, by cokolwiek o tym pomyśleć. Wtuliła się we mnie cała. Nie musiała nic mówić; drżenie jej ciała wszystko mi wyjaśniło. Objąłem ją mocno.

– Idę za nią – powiedziała. – Za Haliną. – Przez moment zdawało mi się, że zapowiada własną śmierć, ale nim zareagowałem, odezwała się znowu. – Znaczy szłam. Bo ją kocham. Znałyśmy się od szkoły. Dla mnie zawsze była najdzielniejsza, jak łycar.

– Łycar?

– Jak to po waszemu, *rycar*?

– Rycerz. Taki gość w zbroi, na koniu?

– O, właśnie. Najdzielniejsza i najpiękniejsza. Na wietrze jej włosy były jak sztandar. Chciałam... ją poślubić. – Głos się jej załamał i długo nie mogła wykrztusić słowa. Tuliłem ją mocno, czekając, aż ustanie szloch. Z wolna się uspokajała. – Powiedziała, że dla niej za młoda, że nie warto się z nią zadawać i poza tym lubi też chłopców. A mnie co tam! I kiedy odeszła do Scytyjek, przyrzekłam, że do niej dołączę. – Oksana oparła się czołem o mą pierś, jakby chciała słyszeć własne słowa wibrujące we mnie echem. – I tak zrobiłam. Dwa lata później rzuciłam szkołę i poszłam. Nie żałuję. Było mi dobrze. Pokochałam ćwiczenia, sztukę walki. Nabrałam siły, a Halina była tak piękna, silniejsza ode mnie i taka mądra! Wiedziała wszystko o świecie, o polityce.

Nigdy jeszcze nie słyszałem u niej tak długiej wypowiedzi po angielsku. Staralem się nie zwracać uwagi na fizyczną bliskość

ciepłego, zdrowego dziewczęcego ciała, zamienić się w parę uszu i słuchający mózg, bo ona tylko tego ode mnie potrzebowała, ale jasny gwint, nie było to łatwe! Anioł czy nie anioł, człowiek nie jest stworzony do samotności, a moje ciało jest doczesne jak cholera.

– I w końcu ona też mnie pokochała, moja Hala. Och, miała też inne dziewczyny, ale mnie kochała najbardziej. Tak mówiła. I dla mnie to było szczęście. Nazywała mnie... nazywała... – Słowa znów uwięzły jej w gardle. Musiała przez to przejść jak przez sztorm. Objęła mnie z całej siły, przywarła twarzą do torsu, rozdygotana jak zwierzątko usiłujące schronić się w norce przed niebezpieczeństwem. Gdy spazm minął, mówiła dalej spokojnie, lecz w napięciu. – Nazywała mnie Szczudłakiem. To taki ptak z długimi nogami, co chodzi po wodzie. Mówiła, że jej go przypominam. – Sztorm porwał ją znowu i tym razem trzymał tak długo, że w końcu zapadłem w sen, nie wypuszczając jej z objęć.

Obudziłem się chyba niedługo po brzasku. Oksana nadal była ze mną w łóżku, lecz teraz oplatała mnie w zupełnie inny sposób, z łonem przyciśniętym do mej nogi, piersiami rozpląszczonymi na moim ramieniu; napierała na mnie, ocierała się, wydając ciche, miękkie pomruki. Nabrzmiące sutki wypychały cienką koszulkę w dwa małe namiociki. Przesunęły mi się po skórze, a ona aż jęknęła, ale tak cichutko, jakby to się działo w innym pokoju.

Spała oczywiście, bez wątpienia śniąc o swej utraconej miłości. Próbowałem się od niej odsunąć, lecz zareagowała płaczącym skomleniem i jeszcze mocniej się do mnie przytuliła. Ja miałem sen o Caz, od którego już byłem na pół twardy, a teraz rytmiczny nacisk

młodego ciała w połączeniu z dźwiękami pragnienia i rozkoszy przyprawiły mnie o pełną, aż bolesną erekcję. Nie wiedziałem, co robić, ale było jasne, że muszę wydostać się z łóżka. Oksana nie pragnęła mnie; chciała czegoś, czego mieć nie mogła. Ja nie pożądałem jej, w każdym razie nie sercem, a już na pewno nie zamierzałem jej wykorzystać – cokolwiek by o tym sądziła moja prymitywna tępa hydraulika.

Odwróciłem się bardziej na wznak, żeby mój pulsujący przyrząd nie stykał się z jej ciałem. Zbierałem siły, żeby przenieść się z ciepłej pościeli na zimny fotel – dla dobra wszystkich obecnych i co najmniej jednej nieobecnej – gdy wtem Amazonka wydała zduszony okrzyk i tak mocno zacisnęła nogi na mojej, że zaniepokoiłem się o całość kości udowej. Kurczę, ma dziewczyna mięśnie! Długo tak leżała napięta, oddychając głęboko, aż wreszcie sennie wymamrotała coś, czego nie dosłyszałem, i zapadła się jeszcze głębiej w nieświadomość.

Nie wiem, ile czasu przeleżałem bez ruchu, usiłując zasnąć, lecz bez większego powodzenia. Tęskniłem do Caz na wszystkie sposoby, na jakie mężczyźni może brakować ukochanej, plus jeszcze kilka, których przedtem nawet sobie nie wyobrażałem. W końcu krew wróciła mi tam, gdzie powinna, i zajęła się swoją zbożną działalnością, ja zaś mogłem znów osunąć się w niebyt. Tym razem śniły mi się białe, nieskończenie długie korytarze bez wyjścia.

Trzydzieści trzy

Królicza nora



Nie wiem jak wy, ale kiedy ja planuję coś tygodniami, a potem mi się to wali i pali, niosąc daremność, grozę i śmierć, lubię od razu ruszyć z nowym planem. Wiecie, żeby nie zmarnować tego zwycięskiego impetu.

Ma się rozumieć, że przygoda w muzeum mnie do cna wybebeszyła i najchętniej bym zwyczajnie zalał pałę, żeby wylugować z pamięci straszliwe błędy, które popełniłem – nie mogłem sobie jednak na to pozwolić. Musiałem myśleć, co dalej – bo to miało nastąpić, niezależnie od mojej woli.

W porannych gazetach, przynajmniej lokalnych z Jude, aż kipiało od opisów skutków naszej ekspedycji (tytuł *Atak na muzeum Stanforda: Wandalizm czy protest polityczny?* z „Kuriera” mógłby posłużyć za ich podsumowanie), jednakże ku mej niezmiernej uldze nigdzie nie znalazłem wzmianki o trupach. Wyglądało na to, że obezwładniony strażnik przeżyje, a nieobecność innych ofiar świadczyła, że ci z Czarnego Słońca, uciekając, zdołali zabrać rannych i poległych. Dzięki temu obejdzie się bez śledztwa w sprawie morderstwa. Ze smutnego doświadczenia wiem, że dziesięć razy

trudniej jest uniknąć kłopotów z policją, kiedy w grę wchodzi gwałtowna śmierć. Jakże tęskniłem do czasów, kiedy jeszcze nie byłem w niełasce u szefostwa! Mógłbym po prostu wezwać brygadę czyścicieli, jak wtedy z tym syfem zostawionym przez neonazistów w mieszkaniu nade mną. Inna rzecz, że nawet anielscy spece mieliby problem z zatuszowaniem takiej afery.

Tak czy owak nie miałem wątpliwości, że reperkusje katastrofy w muzeum będą wystarczająco dramatyczne, by mnie do reszty pograć. Nie tylko pokazałem Anaicie, że ma we mnie wroga – ba, dałem jej w twarz tak, że mocniej już nie można – ale na dobitkę nadal nie znalazłem rogu. Innymi słowy, wnerwiłem ją na całego, a jej ani odrobinę nie zaszkodziłem.

Kiedy się uporałem z prasówką, Oksana jeszcze spała i nie zanosilo się na to, że wstanie w ciągu najbliższych godzin. Mnie to pasowało. Sen to jedna z nielicznych rzeczy, które w ogóle da się robić w prawdziwej żałobie, a ja nie wiedziałem, czy zdołam ją jakoś wesprzeć. Całkiem serio rozważałem, czy nie zawieźć jej na lotnisko i nie wysłać gdzieś na drugi koniec świata, żeby nie musiał jej chronić przed całym badziewiem, które wkrótce na mnie spadnie. Tylko że po wydatkach poniesionych na przygotowania do feralnej akcji w muzeum stać by mnie było najwyżej na bilet komunikacji miejskiej, i to nie dalej niż do Salinas.

Porażka? No co wy! Jeżeli, to tylko w tym kontinuum czasoprzestrzennym. Na pewno istnieje cała masa wszechświatów, gdzie Bobby D. wciąż jest supermenem.

Wyszedłem na podwórko, żeby zadzwonić w parę miejsc, ale rozproszyły mnie dochodzące z krzaków odgłosy konwulsyjnej szamotaniny, jakby kot usiłował wykrztusić nie kłębek sierści, lecz całego innego kota. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem nizzaka – takiego samego jak ostatnio, model gackowaty – zaplątanego w gęsty jałowiec. Domyśliłem się, że szukał cienia, gdy wzeszło słońce. Stwory piekielne lubią ciepło, ale i ciemność. Ostrożnie wydobylem go spomiędzy kolczastych gałęzi i zaniósłem do mieszkania, był jednak tak zmarznięty, że tylko dygotał i poszczekiwał cieniutko.

Wsadziłem go do piekarnika i nastawiłem termostat na sto dwadzieścia stopni. Po dziesięciu minutach wyjąłem go, używając rękawic kuchennych. Demonek wyglądał na uszczęśliwionego i już recytował wiadomość. Zgasilem światło i wysłuchałem do końca, po czym pozwoliłem mu powtórzyć całość od początku.

– To chyba jedna z przyczyn, dla których się w tobie zakochałam, zamiast od razu cię ukatrupić, jak należało: twoja psychotyczna niezdolność do kompromisu i mądrych decyzji. Tak przywykłam do ludzi dbających wyłącznie o własny interes, że facet, który nie umie wybrać sensownego wyjścia nawet pod groźbą tortur i śmierci, miał dla mnie swoisty urok. Miałeś rację z tą cygańską legendą, którą ci opowiedziałam naszej pierwszej nocy. Ty nie postąpiłbyś tak jak Korkoro. Nie, ty byś pognął na tę cholerną górę i bił się z Królem Mgieł, i byłoby jeszcze gorzej dla każdego... a wszystko w imię jakiejś zasady, której sam nie jesteś pewien. Och, Bobby, nie umiem powiedzieć, jak bardzo cię teraz pragnę. Chcę czuć na sobie twój

ciężar, twoje ręce trzymające mnie mocno, jakbym chciała uciec... ale bym nie uciekała. Wiem, co to znaczy być więzionym przemocą, i wiem, jak to jest, gdy ktoś cię trzyma, a ty tego właśnie chcesz. Różnica jest oczywista. W jakim my koszmarnym, groteskowym świecie żyjemy, kochany, w którym dwoje ludzi pragnących tylko być razem musi go wywrócić na lewą stronę, by tego dopiąć! Może na razie nie powinniśmy więcej rozmawiać. Myślałam, że dam radę, ale chyba nie dam. Tyle lat mieszkałam w Londynie, że należałoby się czegoś nauczyć od Anglików, bo oni dobrze to wiedzą: z ludźmi nie można inaczej niż na dystans. Nie mów mi nic, Bobby, od czego bym musiała płakać. Jeżeli wyślesz odpowiedź, raczej mnie rozśmiesz i bądź słodki. Inaczej nie wydzierzę.

Nie byłem gotowy odpowiadać. Za dużo rzeczy wrzało mi w mózgu. Pamiętacie z dzieciństwa, jak to było, kiedy człowiek z gniewu i smutku mógł się tylko rozszlochać? No to wiecie, jak się poczułem. Zamiast jednak płakać, ułożyłem nizzaka w jeszcze ciepłej brytfannie, otuliłem garścią brudnych skarpetek (od czego musiał się poczuć jak u siebie) i zamknąłem w bieliźniarce, żeby mi nie przestraszył Oksany, gdy się w końcu obudzi. Potem zaparzyłem sobie kawy tak mocnej, że gdybym był baristą, służby sanitarne wsadziłyby mnie za to do paki, i wyszedłem z nią na zewnątrz, żeby zadzwonić tu i tam. Na pierwszy ogień wziąłem Clarence'a.

– Bobby! – wykrzyknął. – Bogu dzięki, żyjesz!

– Ano, żyję. Sam też, i Oksana. Halinie się nie udało.

Młody był autentycznie zasmucony i wściekły zarazem, co

dowodziło, że ktoś dokonał dobrego wyboru, robiąc z niego anioła. Przyjął to nawet gorzej niż ja – a wiecie, że mnie to ostro siekło. Tylko że w moim wypadku nie tak bardzo bolała utrata Haliny jak moja niezdolność do zapewnienia jej bezpieczeństwa. Clarence Żółtodziób, jak każda normalna dusza, zareagował przede wszystkim na śmierć dziewczyny, a zaraz potem na jej skutki dla Oksany.

Kiedy zrelacjonowałem mu przebieg działań bojowych po jego odwoście, zameldował, że razem z Wendellem wrócili do pracy jak gdyby nigdy nic i na razie nikt się ich jakoś nie czepia.

– Ale co teraz zrobimy, Bobby?

– Tym razem to nie będziemy „my”. Wygląda na to, że nadal jesteś czysty, więc niech tak zostanie. Tym bardziej że nie mam zielonego pojęcia, co dalej począć, jeśli odrzucić bezwarunkową kapitulację. Trzymajcie się tam z Wendellem. Dam znać, jak się coś zmieni.

– Ale, Bobby...

– Żadne ale. Doceniam, co już dla mnie zrobiłeś. Równy z ciebie gość i myliłem się co do ciebie, ale nie zamierzam nikogo zabierać na dno.

Rozłączyłem się po tym dictum. Nie zgrywałem altruisty ani bohatera. Po prostu zaczynałem rozumieć, że kończą mi się opcje i wbrew moim najdzikszym nadziejom może to się okazać historią bez happy endu. Po wszystkim, co zaszło, sam nie bardzo wiedziałem, jak by się to jeszcze mogło dobrze skończyć. Nawet Caz zaczynała mi się wydawać nierealnym zwidem. Kiedyś mi się przyśniła; teraz była

tylko głosem, coraz dalej poza moim zasięgiem.

Miałem tylko jedną dobrą wiadomość dla kogokolwiek, więc ją przekazałem. Nagrałem Tłusciochowi na poczcie głosowej informację, że chyba skończyły się jego problemy z włamywaczami, przynajmniej jeśli chodzi o Fację Czarnego Słońca. Baldur von Reinmann zginął potworną śmiercią, a Timon, Pumba i reszta ferajny zapewne wieją teraz w góry. Albo do Argentyny.

Sączyłem wystygłą kawę i zastanawiałem się nad następnym posunięciem, usiłując trzymać Caz na dystans. Słońce mozolnie wspinało się po niebie, przemieniając szary grudniowy ranek w coś niemal radosnego. Rozćwierkane wróble uwijały się wśród zalegających podwórze liści, wzbijając się płochliwie w powietrze, ilekroć odstawiałem kubek na ławkę albo przekładałem nogę na nogę.

Dlaczego byłem taki pewien, że to, czego szukam, znajdę w muzeum? Sądziłem, że podchodzę do problemu metodycznie, ale im bliżej się temu przyglądałem, tym wyraźniej widziałem prawdziwego Boba Dolara: stworzenie reagujące odruchami na najświeższy bodziec, w połowie przypadków kompletnie źle, a w drugiej osiągające jakieś rezultaty dzięki czystemu zrządzeniu losu. Kiedy jednak się walczy z przeciwnikami mocniejszymi o całą skalę kategorii wagowych – jak Anaita i Eligor – liczyć na łut szczęścia nie jest dobrą strategią.

Złote pióro, diabli róg, wszystko, co się wokół mnie działo, sprowadzało się do układu zawartego przez tych dwoje. Dlaczego

jednak Anaicie tak zależało na stworzeniu Trzeciej Drogi? Dlaczego wielki książę Piekła aż tyle ryzykował, żeby pomóc jakiemuś archaniołowi, jednemu ze swych zaprzysięgłych wrogów?

Naszła mnie nagle chęć, by o jego prawdopodobnych motywach porozmawiać z doktorem Gustibusem. Jego telefon jednak tylko dzwonił i dzwonił; tym razem nie włączyła się ani automatyczna sekretarka, ani pomocna zakonnica. Co zresztą mogłby mi doradzić? „Idź tropem pieniędzy”? Sęk w tym, że nie było żadnych pieniędzy do tropienia; w każdym razie żadnej z tych potężnych istot nie chodziło o nie. Potęga – tak, to właściwe słowo i właściwy trop. Władza.

Coś mi w mózgu kliknęło. Niezbyt głośno, ale jednak. O czymś dotąd nie pomyślałem. Kto na tym wszystkim zyskuje? I co?

Czułem, że wpadłem na coś ważnego, ale do dalszego roztrząsania potrzebowałem więcej kawy. Wróciłem do mieszkania. Czajnik był jeszcze gorący; Oksana wstała i zrobiła sobie herbaty. Zostałem ją okutaną w koc tak szczelnie, że wyglądała na beduińskiego kupca w burzę piaskową. Gdy wszedłem, oderwała wzrok od koszmarnie wesołego porannego talk-show tylko na chwilkę, żeby ponuro i boleśnie odwzajemnić moje spojrzenie. Objąłem ją niezgrabnie jedną ręką, nalałem sobie kawy i zostawiłem ją samą. Domyślałem się, że nie chce teraz robić nic poza gapieniem się jak zombi na nieznaną postać z telewizji.

Rzecz w tym, że choć sprawa Kainos omal nie kosztowała mnie życia, nadal nie wiedziałem, czemu to miejsce ma służyć i dlaczego w

ogóle istnieje. Wersja oficjalna podana przez Kefasa-Anaitę przedstawiała je jako alternatywę wobec dotychczasowego tandemu Niebo–Pieńło i na dobrą sprawę mogła być prawdziwa. Dlaczego jednak Anioł Deszczu wpadł na taki pomysł? Czym się kierował Eligor, wspierając ją w tym przedsięwzięciu? Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, że którekolwiek z nich się rozczuła nad prawami dusz – tym bardziej że z opowieści Sama wynikało, iż stworzenie Trzeciej Drogi kosztowało niewiarygodne mnóstwo pracy. Wizja Anaity jako oddanej społeczniczki i reformatorzki nijak mi nie pasowała do bogini, która już kilkakrotnie usiłowała zgładzić mnie i najbliższe mi osoby.

Z drugiej strony, nie mogłem wykluczyć, że ona naprawdę uważa się za dobroczyńcę. Prawie każda rewolucja, nawet te konieczne, pociąga za sobą wiele niepotrzebnie przelanej krwi, mściwych mordów i procesów pokazowych tych niewystarczająco gorliwych. Większość zagrywek Anaity wobec mnie miała na celu zatarcie własnych śladów, mogłem więc na razie przyjąć wersję, że zaczęła dobrze, a potem spanikowała, kiedy zaginęło jej pióro, dane Eligorowi jako gwarancja dotrzymania umowy i zarazem dowód, że jest winna spiskowania przeciwko porządkowi niebieskiemu.

Z Eligorem naturalnie sprawa jest zupełnie inna. Nie mogłem uwierzyć, by Jeździec był choć odrobinę zainteresowany reformą systemu lub jakimikolwiek zmianami, z których nie odniósłby osobistych korzyści. Dlaczego więc miałby pójść na takie ryzyko i jeszcze dać wspólnicze własny róg (było nie było, część jego diablego jestestwa) jako potencjalne narzędzie szantażu?

Próby odgadnięcia motywacji tuzów Pieńła są jak danie nurka w

króliczą norę Alicji. Odłożyłem to na bok, żeby się skupić na rzeczach łatwiejszych do ogarnięcia.

Nie przejmuj się niczym i idź tropem władzy, powiedziałem sobie. Nie wiedziałem jeszcze, kto na tym korzysta i w jaki sposób, ale dość było innych kwestii do przemyślenia. Byłem przekonany, że róg schowany jest w muzeum, albowiem Anaita zadała sobie wiele trudu, żeby coś tam ukryć. Jeżeli nie fant od Eligora, lecz tylko przejście do Kainos, to dlaczego? Przecież mogła zamontować takie nadprzyrodzone drzwi gdziekolwiek w swojej gigantycznej, niedostępnej willi.

Ano dlatego, że właśnie nie mogła. Chciała mieć swobodny dostęp, lecz nie w miejscu tak jawnie z nią związanym. Trzecia Droga jest solą w oku Nieba, a żeby się przedostać tam i z powrotem, trzeba prawdopodobnie zużyć poważną porcję energii – wystarczającą, by ktoś z szefostwa to zauważył – stąd konieczność ukrycia przejścia gdzieś daleko od własnego domu. Być może z tego samego powodu Anaita nie podążyła za mną i Samem, kiedy jej uciekliśmy – do tej pory wykorzystwała tyle anielskiej mocy, że więcej nie dałoby się zatuszować.

Skoro tak, to moją jedyną realną bronią przeciw niej był jej strach przed zdemaskowaniem. Nadal nie miałem jednak pojęcia, gdzie szukać rogu, a bez niego cała reszta się nie liczyła: Anaita w końcu mnie dopadnie i sprzątnie jak odpad. „Ups, zdaje się, że niechcący zmiażdżyło mi się Doloriela”, powie, a wszyscy na to, że „Oj, a to ci pech”, zafrasowani pokręcą głowami i życie wieczne potoczy się dalej jakby nigdy nic.

Dzwonek nowej komórki wystraszył mnie jak cholera. Ustawione miała jakieś okropne eurodisco. Nie od razu udało mi się to wygłuszyć.

– Czego? – warknąłem, może trochę za ostro, sądząc, że to Clarence.

– Bobby? – spytał męski głos. – Muszę z tobą porozmawiać osobiście.

Serce mi się nieco rozkołatało. Numer tego aparatu znali tylko Clarence, Wendell i Amazonki, z których jedna już nie żyje.

– Kto mówi?

– Gość, którego kiedyś zabrałeś na miłą przejażdżkę do Baylands. Pamiętasz?

Temuel. Skoro jednak nie przedstawił się z imienia, ja też nie zamierzałem.

– A, pamiętam. Osobiście, okej, ale gdzie?

– Może tam, gdzie się widzieliśmy przed twoją daleką podróżą?

Domyśliłem się, że ma na myśli pobyt w Piekle, a zatem proponuje spotkanie przed Muzeum Przemysłu w Belmont. Jak się domyślicie, muzeów miałem ostatnio po dziurki w nosie, wiedziałem też jednak, że Muł nie dzwoniłby do mnie bez ważnego powodu.

– W tym samym miejscu co wtedy? – upewniłem się. – Będę za pół godziny.

– Pojedź Camino. Ruch dziś nie za duży.

– Jakoś dojadę.

Stłumiłem uśmiech cisnący mi się na usta. Niektórzy archaniołowie nie mogą przestać archaniołować. To jak nałóg. Albo odruch warunkowy.

Wyciągnąłem nizzaka z szafy, jeszcze raz odsłuchałem wiadomość od Caz, po czym spaliłem trochę białej kamfory i puściłem mu dym w nozdrza. Demonek się wzdrygnął i oklapł jak pasażer wycieczkowca, który wypił o jedno mai tai za dużo.

– Weź no się skup – napomniałem go. – Bo inaczej następna inhalacja będzie z soli srebra zamiast kamfory.

Odczekałem, aż mu oczka zbystrzeją, i zacząłem nagranie.

– Nie mogę być tylko zabawny i słodki, moja najcudniejsza Caz, nawet na twoje życzenie. Powiedziałaś mi kiedyś, że nie jesteś dobra w czułości. Otóż ja nie jestem dobry w miłym trajkotaniu. Posługuję się nim tylko wobec tych, którzy mnie nudzą lub niepokoją, żeby ich zagadać i poszukać jakiejś ich słabości. Nieważne, że zazwyczaj znajduję wtedy własną. Nie mogę więc uciąć sobie z tobą takiej płytkiej rozmówki. Nie po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy. Tak bardzo cię pragnę, Caz. Śnię o tobie, raz po raz odgrywam w myślach naszą jedyną noc jak jakiś smętny kinoman oglądający po raz setny *Casablancę* z nadzieją, że tym razem Rick wsiądzie z Ilsa do samolotu. Wciąż czuję twój smak i zapach, słyszę dźwięki, jakie wtedy wydawaliśmy, tak dobrze, jakby dobiegały z sąsiedniego pokoju. Chcesz się ze mną kochać? Ja pragnę tego tak bardzo, że gdyby ktoś otworzył mi teraz furtkę do Piekła, wszedłbym bez

namysłu i zaczął wszystko od początku tylko dla szansy, żeby być blisko ciebie. Ja się nigdy nie poddaję, Kochana. Jeszcze tego nie przyswoiłaś? Nigdy. Się. Nie. Poddaję.

Skończywszy, wyniosłem nizzaka na dwór i wcisnąłem pod gęsty krzew, żeby w cieniu doczekał zmroku. Dałem Oksanie trochę kasy na wypadek, gdyby chciała wyjść i coś sobie kupić (choć byłem pewien, że nie zechce). Znalazła flaszkę wina i w równym rytmie ją opróżniała, słuchając, jak ludziki w telewizorze spierają się o testy ojcostwa i inne nieistotne rzeczy. Już wychodziłem z mieszkania, gdy mnie zawołała i oderwała się od ekranu, by pocałować mnie w policzek. Jakbym był tatą, a ona moją córką studentką i przyjechała do domu na przerwę semestralną. Dziwne uczucie, ale wcale nie takie złe.

Posłuchałem rady Temuela i wybrałem trasę przez Camino Real. Żeby utrzymać przyzwoitą średnią, musiałem często zmieniać pas, ale poza tym jechało się nieźle. Taksówka prowadziła się jak ślizgacz w kaszy mannie, ale mnie to nie przeszkadzało. Nigdzie się nie spieszyłem. Choć w głowie mi kipiało od myśli, a przy tym odruchowo przypatrywałem się kierowcom mijanych wozów, by w porę wykryć próbę ewentualnego zamachu na zlecenie Anaity, znalazło się jeszcze miejsce na nowe zmartwienie.

Mój boss Temuel zadzwonił na numer mojego serbsko-chorwackiego spinksfona. Ale on nie powinien znać tego numeru. Właśnie dlatego przed włamem do muzeum zrobiłem zakupy u Cubby Spinks, żebyśmy wszyscy mogli się porozumiewać bez wiedzy Nieba i Piekła. Już drugi raz wyszło, że Muł wie więcej,

niżbym chciał, i to się nie trzymało kupy. Wiedział, kiedy zadzwoniłem po taksówkę – tę, którą teraz ujeżdżam. Nie wyjawiał mi, jak to skumał, a teraz wywinął następny taki numer. Najwyraźniej nie spuszcza mnie z oka i pewnie założył podsłuch także na nasze nowe telefony. Tylko po co? Czyżby aż tak się niepokoił o moje zdrowie? A może tylko kryje własny tyłek? To by miało jakiś sens, ale też oznaczałoby, że wszystko się może raptownie zmienić, jeżeli nasze interesy przestaną być zbieżne.

Kolejna myśl wpadła mi do głowy, kiedy dojeżdżałem do Belmont. Jeżeli doradził mi jazdę Camino, to znaczy, że wiedział również, skąd wyruszę. Gdybym ukrywał się gdzieś w górach lub nad morzem, musiałbym w tym celu niepotrzebnie nadłożyć drogi. W takim razie nie tylko zna numer mojej nowej komórki, ale też moją kryjówkę. A przecież wbiłem wszystkim do głów, że nigdy i pod żadnym pozorem nie wolno im w rozmowie telefonicznej wspomnieć o apartamencie Caz. Nawet Amazonki przyjęły to do wiadomości i szanowały tę zasadę.

Przez chwilę czułem rosnący strach. O mało nie zjechałem na pobocze, żeby zostawić gablotę i zwiąć, ale po krótkim zastanowieniu uzmysłowiłem sobie, że jeśli nawet Muł wie o moich sprawach znacznie więcej, niż mówi, to przecież nie stara się tego przede mną ukrywać, bo w przeciwnym razie nie wypsnęłaby mu się sugestia co do wyboru trasy. Nie, tu chodziło o coś innego. Wyglądało na to, że chce mnie o czymś poinformować, może ostrzec. Dlaczego jednak z tym nie zaczekał, skoro za chwilę i tak mieliśmy się spotkać? Czy rzeczywiście to on tam na mnie czeka, czy może ktoś go zmusił, by

do mnie zadzwonił?

Myślenie o Niebie i jego działaniach czasem może przyprawić o ból głowy.

Muzeum Przemysłu to zwariowane miejsce, ongiś rezydencja bogatej rodziny z Belmont, północnej dzielnicy Jude. Jego wizytówką jest dziwaczna fontanna z rur wyglądająca, jakby rozebrano kamienicę, pozostawiając tylko nienaruszony system wodno-kanalizacyjny, ciekący strumykami ze wszystkich połączeń (tylko w miesiącach letnich).

Skuloną na ławce samotną postać, którą mógł być tylko Temuel, zobaczyłem z daleka. Od razu się lepiej poczułem; w okolicy nikogo więcej nie było, jeśli pominąć dwie kobiety w biurowych kostiumach zmierzające na parking po przeciwległej stronie placu. Słońce dało za wygraną i zakopało się w sinych chmurzyskach.

Ukryty w cieniu bocznego skrzydła gmachu muzeum odczekałem jeszcze minutę, obserwując teren. Muł jednak tylko siedział i nic nie robił: nie rozglądał się czujnie, nie telefonował. (Co prawda tym razem powinienem użyć rodzaju żeńskiego, znów bowiem przybrał ciało starej Latynoski, którą już raz widziałem, czarująco nazwanej przez Młodego Elvisa starą sprzątaczką. Mój archanioł uwielbia te maskarady, dziś widać zabrakło mu weny).

W końcu odetchnąłem głęboko i ruszyłem na przełaj przez pusty plac. Temuel podniósł wzrok, gdy się zbliżyłem.

– Dobrze, że udało ci się tu dotrzeć, Dolorielu – rzucił na powitanie.

Od razu poczułem przyływ starej paranoi. Już kilka razy spotykaliśmy się na Ziemi, ale nigdy jeszcze szef nie zwrócił się do mnie moim anielskim imieniem – zawsze nazywał mnie Bobbym. Wsunąłem dłoń do kieszeni, żeby poczuć uspokajający chłód pistoletu.

Muł popatrzył na mnie z dezaprobatą.

– Nie rób tego, proszę – powiedział. – To ci w niczym nie pomoże. Patrz, podnoszę rękę.

Tak też zrobił: powoli uniósł nad głowę zniszczone, pełne zrogowaceń dłonie spracowanej kobiety i nieco szybciej je opuścił. Tym razem jednak zostały w powietrzu dwie ogniste krechy.

Z jednego Zamka wyskoczyło dwóch aniołów, z drugiego aż trzech. Cała piątka miała zimne, poważne oczy weteranów Kontrataku i wycelowany we mnie poważny arsenał. Temuel musiał ich ukryć na Zewnątrz, zanim dojechałem.

– Nie rób nic głupiego, aniele Doloriel – przestrzegł mnie szef. – Po prostu pozwól im zrobić swoje.

Nagła bezsilna furia tak ścisnęła mi gardło, że ledwo wykrztusiłem:

– A jeśli odmówię?

– Wtedy, jak sądzę, posiekają cię kulami na drobne kawałki, a twoją duszę i tak zabiorą. – Nie mogłem odszyfrować jego spojrzenia, tak było puste i matowe. – Proszę więc, żebyś okazał rozsądek. To byłoby marnotrawstwo materiału, a dobrze wiesz, że

nasz wydział wiecznie boryka się z ograniczeniami budżetowymi.

Nim zdążyłem wymyślić jakąś ciętą ripostę, ktoś chwycił mnie od tyłu za ramiona, a ktoś inny wbił mi w szyję coś ostrego. Wystarczyło mi czasu tylko na otwarcie ust, ale słowa „Pieprz się” już nie zdążyły ich opuścić. Nadpłynęła nicość i połknęła mnie jednym haustem.

Trzydzieści cztery

Głęboka biel



Siedziała pod drzewem, cała w pozłocie z przefiltrowanego przez listowie słońca. Jej jasne włosy wyglądały prawie jak... prawie jak...

Czułem, że zaraz się rozplącę.

– Jesteś tak piękna. Och, Boże, jakaś ty cudna, Caz.

– Banał – odrzekła.

Roześmiałem się i opadłem przy niej na suche, chrzęszczące przy każdym ruchu liście. Pocałowałem ją w policzek i przesunąłem wargami w dół, do miejsca, gdzie szyja spotyka się z ramieniem.

– Aj! Nie gryź! – zachnęła się.

– Przepraszam. – Rzeczywiście na gładkiej jak jedwab skórze wykwitła mała kropelka krwi. – Poniosło mnie.

– No raczej! – Odepchnęła mnie ze złością.

Nie rozumiałem, dlaczego jest taka rozdrażniona. Raptem o to draśnięcie?

– No coś ty, Caz, nie obrażaj się, tylko przytul.

– Nie ma mowy. Jesteś zalany.

Zerwała się nagle i ruszyła z boczem w górę, pochylona lekko do przodu, by utrzymać równowagę. Blask zalewający szczyt wydał mi się zbyt silny. Ale to nie było słońce, tylko coś innego. Coś oślepiająco jasnego.

– Caz, cały dzień nie wypilem ani jednego drinka! Nie wygłupiaj się, wracaj!

– Nie mam ochoty na kłótnie! – odskrzyknęła.

Podniosłem się i poszedłem za nią, lecz już jej nie widziałem. Od szczytu spływała ku mnie mgła albo wielka, oblepiająca grunt chmura.

– Caz?

– Coś nie tak z moimi oczami! – dobiegł mnie jej głos, tym razem wibrujący zgrozą.

Biegłem pod górę, potykając się o niewidoczne w mokrej szarości kamienie.

– Caz! Caz, gdzie jesteś?

– Chyba zapada noc...

Słyszeć ją było coraz słabiej. Ale to nie był zmierzch; raczej mgła podnosiła się coraz wyżej. Byłem zagubiony w morzu wełnistej nicości.

– Caz?

– Bobby! Teraz już naprawdę się bo...

Umilkła w pół słowa. Wykrzykiwałem jej imię, ale nikt nie odpowiadał. Popędziłem naprzód, stało się jednak coś dziwnego;

zamiast się wspinać, biegłem szybko w dół. Zbyt szybko. Rozpostarłem ramiona, ale nie panowałem już nad ruchem. Gnałem teraz nie przez mgłę, lecz coś zimniejszego. Śnieg. Wirujący, skłębiony w powietrzu, skrywający wszystko, zamieniający świat w...

Gdzie ona jest? Czy to Król Mgieł po nią wrócił? Ale przecież to tylko legenda...

Wokół mnie cisza. Nic, tylko...

Biel. Dużo, coraz więcej bieli.

– Dokąd poszłaś?

Sama biel.

– Caz! Wracaj!

Biel.

Czułem się, jakbym był zanurzony w mleku i powoli podpływał do powierzchni. Albo brnął ze środka perły ku brzegowi. Długo nawet nie wiedziałem, że się ocknąłem, bo między białym a normalnym snem różnica była znikoma. Dopiero gdy zdałem sobie sprawę, że obracam w głowie wciąż te same frazy, zrozumiałem, że to jawa.

Nie była to jednak tego rodzaju przytomność, na której można by stawiać domy. Nie, nie. Wyobraźcie sobie całe morze gór lodowych, które z wolna objają się jedna o drugą w ruchomym a niezmiennym środowisku: to właśnie robiły moje myśli. Chciałem znów żyć, coś zrobić, być kimś, ale mogłem tylko bujać się na falach jak one.

To musi być jakieś więzienie, domyśliłem się w końcu. Najpierw

nie mogłem pojąć, dlaczego spotyka mnie taki okrutny los, ale potem wróciła mi pamięć: podstęp Temuela, igła w żyłę, ciemność, która rzuciła się na mnie jak milczący sztorm. Usiłowałem naprzec ciałem na to coś, co mnie trzymało, lecz albo nie miałem ciała, albo mój umysł został od niego tak skutecznie odłączony, jakby był gdzieś za oceanem i chciał sterować mięśniami telegraficznie.

Biel. Tkwiłem w niej tak głęboko, że nic oprócz niej nie istniało, i tak mocno, że z trudem układałem słowa w myśli. Kojarzyło mi się to nieodparcie z tą szarą absolutną pustką, w jaką wtrącił mnie Eligor, gdy już znudziło mu się zadawanie mi tortur. Stąd zaś już prostą drogą doszedłem do pytania, kiedy przyjdą po mnie niebiańscy oprawcy.

Dnie. Tygodnie. Lata. Wieki. Pływałem jak ryba przy dnie zamrożonego stawu, w którym nic się nigdy nie zmienia. Myśli nachodziły mnie coraz rzadziej, aż wreszcie chyba zapomniałem, jak to się robi.

Minęło może z tysiąc lat w tym niematerialnym mleku, kiedy coś zakłóciło bezrozumny spokój. Budząc się z białego snu, czekałem, a przynajmniej próbowałem sobie przypomnieć, jak to jest czekać na cokolwiek. Stopniowo zakłócenie stało się bytem, później kadencją muzyczną, by wreszcie zmaterializować się w słowach.

– *Aniele adwokacie Doloriel, Bóg cię kocha* – rozbrzmiał niski, słodki i obcy kobiecy głos. Sam jego dźwięk rozproszył najgorsze moje obawy, ale zarazem sprawił, że uświadomiłem sobie, jak daleko odszedłem od życia. Nie wiedziałem, że jestem aż tak samotny. – *Czy*

mnie słyszysz, Dolorielu?

Musiałem dobrze wysilić umysł, żeby obrócić wypełniającą mnie pustkę w słowa.

– Chyba tak – wydusiłem w końcu.

Byt zbliżył się nieco, ciepły i kojący jak matka, którą kiedyś musiałem mieć, lecz nie mogłem jej sobie przypomnieć. Pierwszy raz za mej bieżącej pamięci nie byłem sam. Nigdy więcej nie chciałbym być tak samotny jak dotąd.

– *Jestem Patiel-Sa, Anioł Pojednania. Czy wiesz, dlaczego tu jesteś?*

Temuel, anioły z Kontrataku, środek usypiający.

– Nie. A gdzie jestem?

– *W Niebie. Nic nie pamiętasz?*

Moje myśli były niezgrabne i powolne jak ślepe pędraki.

– Pamiętam Ziemię.

– *Nie jesteś już na Ziemi. Zostałeś przeniesiony tutaj. Do mnie. Boisz się?*

– Tak. – Bezwiednie powiedziałem prawdę.

– *Spróbuj wyzwolić się z tego lęku. Najwyższy chce dla ciebie jak najlepiej. To fakt nie do zbiccia przez cały wszechświat. Dlaczego czujesz strach?*

– Bo jestem... taki mały. Bezsilny. I dzieją się złe rzeczy.

– *Bezsilny, powiadasz. Czy jest coś, czego nie możesz zrobić? Coś*

dla ciebie ważnego?

– Zostawiony sam. Na zawsze. W bieli. – Z trudem wiązałem zdania. Czułem się jak pacjent z urazem czaszki wybudzony z narkozy po nie całkiem udanej operacji. – Ale oni nie dają mi... – Po omacku szukałem właściwych słów, lecz w tym zimnym mleku nie było to łatwe, nawet w kojącej obecności Patiel-Sa – ...starać się być dobrym.

Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

– *A jesteś dobry, Dolorielu?*

Pragnąłem, by nie odchodziła. Chciałem powiedzieć jej całą prawdę. Nawracające myśli były jak dreszcze. Dygotałem, lecz nie dawało mi to ciepła. Czułem się okaleczony przez długie zanurzenie w pustce.

– Staram się, ale to trudne. Może... może ja naprawdę jestem zły.

– *Co myślisz, Dolorielu? Jesteś zły? Popełniałeś złe czyny?*

Dlaczego się bałem? Patiel-Sa chce mi pomóc, czułem to wyraźniej niż cokolwiek w życiu.

– Nie wiem.

– *Naprawdę?*

Gdzieś w głębinach jaźni rozkrzyczała się przestroga: dziób na kłódkę! Ale łatwo było ją zignorować. Chciałem tylko, żeby ta chmura współczucia mnie nie opuszczała.

– Chyba tak. Jestem dobrym człowiekiem, przysięgam. Staram się nim być.

– *Powiedziałeś jednak, że postępowałeś źle, Dolorielu.*

– *Ale nie chciałem. – Nieprawda, czasem chciałem, i to bardzo. – Czy można robić złe rzeczy, a mimo to pozostać dobrym?*

– *Tak, ludzie czasem robią źle, ale potem tego żałują. Wiedzą, że zgrzeszyli. A ty żałujesz, Dolorielu?*

I znów ta zdławiona cząstka mojej jaźni usiłowała się wycofać, lecz cała reszta delektowała się poczuciem bezpieczeństwa, bycia znanym i akceptowanym, poza tym serdecznie dosyć już miałem półprawd i całych kłamstw. Po chłodzie niekończącej się bieli miałem wrażenie, że żyłem dotąd jak w bagnie fałszu.

– *Przepraszam – powiedziałem. – Staralem się. Robić dobrze.*

– *Och, Dolorielu, miło mi to słyszeć. – Głos Patiel-Sa otaczał mnie jak skrzydłami, chronił, uspokajał. – Najwyższemu też się to podoba. On czuje ból, kiedy Jego dzieci cierpią lub błędzą. Najbardziej jednak Go smuci, gdy dobrzy nie żałują za grzechy. On chce cię kochać, Dolorielu, ale takiego, jaki naprawdę jesteś.*

Myśl o Bożej miłości przepłynęła przeze mnie jak tropikalny prąd oceaniczny, tak ciepły, że na chwilę odepchnął głęboki chłód bieli, napełniając mnie czymś bliskim szczęścia. Zapomniałem już, jakie to cudowne uczucie.

– *Ale nie możesz niczego przed Najwyższym ukrywać –* dodała Patiel-Sa i ciepły prąd zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. Wróciło zimno, otępiające i przytłaczające. – *To jedyna rzecz, której nie znosi. Rozumiesz to, Dolorielu?*

– T...tak.

– *Poza tym skrywanie tajemnic jest męczące. Podobnie jak kłamstwo i przybieranie różnych twarzy na użytek różnych ludzi. Pojmujesz to?*

Pojąłem. W owej chwili byłem pewien, że nigdy niczego nie widziałem równie wyraźnie. Jak mogłem uważać, że wypełniam boskie zadania, skoro sam nie umiem żyć w Prawdzie?

– Czy Najwyższy mną gardzi?

– *Nie, Dolorielu. On za tobą tęskni. Pragnie, abyś wrócił do Jego miłości i do szczęścia, jakie ona daje. Jak ojciec, który widzi, jak jego dzieci czynią zło, i cierpi tylko z tego powodu, że nie umieją inaczej. Chce ci wskazać drogę do życia w Jego miłości. A czy ty tego chcesz?*

– Oczywiście! Bardziej niż czegokolwiek. – Wspiąłem się na tę pewność, wtuliłem w nią, byle tylko znów poczuć ciepło. – Ale jak może mi być odpuszczone? Po wszystkim, co złego zrobiłem?

Anioł Pojednania milczał długą chwilę, a może tak mi się tylko wydawało. Przeraziłem się, że może odejść ze wstrętem.

– *Naprawdę jesteś dobry, Dolorielu?* – spytał w końcu.

– Tak. Chyba tak. Boże, tak pragnę być!

– *Zdarzyły się jednak rzeczy przez ciebie niezaplanowane, które wymusiły trudne wybory. Zgadza się?*

– Tak. – Sam widziałem to teraz doskonale: całe moje anielskie życie wyrysowane jak mapa podróży; pokręcone, niebezpieczne szlaki, niektóre zupełnie niepotrzebne. – Tak, dokonywałem

wyborów. Czasem złych.

– *Jak więc do tego doszło? Przecież chciałeś dobrze, prawda?*

– Tak, ale czasem sprawy się komplikują. Nawet te z pozoru proste.

– *Najwyższy nie jest skomplikowany, tylko prosty. Jest miłością.*

Ogarnęło mnie intensywne poczucie przegranej. Tak, Patiel-Sa ma rację. Na każdym kroku była właściwa ścieżka – jak wyraźnie teraz widoczna! – a mimo to tylekroć wybierałem tę błędną. Jak Najwyższy może mi wybaczyć tyle błędów? Sądziłem, że wybieram miłość, ale czyż mogła nią być wbrew słowu Jego samego? Jeśli nawet Caz odwzajemniała moje uczucie, to przecież była narzędziem Przeciwnika. Naraziłem Niebo na niebezpieczeństwo, bo mi się roziło, że wiem więcej niż Bóg i jego najbardziej zaufani aniołowie.

– *Zamyśliłeś się, Dolorielu.*

– Nie rozumiem, dlaczego tak postępowalem.

Miałem wrażenie, że Patiel-Sa podchodzi bliżej; w każdym razie biel raz jeszcze stała się cieplejsza i otuliła jak kocem moje rozdygotane ciało.

– *Oczywiście, że nie rozumiesz, ponieważ nie chciałeś robić źle, tylko nie zdawałeś sobie z tego sprawy. A może postawiłeś własny osąd ponad boży?*

– Nie wiem. Pewnie tak. – Nigdy czegoś takiego nie doznałem: tak jakbym chciał wybuchnąć płaczem, lecz zamiast łez z oczu coś większego, lecz jeszcze delikatniejszego chciało mi się wyrwać z

duszy na wolność, choćbym miał od tego umrzeć. – Chciałbym, żeby wszystko było inaczej!

– *Wszystko może być inaczej. Niebo jest wieczne, a więc zawsze wystarcza czasu. Zanim jednak będziesz mógł cokolwiek naprawić, musisz zrozumieć swoje błędy. Przyznać się do nich, nim zdołasz je sobie wybaczyć. Najwyższy już ci przebaczył, ale ty sam nadal tkwisz w niewoli żalu.*

Jakie trafne określenie! Niewola żalu. Ta zimna biała nicość jest więzieniem z moich własnych grzechów. A tyle ich przecież było!

– *Musisz to przemyśleć.* – Cicha szczerłość w głosie Patiel-Sa tchnęła nadzieją jak błękit nieba po burzy. – *Rozważyc swoje występki, ujrzeć je dobrze, zanim zdołasz od nich uciec. Gdzie i kiedy zszedłeś ze ścieżki Najwyższego, Dolorielu? Dokąd zbłądziłeś od Jego miłości?*

Powiedziałem jej. Wyciągnąłem z pamięci wszystko, co w niej znalazłem: od pierwszych chwil w Obozie Syjon po najświeższe sekrety skrywane przed Niebem, póki Temuel mnie nie wydał. O Caz, o Samie i Trzeciej Drodze, i nierównej walce z Eligorem Jeżdźcem. Opisałem nawet wyprawę do Piekła. Przemilczałem tylko jedno: rolę, jaką w tak wielu z tych zdarzeń odegrała Anaita. Nie wymieniałem, ani nawet nie pomyślałem jej imienia.

Dopiero później dotarło do mnie, jakie to dziwne: od dawna przecież była źródłem bądź tłem wszystkich moich kłopotów i w taki czy inny sposób ponosi odpowiedzialność za moje najgorsze przestępstwa przeciwko Niebu. Kiedy jednak wylewałem przed

Patiel-Sa zawartość mej duszy, Anaita jakby w ogóle dla mnie nie istniała.

Wyjawilem Aniołowi Pojednania każdą paskudną myśl, najdrobniejszy akt niesubordynacji względem szefostwa. Czasem ze zgrozą zapłakałem nad ohydą moich czynów, częściej jednak odczuwałem buchający we mnie płomień radości, gdy tak oczyszczałem się z tych starych, chorych strachów, niezliczonych grzeszków, kłamstw, do których zmuszało mnie życie, oszustw wobec kolegów aniołów. Patiel-Sa rzadko się odzywała, cały czas czułem jednak jej cichą aprobatę. Gdy zadawała pytania, wiedziałem, że wypływają z miłości, odpowiadałem więc tym chętniej. Kochała mnie – Bóg mnie kochał – a co więcej, rozumiała. Widziała dobro pod warstwą występku, dobre intencje, które obracały się w zło – nie przez złą wolę, lecz przez nieporadność lub zwykłego pecha. Chciałem, żeby mnie już nie opuszczała.

Trwało to chyba całe dnie, ale wreszcie skończyłem. Patiel-Sa podziękowała mi i zapewniła chyba po raz tysięczny, że Bóg mnie naprawdę kocha. Potem zniknęła i znów zostałem sam wśród bieli – lewitujący, spokojny, odprężony. Oczyszcziłem się; byłem pusty, gotowy, by ponownie napełnić się światłem i prawdą Najwyższego.

Jestem dobry, powiedziałem sobie. Mimo wszystko. Ona to wie i Bóg wie.

Musiało minąć wiele stuleci w zawieszeniu w nieskończonej nicości, nim zrozumiałem, że jednak zetknąłem się z niebiańskim katem i że dobrowolnie, ze wszystkimi szczegółami, przekazałem jej

komplet dowodów wystarczający, by mnie skazano na wieczne potępienie.

Trzydzieści pięć

Knebel



Kiedy wynurzyłem się następnym razem, czułem się już bardziej po staremu – to znaczy wkurzony. Było jasne, że Patiel-Sa najpierw skąpała mnie w anielskiej glorii, by potem obdrzeć ze skóry. Oddałem jej wszystkie moje tajemnice i cokolwiek się wydarzy od teraz do ogłoszenia wyroku, będzie czystą formalnością. Myślałem, że mogę się postawić dużym chłopcom i dziewczynom, myliłem się jednak boleśnie i żenująco. Krótko mówiąc, byłem w podłym nastroju.

– *Wiesz, gdzie jesteś, aniele Doloriel?*

Głos, tym razem męski, wydał mi się znajomy, nie mogłem go jednak rozpoznać. Możliwe, że wciąż byłem nieco zamroczony nadmiarem bieli.

– To zależy, gdzie się znajduje to „gdzie” – odrzekłem. – Jeżeli to Carmel, to pewnie właśnie ruszam na 17-Mile Drive* po drogie pamiątki, bo golfista ze mnie żaden.

Z satysfakcją odnotowałem chwilę głuchoj ciszy, zanim odezwał się znowu.

– *Jesteś w Niebie, Dolorielu.*

– A, w takim razie zgaduję, że to z powodu tej karteczki z napisem „Zabić wszystkich”, którą wrzuciłem do skrzynki na sugestię od publiczności.

Kimkolwiek był mój rozmówca, najwyraźniej wprawiałem go w zakłopotanie.

– *Czy jesteś zdezorientowany?*

– Nie, ja tylko żartuję. Nie zostawiliście mi zbyt wielu opcji, jako że nie mam ciała, nie mogę stąd wyjść ani przerwać tej konwersacji. Chyba że mogę. Mogę?

– *Nazywam się Chamuel, jestem archaniołem Trzeciej Sfery i jednym z twoich eforów. Teraz sobie przypominasz? Zostałeś tu sprowadzony na sąd. Czy wiadomo ci, jakimi grzechami jest obciążona twoja kartoteka?*

– Cóż, na pewno jednym z nich jest to, że trudno mnie ścierpieć, jak już chyba wasza świetlistość się zdążył zorientować.

Nie byłem zły na Chamuela, w każdym razie nie tak jak na Anaitę czy choćby podstępna Patiel-Sa, wkurzało mnie jednak, że tak łatwo wszystko ze mnie wycisnęli i że Eforat bawi się moim kosztem jak bogacz dworujący z chromego żebraka.

– *To są poważne sprawy, Dolorielu.* – Łagodny głos archanioła nabral subtelny, lecz wyraźny tonu dezaprobaty. – *Jesteś oskarżony o ciężkie grzechy.*

Jasne, i zapewne z góry osądzony, dodałem w duchu. Dobrze wiedziałem, że to pokazówka.

– Niech zgadnę. Próba obalenia porządku wszechświata? Kwestionowanie niekwestionowalnego? Wycieranie nosa w rękaw?

Skoro już mam być spalony na stosie, to przynajmniej odejdę z... no, jeśli nie klasą – na co oczywiście już było za późno – to chociaż z biglem. Byłem też zdecydowany pociągnąć za sobą na dno paru innych aniołów, z Anaitą na czele. O, zamierzałem narobić niezłego bigosu, mówię wam.

Jednakże następna wypowiedź Chamuela spuściła ze mnie sporo powietrza.

– *Musisz odpowiedzieć na te zarzuty – oznajmił hiobowym głosem. – Będziesz sądzony za udział w stworzeniu miejsca zwanego Kainos lub Trzecią Drogą, co jest strasliwą zbrodnią przeciwko Najwyższemu, oraz za liczne przypadki zakłócania Jego dzieła, w tym sprowadzanie dusz z właściwej drogi do Nieba i ukrywanie ich przed Pasterzem Niebieskim w tym nielegalnym tworze. Czy zrozumiałeś oskarżenie?*

Czy zrozumiałem? Cholera, nagle przestałem rozumieć cokolwiek! Przyznałem się Aniołowi Pojednania do tylu rzeczywistych grzechów, że starczyłoby na zapuszkowanie całej armii świętych, a oni chcą mi złoić tyłek za Trzecią Drogę, z której powstaniem nie miałem nic wspólnego? Jedyнным moim wykroczeniem w tej sprawie było przeszkodzenie w aresztowaniu prawdziwego winnego – mojego kumpla Sama. A co z rzeczami, które naprawdę zmalowałem? Zakochanie się w wysoko postawionej demonicy. Nieuprawnione wtargnięcie do Piekła. Układy z

tamtejszym wielkim księciem Eligorem. Lista moich przewinień ciągnęłaby się długo, zanimbyśmy od najcięższych dotarli do zapisów typu „Fałszywe zwolnienie chorobowe” czy „Niewywiązywanie się z obowiązku składania raportów”, ale nawet za nie kara należałaby mi się bardziej niż za to badziewie z Trzecią Drogą. Co więc tu jest grane?

– Jakie prawa przysługują mi na tym sądzie? – spytałem.

Nie widziałem Chamuela, ani zresztą nic innego poza bielszym odcieniem bieli. Widok zaczynał już mnie nudzić.

– *Prawa?* – Archanioł nadal mówił tonem spokojnym i łagodnym, ale wydawało mi się, że słyszę w nim nutkę irytacji. – *To słowo nie ma tutaj zastosowania, Dolorielu. Jesteś częścią Najwyższego. Czy kropla wody pyta o swoje prawa względem oceanu? Czy komórka żywego stworzenia może rościć sobie prawo do kwestionowania potrzeb całego organizmu?*

– Nazywaj to, jak chcesz. – Nie zamierzałem dać się zagadać. – Jak ma wyglądać ta rozprawa?

– *Będziesz sądzony przez tych eforów, którzy już się zebrali dla zbadania tej sprawy.*

Cudnie. Zatem Anaita i reszta bajecznej piątki rozstrzygnie w końcu ostatecznie, co ze mną zrobić. Kciuki w górę czy w dół? Wiadomo, w którą stronę wypadnie – choćby dlatego, że Anioł Deszczu z pewnością już tam w kuluarach lobbuje pracowicie jak pszczołka, żeby mnie użądłono. Musi też jednak wiedzieć, że nie zechcę odejść w milczeniu.

– A jeśli jeden z eforów jest... – zacząłem, lecz nie dokończyłem. Dziwne, bo chciałem to powiedzieć, lecz słowa więdły mi w ustach i rozplywały się bezgłośnie.

– *Jeśli jeden z eforów jest kim?* – ponaglił Chamuel.

Zaczynało brakować mu cierpliwości. Rozpaczliwie usiłowałem znaleźć sposób, by przejść do tematu zasadniczego: że jestem wrabiany w coś, czego nie zrobiłem.

– Co, jeśli... – spróbowałem znowu, lecz z takim samym skutkiem. Dobra, w takim razie z innej beczki. – A jeżeli oskarżenie jest... jest...

Miałem rzec: sfingowane, ale to słowo też najwyraźniej nie przechodziło przez cenzurę. Nie mogłem go wymówić. Działo się coś bardzo złego. Strach chwycił mnie za gardło wielką, lodową łapą. Chciałem krzyknąć wprost, że to Anaita stworzyła Trzecią Drogę, lecz myśl rozmyła się natychmiast po wykiełkowaniu. Gdybym miał bijące serce, terkotałoby jak dwusuw na pełnych obrotach. Coś mnie powstrzymywało nawet przed wypowiedzeniem jej imienia.

– *Dolorielu?* – Efor przypomniał mi o swym istnieniu.

– A gdybym... – Jak to, do cholery, obejść? – Gdybym chciał powiedzieć coś w sprawie mojej winy? Co by... mogło zaskoczyć Eforat?

– *Cóż by to mogło być?*

– Że jestem... – Starłem się przepchnąć przez zęby słowo „manipulowany”, lecz znów wyszło inaczej. – Nie wiem.

– *Nie rozumiem cię, aniele Doloriel.*

– Ja sam siebie nie rozumiem. – Nie bardzo udało mi się uniknąć gorzkiego tonu. Zdawałem sobie sprawę, że muszę sprawiać wrażenie szaleńca. – Byłem... Jestem... Nie mogę... – Nabrałem powietrza i spróbowałem nie myśleć o niczym. – Anaita jest... – No nareszcie! Wykrztusiłem to! – Anaita jest... jednym z eforów.

– *Zgadza się. Poznałeś już nas wszystkich.*

Gdybym miał ciało, pociłbym się jak świnia i z trudem łapał oddech – aż tyle wysiłku kosztowało mnie wymienienie imienia tej wiedźmy. Powiedzenie czegokolwiek znaczącego na jej temat przekraczało moje możliwości. Zupełnie jakbym próbował zetknąć biegunami jednoimiennymi dwa silne magnesy; niewidzialna siła po prostu do tego nie dopuszczała.

– *Czy chciałbyś jeszcze coś mi powiedzieć?*

Tak, bulgotało mi w gardle, chciałem powiedzieć, że to wszystko farsa, że wrabia mnie potwór, przy którym Nierządnicą z Babilonu wygląda jak Marge Simpson. Ale nawet myślenie o Anaicie dusiło mi słowa w zarodku.

Teraz wiedziałem, co ze mną zrobiła w muzeum. Nie zamierzała mnie uśmiercić, bo przeznaczyła mi znacznie użyteczniejszą rolę: miałem beknąć za cały jej nielegalny interes. Czułem, jak kipią we mnie niewypowiedziane przekleństwa, o mało mi czaszki nie rozsadały, ale z ust nie wydostał się nawet najcichszy szept, bo przecież we wszystkich figurowała ona. Dałem więc sobie z tym spokój. Przynajmniej na razie.

– Dostanę papugę? – spytałem.

– *Przepraszam, co? Nie rozumiem.*

– Prawnika. Adwokata. Taki zawód. Jak mój na Ziemi. Więc jak, będzie ktoś mnie bronił?

Lodowaty ton powiedział mi wszystko, zanim usłyszałem słowa.

– *To nie skargowy model procesu, aniele Doloriel, jaki obowiązuje w stosunkach z Przeciwnikiem. Tu celem nie jest wygrana, tylko Prawda.*

Słysząc było to duże P, jakby było wydrukowane trzymetrową czcionką na białej pustce przed moimi oczami. Gdyby Chamuel miał twarz, chybabym mu w tej chwili przyłożył. Prawda ewidentnie nie miała odegrać żadnej roli w tym cyrku.

– Czyli to was pięcioro ma decydować o moim życiu i śmierci?

– *Nikt nie umiera, Dolorielu.* – Po głosie poznałem, że to koniec rozmowy i że czcigodny efor bardzo jest z tego rad. – *Takie jest dobre słowo, które my w Niebie znamy i głosimy. Żadna dusza nigdy nie jest naprawdę zgubiona. To tylko kwestia, gdzie i jak spędzisz wieczność.*

I znów zostałem sam w bieli.

Kiedy następnym razem wróciłem, zaczęło się od kolorowych punktów. Z początku myślałem, że to przywidzenie. Sporo ich miewałem, aczkolwiek w mojej obecnej dziwnej sytuacji trudno było określić różnicę między halucynacjami a zwyczajnym śnieniem. Po prostu tu i tam na tle niezmierzonej, bezdennej białej pustki zacząłem

dostrzegać jakby miniaturowe tęcze: zaburzenia nie tylko barwne, lecz i ruchome. Dryfowałem sobie, rozmyślając o moim szefie Temuelu i o tym, jaką głupotą było mu zaufać. Drań być może od początku planował wepchnąć mnie pod niebiański autobus na pierwsze oznaki kłopotów. Wyobraziłem sobie, jak go sypię, a sąd wlepia mu parę tysięcy lat w jego ulubionym Piekło i każe zabawiać demony śpiewem, lecz w połowie tej fantazji zacząłem rozumieć, że sposób, w jaki mnie zakapował, trochę mija się z sensem. Intryga była tak pokrętna, że uznałem za konieczne rozważyć to staranniej. Moją uwagę odwrócił jednak wir kolorów.

Barwne plamki stawały się coraz jaśniejsze, zaczęły połyskiwać, potem lśnić i w końcu świecić. Wraz ze światłem pojawiła się jakaś forma. Nie, pięć form. Pięć jaskrawych światła. Moi sędziowie, ławnicy i prawdopodobnie kaci. Mój Eforat.

Wkrótce mogłem ich już rozpoznać: przewodnicząca Terencja, tajemniczy jak zamknięta szkatułka Razjel, Chamuel w kolorze umierającego Słońca, Karael – jedyny z nich, który zdawał się uważać mnie za coś więcej niż tylko owada do roztrzaskania na przedniej szybie. No i oczywiście moja przyjaciółka Anaita, potwór, któremu wszystko ujdzie na sucho, podczas gdy ja się będę smażył w Piekło. O, jakże żałowałem, że nie doniosłem na nią, póki jeszcze mogłem, zanim wlaźła mi w duszę i umysł, żeby mnie zakneblować.

– *Dolorielu, Bóg cię kocha* – zagaił chłodny, lecz dobrotliwy płomień, Terencja. – *Miałeś czas rozważyć ciężące na tobie zarzuty i zastanowić się nad zdrowiem twej nieśmiertelnej duszy. Czy chciałbyś coś powiedzieć, zanim rozpoczniemy?*

Tytułem eksperymentu, bez wielkiej nadziei na powodzenie, spróbowałem: „Tak, obecna tu Anaita mnie wrabia”, ale wyszło z tego tylko „Nie”. Nic więcej. Czyli tak to właśnie miało wyglądać.

– Nie traćmy czasu – odrzekłem.

To mi poszło gładko.

– *Twoja rozprawa odbędzie się przed zgromadzeniem Niebian* – zapowiedziała Terencja.

– Pewnie. Czemu kogokolwiek miałyby ominąć taka atrakcja?

Z tym też nie było problemu. Ocalała nawet dyskretna ironia; dla mnie była bezużyteczna, Anaicie w niczym nie mogła zaszkodzić. Ciekaw byłem, jak ścisłą ma nade mną kontrolę. Czy to jakaś aktywna aplikacja podsłuchująca moje myśli, nim zostaną wypowiedziane? A może zainstalowała mi bramki działające jak automatyczna cenzura?

– *Terencjo, zgromadzeni czekają.*

Gdyby Chamuel był mężczyzną, a nie połyskliwą człękoksztalną dziurą w perłowej pustce, powiedziałbym, że zwłoka go irytuje; skoro jednak byliśmy w Niebie, a anioły słyną z tego, że guzik ich obchodzi czas, musiałem się mylić.

– *Tak, już pora.* – Światłość Terencji się rozszerzyła, jakby efora rozpostarła ręce albo skrzydła. – *Idziemy, Dolorielu. I nie lękaj się, Bóg cię naprawdę kocha.*

– Tak. Postaram się o tym pamiętać.

Tym razem mniej w tym było sarkazmu, a więcej nadziei, takiej

dziecinnej, że Ktoś rzeczywiście wkroczy i mnie uratuje. Albowiem bez boskiej interwencji ci dobrzy, mili, wszystkowiedzący archaniołowie powieszą mnie jak amen w pacierzu. Najgorsze zaś, że zawisnę za jedyny grzech, którego nie popełniłem.

No i poprowadzono mnie przez Niebo.

Nie znaczy to, że wsadzili mnie na wóz i powieźli lśnięcymi ulicami Niebieskiego Miasta jak francuskiego arystokratę na szafot. Sam ledwo wiedziałem, co się dzieje, poza tym że dotarcie do Wielkiej Sali Sądu zajęło jakiś czas. Normalnie, gdy się w Niebie przemieszczamy z miejsca na miejsce, po prostu opuszczamy jedno i zjawiamy się w drugim, bez większego poczucia zmiany niż wygaszenie i rozjaśnienie ekranu przy przejściu od kadru do kadru na filmie. Teraz jednak miałem wrażenie, że płynę pośród hord Niebian i czuję, jak wszyscy reagują na moją obecność. Jak z każdą inną rzeczą tutaj, niełatwo to opisać słowami. Byłem jak bańka mydlana w wielkiej wannie piany. Posuwałem się naprzód, nie przeciskając się między nimi, tylko jakby z jednej stając się następną. Nie bańką nawet, lecz plamką barwy lub cząstką błony powierzchniowej, która może przenikać z bąbelka na bąbelek, nie naruszając całości. Odbierałem jednak zaciekawienie mijanych dusz, ale także niemałe zakłopotanie tym, czego są świadkami. W Niebie wszyscy są szczęśliwi, ale nie jednakowo; istnieje gradacja szczęścia i gdziekolwiek się znalazłem, podążała za mną falka takiego odrobinkę mniej niż doskonałego.

Mądry facet powiedział kiedyś: „Pisać o muzyce to jak tańczyć o architekturze”. Tak samo jest z próbami wyjaśnienia dziwów

niebieskich – ludzka mowa po prostu tego nie wyrazi. Słowa muszą przyjść do głowy po czasie i zazwyczaj okazują się bardzo kiepskim narzędziem.

No więc sunąłem, ślizgałem się, gdzieniegdzie przystając wystarczająco długo, by stać się faktem, gdzie indziej za krótko, by przestać być tylko odczuciem. Cokolwiek innego robili, większość anielskiego tłumu dawała się ponieść widowisku, podążała za mną i wymieniała między sobą wrażenia. Naturalnie prawie nikt nie znał mnie osobiście, ale to się zmieniło, zanim dotarłem do Wielkiej Sali. Moja anonimowość, indywidualna szczęśliwość owada w wielkim rojnym ulu, się ulotniła. Byłem teraz czymś więcej niż pojedynczym aniołem, ale zarazem czymś mniej: Ideą, a może Troską. Czułem jednak, że tak naprawdę Niebo chce, abym był Przykładem.

Ja także doświadczałem takich odczuć i nawet uczestniczyłem w podobnych wydarzeniach, za moich niewinnych pierwszych dni w Niebie. Z jak niezachwianym przekonaniem wierzyłem, że sprawiedliwości zawsze stanie się zadość i że choćby sytuacja była nie wiem jak dziwna czy zagmatwana, postępowaniem kieruje ręka Najwyższego. Bo przecież to Niebo i Prawda zawsze muszą zwyciężyć. Chyba od tamtych czasów straciłem trochę tej wiary.

Wielka Sala Sądu była zatłoczona – nie fizycznie, lecz obecnościami. Nie wiem, ilu aniołów przybyło popatrzeć, co ze mną będzie, dowiedzieć się, czym zgrzeszyłem i jaka spotka mnie kara, czułem ich jednak i poniekąd widziałem, wypełniających niezmierną przestrzeń niczym miliard puszków dmuchawca. Górował nad nami wielki Paslogion, gigantyczna wieża zegarowa

(tak mi się zawsze kojarzył): przejrzysta budowla z wielu przenikających się warstw kół. O ile wiem, Paslogion odmierza rzeczywistość wszystkiego, co kiedykolwiek było i będzie. Jego ogrom dobitnie uświadomił mi, jak mały jestem wobec wielkiego planu i że mój proces wraz z nieuniknionym wyrokiem nie będzie znaczył dla wieczności więcej niż drgnięcie pojedynczej cząstki atomu.

I w tym właśnie momencie znów się spotkaliśmy, pamiętacie? Tu się zaczęła moja relacja: ja na ławie oskarżonych, pięcioro sędziów gotowych wydać werdykt potępiający. Oczywiście nie bez paru wstępnych formalności, jak to na rozprawie.

Całe godziny, jak się wydaje, zajęło samo odczytanie aktu oskarżenia, nie będąc was jednak tym zanudzał, jak również jeszcze dłuższym korowodem „dowodów”, który po nim nastąpił. Jak to zwięźle ujął Chamuel w naszej pierwszej rozmowie: cały ten bajzel z Trzecią Drogą to wina Doloriela. Trzeba było jednak przestrzegać wysublimowanej procedury niebiańskiej sprawiedliwości i każdy segment fałszywej konstrukcji mojej winy musiał być starannie zaprojektowany i wbudowany w całość. Na wszystkie pytania odpowiadałem według mej najlepszej wiedzy i możliwości, na ogół też szczerze, jako że nie popełniłem zarzucanych mi czynów. Skoro jednak nie mogłem wymienić imienia prawdziwej winnej, niewiele mi to pomogło. Zasadniczo oskarżano mnie o to, że razem z Samem spiskowałem w celu obalenia porządku niebiańskiego. Tak, tak: że niby my dwaj, niskiego szczebla anielscy proletariusze, samodzielnie wymyśliliśmy zupełnie nową rzeczywistość, a potem wyszukaliśmy

sobie arcydemoną do pomocy (miał nam niby umożliwić obejście Konwencji Tartareańskiej, regulującej stosunki między Niebem i Piekłem) przy realizacji projektu. Ponieważ zaś na sali nie było ani Sama, ani tajemniczego Kefasa, nikomu nie chciało się zakwestionować tego piramidalnego nonsensu.

Oto więc macie: Bobby Dolar, król zbuntowanych aniołów, największy zdrajca, odkąd Lucyfer zażądał własnego klucza do dyrektorskiej toalety. Tym razem to ja miałem dostać siarczany spadochron.

Cała intryga zaczęła się od tego, że byłem na miejscu, kiedy zniknęła pierwsza dusza zwerbowana do Trzeciej Drogi, osławiony Edward L. Walker. Co prawda zaskoczyło mnie to tak samo jak wszystkich, ale gdy zaczęli mi dorzucać kolejne występki, jak przyzwolenie na ucieczkę Sama w parku Shoreline, nietrudno było zrozumieć, że komuś, kto nie zna całej prawdy, moja wina musi wydawać się oczywista. I dziwna rzecz: poza sprawą Walkera oskarżyciele nie wykorzystywali najbardziej obciążających mnie wykroczeń – tych, które naprawdę popełniłem.

Na przykład nikt choćby słówkiem nie wspomniał, że aby Sam mógł wtedy uciec, podsądny Doloriel musiał rąbnąć kolbę anioła Haraheliela (Clarence pracował wtedy pod przykrywką dla szefostwa). Byłby to jednak doskonały dowód na mój współdziałanie w przestępstwie. Ale może Młody o tym nie doniósł? Miło wiedzieć, że nawet na tym beznadziejnym etapie mam w chłopaku prawdziwego przyjaciela, choć ani trochę nie wpłynie to na werdykt – ot, po prostu jeden grzech mniej. I tak mieli aż nadto materiału, żeby mnie posłać

na przymiarę do stolarza.

I nie było to jedyne niewytłumaczone pominięcie. Eforowie wiedzieli o moich kontaktach z diabłami – mówiono o tym z dziewięćdziesiąt razy – ale z jakiegoś powodu nie wypłynęła kwestia mojej wyprawy do Piekła, przestępstwa najcięższego kalibru. Musiałem przyjąć, że zwyczajnie o tym nie wiedzą, bo byłaby to dla nich wisienka gigant na torcie mojej totalnej winy. W końcu nawet demony idą tam tylko dlatego, że muszą. Dziwne, bo przecież nie kto inny jak Temuel, który mnie wydał w ręce władz, sam mi tę eskapadę umożliwił, wydawałoby się więc, że Eforat powinien wiedzieć o niej wszystko z najdrobniejszymi szczegółami – a jednak nie padła na ten temat nawet najdyskretniejsza aluzja. Być może sędziowie zwyczajnie chronili swego donosiciela, ale tak czy owak coś mi się tu nie zgadzało. Mogli z tego elegancko wybrnąć prostym stwierdzeniem, że pomagając mi, Muł działał z ich rozkazu; dawał mi sznur, na którym miałem się powiesić. Dlaczego więc tego nie wykorzystali?

Co jeszcze dziwniejsze, nikt też nie podniósł kwestii Caz, w każdym razie nie w tych aspektach, które ostatecznie zacisnęłyby mi pętlę na szyi, jak wyuzdany anielsko-diabelski seks czy moje wyznanie wieczystej do niej miłości przed hotelem „Ralston”, na dziesięć minut przed wysadzeniem go w powietrze przez Eligora.

Ani słowa o Piekle, ani słowa o Caz – dla której przecież tam się pofatygowałem. Jedno i drugie byłoby ukoronowaniem procesu dowodowego przeciwko mnie. Nie widziałem innej przyczyny zaniechania tak świetnej linii oskarżenia jak tylko to, że Temuel jednak mnie nie sypnął.

Dlaczego? Czy w ten sposób chciał chronić swą misjonarską działalność w Piekło? Krył własny tyłek, bo sam jest zamieszany w jakiś szwindel? A może naprawdę mi pomaga? Nie miałem nadziei rozwikłać tego ani podczas rozprawy, ani tym bardziej potem – zwłaszcza że nie spodziewałem się żadnego „potem”. W każdym razie nie takiego, w którym miałbym czas i ochotę nad tym dumać, gotując się we wrzącym łaźnie, w regularnych odstępach dżgany widłami w tyłek.

Nie miałem pojęcia, jak długo to już trwa, bo wiecie: Niebo. Postępowanie było czysto formalne, sędziowie nie wiedli otwartej debaty, przynajmniej nie takiej słyszalnej dla publiczności, choć byłem pewien, że cała piątka prowadzi ożywioną dyskusję. Niemal czułem ich myśli śmigające tam i z powrotem jak nadpobudliwe elektrony. Czasem miałem wrażenie, że się o coś spierają; słyhać to było w ich tonie, kiedy przemawiali, i widać po zmianie barw ich świetlistości. Prym w oskarżeniu wiodła oczywiście Anaita, popierana przez Chamuela. Terencja i bezpłciowe Razjel zajmowali ostrożniejsze stanowisko i zadawali bardziej ogólne pytania, jakby starali się lepiej zrozumieć, co zaszło. Karael, konkretny jak to wojak, choć rzadko się odzywał, starał się studzić prokuratorski zapal i wytykał każdy przesadzony argument. Nie powiedziałbym, że jest po mojej stronie, ale też nie wydawał się zdecydowany, by jak najszybciej wepchnąć mnie do windy ekspresowej na Dół. Postanowiłem, że jeśli będę jeszcze miał jakieś życie pozagrobowe, muszę koniecznie mu podziękować za otwartą postawę.

Dowiedziałem się jednej rzeczy, przedtem mi niewiadomej: Anaita

miała więcej wpływów w Eforacie, niż sądziłem. Wyglądało na to, że jej właśnie podlega San Judas i tamtejsza kolonia aniołów. Zaczynałem rozumieć, jak mogło się jej udać przedsięwzięcie tak wielkie i szalone jak stworzenie Kainos. Co zrodziło kolejne pytanie: czy Temuel od początku pracował dla niej? Może właśnie dlatego na procesie nie wypłynęło nic dlań kompromitującego? Może Anaita z góry wybrała mnie na kozła ofiarnego i poprzez Muła pokierowała mnie prosto na rzeź?

To jednak też nie trzymało się kupy, nie miałem zresztą czasu się nad tym zastanawiać. Wiedziałem tylko, że pewne wątki w odegranej przezeń roli są dla mnie niezrozumiałe.

– *Wyczuwam, że nie ma więcej pytań w odniesieniu do aktu oskarżenia* – stwierdziła Terencja, kiedy w końcu przesłuchanie straciło impet. Przez zgromadzenie przebiegł bezcielesny dreszcz oczekiwania: nadeszła pora, by wymierzono Sprawiedliwość. – *Czy ktoś życzy sobie dodać coś jeszcze?*

Wówczas Karael, Anioł Wojujący, bohater Czasu Upadku, powiedział coś, za co po raz drugi w moim nieciekawym życiu zapragnąłem go chwycić w ramiona i zacałować na śmierć.

– *Chciałbym usłyszeć, czy oskarżony ma coś do powiedzenia na swą obronę.*

– *A po co?* – spytała Anaita najśłodszy głośkiem bobaska, w którym jednak wyraźnie pulsowała skrywana złość. – *Czyż Dolorielowi nie dano wystarczającej szansy, by się wypowiedzieć? On jednak drwił sobie z postępowania, unikał odpowiedzi wprost i*

nadużywał cierpliwości Eforatu niepotrzebnie kąśliwymi uwagami.

– Przykro mi, ale popieram naszą błogosławioną siostrę Anaite – zawtórował Chamuel. – Jedyłą wartością, jaką ten anioł przedstawia dla Nieba, jest przestroga dla innych, a nie zrealizujemy jej, dopóki nie zostanie przykładowie ukarany.

– A co ty powiesz, Razjel? – spytała Terencja.

Odpowiedź ani trochę nie uchyliła choćby rąbka żywej tajemnicy, jaką był dla mnie piąty efor, za to przychyliła mi nieba (po długiej, znaczącej ciszy, od której spociałbym się jak mysz, gdybym miał ciało).

– Ja też życzylibym sobie wysłuchać podsądnego.

O mało nie krzyknąłem z ulgą, choć pewnie odwlekło to ostateczną katastrofę może o sekundy. Teraz wszystko zależało od Terencji. Jej jasność odrobinę przygasła i wezbrał we mnie strach, że odmówi mi tej mikroskopijnej szansy. Miałem bowiem pomysł. Owszem, nie najlepszy. Często tak bywa z moimi pomysłami, zwłaszcza gdy rodzą się w nerwach, bo ktoś właśnie zamierza mnie unicestwić, innego jednak nie miałem i innej szansy też.

– Nie widzę w tym niczego złego – uznała w końcu. – Dolorielu, możesz mówić.

Wiedziałem, że jeśli zechcę powiedzieć cokolwiek, co by obciążało Anaite, założona przez nią blokada powstrzyma mnie, zanim zacznę. Musiałem działać ostrożnie. Miałem tylko jedną próbę.

– Dziękuję Waszym Świetlistościom – wydukałem. – Zamiast

oświadczenia mam jednak prośbę i błagam o jej uważne rozpatrzenie.

Manipulacja Anaity nie była pasywna: czułem, że wisi nad moimi myślami jak podejrzliwy skąpiec nad kufrem, gotowa chwycić każde niepożądane słowo, zanim się w nich ukształtuje. Jedyłą moją nadzieją było wziąć ją z zaskoczenia przez uderzenie w innym kierunku.

– *Czekamy, Dolorielu.* – Cierpliwość przewodniczącej była na wyczerpaniu.

– Dobrze więc. Z całym szacunkiem i pokorą upraszam, aby Wasze Świetlistości wstrzymały się z werdyktem, dopóki nie poznają wszystkich faktów.

– *Co masz na myśli?* – obruszył się Chamuel, mrukliwy jak staruch, któremu nie dają się położyć spać. – *Jakie fakty? Odkryliśmy już wszystko, co było do odkrycia.*

– Jeżeli wstrzymacie postępowanie i zwolnicie mnie warunkowo na jakiś czas... – Poczułem nagle, jak Anaita wpija się we mnie szponami myśli, usiłując zawczasu skruszyć, cokolwiek zamierzałem powiedzieć. Przez chwilę zdawało mi się, że tłamsi nie tylko słowa, lecz mnie samego – niby nie miałem płuc, lecz się dusiłem – co nieco jednak się nauczyłem podczas naszego pojedynku w muzeum. Odpierałem atak ze wszystkich sił, starając się utrzymać choćby cząstkę siebie poza jej zasięgiem. Gdybym chciał rzucić oskarżenie bezpośrednio na nią, nie dałbym rady; mój zamiar zaskoczył ją jednak wystarczająco, bym złapał oddech i wyrwał się spod jej kontroli. – Jeżeli mnie wypuścicie, sprowadzę tu adwokata Samariela.

Tego, który pokazał mi Trzecią Drogę i zna wszystkie odpowiedzi, których ja nie potrafię udzielić. Dajcie mi chwilę wolności, a oddam go w wasze ręce.

– *A jakże tego dokonasz?* – W głosie Terencji wyraźnie zabrzmiało zdumienie. – *Skoro my nie możemy go znaleźć, dysponując całą mocą Eforatu, i nie możemy go osiągnąć w tej ostoii herezji zwanej Kainos, to dlaczego tobie miałoby się udać?*

– Dlatego, że wiem, jak się tam dostać. I dlatego, że on mi ufa.

Przyznaję, miałem w życiu szlachetniejsze chwile.

* 17-Mile Drive – malownicza nadmorska szosa na kalifornijskim półwyspie Monterey, słynąca z bogatych rezydencji i pól golfowych. Carmel – miasteczko tamże.

Trzydzieści sześć

Bobby znowu górą



Nawet nie poczułem, jak i kiedy znów znalazłem się na Ziemi, choć eforowie musieli co najmniej chwilę dyskutować nad moją propozycją. W jednej chwili stałem przed Wysokim Sądem, w następnej wylądowałem przy ławce obok fontanny przed Muzeum Przemysłu, dokładnie tam, gdzie dopadły mnie specsłużby, ubrany w te same ciuchy. Nawet spluwę miałem tam, gdzie zawsze, w kieszeni marynarki. Wariactwo, nie?

Co więcej, na parkingu znalazłem swoją żółtą taksówkę, błyszczącą od niedawnego deszczu. Kto się o mnie aż tak troszczy, że posadził mnie tuż obok środka transportu? I dlaczego w ogóle tu jeszcze była, zamiast stać rozbebeszona w garażu niebiańskiej policji? Wsiadając i uruchamiając rozrusznik, byłem nerwowo jak antymafijny sędzia w Palermo. Nic jednak pode mną nie wybuchło, tylko silnik zakaszał z początku, jakby mu paliwo w gardle zaschło. Wycofawszy gablotę na alejkę, zobaczyłem prostokąt suchego asfaltu – a więc rzeczywiście nikt jej stąd nie ruszał. Na podłodze wałała się torebka z „El Gran Taco”; na tylnej kanapie parę puszek po coli zostawionych przez Amazonki. Nic się w kabinie nie zmieniło, chociaż byłbym durniem, uważając, że nikt jej nie nafaszerował

pluskwami i urzędzeniami śledzącymi.

Stan taksówki, podobnie jak inne drobne dziwności, to jednak mały pikuś. Nie warto było się nad nimi zastanawiać. Czasu dano mi niewiele; wlokłem za sobą wyrok śmierci w zawieszeniu jak kulę u nogi, miałem rzeczy do zrobienia i najlepszych przyjaciół do zdradzenia. Jechałem do miasta, wypatrując budki telefonicznej – o które w obecnej dobie nie tak łatwo – i przy pierwszej okazji bezpieczną linią Caz zadzwoniłem do Oksany.

Podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Bobby! To ty? Gdzie poszedłeś? Tak się niepokoiłam!

– Przepraszam. To nie rozmowa na telefon, ale nic mi nie jest. – Ha, ha. Niby co miałem jej powiedzieć? – A co u ciebie?

– W porządku. Było co jeść. Ale martwiłam się, jak wyszedłeś i tak długo nie wracałeś. Całą noc!

– Jak to całą noc? Czekał, co dziś za dzień?

– Dziś... – Musiała się zastanowić. – Czwartek.

– Czwartek? Znaczy wyszedłem wczoraj? Widziałś mnie dzień wcześniej?

– Tak, Bobby. Wczoraj.

Niech mnie, pomyślałem. Duchy umieją to załatwić w jedną noc. Tylko że te od Ebenezera Scrooge’a uratowały mu duszę, a moje tylko mnie wkurzyły.

– Okej. Wiesz, miałem sprawę do załatwienia. Wrócę do domu na kolację. Nigdzie nie wychodź i nikomu nie otwieraj. Pamiętaj, że

pojutrze wsiadasz do samolotu?

- Nie chcę wyjeżdżać, Bobby.
- Pogadamy później. Ale wyjedziesz.

Dzień był znowu zimny i nieprzyjemny. Popadywało, nie miałem żadnych płyt, radio w górach (jechałem na wybrzeże) słabo odbierało i jedyną muzyką do słuchania był szum opon na mokrym asfalcie i rytmiczne szuranie wycieraczek.

Do Casa Gustibus trafiłem tym razem bez problemu. Zostawiłem dobremu doktorowi tyle wiadomości bez odpowiedzi, że spodziewałem się niemal zgliszcz i ruin, gdy jednak wziąłem ostatni zakręt, willa ukazała mi się nienaruszona na tle smaganego deszczem burego oceanu.

Niewykluczone, że drzwi otworzyła ta sama zakonnica, albo może nieco do tamtej podobna i w takim samym kornecie. Nigdy nie nauczę się ich rozróżniać. Skinęła, bym wszedł, zanim skończyłem się przedstawiać.

– Doktor Gustibus jest akurat zajęty – oznajmiła. – Przyjmie pana, gdy tylko będzie mógł.

Nalała mi wody, wrzuciła do szklanki plasterki cytryny i zostawiła samego w salonie udekorowanym starymi zdjęciami budowli i rozwiązań inżynierskich. W całym pokoju nie było ani jednej podobizny człowieka czy zwierzęcia. Nadal nie miałem pojęcia, kim, ani nawet czym jest ten facet. W każdych innych okolicznościach bałbym się uwierzyć w rzetelność jego informacji – ale dziś, po uszy w kłopotach najgorszej natury, nie miałem wyboru. Potrzebowałem

wszelkiej dostępnej pomocy.

Z beczynności i nerwów zacząłem już się bawić cytryną, kiedy zakonnica wreszcie zjawiła się znowu i poleciła mi iść za sobą. Gustibus czekał na mnie wśród swych ksiąg i kuriozów; tak jak poprzednim razem włosy miał związane w kucyk i odziany był w zwiewną białą szatę. Uśmiechnął się przelotnie na mój widok, lecz nie od razu odłożył przedmiot, który badał przez lupę. Wyglądało mi to na jakąś glinianą tabliczkę.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać, panie Dolar. Zdaje się, że miał pan urozmaicony tydzień.

Powiedział to tak, jakbym w tym czasie raptem dwukrotnie spóźnił się na autobus i otrzymał niespodziewaną przesyłkę.

– Można tak powiedzieć. A co, słyszał pan coś?

– O pańskim procesie? Nic konkretnego, tyle że nie wydano werdyktu. Domyślam się, że zdołał pan nakłonić sąd do... jak to się mówi?... ugody?

– Raczej zdołałem chwilowo odwlec finał – odparłem. Nie zamierzałem jednak się tłumaczyć temu niezemiemu typowi, który zdawał się nie mieć poważniejszych trosk niż to, jakie organiczne warzywo spożyć na obiad. – Próbowałem się do pana dodzwonić.

– O, ja też byłem zajęty – odrzekł z niemal irytującą nonszalancją.
– Czego panu potrzeba?

– Informacji naturalnie. I chętnie dam coś w zamian. – Rozejrzałem się dla upewnienia, że zakonnica odeszła. – Muszę

wzbogacić wiedzę o rogach. I piórach. Proces się nie skończył, został tylko odroczone, i raczej nie na długo. Kończy mi się czas.

– Aha. – Wskazał mi krzesło. Przypomniałem sobie, że on sam nigdy nie siada. – A co chciałby pan usłyszeć?

– Muszę wiedzieć, jak one działają. Jak się przemieszczają, by tak rzec, jak się objawiają. Gdzie i jak można je ukryć.

– Dziwiłem się, że nie pytał pan o to poprzednim razem.

– Nie przyszło mi to do głowy. Próbowałem później do pana telefonować. – Facet swą zdystansowaną ogólnikowością irytował mnie bardziej niż wtedy. Może dlatego, że w mojej grze dosłownie zostało mi tylko jedno życie. Może dlatego, że zginęła młoda śmiertelniczka, którą lubiłem, a jej kochanka do końca życia będzie w żałobie. – To jak, chce mi pan pomóc czy nie?

Popatrzył na mnie przenikliwie, zupełnie jakby słyszał echo moich myśli.

– Proszę o wybaczenie. Nie chciałem pana zdenerwować, panie Dolar. Przejdźmy zatem do rzeczy. Jaką ma pan ofertę?

– Wtedy nie wspomniałem panu o mojej wyprawie do Piekła. Byłem tam długo, wiele widziałem i przeżyłem sporo... przygód, choć nie jest to właściwe słowo. Raczej pieprzonych przerażających doznań. Mógłbym o tym opowiedzieć.

– To nie jest moja sfera zainteresowań. – Gustibus pokręcił głową. – Specjalizuję się w Niebie. Piekło ma dla mnie znikomą wartość, przynajmniej jeśli chodzi o mą pracę. O, jego słudzy bywają

przydatni jako źródła informacji, ale ciekawi mnie tylko to, co mogą mi powiedzieć o Niebie, a nie o własnym obmierzłym domu.

Miałem ochotę strzelić mu w pysk. Jasna cholera, też wolałbym móc sobie przebierać w sferach zainteresowań, zamiast być przez nie ostrzeliwanym czy gryzionym w tyłek.

– W takim razie czego pan chce? – warknąłem.

– Co się z panem działo przed rozprawą? Kiedy został pan uwięziony?

– Niby że w bieli? Inaczej nie umiem tego nazwać.

– Możemy się zadowolić tym określeniem. To część procesu, o której nie wiem zbyt dużo.

– Załatwił mnie na cacy Anioł Pojednania, Patiel-Sa. Brzmi to dostatecznie upokarzająco, by pana zaciekawić?

– Owszem. – Doktor się uśmiechnął. – Niech pan opowiada, a ja się postaram odpłacić jak najlepszą monetą.

Opisałem więc zawieszenie w białej nicości, moje odczucia, wizje i słyszane dźwięki, kładąc akcent na to, jak mimo woli wyśpiewałem wszystko, co wiem, włącznie z najskrytszymi własnymi tajemnicami. Gustibus słuchał uważnie, ale nie patrzył na mnie, tylko w okno, na sine niebo i ołowiany ocean.

– ...i nie pamiętam dokładnie... – zakończyłem – ale jestem pewien, że powiedziałem im szczegółowo także o panu. Jak wszystko, to wszystko.

Nie wyglądał na zmartwionego.

– Czy Patiel-Sa kiedykolwiek nakłaniał pana bądź nakazywał przyznać się do winy?

– Nie. Zrobiłem to, bo chciałem. Boże, wręcz tego potrzebowałem! Zdawało mi się, że to najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. – Umilkłem, by wziąć głębszy oddech, bo na samo wspomnienie najchętniej bym kogoś zastrzelił, a nie było w okolicy odpowiednich kandydatów. – Więc jak, satysfakcjonuje to pana? Wystarczy, żeby się zrewanżować?

– Pańska relacja była fascynująca. – Spojrzał mi w oczy. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Kwestia rogu. Od naszego ostatniego spotkania odkryłem ziemską tożsamość Anaity i rozpracowałem jej posunięcia. Udaje persko-amerykańską filantropkę Donię Sepantę. Mieszka w San Judas mniej więcej od trzydziestu lat. Jak się wydaje, pierwszy raz spotkała się z Eligorem w muzeum Stanforda, którego jest ważnym sponsorem, ale to tylko domniemanie. I tam rogu nie ukryła. Przekonaliśmy się o tym bardzo wysokim kosztem. Mieści się tam za przejście do Kainos.

– Ach, do tej heretyckiej Trzeciej Drogi, jak mówią władze niebieskie.

– Teżę samej. No więc mogła się dogadać z Eligorem nawet kilkadziesiąt lat temu, podczas pierwszego spotkania, ale równie dobrze całkiem niedawno. Miejsc, gdzie mogła schować róg, jest w San Judas miliard. Po tym, co się stało w muzeum, wiem, że nie mogę sobie pozwolić na kolejną konfrontację z Anaitą, dopóki go nie

znajdę. A ten cholerny fant może być dosłownie wszędzie. Jeżeli ona umie zrobić to samo co mój przyjaciel, kiedy chował jej pióro w czasokieszeni... to róg mógłby być nawet w tym pokoju i też nie mielibyśmy szansy go znaleźć. – Ledwo wymówiłem te słowa, zrozumiałem, jaki byłem od początku idiotycznie zadufany. Przedmiot wielkości zapalniczki należący do archanielicy, która potrafi uczynić go niewidzialnym i ukryć poza nurtem Czasu... a ja sobie wesoło ruszam na jego poszukiwanie, tak pewny siebie, jakbym był jedynym dorosłym na przedszkolnym polowaniu na jajka wielkanocne. – I w tym właśnie problem – powiedziałem, gdy już skończyłem kopać się w duchu w tyłek. – Im dłużej szukam, tym mniej wiem. Jak w ogóle anielskie pióro czy diabli róg mogły przeniknąć do naszej rzeczywistości? Człowiek nie przejdzie z Ziemi do Nieba, jeśli nie umarł, nie? – Jak Oksana, uwięziona wraz z ciałem kochanki w bezczasowym Nigdzie pomiędzy światami. – Jak to właściwie jest z tymi podróżami między Ziemią a Niebem czy Piekłem? Jak to działa?

– Jak działa? – Doktor pokiwał głową. – Oto jest pytanie. Głowię się nad nim dłużej, niż pan sobie wyobraża. Wygodnie się panu siedzi?

– W miarę. – Wzruszyłem ramionami.

– To dobrze. Bo to nam może zająć trochę czasu. – Splótł dłonie za plecami i spuścił wzrok, jak uczeń szykujący się do wyrecytowania tabliczki mnożenia. – A zatem. Oto, co na ten temat wiem lub mam dość dowodów, by przyjąć za prawdę. Proszę pamiętać, że dla celów tej dyskusji nie jesteśmy ciałami fizycznymi, tylko duszami.

Dziwne sformułowanie: „dla celów tej dyskusji” – jakby to nie była obiektywna prawda. Machnąłem na to jednak ręką i starałem się skupić. Wiedziałem już, że Gustibus lubi zabierać słuchaczy na przejażdżki sokratejską kolejką górską.

– Wiadomo, że anioły i demony są li tylko duszami. To znaczy mogą przybierać ciało, ale egzystują przede wszystkim jako bezcielesne duchy. Jednakże w tym stanie bardzo niewiele doświadczają z rzeczywistego życia, a już na pewno niczego, co pan i ja rozpoznałibyśmy jako zwyczajny ziemski ból lub przyjemność. Nazwałbym to bytem raczej jałowym. Człowiek za życia jest przywiązany do realnego ciała. Gdy umiera, dusza się od niego uwalnia i może opuścić Ziemię i przenieść się do innych miejsc, jak Niebo czy Piekło. Dotarłszy tam, zostaje ponownie wcielona, lecz już w formie bardziej pasującej do nowej egzystencji.

– To wszystko już dobrze rozumiem.

– Proszę mnie nie poganiać, panie Dolar. – Doktor zmarszczył brwi. – Jako się zaś rzekło, anioły i demony... i pewne inne byty... nie są przywiązane do ciał, mogą w nie wnikać i z nich wychodzić, kiedy zechcą. Jeżeli jednak chcą się znaleźć i funkcjonować na Ziemi, to muszą przybrać postać cielesną. Zgadza się? Wszystko na razie jasne?

Skinąłem głową.

– Świetnie. I teraz, jeżeli anioł, dajmy na to, życzy sobie użyć części swojego ziemskiego ciała na przypieczętowanie umowy... na przykład pióra... to nie wystarczy go zwyczajnie komuś wręczyć. Na

Ziemi pióro, nawet anielskie, jest tylko piórem, elementem cielesnym, ziemskim. Nie przedstawia jakiegokolwiek wartości dowodowej.

– To znaczy...?

– Że nic nie można na jego podstawie udowodnić. Żeby więc ów przedmiot cokolwiek znaczył, musi wchłonąć choćby małą cząstkę istoty owego anioła. Coś z jego duszy, a nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego zdarzyło się przypadkowo. To samo dotyczy diabła i jego rogu.

To mnie zastanowiło.

– Hmm... Dla wszystkich jakoś było oczywiste, że złote pióro Anaity jest piórem anielskim. Czyżby dlatego, że ona je takim uczyniła?

– Mniej więcej. Oddając je Eligorowi, musiała w nie tchnąć cząstkę siebie. On z pewnością również to zrobił.

– Jasne. Ale jakie to ma znaczenie dla mnie?

– Takie, że nie jest ważny sam fant, lecz jego esencja. I że to właśnie esencja, jak sama dusza, nie jest przykuta do ziemskiej rzeczywistości, lecz może iść wszędzie tam, gdzie dany anioł czy demon. Rozumiesz?

Jedyne, co z tego zrozumiałem, to że moje niemożliwe zadanie właśnie stało się jeszcze mniej wykonalne. Samopas odkryłem nieznaną dotąd poziom niemożliwości. Górą Bobby!

– Czyli zasadniczo mam przerąbane. Róg może być dosłownie wszędzie i nie da się stwierdzić gdzie. To chce mi pan powiedzieć?

– Zawsze lepiej znać prawdę, panie Dolar. – Leciutkie drgnięcie kącików jego ust mogło być uśmiechem. – Jest pan nadal w tej samej sytuacji, za to lepiej poinformowany. Ale jeszcze nie skończyłem.

– O, dalej będzie jeszcze fajniej?

– To już zależy od pańskiej interpretacji. Nasza poprzednia rozmowa o Anaicie, jej historii i motywacji, dała mi do myślenia. Później przyszło mi do głowy coś być może ważnego.

Byłem zbyt zdołowany, żeby odpowiedzieć.

– Nie mam już nic na wymianę – burknąłem.

– Zdziwiłby się pan... Ale to akurat będzie gratis. Tak, Anaita mogła ukryć róg wszędzie, gdzie sama może pójść. Proszę jednak pamiętać, że ma go nie bez powodu. To dla niej zabezpieczenie przed zdradą Eligora. Trzymali się wzajemnie w szachu i każde mogło zniszczyć partnera, gdyby nie dotrzymał umowy. Teraz, gdy Eligor znów ma pióro, róg jest dla niej tym ważniejszy.

– I cóż z tego?

– To, że nie wybrałaby dla niego kryjówki trudno osiągalnej. Pewnie, mogłaby znaleźć stosowne miejsce w Niebie, ale to by jej tylko utrudniło szybki dostęp w razie konieczności. Bo zdarza się, że Niebo i Ziemia płyną przez Czas w niejednakowym tempie. Stawiałbym na to, że wołała zamelinować fant gdzieś, skąd w każdej chwili może go wydobyć.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

– Nie robię tego złośliwie, panie Dolar. Sam nie znam

odpowiedzi, czuję jednak, że można ją znaleźć, a to, co przed chwilą powiedziałem, prawdopodobnie może panu w tym pomóc.

– Wypada mi zatem podziękować za pomoc. Chyba.

Wstałem z krzesła. Nie czułem się jednak specjalnie podniesiony na duchu. Nie miałem się za szczęściarza, bo o anielski włos uniknąłem wyroku skazującego; wiedziałem, iż to tylko odroczenie – ale teraz spadłem z powrotem do punktu wyjścia, a nawet niżej.

– Jeszcze jedno – rzekł Gustibus. – Niech pan również pamięta, że Anaita nie jest aniołem, który kiedyś tam był boginią. Nie, to bogini, która została aniołem. Jest inna niż większość niebieskiego chóru. Mogła istnieć już przed ludzkością, jak inni archaniołowie, lecz różni się od nich zasadniczo. Jest taka, gdyż ludzie oddawali jej cześć boską.

– A co to znaczy?

– Do tego to już, niestety, sam pan musi dojść. Miło mi było pana ponownie zobaczyć, obiecałem jednak siostrze, że przyrzadzę dziś kolację. Kuchnia mnie wzywa.

Żegnałem go z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, byłem mu wdzięczny za poświęcenie mi cennego czasu, z drugiej jednak korciło mnie, żeby go złapać wpół, wystawić za okno i trzymać nad urwiskiem i kipiącym w dole przybojem, póki mi nie powie, dlaczego musi być takim tajemniczym sukinsynem. Chyba niezbyt dobrze odbieram metodę sokratejską.

Zachowałem jednak powściągliwość. Wsiadłem do auta i pojechałem przez góry do domu, słuchając monotonnej deszczowej

perkusji.

Trzydzieści siedem

Sprzątanie



Knułem, planowałem, wilem się jak robak na haku, ale moi wrogowie byli po prostu ode mnie silniejsi. Anaita wymanewrowała mnie na każdym etapie. Jedyne, co sobie tymi wszystkimi sztuczkami załatwiłem, to ta ostatnia szansa: albo stanie się cud, albo dostanę ekspresowy bilet do Piekła, co niejednego demona by wielce ucieszyło. Nie miałem pojęcia, gdzie w Jude szukać cudu, a żadne inne miejsce nie przychodziło mi do głowy. Większość moich sprzymierzeńców wypadła z gry, a jedna osoba nawet z życia. Skoro zaś moja przyszłość lichy się prezentowała, uznałem, że równie dobrze mogę zająć się paroma niewypełnionymi zobowiązaniami.

Z forsy za nieodżałowanego matadora zostało mi jeszcze około dwóch tysięcy dolarów, plus minus stowa. Większość wróciła do Orbana za broń, dzięki której niektórzy z nas przeżyli, ale kiepsko się sprawdziła, jeśli chodzi o uratowanie Haliny albo zdobycie rogu. Bieżących problemów nie rozwiązałbym jednak, ciskając w nie banknotami, więc musiałem zrobić, co trzeba, i karmić się nadzieją, że stary dobry upór jeszcze się jakoś liczy.

Krok pierwszy – pod wieloma względami najgorszy, gdyż był równoznaczny z przyznaniem się do klęski i winy – wyekspediować Oksanę jak najdalej od San Judas. Z upływem pozostałych sekund mojego odroczenia wojna z Anaitą miała tylko przybrać na sile. Nie mogłem nawet myśleć o tym, jak bym się czuł, mając obie Amazonki na sumieniu.

Oczywiście się sprzeciwiała.

– Nie! Jak mogłabym wyjechać, skoro ta perska bladź zabiła Halinę! – Nie wiedziałem, co znaczy bladź, lecz po nienawistnym grymasie Oksany domyśliłem się, że raczej nie koteczka. – Wyjadę dopiero, kiedy to ścierwo zdechnie!

– Nie rozumiesz. To ścierwo, jak mówisz, kiedyś było boginią, ale teraz jest archaniołem. Ma koneksje. Dociera to do ciebie? Jest jak rosyjska mafia. Nawet gdybyśmy mogli ją zabić... a nie możemy... ktoś inny zajmie jej miejsce i będzie nas ścigał. A potem następny, i tak dalej. Nie można zaatakować Nieba, nawet w osobie jednego tylko anioła, i nie oczekiwać odwetu.

– To mnie nie obchodzi.

Usiadła z rozmachem na sofie i rzuciła mi groźne spojrzenie, od którego tylko wzrosło moje poczucie odpowiedzialności. Ta młodziutka wilczyca mimo wykształcenia paramilitarnego i żołnierskiej determinacji wciąż była niewinna. Gdybym wiedział, że sprawy tak szybko przybiorą tak poważny obrót, w życiu bym żadnej z nich w to nie wciągał. Spodziewałem się, że Anioł Deszczu przyszykował w muzeum jakieś pułapki, ale nigdy bym nie przypuszczał, że zjawi się

tam osobiście. Z tym błędem przyjdzie mi przeżyć resztę anielskiego życia (choć zaczynało wyglądać na to, że problem okaże się raczej krótkoterminowy).

Nie zamierzałem jednak popełnić go po raz drugi.

– Nie obchodzi mnie, że cię nie obchodzi – odparłem stanowczo.
– Oksano, jedziesz i koniec. Mogę albo odwieźć cię na lotnisko i wsadzić na rejs do Kijowa, albo wezwać urząd imigracyjny, żeby zrobił to za mnie. Bo zostałabyś deportowana jak amen w pacierzu, choć dopiero po paru miesiącach w areszcie z wszystkimi atrakcjami, jak odwszenie i kilkanaście rewizji osobistych z gmeraniem w tyłku i gdzie tam jeszcze. Nie lepiej ominąć ten dodatkowy etap i przejść prosto do pysznego plastikowego obiadu i fatalnej komedii z Adamem Sandlerem w miłym, czyściutkim samolocie?

Szło mi to tak, jakbym definitywnie zabronił nastoletniej córce iść na imprezę. Łzy, krzyki, cały wiadomy zestaw. Nie robię sobie z tego żartów; to był skutek tragicznych wydarzeń, za które ponoszę wyłączną odpowiedzialność, cierpliwości mi już jednak brakowało. Tak jak właściwie wszystkiego.

Oksana w końcu zamknęła się w sypialni Caz, ja zaś wykorzystałem chwilę spokoju na wyszukanie w Internecie biletu w jedną stronę – za jedyne tysiąc sto baksów – na lot za dwa dni. Zostawiłem rozłoszczonej Amazonce karteczkę z informacją co i jak oraz propozycją – dla naprawy stosunków – abyśmy spędzili wieczór we dwoje w mieszkaniu, a na kolację przyniosę parę burgerów od Juniora. Mówię wam, naprawdę się czułem jak ojciec zbuntowanej

nastoletniej komandoski. Tak w każdym razie sobie to wyobrażałem.

Wywiezienie dziewczyny daleko poza strefę wojenną było jednak na samym szczycie mojej ambitnej listy, więc skończywszy notkę, wsiadłem w mą żółtą łódź niezawodną i pojechałem do centrum. Tak, po prostu nie mogę wytrzymać bez tej części miasta. Jak mówi Pismo, „Jak pies wraca do swoich wymiocin, tak głupiec powtarza swe głupstwo”*. (Swoją drogą, dzięki ci, królu Jakubie z kolegami, za wbicie mi tego obrazka do głowy). Głupstw zaś do powtórzenia miałem niemało.

Dzień był w sam raz na bluesa Deltę, uznałem, jadąc smaganymi deszczem szarymi ulicami Jude. Gdy dotarłem do mej dawnej dzielnicy, sceny wielu ciekawych wydarzeń, Son House akurat śpiewał *Jana Objawiciela*. Śpiewał, to w jego wypadku może złe określenie; tak samo można by nazwać technikę gitarową Jimmy’ego Hendrixa pogrywaniem albo stwierdzić, że Michael Phelps** jest dobry w nietonięciu. Dobrze znam Niebo, Piekła też zaznałem i powiem wam, że słuchanie, jak House wzywa bluesa, by pomógł mu nie zwariować, może dać prawdziwy przedsmak jednego i drugiego.

Gdy parkowałem, deszcz wciąż walił w dach. Piosenka właśnie się kończyła.

Powiedz, kim jest ten pisarz? Jan Objawiciel.

Napisał księgę o siedmiu pieczęciach.

Zazwyczaj przy takich utworach odbiera się to jak zwykłe słowa – nawet gdy się wie, że „księga o siedmiu pieczęciach” to nawiązanie do Objawienia św. Jana. Złamanie owych pieczęci ma uwolnić

czterech jeźdźców Apokalipsy, a potem zagrają trąby i świat szlag trafi. Ja w końcu jestem aniołem, a słuchając tego bluesa, też zawsze myślałem tylko o tym, jak wielkim artystą był House. Tego dnia jednak tekst zabrzmiał mi deczko inaczej, i to nie tylko dlatego, że moja własna apokalipsa była bliżej niż kiedykolwiek. Nieraz już bywałem w opałach, ale nigdy jeszcze nie czułem się tak wyzuty z nadziei. Może dlatego, że widziałem, jak unosi się kamień Nieba, i zobaczyłem, co spod niego wylazło. Można sobie zdawać sprawę, że wiele jest rzeczy, o których ci nie mówią, ale to naprawdę co innego, gdy wszystkie one obleżą cię naraz jak robactwo.

Powrót do bloku Tierra Green mógł się okazać wielką głupotą, bez ociągania więc wyłączyłem silnik, upewniłem się, że broń mam nabitą, postawiłem kołnierz i ruszyłem do starej kwatery.

Samo otwarcie drzwi mieszkania było jak wejście do muzeum ostatnich spędzonych w nim nocy: parę mebli leżało tam, gdzie je przewróciłem w pościgu za odkrytym w szafie swastykoszmarkiem, a zlew był pełen naczyń, bo po odebraniu pierwszej wiadomości od Caz już nie miałem czasu ich umyć – wtedy właśnie pokłóciłem się z Samem, a na drugi dzień się wyprowadziłem. Od tamtej chwili minęło zaledwie parę tygodni, a mnie się to już wydawało zamierzchlą historią. I to nie z tych dobrych; bardziej jak z klątwą faraona i mądrością poniewczasie: i po cholere otwierałem ten grobowiec... Nie przyszedłem tu jednak snuć reminiscencji, tylko posprzątać – dosłownie i emocjonalnie.

Przede wszystkim wyniosłem wieżę hi-fi. Laptop Caz nadawał się do słuchania muzyki, ale po pozbyciu się matadora to grało było

jedyną fajną rzeczą, jaką posiadałem (jeśli nie liczyć paru spluw i noży). Zgrabny, kompaktowy, z niezłym dodatkowym subwooferem (za który wybuliłem też niezłą kasę, a nigdy właściwie nie wykorzystywałem, bo tułałem się po hotelach i wciąż zmienianych kawalerkach). Każda niepotrzebnie spędzona tu minuta mogła grozić niebezpieczeństwem, ale prędzej dałbym sobie rękę uciąć, niżbym zostawił subwoofer na pastwę jakiegoś gnojka złodzieja.

Sprzęt zajął prawie całe przednie siedzenie i podłogę po stronie pasażera. Do bagażnika wstawiłem trzy pudła płyt, potem opróżniłem mizerną garderobę i ułożyłem ubrania na tylnej kanapie (starając się nie dodać nowych zagnieceń do bogatego zbioru już istniejących). Popatrzyłem na kartony ze starymi magazynami motoryzacyjnymi, które dotąd wszędzie ze sobą taszczyłem, i na myśl o dźwiganiu ich do auta poczułem wielkie znużenie. Zostały więc dla potomności. Spakowałem kosmetyki, zrolowałem koce i pościel (nie było tego za wiele), zniosłem na dół i wróciłem, by raz jeszcze ogarnąć wzrokiem scenę tak wielu szczęśliwych chwil.

Oglądając po raz ostatni mój tak zwany salon (z dziurami od kul i zakrwawioną wykładziną; raczej nie mogłem liczyć na zwrot wpłaconej gospodarzowi kaucji...), przypomniałem sobie o zadekowanej w szafie broni. Nic wielkiego, takie sobie gadżety: pałka, kilka majchrów, ze dwa kastety. Nigdy nie musiałem się nimi posłużyć – choć parę razy wodzili mnie na pokuszenie mili ludzie oferujący egzemplarze „Strażnicy” – wolałem jednak ich nie zostawiać, żeby nie znalazł ich jakiś dzieciak i nie zaczął terroryzować siostrzyczki.

Sklejka zabezpieczająca dziurę, którą dostawały się do mieszkania swastykoszmarki, była nienaruszona. Przed oczami stanęła mi ta dziwaczna noc, gdy pierwszy raz ujrzałem jednego z tych potworków. I wtedy usłyszałem szelest na dnie szafy. Odskokczyłem i zobaczyłem jakiś ruch w kupce starych koszulek, które trzymałem na szmaty, rozrzuciłem je więc kopnięciem. Wyprysnęło z niej coś niskiego i włochatego i śmignęło w głąb korytarza.

– No, nie! Znowu? – jęknąłem boleśnie.

Śmignęło, to może nie najlepsze słowo; teraz, gdy zobaczyłem stwora w lepszym świetle, wybrałbym raczej: pokuśtykało. Było to wprawdzie jedno z Koszmarnych Dzieci, lecz nie wyglądało najlepiej. Powiedziałbym, że fatalnie.

Mój wewnętrzny alarm, rozdzwoniony i rozświetlony czerwono na widok znajomego intruza, z wolna ucichł i przygasł; bestia nie przedstawiała wielkiego zagrożenia. Jedna z czterech łap była skurczona jak przekłuty balon, a dziecięce paluszki wyglądały jak zwiędnięte. Nie wiedziałem, jak długo te potwory mogą przeżyć poza Piekłem czy jakimś ojczystym innym wymiarem, ale ta sztuka najwyraźniej zbliżała się do granicy.

Swastykoszmarek miotał się pokracznie od zamkniętych drzwi do zamkniętych okien, potem skrył się pod sofą, ale nie na wiele mu się to zdało. Stwór może i zdychał, nie uśmiechało mi się jednak wsuwać tam ręki, żeby go wygarnąć, uniosłem więc mebel z jednego końca. Próbował się wymknąć, ostatecznie wylądował jednak w rogu, nie mając szansy ucieczki. Gdy się zbliżałem, podniósł chromą łapę i

pomachał nią, jakby prosił o miłosierdzie. Był w tak kiepskim stanie, że omal go nie pożałowałem. Omal. Bo zaraz sobie przypomniałem małe kości spalone w mieszkaniu nade mną; niewinne życie przecięte, żeby Baldur von Dupersztajn i jego fanklub SS mogli przywołać tego potwora do naszego świata. Nie było czasu szukać czegoś srebrnego, żeby załatwić go szybko, więc po prostu bydlę zdeptałem. Zgrzytnęło, trzasnęło, trysnęło czymś obrzydliwym – i po wszystkim. Koszmarne Dziecko, stwór naukowo i nawet teologicznie niemożliwy, zdechł jak normalny wstrętny pająk.

Umyłem podszwę pod kranem w kuchni, po czym napisałem notatkę dla gospodarza i zostawiłem ją przy szczątkach potworka.

Drogi Panie,

Wyprowadziłem się. Warunki nie były najlepsze. Radziłbym też wezwać kogoś do dezynsekcji. W mieszkaniu ewidentnie załęgły się koszmary.

Z poważaniem

B. Dolar

Uporawszy się z mieszkaniem, pojechałem do Shoreline. Z parkingu pomaszerowałem drewnianym pomostem do opuszczonego lunaparku. Sam nie oddzwonił i nie odpowiedział na żadną moją wiadomość, odkąd Niebo pozwoliło mi odejść, uznałem więc, że nosa nie wytyka z Trzeciej Drogi, i zostawiłem mu notkę na umówionym krzywym zwierciadle. Wolałem uniknąć dosłowności, napisałem więc tylko: „Śniadanie, jutro. Tam, gdzie ostatni raz golnąłeś”. Chyba będzie wiedział.

Na koniec zaszedłem do „Cyrkla”, żeby ostatni raz postawić kolejkę starym kumplom. Albo dwie. Cóż mi pozostało? Matador

poszedł do ludzi, Cez dalej uwięziona, Halina nie żyje, Oksana odlatuje do swojej scytyjskiej Amazonii, a na mnie z pewnością czeka rezerwacja w następnym ekspresie do izby przyjęć Piekła. A wy na moim miejscu znaleźlibyście jakikolwiek powód, by nie wydać ostatnich paru groszy na potencjalnie samobójczy wieczór w knajpie, urznięcie się i kłapanie dziobem ze starą wiarą?

No więc sami widzicie.

* Prz 26,11 (Biblia w Przekładzie Nowego Świata). Wersję wybrałem jako najbliższą cytowanemu w oryginale wersetowi z Biblii Króla Jakuba.

** Amerykański pływak, wielokrotny mistrz olimpijski.

Trzydzieści osiem

Śniadanie z przyjacielem



Zastanawiacie się może, o co chodziło w tej wiadomości dla Sama. „Gdzie ostatni raz gołnąłeś” trzeba rozumieć dosłownie: Sam jest abstynentem, ale nie od zawsze. Został nim w obecnym wcieleniu. A ten ostatni głębszy tak zapadł nam w pamięć, bo go zabił.

Alkoholowymi historyjkami o moim przyjacielem mógłbym was zabawiać przez długie zimowe wieczory. Większość jest śmieszna, nawet tych strasznych, ale Samowi by się to nie podobało. Nie dlatego, że czułby się zażenowany, ale po prostu nie znosi tego typu opowieści. „To puste przechwałki”, powiedział kiedyś. „O, patrzcie, jaki ze mnie kozak: zrobiłem z siebie zwierzę i jakoś przeżyłem. Pieprzone bzdury”. Myślę też, że nie chciał słuchać cudzych opowiadań, gdyż ani się umywały do jego doświadczeń, a swoje wolał przemilczeć, bo uznał, iż cały ten okres z jego życia pozagrobowego był czystą durnotą.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale to, co się z nim działo, po części wynikało z rosnącego zniesmaczenia tym, co musiał robić w szeregach Kontrataku. Widziałem tylko, że gość, który znaczył dla

mnie wszystko, systematycznie staje się kimś, kogo już nie poznaję. Nie zrozumcie mnie źle – Sam nie był jednym z tych pijaków, którzy zamieniają się w potwory. Nie wdawał się w bójki (i bardzo dobrze, bo był wielkim silnym facetem), nie wściekał się na ludzi (choć tak w ogóle bywał wściekły). To było, jakbym patrzył na tonącego w zwolnionym tempie. Ilekroć nań spojrzałem, ten tak dobrze mi znany Sam, z poczuciem humoru jak więzienny majcher szlifowany tak długo, że prawie już nie widać klingi, wydawał mi się coraz bardziej obcy. Z wyglądu wciąż był taki sam, ale ten prawdziwy, mój przyjaciel, kurczył się i znikał. Czasem miałem wrażenie, że jeszcze go widzę tam, w środku, jak wygląda zza tych przekrwionych oczu jak więzień zza krat.

To było, nim zostaliśmy adwokatami niebieskimi. A wybrałem ten fach właśnie z powodu Sama.

Wtedy jeszcze nie przesiadywało się w barze „Pod Cyrklem”. Zabijaliśmy czas w innej anielskiej knajpie o wdzięcznej nazwie „Chałtura”, w dzielnicy Mayfield. Było tam zupełnie inaczej; należał wprowadzić do jednego z nas, ale większość klienteli stanowili zwykli śmiertelnicy. Lokal był duży i pełen zgiełku. Pijaliśmy tam z Samem parę lat, nawet po moim przejściu do cywila. Pewnie ciągnęłoby się to i dłużej, gdyby nie Carlene. Była kelnerką; uderzająco piękna, wysoka rudowłosa kobieta – ale śmiertelniczka. Problem tkwił nie w jej zawodzie, tylko w tym, że pracowała gdzie indziej, a do „Chałtury” lubiła zająć na drinka. Z akcentem na „lubiła”. Carlene potrafiła ciągnąć nie gorzej niż Sam.

Spiknęli się i dość długo sprawy zdawały się iść we właściwym

kierunku. Z początku nie powiedział jej, kim jest, a kiedy naprawdę się zakochał, bał się to wyjawić. Być może słusznie. Dziwna z niej była dziewczyna, wychowana w przyczepie na wsi gdzieś w Dolinie Kalifornijskiej, córka zwariowanej baptystki, która na śniadanie dawała dzieciom markizy, a na obiad chipsy z keczupem. Carlene miała słabość do dużych facetów w kowbojskim typie; mawiała, że Sam jest jej pierwszym, od którego nie obrywa. Mimo wspaniałej urody cierpiała też na silny kompleks niższości, a to z powodu niezwykle bladej skóry, na pograniczu bielactwa. Prawie białe włosy farbowała na rudo, malowała też brwi, żeby „nie wyglądać jak duch”, jak mówiła. Uważała się za wybryk natury, co nie budziło u słuchacza pobłażliwego uśmiechu, gdyż widziało się, że mówi poważnie. Picie zaś nie tylko nie pomagało, lecz jeszcze pogarszało sprawę.

Do dzisiaj nie wiem, co właściwie się stało w noc, kiedy się rozeszli, ale sądząc po ilości gorzały wchłanianej potem przez Sama, musiało być paskudnie. Wtedy już był nie tyle człowiekiem, ile metodą przemieszczania się wody z flaszek na mury ciemnych zaułków.

A Carlene wróciła do domu i odebrała sobie życie.

I Samowi przydzielono jej sprawę.

Każdy anioł z jako takim rozumem poprosiłby o zwolnienie – ba, zażądałby go! Mój kumpel był jednak w stanie dalekim od rozumności. Jak potoczyła się rozprawa, też nie wiem, bo Sam nigdy o tym nie mówi, ale na pewno niedobrze. Po wszystkim wrócił do

„Chałtury” i zaczął pić. Tak chyba musiała wyglądać ostatnia popijawa Dylana Thomasa – Sam kazał barmanowi Rudy’emu ustawić na kontuarze wielką piramidę szklaneczek whisky i jedną po drugiej po prostu w siebie wlewał. I tak od zachodu słońca do pierwszej w nocy. Gdy skończył, chciał zamówić następny zestaw, wiedziałem jednak, że prędzej czy później ktoś włączy w szafie grającej *Queen of Hearts* (czyli ich piosenkę), jakoś go więc namówiłem, żebyśmy wyszli; zdaje się, że pod pretekstem nagłej konieczności nabycia fajek, a w „Chałturze” maszyna była już pusta. Uparł się jednak, że ostatniego drinka zabierze ze sobą. Odstawił szklanekę na chwilę, żeby wyrwać z korzeniami parkometr – zajęło mu to sporo czasu, ale i tak byłem pod wrażeniem – a potem miotnąc nim przed siebie (na czym ucierpiały karoserie paru samochodów). Dokonawszy tego wyczynu, podniósł szklanekę, wypił zawartość jednym haustem, ostrożnie ją postawił na ziemię i wzniosł ręce nad głowę jak potwór z kreskówki.

– Dobranoc, Tokio! – ryknął. Na drugim końcu ulicy idąca nam naprzeciw para zawróciła i skryła się za rogiem. – Wypieprzę twoje domy i nasram ci w port!

Mogłoby to nawet być śmieszne. W innym świecie. Sam zrobił jeszcze parę chwiejnych kroków i osunął się na chodnik przed witryną pralni „Wiosennej” jak marionetka, której obcięto sznurki. Zmarł, zanim dojechała karetka, to znaczy wyzionęła ducha jego ziemską powłoka. W oficjalnym orzeczeniu stwierdzono zawał. Prawda była taka, że Sam Riley dostał najsilniejsze ciało, jakim dysponowało Niebo, i metodycznie zapił je na śmierć.

„Chałtura” już nie istnieje, ale na jej miejscu otworzono inny bar, „U Mike’a”. Pralnia „Wiosenna” dalej prosperuje, jak gdyby czas się dla niej zatrzymał. Stałem przed nią i gapiłem się w szybę, kiedy poczułem obecność Sama. Na ogół wiem, kiedy jest blisko. Nieraz mu mówiłem, że ma ciężki cień.

– Myślisz o zmianie zawodu, B.?

– Tak mnie naszło – odrzekłem, nie oglądając się. – Anielski biznes ostatnio niepewny, a ludzie zawsze będą potrzebowali czystych ubrań. – Odwróciłem się i musiałem zmrużyć oczy przed porannym słońcem. Nie cierpię tej pory dnia. Słońce ma wtedy popieprzone w głowie i naskakuje na człowieka znienacka. – Za jasno tu. Nie rozumiem, po co ludzie w ogóle wychodzą teraz z domów. Zdaje się, że tam za rogiem jest kawiarnia.

Była. Zasiedliśmy przy stoliku najdalej od drzwi.

– Sorki, że cię aż tu ściągnąłem, ale żaden z nas nie może się pokazać w centrum, a nie przyszedł mi do głowy żaden inny adres, którego nie musiałbym zdradzić otwartym tekstem komuś, kto mógł mnie śledzić.

– Nie ma sprawy. – Wzruszył ramionami.

– Wszystko u ciebie w porządku? Czy ta, co wiesz, pokazała się, gdzie wiesz?

– Nie, ale w końcu się zjawi. A u ciebie? Gównno już wpadło w wentylator po naszym pikniku w muzeum?

Najwyraźniej nie wiedział jeszcze o moim aresztowaniu, nie

mówiąc o rozprawie.

– Nie dochodzą tam do was żadne nowiny?

– Do Kainos? Kurde, Bobby, toż to jak inna planeta, zapomniałeś? Wszystko, co tam dostajemy, pochodzi od Ke... wiesz kogo. À propos, jakim cudem szefostwo jeszcze cię nie rozkwasilo na miazgę?

Widziałem, że nie pyta ot, tak sobie. Sam nie jest głupi. Wprost przeciwnie, choć będzie trzymał ten szelmowski, co-mi-tam fason do końca.

– O, wierz mi, było ciekawie. O szczegółach pogadamy później. Teraz chciałbym wiedzieć, czy twoje zaproszenie jest nadal aktualne.

– Do nas? Znaczy tam, gdzie wiesz? Czyżbyś wreszcie dojrzał do tego, by do nas dołączyć?

– Zaczynam myśleć, że nie będzie innego wyjścia. Mam kłopoty, stary.

– Jak my wszyscy.

– Dzięki, żeś się zjawił w muzeum. To dla mnie wiele znaczyło.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie. Nie chciałem, żeby przez ciebie zginął Clarence.

Kiedy Sam bywał w złym humorze, często nie wiedziałem, czy żartuje, czy nie.

– Taa, zauważyłem, że się bardzo lubicie. Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć?

– Niby co?

– No, skoro już Clarence się ujawnił. Chciałbyś się z czegoś zwierzyć?

– Czy to ma znaczyć, że dopiero teraz się domyśliłeś?

– A ty wiedziałeś wcześniej?

– Wcześniej niż on. – Sam niecierpliwie kiwnął ręką i podstarzały kelner w poplamionej koszuli przyszedł przyjąć zamówienie pełne kofeiny i tłuszczu. – Może w końcu ktoś wpadnie na to, by smażyć kawę w głębokim oleju, to nie będę musiał nawet zaglądać do menu.

– Słuchaj, zostawmy na razie Clarence’a i jego życiowe wybory. Jak w końcu rozszyfrowałeś wiesz kogo?

Tyle razy unikaliśmy wymówienia na głos jej imienia, że przeradzało się to w jakiś magiczny imperatyw.

– Pytasz, kiedy w końcu uznałem, że masz rację? – spytał sucho.

– Przyjmij wersję, jaka ci pasuje.

– Pieprz się, Dolar. To nie spadło jak grom z jasnego nieba. Działy się cholernie dziwne rzeczy. Najpierw powiedziała nam... no, wtedy nie wiedzieliśmy, że ona to ona... więc zapowiedziała, że przez jakiś czas nie będziemy dostawać nowych dusz. Że projekt został wstrzymany, zawieszony czy jakoś inaczej biurokratycznie udupiony. A potem zaczęli zniknąć Magowie.

– W liczbie mnogiej? To znaczy twoi koledzy?

– Tak, inni aniołowie, których zwerbowała. Czy raczej oszukała. – Na ułamek sekundy mignął mi w jego oczach skrzętnie skrywany gniew. Nie sądziłem jednak, żeby to było jedyne targające nim

uczucie. – Najpierw Nistriel, po nim Tehab i paru innych. Z początku myśleliśmy, że wyjechali na jakieś dłuższe misje, ale później jeden z naszych natknął się na Nistriel na Ziemi i powiedział, że została sformatowana.

– Sformatowana?

– No, jak twardy dysk w kompie. Tak jak z Waltem Sandersem, o którym mi opowiadałeś. Nie pamiętała niczego o Trzeciej Drodze i w ogóle o niczym. Zaczęliśmy się więc zastanawiać, co jest grane. Potem ty wygłosiłeś swoją wielką przemowę, w której tak się wszystko zgadzało, że aż nie chciałem tego słuchać. Co się jednak usłyszało, to się nie odsłysz. Poszedłem po rozum do głowy, popytałem koleśki o to i owo, no i wkrótce sporo mi się poukładało. Długo by mówić i nudno.

– Cała ta sprawa śmierdzi i nadal nie widzę w niej sensu. O co jej chodziło, skoro nie wierzy w Trzecią Drogę?

Przez moment znów wyglądał na rozgniewanego, ale złość szybko ustąpiła smutkowi i rezygnacji.

– Może i wierzyła, przynajmniej z początku. Kurde, Bobby, kto to może wiedzieć? Nie mam już czasu na roztrząsanie takich kwestii. Co w takim razie dalej?

Rozmowę przerwało nadejście kelnera z zamówionymi daniami i kawą.

– Masz na myśli, co mamy zrobić, żeby chronić tyłki? – odezwał się, gdy już wypiliśmy po łyeczku gorącej kawy i nabiłem na widelec kiełbasę. – Sam chciałbym wiedzieć. Mam oczywiście

parę pomysłów do przegadania.

– Jakżeby inaczej. W końcu pomysłowy z ciebie facet. – Uwaga zabrzmiała sarkastycznie. – No to nawijaj.

Opowiedziałem mu więc, co mi chodziło po głowie. Słuchał, od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie i zgłosił parę sugestii, które zmusiły mnie do spojrzenia na pewne sprawy z innej perspektywy. Na to właśnie liczyłem. Wśród wielu zalet Sama, które wysoko ceniłem, było to, że nie przyjmuje niczego z marszu. Gdyby mu się powiedziało: „Mam plan, jak możemy się wzbogacić”, pewnie spytałby, czy naprawdę chcemy być bogaci. I miałby słuszność – takie rzeczy trzeba wiedzieć, zanim się cokolwiek zacznie.

Mniej więcej pół godziny i trzy kawy później upletliśmy z kilku wstępnych założeń coś, co wprawdzie nie zasługiwało jeszcze na miano planu ani nawet rozpaczliwej prowizorki, ale dawało punkt wyjścia dla dalszych rozważań. Zapłaciłem rachunek, kiedy Sam korzystał z toalety, po czym wyszliśmy na ulicę. Wiatr stężał i niebo zaciągnęło się chmurami. Bożonarodzeniowe dekoracje majtały się niespokojnie na przeciągniętych między budynkami drutach.

– Jak mogę się dostać do Kainos? – spytałem.

– To zależy. Z jakim wyprzedzeniem możesz zgłosić taką potrzebę?

– Kto wie? Może z żadnym. Gdy ta chwila nadejdzie, może mi deptać po piętach i Niebo, i Piekło. Nie chciałbym wtedy zostawiać wiadomości i się umawiać na nie wiadomo kiedy.

– Żaden problem. Mogę przecież stać u wejścia całymi

tygodniami i czekać, aż się zdecydujesz.

To już było więcej niż zgryźliwe.

– Co cię ugryzło?

– Nic. Miałem zły tydzień – odburknął. – W sprawie przejścia jeszcze się z tobą skontaktuję. Mam parę rzeczy do zrobienia, skoro już jestem po tej stronie. Odezwę się, zanim tam wrócę.

– Wszystkie moje telefony są na podsłuchu, Sam.

– Zatem będę uważał, co mówię. Nie bój nic, coś wymyślę. – Odwrócił się i ruszył w stronę przeciwną do baru „U Mike’a”, co przyjąłem z ulgą. Sądząc po jego dziwnym nastroju, bałem się, że wrócił do nałogu lub o tym przemyśliwa. – Aha, i dzięki za śniadanko! – krzyknął z daleka przez ramię.

Telefon stacjonarny zadzwonił tuż przed drugą nad ranem. Zasnąłem w ubraniu na sofie, nie od razu więc odzyskałem orientację. Oksana oglądała jakiś film w telewizji. Spakowana walizka stała u jej nóg, jak przed kilkoma godzinami. Złość dziewczynie jeszcze nie przeszła; cały wieczór prawie się nie odzywała. Najwyraźniej nie miała zamiaru podnieść słuchawki.

Dowlokłem się do biurka i zrobiłem to sam. Z początku słyszałem tylko głuchy szum, jakbym przyłożył do ucha wielką muszlę. Potem ktoś coś powiedział, ale nie do mnie.

– Sam? – spytałem.

– Tak?

– Co się dzieje? Gdzie jesteś?

Coś było nie w porządku, ale dopiero po chwili zrozumiałem, że to nie zakłócenia na linii.

– Właśnie sobie myślałem...

– Ledwo cię słyszeć. Powiedziałeś: myślałem?

– I coś rzec chciałem. – Zamilkł i po długiej pauzie powtórzył: – Coś ci powiedzieć.

Poczułem szron na sercu. Znałem tego Sama. Bardzo dawno z nim nie rozmawiałem, ale rozpoznałem od razu.

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie. Superświetnie. Jestem z paroma kumplami. Powiedźcie cześć, kumple.

W tle ktoś parsknął śmiechem, ktoś inny krzyknął coś niewyraźnie. Gdzieś daleko słyszeć było muzykę country.

Pierwsza moja myśl: o kurde, nie teraz! Nie było wątpliwości: Sam się urząnął, i to dokumentnie.

– Chcesz, żebym po ciebie przyjechał? Podrzucić cię gdzieś?

– Ocipiałeś? Jakie podrzucić! Mam skrzydła, facet. Magiczne anielskie skrzydełka, zapomniałeś? Nie, dzwonię tylko, żeby ci coś powiedzieć. Bo widzisz, cały dzień sobie myślę, że muszę ci powiedzieć. Ważną rzecz, cholernie ważną rzecz. I chciałem, naprawdę. Ale potem myślę sobie... a czemu miałbym cokolwiek powiedzieć temu sukinsynowi, skoro mnie sprzedał?

Lód wypełnił mi klatkę piersiową, tak zimny, że aż parzył.

– Sam, ja cię nie...

– Pieprz się, Bobby. Myślisz, że nic nie wiem? Że nie mam innych kumpli oprusz... nie, oprócz ciebie? I że się nie dowiem, że mnie totalnie zdradziłeś?

– Sam, nie zamierzałem tego rzeczywiście zrobić. Musisz mi uwierzyć. Musiałem coś im zaoferować, żeby mnie puścili. Człowieku, oni już mieli gotowy wyrok!

– Taa, jasne. Kapuję. Wszystko. Nie chciałeś tego zrobić. I właśnie dlatego nic mi o tym nawet nie pisałeś. – Głos mu się załamał. – Nawet słóweczkiem.

– Powiedziałbym ci, ale zaczęliśmy gadać na inny temat i...

– Pamiętasz, mówiłem, że się odezwę z info, jak masz dotrzeć w moje strony? Niby gdy przyjdą po twą kłamliwą dupę? No to się odzywam. – Zaśmiał się jak bardzo zepsuta zabawka. – Nie, odzywam. Przepraszam bardzo. No więc sprawa jest prosta: jak będziesz naprawdę musiał zwiewać na nasze ranczo... to weź polec na księżyc i wsadź mu fiuta w tyłek. Taak, to powinno wystarczyć, kochanieńki. W sam razik.

Potem w słuchawce była tylko cisza. Żadnych śmiechów i krzyków, żadnej muzyki country i żadnego Sama.

Trzydzieści dziewięć

Narwale i *empanadas*



Cyba to jasne, że już nie mogłem zasnąć. Leżałem na sofie ze trzy godziny, czując się tak, jakbym miał w jelitach parę niemiłych stworzeń toczących walkę na śmierć i życie. W którymś momencie Oksanie znudziła się telewizja i nawet nie zauważyłem, kiedy poszła do sypialni. W końcu nie mogłem dłużej wytrzymać. Wstałem, nalałem sobie wódki (w pełni świadom ironii sytuacji) i wybrałem jedyny znany mi numer Sama. Włączyła się poczta głosowa. Powitania nie zmienił: wciąż była to ta sama odzywka w najlepszym stylu Roberta Mitchuma: „No, dalej. Zaciekaw mnie”.

– Stary, nie wiem nawet, czy to odsłuchasz – zacząłem. – Ale mam nadzieję, że załatwiłeś sobie jakąś koję na noc, zanim ruszyłeś w to tango. Po pierwsze, nie bądź pieprzonym idiotą. Cokolwiek o mnie myślisz, nie jest warte tego, co właśnie sobie zrobiłeś. Ale stało się, teraz musisz startować od zera i tyle. Już tak bywało. Pamiętasz te dzieciaki, które zginęły w pożarze? Człowieku, myślałem, że w tydzień zapijesz kolejne ciało. I co? Nie pomogło ani im, ani tobie. Tylko trzy razy obrzygałeś mi mój jedyny garnitur. A z innej beczki: nie oszukuj się. Wściekłeś się na mnie, bo nie jest ze mnie najlepszy

przyjaciel, i słusznie, ale nie dlatego, żebyś naprawdę uwierzył, że chciałem cię wydać na pastwę Maszyny Wielkiej Szczęśliwości. Bo jeśli myślisz, że zakapowałbym faceta, który dobrowolnie dał się spalić żywcem tylko po to, by mi pokazać, że nie ma się czego bać... pamiętasz to jeszcze, co? Nawet z kacem gigantem i bebechami pełnymi furii chyba tego nie zapomniałeś?... Więc jeśli uważasz, że naprawdę zamierzałem ci to zrobić, to rzeczywiście masz problem. Dobra, dużo w tym i mojej winy. Miałem gacie zbyt pełne strachu, żeby cokolwiek powiedzieć, bo wszystko źle wygląda. Zgrywałem pewniaczkę, ale dostawałem sraczki. Pewnie, można myśleć, że chciałem się wykupić twoim kosztem. Głupio mi było wtedy i nadal jest. Nie sądziłem jednak, że mógłbyś w coś takiego uwierzyć. Nic nie mówiłem, bo dobrze wiem, że nie powinienem cię sypnąć przed bossami. Teraz już chyba byłymi. Trochę też dlatego, że nie wiedziałem, jak to przyjmiesz. Pieprzyć taki świat, w którym brak mi pewności, co myśli mój najlepszy przyjaciel. Cholernie mnie ruszyło, że słówkiem nie napomknąłeś o Trzeciej Drodze, i do dzisiaj nie mogę się z tym pogodzić. Nie dlatego, że ukrywałeś coś przede mną. To akurat świetnie rozumiem. Fach mamy dziwaczny, trzeba uważać, a na tobie polegali inni. Dziabnęło mnie to, bo nigdy bym nie przypuszczał, że zaangażujesz się tak mocno w cokolwiek, co automatycznie wykluczy naszą przyjaźń. Taa, wiem, gadam jak żona albo co. Trudno, przeżyjesz. Taplałeś się po kolana w przyszłym szczęściu, gdy ja w domu zmywałem gary. Kurde, sam sobie wymyśl lepszą metaforę. Całą noc nie spałem.

Jezu, pomyślałem, czy to ustrojstwo w ogóle nagrywa to

wszystko? Może się wyłączyło już pięć minut temu?

– W każdym razie to właśnie chciałem ci powiedzieć. Mam nadzieję, że odbierzesz to już na trzeźwo. Jeżeli dalej będziesz na mnie wściekły, to trudno, jakoś to przeboleję. Nigdy jednak nie próbuj sobie wmówić, że naprawdę chciałem cię zamienić na srebrniki, bo tego się nie doczekasz. Nie ma mowy. Byłem jeńcem wojennym, robiłem i mówiłem, co trzeba, żeby przetrwać, i tyle. Jesteś moim najlepszym kumplem. Kocham cię, dupku jeden, chociaż wydzwaniasz do mnie w środku nocy, żeby mnie nazwać zdrajcą i mam się pieprzyć, a najlepiej zdechnąć. Bo tak to działa, stary.

Na tym skończyłem. Udało mi się nawet złapać jeszcze parę godzin snu.

Międzynarodowy port lotniczy San Judas zbudowano na południe od miasta, na zrehabilitowanych terenach pływowych, ongiś prawie nieużytkowanym pustkowiu w granicach Sunnyvale (zanim jeszcze zostało wchłonięte przez Jude w jednym z szemranych zakulisowych układów, które ludzie po dziś dzień przeklinają). Leży nad zatoką zaledwie jakieś dwadzieścia kilka mil od lotniska San Francisco. Zawsze uważałem, że to idiotyzm tworzyć aż trzy duże węzły lotnicze na tak małym obszarze, ale pewnie nikt by o tym nie myślał, gdyby było u nas więcej tuneli i mostów. Zatoka wszystko dzieli, więc każda metropolia chce mieć własny pas startowy.

Z powodu gordyjskiego węzła autostrad wokół samego lotniska i w przyległych rejonach odległość do pokonania rowerem w godzinę zajęła nam w porannym szczycie tyleż czasu samochodem. Ale

przynajmniej odkryłem jedną z niewielu zalet mojej brzydkiej jak gradowa noc gabloty: mogłem korzystać z pasa przeznaczonego dla taksówek. To znaczy legalnie, nie tak jak zawsze.

Ponieważ w życiu nie miałem nic wspólnego z Polskimi Liniami Lotniczymi LOT, na wszelki wypadek postanowiłem zastosować się do rady na bilecie i zapobiegliwie stawić się do odprawy trzy godziny przed startem. Na miejscu okazało się jednak, że pasażerów raczej nie trzeba będzie wciskać do samolotu łyżką do butów, zamiast więc od razu przepychać Oksanę przez kontrolę bezpieczeństwa, usiadłem z nią w kafejce na drugie śniadanie. Nie byłem specjalnie głodny, ale ona miała apetyt godny zdrowej młodej dziewczyny. Pochłonęła porcję naleśników z dżemem, parę tostów z boczkiem i dwie kawy, zanim ja dopiłem szklankę soku pomidorowego, modląc się w duchu, żeby zjawiała się dobra wróżka Krwawa Mary i dołała do niego szczodłą miarkę wódki.

Oczywiście mogłem po prostu od razu poprosić o drinka. Porty lotnicze to żaden cymes, ale mają jedną ważną zaletę: nikt nie wie, w jakiej strefie czasowej jest twój organizm, nikogo więc nie zdziwi, kiedy zamówisz gorzałę przed dziewiątą rano. Jednakże z biliona powodów czułem, że nie powinienem. Ale magiczna interwencja sił paranormalnych znaczyłaby, że to nie moja wina, nie?

Dajcie mi spokój. To był naprawdę długi tydzień.

Oksana wciąż się na mnie boczyła, miała jednak dość klasy, by nie robić scen, nie wyszedłem więc na podtatusiałego amanta zrywającego ze swą dwa razy młodszą kochanką, albo i gorzej:

sukinsyna odsyłającego internetową żonę z powrotem do Matuszki Rosji, bo wkurzyła go zmianą koloru włosów czy czymś równie istotnym.

– Ale skąd będę wiedziała, co robisz? – marudziła. – Czy w ogóle jeszcze żyjesz?

– No, to zależy. Skoro jednak dałaś mi swój adres, to zawsze mogę do ciebie napisać. Albo wysłać mejla. Macie tam chyba Internet na Ukrainie, co?

Obrzuciła mnie spojrzeniem, jakie zawsze młode laski rezerwują dla żenujących staruchów, cokolwiek by zrobili czy powiedzieli.

– Tak, głupi. Internet, samochody, a nawet samoloty.

– Nieprawda, bo inaczej nie musiałbym cię odsyłać do domu polską maszyną.

– Dupek.

Gdy skończyła się posilać, mieliśmy jeszcze dość czasu, zanim powinna przejść przez odprawę, przeszliśmy się więc po terminalu. San Judas nie ma zbyt wielu atrakcji turystycznych i znanych zespołów sportowych, sklepy z pamiątkami wydają się więc ubogie w porównaniu z takim San Francisco. Są oczywiście „Pumy”, nasza duma od zawsze, ale to tylko druga liga bejsbolowa. W przyszłym roku mamy wejść do NHL i już ogłoszono konkurs na nazwę drużyny hokejowej. Wygrały „Narwale”, co przyjąłem sceptycznie, ale handlowcy gromadzili już gadżety w wybranych dla niej barwach: fiolecie, zieleni i złotej, z oficjalnym logo z rysunkiem narwala przebijającego się przez lód. Jak na każdym lotnisku, jest też

tam zwykła zbieranina barów z najdziwniejszą kuchnią i ofertami w rodzaju „Wyślij mrożone *empanadas* przyjaciołom w Kansas!” tudzież innych interesów, w jakie obrasta każdy terminal, w tym automaty z horrendalnie drogimi ładowarkami do telefonów, zatyczkami do uszu i dziesiątkami podobnych artykułów pierwszej podróźniczej potrzeby. Oksana nawet kupiła parę rzeczy (dałem jej na drogę paręset dolców, żeby miała potem na przejazd do górskiego obozu Scytyjek). Obie z Haliną pewnie ucieszyłyby wyprawa na zakupy do Bender Electronics czy innego hipermarketu z elektroniką, zorientowałem się poniewczasie. Trzeba było tam je zabrać, a nie do Orbana po broń i na ten cholerny włam do muzeum.

Tak, lotniska to dziwaczne miejsca. Przypominają mi trochę Niebo – nie żeby były tak piękne, ale raczej dlatego, że każdy człowiek jest tam w swojej własnej podróży, otoczony nieprzepuszczalną dla innych bańką – zupełnie jak radosne, ale niezbyt rozmowne zbawione dusze tam na Górze. Z pewnością zdarza się, że ten i ów pozna w tranzycie kogoś, z kim połączy go dozgonna przyjaźń, ale jakoś sobie tego nie wyobrażam w moim wypadku.

Pospacerowaliśmy jeszcze kilka minut w grobowym milczeniu, po czym odprowadziłem ją do bramki. Objęliśmy się na pożegnanie, a potem patrzyłem za nią, póki nie przeszła przez skanery, wykrywacze i inne zmyślnie urządzenia. Nie traktowałem jej jak dziecko – już raczej jak zatwardziałą kryminalistkę. Gdybym zwyczajnie wysadził ją przed terminalem i zostawił, prawdopodobnie zwróciłaby bilet, zabrała kasę i po jakimś czasie usłyszałbym o niej w wiadomościach, bo wysadziła w powietrze jakieś lokalne centrum kultury persko-

amerykańskiej. Nie chciała oczywiście krzywdzić żadnych Persów poza samą boginią, ale aż się paliła, by w jakikolwiek sposób zaszkodzić Anaicie. I tak nie miałem pewności, że się nie wymknie po moim odejściu, ale więcej już zrobić nie mogłem – chyba tylko polecieć z nią aż do Kijowa. Poza tym diabelnie potrzebowałem chwili spokoju na osobiste rozmyślenia.

W drodze powrotnej dzwoniła moja komórka, nie mogłem jednak odebrać, bo właśnie próbowałem uniknąć zmiżdżenia między dwiema ciężarówkami. Kilka mil dalej zjechałem z autostrady i stanąłem na stacji benzynowej, żeby sprawdzić wiadomość.

Dzwonił Sam. Znacie wyrażenie „odgrzana śmierć”? Jego głos brzmiał tak, jakby śmierć odgrzewano tak długo, aż się zajęła ogniem i trzeba ją było gasić tłuczkiem do mięsa. Albo jak gość zagazowany w okopach pierwszej wojny światowej, który dopiero teraz nauczył się mówić na nowo.

– Nienawidzę siebie, Dolar. Jeszcze bardziej niż ciebie. Pieprzę cię razem z twoją przyjaźnią, zdrowym rozsądkiem i dostrzeganiem drugiej strony każdego medalu. Wszystko pieprzę. Dalej jesteś pieprzonym kapusiem. A pamiętasz, jak wtedy zeżarłeś mi wszystkie nachos, kiedy poszedłem do kibla? No właśnie. Więc spadaj, gnojku. Chcesz drogowskazu do Nibylandii? Napisz krwią swoje imię na lustrze. Tak jest, krwią. I przełaż. Teraz idę się zastrzelić. Właśnie sobie przypominałem, że w chlaniu najgorsze jest trzeźwienie. Mówiłem ci już, żebyś się pieprzył? Mam nadzieję, bo łeb mi za bardzo napierdziela, żeby się powtarzać.

Na tym skończył.

Możecie nie wierzyć, ale to była dobra wiadomość, mimo efektów dźwiękowych z przedśionka agonii. To było przebaczenie, na jego charakterystyczny sposób, i zarazem wskazówka, jak do niego dołączyć w Kainos. Ucieszyłem się jak cholera, bo plan, nad którym myślałem od paru godzin, zaczął teraz nabierać praktycznego kształtu. Wyglądało na to, że naprawdę będę musiał odwiedzić ten jego trefny raj, a mój pomysł był kompletnie szalony i prawie bez szans powodzenia. Czas jednak uciekał, a nic lepszego nie mogłem wymyślić.

Im dłużej nad tym deliberowałem, jadąc śliską od deszczu autostradą na południe, tym większej nabierałem pewności, że jestem albo geniuszem, albo największym kretynek, jaki kiedykolwiek przykleił sobie na plecach kartkę z napisem „Po prostu mnie zabijcie”. Oszalałmiająco niebezpiecznie przedstawiał się nie tylko sam plan, lecz i każdy krok do wprowadzenia go w życie. Była to jednak pierwsza niezła ewentualność, jaką dostrzegłem, odkąd udało się nam ująć z muzeum Stanforda, bez żadnego zysku, na tarczy i z trupem młodej Ukrainki.

Szczerze mówiąc, z pomysłami u mnie nietęgo, a już szczególnie z dobrymi (co Sam pierwszy by potwierdził), dlatego zależało mi na jak najlepszym dopracowaniu tego jednego, który dopiero co wykiełkował. Problem jednak w tym, jak zdałem sobie sprawę, mijając pierwszy zjazd na San Judas, że brakowało mi bardzo ważnego elementu, i to niełatwego do zdobycia. W tym celu musiałem dobić targu z kimś być może potężniejszym od Anaity, kto

już ponad wszelką wątpliwość udowodnił, że nienawidzi mnie nie mniej niż ona.

Domyślacie się już pewnie, do czego zmierzam. I się nie mylicie. Tak jest, to kompletnie idiotyczny, a przy tym samobójczy pomysł. Nie miałem jednak aż tak wiele do stracenia. Tak czy owak ktoś wkrótce wyrwałby mi duszę z ciała; to tylko kwestia, kto i w jakiej mierze oficjalnie. Wizyta w biurowcu Five Page Mill, a konkretnie u wielkiego księcia Eligora, byłaby więc tylko daniem katu prawa wyboru broni.

Nie znaczy to naturalnie, że perspektywa nie przerażała mnie do szpiku kości. Wprost przeciwnie.

Czterdzieści

Znany diabeł



Nie byłem w biurowcu Five Page Mill od pierwszego spotkania z jego właścicielem, które skończyło się dla mnie źle (zostałem stamtąd wywleczony przez policję), ale znacznie lepiej, niż mogło – zaledwie kilka minut wcześniej dyndałem w powietrzu uniesiony za kark przez rozjuszonego arcydemona, Eligora Jeźdźca. I teraz miałem tam wrócić. Posunięcie byłoby kontrowersyjne także wtedy, gdybym od tamtej pory nie zaliczył jeszcze kilku konfrontacji z wielkim księciem, włącznie z długą odsiadką u niego w Piekło, podczas której torturował mnie całymi miesiącami (jak mi się wydawało) bez przerwy, palił, ćwiartował, rzucał na pożarcie potworom, których nie umiem nawet opisać, po czym wskrzeszał mnie i zaczynał od nowa. Wiecie już, o czym mówię? Trzeba być kompletnym idiotą, żeby się z własnej woli pchać takiemu w łapy. Ale cóż, żebrak nie może wybrzydzać.

Za pierwszym razem zakradłem się do gmachu podstępem i źle na tym wyszedłem. Wybrałem więc inne podejście. Jedyne, co zrobiłem normalnie jak dawny Bobby Dolar, to zostawiłem landarę daleko na Camino Real, żeby potem nie kojarzył jej ze mną każdy gość w Jude z portretem Szatana nad biurkiem. Kiedy jednak dotarłem na miejsce,

po prostu wmaszerowałem do środka i podszedłem do recepcji. Obecnie chroniła ją pancerna szyba; niewykluczone, że ja sam zainspirowałem ten środek bezpieczeństwa demolką, którą tu wtedy urządziłem. Nie przeszkodziła jednak młodemu człowiekowi za kontuarem powitać mnie miłym uśmiechem.

– W czym mogę pomóc?

– Przeszedłem zobaczyć się z panem Valdem.

Leciutki ruch brwi zdradził, jak go to zaskoczyło, ale poradził sobie całkiem nieźle.

– Proszę pozwolić, że sprawdzę. Jest pan umówiony?

– Nie. Ale pan Vald na pewno zechce mnie przyjąć.

– Niestety, będzie pan musiał załatwić to za pośrednictwem osobistego sekretarza pana Valda.

– Nie, pan to za mnie zrobi. – Przez szparę pod szybą wsunąłem wizytówkę, na której widniało tylko moje nazwisko i numer telefonu, już zresztą nieaktualny. – Proszę mu przekazać, że Bobby Dolar chce rozmawiać z prezesem. Zaczekam.

Tak też zrobiłem. Rozmowa telefoniczna recepcjonisty, którego obserwowałem z dyskretnej odległości, wyglądała na ożywioną. Zgadywałem, że osoba po drugiej stronie najpierw spytała: „Bobby kto?”, a zaraz potem: „A co on tutaj, cholera, robi?”.

Kiedy młodzian odłożył słuchawkę, podszedłem doń znowu.

– To jak, mogę jechać na górę?

Mina mu wyraźnie skwaśniała, starał się jednak jak najlepiej.

Miałem nadzieję, że to zwykły człowiek, który nie wie, kim naprawdę jest jego boss. Chłopak wydawał się rzutki i z inicjatywą.

- Jeśli zechce pan jeszcze chwilę poczekać, ktoś do pana wyjdzie.
- Ależ oczywiście.

Odwzajemniłem uśmiech z udawaną pewnością siebie. Nie można inaczej, kiedy się wchodzi na teren Przeciwnika, choćby to była tylko jego ambasada na Ziemi. Trzeba trzymać fason, a już na pewno nie okazywać strachu. Oni to od razu wyczuwają.

Upłynęła najwyżej minuta, po czym w holu zjawiała się ciemnowłosa i atrakcyjna (jeśli kto lubi rysy twarde jak u kamiennych posągów) agentka ochrony, ubrana tak samo jak jej koleżdy w czarny garnitur, lecz bez krawata. Plakietka na klapie przedstawiała ją nazwiskiem Kilburn.

– Pan Dolar? – spytała takim tonem, jakbym zaanonsował się jako coś wyjątkowo brudnego. – Proszę za mną.

– Może najpierw powie mi pani dokąd, pani Kilburn. – Obdarzyłem ją moją reklamową wersją czarującego uśmiechu. – Przy poprzedniej wizycie miałem drobne nieporozumienie z ochroną. Nie chciałym, żeby to się powtórzyło.

Humoru mniej niż zero. Gdyby z człowieka mogła wionąć zimna mgła i wssać wszelką radość z innych, tak by to pewnie wyglądało.

– Wierzę panu. Zabieram pana do mojego przełożonego. Proszę za mną – powtórzyła i nie patrząc, czy za nią podążam, odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, z których wcześniej wyszła.

Poszedłem, bo w końcu po to się tam zjawiłem.

Za progiem otworzył się przede mną cały labirynt wąskich przejść i pomieszczeń, istny gmach w gmachu. Kilburn poprowadziła mnie korytarzem obiegającym hol od zewnątrz i zatrzymała się przed drzwiami bliźniaczo podobnymi do kilku innych, które po drodze minęliśmy. Otworzyła je i dała znak, że mam wejść.

– Pan Scripdrake zaraz do pana przyjdzie.

Wszedłem, a agentka zamknęła za mną drzwi. Pokój był zwyczajny – ot, biurko, parę krzeseł, żadnych dekoracji. Ledwo do mnie dotarło, że pod wymienionym przez nią nazwiskiem musi się kryć Skrzypdrapek, nowy ochroniarz Eligora, przyjęty na miejsce nieopłakiwanego Howlingfella, a już klamka znów zgrzytnęła. Odwróciłem się, by zobaczyć wchodzącego, i dostałem taki cios w brzuch, jakby ktoś z bliska strzelił we mnie z granatnika. Poleciałem plecami na ścianę i na sekundę wszystko wokół zniknęło w nieprzeniknionej czerni. Potem pojawiły się wirujące iskierki, a jednocześnie usłyszałem odgłos, jakby ktoś z pętlą zaciśniętą na gardle usiłował połknąć jeża. Jeszcze parę sekund i się wyjaśniło, że to tylko ja próbuję złapać oddech.

Otworzyłem oczy. Nade mną stało coś ogromnego i prężyło mocarne łapska. Zdawało się przewyższać mnie o kilka metrów – rzecz niemożliwa w małym pomieszczeniu. Dopiero gdy świeża porcja tlenu zasiliła moje szare komórki, zdałem sobie sprawę, że to tylko nieproporcjonalna budowa drągała Skrzypdrapka (wielkie pięści, malutki łebek) dodatkowo zaburzyła perspektywę.

Naturalnie w czystym odruchu zacząłem kombinować, jak drania położyć: silny kop w kolano, a potem krzesłem go w czerep. W porę jednak sobie przypomniałem, że mam nie stracić kontroli nad sytuacją, jak to się zdarzyło poprzednim razem.

Odczekałem, aż płuca dobrze mi się przewentylują. Nie byłem jeszcze gotowy wstać.

– Cześć, Skrzypcipku – zagadnąłem. – Miło cię znów widzieć. Jak tam żonka i dzieciaki? – Ochroniarz gapił się na mnie bez słowa. – A cóż to za kwaśna mina? Zdaje się, że gdyby Howlingfell nie zginął przeze mnie, to nigdy byś nie dostał tej ciepłej posadki. Mniej ci się tu podoba niż w Piekło, gdzie zarabiałeś na życie rżnięciem skamieniałego gówna na kawałki albo czymś w tym rodzaju?

– Po coś tu przylazł?

– Jak to po co? Zobaczyc się z twoim panem, jak już wyjaśniłem w recepcji. Z własnej i nieprzymuszonej woli. Nie trzeba nikogo walić w bebech.

Głowę miał naprawdę dziwną, z profilu niemal normalną, ale zbyt wąską en face i w sumie o jedną piątą mniejszą niż u większości ludzi. Z odpowiednią fryzurą i ubraniem mógłby nawet ujść w tłumie, tylko że oczywiście nie miał odpowiedniej fryzury. Przy tak pociągłej twarzy i nieco za szerokim rozstawie oczu przypominał raczej konia lub rybę. Za to umiał wiązać podwójny węzeł windsorski, a to już ginąca sztuka.

– Dlaczego nie miałbym stłuc cię na krwawą miazgę od razu tutaj? – spytał.

– Po pierwsze dlatego, że nie byłoby to takie łatwe, jak ci się wydaje. Po drugie, bo jako anioł i tak bym nie umarł. Musiałbym tylko chwilkę poczekać na nowe ciało, a potem bym wrócił i wypatroszył cię jak łososia. – Na tym powinienem być skończyć, ale wiecie, jak to ze mną jest. – To znaczy, pardon, konika morskiego. – Na szczęście demonisko nie było przewrażliwione na punkcie swojej nietypowej urody, ale widziałem, że niewiele brakowało, by dał się sprowokować. Dodałem więc szybko: – I po trzecie dlatego, że mam dla twojego szefa ofertę, która go z pewnością zainteresuje.

Wyglądał na rozjuszonego i zdezorientowanego, co w ogóle nie jest najlepszym połączeniem, a już zwłaszcza u takiego typka z Piekła rodem.

– O czym ty, kurde, mówisz?

– Przecież to nie takie trudne, Skrzypdrutku. Mam dla wielkiego księcia ciekawą propozycję. Będzie chciał jej wysłuchać. Jeśli więc ty i ja zaczniemy się tu wzajemnie porcjować, twój boss nigdy się nie dowie, z czym przyszedłem, aż będzie za późno. A wtedy... pewnie wyśle cię na terapię do doktora Teddy'ego.

To mu trafiło do przekonania. Doktor Teddy to paskudna postać z Piekła zatrudniona w pałacu Eligora do zadawania wymyślnych tortur jego wrogom. Skrzypdrapak rzucił mi zaniepokojone spojrzenie i chwilę stał pogrążony w intensywnych rozmyślaniach, zacierając masywne graby. Wykorzystałem tę sposobność, by się pozbierać na nogi. Cokolwiek miało się stać, bydlak już nie weźmie mnie z zaskoczenia.

Warknąwszy, bym się nie ruszał z pokoju, wyszedł. Usłyszałem szcęk zamka, a potem jego oddalające się kroki i strzępki raportu składanego komuś przez telefon lub ukaefkę. Usiadłem na krześle i skupiłem się na wyrównaniu oddechu, starając się uspokoić rozkołatanę serce. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo pragnąłem skopać mu tyłek. O wiele trudniej jest być mądrzejszym niż głupim.

Wrócił po paru minutach. Skinął na mnie i poprowadził korytarzem do windy towarowej na drugim końcu. Dojechaliśmy na czterdzieste czwarte piętro i drzwi się otworzyły.

– Biuro jest na końcu – poinformował.

– Co, nie idziesz ze mną? A jeśli zacznę śmiecić albo rozwijać węże pożarowe?

– Biuro na końcu – powtórzył dobitniej.

– Okej. Było miło.

Byłem już raz w tym korytarzu. Poznałem zieloną wykładzinę i kosztowną boazerię. Drzwi windy zasunęły się za mną z cichym sykiem. I nagle zgasły światła.

Tym razem nikt mnie niczym nie zdzielił, a jeśli nawet, to tego nie zauważyłem. Stałem pewnie, czułem swoje ciało, słyszałem szum zjeżdżającej windy, ale absolutnie nic nie widziałem. Dopóki nie strzeliły płomienie. Ogień ogarnął mnie ze wszystkich stron, tryskał ze ścian, sufitu i podłogi wielkimi, drżącymi płatami. Musiały to być dysze gazowe – tyle zdążyłem wymyślić, nim zapłonęło na mnie ubranie i zaskwierczały włosy. Skoczyłem w ciemną przestrzeń w przedzie, ale i tam czekała ognista pułapka. Elegancki prezesowski

korytarz zamienił się w długi gorejący tunel. Nie mogłem już znaleźć windy. Skóra na dłoniach i policzkach zaczynała dymić. Eligor, ty wredna świnio! – pomyślałem i puściłem się biegiem, wmawiając sobie, że to krematorium nie może się ciągnąć dalej niż na jakieś dwadzieścia metrów przed wejściem do gabinetu, choć wcale na to nie wyglądało. Pochyliłem nisko głowę i parłem naprzód, starając się nie obijać o ściany ani – broń Boże! – nie upaść, gdyż wtedy upiekłbym się jak prosiak.

Ból przekroczył już próg dający się jeszcze opisać. Po ubraniu nie zostało ani śladu; ogień zaczynał trawić mi skórę. Żyłem jeszcze tylko dzięki temu, że mam podrasowane ciało z niebiańskiego magazynu. Czułem, że oczy szklą mi się i pękają, płuca dymią i kurczą się jak na suchej patelni. Każdy centymetr nerwów wydawał krzyk agonii, ostry, niekończący się jazgot, który zdawał się zabijać mnie szybciej niż płomienie.

Przebiegłem chyba ze sto metrów i wciąż nie widziałem nic poza ogniem. Płonący korytarz ciągnął się i ciągnął. To zaś znaczyło, że nie jestem już w Five Page Mill, ani nawet w San Judas, ale... nie, nie w Piekle. Tak szybko to się nie odbywa. Gdyby Eligor miał taką moc, zrobiłby to już za pierwszym razem i nie byłoby mnie tu teraz. Byłem uwięziony we własnym umyśle.

Ta świadomość w niczym mi jednak nie pomogła. Musiałem przerwać ten szaleńczy sprint, choć z każdą kolejną sekundą moje ciało zamieniało się w sadzę na kościach. Zrozumiałem, że bieg nic nie daje; trzeba poszukać wyjścia. Byłem pewien, że fizycznie nadal się znajduję na czterdziestym czwartym piętrze biurowca Valda.

Zwolniłem do tempa spacerowego. Była to najtrudniejsza decyzja w życiu, podjęta wbrew gasnącym sygnałom alarmowym, od których trząśł się cały układ nerwowy, i na przekór bólowi tak potwornemu, że nikt z was tego nie zrozumie, jeśli podobnego sam nie przeżył. Musiałem jednak tak zrobić. Wyciągnąłem rękę w bok i dotknąłem ściany. Gazowe płomienie zwęglały mi już kostki palców, a jednocześnie pod opuszkami czułem dotyk polerowanej dębiny. Nie wiem, dlaczego nie darłem się jak opętany. A może tylko siebie nie słyszałem.

W końcu natrafiłem palcami – których, jeśli wierzyć oszalałym zmysłom, już nie miałem – na nieco wystającą przeszkodę: framugę drzwi. Czułem się już tak, jakbym cały mózg miał na wierzchu, a wszystko, co zawsze o nim mówiono (że niby nie ma w nim komórek czuciowych), to okrutne pieprzone kłamstwo. Namacałem klamkę i nacisnąłem ją, nim zdążyłem się zastanowić, co zrobić, jeśli drzwi się nie otworzą.

Otworzyły się. Tylko że za nimi była jedynie pustka. Spadałem w czarną otchłań, koziółkowałem w próżni, rozpaczliwie wymachując kończynami; nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, gdzie wyląduję. Przez pół sekundy pęd powietrza smagającego odsłonięte kości i niedopalone jeszcze mięśnie dawał mi nawet ulgę, ale to się zaraz zmieniło w odczucie, jakby mnie piaskowano pod wysokim ciśnieniem. To nie było znane mi już zawieszenie w nicości. Pikowałem czarnym szybem jak meteor z kosmosu: będę tak leciał w nieskończoność albo spłonę gdzieś po wejściu w atmosferę, albo rąbnę o powierzchnię i rozprysnę się na milion kawałeczków.

Otworzyłem usta, ale słowa ledwo mogły się wydostać pod prąd powietrza właczającego mi się do płuc. Wyszło z tego ledwie ochryple piśnięcie myszy wyrzuconej za burtę z promu kosmicznego.

– Urocze – wydusiłem. – Urocze i jakże dorosłe, Jeźdźcze.

Upadłem. Nie było to jednak twarde lądowanie w stylu meteoru tunguskiego; raczej pacnięcie na gruby dywan po nieudanym saltcie. Leżałem chwilę, z trudem łapiąc powietrze. Nieprzeniknioną czerń zastąpiło ostre światło jarzeniówek. Kenneth Vald, ponad metr osiemdziesiąt przystojnego, opalonego blond milionera, przyglądał mi się zza mahoniowego biurka. Wyciągnął ku mnie rękę z jakimś przedmiotem, którego nie rozpoznałem, bo mózg wciąż mi grzechotał w czaszce.

– Dropsa? – spytał.

Dźwignąłem się na kolana. Plastikowa figurka, którą mi podsuwał, miała twarz konającego na krzyżu Chrystusa. Eligor kciukiem odchylił jej główkę do tyłu i z szyi wyskoczył czerwony cukierek. Wyglądało to, jakby Jezusowi poderżnięto gardło.

Pokręciłem głową.

Wielki ksiązę wziął dropsa w dwa palce i pomachał mi przed oczami.

– Na pewno?

Gdy nie odpowiadałem, pstryknął palcami i czerwona grudka strzeliła mi tak blisko koło ucha, że poczułem wiatr, potem odbiła się kolejno o cztery ściany (niewykluczone, że i o sufit) i pomknęła z

powrotem ku niemu. Eligor nie poruszył się; otworzył tylko usta i poczekał, aż drops wleci mu prosto na język, i skruszył go w zębach.

– Mmm... – Oblizął się łakomie. – Smakuje jak kompleks Edypa.

Powoli stanąłem na nogi, poszukałem krzesła i usiadłem. Nie próbowałem się odezwać, bałem się bowiem, że z gardła wydobędzie mi się tylko kwik zarzynanej świni albo po prostu wybuchnę płaczem. Eligor nie musiał mi przypominać, że gdyby tylko zechciał, mógłby mnie złożyć w ludzkie origami, zgnieść i wyrzucić, ale arcydemony tak już mają. Kochają swój zawód.

– Cóż więc cię do mnie sprowadza, Dolorielu? Nie powiem, że twój widok sprawił mi przyjemność. Chyba nie myślałeś o zemście, co?

Twarz Valda, powszechnie znana z licznych zdjęć w gazetach, tygodnikach, magazynach i na stronach internetowych poświęconych pięknym i bogatym, wyglądała prawie normalnie; tylko lśniące w głębi oczu szkarłatne iskierki, jak drobne odbicie ognistego pasażu, przez który dopiero co przebrnąłem, świadczyły, że tę miłą powłokę wypełnia coś o wiele szkaradniejszego.

Siedziałem zwiotczały, z opuszczoną głową. Pomyślicie, że udawałem pobitego, żeby go rozbroić, ale to nie była gra. Eligor pobił mnie dawno temu.

– Mam dla ciebie propozycję – wydukałem w końcu. – Lubisz hazard?

Roześmiał się. Zabrzmiało to, jakby był szczerze rozbawiony.

– O, moiściewy. Hazard, powiadasz? Naprawdę sądzisz, że kasyno da ci jeszcze jedną szansę, Dolorielu? Jak to sobie wyobrażasz? Podwoisz stawkę, żeby odegrać hrabinę? Myślałem, że czegoś już się nauczyłeś. Mam już wszystko, czego od ciebie chciałem, i wyobraź sobie, że planowałem zostawić cię w spokoju. Przynajmniej na razie.

– Może wszystko, czego chciałeś, ale nie wszystko, czego potrzebujesz – odparłem. – Anaita wciąż ma twój róg. W każdej chwili może cię wsypać.

Milczał chwilę, lecz iskry w oczach rozgorzały jaśniej.

– Po co mnie drażnisz, przypominając mi o tym?

– Bo chcę dobić z tobą targu. Albo inaczej: założyć się. Wy, demony, lubicie zakłady, nie?

– Nie jestem zainteresowany, aniołku. I zaczynam się nudzić. Co byś powiedział na jeszcze jedną przebieżkę przez ogień wieczysty?

Wziąłem głębszy oddech. Nie mogłem dać się poganiać. Nie miałem żadnych atutów poza zachowaniem jak największego spokoju, no i tą szczyptą głupiego uporu. Wiedziałem też coś, czego być może on nie wie.

– Nie, dziękuję. Było wprawdzie ciekawie, powspominałem sobie ostatnią wizytę u ciebie w Koniogardzie.

– Ach, tak... Stare dobre czasy – odrzekł z uśmiechem fałszywej nostalgii, zaraz jednak przybrał kamienną twarz. – Ale widzisz, ja po prostu uwielbiam cię palić. Czemu więc nie miałbym powtórzyć tej przyjemności?

– Bo jeszcze się nie dowiedziałaś, jaką mam ofertę. I że nie jesteś jedyną osobą zainteresowaną zdobyciem tego rogu.

Oczy mu się zwężyły. Poczulem, że spadam wprost w ten żar tłący się w jego źrenicach. Tłumaczyłem sobie, że to nie jest realne odczucie, ale i tak zdjęła mnie groza. Z trudem się zmusiłem, by wrócić do rzeczywistości.

– Kogo masz na myśli? – spytał w końcu.

– Sitriego. Pamiętasz go? Tłusty arcyksiążę, który cię nienawidzi bardziej niż indyk soboty? Otóż on go szuka, i to z imponującą determinacją.

– Co ty mi tu pieprzysz! Sitri? Ten nędzny prymityw nie śmiałyby...

– W takim razie popatrz sobie na to.

Wyjąłem smartfon i włączyłem odtwarzanie nagrania z seansu Czarnego Słońca. Obejrzał je do końca, z coraz bardziej tężejącą twarzą. Nie odezwał się ani słowem, kiedy sięgnąłem po telefon i schowałem do kieszeni.

– I co? – spytałem po długiej ciszy. – Nadal chcesz mnie wpakować do piekarnika? Czy może porozmawiamy?

Przystojne rysy Kennetha Valda wyglądały teraz jak naciągnięte na zbyt duży stelaż i słabo kryły czającą się w środku bestię.

– Masz pięć minut, by mnie przekonać do tego twojego interesu, Dolorielu – powiedział. – Albo mnie zaciekawisz, albo już nigdy nie ujrzysz słońca.

Czterdzieści jeden

I prosto aż do rana



Gdy wychodziłem z Five Page Mill, mokre popołudnie przeszło w mokry wieczór. Właściwie nie bardzo miałem co robić dalej. Oksana, jeśli oczywiście nie uciekła spod samolotu, dolatywała już pewnie do kraju scytyjskich wojowniczek.

Ostatnia bibka „Pod Cyrklem” była już zaliczona i większość forsy wydana; wysłałem nawet Tłusćiochowi czek z premią i notkę z sugestią, żeby wynajął sobie za nią kogoś do drapania po grzbiecie (wyobrażałem sobie, jak musi go swędzieć od życia w chlewie). Tam, dokąd się wybierałem, nie mogłem nic ze sobą zabrać, pozbierałem więc wszystkie swoje rzeczy i upchnąłem w szafie, po czym wysprzątałem całe mieszkanie, na wypadek gdyby Caz kiedyś wróciła. Amazonki, niech im Pan błogosławi, zostawiły papierki po batonach i torebki po chipsach w paru nieoczekiwanych miejscach, a także czekoladowe odciski palców na cennych draperiach, zeszło mi więc na tym sporo czasu. Nie cierpię sprzątać, ale gdy raz zacznę, nie skończę, dopóki wszystko nie będzie c-z-y-s-t-e.

Napisałem też list do Clarence’a (na ręce naszego barmana Chica) z podziękowaniem za wszystko, co razem z Wendellem dla mnie zrobili. Nie chciałem, by się za wcześnie zorientował w moich

zamiarach.

Rozejrzałem się jeszcze po bezokiennym apartamencie z tysiąca i jednej nocy. Tyle wisiało tu w powietrzu wspomnień, że niezwykle trudno było mi go opuszczać. Na ogół nie przywiązuję się do miejsc, w których spiam – ale to tutaj Caz i ja zakochaliśmy się w sobie, a w ostatnich szalonych tygodniach z Amazonkami, Clarence'em i Wendellem zacząłem się tu czuć jak w domu – którego przecież nigdy nie miałem, przynajmniej w moim anielskim życiu. Co było przedtem... no cóż, gdyby nie pewność, że nie mam przyszłości, pewnie poświęciłbym jej część na próbę ustalenia, kim byłem. Wizje, jakich doświadczyłem w muzeum pod wpływem Anaity, były czymś więcej niż tylko realnymi obrazami: wydawały się niezwykle, wręcz żywotnie ważne. Nie da się wykluczyć możliwości, że to ona mi je jakoś podsunęła, ale całym sobą czułem, że były autentyczne. W normalnych warunkach aż bym się palił, żeby dowiedzieć się więcej, ale teraz nie miałem na to czasu. Nadszedł mój dzień sądu i prawie się już pogodziłem z tym, że pożegnám się z życiem, nie uzyskawszy odpowiedzi na wiele pytań.

Starannie zamknąłem mieszkanie i wyszedłem na podwórze. Jeszcze ostatni rzut oka na klomby i krzewy... Nagle gdzieś nad głową usłyszałem trzepot, a po chwili drobny, niezgrabny cień pacnął przede mną na ziemię, rozłożył i zwinął cztery skrzydła, i znieruchomiał. Uklęknąłem przy nim. Był to nowy rodzaj nizzaka, mniejszy od poprzednich; wyglądał jak skrzyżowanie chomika z ważką. Mówił bardzo cicho, wiadomość zaś była krótka; wyłowilem zaledwie parę słów, a już się skończyła. Musiałem przyłożyć sobie to

dziwadło do ucha, żeby dobrze słyszeć, kiedy zacznie od początku. Głos należał do Caz, lecz był słabszy i bardziej odległy niż przedtem, jakby nadawała z innej galaktyki.

– Tego nizzaka nie da się zresetować. To moja ostatnia wiadomość, Bobby. Nie wytrzymam dłużej. Czekanie na wieści od ciebie jest zbyt trudne. Te małe łyczki głupiej nadziei tylko na chwilę oddalają nieuniknione. Przepraszam, najdroższy, to moja wina. Kto jak kto, ale ja powinnam to wiedzieć najlepiej.

Zostawiłem zmęczone stworzenie pod krzakiem i wsiadłem do mego żółtego brzydactwa.

Jeżdżąc tą gablotą po mieście, odkryłem coś ciekawego – kolejny dziwnego kształtu element łamigłówki moich stosunków z Temuelem. Nie miałem wątpliwości, że Niebo stara się mieć mnie na oku, musiało też wiedzieć o taksówce, ale chyba nie mogło namierzyć jej bezpośrednio. Wiem, bo przez te parę dni od procesu zdążyłem już kilkakrotnie zgubić śledzące mnie auta. Poza tym szpiedzy szefostwa najwyraźniej się nie zwiedzieli o apartamencie Caz. Przyuważyłem co prawda w okolicy parę podejrzanych samochodów, ale ewidentnie nie zdołali ustalić dokładniejszej lokalizacji. Jak to możliwe? Musiałem przyznać, że może to mieć coś wspólnego z pomysłem Temuela, żeby mnie przeciągnąć na drugi koniec miasta, zanim mnie wydał specjalsom.

Niebo może nie wiedziało dokładnie, skąd wystartowałem, ale wytropiło mnie w kilka minut od wyjścia z mieszkania. Byłem na autostradzie Bayshore, może z milę od zjazdu na University Avenue,

kiedy spostrzegłem śledzący mnie wóz, nierzucającego się w oczy forda. Był aż zbyt zwyczajny, nie miał żadnych nalepek ani nawet podkładek pod tablice rejestracyjne z logo dealera. Kobieta za kierownicą i jej towarzysz nosili też okulary słoneczne, mimo że minęła już osiemnasta i zaczynało zmierzchać. Odebrałem to nawet jako afront, ale szybko uznałem, że może to być zwykła zmyłka dla odwrócenia uwagi, żebym się skupił na ich zgubieniu, podczas gdy prawdziwy ogon podąża za mną znacznie dyskretniej i trzyma bezpieczny dystans.

Wybrałem okrężną drogę, udając, że staram się wymknąć fordowi, ale de facto tego nie chciałem i nie bardzo się przykładałem. Zabrałem tajniaków na długą, irytującą przejażdżkę po południowych dzielnicach, potem autostradą na San Antonio i płataninę przecznic, a w końcu wjechałem na Shoreline w stronę Stone Fruit Mall. Ciekawa rzecz, o ile więcej nowoczesnych budynków jest w tych dzielnicach. Centrum Jude, zwłaszcza to biznesowe, przesuwa się i zostawia w tyle historyczne serce miasta. Najnowsza fala zamożnych imigrantów związanych z Doliną Krzemową buduje tam spore własne miasteczko, pełne modnych restauracji, kafejek z ogródkami w cieniu rozłożystych markiz i niedużych biurowców nasuwających skojarzenie z drogą armaturą ze szcztokowanego metalu.

Jakim cudem stałem się takim staruchem, skoro żyję dopiero ze dwadzieścia lat? W poprzednim wcieleniu musiałem być prawdziwym rzędą. Ale pewnie sami już na to wpadliście.

Wjechałem na nowy, wielopoziomowy parking przy Stone Fruit

Mall. Gdyby zapytać jednego ze starych mieszkańców, chętnie powie, że te tereny były ongiś zagłębieniem owocowym świata. Dzisiejsza czteropiętrowa galeria handlowa stoi na miejscu jednego z największych w Kalifornii sadów brzoskwiniowych, co przetrwało już tylko w jej nazwie, w rysunku kwitnącej gałązki w logo i może w drogich paczkach suszonych owoców sprzedawanych w licznych sklepach z pamiątkami.

Teraz musiałem uważać. Zaparkowałem na jednym z najdalszych miejsc na drugim poziomie, zostawiłem w taksówce telefon (bo wszyscy dobrze wiemy, że przynajmniej od rozprawy musiał być nafaszerowany pluskwami), razem z kluczykami upchnięty pod siedzeniem, i pomaszerowałem do wejścia. Kiedy się stanie w głównym atrium, ma się widok na wszystkie piętra. Większość sklepów ma całkowicie przeszklone witryny, co sprawia wrażenie, jakby się było wewnątrz wielkiego, misternie szlifowanego brylantu komercji. Ludzie kręcili się wszędzie, jak turyści w Oz; niektórzy nawet lekko kiwali głowami w rytm wszechobecnej muzyki elektronicznej.

Nigdy nie słuchajcie muzaka w przybytkach handlu. Wprawi was w nastrój apokaliptyczny. Choć może to tylko mnie dotyczy... Klientela wyglądała na uszczęśliwioną – współczesne centra handlowe są małymi (i poniekąd bezmózgimi) światami. Jeden mój znajomek, który kiedyś pracował w Stone Fruit, opowiadał, że w wakacje wielu rodziców zostawia tam rano dzieciaki z forszą na hamburgery i kino i zabierało je przed zamknięciem.

Zakładałem, że ilukolwiek ludzi mnie śledzi, część będzie musiała

zostać na parkingu, by obserwować mój wóz, a reszta pójdzie za mną. To znaczyło, że muszę działać szybko, zanim mnie wykryją. Pojechałem windą na trzecie piętro, stamtąd natychmiast inną na drugie i potem na czwarte; przeszedłem galerią na przeciwległą stronę i znów wsiałem do jednej z wind, zjechałem na parter, do części gastronomicznej, potem na parking podziemny, gdzie przywitał mnie wielki transparent zapowiadający rychłe otwarcie nowego supermarketu „Target”. W ten sposób korzystałem z wind w Piekło, by zmylić ścigające mnie demony; z przyjemnością stwierdziłem, że to działa także na anioły.

Nie zbliżyłem się oczywiście do mej żółtej landary. Na końcu garażu są schody prowadzące na przystanek autobusowy i postój taksówek. Wbiegłem na górę i wsiałem do pierwszej z brzegu.

Tak, to był mój najnowszy plan w streszczeniu. Porzuć jedną taryfę, weź inną. Cała reszta miała tylko zdezorientować śledzących. Tak jest znacznie prościej, niż usiłować ich zgubić w jakiejś zwariowanej gonitwie samochodowej rodem z filmów sensacyjnych. W ogóle najlepsze plany są zazwyczaj nieskomplikowane. Dlaczego tak rzadko o tym pamiętam?

Taksówkarz wysadził mnie ćwierć mili od kładki do parku Shoreline. Po opłaceniu kursu zostało mi w kieszeni dwadzieścia baksów, dałem mu je więc jako napiwek. Z wdzięczności przestrzegł mnie, bym nie zamarudził za długo po zmroku, bo – jak to ujął – po nocy kręci się tam sporo prawdziwych dziwaków. Najwyraźniej nie wiedział, że rozmawia z jednym z nich.

Postawiłem kołnierz dla osłony przed zimną bryzą i ruszyłem w stronę starego lunaparku.

Byłem przekonany, że rozegrałem wszystko bardzo sprytnie, więc widok samotnej postaci czekającej u wejścia na kładkę zbił mnie z pantałyku, ale i mocno zaniepokoił. Jediną rzeczą, której się nie pozbyłem, był mój rewolwer. Ścisnąłem go w kieszeni, podchodząc do nieznanego. Nie zamierzał się stamtąd ruszyć, zwoleń więc, by zyskać na czasie.

– Pospieszylbyś się, co?! – krzyknął do mnie. – Zimno tu jak w psiarni!

– Clarence? A co ty tu robisz?

Młody miał na sobie długi płaszcz – domyśliłem się, że w wyobraźni jest jak James Bond – i wyglądał jak wzorec tajemniczego łącznika w niebezpiecznym obcym kraju.

– To chyba jasne, że czekam na ciebie. A ty chyba znów zapomniałeś, jak mam na imię.

– Taa, podaj mnie do sądu. Po coś tu przyszedł? Jeszcze nie mogłeś odebrać listu.

– Jakiego listu?

– Szlag by to... – Stałem przed nim i kilka sekund patrzyłem mu w oczy. Nie znoszę niespodzianek. – To był długi nerwowy miesiąc, dzieciaku. Gadaj, o co chodzi.

– Idę z tobą.

Trochę mi głupio, ale przyznaję, że moją pierwszą myślą było go

znokautować na miejscu jak poprzednio, kiedy tu byliśmy we trójkę z Samem. Potrzebne mi było jego towarzystwo jak dziura w moście. Wiedziałem jednak, że tak nie można, i podejrzewałem, że tym razem nie poszłoby mi tak łatwo jak wtedy. Młody biegał i ćwiczył na siłowni, co i ja powinienem robić, tyle że wciąż uciekałem przed dybiącymi na mnie demonami i neonazistami. Wyglądał teraz na takiego, który umie dawać sobie radę.

– Pytam poważnie. Co tu robisz?

– Bobby, nie traktuj mnie jak debila, cokolwiek tam sobie myślisz na ten temat. – Miał czerwone policzki, raczej nie tylko od wiatru. – Od kilku dni robisz rundę pożegnalną, co widzi każdy z odrobiną oleju w głowie. Parę wieczorów temu ścisłałeś Monicę Naber w wolnym tańcu na środku „Cyrkla”. Urzynałeś się i gadałeś takie rzeczy jak „carrickfergus”, u licha, choć nie jesteś Irlandczykiem.

– Mogłem być.

– Tak, ale teraz jesteś tylko zarozumiałym dupkiem. Dupkiem, który chce się wymknąć i zrobić coś kretyńsko heroicznego, przypuszczalnie dać się zwęglić jak luizjańskie żarcie i zostawić resztę w niewiedzy.

Spodobało mi się odniesienie do kuchni Cajun. Młody się wyrabia.

– A gdyby nawet, to co? – odparłem. – Nie sądzę, abym był moralnie zobligowany do pociągnięcia ze sobą na dno także ciebie i Wendella.

– Nie przeczę. Wendella nie należy wciągać w to głębiej, więc nic

mu nie powiedziałem. Ze mną to jednak inna historia, Bobby. To jak, znowu mnie zdzielisz kolbą czy wybierzemy się z wizytą do Sama?

Wreszcie to do mnie dotarło.

– Ale skąd wiedziałeś, że przyjdę akurat tutaj?

– Szczęśliwy, ale uzasadniony traf. – Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony. – Kiedy Sam powiedział mi, co naprawdę zaszło w tę noc z ghallu, nadmienił także o przełazie, czy jak to się tam nazywa. Nigdy nie wspominał o żadnym innym, dopóki nie odkryłeś tego w muzeum, z którego korzysta Anaita. Tam zaś raczej byś nie wrócił. Tak czy owak, jak raz szedłem do ciebie pogadać, zobaczyłem, jak wychodzisz, i ruszyłem za tobą. Śledził cię biały furgon...

– Wiem.

– Wiedziałem, że się zorientujesz i gdzieś im zgubisz, a i mnie przy okazji. Pomyślałem sobie, że opuszczasz miasto, a to znaczy, że wybierasz się tutaj. – Wyszczrzył zęby, mądrała. – I co, miałem rację?

– Tak, moje gratulacje. Wygrałeś bilet do kina na *Zemstę wrednej bogini* i bon na tonę popcornu. – Ręce mi opadły. – Czyli będę musiał dać ci w łeb, żeby się ciebie pozbyć?

– Nie złość się. Mogło być gorzej. Mogłem przyprowadzić G-Mana. – Wyciągnął komórkę z kieszeni. – Jeszcze jest czas go tu ściągnąć.

Zastanowiłem się chwilę.

– Twoje na wierzchu – oznajmiłem.

Ale prędzej szlag by mnie trafił, niżbym mu podziękował.

Ruszyliśmy kładką pod coraz zimniejszy wiatr. Długi drewniany pomost wiódł przez moczary do opuszczonego lunaparku. Poręcz sięgała nam tylko do pasa. Od razu sobie przypomniałem tamtą noc, kiedy ghallu, ogromne rogate bydło gorące jak piec martenowski, gonilo tu mnie i Sama, chcąc oddzielić ważne fragmenty mojego ciała od innych ważnych fragmentów. Próbowałem się pocieszyć (i Clarence'a też, gdy już zapytał, czemu tak sponiewiałem) myślą, że i wtedy nie dałbym złamanego grosza za to, że wyjdę z opresji cało.

– Może więc jest w tym jakiś wyższy cel, mój chłopcze. Może cały ten bajzel spotyka mnie nie bez powodu.

– Nie ma nic żałośniejszego od anioła, który robi się religijny – zauważył Clarence.

– O kurczę, Młody, zupełnie jakbym słyszał Sama.

– Dzięki serdeczne.

Kładka się skończyła i zeszliliśmy na twardy grunt sztucznej wyspy. Południowa część parku, niegdyś dobre miejsce na leśny spacer i piknik (taki zresztą od początku był cel tego projektu), przez dwadzieścia lat, które upłynęły od zamknięcia kompleksu, kompletnie zdziczała. Wygląda teraz jak lasek Jersey, miejsce dobre na porzucanie niewygodnych dla Cosa Nostra zwłok. Poszliśmy na przełaj, w stronę Krainy Szczęścia, dawnego lunaparku, dziś rozpadającego się muzeum groteski wykorzystywanego na plan filmowy dla niejednej produkcji klasy B i niższych, zazwyczaj jako tło różnych postapokaliptycznych horrorów z zombi, mutantami

czy kosmitami w roli głównej.

Zwariowane Miasto, jak się zwał gabinet krzywych luster, znajdowało się po przeciwległej stronie, z widokiem na zatokę i trasy promowe. Zdumiewała mnie myśl, że jeszcze tak niedawno (nawet jak na normy kalifornijskie) rdzewiejący teraz diabelski młyn co wieczór malował na niebie barwne świetlne kręgi, a wokoło pełno było ludzi, gwaru, śmiechu i dobiegających z pędzącej w dół kolejki górskiej pisków przyjemnego strachu. Było, minęło, kochanie.

Gabinet luster śmierdział tak, jak się można spodziewać po miejscu odwiedzanym wyłącznie przez świrów, ćpunów i nędzarzy w ostatnim stadium bezdomności. Weszliśmy pod dziurawy aluminiowy dach. Przemknęło mi przez głowę, czyby nie zamelinować gdzieś tutaj smith-wessona, bo byłem niemal pewien, że nie da się go zabrać do Kainos, rozmyśliłem się jednak; w ostatniej chwili przecież mogłoby wyskoczyć na mnie coś paskudnego.

– Trzecie lustro od lewej – przypomniałem sobie na głos, po czym dokończyłem żartem usłyszanym wtedy od Sama: – I dalej prosto aż do rana.

– Co takiego?

– To chyba z *Piotrusia Pana*. Droga do Nibylandii. Sam mi pokazał, jak tu trafić.

– I co teraz?

Clarence rozglądał się nieco nerwowo. Można, jak widać, być dostatecznie dzielny, by zajrzeć śmierci w oczy, chcąc pomóc przyjacielowi, ale rozpoczęcie niebezpiecznej podróży dreptaniem

wśród zużytych strzykawek, stłuczonych flaszek i ludzkich ekskrementów czasem przekracza naszą odporność.

Podniosłem kawałek szkła, splunąłem na rąbek koszuli i zacząłem go czyścić.

– Co ty robisz? – Młody patrzył na to zaokrąglonymi oczami.

– Potrzeba trochę krwi. Nie przejmuj się, użyję mojej.

– Tym brudnym śmieciem? – spytał ze zgrozą. Zdałem sobie sprawę, że to faktycznie nie najlepszy pomysł, gdybym jakimś cudem miał jeszcze pożyć w tym samym ciele. – Masz, tym to przemyj! – powiedział, wydłubując z kieszeni miniaturową buteleczkę środka dezynfekcyjnego. – Nie żałuj sobie, bez problemu kupię nową.

– Nie tam, dokąd idziemy – mruknąłem, żeby nie zdradzić się z wdzięcznością.

Dokładnie umyłem szklaną drzazgę, łajac się w duchu, że nie pomyślałem o zabraniu skalpela czy chociaż scyzoryka. Wybrałem miejsce, w którym ranka nie umniejszałyby sprawności dłoni – u nasady lewego kciuka – i zrobiłem płytkie cięcie. Gdy krew wypłynęła, umoczyłem palec wskazujący i na brudnej, zaśnieżonej powierzchni metalowego zwierciadła napisałem „Doloriel”.

Nic się nie stało.

Odczekaliśmy minutę czy dwie i nagle coś mi wpadło do głowy.

– Przecież to lustro! – Palnąłem się w czoło. – W każdym razie było nim przed laty.

– I co z tego?

– A to, że może trzeba to napisać od tyłu.

Znów zanurzyłem palec we krwi i nasmarowałem „Lei-rolod”.

Dalej nic.

– No to guzik – skomentowałem gorzko.

– Co ci powiedział Sam? Powtórz dosłownie.

– Kazał mi napisać na lustrze swoje imię.

Clarence spojrział na mnie, przysięgam, z tak wyraźnym politowaniem, że omal nie odszedłem od dopiero co przyjętej polityki niebicia dzieciaków.

– Co się tak patrzysz?

– Czy Sam kiedykolwiek nazywał cię Dolorielem?

Poświdrowałem go palącym wzrokiem przez parę sekund, tak żeby wiedział, iż wpadłbym na to i bez jego nieproszonej pomocy, po czym raz jeszcze zanurzyłem palec w krwawym kałamarzu i nabazgrałem na lustrze „Bobby”. Lokal zaczynał przypominać toaletę Kuby Rozpruwacza, ale tym razem już po sekundzie w powietrzu przed lustrem pojawiła się błyszcząca kreska – jak Zamek Błyskawiczny, tylko bardziej rozmyta. Raz już taką widziałem.

– Przechodź – poleciłem.

– Ty pierwszy, o nieustraszony mistrzu – odparł Clarence.

Poszedłem przodem.

Znalazłem się w mroźnym zimowym lesie. Nie przypominało to jednak scenerii, którą widziałem, gdy tamtego dnia żegnałem

odchodzącego na drugą stronę przyjaciela, ani w muzeum. Słowo „las” zwykle kojarzy się z drzewami, ale tu jedyną rzeczą, która łączyła z tym pojęciem sterczące wszędzie osmalone kikuty, były na pół odsłonięte korzenie w czarnej, spalonej ziemi. Obraz zniszczenia ciągnął się jak okiem sięgnąć – jedna wielka destrukcja, zbrukanie, rozpacz. I nigdzie ani śladu jakiegokolwiek żywej istoty.

– Anaita już tu była – powiedziałem. – Cholera, niedobrze.

– Nie znoszę, jak mówisz takie rzeczy. – Clarence obrócił się powoli dookoła, wlepiając wzrok w zniszczony las jak dziecko, które właśnie zdało sobie sprawę, że jest samo w supermarkecie, a rodzice gdzieś zniknęli. Zrobił krok naprzód i spod stóp wzbily mu się obłoczki popiołu. Niebo wyglądało jak wyprane w wybielaczu. Nic nie mąciło grobowej ciszy. – Bo zwykle masz rację.

Czterdzieści dwa

Gniew



Na dobrą sprawę nigdy się temu miejscu dobrze nie przyjrzałem, a jego wpływ na moje życie był przeważnie negatywny – jednak gdy szliśmy przez zdewastowaną krainę Kainos, z trudem powstrzymywałem łzy.

Co dziwne, reagowałem tak po części dlatego, że szkody były ograniczone: w oddali wciąż pyszniły się nietknięte majestatyczne góry i krystalicznie czysty lazur nieba. Patrząc na nie, doznawałem tego samego nabożnego zadziwienia, odczucia powiązania z czymś głębszym i bardziej realnym od samej rzeczywistości, które tak silnie mnie uderzyły podczas pierwszej, króciutkiej wizyty przed kilkoma dniami. Tym bardziej bezsensowne wydawało się to dzieło zniszczenia.

Jednak najbardziej wyprowadził mnie z równowagi nie sam akt destrukcji, lecz furia, z jaką jej dokonano. To była zemsta, i to bardzo osobista. W niczym nie przypominało to skutków żywiołu, choć ziemię pocięły dwudziestometrowej szerokości szczeliny tektoniczne, Bóg wie jak głębokie, a wielkie zwęglone pnie leżały porozrzucane bezładnie jak po huraganie. To były ślady działania nader potężnej i

bardzo, bardzo rozjuszonej istoty. Rozgniewanej bogini, anioła mściciela, który odrzucił rygory Nieba.

Brnąc przez istne zasy czarnego i szarego popiołu, dotarliśmy wreszcie na szczyt najbliższego wzgórza i mogliśmy objąć wzrokiem rozciągającą się po drugiej stronie dolinę. Zniszczenie dosięgło tylko jej skraju. Mdłości mnie ogarniały na widok zamordowanego lasu, ale teraz co innego przykuło mą uwagę. Na przeciwległym brzegu czarnej połaci, która do niedawna była łąką przeciętą korytem rzeki teraz zamienionej w wypalony, pusty rów, stał dom. Widziałem go już dwukrotnie z daleka; pierwszy raz, kiedy zajrzałem do Trzeciej Drogi przez Zamek, który otworzył Samariel, i potem, kiedy tam z nim wszedłem. Stał na wzniesieniu jak niezgrabny kanciasty statek kosmiczny na osmalonej, popękanej płycie opuszczonego sowieckiego kosmodromu. Sam budynek pozostał jednak nietknięty przez pożogę.

Staliśmy obaj zagapieni, milczący, skonsternowani. Dom wydawał się mirażem, który może zafalować i zniknąć, jeśli wydamy jakikolwiek dźwięk. W ogóle nie powinien już istnieć, a on w dodatku wyglądał wśród tej ruiny jak wycięty z ogłoszenia agencji nieruchomości.

I wtedy pierwszy raz zauważyłem inną dziwną rzecz: Clarence był po prostu jak Clarence.

Dziwicie się? Normalnie, kiedy się stoi obok osoby, która wygląda jak ta osoba, wszystko jest w porządku. Ale kiedy się idzie do Nieba, zawsze się wygląda jak anioł. Podobnie gdy się wylądzuje w Piekło –

co wiem z autopsji – przybiera się powłokę odpowiednią do tamtejszej mody. Dlaczego więc anioł Haraheliel wciąż ma na sobie koszulę z kołnierzykiem na guziczki, wiatrówkę idealnie wyprasowaną i zamszowe buty, które bardziej by pasowały do podstarzałego bogatego Europejczyka? (Kiedyś „oskarżyłem” go, że nosi pantofle marki Hush Puppies, co uznał za obelgę. „To Ferragamo!”, wyjaśnił z oburzeniem, jakim sam mógłbym zapłonąć, gdyby ktoś nazwał mojego matadora trabantem).

Spojrzałem na siebie. Ja też nosiłem w zasadzie te same rzeczy, w których stanąłem przed starym lustrem w lunaparku, tylko że teraz pokrywała je patyna pyłu i popiołu: ulubioną marynarkę, czarny T-shirt, czarne dżinsy i robocze buty, które lubię, bo a) też są czarne, b) wcale nie wyglądają źle oraz c) w razie potrzeby można w nich solidnie komuś dokopać. Nie opisuję swoich łaszków dla kontrastu z garderobą Młodego, tylko dlatego, że znalezienie się w tym samym stroju w kompletnie odmiennych rzeczywistościach to nie jest rzecz łatwa do zrozumienia. Przypomniałem sobie o spluwie i pomacałem kieszeń, ale jej tam nie było. Czyli ubrania tak, inne przedmioty nie.

– Masz pasek w spodniach? – spytałem.

– No mam.

– I nosiłeś go, zanim tu weszliśmy?

– Tak. A co? – Spojrzał na mnie pytająco.

– Później o tym pogadamy. Teraz trzeba ustalić, co robimy dalej.

Powiem ci co. Przeszukamy tę chałupę.

Mina Clarence’a zmieniła się ze zdziwionej na Poważne

Rozważanie Buntu.

– No coś ty? Przecież to jedyne miejsce w okolicy, które nie wygląda jak lej po bombie, a to znaczy, że sprawca tego Armagedonu może być w środku.

– Nie sądzę.

– Och, w takim razie jasne, pchajmy się tam. Nie sądzę, oznajmia mój mistrz, i dla mnie to wystarczająca gwarancja, by spokojnie zaryzykować. A co właściwie ryzykujemy? Tylko nasze ciała czy także dusze?

Roześmiałem się, ale nie dlatego, żeby coś mnie rozbawiło.

– Ujmę to tak – powiedziałem. – Gdyby istniało ubezpieczenie dusz, to właśnie bym dzwonił do mojego agenta.

Clarence pobladł; nie, raczej zzieleniał. To duża różnica.

– A idziemy tam w jakim celu?

– Bo jest. Bo nie został rozwalony na drzazgi i trociny. I przecież szukamy Sama, a to oczywiste miejsce, w którym mógłby zostawić dla nas wiadomość, czy chociaż wskazówkę, gdzie można go znaleźć.

– Ale on jest taki... odsłonięty.

– Nie bardziej niż my teraz, stercząc tu na zgliszczach. No już, zasuwamy.

Dom byłby dziwny, nawet gdyby stał w miłej podmiejskiej dzielnicy, a nie pośrodku istic hiroszimskich ruin. Po pierwsze, był za wysoki: pięć kondygnacji przy szerokości o połowę mniejszej, niżby należało. Z naszej perspektywy wieżyczka na dachu była

doskonale widoczna i bardziej przypominała iglicę niż kopułę.

To mnie zastanowiło, ale zatrzymałem przemyślenia dla siebie, bo Clarence zachowywał się jak spłoszony koń, cały w nerwach i z połyskującymi białkami wytrzeszczonych oczu. Oczywiście była to ze wszech miar prawidłowa reakcja na zapowiedzianą próbę podkradnięcia się do archanieliccy, niebiańskiej królowej wojny, z samymi tylko gołymi rękami. Do diabła, sam miałem tak sucho w ustach, że gdyby nagle wyrosła przede mną Anaita, nie mógłbym jej nawet splunąć pod nogi.

Z bliska krąg zniszczenia nie wyglądał tak tragicznie. Widać było pozostałości paru ścieżek i ruiny zabudowań (choć to za wielkie słowo na określenie zwęglonych zarysów fundamentów i popiołu usypanego w wąskie prostoliniowe pryzmy). Zniszczony teren okalało pasmo zszarzałej trawy; gdy chciałem zerwać źdźbło, rozsypało mi się w palcach na proszek.

– Cholera jasna – zaklął cicho Clarence. – Ona musiała to palić godzinami.

Omiał go nie ofuknąć, żeby milczał, choć naturalnie gdyby Anaita tu była i słuchała, pewnie i tak już dawno by nas wykryła. Ale jego słowa dały mi do myślenia. Ile ona musiała zużyć na to energii i jak się jej to udało? Taka jest zasadnicza różnica między aniołami z wyższych sfer a zwykłymi szmondakami jak ja i on: nas ogranicza fizyczność ciał danych nam od Niebios. (Sami wiecie, o co chodzi – nazywa się to śmiertelnością). Ale ważniejsze anioły, podobnie jak tuzy piekielne w rodzaju Eligora, mogą skoncentrować znacznie

większą energię, niż ja mogę pomarzyć. I oni jednak nie dysponują nią bez ograniczeń. Przypomniała mi się jedna z rad Gustibusa, którą potem zmodyfikowałem: idź tropem mocy. Nie jak teraz, kiedy widzieliśmy skutki jej działania, ale w kategoriach rozpracowania, jak to wszystko działa. Widać było, że Anaita jest tu, w Kainos, nadzwyczaj potężna; co najmniej tak jak na Ziemi, a przypuszczalnie o wiele bardziej. W muzeum nie mogła zrobić czegoś takiego jak tutaj, bo inaczej po prostu zabrałaby mnie na pranie mózgu, a wszystkich pozostałych unicestwiła. Nie wspomnę już, że nie byłaby tak zaabsorbowana walką z pełną szafą dzikorobaków, które na nią wysypałem. Ale tutaj była zdolna wyzwolić energię w skali huraganu kategorii piątej.

To była dla nas zła wiadomość, przynajmniej jednak przestałem żałować, że nie mam broni. (Bo byłyby równie bezużyteczna jak kondom dla Kena, chłopaka Barbie). Jeżeli bowiem mój plan, który zacząłem pichcić jeszcze w Jude, miał mieć jakiegokolwiek szanse powodzenia, definitywnie nie mogliśmy się wikłać w otwarty bój z Aniołem Deszczu (swoją drogą, niezły paradoks z tym, by tak rzec, przydomkiem funkcyjnym, gdy się patrzy ze środka suchego jak popiół pogorzelniska po jej akcji). Musieliśmy jakoś tę wyższą istotę przechytryć.

Clarence został nieco w tyle, gdy zbliżaliśmy się do domu, ja jednak uznałem, że żadne ukradkowe manewry nie mają sensu, bo albo Anaity już tu nie ma, albo i tak nas widzi, zmierzałem więc wprost do celu. Wszedłem na ganek, brudząc czyste stopnie popiołem. Budynek był niemalowany i nie nosił żadnych śladów

zniszczenia; szalejący wokół kataklizm ominął go całkowicie. Drewno miało barwę i fakturę filipińskiego mahoni, wyglądało solidnie i zdrowo. Skojarzył mi się ze sceną z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, z Anaitą w roli Złej Czarownicy, jak stoi na dachu i rozsiewa wokoło śmierć.

– Bobby... – zaczął nerwowo Clarence.

Zignorowałem go. Wiem, ludzie mówią, że pakuję się bezmyślnie w kłopoty, ale co miałem robić? Stanąć przed domem i zawołać „Hej, jest tam kto?”?

Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Znalazłem się w dużym, wysoko sklepionym pomieszczeniu z kilkoma wejściami do kolejnych izb. Przypominało to stodołę adaptowaną na mieszkanie. Umeblowanie było więcej niż prymitywne, nawet niepozbyjane gwoździami, lecz związane sznurkiem, z surowego niemalowanego drewna. Większość jednej ze ścian zajmował ogromny średniowieczny kominek. W przeciwległym rogu stała zamknięta szafa – prosta, lecz zupełnie inna od chałupniczo wykonanej reszty sprzętów. Wyglądała mi na mebel, w którym kiedyś, zgodnie z ówczesną modą, zamykano odbiorniki telewizyjne, choć bardzo wątpiłem, żeby mieli tu jakąkolwiek telewizję, czy to kablową, czy satelitarną. Było tam też sporo stołów i nieheblowanych ław, ale żadnych znamion ludzkiej obecności. Trzymając się bajkowego klimatu, można by powiedzieć, że to bohaterowie *Opowieści o trzech niedźwiadkach* zbudowali w środku lasu kasyno i przed uroczystym otwarciem poszli na długi spacer.

– Tu chyba nikogo nie ma! – zawołałem do Clarence’a.

Mój głos odbił się echem. Nie zjawił się żaden rozjuszony anioł z tłuczonego szkła i ceramiki. Podszedłem do szafy i otworzyłem drzwiczki. Ze środka buchnęło jaskrawe światło. Drgnąłem zaskoczony, ale nie były to śmiertcionośne promienie, tylko chłodny, mglisty blask z Nieba.

Krył się tam sześcian migotliwego światła, jaki już kiedyś widziałem. Taki sam mamy w naszym biurze miejskim, trzymany pod kluczem i czujnym okiem dyspozytorki, mrukliwej Alice. Wygląda jak monokryształ, ale zamknięta w nim moc dalece przewyższa najśmielsze wyobrażenia adeptów New Age. Używa się go do bezpośredniej łączności z Niebem. Sam nazywał to „pójściem do Mekki”. Nie należą do szczególnie gorliwych w tym aspekcie i posługiwałem się nim tylko, gdy było to absolutnie konieczne.

Problem z tym konkretnym egzemplarzem polegał na tym, że z całą pewnością nie był połączony z Niebem, lecz z Anaitą i nikim innym. Natychmiast zatrzasnąłem drzwiczki i odsunąłem się od szafy.

Kontynuując zwiad, zajrzałem na chwilę do dużego bocznego pomieszczenia, prawdopodobnie kuchni, choć wskazywał na to jedynie spory gliniany piec wbudowany w jedną ze ścian. Usypany pod nim mały stożek popiołu miał regularny kształt – cokolwiek zrujnowało całą okolicę, w domu nawet nie zatrzęsło podłogą. Poszedłem na piętro. Schody, tak samo jak ściany i dach, były bardzo solidne. Zacząłem już myśleć, że budynek został w całości tu przeniesiony – albo stworzony – prymitywne wyposażenie zaś

zmajstrowane przez zwerbowane do Trzeciej Drogi dusze w ramach ich nowego życia.

Ale gdzie w takim razie są ci wszyscy duchowi Robinsonowie? Gdzie jest Sam? Nie dawała mi spokoju natrętna myśl, że gdybym staranniej rozejrzał się po terenie, dostrzegłbym w popiele zarysy nie tylko budowli, odpychałem ją jednak od siebie.

Większość izb na górze należałoby nazwać sypialniami, choć to określenie raczej na wyrost. Bardziej przypominały mi sale koszarowe w Obozie Syjon; wypełniały je rzędy piętrowych prycz zbudowanych w tym samym stylu „Wyspa Tomka Sawyera” co meble na dole. Tu przynajmniej widniały ślady czyjejś obecności; cienkie wełniane koce (też najwyraźniej ręcznie tkane) były rozrzucone bezładnie, jakby śpiących wyrwało ze snu coś bardziej nieoczekiwanego niż wojskowa pobudka.

Oglądałem potem sypialnie na następnej kondygnacji, usiłując się doliczyć, ilu ludzi tu mieszkało, kiedy usłyszałem, że Clarence mnie woła z dołu. Był wyraźnie zdenerwowany, ale w końcu miał powód.

– Sekundkę, zaraz schodzę! – odkrzyknąłem.

– Nie, zejdz zaraz. Natychmiast!

O cholera, pomyślałem, pewnie znalazł trupa. Z przyzwyczajenia sięgnąłem do kieszeni, ale nie było w niej sploty do wyciągnięcia. Normalnie nie lubię nosić przy sobie broni, bo wtedy tak się składa, że przychodzi mi jej używać; jeszcze bardziej nie cierpię jednak sytuacji, gdy jej nie mam, a byłaby potrzebna. Ot, taki mój dylemat w najkrótszym ujęciu.

– Bobby!

– Idę już, idę, Młody. – Schodząc, stawiałem kroki z przytupem, żeby mnie słyszał i wrzucił luz. – Odetchnij głębiej i weź na wstrzyma...

Nie dokończyłem zdania, gdyż ujrzałem, że nie jest sam. W drzwiach wejściowych stał nieznajomy mężczyzna, celując w Clarence’a z łuku.

– Hej, a cóż my tu widzimy? – powiedział najspokojniejszym tonem, na jaki mogłem się zdobyć.

Łucznik odwrócił się w moją stronę. Był chudy jak postronek, z pociągłą twarzą, cały usmarowany popiołem. Mógł mieć dwadzieścia do trzydziestu lat. Przez jedną brew biegła gojąca się blizna, od której wyglądał na lekko zdziwionego, oczy jednak miał zimne, a usta zacisnął w cienką linię mówiącą: „Nie wkurzajcie mnie, bo tylko czekam, żeby wpakować któremuś strzałę we flaki”. Najdziwniejsze, że wydał mi się znajomy.

– Coście za jedni? – spytał ostrym tonem.

Przechodzenie z jednej płaszczyzny astralnej na inną zawsze daje osobliwe wrażenia. Jednym z nich jest to, że choć czasem zmiana jest istotna, to jednak wszystko brzmi tak, jak w twoim zwykłym świecie. Facet z łukiem, odziany jak statysta z *Ostatniego Mohikanina* w prymitywne łachy ze skóry, futra i zgrzebnego płótna, mówił czystą współczesną angielszczyzną.

– To nie my podpaliliśmy tu wszystko, jeśli o to ci chodzi – odrzekłem.

– Nie o to. – Linię ust miał równie napiętą jak cięciwa. – Akurat wiem kto, bo widziałem na własne oczy. Kim jesteście?

Nie byłem pewien, czy gość, który patrzył, jak Anaita demoluje okolicę, ucieszy się na widok aniołów. Nie wiedziałem też, jaki obowiązuje tu model umierania od strzały w jelitach. Czy potem wrócilibyśmy tutaj? Zresztą i tak ostatnio nie mogłem sobie pozwolić na ufność w reinkarnację.

– Ja jestem Bobby, a to...

– Harrison – wszedł mi w słowo Clarence i mimo wyraźnej cykorii zdołał rzucić mi jędzowate spojrzenie. – Nazywam się Harrison Ely. Nie jesteśmy waszymi wrogami.

– Ciekawe, skąd ta pewnośc – wycedził łucznik. Kogoś mi przypominał, przynajmniej na ile mogłem to zobaczyć pod popielistym kamuflażem. – Ale ocenę zostawię raczej innym. – Nie luzując cięciwy, skinął łukiem, by wskazać drzwi. Młody więc przez chwilę nie był na linii strzału; gdybym stał bliżej, teraz właśnie rzuciłbym się na obcego. Ale nie stałem. – Idziemy. Wy przodem. I nie guzdrać mi się. Nie zamierzam tu sterczeć dłużej niż trzeba.

Nie będę was zanudzał opisem całego marszu. Powiem tylko, że gdy opuściliśmy dom i strefę zniszczenia, krajobraz robił się coraz wspanialszy. Nie, to zbyt płaskie, puste słowo. Było oszałamiająco pięknie. Cudownie. Transcendentalnie nawet; działało to na mnie tak niesamowicie jak za pierwszym razem. Gdy tak wspinaliśmy się z trawiastej doliny na stoki przedgórza, znów miałem przedziwne wrażenie, że jestem pod wpływem psychodelików. Nie wiem, czy

kiedyś próbowaliście, ale wszystko jest wtedy tak wyraziście, że aż serce człowiekowi pęka z uniesienia. Woda jest nie do zniesienia przezroczysta, a przy tym intensywnie barwna i płynie przedziwnym nurtem. Światło bardziej się załamuje. Dotyk się wyostrza, a szczegóły zwykle niedostrzegane, jak deseń kory na pniu drzewa, zaczynają być misterne i fascynujące jak najdoskonalsze dzieło sztuki. Wszystko zaś, dosłownie każda rzecz, zdaje się lśnić od środka, jak gdyby została w tej chwili stworzona specjalnie po to, abyś na nią patrzył i napawał się jej idealną wspaniałością.

Kainos, gdy już zniknęła nam z oczu scena ataku furii Anioła Deszczu, był właśnie taki. Nie dlatego, że łyknęliśmy kwas, ani dlatego, że był czymś nadprzyrodzonym – przeciwnie, wydawał się absolutnie naturalny, jak park założony, by ludziom przypominać, że jesteśmy częstką przyrody i vice versa. Każde drzewo jakby pławiło się w pewności swego miejsca we wszechświecie. Ziemia intensywnie pachniała wszystkim, czym może pachnieć ziemia, a wszystkie wonie, także te z lekka niemiłe, były wprost wspaniałe. Nawet kamienie wydawały się bytami nie mniej interesującymi niż ludzie. Myślę jednak, że to niebo naprawdę mnie rozłożyło. Niby zwyczajne – wysokie, błękitne, upstrzone barankami – ale pierwszy raz w życiu czułem, że ten mleczny szafir naprawdę jest koroną wszego stworzenia i że mamy szczęście pod nim żyć.

– Jakież to cudne miejsce! – zakrzyknąłem w końcu, pewny, że jeśli czegoś nie powiem, to mnie rozsadzi od środka.

– Owszem – odrzekł znajomy nieznajomy i na chwilę się rozluźnił. – Kiedy się tu znalazłem, po prostu chodziłem. Godzinami.

Albo się kładłem i patrzyłem na chmury. Jakbym znów był dzieckiem.

I wtedy go poznałem. Światło padło na niego po innym kącie i przypomniałem sobie fotografię, którą widziałem w jego domu. Została zrobiona, gdy był w wieku zbliżonym do tego, na jaki teraz wyglądał, podczas górskiej wędrowki – młody, zdrowy, sprawny i zdecydowany. Zupełnie inaczej, niż gdy go pierwszy raz ujrzałem na Ziemi. Był wtedy sinoróżowy i bardzo nieżywy.

– Znam cię – rzekłem. – Jesteś Edward Lynes Walker.

Odwrócił się tak szybko, że nie zdążyłem odskoczyć. Grot strzały znalazł się o dziesięć centymetrów od mego lewego oka.

– Znasz mnie? A to skąd?

Rozwahałem, czy mu opowiedzieć, jak jego śmierć i zniknięcie duszy wyekspediowały mnie w obłądny wir wydarzeń; jak kilkakrotnie omal nie zginąłem lub jeszcze gorzej; jak wreszcie doprowadziły mnie do samego Piekła i z powrotem. Uznałem jednak, że mogę z tym poczekać, póki się lepiej nie rozeznam w tym świecie.

– Widziałem cię za życia – odparłem, co nie było prawdą, ale tyle czasu spędziłem na studiowaniu tej osobowości, że miałem prawo do takiego skrótowego myślowego.

Odpowiedź go nie zadowoliła, odmówiłem jednak uprzejmie, acz stanowczo, rozwinięcia wątku. Próbował mi grozić, widziałem jednak, że nie wkłada w to zbyt wiele serca. Mógłby mnie postrzelić, gdybym chciał go zaatakować, lecz miał duszę – czy raczej był nią – naukowca i humanisty i nie potrafił wykrzesać dość gniewu, by mnie

przewiercić na wylot. Po długim wahaniu opryskliwie kazał mi ruszać dalej.

Wędrówka zajęła resztę popołudnia i miałem przyjemność patrzeć na zachód słońca w świecie, którego nigdy przedtem nie odwiedzałem. Tylko że byłem dziwnie pewien, iż musiałem tu już kiedyś być.

– To jest Ziemia, prawda? – spytałem.

– Bobby! – krzyknął Clarence.

Chyba się bał, że zamierzam jakoś skołować Walkera, a najwyraźniej nie podzielał mojej ufności w jego niechęć do rozlewu krwi.

– Tak – potwierdził Walker. – W każdym razie na to wygląda. Ziemia bez ludzi. Żadnych farm, miast, grobli czy kanałów. Ani nawet rdzennych Amerykanów przegradzających rzeki sieciami na łososie.

– Aha. Jakoś szczęśliwszy ten świat bez nas, co?

– Właśnie. A teraz stop z gadaniem, proszę, bo jeszcze ktoś usłyszy obcy głos i pośle w nas strzałę. Nie cierpię ginąć przez pomyłkę.

Zrozumiałem aluzję.

Szliśmy ścieżką wyglądającą na szlak jeleni. Dąbrowa wkrótce ustąpiła drzewostanowi bardziej północnemu i dzikszemu. Powietrze łaskotało nozdrza aromatem żywicy. Jeszcze trochę i znaleźliśmy się w borze sosen i sekwoi tak wysokich, że blokowały resztki światła

dziennego. Domyślałem się, że jesteśmy już blisko celu, gdyż okolica świetnie się nadawała na kryjówkę, ale i tak drgnąłem zaskoczony, kiedy z gęstwiny padło wykrzyczane piskliwym głosem:

– Stać albo zginiecie!

– To ja, Szarifie! – odpowiedział Walker. – Mamy towarzystwo. Leć przodem i uprzedź naszych.

– Dobra! – odkrzyknął głos najwyraźniej należący do jakiegoś maślaka.

Po kilku minutach dotarliśmy na płaskowyż. Z cienia wyłonili się mężczyźni odziani na tę samą mohikańską modłę i szybko otoczyli nas ciasnym pierścieniem. Wszyscy mieli jakąś broń – pałki, dzidy, łuki – trzymałem więc ręce na widoku i starałem się sprawiać wrażenie nieszkodliwego. Clarence też zachowywał się jak uczeń pierwszego dnia w nowej szkole.

– Dajcie im trochę luzu! – dobiegł z lasu dobrze mi znany baryton.

Walker poprowadził nas przez gromadzący się zaciekawiony tłumek, aż znaleźliśmy się przed grupą ludzi siedzących wokół małego ogniska, ledwo widocznego spoza otaczającego je kamiennego murku. Pośrodku, wciąż ubrany w resztki wystrzępionego garnituru, w którym ostatni raz go widziałem, lecz uzupełnione dodatkami w tutejszym stylu, zasiadał mój najlepszy kumpel Sam.

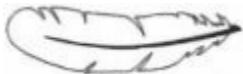
– To ty, B.? – rzucił na powitanie. – Hej, i Młody też? Już się zastanawiałem, czy się w ogóle zjawisz. Nie spieszyliście się zanadto.

– Dopiero co odebrałem twoją wiadomość – odparłem. – W końcu byłeś w moich stronach kiedy, raptem wczoraj? A zatem niezbyt dawno. Wszystko z tobą w porządku, stary?

– Wczoraj według czasu ziemskiego. – Zaśmiał się ponurawo. – Tu minęło go trochę więcej. I co, podoba ci się u nas? Mam nadzieję, że tak, bo nie sądzę, żeby którykolwiek z nas miał stąd wrócić.

Czterdzieści trzy

Raj



Aniech to, Ollie – powiedziałem do Sama, gdyśmy już usiedli na płaskich kamieniach przy ognisku. – Przepraszam, Ollie.
– Cały ty, Stanley. – Pokręcił głową w najlepszym stylu Olivera Hardy’ego.

Zazwyczaj uważaliśmy przerzucanie się kwestiami z *Flipa i Flapa* za niezwykle zabawne, nawet w paskudnych sytuacjach, ale teraz żadnemu z nas nie było do śmiechu. Świadomość, ile nam obu wody upłynęło, to słaba pociecha, kiedy most się w końcu zawalił.

Siedzieliśmy wszyscy w milczeniu, grzejąc dłonie przy ogniu. Niejeden z mieszkańców Kainos, którzy obserwowali nas jak zaniepokojone dzieci podglądające dorosłych, z wolna się rozluźniał, a przynajmniej nie okazywał już lęku. Naturalnie żadne z nich nie było dzieckiem. Nawet wartownik Szarif, który rzeczywiście wyglądał jak podrostek, prawdopodobnie miał za sobą całe długie życie – bo tylko takich ochotników werbowali Magowie, ludzi co najmniej w sile wieku, z doświadczeniem, którzy zechcieliby zamienić rzut monetą między Niebem a Piekłem na bardziej zniuansowane życie pozagrobowe. Domyślałem się, że część z nich

teraz żałuje tej decyzji. Obszarpani, często w bandażach, pionierzy Trzeciej Drogi bardziej przypominali uchodźców wojennych niż dusze wielkich i dobrych, cieszące się zasłużoną nagrodą. Po szybkim oszacowaniu liczby takich ognisk rozrzuconych po lesie obliczyłem, że jest ich tu w sumie nie więcej niż kilkuset. Niezupełnie armia.

Grunt był twardy, powietrze ostre i chłodne, ale przynajmniej gdziekolwiek się to miejsce znajdowało, nie panowała tu akurat zima. I całe szczęście, bo na takim lichym ogniu nie dałoby się upiec nawet plasterka boczku.

– Jak to się mogło spieprzyć tak szybko, Sam? Ile czasu tu minęło, odkąd się widzieliśmy?

– Chyba ze dwa tygodnie. Ale poszło błyskawicznie. Wiesz kto zjawiała się tu tego samego dnia co ja. Na szczęście większość naszych była wtedy poza osadą. Stary, ona jest nie tylko ambitna czy skomplikowana. To wariatka... w każdym razie taka była w tamtej chwili. Niektórzy z naszych bossów to istne świętoszkowate dupki, ale z nią jest coś naprawdę nie w porządku.

– Doktor Gustibus... – zacząłem, ale zdałem sobie sprawę, że mój kumpel nie ma pojęcia kto zacz. To był kolejny bolesny cios, bo przecież kiedyś zawsze wiedział wszystko to co ja. To się jednak zmieniło od powstania Trzeciej Drogi. – Taki jeden znajomy, badacz amator, twierdzi, że ona jest inna niż reszta archaniołów, gdyż ongiś była boginią.

– Ano była, i to taką nie z tych dobrych. Wparowała tu jak dywizja antyterrorystów.

– Tylko po co w ogóle zbudowała ten świat? – Pokręciłem głową sfrustrowany. – O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego porwała się na tak ryzykowny układ? I co na tym zyskał Eligor?

– Czy jest tu coś, czego potrzebowała? – wtrącił Clarence.

– A niby czego jeszcze może potrzebować taka wysoka figura, która i tak ma wszystko? – odburknął Sam.

– Pieprzenie w bambus! – odezwał się gniewny głos. Obejrzałem się i stwierdziłem, że to Walker. Siedział z metr od nas, podczas gdy reszta obecnych trzymała się na pełen respektu dystans. – Mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż ta pusta gadanina. Na przykład przetrwanie.

– Weź na wstrzymanie, Ed. – Sam odwrócił się do mnie. – Chyba już skapowałeś, kto to jest. Dobry człowiek, ale ostatnio nie wiodło się nam najlepiej i...

– Nie musisz mnie usprawiedliwiać, Samarielu – zachnął się Walker. – Mamy kilkuset ludzi do ochrony, a ona tu wróci. Przez ciebie. – Splunął pod nogi. – Przez was, Magów. Anioły! – Wypowiedział to słowo jak przekleństwo. – To wy jesteście przyczyną tego wszystkiego. I teraz wasza szalona szefowa zniszczy nas wszystkich.

– A może wasze dusze pójdą tam, gdzie od początku powinny się znaleźć – rzucił Clarence. – Najwyższy nie dopuści, abyście po prostu zniknęli.

– Miałem przed sobą jeszcze wiele lat życia! – Walker zerwał się na równe nogi. – Musimy zabić tego potwora albo jakoś się jej

wykupić, bo pokonać nie możemy. I jeśli nie umiecie wymyślić sposobu na jedno albo drugie, to wszyscy tracimy tylko czas, zamiast uciekać stąd jak najdalej. – Obrzucił mnie i Clarence'a wrogim spojrzeniem. – A gdy się na to zdecydujemy, to nasze szanse wzrosną, jeśli nie będzie wśród nas aniołów. Nawet ciebie, Sam.

Podniósł łuk, odwrócił się i odszedł.

– Nie zwracajcie na Eda uwagi – rzekł Sam, patrząc za odchodzącym. – Całą noc i dzień spędził na patrolach. Jest wykończony i przerażony. Jak my wszyscy.

Minę miał jednak nieszczęśliwą.

– Ilu macie tu ludzi? – spytałem. – I jak ich wszystkich żywicie?

– Jak żywimy? – Sam się uśmiechnął. – To w założeniu był raj, mój synu. Duszom w Kainos żarcie niepotrzebne. Część osadników spożywa owoce, warzywa czy korzenie jadalne, ale dla smaku, a nie z konieczności. Oczywiście musimy też używać roślin do produkcji różnych rzeczy. – Podniósł róg koca, który miał narzucony na marynarkę. Siermiężna tkanina przypominała jutę. – Jest tu roślina, z której nauczyliśmy się wyrabiać włókno. Mamy owce i inne zwierzęta wełniste, więc w przyszłości na pewno opanujemy lepszą technikę tkacką.

– My? Mówisz jak tubylec.

– Musiałem się dopasować – odrzekł, już bez uśmiechu. – W końcu wielu z nich to ja tu sprowadziłem. A jest się czego uczyć, czy może raczej sobie przypominać. Kainos istnieje raptem kilka lat, a wśród zwerbowanych więcej jest uczonych niż rolników. To przez

Kefasa. Wygląda na to, że świadomie pilnowała, żeby przedkładać filozofię nad pragmatyzm.

– Aha. – Uniosłem brwi, bo coś mi nagle przyszło do głowy. – Wybierała wrogów.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Bobby? – zdziwił się Clarence.

Rozejrzałem się. Po odejściu Walkera większość mieszkańców odsunęła się od nas, może dlatego, że nie chcieli wiedzieć, o czym rozmawiamy. Widać po nich było, że są przerażeni, a słowo „anioł” już im się nie kojarzy z dobrem.

– Chodzi chyba o to, że ona chce być czczona – odrzekłem cicho. – Myślę, że to właśnie chciał mi zasugerować doktor Gustibus. Jako archanioł była tylko jednym z wielu równych sobie w służbie Najwyższego, jakkolwiek ważna mogła się wydawać przy nas, szaraczkach niebieskich. Widziałem ją jednak u niej w domu i powiadam ci, żyje, jak przystało na persko-amerykańską księżną, co ma pięć tysięcy lat. Zatręskniła do dawnego statusu, nie chciała jednak mieć za wyznawców lumpów i durni. Potrzebowała najlepszych, najświatlejszych. Jak ci tutaj. – Potoczyłem ręką wokoło. – Szukała mędrców, racjonalistów, którzy na Ziemi praktycznie odrzucali wiarę w Niebo.

– Poważnie? Wszystko tylko po to, by znów poczuć się bóstwem? – Clarence szeroko otworzył oczy.

– Raz bogini, zawsze bogini. Tego się tak łatwo nie wymaże z pamięci. Tak, to by było logiczne. – Pokiwałem głową. Fragment układanki, mały co prawda, ale zawsze, wskoczył mi na właściwe

miejsce. – Inaczej po co miałyby ryzykować wszystko, by zbudować coś podobnego? Po pierwsze, trzeba mieć niezły tupet, żeby tak zadrzeć z Niebem, że już nie wspomnę o konszachtach z Piełem. Po co się porywać na budowanie od podstaw całej kolonii... bo tak trzeba to nazwać. Otóż właśnie po to, by znów mieć własne grono czcicieli. Tylko że wyszło inaczej, niż planowała, no i się wkurzyła.

– Wkurzyła? Ha! To nawet w przybliżeniu nie oddaje tego, co tu się działo – stwierdził Sam. – Ja tego nie widziałem, ale Ed mi opisał. Wpadła tu na rydwanie ze światła ciągniętym przez jej dwa diamentowe fruujące lwy. Nadleciała jak F-16 i spopieliała wszystko wokół domu. Sam na pewno widziałeś.

– Domu jednak nie spaliła – zauważyłem.

– Chyba dlatego, że trzyma tam kryształ do chodzenia do Mekki, ale w sumie diabli ją tam wiedzą.

– Albo dlatego, że to jej kościół.

– Że co? – Sam ze znużeniem przetarł oczy. – Powtórz to, dobra? Nawet anioł musi się tu czasem wyspać, tak samo jak na Ziemi.

– Nie zastanowiła cię ta konstrukcja? Wyższa niż trzeba, z wieżą... Toż to zakamuflowana świątynia, brachu. Miejsce jej kultu.

– Może i tak. – Sam zacisnął usta. – Ale w tej chwili wątpię, by oczekiwała wielkiej czci. Nie po tym, co tu wyprawiała. Jej wrzask słyhać było w promieniu kilku mil. Krzyczała tak, że echo się niosło po górach, żeby jej wydać zdrajców. – Popatrzył na mnie przeciągle. – To znaczy nas dwóch, koleś... ale przede wszystkim ciebie, sorki. Co nie znaczy, że ze mną obejdzie się łaskawiej. Ostatnich dwóch

Magów, którzy tu jeszcze zostali, by nadzorować osadę, Kelatiela i Fidoratona... nazywaliśmy ich Kiley i Fred... rozbiła na atomy wraz z ponad dwudziestoma obecnymi tam akurat duszami. Tyle dobrego, że nie zabawiła długo i nie ścigała nas pozostałych.

– Tak, to daje jakąś nadzieję. To znaczy, że jej moc ma jakieś granice, albo też powstrzymuje ją coś w Niebie.

Zakonotowałem sobie to spostrzeżenie. Nadal byłem zdania, że szanse mamy nie większe niż bałwan w Piekło, ale nie zamierzałem kapitulować bez walki.

Jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, nie takim pogodnym, jak to wśród starych przyjaciół, ale raczej z wyczerpania. Ja i Clarence mieliśmy za sobą tylko długi marsz, lecz widok dokonanego przez Anaitę spustoszenia wypalił we mnie całą energię. Uczucie to nie było mi obce. Podobnie się czułem w czasie służby w „Harfie”, w godzinach przed większą akcją, zwłaszcza gdyśmy już stracili szefa kompanii Leo Lochę (zginął i nie został reinkarnowany). Było w tym wszystko: strach, zwątpienie, chęć wykrzyczenia pod niebiosa, jakie to wszystko niesprawiedliwe, a nawet ucieczki dokądkolwiek, byle dalej. Tego jednak nie robiliśmy, bo wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku i gdybyś nawalił, cały mur mógłby runąć – a i tak wydawał się chwiejny jak cholera.

– Coś jeszcze powinienem wiedzieć o fizyce tego światka? – spytałem.

– Że niby coś jak „Dla uniknięcia śmierci podskocz dwukrotnie i użyj specjalnej monety przeżycia”? – Sam uśmiechnął się

melancholijnie. – To nie gra komputerowa, B. Tu jest w zasadzie tak samo jak na Ziemi. Większa siła bije mniejszą. Nie musimy jeść, no i dusze może nie umierają, ale po śmierci ciała każda znika i już nie wraca. Przekonaliśmy się na własnej skórze, kiedy ta, co wiesz, skopała nam tyłki. Podejrzewam, że jak powiedział Młody, zabici poszli na prawdziwy sąd. – Przez chwilę widziałem w jego oczach dojmujący ból, który tak starał się ukrywać. – Mój Boże, mam nadzieję, że tak się właśnie stało.

– Może i tak, ale ona i to musiała jakoś zachachmęcić. Inaczej nie zaryzykowałyby uwolnienia tyłu dusz. Musi mieć sposób na uciszenie ich w kwestii Kainos, kiedy będą sądzeni. Może posłużyła się tą samą sztuczką co ze mną. Albo w ogóle trzyma je gdzieś i nie dopuszcza do rozprawy. – Przyznaję, zadrzałem na tę myśl. – Jak tu było, zanim wszystko przeorała ogniem?

– To znaczy...?

– No, czy była jakaś reguła? Zła Czarownica odwiedzała was często, gdy jeszcze była Kefasem?

– Należą ci się przeprosiny, Bobby. Miałeś rację co do niej, tylko ja nie chciałem nic o tym słyszeć. Za dużo włożyłem w to miejsce. Dałem się wrobić i znów w coś uwierzyłem.

– To już bez znaczenia, stary. Chcę się tylko dobrze rozeznać w sytuacji.

– Myślisz, że możemy zrobić coś więcej niż po prostu czekać na upieczenie?

Clarence się nie odzywał, ale słuchał uważnie. Zdążyłem chłopaka

polubić i przykro mi było, że go wciągnąłem w ten bajzel.

– Kto wie – mruknąłem. – Wolę się ludzi nadzieją, więc uprzejmie proszę, odpowiadaj na pytania. Weźmy na przykład kryształ. Łączy się tylko z Anaitą czy z kimś jeszcze?

– O ile mi wiadomo, tylko z nią. Tą drogą przysyłała nam wiadomości i instrukcje, kiedy jeszcze wierzyliśmy. My też mogliśmy ją wywołać w razie konieczności, choć bardzo tego nie lubiła. Nawet jako Kefas była trudna do zniesienia. Łączność jednak zawsze działała.

– No, to już coś. Dalej masz swoją magiczną rękawicę?

– A mam. Noszę zawsze przy sobie. – Poklepał się po podartej marynarce. – Tylko że chyba nie da się jej użyć przeciwko Anaicie. Fred też taką miał, i wszyscy inni. Walker mówił, że Fred chciał to zrobić, kiedy zaatakowała. Skończyło się tak, że najpierw zapaliła mu się dłoń, a potem cały stanął w ogniu. Przynajmniej miał szybką śmierć. Być może zrobię to samo, jak przyjdzie co do czego. – Roześmiał się i usłyszałem w tym dawnego Sama. – Jak już, to już.

– Tylko bez głupstw. Jeszcze nam się opcje nie skończyły.

Popatrzył na mnie cynicznie, ale z domieszką autentycznego zaciekawienia. Poczuję się jak ostatni sukinsyn, bo sam nie wierzyłem, żeby którykolwiek z moich niedopieczonych pomysłów miał choćby minimalne szanse powodzenia. Za dużo zmiennych, w tym takich całkiem wariackich w rodzaju „Czy mogę ufać Eligorowi?”. Tak, nie przesłyszeliście się. Przeżyć moglibyśmy tylko wtedy, gdyby arcyksiążę Piekła, który mnie nienawidzi i już parę

razy dałem mu się zrobić w konia, uznał za stosowne nas wesprzeć. Przyjął propozycję, którą mu złożyłem w Five Page Mill, ale znaczyło to tyle co nic – nawet gdyby znowu mnie wyrolował, jemu nic by się nie stało, więc właściwie nie postawiłbym złamanego centa, że jednak dotrzyma umowy.

– Jakież zatem mamy te opcje? – spytał Sam.

– A to bezpieczne? – wtrącił Clarence. – Możemy zaufać tym ludziom?

Pytanie było sensowne, ale jak już powiedziałem, nikt z dusz Kainosowych raczej nie podsłuchiwał. Na wszelki wypadek skinąłem jednak na nich, abyśmy odeszli nieco dalej od obozu. Dopiero długo potem zdałem sobie sprawę, że nie pomyślałem o sprawdzeniu, w którą stronę udał się Edward Walker.

– Jest tak – zagailem, kiedy już stanęliśmy kręgiem pod pobliską skałą. – Naprawdę nie mamy szans z naszą przyjaciółką boginią, jeżeli wdamy się z nią w zwykłą strzelaninę.

– O strzelaninie nie ma nawet mowy – rzekł Sam. – Może już zauważyliście, że poza kryształem nie mamy tu żadnej techniki, która mogłaby zadziwić średniowiecznego chłopca. Ot, łuki, strzały, dzidy, maczugi. Kurde, nie doszliśmy jeszcze nawet do epoki brązu! Jak więc mielibyśmy walczyć z wiadomo kim? Tu nie Kansas, ale też nie Szmaragdowe Miasto. Można ją oblać największym na świecie wiadrem wody i guzik, nic to nie da.

– Wiem. Ale też nie położę się, żeby czekać na śmierć. Ta suka prześladowuje mnie od miesięcy. Nasłała na mnie tego psychola

Śmieszka, wyprała mózg Waltowi Sandersowi i wpakowała go do Piekła... Taa, wiem, Młody, tego ci jeszcze nie mówiłem, ale tak właśnie było, wyobraź sobie. Aha, no i jeszcze zamordowała moją kumpelę, bardzo fajną dziewczynę. Do kompletu brakuje jej jeszcze nadziania na rożen mnie i ciebie Sam. Ciebie też, Clarence, skoro jesteś z nami. Ona nie zostawi żadnych świadków.

– Harrisonie – odparł.

– Że co?

– Obiecałeś, że przestaniesz mnie nazywać Clarence'em.

– Tak? Kurde, rzeczywiście. Słuchaj, jak to przeżyjemy, będę się lepiej starał.

– To właśnie w twoim stylu, Bobby – zachnął się, lecz bez większego zapału. – Przyrzekać coś, czego nie będziesz miał okazji dotrzymać.

– Tylko takie obietnice warto składać, przyjacielu. Dobra, a teraz dajcie mi upleść parę durnych, beznadziejnych pomysłów, żebyście mogli je szybko zestrzelić.

– Jestem zbyt zmęczony – zaprotestował Sam. – Nie możesz nam od razu powiedzieć, żeś cymbał, nic z tego nie wyjdzie i tylko ściągniesz na nas kostuchę, żebym mógł się przespać?

– Nie da rady, chłopie. Jesteśmy tu na zawsze, ale to może potrwać raptem do świtu, więc pogadać musimy teraz.

– Szlag by to... Ty chyba nie przestałyś gadać nawet po całopaleniu.

Znajome, a zarazem wariacko obce gwiazdy wędrowały po niebie nad nami. Obóz zapadł w ciszę i sen, a ja naszkicowałem przyjaciołom mój nowatorski plan, jak dać się wykończyć.

Bo co, mielibyśmy umierać w jakiś oklepany, nudny sposób?

Czterdzieści cztery

Biało na czarnym



Wnocy zaczął padać śnieg. Wirujące drobne płatki czepiały się włosów i ubrań, lecz na ziemi jakoś nie mogły się skrzyknąć w zaspy. Przynajmniej dopóki nie wzmógł się wiatr. Potem już szybko rozwinęło się to w pogodę, jakiej na Ziemi należy się spodziewać zimą w górach – a przecież to była właśnie Ziemia, choć ta wersja północnej Kalifornii do niedawna nie znała śladów ludzkiej stopy.

Sen nie nadchodził, wstałem więc i powlokłem się na skraj obozowiska, by pograć się w ponurych rozmyślaniach. Minąwszy ostatnią grupkę śpiących Kainosowian, ciasno do siebie przytulonych dla ochrony przed chłodem, ujrzałem trzymającą wartość samotną kobietę. Siedziała na uboczu, okutana w kilka warstw tkaniny i skór, z dzidą w jednym ręku i czymś, czego nie rozpoznałem, w drugim. Widziałem to, naturalnie; dysponuję wszak anielskim superwzrokiem (nieco lepszym od ludzkiego, ale to żadne tam promienie rentgenowskie). Po prostu było to coś zbyt dziwnego jak na którąkolwiek znaną mi broń. Wartowniczką obserwowała mnie bez słowa, lecz gdy ją mijałem, wydała jakiś cichy nieokreślony dźwięk. Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że to szczykanie zębów.

Zawróciłem.

– Chyba ci zimno? – zagadnąłem. – Mogę postróżować z tobą?

– Jesteś aniołem, nie?

Czułem, że nie jesteśmy w tych stronach tak popularni jak kiedyś, nie było jednak sensu kłamać.

– Tak. Nazywam się Doloriel. – Wyciągnąłem do niej dłoń. – Ale na Ziemi wołają na mnie Bobby.

Skinęła głową, najwyraźniej przyzwyczajona do zwrotu „na Ziemi”, nie sprawiała jednak wrażenia uradowanej spotkaniem.

– A więc anioł. Samariel to twój przyjaciel?

– Od bardzo wielu lat.

– On też jest z San Judas, jak ja. I wielu innych, z tych najwcześniejszych, jak Ed. – Nad czerwonym z zimna nosem lśniły młode inteligentne oczy (nikt nie był tu stary, przynajmniej z wyglądu), musiały już jednak widzieć sytuacje, których ich właścicielka wolałaby nigdy nie zobaczyć. – Znasz Eda?

– Osobiście poznałem go dopiero dzisiaj, lecz wcześniej sporo o nim słyszałem.

– Tak, jego wszyscy znają. Jest tu kimś w rodzaju burmistrza. Oficjalnie tę funkcję sprawuje Nathalie Weng, ale tylko dlatego, że Ed zapowiedział, by go nie wybierać, bo i tak nie przyjmie stanowiska.

Coś mi nie pasowało z tym Walkerem. Trudno mi było skojarzyć tego gniewnego milczka z powszechnie znanym i lubianym

naukowcem i biznesmenem, którego życiorys przestudiowałem. No ale to, co przeszedł on i inni obywatele Kainos, nie ma precedensu.

– A ty kim jesteś? – spytałem.

– Och, przepraszam. – Wbiła dzidę w ziemię i wyciągnęła rękę w beżowej rękawicy z juty, którą zacząłem już w myślach nazywać tutejszą bawełną. – Na imię mam Lira, jak gwiazdozbiór. Lira Garza. Mój ojciec był astronomem hobbystą.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu na ten zbieg okoliczności. Ona Lira, ja służyłem w „Lirze”.

– A w Jude gdzie mieszkałaś? Bo i ja jestem stamtąd.

– Świat jest mały. – Dziewczyna rozejrzała się wokoło. – Nawet dosłownie, przynajmniej pod względem zaludnienia. Raptem kilkaset osób i tyle ziemi do zbadania, eksploataowania, urządzenia... I nagle wszystko się wali. Przepraszam, jestem rozkojarzona. Studiowałam na Stanfordzie, a mieszkałam w Barron Park, niedaleko uczelni.

– Ja w centrum, najczęściej w zasięgu spaceru od Beeger Square. Chciałem cię zapytać, co to za dziwną rzecz ściskasz w ręku.

– Och, to? – Podniosła wyżej gruszkowaty przedmiot. – To grzechotka alarmowa, na wypadek gdyby trzeba było wszystkich zbudzić. Zrobiona z wysuszonego gniazda os, w środku ma kamyki. Głośna jest. – Odgarnęła z czoła kosmyk włosów i popatrzyła na mnie spod zmrużonych powiek. – Proponowałeś, że mnie zastąpisz. Miłe, ale dziękuję, nie. Chcę robić, co do mnie należy, bo w razie draki nie przydam się jako bojowniczką.

– Może do tego nie dojdzie. Przynajmniej nie dla ciebie i reszty...
Jak wy o sobie mówicie? Zapomniałem spytać Sama.

– Długo się o to spieraliśmy. – Uśmiechnęła się i pierwszy raz zobaczyłem w niej coś innego niż tylko biedną zmarznąętą duszę. – U siebie mówiliśmy różnymi językami, a tu wszyscy posługujemy się... no, jakąś wspólną mową i niektóre słowa mają inne znaczenie. – Roześmiała się. – Marzy mi się, żeby studiować tę... anielszczyznę i różnice w jej rozumieniu przez różnych ludzi. To by była cała nowa filologia. Byłam etymologiem... Byłam? Co ja tu ściemniam, zawsze będę. W każdym razie możesz sobie to wyobrazić: setki wykształconych, zagubionych i wystraszonych ludzi. Na początku byliśmy znacznie szczęśliwsi, oddając się bardziej dyskusjom niż budowaniu czy poznawaniu nowego świata. Myślę, że... no cóż, z powodu religijnego charakteru tego, co się z nami stało, zgodziliśmy się ostatecznie na miano Pielgrzymów.

– Pielgrzymi? Nawet adekwatnie, tylko najwięcej w tym łądowania *Mayflowera*, a znacznie mniej wędrówki do Canterbury.

– Jednego i drugiego po trochu. I jeśli już, to do Lourdes.

– Z nadzieją na cud?

– No, teraz to na pewno.

Poszedłem na długi spacer, rozmyślając o słowach Liry i o milionie innych spraw. Zabrnąłem tak daleko w las, że normalny człowiek na moim miejscu mógłby się zaniepokoić, czy będzie umiał znaleźć drogę powrotną. Przy moim wyostrzonym węchu i orientacji przestrzennej nie miałem z tym jednak problemu. Do świtu było

jeszcze daleko, lecz większość Pielgrzymów już nie spała i szykowała się do wymarszu – ku niebezpieczeństwu, a może nawet śmierci. Rozmowa z Lirą Garzą uzmysłowiła mi jeszcze wyraźniej, jak bardzo pragnę ich wszystkich chronić, mimo że nie dzieliłem z Samem odpowiedzialności za ich ściągnięcie do Kainos. Nie mówiąc już o tym, że jeśli jakimś cudem przetrwają całą tę aferę, to ciekawie byłoby obserwować, co zrobią z tą małą kolonią, skoro dane im jest zaczynać wszystko od początku. Ziemia Dwa, zresetowana.

W mroźnych ciemnościach Sam wyjaśnił zebranym, co według niego trzeba zrobić, żeby zwiększyć szanse przeżycia. Było naturalnie sporo pytań, mile zaskoczyła mnie jednak ich rzeczowość. Niektórzy upierali się przy dalszej ucieczce, nie chcąc podejmować ryzyka, o jakim ich uprzedził. Oświadczyliśmy im, że mają wolną rękę, ostatecznie jednak odłączyło się od grupy zaledwie kilkanaście osób. To też mnie zaskoczyło.

Wyruszyliśmy krótko po brzasku. Od razu doceniłem to, że nie trzeba tu się troszczyć o aprowizację. Na Ziemi mawia się, że armia maszeruje na żołądkach; nasze wojsko mogło jednak karmić się samą tylko słuszną sprawą. Przynajmniej dopóki nie zacznie się rozróżba, poprawiłem się w duchu. Potem największa nawet słuszość nas nie obroni.

Clarence był o wiele za rozmowny jak na tę wczesną porę, zwłaszcza w świecie pozbawionym kawy, odesłałem go więc, by sobie gadał z duszami wybranymi do rozmaitych funkcji. Poza tym chciałem się rozmówić z Samem na osobności, a o nią było trudno w tłumie podenerwowanych Pielgrzymów.

Nie od razu nadarzyła się po temu okazja. Najpierw we dwóch odbyliśmy długą naradę z Nathalie Weng, Eurazjatką z Szanghaju obdarzoną pewnością siebie na miarę generała MacArthura. Przypadła mi do gustu, podobnie jak jej zastępca Farber, młody zamyślony człowiek, za życia zamieszkały we Fryburgu. Mówię „młody”, w rozmowie napomknął jednak o bombie lotniczej, która zburzyła jego dom rodzinny „w czasie wojny” – a nie sądzę, by miał na myśli wojnę w Zatoce Perskiej, jako że ten konflikt nie obejmował południowych Niemiec. Tak już jest z Kainosowianami: wyglądają jak studenteria na letnim obozie, ale większości z nich prawdopodobnie stuknął siódmy lub ósmy krzyżyk, zanim umarli. Niektórym chyba nawet więcej.

Ed Walker trzymał się w pobliżu, lecz nie włączył się do dyskusji. Jego obecność była jednak wyraźnie odczuwalna nawet z kilkunastu metrów. Zauważyłem też, że ma tu większe wpływy, niż sądziłem. Kilka razy spostrzegłem, że Weng zerka na niego jakby dla upewnienia się, czy aprobuje jej stanowisko.

– My tu wszyscy ciężko pracujemy – stwierdziła. – Jesteśmy nastawieni na sukces, mamy młode i zdrowe ciała, brakuje nam jednak inżynierów i ludzi z doświadczeniem wojskowym.

– Mam nadzieję, że nie okażą się niezbędni – odrzekłem. – Jeśli nie liczyć garstki ochotników do zadań specjalnych, nie planujemy żadnych działań, które by wymagały prawdziwej wiedzy i praktyki. Wystarczy właśnie pracowitość. Miałem właśnie powiedzieć, że gdy już się tam urządzimy, chciałbym, aby wszyscy, którzy nie otrzymali konkretnego przydziału, odeszli jak najdalej od nas.

– Przekonasz ich do tego bez trudu – odparła. – Wszyscy jesteśmy w szoku po tym, co się stało naszym przyjaciołom. Nikt z nas nie pragnie tak szybko znowu umierać.

Gdy już omówiliśmy wszystko, Weng i Faber odeszli zająć się sprawami organizacyjnymi oraz, jak podejrzewałem, trochę poagitować środowisko. Wreszcie mogłem zamienić z Samem kilka słów w cztery oczy.

– Co z boską rękawicą? – spytałem. – Pytałem wczoraj wieczorem, ale widziałem, że nie chcesz o tym gadać przy Młodym.

– Nie chodziło o Clarence’a. Wolałem nie wdawać się w spór na oczach Walkera i pozostałych. Słuchanie, jak anioły obrzucają się mięsem, kiepsko by im zrobiło na morale. Bo widzisz, B., nie mogę jej użyć.

– Ale to nasza jedyna porządna broń!

– Chyba coś ci już na ten temat mówiłem, nie? Wszyscy takie mieliśmy. Każdy z Magów. I kiedy ta, co wiesz, wycięła nam ten numer, Fidoraton próbował użyć rękawicy. Spłonął. Ed Walker był przy tym i wszystko widział, tylko nie zorientował się w czym rzecz. Myślał, że to Anaita coś mu zrobiła, ja jednak wiem lepiej. Każdy, kto użyje rękawicy przeciwko archaniołowi, od którego ją dostał, skończy tak samo.

Starłem się ukryć rozczarowanie, lecz mi nie wyszło. Za długo się znamy na takie gierki.

– A mogę chociaż odbyć jedną prywatną rozmowę przez magiczny kryształ? – spytałem. – Tak, by Anaita się o tym nie

dowiedziała?

– Nie wiem. Może. Ale pewnie się dowie.

– Mój pomysł powinien zadziałać mimo to. Przynajmniej hipotetycznie. Ona się tu zjawi tak czy owak, tylko trudniej ją będzie pobić.

– Postaram się, Bobby. – Sam dał mi kuksańca w ramię. Zabolało.

– Przyjmijmy to jak ciekawe wyzwanie. Zgraja dzikusów z epoki kamiennej porywa się na boginię.

– Oni nie są z epoki kamiennej.

– Ale ich technika jest. Nasza technika, bo niczym innym nie dysponujemy. Nie czarujemy się. Będzie jak z Butchem i Sundance'em.

– Taa. – Miałem nadzieję, że nie zabrzmiało to tak fatalnie, jak się czułem. – Oby tylko reszta przeżyła. Miałby kto wspominać, jaką fajną gadkę skuteczniali tuż przed rozwałką ich anielscy kolesie.

– Ja też. Miałem w planie coś w stylu „O kurważ!”, a ty?

– No toś mnie załatwił. Teraz będę musiał wymyślić coś nowego.

Droga przez góry do domu była długa i choć wszyscy, jak to ujęła Nathalie, byli młodzi i zdrowi, podczas pierwszego ataku Anaity niejeden odniósł kontuzję, więc kolumna się trochę rozciągnęła. Gdyby nie chłód i tańczące w powietrzu śniegowe płatki i gdybym miał na sobie coś cieplejszego niż T-shirt pod letnią marynarką, mogłoby się nawet wydawać, że jestem na przyjemnym zimowym marszyku w górach Kalifornii. Nie była to jednak Kalifornia, jaką

znam, poza tym w tej prawdziwej jeszcze nie skończyła się jesień. Między Ziemią a Trzecią Drogą odczuwalny był poślizg czasu, co nasunęło mi pytanie o inne możliwe różnice.

– Nie tak znów duże – odrzekł Sam, gdy wyraziłem je głośno. – Odkąd tu jesteśmy, nikt oczywiście nie umarł. To dlatego oni są teraz tak rozstrojeni. Uważali to za wariant życia pozagrobowego, a to zazwyczaj oznacza nieśmiertelność.

– Co to znaczy: nikt nie umarł? A powinien?

– Na jednego z naszych, Murzyna Czimę, zważyło się drzewo. Rąbaliśmy wtedy las na budulec. Po pierwszych paru tygodniach stało się jasne, że potrzebne będzie więcej mieszkań, no tośmy sprokurowali sobie topory i dawaj robić za drwali. Nikt z nich w życiu czegoś takiego nie robił, no i jakiś bęcwał źle obliczył upadek. Czima nie mógł się wydostać spod pnia. Powinien zginać na miejscu... w końcu to parę ton twardego drewna... on jednak nie tylko nie umarł, ale w niecały tydzień kości mu się pozrastały, a wkrótce potem był już jak nowy. Nawet nie kulał. Przedstawiłbym ci go, tylko że był w tej grupie, która znalazła się w zasięgu furii Anioła Deszczu.

– Pieprzysz. Czyli faktycznie umarł trzy razy?

– Na to wychodzi. U człowieka byłby to rekord świata, ale że jakoś do tej pory nie wrócił, trudno powiedzieć, czy odczuwa z tego powodu wielką dumę.

– Jest coś jeszcze, co dałoby się wykorzystać? Jacyś ludzie z dziwnymi zdolnościami?

– Nie. Śmiertelnicy, których tu sprowadziliśmy, Pielgrzymi, jak się sami nazwali, są tylko odporniejsi niż na Ziemi, lecz nie silniejsi. Po prostu trochę trudniej ich tu zabić niż tam.

– Dobra, przestań już tak mnie pocieszać, psiakrew.

Pielgrzymi zaczęli okazywać zdenerwowanie, zanim jeszcze dotarliśmy na skraj wielkiej połaci nagiej zdewastowanej ziemi. Trudno ich za to winić – sam się poczułem nieswojo. Zapewne powinienem w owej chwili przemyśleć całe dotychczasowe życie, zbilansować porażki i (bardzo nieliczne) sukcesy, wspominać przyjaciół i bliskich, lecz poza kipiącą na wolnym ogniu goryczą, że chyba już nigdy nie ujrzę Caz, byłem w stanie skupić się wyłącznie na najbliższej przyszłości. To zwykły mechanizm obronny. Rób swoje, człowieku. Stawiaj krok za krokiem, a gdy ujrzysz nieprzyjaciela, strzelaj. (Chociaż w tym wypadku nie było z czego wystrzelić). Mój plan był prosty: liczy się tylko przetrwanie, a o reszcie pomyśli się później.

Tylko że była jeszcze jedna kwestia. Myślałem, że nienawidzę Eligora, arcydiabła, wszechczasowego czempiona skurwysyństwa – ale to betka w porównaniu z uczuciem, jakie mnie przepełniało wobec Anaity. Jako demon, Eligor z definicji był moim wrogiem. Zwyczajnie robił, co do niego należy, choć satysfakcję z tego czerpał zdecydowanie za wielką. Taką mu rolę wyznaczył Najwyższy w boskim planie wszechrzeczy. Ona jednak miała być, jako i ja, obrończynią bezsilnych, opiekunką niewinnych – nie zaś tym, czym naprawdę jest: szokującą, gigantyczną, do imentu popieprzoną piramidą złą.

Cokolwiek miało się stać, modliłem się, aby dane mi było przynajmniej trochę ją zranić. Już samo to mogło być dla mnie dostateczną nagrodą. Chciałem być komarem, który zrobi jej paskudnego pypcia tuż przed wystawnym przyjęciem dla VIP-ów. Pragnąłem stać się sinym pryszczem na jej czole w wieczór studniówki.

Weszliśmy na pogorzelisko i po krótkim marszu zamajaczył w dali przed nami zarys domu. Biorąc pod uwagę, że stał na wzniesieniu, możecie sobie wyobrazić, jak ogromny teren uległ dewastacji w napadzie szału Anaity. Zwęglone gałązki trzeszczały nam pod nogami. Tu i ówdzie wiatr usypywał niskie zasy śnieżne, to jednak nie wystarczyło, by przykryć obraz zniszczenia. Krajobraz wyglądał teraz jak wielka zebra albo linijki kokainy na czarnym blacie. Szliśmy na przełaj przez ten wypalony krąg, Pielgrzymi dreptali za nami rozproszeni. Przyszły mi do głowy znane z historii marsze śmierci: Bataan, ewakuacja hitlerowskich kacetów, exodus rwandyjski. Chłód, jałowa ziemia, twarze ludzi, których tu ściągnęliśmy – wszystko to spychało mnie coraz głębiej w beznadzieję. Sam musiał się z tym czuć jeszcze gorzej, skoro osobiście zwerbował do Trzeciej Drogi dziesiątki dusz.

Na miejscu przeprowadziliśmy szybki zwiad, lecz zastaliśmy dom tak samo, jak go z Młodym opuściliśmy: pusty i martwy jak serce windykatora. W izbach, pod wybitymi podczas napaści Anaity oknami, nagromadziło się trochę śniegu. Odszukaliśmy, co potrzebne, i zabraliśmy się do pracy na zewnątrz. Harowaliśmy na mrozie jak średniowieczni chłopci na pańszczyźnie, kopiąc, rąbiąc,

wiąząc węzły. Głównie jednak kopiąc. Od czasu do czasu stopowaliśmy, by napić się wody, choć bardziej dla samego poczucia przerwy niż z realnej potrzeby odpoczynku. Sam miał rację – Pielgrzymi okazali się twardym ludkiem. Większość pracowała z jednakowo ponurą determinacją i tylko Ed był dla mnie nieprzenikniony; robił swoje jak zawsze, lecz jakby nieobecny. Gdzie więc błędził myślami? To właśnie mnie niepokoiło. Wczoraj nas podsłuchiwał, gdyśmy sądzili, że jesteśmy sami, i poznał nasz plan wystarczająco, by gniewnie domagać się wyjaśnień. Nasze odpowiedzi go nie usatysfakcjonowały, ale prawdę rzekłszy, to samo mógłbym powiedzieć o sobie. Zamiar był, łagodnie mówiąc, desperacki. Walker niechętnie się zgodził, od tamtej pory jednak nie patrzył mi w oczy, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że to jedno wielkie szaleństwo. Rozumiecie? Ja to mówię, facet, który szalonymi pomysłami umie sypać jak z rękawa.

Na jakąś godzinę przed zachodem słońca zrobione było wszystko, co możliwe. Sam zawałał Walkera, Weng i Fabera.

– Już czas – oznajmił. – Lepiej zsynchronizujmy zegarki.

Popatrzyliśmy na niego jak na wariata.

– To był żart – wyjaśnił z głupią miną. – No bo przecież nie ma tu zegarków.

– Byłem jakiś czas w Piekło i wiesz co? – burknąłem. – Tam wszyscy komedianci są Niemcami.

Rzucił mi spojrzenie pełne udawanej dezaprobaty, aż się uśmiechnąłem. Niby nic, ale zawsze to dwie mile sekundy

człowieczeństwa.

– Czyli idziemy w to? – spytałem.

Sam potoczył wzrokiem wokoło.

– Na to wygląda.

– Bóg was kocha – zwróciłem się do Pielgrzymów. – Nas też, mam nadzieję. A teraz spadajcie.

Gdy długa kolumna uchodźców ruszyła przez zaśnieżone pole, wysłaliśmy Walkera z ochotnikami na wyznaczone pozycje, sami zaś, po ostatnim sprawdzeniu, czy wszystko gra, weszliśmy we trójkę do domu. Poczekałem, aż Sam włączy kryształ (w tym celu musiał użyć boskiej rękawicy).

– No, myślę, że gotowy – oznajmił. – Ale ona mogła zauważyć, że przestawiłem kanały, więc się streszczaj.

Poszedłem za dobrą radą. Wiadomość zamknąłem w dwóch słowach.

– Już czas.

Sam przerwał połączenie i zmienił ustawienie kryształu na pierwotną częstotliwość czy inny, bardziej magiczny parametr – czyli gorącą linię wprost do Anaity, naszej osobistej bogini zagłady – i znów włączył urządzenie. Przyłożyłem palec do ust (na użytek Clarence’a) i cichaczem odsunęliśmy się dalej. Potem zaczęliśmy normalnie rozmawiać, niby nieświadomi, że każde wypowiedane słowo jest słyszalne w Niebie przez wiecie kogo. Na rezultat nie czekaliśmy długo.

Najpierw strzyknęło mi w uszach od nagłej zmiany ciśnienia, jakby ktoś uderzył w nie dłońmi złożonymi w miseczki. Zerknąłem na Sama. Kiwnął głową i bez słowa doskoczył do kryształu, by raz jeszcze zmienić kanał. Ciśnienie wzrastało, pomieszczenie zaś wypełniła woń ozonu i rozległy się słabe trzaski wyładowań. Włoski mi się zjeżyły na karku i ramionach. Nabraliśmy powietrza i wyszliśmy na zewnątrz.

Stała tam owiewana śnieżnym pyłem, który zamieniał głębię perspektywy na płaski, czarno-biały obraz elektronicznego szumu, jakby w gigantycznym telewizorze leciała transmisja z ostatnich podrygów Wielkiego Wybuchu. Tym razem wybrała inną kreację: żadnego tam tłuczonego szkła, klasyczną rzymską stołę, w której wyglądała jak ożywiona Junona lub Minerva z barwnego malowidła, większa od nas i niewymownie, oszałamiająco piękna. Trzymała na smyczach dwa dziwne koty, drobne w porównaniu z jej szklanymi lwami z muzeum, płowe i długouche. Gdyby nie ponaddwumetrowy wzrost i mieniąca się suknia z materii lżejszej od jakiegokolwiek tkaniny, mogłaby uchodzić za bogatą gwiazdę filmową na przechadzce z egzotycznymi ulubieńcami. Nie byliśmy jednak w Beverly Hills.

– Dolorielu... – Jej miodowy głos wibrował miłością i żalem. Nie było w nim ani krzty gniewu z naszego poprzedniego spotkania. – Dlaczego ze mną walczysz? Czemu po prostu nie zrobisz, co ci się nakazało? – Zwróciwszy się do Sama, dodała tytułem wyjaśnienia: – Twój przyjaciel miał tylko sprowadzić cię z powrotem, a okazałoby się mu miłosierdzie.

– My? – Sam uniósł brwi. – Masz na myśli siebie i tę osobę, za którą się podawałaś?

– Podawałam? – Uśmiechnęła się, prawie rozbawiona. – Mówisz o postaci, którą przybrałam, by cię zwerbować? To nie było udawanie, lecz zwykły środek ostrożności. Czyż nie dotzymałam słowa? Czy ten świat nie jest piękny? Przynależało mi oddać go duszom, które mi przyprowadzisz, i zrobiłam to.

– A potem rozpieprzyłaś go i uśmierciłaś przy okazji dziesiątki tych dusz – wtrąciłem. – Niezupełnie to było po anielsku. W rajach takie rzeczy zazwyczaj się nie zdarzają.

– Właśnie – przytaknęła ledwo słyszalnym szeptem Clarence.

Chłopak miał niezłego cykora, ale jednak stał przy nas murem. Może pomogło to, że już nie pierwszy raz znalazł się oko w oko z Anaitą.

– Dlaczego jesteś taki krnąbrny, Dolorielu? – W pytaniu nie było złości; już raczej matczyne zmartwienie trudnym dzieckiem. – Od początku byłeś mi cierniem w boku. Jakże niepotrzebnie.

– Nic ci nie zrobiłem. To ty nasłałaś na mnie tego maniaka z bagnetem. Cały czas uparcie na mnie dybiesz.

– Nie bardziej, niż ty usiłujesz zniszczyć moje dzieło – odparła, wciąż spokojna i bardziej smutna niż zła. – Ten twój przeklęty raport! Potrzebowaliśmy jeszcze kilku miesięcy, żeby dokończyć budowę. Całe ziemskie lata by upłynęły, zanim ktokolwiek wyczułby pismo nosem. Ale nie, ty musiałeś wszystko zepsuć, ty głupi robaku, zrujnować projekt, którego piękna i chwały nie możesz nawet

ogarnąć swoim nędznym mózdzkiem. Śmiesz mi czynić wyrzuty? Powinnam była cię spopielić od razu, gdy pierwszy raz wszedłeś mi w paradę. A nawet wcześniej. Na samym początku.

Wydało mi się to bezsensowne. Poza rzeczonym raportem, który zresztą szefostwo na mnie wymusiło po zniknięciu duszy Eda Walkera, nic jej jednak nie zrobiłem. Powiedziałbym raczej, że moje zamieszanie w tę sprawę przyniosło o wiele więcej problemów Samowi niż jej.

A może chodzi jej o coś innego? „Na samym początku”...? Co prawda teraz i tak nie miało to znaczenia. Uznałem, że zastanowię się nad tym później, jeśli jeszcze będę żył, a mój organ rozmyślań nie zostanie wypalony żywym ogniem.

– Słuchaj, zostaw tych ludzi i Sama w spokoju. Daj im tu żyć, a ja wrócę z tobą.

Patrzyła na mnie długo – tak mi się przynajmniej wydawało, może dlatego, że sterczeliśmy tam w śnieżycy – po czym zaśmiała się, jakby zaświergotał najbardziej utalentowany wokalnie słowik.

– Coś podobnego! Chcesz się ze mną targować? Ty, który tak usilnie pracowałeś, by zepsuć mi triumf, jakiego nie może pojąć twór tak prymitywny!

Nagle przypomniało mi się, co Heinrich Himmler kiedyś powiedział esesmanom, zmęczonym i przerażonym wdrażaniem ostatecznego rozwiązania. „Prawdziwe bohaterstwo w tym, że musimy robić takie rzeczy, a mimo to pozostać porządnymi ludźmi”. Naaita jest naprawdę szalona. Nigdy nie sądziłem, że może to

dotyczyć anioła, ale tak właśnie z nią jest. Tak mocno wierzy w słuszność swojej sprawy, że nic innego się dla niej nie liczy. Ba! Niczego innego po prostu jej świadomość nie rejestruje.

– Dobra, jak nie, to nie – powiedziałem. – Chcesz, to mnie bierz.

– Jak sobie życzysz, Dolorielu. Ale nie zamierzam znowu brudzić sobie tobą rąk. Jeszcze poplamiałabym sobie szatę twoją nikczemną krwią.

Puściła smycze. Koty rzuciły się do ataku. Z każdym susem rosły. Coraz większe, ze ślepiami jarzącymi się bursztynowo, dopadły mnie, nim zdążyłbym doliczyć do trzech (gdybym miał na to dość powietrza w płucach i śliny w ustach). Gdy pierwszy skoczył na mnie, odsunąłem się o parę kroków w tył i opadł z łomotem na ziemię. Z rozpędu przejechał jeszcze poślizgiem z pół metra i wpadł w czarną prostokątną dziurę, którą tam wykopaliśmy. Początkowy warkot zaskoczenia przeszedł w agonalny skowyt, gdy cielsko przebiły mu zaostrome pale na dnie wykopu.

Jego bliźniak był już w powietrzu. Z łatwością przeskoczył odsłoniętą pułapkę, wylądował jednak nieco w bok, więc drugi wilczy dół go nie połknął. Zakrywające go deski (wyrwane z podłogi w domu) i gałęzie spadły zgodnie z planem, kot jednak miał dość gruntu pod tylnymi łapami, by wykaraskać się z niebezpieczeństwa.

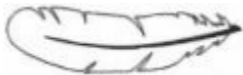
Więcej pułapek nie udało się nam wykopać.

Nie miałem jednak czasu, by nad tym rozmyślać, bo bestia rzuciła się na mnie, gdy tylko odzyskała pewny grunt. Leciało na mnie z pół tony pazurów, zębisk i twardych jak kamień mięśni. Nie zdążyłem

nawet zaprzeć dzidy o ziemię, a już się zderzyliśmy. Zwalił mnie z nóg. Przetoczyliśmy się parę razy w popiele i choć rąbnąłem głową o ziemię tak mocno, że przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem, to jedno było pewne: paszcza pełna ostrych kłów za chwilę zmiażdży mi twarz, a ja już nie mam broni w ręku. W następnej chwili mocarne szczęki zwarły się na mej głowie i świat zniknął w głębokiej, ohydnej i zaślinionej ciemności.

Czterdzieści pięć

Jak skończył się świat



Dobra, zanim wyjaśnię, co się działo, kiedy ten *felis mythicus giganticus* odgryzał mi fizjonomię, zacznę od dobrej wiadomości: teraz już miałem pewność, że potęga Anaity jest jednak ograniczona.

W sytuacji, gdy człowiekowi pękała miażdżona w szczękach potwora czaszka, nie była to może najprzydatniejsza informacja, znaczyło to jednak, że mamy szansę. Znikomą, ale zawsze.

Widzicie, nikt bowiem (przynajmniej nikt taki jak ja) nie wie, skąd wyżsi aniołowie czerpią moc. Bezpośrednio od Najwyższego, wbija się nam do głów i to może być prawda, jestem jednak przekonany, że to nie cała historia. Moc jest reglamentowana w zależności od stanowiska; im wyżej stoisz w hierarchii, tym większą dysponujesz. Ktoś taki jak Anaita, jedna z najważniejszych person Trzeciej Sfery, może jej przywołać naprawdę dużo. Gdzie i kiedy zechce. W Niebie i na Ziemi, a nawet w Kainos. Tu zresztą może posługiwać się nią o wiele swobodniej, jako że praktycznie to jej udzielne księstwo. Ale w tym właśnie sęk (dla niej): nie miała do tego prawa.

No więc Anioł Deszczu może korzystać z zasobów większych, niż

sama potrzebuje, i nieporównanie przewyższających wszystko, o czym nasza trójka może tylko marzyć. Gdyby anielska potęga była wodą, to Anaita dzierżyłaby wąż strażacki o średnicy tunelu kolejowego, my zaś mielibyśmy po dyngusowym jajku. Jednak tak jak każdy strażak skądś tę wodę musi brać, w dodatku potajemnie, gdyż każdy większy wydatek mocy może przyciągnąć uwagę Niebios.

Moją podejrzliwość wzbudziło to, że w ataku furii zniszczyła tak niewielką część Trzeciej Drogi. Jasne, nie zamierzała burzyć jej całej, atakowała jednak na oślep, nie wiedząc, czy w ogóle tam jestem; nie udało się jej też namierzyć Sama, który przedstawiał jeszcze większe zagrożenie dla jej tajemnicy niż ja. To nasuwało przypuszczenie, że nie chce zbyt długo emitować tak wielkiej energii. Mogła nadlecieć nad cel jak śmigłowiec szturmowy i siać zniszczenie, lecz tylko krótką chwilę, zanim ktoś na Górze zacznie się zastanawiać, co ona wyprawia.

To by wyjaśniało, dlaczego tak często wysługuje się innymi: zamiast pstryknąć palcami i mnie unicestwić, zleciła to Śmiskowi; do zaludnienia Kainos wykorzystała Sama i inne zbuntowane anioły.

Ale ostatecznie przekonały mnie drapieżniki. Tak, były ucieleśnieniem jej potęgi, lecz wykorzystywała je dlatego, że to stosunkowo oszczędny sposób pozbycia się wrogów. Stwórz coś z instynktem łowieckim, muskulaturą, pazurami i kłami, a z każdego dzuła włożonej energii wydusisz więcej, niż gdybyś sam się wziął do dematerializowania przeciwnika wraz z całą okolicą. Zębaty Mruczek delektujący się moją twarzą to nie drobnostka, był jednak przejawem

słabości swojej pani. Anaita próbowała załatwić nas jak najtaniej, bo musiała się z tym ukrywać przed Niebem.

Zapewniam, że podówczas nie poświęcałem tyle czasu na takie rozważania, ile teraz potrzebowałem na powyższy opis.

Kot przygwaźdżał mnie do ziemi, lecz jeszcze nie zdołał dobrze objąć mej głowy szczękami, ja zaś ratowałem się, jak mogłem: biłem go, kopałem, wyrywałem się, próbowałem się przetoczyć. Kilka sekund tych działań nie przyniosło jednak upragnionego rezultatu, a ja szybko traciłem siły. Wyciągnąłem zza cholewy nóż, żałując, że nie mam czegoś dłuższego, mocniejszego i ostrzejszego niż ten zaostzony płat krzemienia z namotaną ze sznurka namiastką rękojeści. Wiedziałem, że nie da się tym zadać porządnej rany kłutej, jąłem więc po prostu chlastać, gdzie się dało, żeby choć sprawić mu ból. Kocur mógł być tylko tworem wyobraźni lub inną sztuczką magiczną, na razie jednak zakładałem, że to bestia z krwi i kości i ma słabe punkty: nos, oczy, wargi.

Niestety, pewnie się myliłem, albo też moje starania tylko go wkurzały. Puścił mą głowę i ugryzł mnie w przedramię tak mocno, że nóż wypadł mi z palców, a kiedy rąbnąłem go pięścią w nozdrza, uniósł się na łapach, zaryczał (ukazując przy tym wnętrze wielkiej paszczyki) i już miał mnie chwycić za gardło, gdy nagle coś mu się stało.

Odgłos przypominał uderzenie kamienia o mur. Kot zachwiał się i cofnął o krok. Pół jego głowy nagle zmieniło kształt i zalało się szarą cieczą, która mogła być krwią. Clarence ponownie zamachnął się

maczugą z kamienia wielkości piłki siatkowej zamocowanego w rozwidlonym kiju, tym razem jednak trafił go tylko w łopatkę. Bestia potrząsnęła łbem i zawarczała.

Pierwszy cios wybił jej oko i zmiażdżył łuk brwiowy, do śmierci jednak było jej jeszcze daleko. Młody próbował mnie odciągnąć za kołnierz, ale udało mu się tylko posadzić mnie na tyłku. Zdążyłem przynajmniej złapać dzidę, którą mi podał, i nadstawić ją w samą porę, by atakujący kot nadział się na nią całym impetem. Siła skoku znów mnie powaliła, lecz grot pozostał w jego ciele. Zwierz wił się i wyginał, usiłując dosięgnąć łapą sterczącego mu z szyi drzewca.

Chwyciłem za drugi koniec, wyciężyłem się i próbowałem zepchnąć go w drugą pułapkę, lecz mimo utraty połowy czaszki i przedziurawionej gardzieli bydlę nadal próbowało mnie ukatrupić.

Jedna z tylnych łap zsunęła mu się z krawędzi wykopu, ale i tak zwierzę naparło mocno na dzidę, jakby przejrzało mój zamysł. Puściłem więc drzewce i sam zaatakowałem kocura, uderzając go z całych sił nisko w żebra. Moja masa i impet zepchnęły go w dół. Inercja pociągnęłaby mnie za nim, upadłem jednak tułowiem na twarde gruntu, a Clarence zdążył mnie złapać za nogę.

Może to nie był zwykły zwierz, może krew miał w niezziemskiej barwie, zginął jednak od ostrych pali jak każde boże stworzenie. Nie przyglądałem mu się zbyt długo.

– Gdzie Sam? – wydyszałem, podciągając się do pionu na usługnym ręku Clarence’a.

– W domu.

Młody osiągnął ów stan bitewnej równowagi, w którym zmęczenie i strach wzajemnie się znoszą. Mówił jak robot.

– No to spieprzajmy stąd!

Zerknąłem ukradkiem na Anaiteę. Los czworonogów specjalnie jej nie zmartwił. Może nie dziwota, skoro dopiero co je stworzyła, ale nie pomogło to w moim planie: chciałem, by wpadła w gniew. Nie aż taki, żeby jednym ruchem dłoni urządziła nam całopalenie wraz z chałupą, ale niewiele mniejszy. Brodząc w śniegu i popiele, pobieглиśmy ku budynkowi. Na szczęście archaniela się nie spieszyła z pościgiem.

– Unik! – krzyknąłem do Clarence’a, gdyśmy wpadali w otwarte drzwi. Złapałem go za głowę i przydusiłem w dół, żeby się nie zaplątał. – Nadchodzi! – ostrzegłem pozostałych.

Zatrzaśnięte za nami drzwi rozleciały się w drzazgi wraz z futryną. Trzasnęło łamane drewno, świsnęło powietrze, a tuż potem Anioł Deszczu wpłynął do środka – prosto w gęstą sieć z lian i sznurów, mozołnie uplecioną przez Pielgrzymów. Gdy miotała się gniewnie w tej słabej przeszkodzie, kilkoro z nich pojawiło się na galerii drugiego piętra i z bojowymi hasłami na ustach (no dobra, z dzikim wyciem przerażenia) zaczęło szyć w nią z łuków. Żadne z nich nie żyło tu dostatecznie długo, by stać się dobrymi łucznikami, ale wystarczająco dużo strzał docierało do celu, by zmusić boginię do okrzyku wściekłości. Wyrwała tkwiące w jej ciele groty, jakby były zaledwie kulkami rzepu uczepionymi po przechadzce dziką łąką.

Podczas gdy łucznicy nieustannie strzelali, reszta dusz zaczęła

walić w ściany żerdziami i trząść grzechotkami, czyniąc tyle hałasu, że sam na moment straciłem orientację, gdzie jestem i co tu robię. I nagle zabłąkana strzała trafiła Anaitę między oczy. Gdyby była człowiekiem, zginęłaby na miejscu – co się oczywiście nie stało, ale z pewnością zasługiwało na jej uwagę. Obejrzała się na strzelców. Jej twarz wykrzywił grymas furii. W następnej chwili schody na drugie piętro bezgłośnie zniknęły w chmurze trocin i dymu. Odłamki belek i desek poleciały we wszystkie strony. Jeden z większych uderzył Clarence'a w udo i zbił z nóg. Kilkoro Kainosowian upadło i już się nie podniosło.

Ale ten nagły atak na ekipę hałaśników pobudził mnie do działania. Jeszcze zanim szlag trafił schody, opadłem na czworaki i popęzłem przez salę do szafy, w której krył się magiczny sześcian – i coś jeszcze. To był moment krytyczny. Jeżeli ta rzecz tam na mnie nie czeka, to Anaita będzie mogła nas spokojnie, jednego po drugim, rozmiąć na atomy i rozsypać po całym świecie jak tornado dmuchawce, a ja pójdę tam, gdzie trafiają anioły, które miały pecha podpaść potężnym i mściwym zwierchnikom.

Wśród deszczu odłamków dobrnąłem na miejsce. Nie wstając, otworzyłem drzwiczki i sięgnąłem dłonią do środka. Był tam.

Anaita strząsnęła z siebie resztki sieci jak pajęczynę. Była tak naładowana energią, że powietrze zaginało się wokół niej, a takiego dzikiego wyrazu twarzy nie chciałbym ujrzeć nawet u rozkapryszonego pięciolatka, nie mówiąc już o jednej z najmocniejszych istot we wszechświecie.

– Czekaaj! – krzyknąłem, dźwigając się na nogi.

Odwróciła się do mnie i cały gniew ulotnił się w jednej chwili. Zrobiła się zimna jak posąg.

– Ty – powiedziała tylko to jedno słowo.

Wiedziałem, że mam najwyżej dwie sekundy, uniosłem więc przedmiot znaleziony w szafie.

– Pomyślałem sobie, że najpierw powinnaś to zobaczyć.

Jak posąg? Raczej jak burza śnieżna zaczerniająca nieboskłon. Jak czoło lodowca, zanim się nad tobą przetoczy i wgniecie w ziemię.

– Co to jest? – wycodziła.

– Nie udawaj, że nie wiesz. – Podrzuciłem to parę razy na dłoni. Miało barwę kości słoniowej i ważyło trochę więcej, niż się spodziewałem. Nie jak zwykły róg, lecz raczej skamieniały prehistoryczny artefakt. Cały wszechświat sprowadzony do czegoś wielkości przycisku do papieru. – To róg Eligora. Ja go znalazłem, a on tu po niego idzie.

I naraz Eligor był wśród nas. Tak po prostu. Żadnych płonących linii w powietrzu, bez dramatyzmu, błysku upiornego światła, zapachu smoły i siarki. Zmaterializował się znikąd, w ciele Kennetha Valda, ubrany jakby wybierał się odebrać nagrodę dla przedsiębiorcy dziesięciolecia od jakiejś wdzięcznej instytucji publicznej.

– Bądź pozdrowiona, Aniele Deszczu – rzekł.

Anaita spojrzała na niego, potem na mnie i na róg spoczywający w mych palcach.

– Co to za nonsens? – zachnęła się. – Co tu robisz, arcyksiężę?

– Czyżbym nie miał prawa tu przebywać? – odpowiedział z uśmiechem. – Czyż nie pomogłem ci w budowie tego miłego zakątka?

Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Zawarliśmy umowę, Eligorze. Chcesz mi teraz przeszkadzać? Jesteś pewien, że to dobre posunięcie?

– Któż mówi o przeszkadzaniu? Przyszedłem tylko odebrać swoją własność. Aniele Doloriel, zdaje się, że jesteś w jej posiadaniu?

– Niemożliwe.

Nic więcej nie powiedziała, ale za tym jednym słowem i za tą maską obojętności kryło się bardzo wiele.

– Proszę bardzo – powiedziałem.

I rzuciłem mu róg.

Patrzyłem, jak koziołkuje w powietrzu. Nie było nikogo, kto by nie wlepił w niego oczu: my trzej, Pielgrzymi, nawet sama Anaita. Leciał wysokim łukiem i wpadł prosto w dłoń Jeźdźca, wystawioną od niechcienia, jak gdyby demon chciał sprawdzić, czy aby nie pada deszcz. W następnej chwili rozplynął się w obłoczek gwiazdnego światła i został wchłonięty przez Eligora.

Świat zastygł. Anaita ani drgnęła, ale coś w niej wyraźnie buzowało. Czuję bijące od niej ciśnienie, siłę, która mogłaby zniszczyć wszystko i wszystkich w tym domu na kształt świątyni.

– Niemożliwe – powtórzyła, lecz zabrzmiało to już mniej pewnie.

– To spiszek!

Wstrzymałem oddech. Następne kilka sekund będzie decydujące. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to może...

– Pani, nie! To podstęp!

Ed Walker omal nie zleciał ze stopni, zbiegając z piętra. Na dole zahaczył cięciwą o słupek poręczy, lecz zamiast się zatrzymać i uwolnić łuk, po prostu go puścił. Łuk zasprężynował, okręcił się wokół słupka i z łoskotem spadł na schody. Walker rzucił się na kolana przed Anaitą.

– Ed, co robisz! – krzyknął ktoś z góry, zdjęty zgrozą.

– Pani, stworzyłaś ten świat dla nas, nie dla tamtych! – Słowa wylatywały mu z ust jak w gorączce, niesione przyspieszonym płytkim oddechem. – Nie dla tych tak zwanych aniołów, którzy ścignęli na nas tylko śmierć i zniszczenie. – Zmierzył mnie palącym spojrzeniem. – Nie daj się nabrać na ich sztuczki. Nie odbieraj nam domu z ich powodu! Oni kłamią, to nie jest ten róg, który miałaś. To drugi róg Eligora! Uknuli to razem z tym aniołem. Chcą cię oszukać!

– Ty gnoju – wycedziłem. – Ty zdradziecki, głupi sukinsynu.

– Zamknij pysk! – Walker nawet się na mnie nie obejrzał, zapatrzony w Anaitę. Jeszcze bardziej przypominała teraz posąg, coś nieprawdopodobnie pięknego i rzadkiego, z wiernymi wyznawcami u stóp. W każdym razie z jednym wyznawcą: Edwardem Lynesem Walkerem, nieformalnym przywódcą Pielgrzymów, któremu nasz plan od początku nie przypadł do gustu. – Oszczędź nas, pani! – błagał. – Daruj i zostaw nam Kainos!

– Ot, i problem – rzekł Eligor. – Kości zostały rzucone, ale zdaje się, że wypadły ci dwie jedyńki, Dolorielu.

Zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie zostało mi właściwie nic poza padnięciem na kolana. Zresztą już od jakiegoś czasu chodziło mi po głowie, by tak właśnie postąpić – teraz więc uległem temu impulsowi. Byłem wyczerpany, mocno pokaleczony przez kocura i utrzymałem się tak długo tylko dzięki nadprodukcji adrenaliny.

– Okej, wygrałaś – powiedziałem.

Anaita zmierzyła mnie spojrzeniem. Zaprawdę powiadam wam, nigdy jeszcze nie wyglądała tak cudnie jak w tej chwili. Zastygła kwintesencja nieśmiertelnego piękna. Trudno było nawet na nią patrzeć. Gdyby była rafą, żeglarze ochoczo sterowaliby wprost na nią, rozbijaliby się i tonęli, nie przestając wyśpiewywać hymnów ku jej chwale.

– Oczywiście – odrzekła. – Co do tego nigdy nie było wątpliwości. Naprawdę sądziłeś, że jestem tak głupia, by ukryć róg tu, w Kainos?

Co za potworne zmęczenie.

– Przyznaję, że rozważałem tę możliwość.

– I wydawało ci się, że spryciarz z ciebie nad spryciarze. Wyobrażam sobie twój tok myślenia. Gdzie ona może trzymać ten jakże ważny przedmiot? W Niebie? Na pewno nie. W Piekło lub na Ziemi? A po cóż miałyby ułatwiać wrogom poszukiwania? O, ale w Trzeciej Drodze, gdzie można trafić tylko za jej przyzwoleniem...

– Albo za moim – wszedł jej w słowo Eligor, który najwyraźniej świetnie się bawił.

– Możesz już sobie iść, Jeźdźcze. – Anaita nawet na niego nie zerknęła. Nie wiem, czy dlatego, że się go bała, czy raczej opierała się pokusie obrócenia go w kupkę rozżarzonego popiołu. – Chyba że chcesz rzucić mi wyzwanie. W końcu już spiskujesz przeciwko mnie.

– Moja droga, masz wygórowane mniemanie o sobie. – Arcydaemon się roześmiał. – Wyzwanie? Bez zgody naszych panów? To byłoby naruszenie Konwencji Tartareańskiej i paru innych. I nie wszedłem w żaden spisek. Mój malutki przyjaciel Doloriel poprosił mnie o przysługę i wyświadczyłem mu ją, bo uznałem to za zabawne. Naturalnie nie miałem pojęcia, do czego mu potrzebny mój róg.

– Naturalnie – wysyczała Anaita.

Nie miałem żadnego ruchu. Wszystko szło jak najgorzej, a ja mogłem tylko bezsilnie czekać, co z tego wyniknie. Ci dwoje rozmawiają ze sobą! Jakby wpadli na siebie w pralni i odświeżali wspomnienia.

– Ale poważnie, to ten róg musiał ci spędzać sen z oczu, co? – zauważył Eligor. – Ja twoje pióro trzymałem w sejfie u siebie w biurze. Ze świecą by szukać lepiej chronionego miejsca... a jednak ktoś mi je zwędził i natrudziłem się diabelnie, przepraszam za wyrażenie, żeby je odzyskać.

– A więc rogu tu nie ma – wtrąciłem. – Mój błąd. Ale warto było spróbować.

– Były chwile, że prawie czułam dla ciebie szacunek, Dolorielu –

odrzekła Anaita, znów niewzruszenie spokojna. Co najdziwniejsze, w dźwięcznym, głębokim głosie bogini wciąż pobrzmiwał ten tak wszystkim znany dziecięcy ton, kojący i słodki, jak gdyby trzylatek wpadł w nią jak w studnię. – Ale summa summarum od początku byłeś pomyłką. Nie powinnam była pozwolić, abyś nadal egzystował. – Pokręciła głową. – I naprawdę myślałeś, że trzymałabym fant gdzieś, gdzie ty lub inny podstępny złodziejasek mógłby mieć do niego dostęp? Może w moim domu? W muzeum? Albo tutaj? – Zaśmiała się i pierwszy raz usłyszałem coś, czego wcześniej nie było nawet w napadach furii. Coś kompletnie nieludzkiego. – Od chwili, gdyśmy dobili targu z arcyksięciem, jego róg ani przez moment nie był daleko ode mnie. Nigdy! Nawet cała anielska armia nie zdołałaby mi go wyrwać. Diabelska zresztą też. – Położyła dłoń na sercu. Spod palców wydobył się biały blask. – Ech, ty żałosny kuglarzu! Samariel podrzucił ci moje pióro w ukrytą kieszeń Czasu. To było sprytne, nie powiem. Nigdy ci nie zaświtało, że skoro on dokonał tej sztuki, dysponując zaledwie nieistotną cząstką mojej mocy, to ja mogę umieć rzeczy, które nawet nie mieszczą ci się w rozumku? – Sięgnęła w głąb własnej piersi z taką łatwością, jakby chodziło o wyjęcie portmonetki z płaszcza. Chwilę później na jej wyciągniętej ręce ujrzeliśmy blado połyskujący róg. Zagapiłem się na niego w oszołomieniu. Był tak blisko, a jednak całkowicie poza moim zasięgiem. – Proszę bardzo, uprzykrzony aniołku. Tego szukałeś? Żeby wykupić swoją ukochaną diabolicę?

– Dlaczego? – spytałem. – Skoro wszystko to wiedziałaś, po co ci było tracić tyle czasu i energii, żeby mnie zrobić?

– Wrobić? Nie zostałeś oskarżony nawet o połowę tego, coś naprawdę nabroił, Dolorielu. A jeśli chodzi o zło, które mi wyrządziłeś, to na mą boskość, choćbyś spędził wieczność w najgłębszej czeluści Piekła, jeszcze by było za mało, żeby za to odpokutować. Sam nie wiesz, ile zepsułeś. Już za życia byłeś mi cierniem w boku.

Powoli przeniosłem wzrok z rogu na jej twarz.

– Za życia?

– Teraz jednak luźne końce zostaną ucięte, a raczej spalone. – Uniosła drugą rękę, która dziwnie falowała, jak gdybym widział ją z kilku stron naraz albo przez grube szkło. – Jeźdźcze, nie masz tu nic do roboty, więc bądź tak miły i oddal się. Ty masz moje pióro, ja twój róg. Nasza umowa stoi.

– Zaraz sobie pójdę, obiecuję – odparł z uśmiechem Eligor. – Przyznam, że to mnie fascynuje. Popatrzę jeszcze trochę, ale nie będę się wtrącał.

– Jak sobie chcesz. – Anaita spojrzała na Eda Walkera, wciąż leżącego przed nią na podłodze. – A ty, Pielgrzymie, dobrze się spisalesz. Kainos ocaleje. Ale od tej pory macie być posłuszni i traktować mnie z szacunkiem należnym stwórcy.

– Wiedziałem! – rzuciłem na cały głos.

– Cisza tam. – Anioł Deszczu nie zaszczycił mnie spojrzeniem. – Ty już nic nie znaczysz, Dolorielu. Jesteś pierwszym z luźnych końców do przycięcia.

Wyciągnęła ku mnie dłoń z rozcapierzonymi palcami, zacząłem więc mówić szybciej.

– Tak, jasne. Wiedziałem, że wszystko się sprowadza do tego co zawsze. To nawet nie prawdziwe zło, lecz zwykły egoizm. – Dźwignąłem się z kolan. Byłem za daleko, żeby próbować czegokolwiek, ale jeśli już mam zginąć, to przynajmniej na stojąco. – Ty rzeczywiście sądzisz, że twoje zachcianki są ważniejsze od tego, czego pragną wszyscy inni, a dar mocy, który posiadaś, tylko cię w tym utwierdza. Ostatni z ważnych aniołów, który upadł, czyli Przeciwnik, też tak o sobie myślał. Ludzie widzą w nim jakieś przerażające, niezrozumiałe zło, ale to tylko zwykła chciwość, taka sama, jaką się widzi u dzieci w piaskownicy. Daj mi to! Chcę wszystkich zabawek! Moje, moje, moje!

– Powiedziałaś, żebyś milczał, Dolorielu. – Jej głos nieco się rozżarzył. – Nie pojmujesz, co ja tu stworzyłam. Naprawiłam wszystkie błędy Najwyższego. Gdy ciebie i twych kolegów zabraknie, Niebo nigdy tego świata nie odnajdzie. Ech, ty nędzny robaku. Nie dociera do ciebie piękno i doskonałość mojego stworzenia!

Wyprostowałem się mimo bólu.

– Do ciebie zaś nie dotarło parę innych ważnych rzeczy, moja pani. Po pierwsze, wszystko, co tu powiedziałaś, trafiło prosto do Nieba. Linia była cały czas otwarta. – Wskazałem na magiczny kryształ, który od jakiegoś czasu jarzył się słabym, lecz żywym blaskiem, bladoliliowym jak pierwsze oznaki świtu. – Można rzec, że

złożyłaś pełne przyznanie się do winy.

Jej twarz zmieniła się nie do poznania, wykrzywiona furią, w jakiej chyba nawet Eligor by jej nie dorównał.

– Co?! – wrzasnęła.

– Aha, i jeszcze jedno. – Zastanawiałem się już, co zatrzymuje Sama, ale oto stanął tuż za nią. – Obejrzyj się.

Zamiast jednak zwyczajnie wytrącić jej róg z ręki, jak było zaplanowane, Sam sięgnął po niego przez jej ciało dłonią uzbrojoną w boską rękawicę. Krzyknąłem zaskoczony – przecież nie wolno mu było używać jej w obecności Anaity – lecz mój okrzyk zagłuszyło jej okropne wycie. Bogini wiła się jak ryba na haczyku, gdy świetlista smuga przeszywała ją na wskroś, a potem wybiła jej róg z palców. Jak każdy przedmiot podlegający prawom fizyki, odbił się parę razy od podłogi i wylądował niecały metr ode mnie.

– Ty! – krzyknęła, odwracając się do Sama, który jeszcze nie zdążył się wycofać. Potem zrobiła coś, czego mój wzrok nie zdołał dokładnie zarejestrować. Machnęła ręką, błysnęło oślepiające światło, rozległ się suchy trzask i Sam pokoziołkował pod ścianę. Zachwiała się przy tym, lecz szybko złapała równowagę i rozejrzała się, jakby szukając prawdziwego nieprzyjaciela, kogoś znaczniejszego niż zwykły anioł adwokat. – Zdrajcy! Złodzieje!

Chwyciłem róg i zwróciłem się do Eligora, który obserwował całe zajście z nieskrywaną satysfakcją.

– Chcesz go? A ja chcę Caz!

– Rzuć mi go! – rozkazał.

– Najpierw mi ją oddaj! Nie próbuj mnie oszwabić, Jeźdźcze. Żadnych sztuczek tym razem! Chcę prawdziwej hrabiny, tak jak mi przyrzekłeś!

– Ależ z ciebie drętwy aniołek. Kompletnie bez poczucia humoru.

Chwilę później zmaterializowała się Caz. Mignęły mi jej platynowe włosy, gdy przetoczyła się po deskach. Leżała półprzytomna, z trudem łapiąc oddech. Wyglądała jak ona, nie miałem jednak żadnej możliwości sprawdzić, zanim Anaita nas wszystkich obróci w popiół. Rzuciłem mu róg. Poszybował przez salę, lecz już w powietrzu zaczął się rozpadać na cząstki światła wchłaniane przez ciało arcyksięcia. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę jego prawdziwą twarz, z oboma rogami dumnie sterczącymi na swoich miejscach. Tyle umiem powiedzieć. A potem znów wróciła maska Valda.

– No to bawcie się dalej dobrze – powiedział. – Bo zaraz zrobi się tu tłoczno.

Zniknął. Caz została. Nie mogłem się tym jednak nacieszyć, bo tuż obok była bardzo niezadowolona Anaita.

Nagle z góry zaczęło opadać światło. Dach i górne piętro domu rozstały się i wleciały ku niebu. Tysiące jasnych skrzydlatych sylwetek zniżało się ku nam przez śnieżną kurzawę.

Silny cios powalił mnie na podłogę. Nade mną stała Anaita, już nie tak piękna jak jeszcze przed chwilą.

– Najpierw to, co kochasz, potem ty – odezwała się wężowym sykiem.

Zamachnęła się i cisnęła czymś w Caz. Ktoś jednak był szybszy. Clarence, który już wcześniej kuśtykał w jej stronę, zdążył odciągnąć ją dziewczynę na bok ułamek sekundy przed rozpadnięciem się całej ściany w pianę molekuł. Młody, błogosław mu, Panie, nie zatrzymał się, tylko włókł ją dalej, na zewnątrz. Nim zniknęli mi z pola widzenia, spostrzegłem, że Caz otwiera oczy. Ujrawszy mnie, szeroko rozwarła powieki.

Potem w izbie zaroilo się od świetlistych postaci z na pół widocznymi skrzydłami i pięknie opalizujących cieni. Usłyszałem rozziewający krzyk Anaity, który szybko ucichł. Odwróciłem się. W miejscu, gdzie przedtem stała, zobaczyłem ciemny, nieodbijający blasku przedmiot. Domyśliłem się, że to więzienie, choć miałem nadzieję, że raczej trumna.

Sala wirowała, coraz bardziej rozchwiana. Tyle światła! Ledwo widziałem, olśniony, dokąd pełznąć, by odszukać Sama.

Leżał na boku wśród odłamków drewna ze zniszczonej ściany. Ręki, na której miał boską rękawicę, nie było; z ramienia sterczał tylko osmalony kikut. Krwawił obficie z kilkunastu ran.

– Widzę, że kawaleria nadciągnęła z odsieczą – powiedział, lecz każde słowo zdawało się opierać, wypychane z krtani czystą siłą woli.

– Pomogą ci, Sam. Jesteś aniołem, twardzielem jakich mało. Trzymaj się.

– Jasne. I wszyscy... konni*... – Zakaszłał krwią.

– Dlaczegoś to zrobił? Czemu użyłeś rękawicy? Przecież mówiłeś, że to ona nią steruje.

– Bo nawet po zdradzie Walkera... wciąż nie była wystarczająco zdezorientowana. Nie mogliśmy ryzykować, że się wszystko popieprzy. – Zadygotał cały, lecz bardzo słabo.

– Ale, Sam...

– Niebo i tak by mnie już nie wpuściło z powrotem. Tak czy owak... byłem skończony.

Ledwo go rozumiałem. Musiał mieć złamaną szczękę. Caz i Clarence dołączyli do nas; osunęła się tuż obok na kolana – czułem jej zapach, mogłem jej dotknąć – nie zwracała jednak na mnie uwagi. Ścisnęła przyniesioną kulkę śniegu i zmoczyła wargi Samowi. Próbował się uśmiechnąć.

– No co wy? – wyszeptał. – Ostatni drink... i bez toastu?

– Tu raczej nie ma alkoholu – odrzekłem nie wiadomo czemu.

– Po co marnować czternaście dni trzeźwości? – Uśmiechnął się. Do licha, ależ on był silny. Krew sączyła mu się przez zęby; w kącikach ust tworzyły się czerwone bąbelki. – Woda wystarczy.

– Sam, ja...

– Zamknij się. Szkoliłem Młodego, żeby... miał na ciebie oko.

Clarence się nie odezwał. Płakał. To nieczęsty widok u aniołów.

Mnie też się zamgliły oczy.

– Sam...

Uniósł dłoń, chwilę walczył, by wyartykułować słowo.

– Na pohybel... – Dłoń opadła bezwładnie.

– Wrogom – dokończyłem, ale on już mnie nie słuchał.

* Cytat z ang. dziecięcego wierszyka o Humptym Dumptym, który spadł z muru i nikt go już nie mógł poskładać w całość.

Czterdzieści sześć

Co dobrego u Bobby'ego



Nie potrafię powiedzieć, co działo się dalej. Przynajmniej nie szczegółowo. Pamiętam, że Caz mnie objęła; że wtuliłem głowę w jej szyję, bo utrata Sama sprawiła mi taki ból, iż nie wiedziałem, co innego mogę zrobić. Ledwo sobie uświadomiłem, że to naprawdę ona, moja miłość, dla której poszedłem do samego Piekła, otoczył nas snop zdumiewająco jasnego światła. Nie słyszałem nic poza trzepotem skrzydeł i muzyką, jakby śpiewał największy na świecie, najzarliwszy chór gregoriański. Nagle wszystko uleciało w górę. Albo tylko my dwoje. Caz niby wciąż była ze mną, ale oboje rozpadaliśmy się, rozszczepialiśmy jak światło w pryzmacie.

Potem nie było już nic.

Ocknąłem się w mieszkaniu. Nie w apartamencie Caz; w moim, z którego się wyprowadziłem między innymi dlatego, że zagnieździły się w nim swastykoszmarki.

Leżałem w łóżku. Przez mniej więcej trzy sekundy po odzyskaniu przytomności wmawiałem sobie, że to wszystko się nie wydarzyło – że Sam wciąż żyje i nikt mnie kolejny raz nie rozdzielił z ukochaną.

Chciałem w to wierzyć. Boże, jak tego pragnąłem! Ale obudziłem się w ubraniu (tylko bez butów) i wcale nie skacowany – coś więc zdecydowanie się nie zgadzało.

Zerwałem się i wybiegłem na ulicę, nie zważając, że ranię sobie stopy o różne twarde i ostre rzeczy. Musiałem się dowiedzieć, którego dziś mamy; przebiegłem tak pół kwartału, zapewne ku przerażeniu przechodniów, zanim przyszło mi do głowy sprawdzić datę w komórce.

Jedenasty grudnia. Czas więc płynął; pięć dni minęło, odkąd przez umazane moją krwią lustro przeleźliśmy z Clarence'em do Kainos. To zaś znaczyło, że palące mi umysł wspomnienia były rzeczywistymi wydarzeniami. Mój świat naprawdę się skończył i teraz żyję w jakiejś żalostnej imitacji, gdzie nie ma już niczego, na czym mi zależało.

Wróciłem do bloku znacznie wolniejszym krokiem. Nie traciłem czasu na sprawdzenie mieszkania wynajmowanego przez Amazonki; byłem pewien, że brygady sprzątaczy z Nieba wyczyściły wszelkie ślady. Niewykluczone, że mieszka już tam nowy lokator. Niebo dba o wszystko.

Znalazłem mój najnowszy pistolet, glock 17, ukryty w szufladzie ze skarpetkami, podobnie jak zestaw ulubionych noży. Widzicie? Mogą zrobić wszystko. Z wyjątkiem wszczępienia mi serca z powrotem w pierś.

Zadzwoniłem do biura. Odebrała Alice.

– To ja, Bobby.

– O. Hurra.

Wszystko w normie. Ha, ha.

– Jaki jest mój bieżący status?

– Nie martw się, Dolar. Z radością rzucę wszystko, żeby odpowiedzieć ci na pytanie, na które sam powinienes znać odpowiedź. – Usłyszałem chrzęst rozdieranego opakowania, a potem odgłos gryzienia czegoś chrupkiego i klikanie klawiatury. – Aktualnie przebywasz na urlopie okolicznościowym, cokolwiek ma to znaczyć.

– Chcę rozmawiać z Temuelem.

– To idź do niego i porozmawiaj.

– Wolę, żeby do mnie zadzwonił. Przekaż mu wiadomość, dobrze?

– Żyję, by służyć, o panie. – Chrup, chrup. – Gotowe. Jeszcze czymś chcesz mnie wkurzyć?

Nic takiego nie przychodziło mi do głowy, więc się rozłączyłem.

Ciekawe doświadczenie: można zatem mieć wyrwane wnętrzości, a mimo to funkcjonować, jakby naprawdę chciało mi się żyć. Czekaając na odzew Temuela, zadzwoniłem do Clarence'a, po prostu żeby usłyszeć, co chłopak ma do powiedzenia. Nagrana na jego poczcie głosowej wiadomość po paru zwrotach grzecznościowych miała dość złowieszczy ciąg dalszy: „A jeśli to ty, Bobby, daj znać, kiedy mogę cię zastać pod telefonem. Musimy koniecznie porozmawiać”. Nie zostawiłem wiadomości, sprawdziłem za to

własną pocztę. Młody oczywiście nagrał mi się kilka razy przez ostatnie dni, same wariacje na temat „Oddzwon”. Nie chciało mi się. Smarkaty zdał egzamin śpiewająco, wiedziałem też, że tak samo brakuje mu Sama, nie mogłem jednak znieść perspektywy słuchania jego optymistycznej gadaniny. Pogadam z nim później, jeśli jeszcze będę żył.

Muł nie oddzwaniał. Krążyłem po mieszkaniu jak robot, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Sprzątacze się napracowali; ściany były świeżo pomalowane, wykładzina wymieniona (widać plamy po rozdeptanych swastykoszmarkach okazały się zbyt trudne do usunięcia), było nawet jedzenie w lodówce, choć – koń by się uśmieł – same produkty, nic gotowego do spożycia po podgrzaniu. Ktoś chyba pomylił teczki personalne, jeżeli uważa, że będę sobie gotował rosółki. Na szczęście jakaś domyślna dusza włożyła też do zamrażalnika nieotwartą butelkę wódki, i to niezłej. Po kolejnej godzinie czekania na telefon od szefa i grzebania w płytotece za muzyką, która nie skłaniałaby mnie do walenia łbem o ścianę – z równowagi wyprowadzała mnie nawet *Kind of Blue*, co powinno wam coś powiedzieć o moim stanie ducha – dałem za wygraną i odkręciłem kapsel. Kochane szefostwo zapewniło mi bilet pierwszej klasy do niebytu, a jedyną widoczną alternatywą była trzeźwość i rozmyślanie o Caz, Samie i wielkiej pustce, która kiedyś była moim życiem pozagrobowym. Uznałem, że niegrzecznie byłoby odrzucić niebiańskie zaproszenie.

Dzień później, plus minus parę godzin, po serii takich koszmarów, że nawet o nich nie wspomnę, wróciłem na planetę Mieszkanie z

lekkim kacem, ale z grubsza znów trzeźwy, i z palącą potrzebą zrobienia czegokolwiek, aby na dobre i permanentnie nie oszaleć. To nie był rozdzierający ból, jak przy pierwszych dwóch utratach Caz. Na to chyba nie miałem już sił. Może też w końcu przyjąłem do wiadomości, że wszechświat mnie nienawidzi. Czułem się jak w samochodzie z resztką paliwa w baku: silnik zaczyna pokasływać, jeszcze pracuje, ale lada chwila cały impet wygaśnie i zatrzymam się gdzieś na środku wielkiego nic. Na razie jednak mogłem tylko toczyć się naprzód, choćby to nie miało najmniejszego sensu. Paru rzeczy jeszcze nie rozumiałem, uznałem więc, że mogę zaspokoić ciekawość, póki jeszcze jakoś się trzymam na nogach.

Zadzwoiłem do Młodego i umówiłem się z nim „Pod Cyrklem” w nadziei, że może czegoś się dowiem od niego. Wciąż nie wiedziałem, dlaczego w ogóle żyję i jestem wolny, zamiast siedzieć w niebieskim odpowiedniku więzienia o zaostrowym rygorze. Nasi bossowie nie lubią luźnych końców, a trudno o luźniejszy niż ja.

Ze zgrozą stwierdziłem, że choć wszystko inne wokół mnie zostało naprawione i przywrócone do stanu tak zwanej normalności, to na miejscu parkingowym przypisanym do mojej garsoniery zastałem to samo żółte okropieństwo, którym z łaski Temuela ostatnio jeździłem. Najwyraźniej wszechświatowi jeszcze się nie znudziło robić sobie ze mnie jaja. Sam widok tej gabloty przypawił mnie o atak depresji, postanowiłem więc iść pieszo.

Clarence już czekał, gdy dotarłem na miejsce. W lokalu było też sporo stałych klientów i może to sobie tylko imaginowałem, ale wszyscy sprawiali wrażenie, że usilnie starają się nie gapić na mnie z

żywym zainteresowaniem. Normalnie zachowywał się tylko barman Chico, który mruknął coś na powitanie, podsunął mi wódkę z tonikiem i wrócił do polerowania szklanek.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś... – zaczął Młody, lecz powstrzymałem go ruchem dłoni.

– Sekundkę. – Wychyliłem pół szklanki jednym haustem. – No, teraz lepiej. To co chciałeś powiedzieć?

Rzucił mi spojrzenie, w którym było nieco za dużo Sama, tylko z większą dezaprobatą.

– Nie musisz tego robić, Bobby.

– Czego? Pić? Właśnie że muszę. Powiedz mi po prostu, co wiesz, i nie polewaj tego sosikiem szczęścia. – Zniżyłem głos do szeptu. – Co się stało? Anaity naprawdę już nie ma? Umarła?

– Żyje, ale jest uwięziona w Niebie. Zamrozili ją w wielkim bloku czegoś niebieskiego i zabrali. Słyszałem, że została już osądzona i skazana.

– Że co? Skazana? Chcesz powiedzieć, że zdążył się już odbyć proces, w końcu największy od nie wiem ilu wieków? Może jeszcze publiczny?

– No coś ty, w Niebie? – Clarence prychnął wzgardliwie. Musiał się zarazić moim cynizmem. – Odbył się za zamkniętymi drzwiami, ale wszyscy i tak wiedzą.

Rozejrzałem się po barze, gdzie wszyscy wiedzieli dużo rzeczy, o których przypuszczalnie nie mam pojęcia. Nie wyglądali, jakby im to

doskwierało, ale mnie na pewno.

– A co z Mułem? Dlaczego nie chce do mnie zadzwonić?

– Bo ja wiem? – Młody wzruszył ramionami. – Nic oficjalnego o nim nie słyhać, a widzieć też go nie widziałem. Nadal jednak kieruje wydziałem San Judas, o ile wiem.

– Cholera. Założę się, że chcą zwyczajnie zamieść całą tę aferę pod dywan. Złożyłeś raport?

– Raport? – Uśmiechnął się niewesoło. – Wałkował mnie chyba każdy majster na niebieskiej liście płac. Chcieli wiedzieć dosłownie wszystko.

– Cholera. I kurde. Coś im powiedział? Mówiłeś o... – Urwałem i rozejrzałem się czujnie. Nikt nie zwracał na nas uwagi i tylko jeden Ted Nebraska, facet Moniki, jak zwykle ostatnimi czasy gapił się na mnie, jakby chciał coś powiedzieć. Nie życzyłem sobie nic od niego usłyszeć, odwróciłem więc wzrok. – Wspomniałeś o Caz?

– Nie. – Zmarszczył brwi. – Oni też nie pytali. Nie wiem dlaczego. Twoje wakacje w Pe-i-e-ka i tak dalej, też ich nie interesowały. Za to w najdrobniejszych szczegółach wypytywali o twój, jak to nazwali, konflikt z Anaitą.

Prześwidrowałem go oczami. Problem z Clarence'em w tym, że nigdy nie wiadomo, czy mówi rzeczy w rodzaju „pe-i-e-ka” z ironią, czy może naprawdę jest reinkarnowanym kaznodzieją dla najmłodszych.

– Dobra, to z innej beczki. Dlaczego, do diabła, jestem na

wolności? Dlaczego sprzątacze zadali sobie tyle trudu przy odnawianiu mojej chałupy i nawet napełnili mi lodówkę surowym badziewiem, którego w życiu nie ruszę?

– Nie wiem, Bobby. To chyba już nie w naszych rękach. Musimy czekać, co zadecyduje Niebo.

– Czekanie – mruknąłem. – Nienawidzę go.

Ted Nebraska najwidoczniej uznał, że też mu nie odpowiada ta czynność, i zaczął swój wielki ruch. Patrzyliśmy obaj, jak steruje do naszego stolika.

– Wezmę sobie jeszcze jedną mrożoną herbatę. – Młody wstał z krzesła.

– Cześć, Bobby – zagaił Ted. – Możemy chwilkę pogadać?

Nie wiedziałem, czy się zastanawiać, dlaczego Clarence’owi chce się nagle wędrować przez całą salę po napój bez kropli alkoholu, czy też nad tym, czego może ode mnie chcieć Nebraska. Prawie go nie znałem, ale ostatnio często widywałem – z Monicą. Ubierał się nieźle, lecz z odrobiną przesady nasuwającej przypuszczenie, że parędziesiąt lat wcześniej nosiłby biały garnitur w stylu panama i słomkowy kapelusz.

– Jasne – odrzekłem. – Klapnij sobie.

– Dzięki.

Wśliznął się na ławkę i zastygł. Przemknęło mi przez głowę, że może jego też, jak Walta Sandersa, wypytywano o mnie i dopiero teraz zebrał się na odwagę, by mi o tym powiedzieć (za późno, by to

cokolwiek zmienilo).

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytałem, gdy milczenie się przedłużało.

– No więc... zawsze cię podziwiałem, Bobby...

– Bardzo cię proszę. Dzisiaj akurat jest taki dzień, że od takich bzdetów zwyczajnie boli mnie głowa. Na pewno miły z ciebie gość, Nebraska. Ze mnie nie za bardzo. Bądź więc uprzejmy przejść do rzeczy.

Odetchnął głęboko.

– Nie wiem, czy wiesz, ale spotykam się ostatnio z Monicą Naber. Nahebaroth.

– Ano wiem. – Jeśli facet myśli, że jest w dziale skarg i zażaleń, to chyba będę zmuszony mu przyłożyć. – I co?

– I chciałem tylko... no, upewnić się, że nie masz nic przeciwko temu.

Popatrzyłem na niego niepewny, czy nie leci ze mną w bambuko.

– Czekaj, bo nie wiem, czy cię dobrze rozumiem. Pytasz mnie, czy możesz chodzić z Monisią?

– No... chyba tak.

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem. Pierwszy raz od śniegu, popiołu i końca świata.

– Wpuszczasz mnie w maliny, tak? Taki sobie kawał wymyśliście z Monicą? – Udałem, że się rozglądam za ukrytą kamerą.

Zamiast poczuć ulgę czy zadowolenie, Ted chyba jeszcze bardziej się spieszył.

– To znaczy, że wszystko w porządku?

– Ty na serio? Chcesz mego pozwolenia? Mówiłeś jej, że coś takiego zamierzasz?

– Ona myśli, że zwariowałem – przyznał. – Ale nie chciałem, żebyś sobie pomyślał, że kombinujemy za twoimi plecami. Wszyscy wiedzą, że ostatnio nie miałeś lekko.

Kiedy indziej może zacząłbym mu wyłamywać palce dopóty, dopóki by mi nie wyśpiewał wszystkiego, o czym wiedzą „wszyscy”, ale w tej chwili taki byłem popieprzony, że guzik mnie to obchodziło.

– Posłuchaj, Ted. Monica to wspaniała osoba. No, wspaniały anioł. Nie wiem, czy ktokolwiek z nas jest dobry w byciu osobą. Ale na pewno potrafi decydować sama za siebie i może się widywać, z kim tylko zechce. Żadne z nas nie miało monopolu na drugie. Szczerze mówiąc, zasługuje na kogoś lepszego ode mnie. Jeśli to akurat ty, to niech się wam wiedzie jak najlepiej.

Teraz wyraźnie kamień spadł mu z serca.

– Czyli mamy twoje błogosławieństwo?

O mało co palnąłbym coś wrednego. Takie to było idiotyczne, że nawet sprawdziłem, czy Monica nas nie obserwuje, ubawiona całą tą odjechaną rozmową, ale w tej chwili „Cyrkiel” był akurat w stu procentach męskim klubem, bez żadnej babki w polu widzenia. Tak

tu bywa za dnia; nie żeby kobiety nie były mile widziane, tylko że większość pań ma dość oleju w głowie, żeby nie marnować słonecznej pogody na wysiadywanie po knajpach. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że naprawdę wróciłem – może nie ten sam, ale jednak do siebie – i opadła ze mnie cząstka beznadziejności. Oczywiście tylko taka drobna; nadal nie mogłem sobie wyobrazić przeżycia następnego dnia bez Caz i Sama i nie wierzyłem, że coś może mnie jeszcze trzymać na tej szarej planecie, ale przynajmniej widziałem teraz nieco dalej w ciemności, w jakiej brodziłem, wchodząc do baru.

– A potrzebne ci? No to wam je daję. Monica jest jedną z najlepszych dziewczyn, jakie znam. Jeżeli widzi w tobie coś, co się jej podoba, to chyba ty też jesteś w porządku. Bądź dla niej dobry. Bądźcie dla siebie dobrzy. – Uniosłem dłoń. – Bóg was kocha.

Prawdę mówiąc, nie byłem wcale pewien, czy On kocha kogokolwiek, lecz w owej chwili gotów byłem się pogodzić z niepewnością.

Przez całą resztę wizyty w „Cyrklu” praktycznie wszyscy obecni koniecznie chcieli potwierdzić relację Clarence’a. Upadek Anaity był najgorętszym tematem w anielskiej konfraterni. Wiedzano, że ja i Młody byliśmy w to zamieszani, a to, że obaj chodzimy sobie wolni, wskazywało, że wszystkie złe rzeczy, które wcześniej o mnie słyszano, są tylko paskudnymi plotkami. Ja sam nie miałem takiej pewności. Przyznałem się Patiel-Sa do całej masy przewin, a takie rzeczy nie idą w niepamięć. Niebo jest wieczne, a to znaczy, że na przedawnienie trzeba czekać co najmniej równie długo.

Na razie jednak byłem bezsprzecznie wolny. Wolny, żywy i na dodatek ktoś odmalował mi mieszkanie. Jeżeli miałem jeszcze rozkminić, co to wszystko znaczy, to chyba przyjdzie mi pożyć trochę dłużej. Miałem już jedną rzecz do zrobienia, a parę innych nie dawało mi spokoju, choć byłem już zbyt podchmielony, by dobrze widzieć własne myśli.

Nie skorzystałem jednak z oferty Clarence'a, który chciał mnie podrzucić do domu, i poszedłem znów na piechotę. Po drodze kupiłem flaszkę wódki. Te nasze anielskie ciała są mocne; trzeba w nie wlać sporo procentów, żeby zagłuszyć rzeczy, których nie chciałem słyszeć, zakneblować sumienie, wygasić gniewną samotność – i móc spokojnie zasnąć.

Nie jestem aniołem alkoholikiem. Tak się po prostu leczę, a to naprawdę różnica – choć w tej chwili nie mógłbym powiedzieć, na czym polega.

Czterdzieści siedem

Pytania, pytania



Dawny Bobby przeleżałby parę dni w stuporze, potem wytrzeźwiał i zaczął rozrabiać, usiłując sprowokować wydarzenia i uzyskać jakieś odpowiedzi. Pytań bowiem narosło wiele.

Dlaczego nikt z szefostwa ze mną nie rozmawia? Co z moim procesem? Czy nadal jestem prawie skazany za zdradę Najwyższego? Góra musi przecież wiedzieć o Caz, Eligorze i Piekłe – wszak w pudle wyśpiewałem wszystko inkwizytorowi. Że już nie wspomnę o innych, jeszcze większych niewiadomych – na przykład co Anaita miała na myśli, mówiąc, że powinna była mnie zabić, już „zanim zostałem” aniołem. I ta wizja, której doznałem, gdy prała mi mózg – wizja, wspomnienie czy co to tam było – taka zdumiewająco realistyczna. Czy to był przebłysk z mojej przedśmiertnej przeszłości?

Niekończący się natłok pytań i ani śladu odpowiedzi. Teraz wiedziałem, jak musi się czuć mój przyjaciel George świniolak – ciągle po uszy w gnoju i udaje, że tak właśnie ma być.

Jak mówiłem, dawny Bobby już by deptał ludziom po odciskach, próbując dojść prawdy, tym razem jednak nie mogłem się zebrać.

Przyptyw energii, który kazał mi odwiedzić bar „Pod Cyrklem”, nie potrwał długo; za mało mnie wszystko obchodziło. Czułem się jak balonik kilka dni po terminie przydatności: nikt już nie trzymał mnie za sznurek, ale zamiast odlecieć w przestworza, wisiałem na pół sflaczały, nie mogąc ani opaść, ani osiągnąć sufitu. Dryfowałem skazany na klęskę.

Myślicie, że nie myślałem o samobójstwie? Bo też co mi właściwie zostało? Cóż nie ma, znowu mi odebrana. Sama nie ma, przynajmniej tego, którego znałem i kochałem, i zapewne już nigdy nie będzie. Szefostwo nadal trzyma mnie pod gilotyną i nawet nie powie, czy mam wstać i sobie pójść, czy czekać, aż ostrze opadnie. To by jednak nie było takie łatwe. Jak już widzieliście, śmierć i anioły nie zawsze chadzają pod rękę; nie jesteśmy panami własnego losu. Bardzo prawdopodobne, że cokolwiek bym z sobą zrobił – nawet gdybym zgłosił się do Eforatu i uparł złożyć pełne publiczne wyznanie wszystkich grzechów – zostałbym tylko przeniesiony do innego ciała, tym razem z odruchem posłuszeństwa podkreconym do poziomu właściwszego dla wykonywanego zawodu. Baranek Bobby pobekujący, skubiący sianko i niezadający niewygodnych pytań. Ale gdybym przeszedł recykling, a mimo to wciąż pamiętał, jak to jest być malkontentem na pastwisku Pana? I nie mógł nic z tym zrobić?

Tak minęło parę dni, a ja dawałem się nieść nurtowi czasu. Boże Narodzenie, kiedyś tylko mglisty koszmar, podkradało się nieubłaganie jak zdeterminowany, złotkiem kryty zombi. Płynąłem, objąłem się o to i owo, chlałem, spałem, oglądałem telewizję z wyłączonym dźwiękiem. Clarence kilkakrotnie próbował mnie

wyrwać z tego zakłętego rewiru, ale odmawiałem. Wiedziałem, że będzie mnie do czegoś namawiał, a na razie się do czegoś nie nadawałem. Wystarczająco dużo problemów miałem z niczym.

Okej, powiem prawdę, choć może być wstydliwa. Kiedy mój archanioł przełożony wreszcie się ze mną skontaktował, wychodziłem akurat z „Oyster Billa” po późnym śniadaniu i poważnych rozmyślaniach, czy mam zabrać w serwetce okruszki i pójść karmić gołębie na Beeger Square, czy wracać do domu i pogapić się na kolejny serial.

Gołębie wygrały, bo uznałem, że ktoś powinien mieć jakąś korzyść z mojego głównianego żywota – nawet jeśli miałyby to być tylko te fruujące szczury. Po jakimś czasie zorientowałem się, że idzie za mną nieduży facet w typie arabskim. W takiej postaci jeszcze go nie widziałem, ale zaczynałem już rozpoznawać mowę ciała Muła.

– Hej, Bobby.

– Witaj, Temuelu.

Nie zatrzymałem się. Grudniowe przedpołudnie straszło mrozem i na Beeger było pustawo.

– Nie złość się, Bobby.

– Ja, złościć się? Tylko dlatego, że mnie dostarczyłeś Górze na sąd?

– Dobrze wiesz, że to nie był mój wybór. I ja wiem, że wiesz.

– Doprawdy? Zabawne, bo jakoś nic mi o tym nie wiadomo.

Usiadłem na pierwszej ławce niepoplamionej zaskorupałym

keczupem i jogurtem. Muł klapnął obok. Gdy rozwijałem serwetkę z okruchami, jakiś szczególnie śmiały gołąb zanurkował mi tuż nad głową, żeby uraczyć się przed innymi. Zaskoczony, omal mu łebka nie ukręciłem. Miesiące minęły od mojego powrotu z Piekła, a ja wciąż się nie otrząsałem. Nie lubię, jak cokolwiek na mnie skacze znieńcka.

– Jeżeli naprawdę myślałeś, że cię sprzedałem, to czemu na mnie nie doniosłeś? – spytał archanioł.

Wyglądał jak nieszkodliwy starszy pan, może profesor arabistyki, jakich się widuje przesiadujących na skwerach. Gołębie doceniały mnie trzepotliwie ze trzydzieści sekund, póki nie skończył mi się chleb.

– Przecież doniosłem. Wszystko opowiedziałem Patiel-Sa. Złotousta jędza.

– Nie o to mi chodzi. Tam nie miałeś wyboru. Za to na rozprawie przed Eforatem nie wymieniłeś nawet mojego imienia.

– Bo nikt mnie o to nie pytał. – Co oczywiście było tylko półprawdą. Już wtedy zaczęło mi świtać, że z Temuelem sprawa nie taka prosta: poza ewidentną, zdawałoby się, rozgrywa się coś bardziej skomplikowanego. Ryzykował nawet, by chronić moje tajemnice: na przykład władze nadal nie wiedzą o apartamencie Caz. Któregoś dnia zawędrowałem tam w pijanej mgie, by się rozejrzeć, ale wytrzymałem tylko parę minut; bolało zbyt mocno. Natomiast nie zauważyłem żadnych oznak bytności służb niebieskich. – No dobra, zrobiłeś to i owo, żebym miał do czego wrócić. Z taksówką też coś ekstra

wykombinowałeś? Bo jakoś niebiański radar jej nie wykrywa i muszą mnie śledzić po staroświecku. Zgaduję, że to twoja sprawka.

– Ciekaw byłem, czy to zauważysz. – Muł skromnie skinął głową.

– Tak, zauważyłem. Dzięki. – Nie czułem się jednak szczególnie wdzięczny. – Czego więc teraz ode mnie chcesz? Wszystko chyba skończone, nie? Anaita wpadła, ty jesteś czysty i wolny, ale ja nadal nie wiem, czy czeka mnie dalszy ciąg tej inkwizycji. Chcesz się upewnić, czy dalej będę cię krył? – Próbowałem wypatrzeć odpowiedź na jego twarzy, lecz z niczym się nie zdradzał. – Cóż, chyba się postaram. Skoro jednak już wszystko wygadałem Aniołowi Pojednania, to ktoś w Niebie wie o nas obu aż nadto, żeby nas wpakować w otchłań na wieczność czy dwie. Pytanie tylko, dlaczego jeszcze nic z tego nie wykorzystali. Innymi słowy, jeśli się martwisz o swoje archanielskie skrzydła, to nie ja jestem twoją największą troską.

– Nie dlatego tu jestem. – Zabrzmiało to trochę ostro. – Na razie nie mogę o tym mówić, chciałem jednak, byś wiedział, że o tobie nie zapomniałem. Pojęcia nie masz, jak się ostatnio sprawy pokomplikowały. Jakie to wszystko... delikatne.

Poklepał mnie po dłoni prawie jak zwykły człowiek.

– I to wszystko? Powodzenia, Bobby, chciałbym ci pomóc, ale to takie skomplikowane? W porządku, zostawmy mnie na chwilę. Co w takim razie z Kainos i wszystkimi tamtejszymi duszami? Co, po prostu wzięły i zniknęły? – Omal nie dodałem: „Razem z moją dziewczyną”, ale odruch skrytości zadziałał automatycznie. – Co z Samem Rileyem i innymi Magami, których ta wiedźma zdradziła?

Tak sobie pozostaną martwi? Czy może się ich przetworzy na modele bardziej sterowalne, z wyłączoną funkcją zadawania pytań?

– To nie takie proste.

– Wie szef, już to gdzieś słyszałem. Nie tego się oczekuje od przyjaciół.

– Nigdy nie byłem twoim przyjacielem. – Nie starał się dodawać mi ducha, ale przynajmniej zrobił smutną minę. – Niebo, Piekło, Ziemia... To układ zbyt złożony na coś tak prostego jak przyjaźń, Bobby. Starałem się jednak być wobec ciebie fair. I nadal będę się starał.

– Więc fatygowaleś się tu do mnie, żeby co mi powiedzieć? Nie poddawaj się?

– O to akurat najmniej się martwię. Już raczej o to, że posuniesz się za daleko w niewłaściwej chwili.

– A cóż to, na Hades z półpiętami, ma znaczyć? W niewłaściwej chwili? Przecież dopiero co przyczyniłem się do upadku anioła, który urządził największy antyniebiański przekręt od czasu, gdy Szatan próbował przyspieszyć sobie karierę.

– Zabawne, że o tym wspominasz – rzekł. Już myślałem, że wreszcie usłyszę coś użytecznego, on jednak wstał, pogładził łysinkę, poprawił okulary i obdarzył mnie kolejnym uśmiechem starego mądrego wujaszka. – No, muszę już iść.

Nie chciało mi się nawet szukać jakiejś ciętej odpowiedzi. Sflaczały balonik wlokący nitkę po ziemi, mówię wam. Patrzyłem,

jak znika w przyległym parku. Parę gołębi zbyt głupich, by się zorientować, że okruchów już nie ma, dotrzymywało mi towarzystwa, póki się nie podniosłem i ruszyłem w przeciwnym kierunku.

Gdyby to był dzień taki sam jak kilka poprzednich, wróciłbym do domu pocelebrować południe kilkoma drinkami. Za długo jednak podświadomie czekałem na sygnał od Temuela, więc gdy się w końcu zjawił (i przyniósł mi jedno wielkie nic), nie mogłem wyłączyć ponurych myśli. Wałęsałem się to po bulwarze nadmorskim, to ciasnymi uliczkami przyległej części starego miasta – to jest, pardon, Dzielnicy Pionierów – i rozważałem, co lepsze: topić się z wolna w butelce czy zrobić to rzetelnie, dając nurka w zimne zielone wody zatoki. Chwilę słuchałem faceta z gitarą; nawet nieźle wychodziła mu stara piosenka Slima Harpo, którą ludzie pamiętają tylko dlatego, że nagrali ją też Stonesi. Wirtuozem nie był, ale dało się wytrzymać. Koncert się urwał, gdy z pobliskiego sklepu wyszedł właściciel i wcisnął mu pięć baksów, żeby poszedł grać gdzie indziej.

Tak się dziwnie złożyło, że od hipnotycznie kuszącej topieli oderwał mnie telefon od Orbana. Madziar dzwonił, by mnie zawiadomić, że sfinalizował sprzedaż matadora jakiemuś gościowi z Północnego Zachodu i ma dla mnie resztę forsy.

A więc koniec pieśni, moja bryka poszła do ludzi.

Kochałem ten wóz; długie godziny poświęcałem na szukanie oryginalnych części, odpowiedniego lakieru i tapicerki, nabijałem kabzę mechanikom, żeby wyczarowali z grata nówkę – a teraz

zniknął z mego życia. Nie on jeden zresztą; sporo tego ostatnio bywało. Najdziwniejsze zaś, że powinienem po nim rozpaczać, a tu Urbanowa informacja nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Czy mnie naprawdę już nic nie obchodzi? Czy może tylko zmieniły mi się priorytety? Albowiem gdy tak szedłem wzdłuż Parade, klucząc między grupkami zmarzniętych turystów, dotarło do mnie, że pewne rzeczy wciąż mnie bardzo obchodzą.

Caz nazwała mnie kiedyś zranionym romantykiem i autodestrukcyjnym optymistą, ale nie czułem się ani jednym, ani drugim. Mam jednak w sobie coś, co musi od czasu do czasu dostać w łeb, żebym sobie przypomniał, po co wstaję z wyra, i to coś właśnie się we mnie znowu budziło. Niebo nie powie mi niczego. Temuel nic powiedzieć nie może. Sama i Caz nie ma i nawet eforowie, którzy powinni mnie grillować jak juniorburgera, najwyraźniej mieli mnie gdzieś.

Za to ja byłem zaangażowany za nich wszystkich. Nadal chciałem wiedzieć, co się ze mną stało i dlaczego.

Wróciłem do domu, wsiałem do żółtej paskudy i pojechałem na zachód, ku górcom i oceanowi.

Przybój był imponujący, jak to w środku zimy. Kilka ubranych na szaro kobiet rozwieszało pranie za domkami poniżej willi, choć przy tej pogodzie habity i pościel z pewnością nie wyschłyby szybko.

Drzwi otworzyła mi jedna z zakonnicek i usiłowała mnie przekonać, że doktora Gustibusa nie ma w domu. Szczerze mówiąc, nie robiło mi to różnicy, bo nie zamierzałem dać się łatwo spławić, poza tym nie

bardzo miałem dokąd iść. Powiedziałem, że w takim razie zaczekam, i bezceremonialnie wepchnąwszy się do środka, ruszyłem do biblioteki. Siostrzyczkę to mocno zdenerwowało, była jednak zbyt dobrą chrześcijanką, żeby się ze mną bić.

Ledwo znalazłem sobie miejsce do siedzenia między stołami pełnymi książek i papierysk, kiedy do sali wszedł gospodarz, wiążąc w marszu pasek piżamy buddyjskiego wojownika, jak gdybym wyrwał go z wanny. Na korytarzu czekała w pogotowiu zakonnica, tym razem uzbrojona w miotłę, lecz Gustibus najwyraźniej nie widział potrzeby rozwiązań siłowych i delikatnie, lecz stanowczo zamknął za sobą drzwi.

– Myślałem, że pan gdzieś wyjechał – powiedziałem.

– Miło, że pan wpadł, panie Dolar. Następnym razem może by pan najpierw zatelefonował?

– O, przepraszam. Stary nawyk... Ludziom, którzy nie chcą mnie widzieć, łatwiej uniknąć spotkania, gdy wiedzą, że się do nich wybieram.

– Być może, ale ja pana nie unikam.

– Toteż nic takiego nie insynuuję. Nadal jest pan zainteresowany wymianą informacji?

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, po czym podszedł do stolika i nalał wody do dwóch szklanek.

– Napije się pan?

– Jasne. Szklanki miał pan przygotowane. Spodziewał się pan

gościa? Na przykład mnie?

Popatrzył na mnie ni to z rozbawieniem, ni to z irytacją.

– A dlaczegoż miałbym oczekiwać akurat pana?

– Nieważne. Przyjechałem, bo chcę się dowiedzieć czegoś więcej o pewnym aniele. – Zajrzałem do notesu i przerzuciłem parę kartek.

– Tak, to wszystko. Po prostu parę danych na temat jednego aniołka. Przyjmę twarde dowody, ciekawe historyjki, wątpliwe bzdety... pański wybór.

– Hmm... A co dostanę w zamian?

– Poufną relację o upadku pewnej anielskiej grubej ryby. Mówi panu coś imię Anaity?

– Nie ukrywam, że tak. Co więcej, nawet gdybym o niej nie słyszał, już tylko to, że pan wciąż robi swoje, dowodzi, że musiała zniknąć z horyzontu.

– Trafny domysł. Tak się składa, że byłem przy tym, gdy ją aresztowano. Interesująca historia. To jak, wchodzi pan w to?

Napił się wody, obserwując mnie znad krawędzi szklanki.

– A o jakim aniele szuka pan informacji? Bo to może sprawić różnicę. Chodzi o jednego z pańskich eforów? A może kogoś z ruchu Magów, marionetek Anaity?

– Nie. Chcę, żeby mi pan opowiedział o archaniele zwanym Samkielem.

Założę się, że nic to dla was nie znaczy, ale zapewniam, że już to imię słyszeliście. Doktor też je rozpoznał, bo zrobił zaskoczoną minę.

– Naprawdę? – Pokręcił głową, jakbym zaoferował mu bezcenny antyk za równowartość flaszki taniego sikacza. – Bardzo dobrze. Porozmawiajmy.

Opowiedziałem mu o śniegu i popiele w Kainos – wszystko aż do chwili, kiedy nadleciały anioły i mój przyjaciel umarł mi na rękach. Nie ukrywałem niczego, nawet rzeczy, o których wolałbym zapomnieć. Czasem zadawał mi dodatkowe pytania – dobre, mocne pytania, na które nie zawsze umiałem sam sobie odpowiedzieć. Aż mnie to zastanowiło, bo niby mógł to być zwykły u historyka głód wiedzy, czasem jednak miałem wrażenie, że chodzi o coś głębszego.

Gdy skończyłem, odpowiedział na moje pytania i wkrótce o tym usłyszycie. W sumie było to fascynujące popołudnie i przez długi czas świat jakby nie istniał; byliśmy tylko my dwaj, jeden mówił, drugi słuchał, i tylko ocean dobijał się do brzegu jak kochanek do zaryglowanych drzwi swej bogdanki, a wiatr skrobał dachówki i wprawiał okna w drżenie.

Gdy skończyliśmy, był już wczesny wieczór. Wstałem, przeciągnąłem się i zacząłem szukać kluczyków po kieszeniach.

– Aha, jeszcze jedno – rzekłem. – Takie drobne pytanko, nie na handel. Nie musi pan odpowiadać.

Odstawił szklankę i odwrócił się od okna. Jak zwykle, przez cały czas był na nogach.

– Jakież to pytanko?

– Zastanawiałem się, czy może pan być kimś innym.

– Przepraszam, nie rozumiem?

– Wiem, że to brzmi dziwnie. Nie mogłem jednak oprzeć się myśli, że gdyby ktoś chciał mi podsunąć informacje, a może i troszeczkę mną pomanipulować, bardzo by mu pasowało mieć na przykrywkę kogoś, kto dużo wie o Niebie, lecz sam jest outsiderem. Kogoś takiego jak pan.

– A. I w takiej solipsystycznej wizji, panie Dolar, kim według pana miałbym być?

– Nie mam pojęcia. Dlatego pytam. Jednym z eforów? Moim szefem Temuelem? Jakimś innym, nieznanym mi aniołem? Kurka wodna, może nawet nie aniołem... na Ziemi musi się roić od agentów Piekła, którzy tylko patrzą, by zdobyć tajne informacje, a przy okazji narobić Niebu kłopotów.

Jego uśmiech wydawał się szczery, choć nieco zbyt pobłażliwy.

– Czy mam przypomnieć, że to pan mnie znalazł, a nie na odwrót?

– Nie da się ukryć.

– I gdyby nawet ta teoria spiskowa była prawdziwa... choć oczywiście nie jest... dobrze pan wie, że taka szpiegowska wersja Karla Gustibusa musiałaby wszystkiemu zaprzeczyć. Pytanie jest więc bezcelowe, prawda?

– Chyba tak. Dzięki za materiał o Samkielu. Mam przecucie, że okaże się użyteczny.

Gospodarz nie odprowadził mnie do drzwi. Siostra z miotłą

uparcie trwała na posterunku, ale przynajmniej mi nią nie przyłożyła.

W drodze powrotnej miałem wiele do przemyślenia. Włączyłem *Blue Seven* Sonny'ego Rollinsa (świetna muza do główkowania) i patrzyłem na drzewa rozkołysane na przedsztormowych podmuchach. Niebo było ciemne jak moje myśli.

Zaparkowałem w podziemnym garażu Tierra Green i ruszyłem ku schodom. Postanowiłem zadzwonić do Clarence'a. Musiałem się tym z kimś podzielić, a tylko on wiedział dostatecznie dużo, by rozumieć całą tę historię. Że już nie wspomnę, iż sporą jej część poznałem dzięki niemu. Jednakże gdy tylko zajarzył się ekran i zacząłem wybierać numer, coś grzmotnęło mnie w plecy tak mocno, że dech mi zaparło. Zachwiałem się i próbowałem odwrócić, ale okazało się to trudniejsze niż normalnie. Wykręciłem głowę do tyłu i ujrzałem bladą twarz jednego ze zbirów Baldura von Reinmanna – Timona, tego bruneta. Szeroko otwarte oczy błyszczały mu niemal seksualnym podnieceniem, czoło miał zroszone potem. W dłoni ścisnął długi zakrwawiony nóż – sztylet SS.

– Co do... – zdążyłem wykrztusić, zanim dźgnął mnie po raz drugi, tym razem w brzuch.

Chwyił mnie wolną ręką i zadał jeszcze kilka pchnięć. Puścił dopiero, gdy nogi się pode mną ugięły.

– Zabiłeś go! – wysyczał niewyraźnie. – Takiego wspaniałego człowieka, naszego wodza! Mógł być jednym z liderów świata! – Ciemne loki opadały mu na oczy. Wyglądał na zbyt poruszonego jak na prawdziwego mordercę. – Wszystko zepsułeś!

– Nie – wyduśiłem przez wzbierającą w gardle krew. – To ty zepsułeś. – Opadłem na czworaki, usiłując nie wrzeszczeć z bólu palącego mi cały tułów, z przodu i z tyłu. Mówiłem dla odwrócenia uwagi, czułem się jednak, jakby mi się odbijało żywym ogniem i kruszonym szkłem. Złapałem go za nogi i próbowałem wstać. Wyrwał się, lecz jakoś nie przyszło mu do głowy, żeby znów mnie dziabnąć. – Dupek jesteś. – Słowa z trudem przeciskały się przez zaciśnięte zęby. – Mógłbyś być instruktorem na obozie. Albo pieprzonym fanem komiksów czy co. Kimś porządnym. – I nagle, jak urodzinową niespodziankę, zobaczyłem zatkniętą za jego pasek moją własną kanapówkę, którą mi ukradł w muzeum. – Ale nie, tyś musiał się skumać z bandą nędznych faszystowskich gówniarzy!

Chciałem tak go rąbnąć z dołu w jądra, żeby zdechł na miejscu, ale byłem bardzo słaby i wyszedł z tego tylko taki sobie kuksaniec. Tymczasem Timon zwinął się z bólu i odruchowo cofnął, zdążyłem jednak chwycić kolbę rewolweru.

Minęła dobra sekunda, zanim do niego dotarło, z czego weń celuję.

– Założę się, że teraz żałujesz, żeś nie wybrał golfa – powiedziałem, patrząc mu w zaokrąglone oczy. – Albo zbierania znaczków.

Wystrzeliłem mu w tors cały bębenek. Jak przystało na dobrego nazistę, wyczyścił, naoliwił i załadował zdobytą broń, więc dostał wszystkie pięć kul. Dwie czy trzy ostatnie nie były już chyba potrzebne, ale w tej chwili mało co już widziałem i nawet zdrowy huk

trzydziestkiósemki brzmiał jak postukiwanie młotka gdzieś daleko stąd.

Umarłem krótko potem.

Czterdzieści osiem

O jedno tyknięcie



Powiem wam coś, czego pewnie nie wiecie: otóż wygląda na to, że zmarli miewają sny.

Skąd wiedziałem, że nie żyję? Cóż, jeśli nigdy to się wam nie przytrafiło (i nie byliście wtedy aniołami jak ja), trudno to wytłumaczyć. Zasadniczo wygląda to tak, że na krótką chwilę wszystko gaśnie, impreza skończona i już nie czuje się szemrzącego w krwiobiegu tchnienia Najwyższego. Nie umiem tego lepiej wyjaśnić.

W każdym razie miałem pewność, że umarłem. Nie wiem za to, jakim cudem wróciłem do życia w tym samym ciele. Ale o tym za chwilę. Co się zaś tyczy śnienia...

To była Caz, ale widziałem wszystko jej oczami. Pomyślałem, że musi być w Piekle, gdyż wokoło nie było nic, tylko płomienie, dym i wyzute z nadziei twarze. Potykając się, kluczyła między nimi, a ich właściciele próbowali ją chwytać, przewrócić. Przedarła się jednak i znalazła w skłębionej nicości. Nagle w przedzie wykwitła linia ognia, a potem wyłoniło się coś jeszcze – coś wielkiego i potężnego, co przyszło tylko po nią. Uniosło rękę...

Wtedy się obudziłem. Krzycząc, rzucając się, usiłując jej pomóc, ratować – byłem jednak związany.

Chociaż nie. Związaną miałem tylko jedną stronę. I właściwie wcale nie skrepowaną. Ktoś po prostu trzymał mnie za rękę.

– Bobby, wszystko dobrze. Jesteś w szpitalu. Nie wrywaj się, bo szwy ci puszczą!

Długo dochodziłem do jako takiej przytomności umysłu. Wciąż widziałem tę iskrzącą dziurę w powietrzu i wielką czarną sylwetkę wyłazącą z niej, by porwać Caz.

– Clarence?

– Kurczę... – Usiłował się uśmiechnąć, lecz zanadto był zmartwiony. – Zdaje się, że nawet otarłszy się o śmierć, nie użyjesz mojego prawdziwego imienia, co?

– Jak to, otarłszy? – Opadłem z powrotem na poduszkę, a raczej coś poduszkokształtnego, pozbawionego jednak jej istotnych cech, takich jak miękkość i wygodność. – Jesteś pewien? – Nie rozumiałem, skąd się tu wziąłem i co tu robię. – Dalej trzymasz mnie za rękę?

– A co, czyżbyś czuł się z tym nieswojo?

– Nie, tak tylko sprawdzam. Kombinuję, co jest co. – Wśród owych „co” była też typowa salka szpitalna z beżowymi ścianami i zasłoniętymi żaluzjami. – Dlaczego ja żyję?

– Bo Bóg cię kocha?

Byłem już zmęczony i pragnąłem znowu zasnąć. Zanurzyć się w ciemność, gdzie mógłbym przynajmniej śnić o Caz.

– Możliwe. Albo to bardziej kłótwa niż nagroda. – Czułem się jak resztki pokrajanego indyka w Święto Dziękczynienia. Zaklinam się, że mógłbym wskazać palcem miejsca, gdzie nóż tego neonazistowskiego bydlaka drapnął mnie w żebra po drodze do różnych ważnych organów. – Co z sukinsynem, który mnie tak podziurawił?

– Stuprocentowy trup. Nazywał się Geoffrey Jakiśtam. Jeden z Czarnego Słońca.

– Tak, poznałem go. – Zmęczenie pulsowało we mnie falami. – Co słyszać? Długo byłem wyautowany?

– Nie żałowałeś sobie. Kilka dni. Chirurdzy ledwo cię odratowali. Monica i kilku naszych parę razy cię odwiedzali, ale byłeś nieprzytomny, naszpikowany rurkami i ogólnie mało zabawny. A co słyszać? W Niebie nic nowego. Cały czas cicho sza o wiesz kim.

– Powinni dać jej złoty spadochron. Dosłownie. I kazać skoczyć z orbity okołoziemskiej. – Poprawiłem się na łóżku. Zaboląło, ale nie aż tak, bym nie czuł, że moje ciało już zdrowieje. Wkrótce wrócę do normy w świecie bez Sama i Caz, i bez żadnego sensu. Pieprzone Niebo. Znaleźli dla mnie najlepszą karę: trzymać przy życiu, bym cierpiał w nieskończoność.

Młody ścisnął mi dłoń i puścił.

– Tak mi przykro, Bobby. Z powodu Sama. Myślisz, że jest jakaś szansa, by wrócił?

– On nie myślał.

– Ja też za nim tęsknię, wiesz? Bardzo – odrzekł po krótkiej pauzie.

Już miałem na języku sarkastyczną ripostę, ale impuls się zaraz rozplynął.

– Wiem, Młody. On cię naprawdę lubił, a to u niego nieczęsty przypadek.

– W ostatnich miesiącach spędzał ze mną dużo czasu. Jakby mnie szkolił na swoje miejsce. Może przeczuwał, że coś się stanie?

– Szkolił cię po co? Powtórz.

– Wiedział, że będziesz potrzebował partnera. – Clarence lekko się zarumienił. – Kogoś, kto by na ciebie uważał.

Popatrzyłem na niego przeciągle. Sam oczywiście miał rację. Czasem jestem jak ten sflaczały balonik, ale bywa, że zamieniam się w latawiec. Dobrze jest wtedy mieć przy sobie towarzysza, który wie, kiedy złapać za sznurek i mnie zakotwiczyć.

– Pożyjemy, zobaczymy.

– Jeśli wolisz posprawdzać innych kandydatów, to mogę zadzwonić po G-Mana.

– Pieprz się. Nie jestem aż tak zadowolony z tego, że nie umarłem, więc nie śmieję mnie rozśmieszać. Czuję się, jakbym miał szwy założone na szwy. I nadal chcę się dowiedzieć, dlaczego przeżyłem. Tylko bez mieszania do tego bożej miłości.

– Dobra, już nie mieszam – odparł z uśmiechem Clarence i wstał.
– Powinieneś jednak przynajmniej dopuścić taką możliwość.

– Jesteś dla mnie martwy, Harrisonie. Trup.

– Za to ty żyjesz, Bobby, czy ci to pasuje czy nie. To do jutra, w godzinach odwiedzin.

Już wychodził, kiedy coś sobie przypomniałem.

– Hej, Młody!

– No?

– Chciałem tylko się upewnić. To Samkiel, tak?

– Sorki, ale nie bardzo...

– Ten gość, który cię wysłał na szkolenie, archanioł. Samkiel mu było, nie?

– Zgadza się. – Rzucił mi dziwne spojrzenie. – A czemu pytasz?

– Nic takiego. Następnym razem przynieś jakiś alkohol.

– Wybij sobie z głowy, B.

Wyszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi, jak gdyby głośniejsze hałasy mogły denerwować niedawno umarłych. Bo przecież, psiakrew, zginąłem. Przynajmniej w takiej mierze, w jakiej może zginąć anioł. Byłem tego pewien – a jednak oto jestem i nawet nie w nowym wcieleniu.

Myśli, które snułem, gdy zaskoczył mnie nożownik, wracały jedna po drugiej, między innymi naturalnie te dotyczące spotkania z Gustibusem. Byłem jednak wykończony minutami przytomności i przekomarżanką z Clarence'em. Nie zdążyłem wiele się narozmyślać, nim znów zapadłem w sen.

Otaczało mnie tyle piękna, że pękłoby od tego najtwardsze serce, ugiąłby się najsztynniejszy kark, ale nawet tu, pośrodku Pól Elizejskich, z widokiem na odległe wieże Niebieskiego Miasta, czułem się jak wydrążony.

Aniele Doloriel, zagrział stentorowy głos, wypełniając zielony świat wielokrotnym echem, choć tylko ja te słowa słyszałem. *Niebo cię wzywa.*

Przyjąłem to bez zaskoczenia. Nie znalazłem się tu z własnej woli, więc spodziewałem się wezwania. Mógłbym wybrać dalszą drogę i kontemplować chwałę Ludzkości po Śmierci, ukontentowanych dusz na łąkach Pana i melodyjnych pień Niewidzialnego Chóru, zmęczenie jednak – nie cielesne, lecz duchowe – wzięło górę. Pozwoliłem się zanieść prosto tam, gdzie miał się ważyć mój los.

Trafiłem gdzieś, gdzie nigdy jeszcze nie byłem. Po kącie padania światła (lub niepadania; bądź mądry i to wytłumacz, człowieku...) poznałem, że muszę być w granicach Niebieskiego Miasta. Przez moment zastanawiałem się nawet, czy może wreszcie znalazłem się w Empireum, ośrodku wszechświata, zakazanym dla szarych anielskich szeregów, ale tego się chyba nigdy nie dowiem. Wiedziałem tyle, że to miejsce jest zarazem pod dachem i na zewnątrz, panuje w nim cisza i powaga godna krypty pod katedrą, a przy tym oddycha się tu swobodnie jak w namiocie na górskiej połoninie. Ściany sprawiały wrażenie, jakby były z tkaniny lekkiej jak chmura i poruszały się lekko na wietrzyku, którego jednak nie czułem. Gdyby nie gigantyczne rozmiary i brylantowe niebiańskie światło, mogłaby to być kwatera polowa jakiegoś ważnego generała. Ta myśl przerodziła

się w domysł, kogo za chwilę spotkam.

– Aniele Doloriel, Bóg cię kocha.

Stałem przed postacią spowitą w jasną poświatę. Anioł siedział, nie widziałem jednak na czym. Nie było też widać rysów twarzy, tylko mglistą męską sylwetkę ze światła i chmur, ale tembr głosu potwierdził moje przypuszczenie.

– Karaelu, panie mój. Wzywałeś mnie?

– Zbliź się, synu. – Chwilę później znalazłem się tuż przed nim i też w pozycji siedzącej, nie umiałbym jednak określić, czy to był tron, zwykły stółek, czy też po prostu zawisłem w powietrzu. – Wiele ostatnio przeszedłeś, prawda?

– Z całym szacunkiem, panie, nie zaprzeczę.

– I teraz ktoś inny próbował cię zabić. Jakie to szczęście, że mu się nie udało. Ci śmiertelnicy potrafią być uparci. – Karael się uśmiechnął. Nie wiem, po czym to poznałem, skoro nie miał twarzy, ale poczułem się, jakby ktoś uchylił kotary, by wpuścić trochę słońca. – Uwierz mi, Dolorielu, nie wszyscy w Niebie dybią na twoją duszę. Są tacy, którzy podziwiają twą inteligencję i... jak by to powiedzieć? Determinację. Ale oczywiście są i inni, którym się nie podobasz.

– Do tej grupy można chyba zaliczyć Anaiteę.

Chmura czy kotara zakryła słońce.

– Doprawdy, nie warto o niej rozmawiać. Nikt nie jest dumny z tego, co zrobiła, ani z tego, jak daleko to zaszło. Ale ty już nie musisz się bać oskarżenia w tej sprawie.

– Nie?

– Nie. Zostaniesz, synu, nawet nagrodzony. Od tej chwili uważaj się za przywróconego do służby i oczyszczonego z zarzutów. Na razie będziesz pracował na pół etatu, póki nie wrócisz do dawnej krnąbrnej formy. Dopilnujemy, żeby centralne biuro w San Judas dostało odpowiednią rezerwę. – Powiedział to z taką szczodłą, pogodną stanowczością, jakby to Bóg oznajmiał Adamowi, że jeden kierunek będzie się nazywał „góra”, a przeciwny „dół”.

– Dziękuję, panie.

– I nie musisz się do mnie zwracać per pan. Nie jestem Najwyższym, tylko jednym z Jego wiernych sług. Mów do mnie po imieniu.

– Okej. Ale czy mogę zadać parę pytań?

– Naturalnie. – Szeroko rozłożył świetliste ramiona. Gest był przepełniony takim dostojnym wdziękiem, że od razu wiadomo, kto to taki anioł. – Zasłużyłeś sobie na to.

– Co z moim procesem?

– Usunięto go z akt. Rozgłosiliśmy, że to wszystko wyniknęło z kłowań Anaity, która chciała zamącić wodę i sprowadzić Niebo na mylny trop.

– O kurka... Dzięki! Kamień z serca. A co z nią?

Karael odrobinę się nachmurzył. Być może pokręcił głową ze smutkiem, nie gniewnie.

– Będzie ukarana, nie martw się.

– Tak, ale czy wyjaśniła, dlaczego to zrobiła? Bo wiele z tego, co się stało, właściwie nie ma sensu.

Znieruchomiał.

– Na przykład?

– No, nie chciałbym marnować twego czasu, Karaelu. Wiem, że jesteś bardzo zajęty. Czy to ty przejąłeś po Anaicie nadzór nad moim regionem?

– Podział obowiązków w Trzeciej Sferze jest znacznie bardziej złożony, ale najprościej mówiąc, tak. – Drobnny przebłysk słońca. – Wychodzi na to, że teraz jestem twoim szefem. Hierarchia oczywiście się nie zmieniła, nadal podlegasz...

– Temuelowi – wszedłem mu w słowo. – Zgadza się?

– Zgadza się. – Oho, Anioł Wojujący nie lubi, gdy mu przerywają. – Jeżeli nie masz więcej pytań, Dolorielu, odeślę cię do domu i wrócę do swoich nowych zajęć.

– Jeszcze chwilę, jeśli można. Nie dokończyłem wymieniać tych rzeczy bez sensu. To wszystko od początku było dziwne. Jak choćby wtedy, gdy zaczęły znikać dusze, później odnalezione w Kainos. Pierwszą z nich był Edward Walker. Byłem na miejscu tuż po jego samobójstwie. Oskarżycielem był Grasswax.

– Grasswax... Ten, którego Eligor zarznął z powodu pióra.

To było niesamowite uczucie, tak sobie siedzieć z potężnym archaniołem i gawędzić o sekretach, za które jeszcze przed kilkoma dniami ludzie ginęli lub trafiali do Pieła.

– Ten sam, sir. Najdziwniejsze jednak, że kiedy Walker zaginęła, nie byliśmy z Grasswaxem jedynymi przedstawicielami obu stron, którzy się tam zjawili. Wyglądało to tak, jakby ktoś uruchomił alarm pożarowy. Ledwośmy zauważyli brak duszy, a już się zaroilo od aniołów i demonów.

– Hmm... Ciekawe spostrzeżenie. – Światłość lekko zafalowała. – Dlaczego Anaita miałyby to zrobić? Po co ryzykować całe przedsięwzięcie, tak wcześnie ściągając na sprawę tyle uwagi i tylu dodatkowych świadków?

– No właśnie.

– Przypuszczam, że to sprawka Eligora – rzekł po krótkiej pauzie. – To, że zawarł z nią układ, nie znaczy, że nie próbowałby utrudniać jej życia. W końcu jest arcyksięciem Piekła.

– Trafna uwaga, sir. Co nasuwa mi kolejne pytanie. Dużo czasu strawiłem na rozmyślaniach, jaki to mógł być układ. Pióro za róg, gdzie go ukrywała, jaki miała cel.

– Jej celem było stworzenie własnego kultu, by rzecz ująć najzwyczajniej – odrzekł z wyraźną dezaprobatą. – Nie mogła zapomnieć o swym pochodzeniu. Nie doceniała boskiego planu.

– To oczywiste. Ale oto pytanie, na które nie znalazłem odpowiedzi. A Eligor? Co on na tym zyskiwał?

– Mów jaśniej.

– To całkiem proste, pa... Karaelu. Wysokiej rangi anioł i takież demon dobijają targu i zadają sobie wiele trudu, żeby utrzymać to w

tajemnicy. Na przykład Anaita wpackowała Walta Sandersa do Piekła i ożywiła dwukrotnie zmarłego seryjnego mordercę, aby go nasłać na mnie, a wszystko po to, żeby jej sekret się nie wydał.

– A co ty wiesz o aniołach w Piekło, Dolorielu?

Chmurność na jasnym obliczu pociemniała na sztormowo. Gdybym był na Ziemi, przełknąłbym nerwowo ślinę.

– Myślę, że wiesz, Karaelu, dużo o tym, gdzie bywałem i co robiłem. Anaita nie miała powodu, by to przemilczeć, zwłaszcza gdy już była pewna swojej mocnej pozycji. Wszystko też wyznałem Patiel-Sa, Aniołowi Pojednania, kiedy byłem więziony.

Zapadła cisza, taka prawdziwa, absolutna, bez najmniejszego poszumu w tle. Zupełnie jakbyśmy dryfowali przez kosmos.

– Przyjmijmy, że masz rację – rzekł po długiej chwili Anioł Wojujący. – Że orientuję się w twoich sprawkach lepiej, niż to oficjalnie wiadomo. A mimo to nadal chcę przywrócić cię do normalnego funkcjonowania i nawet przyznać parę przywilejów.

Wyraźnie zobaczyłem mile połyskującą przynętę, lecz nie byłem w nastroju.

– Rozumiem. I z chęcią je przyjmę, gdy już uda mi się dokończyć tę rozmowę.

– Bardzo zdecydowana z ciebie dusza.

– Wszyscy mi to mówią. – Wziąłem wyimaginowany oddech, jak przed skokiem w głęboki koniec basenu. – Dobra, odłóżmy więc kwestię zysków Eligora, choć według mnie to musi być bardzo

ważne. Pomóż mi, proszę, w jednej, ostatniej sprawie. Wiesz wszystko o moim partnerze Clarensie, prawda?

– Clarensie?

– O, przepraszam. To taki nasz prywatny żarcik. Mam na myśli Haraheliela. Ziemskie nazwisko to Harrison Ely. Początkowo przysłany z zadaniem inwigilacji adwokata Samariela, potem jednak uznał, że Samowi dzieje się niesprawiedliwość, i poniekąd połączyliśmy siły. Był jedną z dusz zatrzymanych podczas waszego nalotu na Kainos, ale ktoś go znów puścił na ulicę. Coś tak jak z twoją propozycją dla mnie, jeżeli przestanę cię zanudzać pytaniami.

– Ach, ten Clarence.

– Właśnie. Z tego, co wiem, zamiast przejść normalne szkolenie jak Sam i ja, kiedy trafiliśmy do Kontrataku, Clarence w ramach przygotowania do misji został wysłany w inne miejsce, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Otrzaskał się tam z bronią i różnymi innymi rzeczami.

– Tak? I co z tego? To była zagrywka Anaity, synu. – Karael mówił jak urodzony oficer. Już sam ton sprawiał, że chciało się stanąć na baczność i zaszalutować. – Potrzebowała informacji o Magach i chciała mieć wtyczkę łatwą do kontrolowania. W ten sposób mogła udawać, że nic o nich nie wie, a gdyby noga się jej powinęła, powiedzieć, że już od dawna ich podejrzewała i prowadziła śledztwo. Ja jednak nigdy jej nie ufałem.

– To brzmi bardzo prawdopodobnie i logicznie, sir. Problem w tym, że to nieprawda.

Paauza tym razem była znacznie dłuższa.

– Słucham?

– Dobrze słyszałeś, Karaelu. To nieprawda. Chcesz wiedzieć, jak było? Szkolenie Clarence’a, ten niby miniowód szpiegowski Anaity, rzekomą jednostkę Kontrataku niezależną od struktur władzy, zorganizował archanioł o imieniu Samkiel. A Samkiel, dowiaduję się, to jeden z twoich najstarszych sojuszników. Dlaczego więc miałby robić coś takiego dla Anaity? Chyba że z twojego polecenia...

– Synu, niebezpiecznie zbliżamy się do...

– Obaj wiemy do czego, Karaelu. Sir. I możesz mnie uciszyć na tysiąc sposobów. Skoro już jednak tu jesteśmy, równie dobrze możesz mnie wysłuchać. – Tak, wiem, że ryzykowałem jak idiota (w końcu nie jestem głupi), ale nie mogłem się już zatrzymać. Za długo czekałem, by to wszystko poskładać. – Bo widzisz, jedyne wyjaśnienie, w którym wszystko trzyma się kupy, to że Anaity nie działała w pojedynkę. Od samego początku. Ktoś jeszcze musiał dokładnie wiedzieć, gdzie i kiedy nastąpi porwanie pierwszej duszy, bo tylko jeden z wtajemniczonych mógł tak szybko podnieść alarm ogólny i ściągnąć do willi Walkera legiony aniołów i diabłów.

– Eligor...

– Eligor nie miał powodu, by spieprzyć Anaicie robotę, skoro jej plan miał przynieść więcej szkody Niebu niż Piekłu. To oczywiście możliwe, ale niezbyt logiczne.

– Ale dlaczego akurat jej wspólnik chciałby, jak to elokwentnie ująłeś, spieprzyć jej robotę?

– Nie mam pewności. W ramach ostrzeżenia? Albo po prostu, żeby to i owo jak najszybciej trafiło do publicznej wiadomości. Jako ubezpieczenie na później. Tego się może nigdy nie dowiemy.

Znów nabrzmiała burzą cisza.

– No i...?

– No i później ta sprawa z Samkielem. Nie zgodziłbyś się, żeby wyświadczył Anaiście taką przysługę, gdybyś nie chciał jej pomóc... albo udawać, że pomagasz. Jeżeli bowiem ona potrzebowała zabezpieczenia w postaci możliwości utrzymywania w razie draki, że sama rozpracowywała Trzecią Drogę, to tym bardziej jej wspólnik. A jakież mogło być lepsze zabezpieczenie niż to, żeby móc powiedzieć: „Tak, przydzieliłem jej mojego starego druha Samkiela właśnie po to, by miał oko na jej poczynania. Gdybym się zorientował, że popełnia zbrodnię wobec Nieba, to oczywiście natychmiast bym wkroczył”, ple ple ple.

– Wiesz, że to niczego nie dowodzi, synu. – Głos Karaela brzmiał płasko i pusto. – To tylko bezpodstawne spekulacje.

– Oczywiście, sir, że to wszystko tylko spekulacje. Moja specjalność, by tak rzec. – Staralem się nadać wypowiedzi ton większej pewności siebie, ale trudno o rezon, gdy się wie, że oskarżana persona może ci zgasić życie łatwiej niż świeczkę na torcie urodzinowym. – I tu dochodzimy do najważniejszego pytania bez odpowiedzi. Czego chciał Eligor? Dlaczego ryzykował pozycję w piekielnej hierarchii, dając wrogom potencjalnie śmiertelność broń do ręki, tylko po to, by wejść w układ z Anaitą? O której już wiemy,

że była deczko rozchwiana, mniej ostrożna, niż być powinna, ze skłonnością do likwidowania niewygodnych sprzymierzeńców i ogólnie mało lubiana w Niebie.

– Oświeć mnie.

– Dlatego, że nie zależało mu na umowie z Anaitą. Chciał wejść w kontakt z kimś innym. Kimś, kto nie popełnia takich błędów jak ona i kto niemal na pewno tylko zyskałby na potędze po jej upadku. Kimś takim jak ty, Karaelu.

Cisza, która nastąpiła po moich słowach, przytłaczała ogromem i trwała dość długo, bym zdążył się zastanowić, jak to jest, kiedy człowieka unicestwiają.

– Insynuujesz zatem, że od początku byłem zamieszany w to jej szaleństwo? – odezwał się w końcu. – Że uważała mnie za partnera, podczas gdy ja naprawdę manipulowałem wszystkim zakulisowo, a potem w odpowiedniej chwili wystawiłem ją do wiatru?

– Krótko mówiąc, amen, sir.

– No to teraz kolej, żebyś ty odpowiedział na pytanie, Dolorielu. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to dlaczego nie zniszczyłem i ciebie? Dlaczego zostawiłbym tak widoczny luźny koniec? – Poufałość szefa kompanii, poza dobrego dowódcy, jaką zawsze przybierał wobec mnie, zniknęła jak zmieciona przez huragan. Był rzeczowy i spokojny jak bardzo głęboki staw, widziałem jednak czający się w jego świetlistości mrok. – Krótko mówiąc, dlaczego jeszcze istniejesz?

– Tego właśnie nie wiem, sir – przyznałem. – Nie wierzę, żeby

mordowanie świadków było w twoim stylu, ale to raczej nie jest główna przyczyna. Może to mieć coś wspólnego z tym, co powiedziała Anaita... że знаła mnie, zanim umarłem. Może znała, może nie, ale to i tak nieistotne w szerszej perspektywie. – Skończyły mi się sztuczki i rewelacje. Zdałem sobie nagle sprawę, że to, co zamierzam powiedzieć, może być moją ostatnią w życiu wypowiedzią. – Mogę się tylko domyślać, sir, że z jakiegoś powodu uważasz, iż mogę ci się jeszcze kiedyś przydać.

Mroczne kłębowisko zestaliło się jak ścięte białko. Przez chwilę stałem oko w oko z czymś, co nie emitowało żadnego światła, jak gdyby Niebo się przewróciło na bok, odsłaniając czeluść pełną absolutnej nicości. Potem w okamgnieniu ciemność się rozproszyła i znów miałem przed sobą mglistą, lecz błyszczącą sylwetkę Anioła Wojującego.

– Ciekawa hipoteza, Dolorielu. Nigdy się nie dowiesz, czy słuszna. W rzeczy samej nie będziesz wiedział, czy cokolwiek z tego jest prawdą, za to z całą pewnością nie przeoczysz chwili, kiedy rzeczywiście będę czegoś od ciebie potrzebował. Powiem ci teraz tylko jedno. Mam ambicje, których nie jesteś w stanie pojąć.

Nie mogłem się powstrzymać.

– Ale czemu chciałbyś cokolwiek zmienić? Przecież to Niebo. A Niebo to ideał.

Karael wydusił promyk oznaczający uśmiech. Nie umiem powiedzieć jaki: rozbawienia czy raczej okrutny. Przestał zgrywać szorstkiego dowódcę i stał się kimś znacznie odleglejszym i

trudniejszym do odcyfrowania.

– Każdy ma wolność wyboru, adwokacie Doloriel, czy to anioł, czy śmiertelnik. Dokonując go, określamy własną drogę. Skoro zaś każdy z nas jest inny, to logiczne, że jedni podejmują lepsze decyzje, inni gorsze. Tym, którzy decydują najlepiej, powinno być wolno robić to dla dobra wszystkich. Rozumiesz?

Nie wiedziałem, czy słyszę czystą, niepolakierowaną prawdę, czy to tylko kolejna wymówka dla faszystowskiego przewrotu. Omal nie powiedziałem tego na głos, ale nie ulegało wątpliwości, że Karael jest inny niż Anaita, i doprawdy nie miałem pojęcia, jakie ma plany. Może i ma rację. Z pewnością Najwyższy nie jest zadowolony z tego, co się ostatnio dzieje. Choć raz więc zmilczałem.

Moje milczenie chyba go usatysfakcjonowało.

– No właśnie. Co do twojej przyszłej użyteczności zaś... cóż, lepiej miej taką nadzieję. Co by nie powiedzieć o całej tej teorii spiskowej, jesteś aniołem, który znalazł się o jedno tyknięcie wielkiego Paslogionu od ostatecznego unicestwienia. Radzę na przyszłość po prostu wypełniać rozkazy. Przynajmniej, gdy to ja rozkazuję.

I nagle Niebo zniknęło, a ja znów byłem na szpitalnym łóżku, pozszywany i obolały jak cholera, ale jednak – i to bardzo – żywy i nadal w posiadaniu własnej duszy, choć nieźle wystrzępionej na brzegach.

Czterdzieści dziewięć

Stacja



Spostrzegłem go z daleka. Stał na rogu Broadwayu i Spring, jak wysoka, ostra skała omywany przez rzekę ostatnich bożonarodzeniowych zakupowiczów. W tym długim płaszczu i dickensowskim cylindrze trudno było go przeoczyć. W przeciwieństwie do skały mój blady przyjaciel oczywiście nie trwał niewzruszenie, tylko po swojemu podrygiwał i dreptał w miejscu, z szalikiem powiewającym na świeżym wietrze. Wszystko w normie.

– O, pan Dolar Bob! – zakrzyknął na mój widok i z galanterią uchylił cylindra. – Jakże miło, jak miło! Rad widzę, że ciągle jesteś w jednym kawałku.

– Tak, Lisiu, i nawzajem. – Może żadnej części mi nie brakowało, ale kolana wciąż miałem jak z waty po wczorajszej rozmowie w Domu. – Jak tam interesy?

Wykonał parę ruchów w rytmie samby, z dłonią przyciśniętą do brzucha: krok, krok, obrót, krok.

– O, bardzo dobrze, ostatnio bardzo dobrze! Lisek już się trochę niepokoił. Nie pracuje w amunicji, nie robi bum-bum giwer jak twój

drugi przyjaciel pan Orban. Wojna niedobra dla biznesu. – Uśmiechnął się olśniewająco białym uzębieniem, wyróżniającym się nawet na tle jego cery albinosa. – Ale teraz już po wojnie! Sama radość, same dobre rzeczy. To i pan Lisiu bardzo, bardzo szczęśliwy!

– Wojna? Mówisz o Niebie?

– No pewnie! Kiedy ci na Górze lub na Dole walczą na serio, to my wszystkie szare myszki chowamy się w trawce. – Roześmiał się w głos.

Naprawdę wyglądał na rozluźnionego. Mogłem mu tylko pozazdrościć dobrego nastroju; mój pasował jak ulał do zimnego szarego dnia. Przetrwałem wprowadzie tête-à-tête z Karaelem, ale z pewnością tylko dlatego, że nie przedstawiam dlań najmniejszego zagrożenia. Powiem więcej: nic dla niego nie znaczę. Żeby uzyskać odpowiedzi, dosłownie przeszedłem przez Piekło, straciłem wszystko, na czym mi zależało, a jedyne, co w zamian dostałem, to zwykłe „Poznaj nowego szefa, takiego samego jak poprzedni”. I nawet nie mogłem liczyć na tę ostatnią satysfakcję upartego idealisty, heroiczną śmierć. Snułem się jeszcze po mieście tylko dlatego, że doprawdy nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. No i musiałem od czasu do czasu wychynąć z gawry, żeby dokupić wódki.

– Ciesz się twoje szczęście – odrzekłem. – Delektuj się, póki trwa.

– Zaraz, zaraz, panie Dolar B. Mam dla ciebie wiadomość.

– Ty, dla mnie?

– Przyjaciel czeka na placu. Może zechcesz tam zajrzeć.

Co miał na myśli? Przychodziło mi do głowy parę możliwości, ale żadna mi się nie podobała.

– To dla mnie ulga, że wrogowie zgadzają się uprzejmie zaczekać na szansę ukatrupienia mnie, zamiast jak zwykle pchać się jeden przez drugiego na czoło kolejki.

Jeszcze nie skończyłem, a już żółć podeszła mi do gardła. Można sobie wegetować w alkoholowym otępieniu, ale nikomu się nie uśmiecha być zakłutym jak świnia w samym środku Dzielnicy Pionierów, na oczach Boga i ludzi. Rozejrzałem się szybko, by sprawdzić, czy gdzieś nie czai się Pumba, żądny zemsty za umiłowanego Timona.

– Masz bardzo specyficzne poczucie humoru, Bobby panie Waluta. – Lisiu obtańczył mnie dookoła. – Wszyscy wiedzą. Dobra zabawa! Czekam z zapartym tchem, kiedy znów zrobimy interesik.

– Lepiej sobie czasem odetchnij – poradziłem, ale jego już nie było. Zniknął jak lis polarny na śniegu.

Ostrożnie wszedłem na Beeger Square, czujnie omiatając wzrokiem całą przestrzeń. Chłostana wiatrem ławka wyglądała na tak zimną, że aż mi się żal zrobiło siedzącej na niej znajomej postaci.

Powoli podszedłem do niej. Tak, niej. Temuel znów „ubrał się” w tę samą starą Latynoskę. U jej stóp stała sponiewierana torba na zakupy szarpana podmuchami. Lada moment się przewróci, pomyślałem. Nie miałem ochoty się dosiadać.

– No, no – powiedziałem. – Wesołych świąt, choć jeszcze nie ta pora. Ale co to jest kilka dni dla nieśmiertelnych, nie?

– Dalej jesteś na mnie zły.

– Jakbyś zgadł.

– Nie usiądziesz?

Nie ścisnąłem spluwy w kieszeni, ale też nie pałałem przyjaznymi uczuciami.

– Nie, dzięki. To teraz pracujesz dla Karaela, tak?

Muł pokręcił głową. Czekałem, kiedy uczyni znak przeciw urokom, jak przystało na typ A wieśniaczki Felliniego, ale nie wczuł się w rolę aż tak.

– Nie mogę o tym rozmawiać. Mówiłem ci, że to skomplikowane. Bo jest.

– Wiesz co? To już nie jest takie zabawne, jak za pierwszymi dwudziestoma razami.

– Pewnie masz rację. – Wyciągnął z torby termos i odkręcił zakrętkę. – Co byś jednak powiedział, gdyby ktoś zadawał ci te same pytania?

– O co ci chodzi?

Nie odpowiedział od razu. Nalał do nakrętki parującego płynu.

– Kawy?

Wziąłem podany napój, powąchałem i przełknąłem kilka kropel. Był dziwnie słodki.

– Co w tym jest?

– Horchata. Chyba z Ameryki Południowej. Podobno pije się to

na zimno, ale ja lubię dodawać do kawy.

Normalnie od takiej przesłodzonej, mocno mlecznej kawy uciekałbym ile sił w nogach, ale teraz zimna grudniowa wilgoć wwiercała mi się w kości, wypilem więc solidniejszy łyk.

– Niezłe – pochwaliłem.

– Nie odpowiedziałeś mi jeszcze, Bobby. Co byś rzekł, gdybym zaczął ci zadawać w kółko te same pytania?

– Jakie?

– Te oczywiste. Dlaczego ryzykowałeś życie i duszę za twojego przyjaciela Sama? Po co zstąpiłeś do Piekła? Dlaczego wszedłeś w konszachty z jednym z najpotężniejszych demonów, by doprowadzić do upadku wysokiej rangi archanioła?

– Nie wiem. Bo nie widziałem łatwiejszego sposobu. Bo talia była ułożona przeciwko mnie i wielkiego wyboru nie miałem. To nie był żaden spójny plan, tak po prostu wyszło.

– Czyli, innymi słowy, skomplikowana sprawa, co?

Temuel wyciągnął dłoń po kubek. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że wypilem całą zawartość. Zakręcił termos i dopiero wtedy coś mi w mózgu kliknęło.

– Cały czas pracowałeś dla Karaela, zgadza się?

– Nic nie jest proste, Bobby.

– To twoja wymówka? Że niby obaj robiliśmy, co w naszej mocy? To chcesz powiedzieć?

– Nic nie chcę powiedzieć. – Podniósł się z ławki. – Chcę ci coś dać. – Wyciągnął z torby pomietą kopertę i wcisnął mi w dłoń. – Ale zanim odejdę, jedno ci powiem. Pewnie zauważyłeś, że parę razy nadstawiałem karku, żeby ukryć twoje sprawy przed moimi przełożonymi. – Rzucił mi zmęczony uśmiech, taki właśnie, jakiego można się spodziewać po starszej pani, która się natyrała od rana i nawet jej nie podziękowano. – Ale nie dlatego, żeby cię chronić, Bobby. Na to jestem za cienki.

– Nie bardzo rozumiem – odrzekłem, też wstając.

– Nie mogę cię ochronić przed grubymi rybami. Nie mam takiej mocy. Jak zechcą ci zaszkodzić, to zaszkodzą. Chciałem tylko dać ci trochę prywatności. Wszyscy jej czasem potrzebujemy.

Skinął mi głową, odwrócił się i odszedł przygarbiony, jakby torba na jego ramieniu ważyła z pół cetnara.

– A to co miało znaczyć, do diabła? – krzyknąłem za nim, lecz on tylko pokiwał mi z daleka i wmieszał się w tłum ludzi wracających z pracy do swych aut, domów i życia. Takiego prawdziwego, jakie mi nie jest dane.

O czym on, kurdeż, mówił? Dać mi prywatność? Niby jak? Skurczybyk bez mrugnięcia okiem wydał mnie służbom, jakby sprzedawał szczeniaka do laboratorium. Tak, dał mi samochód – odrażające paskudztwo – ale prywatność? Wszyscy o tym wiedzieli. Pół Nieba mnie śledziło, dopóki nim jeździłem. Co więc takiego przed nimi ukrywał?

Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że ściskam w rękę otrzymaną

od Muła kopertę. Nie było łatwo jej otworzyć zgrabiętymi palcami, ale w końcu wydobyłem z niej arkusik papieru. Wiadomość była wydrukowana i bez podpisu, wiedziałem jednak od kogo.

Twoje pierwsze zadanie. Dworzec Centralny San Judas o 18.15. Tor 11.

A więc mój nowy szef – byłem teraz prawie pewien, że również stary szef Temuela – znalazł już dla mnie robotę. Powinienem być wkurzony, że rozporządza mną jak najętym szoferem – i trochę byłem, ale miałem też za sobą kilka długich dni kompletnego zwisu. Na dzisiejszy wieczór nie planowałem nic poza urżnięciem się przed telewizorem z wyłączonym dźwiękiem. Może Karael musi kogoś odebrać z pociągu. Może dlatego Niebo zostawiło mi tę taksówkę.

Hip hip, hurra: mam nową fuchę! Ciekawe, czy każą mi zgłaszać otrzymywane napiwki.

Oczywiście zamierzałem wypełnić polecenie. Gdybym miał przez to wpaść w deprechę, zawsze jest opcja rzucenia się pod kolejkę podmiejską. Przynajmniej ożywiłoby to mój weekend.

Dziwiłem się, że wiadomość nie mówi, kogo mam wypatrywać, zgadywałem jednak, że to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy sam Karael wybiera się na Ziemię. Może chce osobiście dać mi wytyczne w sprawie jakichś swoich brudnych interesów. Dobra, pójdę na to, ale pierwszy rycerz Nieba jeszcze się przekona, że nie trzyma mnie tak mocno w garści, jak mu się wydaje. Jak ktoś straci wszystko, to czego ma się bać? Śmierci? Nie rozśmieszajcie mnie. W tej chwili perspektywa wieczności w mroku i ciszy wydawała mi się najmiłą, najbardziej kojącą rzeczą, jaką umiałem sobie wyobrazić.

Przypuszczam, że implikowaną przez Anioła Wojującego groźbą było Piekło, lecz i to mnie nie przerażało. Tortury przestały budzić taką groźę jak kiedyś. Ból to ból, czy przez moment, czy przez wieczność, a ja nauczyłem się go znosić.

Ponieważ rozglądałem się za facetem o wysokiej, żołnierskiej sylwetce – bo taki był ulubiony typ Karaela – nie zwróciłem uwagi na kogoś znacznie drobniejszej budowy, choć w hali tłum się przerzedził; większość nowo przybyłych pasażerów już mnie minęła z turkotem walizkowych kółek i w zgiełku równie głośnych rozmów telefonicznych. I nagle płynąca z głośników zapowiedź kolejnego pociągu obróciła mi się w głowie w falujący pogłosem nonsens. Niewysoka kobieta ściągnęła wełnianą czapkę i proste platynowe włosy opadły jej na ramiona jak błysk słońca na świeżym śniegu.

Powinienem w tej samej chwili rzucić się ku niej i pochwycić, nim znów zniknie na zawsze, ale czułem się jak we śnie – takim dziwnym, w którym nie możesz zmusić ciała do posłuszeństwa. Nie wierzyłem własnym oczom. Oto była, naprawdę, we własnej osobie, w tej samej do przesady ślicznej kombinacji płaszcza i spódniczki. Wyglądała jak studentka Ivy League z lat trzydziestych na pierwszej wycieczce do Paryża. Stałem jak słup i gapiłem się na nią, a serce obijało mi się o żebra, fikając koziołki.

W końcu mózg odblokował odpowiednie synapsy i odzyskałem zdolność ruchu. Podbiegłem i porwawszy ją w ramiona, obróciłem się z nią kilka razy jak w szalonym walcu. W jej szeroko rozwartych oczach mignął strach, ale zaraz ustąpił blaskowi rozpoznania. Przywarliśmy do siebie z taką siłą, że aż zabołało. Całowaliśmy się

zapamiętałe, bez końca.

Jeżeli kiedykolwiek przeżyliście taką chwilę połączenia po rozłące, znacie to uczucie, mieszankę szczęścia i frustracji. Nie można powiedzieć, co się myśli, bo słowa nic by nie znaczyły. Nie można zrobić tego, co by się naprawdę chciało, bo istnieje prawo i porządek publiczny, zjawiałaby się policja, a do tego znaleźlibyśmy się w kilkunastu filmikach na Instagramie. Cała zatem energia, radość i gwałtowne pragnienie idą w ten pierwszy długi pocałunek. Przyciskaliśmy się do siebie ustami tak mocno, że oddychaliśmy niemal w obiegu zamkniętym. Czł. płakała bezgłośnie, prawdziwymi łzami z wody i soli, nie takimi lodowatymi płatkami, jakie zasnuwały jej oczy, gdyśmy się widzieli ostatnim razem. Może i ja sobie zaszlochałem. Na ogół nie mam skłonności do płaczu, ale wszak noszę ludzkie ciało, nie kamienny posąg.

Pół wieczności minęło, zanim rozluźniłem uścisk. Potem delikatnie chwyciłem jej wargę zębami i zakończyłem pocałunek. Wpatrywałem się w nią intensywnie, ale już wiedziałem. Nawet Piekło nie potrafiłoby zmajstrować tak doskonałej, realistycznej podróbki.

– To ty? Naprawdę ty?

– Mogę ci przyłożyć, jeśli to by ci się wydało realniejsze.

Roześmiałem się. Albo znów zapłakałem.

– Brak mi słów, kruszynko – powiedziałem, gdy już zelżał ucisk w gardle. – Po prostu brak słów. Ale chodźmy...

– O Boże, tak! – Prawie się zachłysnęła. – Zabierz mnie dokądkolwiek, choćby do najpodlejszej dziury. Niechby nawet do

ciebie. Skryjmy się gdzieś i pieprzmy, aż zemdleję.

Pożądanie wstrząsnęło mną jak terier królikiem. Nie od razu wydobyłem głos.

– Mam idealne miejsce.

– No to idźmy, natychmiast! Mam tylko ten weekend, potem muszę wracać.

– Wracać? Dokąd?

– Do Kainos. Ten anioł powiedział, że muszę tam być w niedzielę wieczorem. Nie marnujmy czasu na gadanie, Bobby.

Poprowadziłem ją do wyjścia i na parking. Nasze spieszne kroki mieszały się z echem setek innych. Na razie byliśmy tylko dwojgiem zwykłych ludzi, którzy mogą robić, co dusza zapragnie. Choć przez chwilę.

Tonąłem w szczęściu, choć jednocześnie pojąłem, w jak przemyślną wpadłem pułapkę. Powinienem wiedzieć, że Karael jest zbyt sprytny, by popełniać takie błędy jak Anaita. Miał nade mną władzę, jakiej jej nigdy nie dał strach. Zrobił z Caz smycz, na której trzymał mnie pewniej niż kraty i łańcuchy.

Guzik mnie to jednak obchodziło. Jeśli jestem psem Nieba, to przynajmniej przez najbliższe czterdzieści osiem godzin będę najszczęśliwszym z kundli. Objąłem ją ramieniem, przyciągnąłem do siebie i powąchałem skórę na karku. Pocałowałem ją tam, drażniłem językiem, szczypałem zębami, aż zadrżała.

– Spodoba ci się to moje miejsce – szepnąłem.

– Na pewno.

– Przyjaciół pomógł mi je zachować przez cały ten syf. – Dotarło do mnie, że wreszcie mogę to powiedzieć i nie skłamać. – Syfu było masę, więcej niż sądziłem, ale przyjaciół akurat tylu, że wystarczyło.

Nie słuchała.

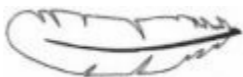
– Gdzie twój wóz? Ten? Och, Bobby, chyba żartujesz!

– Bez uwag, proszę – odparłem, mam nadzieję, z godnością. – Ma cztery kółka i zawiezie nas, gdzie trzeba.

– Nie, no ładny, ładny... – Spojrzała na mnie, słodko tłumiąc chichot. – Taki żółciutki! Ale dokąd właściwie mnie zabierasz?

– Mówiłem. W idealne miejsce. Żebyśmy mogli być razem, nienękani ani przez Niebo, ani Piekło. – Uśmiechnąłem się. – Nie martw się, umeblowanie będzie ci odpowiadało. To twoje własne mieszkanko.

Epilog



Tak, wiem, czekacie na szczegóły, ale tym razem obejdziecie się smakiem. No co, brak wam wyobraźni? Powiem tyle: z trudem się powstrzymaliśmy od wzajemnego zdzierania przyodziewku do chwili przekroczenia progu apartamentu i nawet nie dotarliśmy do sypialni (przynajmniej nie do sobotniego ranka). Złamaliśmy nogi od sofy, przewróciliśmy stolik kawowy i zerwaliśmy ze ścian kilka ślicznych jedwabnych draperii, a wszystko to od razu na starcie.

Później leżeliśmy na dywanie nadzy i śliscy od potu. Przewrócona lampa uwierała mnie w żebra, nie miałem jednak siły się ruszyć. Poza tym z twarzą wtuloną w szyję Caz tuż pod uchem czułem, jak jej puls stopniowo zwalnia do bardziej normalnego tempa. Bez obrazy Najwyższego, tak według mnie wygląda prawdziwy raj.

– I co my zrobimy? – spytałem. – Co będzie, gdy już nadejdzie niedzielny wieczór?

– To, co nam każą – odparła. – Wsadzisz mnie do pociągu i w magiczny sposób wrócę do Kainos. Bo wtedy dane nam będzie zrobić to znowu. I znowu. I znowu...

– Ale ja nie chcę, byś odeszła. Chcę, żebyś była tu ze mną, zamiast wracać do tej zimnej, pustej, dzikiej krainy. Już nigdy nie chcę cię

stracić.

Długo milczała, lecz nie była to taka sama okropna, złowieszcza cisza, jaką już tylekroć musiałem znosić, wyzuta z wszelkiej nadziei.

– A ja nawet ją polubiłam. Pięknie tam. No i są jeszcze ludzie. Wszyscy Pielgrzymi przeżyli... Dzięki tobie, Samowi i Harahielowi.

– Nie waz się tak nazywać Młodego, bo będzie tego samego chciał ode mnie. – Potarłem policzkiem o jej szyję. – Naprawdę ci się tam podoba?

– Uwielbiam tę ciszę. Och, Bobby, po setkach lat w Piekle to po prostu błogosławieństwo! I pogoda jest taka prawdziwa, zmienna. Zmienia się! Jednego dnia słońce, drugiego deszcz, i to z czyściuteńkiej wody! Rozumiesz to?

– Tak, rozumiem. Parę razy zmokłem w Piekle. To jak lunapark „Zemsta Montezumy”.

– Ale nie tylko o to chodzi. Mieszkańcy mają tam jakiś cel. Odbudowują swój świat, a gdy skończą, wezmą się do czegoś innego. Robią coś nowego, czego nikt przedtem nie widział. I ja mam w tym swoje miejsce.

Zastanawiałem się, co o niej sądzą Pielgrzymi. Chyba nie mogą wiedzieć, że jest demonem? Gdy się pozbieraliśmy, by pójść do kuchni po wodę i coś na ząb, opowiedziałem jej, czego zdążyłem się dowiedzieć.

– Więc Karael tak po prostu zostawił Kainos w spokoju? – zdziwiłem się. – Niczego nie chce narzucać?

– Nie wiem. Na razie nie.

Na myśl, że uda się tam beze mnie, objąłem ją mocno.

– Ha! Jak cię tak słucham, to prawie bierze mnie chęć, by jechać tam z tobą.

– Nie wiem, czy to twój rodzaj świata, Bobby. – Roześmiała się. – Na całej planecie ani jednego mrocznego zaułka czy szemranej knajpy...

– Hej, nie rób ze mnie takiego prymitywa!

– Kto się lubi, ten się czubi. – Sięgnęła dłonią w moje prymitywne rejony, żeby okazać skruchę. Była bardzo skruszona. – Byłabym z tobą szczęśliwa wszędzie, skrzydlaku mój ukochany.

– Tak czy owak, on mi na to nie pozwoli. – Przytuliłem ją jeszcze mocniej. Zadziwiające, jak mimo dużej różnicy wzrostu idealnie się w siebie wpasowujemy, niczym dwa sąsiednie, wreszcie odnalezione fragmenty puzzli. – Karael nie wygląda mi na faceta, który działa z pobudek sentymentalnych, ani nawet dla zabawy. Trzyma mnie przy życiu nie bez powodu.

– Wiem. I to mnie przeraża.

– Dlaczego?

– Dlatego. Och, nie mówmy o tym. Udajmy, że mamy tylko ten jedyne raz, ten weekend, i nie marnujemy ani sekundy.

Coś mnie nagle zmroziło. Odsunąłem się nieco.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Popatrzyła na mnie zaniepokojona i przez chwilę w jej oczach zagościło dawne przerażenie, ale zaraz otworzyła je szerzej, ze zrozumieniem. Uśmiechnęła się, a mnie kamień spadł z serca.

– Och, nie, Bobby! Nie miałam na myśli niczego złego. Będziemy mu posłuszni i będziemy się widywać. Po prostu nie chcę tracić za dużo czasu na paplaninę. Są lepsze sposoby porozumiewania się, wiesz?

Wiedziałem, a raczej poczułem.

– No, masz rację. Tego się nie da zrobić za pośrednictwem nizzaka.

Naprawdę miała słuszość. Mieliśmy ważniejsze rzeczy do robienia niż zamartwianie się, czego mogą od nas chcieć szefowie i co może być dalej. Tylko głupiec wchodzi do raju z dawnymi uprzedzeniami i szuka brzydoty pod wszechobecnym pięknem. Byłem takim głupcem długi czas, ale teraz zasłużyłem sobie na parę chwil wakacji.

– Niech to będą nasze święta – powiedziałem, obracając ją przodem do siebie, by znów cieszyć oko jej nagą doskonałością. Nachyliłem się i pocałowałem te zimne, miękkie usta. – Święte dni.

– Z ciebie jednak gaduła, skrzydlaku. Pora znowu pomilczeć.

Tak, moja demonica jest mądrzejsza ode mnie. Warto jej słuchać. Zresztą w tej chwili w ogóle wszystko było w porządku z wszechświatem.

Oczywiście nie zdarza się to zbyt często, a ci obeznani z

wiecznością twierdzą, że nigdy nie trwa to długo. Musimy chwycić takie chwile, kiedy nadchodzą, i trzymać, ile tylko się da, bo to jedyne dobro, którego możemy być pewni. Wszystko inne, czym jesteśmy, i wszystko inne, co robimy, czy zrodzone z naszej krwi i kości, czy z niespokojnych dusz, jest tylko aktem wiary.

Tytuł oryginału: *Sleeping Late on Judgement Day*

Copyright © 2014 by Tad Williams

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing
House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie
niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i
rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo
zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi
naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Jacek Pietrzyński

Fotografie na okładce

© Keddy / Fotolia.com (postać mężczyzny)

© Siro46 / Fotolia.com (płomienie)

© Fernando Cortes De Pablo / 123RF.com (skrzydła)

© Songquan Deng / 123RF.com (widok miasta)

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Zaspać na Sąd Ostateczny, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-8062-739-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored dots: cyan, purple, pink, and orange respectively. The letters 'w', 'n', 'k', and the second 'o' are in black.

woblink.com